

JEFFREY THOMAS

LISTY Z HADESU

PUNKTOWN

PRZEŁOŻYŁA PAULINA BRAITER

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2009**



Tytuł oryginału: *Letters from Hades. Punktown*

Spis treści:

| | |
|---------------------------------|------------|
| <u>Spis treści:</u> | <u>3</u> |
| <u>LISTY Z HADESU</u> | <u>5</u> |
| <u>DZIEŃ 5</u> | <u>8</u> |
| <u>DZIEŃ 6. (DNI 1-4)</u> | <u>16</u> |
| <u>DZIEŃ 11</u> | <u>21</u> |
| <u>DZIEŃ 31</u> | <u>22</u> |
| <u>DZIEŃ 33</u> | <u>26</u> |
| <u>DZIEŃ 35</u> | <u>28</u> |
| <u>DZIEŃ 36</u> | <u>37</u> |
| <u>DZIEŃ 37</u> | <u>39</u> |
| <u>DZIEŃ 38</u> | <u>40</u> |
| <u>DZIEŃ 39</u> | <u>49</u> |
| <u>DZIEŃ 40</u> | <u>58</u> |
| <u>DZIEŃ 41</u> | <u>62</u> |
| <u>DZIEŃ 50</u> | <u>71</u> |
| <u>DZIEŃ 55</u> | <u>74</u> |
| <u>DZIEŃ 57</u> | <u>75</u> |
| <u>DZIEŃ 60</u> | <u>76</u> |
| <u>DZIEŃ 62</u> | <u>79</u> |
| <u>DZIEŃ 64</u> | <u>83</u> |
| <u>DZIEŃ 65</u> | <u>91</u> |
| <u>DZIEŃ 66</u> | <u>95</u> |
| <u>DZIEŃ 67</u> | <u>101</u> |
| <u>DZIEŃ 68</u> | <u>108</u> |
| <u>DZIEŃ 69</u> | <u>116</u> |
| <u>DZIEŃ 70</u> | <u>119</u> |
| <u>DZIEŃ 71</u> | <u>122</u> |

| | |
|-------------------------------------|------------|
| <u>DZIEŃ 72.....</u> | <u>128</u> |
| <u>DZIEŃ 73.....</u> | <u>135</u> |
| <u>DZIEŃ 74.....</u> | <u>144</u> |
| <u>DZIEŃ 78.....</u> | <u>150</u> |
| <u>DZIEŃ 82.....</u> | <u>151</u> |
| <u>DZIEŃ 83.....</u> | <u>152</u> |
| <u>DZIEŃ 85.....</u> | <u>153</u> |
| <u>DZIEŃ 87.....</u> | <u>155</u> |
| <u>PUNKTOWN.....</u> | <u>159</u> |
| <u>DUCHY W DESZCZU.....</u> | <u>165</u> |
| <u>RÓŻOWE PIGUŁKI.....</u> | <u>180</u> |
| <u>SEZON NA SKÓRY.....</u> | <u>193</u> |
| <u>ZWIĄZKOWY PIES.....</u> | <u>203</u> |
| <u>WAKIZASHI.....</u> | <u>214</u> |
| <u>SEKCJA DUSZY.....</u> | <u>227</u> |
| <u>DROGOCENNY METAL.....</u> | <u>233</u> |
| <u>SIOSTRY NIEMIŁOSIERDZIA.....</u> | <u>242</u> |
| <u>SZTUKA KOCHANIA.....</u> | <u>248</u> |
| <u>BALLADA O MOOSECOCK LIP.....</u> | <u>266</u> |
| <u>TWARZ.....</u> | <u>272</u> |
| <u>DRUKARZ.....</u> | <u>280</u> |
| <u>PAŁAC NICOŚCI.....</u> | <u>283</u> |
| <u>ZARDZEWIAŁE BRAMY RAJU.....</u> | <u>290</u> |
| <u>OFIARA.....</u> | <u>294</u> |
| <u>ŚWIATŁO BEZ KOŃCA.....</u> | <u>309</u> |
| <u>BIBLIOTEKA SMUTKÓW.....</u> | <u>324</u> |
| <u>NOM DE GUERRE.....</u> | <u>336</u> |

LISTY Z HADESU

*Dla Davida G. Barnetta,
który z iskry rozniecił Inferno*

Tantum religio potuit suadere malorum.
(Aż tyle złego może spowodować religia).
- Aldous Huxley w *Diabłach z Loudun**.

* *Tantum religio potuit suadere malorum* - Huxley zamieścił w *Diabłach z Loudun* sentencję Lukrecjusza, rzymskiego poety i filozofa (przyp. red.).

DZIEŃ 5.

Mojego piątego dnia w piekle znalazłem modliszkę.

Zdarzyło się to w czasie przerwy między zajęciami, choć przerwa w żadnym razie nie oznaczała odpoczynku. Czekaliśmy jedynie na przybycie następnego instruktora. Wraz z mnóstwem innych uczniów wyszedłem na dziedziniec. Uniwersytet zbudowano w całości z czarnego metalu. Część tworzą płyty, przypominające poszycie gigantycznego krążownika, pokryte bolcami i olbrzymimi mutrami, nawleczonymi na śruby grubości pni drzew, inne wydają się odlane z jednej tytanicznej bryły żelaza. Wszystkie pokrywają smugi i plamy czerwonej rdzy, wyglądającej jak zaschnięta krew. Może zresztą to faktycznie zasychająca krew. Mojego trzeciego dnia pobytu w piekle spadł deszcz krwi. Prawdziwa ulewa. Kiedy minął, ziemię wokół uniwersytetu pokrywały parujące, szkarłatne kałuże, w których dostrzegłem miotające się i skaczące meduzy i węgorze. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to narządy i wnętrzności. Jeden z kolegów z klasy sugerował, że to odpadki z miejscowej torturowni.

Kolosalność Uniwersytetu Awern wykracza poza ludzką skalę. Wiem, że podczas prowadzenia dalszych zapisów w tym dzienniku, pamiętniku czy jak go nazwać, w końcu zabraknie mi słów do wyrażenia tutejszego ogromu - tak rozmiarów, jak i cierpienia.

Żałuję, że nie mogłem rozpocząć zapisków od dnia pierwszego. Niestety, nie miałem papieru ani pióra, póki drugiego dnia na dobre nie zacząłem zajęć. No i szczerze mówiąc, z pewnym trudem przywykałem do nowego otoczenia, więc dopiero dziś przyszło mi do głowy, że

mógłbym notować osobiste obserwacje. Spodziewam się, że kiedy odkryją, że zapisuję w księdze własne myśli, odbiorą mi ją, obróciłem ją więc do góry nogami i zacząłem od ostatniej strony. Mam nadzieję, że nie zajrzą na koniec, jeśli zechcą ją sprawdzić. Z przodu książki, zgodnie z wyznaczonym zadaniem, zapisuję kolejne wersy, pełne pogardy dla własnej osoby, samoponiżenia:

„Jestem robakiem niegodnym mego Stwórcy. Zdradziłem miłość mego Ojca. Zmarnowałem dar życia, którym mnie obdarzył”.

Każdy wiersz musi być inny i pełen pokory, choć nawet jeśli zapiszę trylion takich wierszy, niepodobnych do siebie, i tak nie otrzymam przebaczenia.

Myślę - mam nadzieję - że pisanie tej książki pozwoli mi przynajmniej na moment oderwać myśli, skupić się, zapomnieć choćby odrobinę o niekończących się fizycznych bólach. Że stanie się zaprawą, utrzymującą w całości rozsypujące się cegły mego umysłu. Choć może to błąd. Może byłoby lepiej, gdybym poddał się szaleństwu. Być może kryje się w nim spokój. Cóż, przypuszczam, że zawsze zdążę to zrobić, jeśli trzeźwy umysł źle mi posłuży.

Chyba głównym powodem, dla którego to piszę, jest potraktowanie tego aktu jako formy buntu, gestu indywidualizmu. Przypominam sobie, gdy w liceum, które w końcu rzuciłem - nie dlatego, że nie byłem inteligentny, ćpałem czy coś takiego, lecz z powodu mojej nieśmiałości, wyobcowania, alienacji; wolałem zostać w domu i czytać, a także pisać: marzyłem, że zostanę pisarzem (kolejny powód, dla którego nawet w tym miejscu nie mogę się oprzeć pokusie notowania obserwacji) - kazano nam przeczytać jedną z dwóch sztuk, zebranych w jednym tomie. Nie przeczytałem tej, którą mi wskazano. Zamiast tego, pewnego dnia na wagarach - zaczekałem za garażem, aż ojciec pojedzie do

pracy, by móc się zakraść na strych i spędzić tam resztę dnia - przeczytałem drugą sztukę. Nie był to zaplanowany buntowniczy gest, po prostu się zdarzyło. Kierował mną czysty instynkt. Duch milczącej rebelii.

Teraz, trzymając w rękach ciężki, odwrócony tom, czuję się podobnie. Wówczas jednak miałem do czynienia z cienką, wymiętą książką w miękkiej okładce, a nie księgą oprawną w żywą skórę, z okładki której patrzy na mnie ludzkie oko. Podąża za moimi ruchami i wiem, że jest mnie świadome. Z początku sądziłem, że to narzędzie demonów, sposób szpiegowania mnie. Lecz bardziej doświadczony kolega wyjaśnił, że to wszystko, co pozostało z publikowanego autora, zapewne ukaranego za przedkładanie frywolnych książek ponad majestat Ojca... za nieczytanie Biblii, mimo uwielbienia słowa pisanego.

- Przykro mi - wyszeptalem do owego samotnego niebieskiego oka, które mrugnęło na mnie w milczeniu z leżącej na kolanach książki. - Zaopiekuję się tobą. Nie pozwolę, by spotkało cię jeszcze coś złego.

O mało nie zaśmiałem się sam z siebie. Jak jeszcze bardziej można by skrzywdzić tę duszę? Nawet gdyby na oprawie zgaszono papierosa, to nic. A jednak chyba zrozumiało moje słowa, a przynajmniej idące za nimi uczucie. Ujrzałem, jak oko powleka się wilgocią, samotna łza spływa po pokrytej bliznami wyprawionej skórze.

- Żałuję, że nie wiem, kim byłeś. Może czytałem twoje słowa - rzekłem do książki. - Może dzięki tobie czułem się mniej samotny. Możliwe, że czytałem cię na strychu.

Otarłem łzę z samotnego oka. Musnąłem pieśczośliwie palcami stwardniałe blizny. Nieco później oko zamknęło się we śnie. Lubię myśleć, że choć odrobinę mu pomogłem.

Spacerując po dziedzińcu, dźwigałem księgę pod pachą, choć na ramieniu miałem przeznaczony na nią worek.

Wyglądał jak wysuszony organ jakiegoś dużego zwierzęcia, pokryty piętnami i zafarbowany na czarno. Każdy z nas miał taki i każdy z nas nosił szkolny mundur, składający się z czarnej koszuli, czarnych spodni, czarnych wysokich butów. Dysponowaliśmy także parą białych skarpetek i białej bielizny. Mojej pierwszej nocy (a przynajmniej oceniałem, że to noc) przesunąłem palcami po gumce majtek i zaśmiałem się bezdźwięcznie, szlochając w milczeniu. To nie może być moje prawdziwe ciało. Moje prawdziwe ciało spoczywa zabalsamowane w trumnie. To jakiś twór, dusza skamieniała w materii, klon, golem ulepiony z ektoplazmy, złudzenie. Nasi profesorowie nam nie powiedzieli. Ale czym była bielizna? Czy to także złudzenie? Przedłużenie duszy? A może stuprocentowa bawełna? Czy w piekielnych warsztatach biedne azjatyckie dzieci harują całymi dniami i nocami przy maszynach do szycia, produkując bieliznę dla sieci piekielnych hipermarketów? Na jednej ze ścian dziedzińca wypełnione rdzą litery wysokości człowieka układają się w inskrypcję:

ŁATWE JEST ZEJŚCIE DO AWERNU - WERGILIUSZ*

Okrzyżłem dziedziniec jak więzień w czasie ćwiczeń, ale nie po to, by rozruszać mięśnie - spacer dawał mi pretekst do żalonych marzeń o tym, że dokądś odchodzę. Na środku dziedzińca wciąż pozostawała kałuża krwi po niedawnej burzy, mały grząski staw. Przypuszczam, że rosnące tam cierniste krzaki i poskręcane miniaturowe drzewa miały być ogrodem. Góruje nad nim ustawiona pośrodku czarna metalowa rzeźba, przedstawiająca wybitnego demona; nie chciałem go zaszczycić nawet przeczytaniem tabliczki z imieniem. Ze szczytu żelaznej czaszki ohydneho stworu tryskały szmaragdowe płomienie. Patrząc wyżej, ponad

* *Facilis descensus Averno*, łac. - łatwe jest zejście do piekieł. Etym. - z Wergiliusza (*Eneida*, 5, 126) (przyp. red.).

wyniosły posąg, przekonałem się, że niebo tworzą kłęby czarnego dymu, przypominające burzowe chmury. Opadały z nich delikatne jasne płatki, zamieniające się na moim czarnym stroju w drobinki miałkiego, wulkanicznego popiołu. Z łatwością je strzepnąłem.

Cały dzień nie płakałem. Był to mój pierwszy dzień w piekle bez płaczu. Czyżbym odrętwiał? A może zaczynałem już przywykać?

Inni wokół mnie jednak płakali, a wiatr niósł wysokie, niekończące się zawodzenie, brzmiące jak ludzkie głosy, tysiące, miliony głosów. Dźwięk ów był zbyt żywy, by mógł go wydawać sam wiatr.

Położyłem dłoń na ramieniu kobiety siedzącej na ławeczce u stóp posągu. Nasze buty nasiąkały gęstą, grząską krwią. Kobieta łkała histerycznie. Chciałem ją pocieszyć, ona jednak spojrzała na mnie i wrzasnęła, odtrącając moją dłoń, podjąłem więc przerwana wędrówkę wokół dziedzińca.

Część moich kolegów z klasy szukała jednak pociechy w towarzystwie innych. Od czasu do czasu przystawałem, by posłuchać kilku z nich.

- Skoro posłali nas na szkolenie - bełkotał jeden - to pewnie chcą dla nas czegoś lepszego... No, wiecie, żebyśmy mogli pójść później do nieba. Najpierw czyściec, potem niebo, prawda? Jesteśmy tu w ramach kary, jak w więzieniu, ale możemy poddać się rehabilitacji i potem... potem...

- Stać się produktywnymi obywatelami? - podsunałem.

Obrócił się ku mnie, patrząc oszalałym wzrokiem. Podobnie jak ja, miał na czole paskudną, wypukłą bliznę w kształcie litery „A”. Było to piętno oznaczające agnostyka. Nie chciałem nawet wiedzieć, jak znakuje się ateistów, choć byłem pewien, że prędzej czy później to odkryję.

- Abyśmy mogli zostać zbawieni! - zawołał.

- Schrzaniliśmy sprawę - poinformowałem go. - Nie

wierzyliśmy w to wszystko. A najwyraźniej powinniśmy.

- Niemożliwe jednak, żebyśmy tylko dlatego musieli cierpieć przez wieczność! To by było niesprawiedliwe! Może nie wychowano mnie w religijnej rodzinie? Może niektórzy nie spotykają na swojej drodze skutecznych kaznodziejów, którzy zaszczepiają im religijność? To wina naukowców, wmawiających nam, że to wszystko nie istnieje. Nie możemy cierpieć za ich grzechy! Nie mieliśmy wokół siebie dość znaków, by uwierzyć!

- Dlatego właśnie nazywają to „wiarą” - rzekł któryś z pozostałych. - Znaki specjalnie są trudne do odczytania. Chcą sprawdzić, czy dostatecznie uważamy.

- No dobrze, ale ja się uczę! - wykrzyknął rozgorączkowany mężczyzna, obracając się w stronę drugiego mówcy - Chcę się uczyć! Chcę! - Wybuchnął ochryłym płaczem. - Chcę zostać zbawiony! Chcę pójść do nieba!

- To właściwie dlaczego nas uczą? - wymamrotał ktoś z namysłem. - To kara, sama w sobie - rzekł inny. - Szkoła jest do dupy.

- Chodzi o to, by zadrećcać nas niepewnością i wyczekiwaniem, przed resztą tortur - mruknąłem.

Ale musiałem się z nim zgodzić. Jak już wspominałem, ja także nie znośłem szkoły. Czułem się samotny pośród kolegów. Chyba to Sartre powiedział, że piekło to inni. I odwrotnie, T.S. Elliot oznajmił, że piekło to każdy z nas. Obaj mieli rację.

- Po co marnują czas? Po co te wysiłki, jeśli nie po to, by nas uratować? - wychlipiał zapłakany mężczyzna.

- Chcą jedynie, żebyśmy zrozumieli parę rzeczy - wyjaśniłem. - Żebyśmy docenili, jak bardzo zasłużyliśmy sobie na to, co nas spotka. To część ich planu. Nie możemy liczyć na to, że zrozumiemy plany bogów i demonów.

- Cii! - syknęła kobieta, ubrana w taki sam czarny

uniform jak my, i podeszła bliżej mnie. Jej głowę ogolono, tak jak reszcie z nas, ale na czole widniały trzy litery XXX. prostytutka? - Nie możesz tu wymawiać tego słowa! Widziałam, jak pewien człowiek zawołał go - Jego! - tym imieniem i demony go pochwyciły... - Nie zdołała opisać, co było dalej.

- To Ojciec. Stwórca - poinstruował mnie ktoś.

- Wiem - odparłem, tracąc cierpliwość i ruszając dalej. -

Na moment zapomniałem.

To była jedna z pierwszych lekcji: nie używać Jego imienia nadaremno.

Krażąc po dziedzińcu, raz jeszcze przyjrzałem się ciernistym roślinom, rosnącym pośrodku, bluszczowatym pędom o fioletowawych liściach, pokrywających gęstym wałem jeden z otaczających nas metalowych murów. Czy może były jadalne? Nie jadłem od pięciu dni. Sklonowane bądź iluzoryczne ciało cierpiało głodowe katusze, choć byłem pewien, że nie potrzebuję pożywienia ani opału. Moje ciało obdarzono tymi samymi potrzebami, bym mógł doświadczać głodu, bólu... tak jak za życia. Pięć długich dni. Lepiej od razu wyjaśnię, że tak naprawdę nie mam pewności, czy minęło pięć dni, ponieważ oczywiście tu, w dole, nie świeci słońce. Zakładając, że to miejsce naprawdę leży „w dole”, choć jestem pewien, że z pewnością nie kryje się po prostu pod skorupą ziemską. Zapewne to inny wymiar albo poziom rzeczywistości, poza naszym pojmowaniem czasu i przestrzeni. Próbuję jednak dopasować je do mojego ograniczonego wyczucia czasu, odwołując się do wewnętrznego zegara fałszywego ciała, podpowiadającego, że minęło pięć dni. W dodatku każdy tutejszy „dzień” kończy się wyjątkowo długą przerwą między zajęciami, którą uważam za noc. Może wtedy demony odpoczywają? Jak mówiłem, owych przerw między zajęciami nie można uznać za odpoczynek dla

nas, bo zapewnienie nam go byłoby aktem troski i miłosierdzia.

Podszedłem do muru porośniętego owymi fioletowymi pędami i roztarłem palcami woskowaty liść. Obejrzałem się szybko przez ramię, po czym zerwałem go i ugryzłem. Smakował jak coś zgniłego; wyplułem go szybko. Nawet woń złamanego ogonka budziła mdłości - bardziej przypominała zwierzaka rozwłóconego na jezdni niż gnijącą roślinę. W miejscu pęknięcia powoli zebrała się kropla krwi. Woląłem nie wiedzieć, czym naprawdę są te rośliny, ani czym kiedyś były.

Wówczas jednak zauważyłem modliszkę, wędrującą ostrożnie po szklistych liściach. Nie dostrzegłbym jej, gdyby się nie poruszyła, bo świetnie się maskowała: miała ten sam fioletowy kolor. W dodatku jej nogi rozszerzały się mocno na końcach, same w sobie przypominając liście.

Choć w ciągu ostatnich pięciu pseudodni napiętnowano mnie na czole i boleśnie poturbowano, wciąż bałem się dotknąć owada - mógł przecież ugryźć. Zmusiłem się jednak do zwalczania lęku i przesunąłem dłoń tuż przed wielkiego insekta. Z początku próbował ją obejść, ale w końcu wdrapał się na moje palce i dalej, na rękaw. Tam znieruchomiał, zmęczony i dezorientowany. Przysunąłem go bliżej twarzy, by się przyjrzeć. Czyżby zatem piekło miało swoje własne formy zwierzęcego życia? Z pewnością zwierzęta nie trafiały tu tylko dlatego, że są zbyt nieskomplikowane, by uznać istnienie Stwórcy. Czyżby tu, w dole, istniał odrębny, lecz działający ekosystem? Czy to możliwe, by ta modliszka wyewoluowała do swego obecnego stanu? Przystosowała swój kamuflaż, kolor, kształt? Czyż ewolucja nie zaprzecza samemu istnieniu piekła? Owo proste, zwyczajne stworzenie nagle wydało mi się bardziej tajemnicze niż wyrastające wokół żelazne mury, niż płonący posąg demona pośrodku

dziedzińca, powleczone dymem niebo, którego nigdy nie udało mi się obejrzeć. Stanowiło zagadkę. Może to odmieniony człowiek? A może Stwórca po prostu ukształtował podobne stworzenia „tu, w dole” podobnie jak „tam, w górze”... z czystego, artystycznego zacięcia? Jak jakakolwiek Istota mogła tak bardzo uwielbiać akt tchnięcia życia w protoplazmę, tak jak dmuchacz szkła kształtuje naczynia swym oddechem, i jednocześnie być równie okrutna, by skazać swe złożone arcydzieła na życie w wiecznej męce? Z drugiej strony jednak, czemu niektórzy ludzie mają dzieci tylko po to, by je molestować czy nawet zabijać własne potomstwo? Czyżby Ojciec uwielbiał jedynie akt tworzenia, tak jak my uwielbiamy akt prokreacji?

Czy zatem nasz Ojciec to rodzic znęcający się nad dziećmi? Psychopata?

Modliszka zgięła łamane przednie odnóża chwytne, przyciskając je do pancerza w pokornym geście, zupełnie jakby On ukształtował jej postać z narcystycznej potrzeby nakazywania wszystkiemu, by skłaniało się ku Jego chwale. Całe stworzenie stanowiło odbicie Jego próżności. Gdy jednak nie spodobał mu się zniekształcony obraz, rozbijał lustro. Obwinił zwierciadło za własną brzydotę.

Gdzieś w dali zagrzmiało. Po sekundzie usłyszałem bliższy grzmot, jaki wydały drzwi otwierające się w jednej z metalowych ścian. Wielkie odsłonięte zębatki i przekładnie obróciły się ze zgrzytem, przesuwając fragment muru. Zasyczała wypuszczana para i, odwróciwszy się, ujrzałem trzy postaci, wyłaniające się z jej chmury na dziedziniec. Był to jeden z naszych instruktorów w towarzystwie dwóch pomniejszych demonów - może asystentów, ochroniarzy, początkujących nauczycieli, czy nawet wypustek z jego własnego ciała, krążących wokół niczym satelity. Podobnie jak u niego, falujące, hebanowoczarne szaty przesłaniały ich

chitynowe czarne ciała, opancerzone i segmentowe, jak u owadów udających szkielety. Środkowy demon miał osiem stóp wzrostu, był jednak chudy niczym moja ośmioletnia siostrzenica. Ramiona szaty unosiły się, wypchane i podtrzymywane ukrytym rusztowaniem, by nadać mu pozór bardziej imponującej masy. W dłoni trzymał laskę z czarnego żelaza, zwieńczoną osobliwym herbem, czy może symbolem, przypominającym rozbryzg kaligrafii przełożony na metal. Jego twarz przywodziła na myśl zmumifikowaną czaszkę, wysunięte, obkurczone wargi odsłaniały w grymasie czarne zęby, ale w ciemnych oczodołach płonęły jaskrawą bielą maleńkie oczy, pozbawione źrenic i tęczówek. Na czubku głowy tkwiła wysoka mitra z metalu; dziurki na brzegach układały się w misterne wzory. Przez te kratowate dziurki było widać zielony ogień, tryskający z czaszki demona.

U tych dwóch pomniejszych demonów łatwiej było dostrzec ów wulkaniczny krater. Miały zaledwie sześć stóp wzrostu, były odziane w szaty pozbawione masywnych ramion, nie nosiły też lasek symbolizujących ich urząd, czy cokolwiek znaczyły. One także przypominały zwęglone, ożywione szkielety, tyle że jasne kropeczki oczu nie były tak przeszywające jak u ich przywódcy. Nie nosiły też na głowach mitr ani żadnych czapek, widziałem zatem otwory na szczycie ich czaszek - wyglądały, jakby ktoś odpiłował kość. Z dziur wypływały smużki dymu, a nie cuchnące płomienie, jakie tryskały z głowy profesora, choć dym także połyskiwał zielenią, jakby ich mózg zrobiono ze świetlistego, pierwotnego śluzu.

Trio demonów zatrzymało się na kamiennych płytach. Instruktor trzy razy głośno zastukał laską, wzywając nas do siebie. Podszedłem do nich, z modliszką uczepioną mojego rękawa.

- Mistrzu - zwróciłem się do niego z, jak miałem

nadzieję, stosowną pokorą i szacunkiem (przy czym wcale nie musiałem udawać owej pokory). Innymi słowy, podlizywałem się jak nowy pracownik. - Znalazłem tego owada. Chciałem cię zapytać, czym jest... czemu jest tutaj...?

Może profesorowi spodoba się moja ciekawość. Uczeń złąkniony wiedzy.

Pozostali trzymali się za mną, wyprzedzałem ich o krok czy dwa. Oba pomniejszych demony pozostały na miejscach, ich przywódca zmniejszył dzielący nas dystans, aż w końcu stanął, górując nade mną. Przekrzywił głowę, patrząc beznamietnie na modliszkę na mojej ręce.

Kiedy demon przemówił, jego słowa zabrzmiały niczym ostrzegawczy syk kobry. Jak zimny przeciąg wiejący przez grobowiec. Zgrzytliwy, szeleszczący dźwięk. Odgłos suchych jesiennych liści, unoszonych w powiewach wiatru wewnątrz owego grobowca.

- Sam odpowiedziałeś na swoje pytanie. To insekt, tak jak ty. Jest tutaj tak jak ty. Stwórca nie ma obowiązku wyjaśniać ci Swego planu. Jego dzieła wykraczają poza twoje zrozumienie, nawet gdyby kiedyś zechciał ci je wytłumaczyć. A nie zechce.

To rzekłszy, profesor ujął laskę w drugą szponiastą dłoń i opuścił w jednym rozmazanym rozbłysku czerni. Tajemniczy emblemat wieńczący kij gładko przeciął mi przedramię. Ujrzałem, jak połowa mojej ręki opada na ziemię, modliszka wciąż trzymała się jej kurczowo. Z kikuta trysnął gejzer krwi, niczym woda z sikawki strażaka. Zachwiałem się i poleciałem do tyłu, zaczepiłem piętą o wystający kamień i runąłem ciężko na plecy, zawodząc z bólu; z oczu płynęły mi łzy. Lecz nawet w oślepiającym, wszechogarniającym rozbłysku cierpienia wiedziałem, że nie mogę prosić o pomoc moich towarzyszy. Stali wokół i patrzyli bezradni, przerażeni, ciesząc się, że nie ich to spotkało.

- Musisz wiedzieć tylko to, co zechcemy ci przekazać. Czyli fakt, że sam także jesteś owadem, insektem - podjął wysoki demon suchym, szeleszczącym głosem.

Na zakończenie krótkiej, zaimprovizowanej lekcji nauczyciel uniósł kościstą, bosą stopę i opuścił na moją odciętą rękę, miażdżąc uczepioną rękawa modliszkę. Był to czyn dla mnie równie niezrozumiały, jak istnienie samego owada.

Kiedy nadeszła pora nazywana przeze mnie nocą, prawa ręka odrosła mi do tego stopnia, że mogłem zacząć pisać dziennik.

Dzięki Ci, Stwórco, za drobne cuda.

DZIEŃ 6. (DNI 1-4)

Ponieważ zacząłem pisać mój dziennik tak późno, chyba powinienem w tym miejscu cofnąć się i zapełnić puste strony, zacząć od początku i dojść szybko do miejsca, w którym się znalazłem. Na szczęście, większość wcześniejszych dni to jedna rozmazana plama bólu i strachu. Biorąc pod uwagę panikę i rozpacz, jakich wówczas doświadczyłem, nie mogę uwierzyć, że jestem teraz zupełnie normalny. Może mój mózg się zregenerował, podobnie jak ciało i kości.

Obudziłem się sam w maleńkim pomieszczeniu, całym wyłożonym białymi ceramicznymi kaflami, łącznie z sufitem i podłogą. Z początku sądziłem, że znalazłem się w szpitalu. Ostatecznie, dopiero wsunąłem sobie lufę dubeltówki pod brodę i rozwalilem czaszkę. Kiedy przełknąłem, poczułem krew, zęby i oderwane kawałki ciała; spora część mojego rozbryźniętego mózgu ześliznęła się w głąb przełyku, jak ostryga wypływająca z rozłożonej muszli. Jeśli jednak byłem w szpitalu, czemu leżałem nagi na podłodze, patrząc, jak moja krew spływa w stronę stalowej kratki?

Spróbowałem usiąść, lecz nuklearna eksplozja bólu tak bardzo mnie poraziła, że opadłem z powrotem na bok. Usłyszałem, jak rozwalona dynia mojej twarzy ląduje z miękkim plaśnięciem na kaflach. Jakim cudem wciąż żyłem?

Oczywiście nie żyłem.

A kiedy błyszczący stalowy właz, podobny do tych na okrętach podwodnych, otworzył się w jednej ze ścian z sykiem pary i do mojej wykafelkowanej celi wkroczył pierwszy demon, pojąłem, że podejmując ową żalostną, samolubną decyzję, poważnie się przeliczyłem. Sądziłem, że będzie to ostatni ból, jaki poczuję: mikrosekunda piekła w

czasze, a potem słodka nicość. Dostatecznie trudno przyszło mi się pogodzić z ową mikrosekundą. Zebrać się na odwagę. Ale to... Jak miałem stawić temu czoło, zwłaszcza że niewiele z niego zostało? Nie mogłem nawet krzyczeć, gdy para demonów podniosła mnie z ziemi. Wywlekli mnie z, jak zakładam, jednego z niezliczonych schowków na przybywające dusze. Każdy z nas zjawia się samotnie w jednym z owych białych, podobnych trumnom pomieszczeń. Dopiero potem trafia do ogólnej populacji, niczym motyl wyłaniający się z poczwarki. „Zrodzony ponownie”, w nowym ciele utkanym z przędzy duchowej. Czemu zatem wciąż miałem na sobie materialne ślady samobójstwa?

- Samobójstwo to grzech - zagrzemiał jeden z wlokących mnie potworów, warcząc niczym wściekły pies.

Stwory te różniły się od upiornych chodzących trupów, zaludniających uniwersytet - przypominały bezwłose goryle o szarej skórze, pokrytej spiralnymi piętnami maoryskich tatuaży. Miały kanciaste, kościste twarze, pociągłe i dziwnie psie, z kłami jak u dzików. Były muskularne, nagie, miały grube, krótkie kutasy; pochylone, sięgały mi zaledwie do ramienia. Demony niskiej rangi, pracownicy fizyczni... prymitywne małpoludy, najniższy szczebel demonicznej ewolucji. Nawet ich nietoperzowate skrzydła, które, jak można by sądzić, winny nadawać im iście królewski wygląd, były poszarpane, pokryte bliznami, podziurawione, a także napiętnowane znakiem spirali. Spirala to symbol wieczności. Skojarzyły mi się ze skrzydlatymi małpami z filmu „Czarnoksiężnik z krainy Oz”, ale nie zamierzałem im tego mówić. I tak pobiły mnie dotkliwie za to, że stawiłem słaby opór, gdy zaczęły mnie wlec ciemnymi, krętymi korytarzami z czarnego metalu, oświetlonymi przez zwisające z sufitu nagie żarówki. W pewnym momencie zarobiłem kopniaka i usłyszałem trzask pękających żeber. Przynajmniej mogłem w

końcu zapłakać, mamrocząc błagania i przekleństwa. Po chwili zrozumiałem, że to dlatego, że odrastała mi dolna szczęka. Osobiście, gdybym to ja kierował piekłem, być może pozostawiłbym każdego dokładnie takim, jak w chwili przybycia. Ludzie, którzy zmarli na raka bądź AIDS, byłiby wiecznie wychudzeni, osłabieni, przeżarci chorobą. Samobójcy tacy jak ja musieliby trwać w piekle, ze strzaskanymi czaszkami, upiorni z wyglądu, odrzucani przez resztę potępionych, cierpiąc nieustanne męki. Ale kontrast ma w sobie więcej sadyzmu. Radość otwierania gwiazdkowych prezentów to przecież nic bez wcześniejszego wyczekiwania. Czekanie na kolejne rany... świadomość, że cudownie uleczone ciało nie uniknie kolejnych obrażeń, jeszcze bardziej łamie ducha. Okresy pomiędzy cierpieniami, stanowiące jedynie przerwy, sprawiają, że samo cierpienie staje się mocą kontrastu jeszcze gorsze. Jin podsycza Jang. Gorące jest gorętsze, kiedy znamy znaczenie zimna. Gdybym nigdy nie ozdrowiał po samobójstwie, może zdołałbym na zawsze zatracić się w obłędzie ślepego bólu. Lecz fakt, że wyzdrowiałem, wróciłem do siebie, wzmacnia jeszcze strach przed kolejnym zatraceniem.

Zaprowadzono mnie do wielkiej sali, naprawdę wielkiej, jak olbrzymi dworzec kolejowy. Zamiast sufitu wieńczyło ją gigantyczne okno. Wiele szybek osadzonych w metalowych ramach zdążyło się potłuc, toteż tu i tam na podłodze rozlewały się kałuże deszczowej krwi. Środkiem ciągnęła się długa kolejka nagich ludzi, ustawionych trójkami. Pilnowały jej demony, poruszające się rozkołysanym krokiem i w podskokach, jak szympansy, trącające ludzi podobnymi do włóczni żelaznymi pikami, gdy uznawały, że za głośno krzyczą, chwieją się beznadziejnie bądź w czystej panice mogą spróbować ucieczki. Moi strażnicy dźwignęli mnie na nogi i pchnęli na koniec kolejki. Jakimś cudem zdołałem

utrzymać równowagę. Pałący ból wyraźnie osłabł. Choć pokrywała mnie moja własna krew, ostrożnie sięgnąłem ku twarzy i odkryłem, że jest cała, a czaszka na czubku niemal się zrosła.

W tym momencie przypomniałem sobie fragment piosenki Elvisa Costello: „To piekło, to piekło, przykro mi to mówić...”.

Jak już wspominałem, byłem w szoku, przepełniały mnie ból, groza, a przede wszystkim niedowierzanie... Pamiętam jednak, że kiedy wiele godzin później dotarłem do początku kolejki, otrzymałem ubranie, które noszę teraz, upchnięte w czarnym plecaku, czy może torbie zrobionej z jakiegoś narządu.

Za długim stołem na początku kolejki siedziały trzy okazy nowej odmiany demonów. Przypominały wychudzoną kastę nauczycielską, której wówczas nie znałem, lecz z ich głów nie tryskały zielone płomienie. Zamiast tego miały niezwykle napuchnięte czaszki, niczym rozciągnięte do granic możliwości balony. Owe kulogłowe stwory wbijały spojrzenia lśniących oczu w każdego z nas, w trzech przesuwających się do przodu liniach, i wywarkiwały w zupełnie obcym języku rozkazy goryłowatym podwładnym. Czy byliśmy katalogowani? Dzieleni na kategorie? Osądzani? A może to byli piekielni urzędnicy, jedynie instruujący pawiany, jakiego mają użyć piętna?

Bo tam właśnie nas piętnowano: już od jakiegoś czasu zastanawiałem się, skąd się biorą coraz częściej rozbrzmiewające zbolące krzyki i rosnąca gorąca łuna, ale z początku nic nie widziałem, bo wszystko zasłaniaли stojący z przodu ludzie. Gdy nadeszła moja kolej, próbowałem uciec, lecz dwa demony złapały mnie za ręce. Jeden z nich chwycił mnie dodatkowo za kark szczękami godnymi pitbulla, unieruchamiając moją głowę, podczas gdy kolejny,

wyszczierzony złośliwie, wielki jak pawian potwór o całkowicie czarnych oczach, identycznych jak u pozostałych, odwrócił się przed otwartej kuźni, unosząc w obu pokrytych bliznami łapach rozżarzone żelazo do piętnowania. Kiedy przycisnął je do mego dopiero co wygojonego czoła, usłyszałem syk i skwierczenie własnej skóry. To jedyna rana zadana w tym miejscu, która nie zniknęła. A - nie symbol klasy na Uniwersytecie Awern, lecz skrót od „agnostyk”. To moja podstawowa zbrodnia. Dość, bym trafił do Hadesu.

Następnie przepędzono nas, niczym stado, serią rozwidlających się korytarzy w stronę, z której dobiegały, jakże znajome, huki, hurgoty i pisk hamulców pociągów metra. Moja grupa dotarła w końcu na podziemną stację o ścianach wyłożonych czarnymi ceramicznymi kaflami. Kiedy pociąg wjechał na peron, jeden nieszczęsny dureń skoczył na jego skraj i rzucił się wprost pod koła lokomotywy. Gdyby tylko ucieczka była taka łatwa, wszyscy popędzilibyśmy za nim jak lemmingi. Zapewne po odjeździe demony zamiotły jego szczątki, by mógł zrosnąć się gdzieś w kącie.

Pociąg wyglądał jak rodem z dziewiętnastego wieku: z licznych kominów buchała para, wielkie koła i przekładnie obracały się i poruszały, czarny metal pokrywały smugi rdzy. Żaden z rzędu wagonów ciągniętych przez skomplikowaną lokomotywę nie miał jednak okien. Kiedy zatrzymał się z ogłuszającym piskiem, zaczęliśmy wsiadać, poganiani dźgnięciami żelaznych pik. W środku było tłoczno, nie dostrzegłem ani śladu miejsc siedzących, lecz część z nas, łącznie ze mną, jakimś cudem zdołała po drodze przebrać się w nowe stroje. Reszta zrobiła to po dotarciu do celu: na Uniwersytet Awern.

Już na miejscu naszej grupie wskazano kwatery: olbrzymią, wysoko sklepioną salę, niemal równie wielką jak stacja dla przybyszów, na której nas napiętnowano i

przydzielono do transportów. Wokół sali rozstawiono ławki, lecz większość mieszkańców leżała skulona na podłodze, kuciała pod żelaznymi ścianami bądź stała w niewielkich grupkach. Płacz i szlochanie odbijały się od wyniosłego sklepienia, niczym płynna warstwa zebranego tam dźwięku.

Oparłem się ciężko o ścianę, osunąłem, objąłem rękami kolana i zacząłem się kołysać, kołysać, kołysać. Głowa już mi się zagoiła, ból ustał, prócz pieczenia piętna. Ono jednak paliło tak bardzo, że miałem wrażenie, iż łyzy na moich policzkach zamieniają się w parę.

Później grupa ludzkich towarzyszy zjawiała się, by ogolić głowy nowo przybyłych. Zapewne nadzorcy nie ufali skrzydlatym małpom, obawiając się, że przy okazji mogą zgolić parę uszu. Już dziś, szóstego dnia, czaszkę porasta mi szczecina: zabawne, że włosy odrastają wolniej niż zrosły się kości. W większości goliły nas kobiety i dzieci. O tak, w wielkiej sali były też dzieci. Nie mogłem znieść ich piskliwego zawodzenia. Płacz dziecka budzi w dorosłych instynktowną reakcję, wnika w nasze głowy. To odgłos alarmowy, każący nam chronić dziecko, powstrzymać płacz (u chorych rodziców instynkt uciszania może się zmienić w odruch zadawania razów). Płacz tych dzieci sprawił, że wbiłem sobie kciuki do uszu. Sam zacząłem zawodzić bardzo głośno, cofając się w ich szeregi. Mojemu Ojcu zapewne brakowało instynktu chronienia potomków.

Dłonie kobiety, która mnie goliła, nieco mnie uspokoiły. Wówczas po raz pierwszy doświadczyłem w piekle łagodnego dotyku. Zgrabnie skróciła mi włosy nożycami, a potem zgoliła brzytwą, bez użycia piany. I choć trudno to nazwać delikatnym procesem, bo pozostało mi po nim z dziesięć krwawiących skaleczeń, dotyk jej dłoni na mej głowie sprawił, że zapłakałem z wdzięczności. Byłem zbyt zszokowany, by spytać, co się dzieje, co mnie spotkało; o dziwo, zdołałem

jedynie jej podziękować. A ona uśmiechnęła się, zanim przeszła do kolejnego przybysza, i nigdy jeszcze nie widziałem równie pięknego uśmiechu, choć sama kobieta była przeciętna, w średnim wieku, a jej czoło napiętnowano literą J.

Kiedy moja edukacja się rozpoczęła, dowiedziałem się, że to oznakowanie oznacza żydów. Żydzi i muzułmanie trafiali tu, bo nie wierzyli, że zamęczony syn Stwórcy to ich jedyny zbawiciel. Ponieważ jednak poza tym ich wierzenia przypominały wymagane, oszczędzono im pełni tortur podziemnego świata i często pełnią rolę sług i pomocników, tak jak ci golący nasze głowy. Natomiast wyznawcy Buddy, Szinto, Wicca i tak dalej, nie zaznali już nawet tak ograniczonej łaski. Traktuje się ich nie lepiej niż ateistów.

Ludscy robotnicy golą także własne głowy. Myślę jednak, że dla reszty z nas, przebywających tu tylko tymczasowo, to po prostu kolejny sposób łamania ducha, pozbawiania poczucia odrębności, podobnie jak ubieranie w identyczne uniformy. Jak żołnierzy. Skazańców. Włosy w końcu odrosną - część studentów przebywających tu od dłuższego czasu ma zwykle czupryny - ale pierwszy efekt jest porażający.

Później się przyglądałem, jak kolejna grupa służących zmiata włosy. Rude, czarne i siwe łączą się i mieszają, tworząc paskudne bure sterty.

Następnego dnia zaczęła się szkoła. Dziś, dnia szóstego, dowiedziałem się, że czyściec opisywany przez Dantego nie istnieje. Nie ma żadnej otchłani, szarej strefy, niczego pomiędzy. Albo zostajesz potępiony, albo nie. Jin albo jang. Istnieje niebo i piekło, dwa przeciwieństwa, które nigdy się nie spotkają.

DZIEŃ 11.

Trudno mi pisać co dzień w tym dzienniku. Jestem zbyt zmęczony, zbyt zniechęcony, a czasem po prostu nie mogę znaleźć nawet chwili na osobności.

Muszę bardzo uważać, by nie wypatrzył mnie nikt pracujący dla demonów. Pewna kobieta ukradła jabłko mężczyźnie napiętnowanemu na czole literą M (choć nie muszą jeść, ludzkich robotników wynagradza się skromnymi posiłkami, które następnie demony każą im jeść na naszych oczach), a on zgłosił kradzież nadzorcom - rzucili się na tę kobietę niczym stado wściekłych psów, rozszarpując ją na strzępy kłami, by ukarać za grzech łakomstwa.

Jeszcze nie skończyła się zrastać i oprócz głodowych skurczy musi cierpieć także ból.

Będę zatem starał się pisać wtedy, kiedy zdołam. Ostatecznie pozostanę tu całą wieczność. Gdybym faktycznie pisał codziennie, potrzebowałbym naprawdę grubej księgi. A poza tym, po co to wszystko? Kto w ogóle kiedykolwiek to przeczyta? Czy może zakopię ją, tak by, kiedy wreszcie piekło zamrznie, odnalazły ją dzieci bardziej litościwego Stwórcy?

Jednakże, nawet kiedy nie piszę, pamiętam o tym, by co dzień pogładzić skórę książki, szepcząc słowa pociechy pod adresem oka. Szkoda, że w okładkę nie wszyto także ucha. Może jednak dzięki dotykowi rozumie, co chcę jej przekazać.

Dziś odbyła się najbardziej, jak dotąd, szokująca lekcja. Możliwe, że zaczekali z nią, byśmy zdołali zrozumieć tę wiedzę. Uznałem, że to dość ważne, by zostało zapisane na tych kartach.

Dziś moja klasa dowiedziała się, że nie ma kogoś takiego jak Lucyfer. Nie ma szatana. Nie ma diabła.

Istnieje tylko jeden Ojciec. Jeden, jedyny Stwórca, władca zarówno nieba, jak i piekła, wcielenie jin i jang. To jedyny szatan. Jeśli jesteś zły, dostajesz ból i cierpienie. Jeśli grzeczny, podarki. To schizofreniczny władca całego Stworzenia i Zniszczenia... istota o dwóch głowach i zaledwie połowie serca.

DZIEŃ 31.

Dziś ukończyłem studia. Opanowałem w pełni sztukę próżnego pogardzania samym sobą, mam magisterium z bezużytecznej pokuty. Moja wiedza i tak nic mi nie da. To tylko czysty masochizm, poniżenie, upokorzenie, wymuszane na nas, by zmiażdżyć pod kopytem resztki szacunku dla samych siebie.

Mimo wszystko nie sędzę jednak, by edukacja miała na celu wpojenie nam praw i zwyczajów świata podziemi, bo przecież i tak w większości nie da się ich pojąć. Służy raczej temu, żebyśmy spojrzeli na czekające nas cierpienia z perspektywy odpowiedzialności osobistej. Żebyśmy nie czuli się jak niewinne ofiary straszliwej, lecz anonimowej tragedii, jak trzęsienie ziemi czy powódź. Żebyśmy wiedzieli, że każdy ból, który nas czeka, to wyłącznie nasza wina, że zasłużyliśmy sobie na niego na najbardziej osobistym poziomie. Zapłaciliśmy za niego walutą naszej duszy.

Te pozornie bezsensowne nauki - ostateczna forma studiów teologicznych - osiągnęły jeden cel, wywołując we mnie wyraźną zmianę: przekonały mnie do istnienia bóstwa, czego nie zdołały dokonać trzydzieści trzy lata życia w cielesnej powłoce. Z drugiej strony, wystarczyło jedno, pierwsze spojrzenie na diabła, by osiągnąć to samo, bez wykładów, ćwiczeń, takich jak pisanie w książkach bądź wycinanie podobnych zdań na nagich plecach towarzyszy, stalówkami podobnymi do noży dla plastyków. Trudno było nie nienawidzić osoby używającej naszych pleców jako tablicy (czy raczej deski do krojenia). Ale byliśmy dość mądrzy, żeby przelać tę nienawiść na instruktorów.

Na zakończenie studiów każdy z nas został ukrzyżowany,

byśmy w pełni docenili cierpienie Syna za nasze grzechy. Cóż, osobiście uważam, że spłaciliśmy już ten dług, i to z nawiązką. Szkoda, że nie widzieliście rzędów krzyży, lasu krzyży w wielkiej, żelaznej hali, olbrzymiej jak hangar lotniczy, której nigdy wcześniej nie odwiedzaliśmy. Same krzyże zrobiono z żelaza, z otworami dość dużymi, by wpasować w nie śruby zamiast gwoździ. Pawianowaty demon wbił włócznię w pierś każdego z nas. Wszyscy mieliśmy na głowach korony z kolczastego drutu. Moje stygmaty już się wygoiły, dostatecznie, bym mógł zacząć pisać, nie brudząc krwią kartki.

Jestem odrodzonym męczennikiem. Jestem nieśmiertelny jak On. Czym teraz właściwie różni się od nas? Możecie nas nazwać legionem zmartwychwstałych, bo jest nas wielu.

Jestem Prometeuszem, który wykradł ogień z nieba... nie przykutym do skały, lecz krążącym bez celu w królestwie sępów.

Wiecie co? Może naiwnie podchodzę do tego co mnie czeka, ale nadal czuję dziwny optymizm. Nie przydzielono nas do poszczególnych kręgów piekielnych (bo nie ma czegoś takiego, a przynajmniej nie w wersji wymyślonej przez Dantego), nie wygnano do regionów przypisanych naturze grzechów (prawdziwych bądź wymyślonych). Po prostu nas wypuszczono, byśmy, jeśli można tak rzec, odnaleźli nasze własne piekła. Tak jak studenci wkraczający w przerażający świat dorosłych.

Ale to przynajmniej złudzenie wolności, prawda? Tak czy inaczej, cieszę się, opuszczając Uniwersytet Awern, choć potrzebowałem większej części „dnia”, by oddalić się dostatecznie, by ujrzeć w czarnym splendorze wyniosłości owo olbrzymie, wyniosłe miasto.

Spora część moich kolegów z grupy wyruszyła w drogę grupkami. Nie dziwię im się, ale to nie w moim stylu. Może

później zapragnę towarzystwa, na razie jednak wciąż jeszcze wszystko przetrwam i wolę przejść przez to sam. Pomachałem kilku z nich na pożegnanie, choć nie mogłem ich nazwać przyjaciółmi, a jeden facet uścisnął mnie ze łzami w oczach. Widziałem w nich zalęknioną nadzieję i beznadziejny strach na myśl o wypuszczeniu się poza mury szkoły.

Wędrowałem ponurą, płaską, piaszczystą równiną. Od czasu do czasu natykałem się na kępy wysokiej, szarej, niemal przejrzystej trawy albo karłowate, poskręcane drzewo, bezlistne bądź porośnięte ciemnofioletowymi liśćmi, podobnymi do bluszczu pniącego się na dziedzińcu uniwersytetu, gdzie spędzałem przerwy. W końcu jednak daleko przed sobą ujrzałem zarośla; trawa i drzewa rosły coraz gęściej, aż w końcu zlały się, tworząc skraj lasu.

Miałem szczęście - rzecz jasna względne - że dotarłem na czas do kryjówki. Usłyszałem za sobą odległe krzyki i obejrzawszy się na przebyte pustkowie, ujrzałem dwie maleńkie postaci biegnące w moją stronę. Jednakże od cienia lasu, czy nawet porozrzucanych drzew, dzieliła je daleka droga. A potem usłyszałem strzały. Uświadomiłem sobie, że druga postać strzela z jakiejś broni do pierwszej, uciekającej. Kolejne strzały przetaczały się z grzmotem po równinie. Zza poskręcanego pnia drzewa, wyglądającego jakby je także zesłano do piekła na męki, zobaczyłem, jak ścigana postać pada. Najwyraźniej trafiła ją kula.

Druga postać zwolniła i podeszła spacerkiem do ofiary. Teraz, gdy znalazła się bliżej, dostrzegłem, że ma na sobie białe szaty i szpiczasty biały kaptur. Wówczas to po raz pierwszy ujrzałem anioła.

Postać w bieli zatrzymała się nad skręcającą się w mękach ofiarą i jeszcze kilka razy strzeliła do niej z bardzo bliska. Potem odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę uniwersytetu.

Pobiegłem między drzewa. Ruszanie na pomoc ofierze anioła nie miało sensu: ów człowiek tak czy inaczej wkrótce zmartwychwstanie. Jesteśmy nieumarłymi. Zombi. Wampirami.

W szkole dowiedziałem się, że aniołowie zapuszczają się do piekła - oczywiście z własnej woli - by dla zabawy polować na potępionych albo ich torturować. W ten sposób zarówno zapewniają sobie rozrywkę urozmaicającą nieśmiertelne trwanie, jak i pomagają Ojcu, wypełniając zadania jego demonów. Ci turyści to nie prawdziwe anioły, nie należą do niebiańskich ras, które nigdy nie przybrały ziemskiej postaci. To dusze mieszkańców i mieszkank Ziemi, którzy zmarli i odrodzili się w niebie. W niebie jednak upodobnili się do owych istot, które nigdy nie stąpały po powierzchni naszego żalosnego, mizernego globu. W ten sam sposób anioł mógłby uważać mnie za demona.

Ponieważ przywykłem już do kilku różnych kast diabłów, jak dotąd nie spotkałem anioła, teraz, gdy byłem wolny, bardziej bałem się zetknięcia z jednym z nich. Maszerowałem zatem dalej, coraz głębiej w las, w obawie, że widziany przeze mnie przybysz mógłby wrócić albo nie zjawił się tu sam.

Tutejsze drzewa bardziej przypominały iglaki, były wyższe i smuklejsze, lecz kolor ich igieł się nie zmienił: nadal miały ten sam odcień ciemnej purpury. Szpilkowe poszycie pod moimi stopami było fioletowe, nie brązowe. Ciemne niebo sprawiało, że w lesie panowała niemal noc. Starłem się nie stąpać zbyt głośno. Wierzchołki drzew szeleściły niesamowicie, kołysane nagłymi, świszczącymi porywami wiatru, nadlatującymi ze wszystkich stron. Wkrótce pojąłem, że słyszę nie tylko wiatr, ale także krzyki rozpacz. Uniosłem głowę i ujrzałem dwie ludzkie stopy, wystające z grubego pnia tuż nad moją głową. Na drzewie naprzeciw niego dostrzegłem kolejne dwie stopy: wyrastające z kory, nie sterczące z

wyciętych w niej otworów. Zadarłem wyżej głowę i zobaczyłem dwie dłonie, zbyt wysoko, by należały do tej samej osoby co stopy. To samo dotyczyło drugiego drzewa. A jednak wiedziałem, że w każdym z nich musi tkwić tylko jeden człowiek. I wiedziałem też - choć drzewa były zbyt wysokie i gęste, bym mógł to dojrzeć - że gdzieś w górze z pni sterczą także ludzkie głowy. Źródło zawodzenia.

Ci ludzie złączyli się z drzewami, kiedy były jeszcze młode. W miarę jak mijały dziesięciolecia, a drzewa rosły, rozciągały ciała swych uwiecznionych ofiar, niczym gigantyczne narzędzia tortur, jedna para stóp wyglądała na męskie, druga raczej należała do kobiety. Czyżby to byli kochankowie, którzy kochali się bardziej niż wielbili Ojca i znaleźli się tu razem na wieczność - a przynajmniej dopóki pewnego dnia nie zjawią się demony i nie zrąbią drzew, uwalniając więźniów, tak by mogli zaznać nowej kary?

Spotkanie to przypomniało mi o mojej żywej księżce i dogłębnie przeraziło. Nie powinienem zakładać, że wiecznie będę się cieszył wolnością wędrowania i badania. W piekle istnieli nie tylko tacy, którzy polowaliby na mnie jak na zwierzę, ale też inni, chwytający i więżący w różnych postaciach oraz całe pokolenia. Muszę zachować czujność, ukrywać się. Toteż na wypadek, gdyby ci odpowiedzialni za cierpienia pary kryli się w pobliżu, podjąłem wędrowkę w głąb lasu.

Kilka godzin później, przynajmniej według mojego wyczucia, zatrzymałem się, by odpocząć. Moja wyczerpana dusza dyszała. Rankiem - tak wołałem go nazywać - może poszukam czegoś jadalnego. Kilka razy zdawało mi się, że słyszę głos ptaka... choć nie miałem pewności, czy to był ptak.

Na czworakach wczołgałem się w ciernisty zagajnik i skuliłem pod pniem wyjątkowo grubego drzewa, na postłaniu ze szpilek. Zdołałem nawet przespać kilkanaście godzin. Choć

raz obudził mnie bardzo odległy, lecz charakterystyczny huk strzałów.

Nie mogąc ponownie zasnąć, nadgoniłem pisanie dziennika.

DZIEŃ 33.

W lesie nie ma do jedzenia nic prócz owadów. A przynajmniej zakładam, że te pulchne, segmentowe, czarne organizmy, które znajdowałem w spróchniałych dziuplach w starych drzewach, to larwy owadów. Nie są takie złe... zwłaszcza po tym, jak nie jadłem cały miesiąc. Niestety, powolne, długie na sześć cali stonogi, krocionogi albinosy, które odkryłem wczoraj pod stertą mokrych, rozpadających się liści, po zjedzeniu wywołały u mnie gwałtowne torsje. Liście i ogonki krwawią po złamaniu czerwoną krwią i cuchną niczym gnijące mięso, podobnie jak bluszcz w szkole. W istocie woskowe, purpurowe liście jednej odmiany roślin rosnącej przy ziemi są tak duże, że widać lekko pulsujące żyłki.

Mimo wszystko jednak ów purpurowy las wydaje mi się piękny, zwłaszcza wysokie, lekko kołyszące się świerki. Czy to piękno jest świadomym zamysłem Stwórcy, czy raczej przeoczeniem? Można by sądzić, że nie chciałby, żeby w tym miejscu istniała nawet odrobina piękna, że każde drzewo winno być martwe bądź czarne, zniekształcone. Może nawet nie wie, że istnieją tacy jak ja, odnajdujący piękno w całkowicie obcym otoczeniu.

Wczoraj natknąłem się głęboko w lesie na grupkę sześciu prymitywnych hominidów: przygarbionych, nagich, włochatych, o grubo ciosanych półludzkich twarzach. Na mój widok umknęły wystraszone, ale miały dość rozumu, by nie krzyczeć, nie zwracać na siebie uwagi. Sprawiały wrażenie nietkniętych, nie dostrzegłem nawet piętn na ich niskich, wydatnych czołach. Choć z drugiej strony, nie przyjrzałem się im zbyt dobrze. Szczerze mówiąc, z początku przeraziły mnie równie bardzo jak ja je; obawiałem się, że to niższa kasta

demonów, coś jak skrzydlate pawiany. Dopiero gdy zniknęły, zrozumiałem prawdę.

Skazano je na piekło, bo nie przyjęły Syna do swych serc, Syna będącego jedyną drogą do zbawienia. Najwyraźniej fakt, że żyły i umarły wiele tysięcy lat przed Jego zstąpieniem na Ziemię, nie miał żadnego znaczenia. Podobnie jak nieochrzczone dzieci, które nie żyły dość długo, by przyjąć Syna, i zostały wygnane tutaj - choć może część z nich chętnie oddawałaby mu cześć, gdyby tylko zyskała szansę. (Pamiętam, że Swedenborg napisał, że niechrzczone dzieci trafiają wprost do nieba. Przykro mi, to tylko pobożne życzenia). Choć wcześniej nie zastanawiałem się nad kwestią ludów prehistorycznych, żyjących w świecie podziemi, w szkole dowiedziałem się, że Aborygeni, Pigmeje i inne prymitywne plemiona nigdy nie zetknęły się z wiarą w Ojca i Syna, a mimo to zostały potępione - nie z powodu predystynacji, lecz zwykłego, czystego pecha. Jednakże Ojciec odnalazł w sobie krzytną litości, podobnie jak w przypadku muzułmanów i żydów: powiedziano nam, że ludzie żyjący przed przybyciem Syna nie cierpią tak dotkliwie jak ci, którzy urodzili się potem i odwrócili do Niego plecami. Na te dusze nie polowały anioły. Różne odmiany demonów nie chwyciły ich i nie torturowały. Nadal jednak musiały spędzić wieczność w tej krainie, rodem z koszmarów, skazane na nieśmiertelność... pozbawione obecności ich Stwórcy w jego niebie.

Mimo to jednak na pierwszy rzut oka hominidy przeraziły mnie równie mocno jak demony. Widok tak prymitywnych przodków naszego gatunku, tak bardzo zwierzęcych, a jednocześnie niewątpliwie ludzkich, przypomina zerknięcie na nas samych takich, jakimi będziemy kiedyś, starych, zasuszonych w trumnach. To gwałt na czasie. Kolejny występki, jeszcze jedno bluźnierstwo przeciw naturze.

Jednakże w tym miejscu natura to upokorzona i zgwałcona kochanka Ojca, szacowna żona, która za zamkniętymi drzwiami musi znosić sadomasochistyczne fetysze męża.

DZIEN 35.

Nie spieszy mi się wcale do opuszczania lasu. Gdybym miał kiedyś odkryć jakąkolwiek część piekła, w której czułbym się względnie bezpieczny przed demonami i aniołami, to właśnie tutaj. Lecz mimo mojej nietowarzyskości na uniwersytecie, w końcu zaczynam się czuć samotny. Widziałem kilku innych ludzi, wędrujących otwarcie, podobnie jak ja, bądź skradających się wśród drzew, ale pozdrowiliśmy się najwyżej skinieniami głowy. Nikt nawet się nie uśmiechnął. Wcześniej dzisiejszego dnia z poszycia wybiegł Indianin i o mało nie zderzył się ze mną. Uniósł nawet prymitywny toporek, jakby chciał rozrąbać mi czaszkę na pół. Kiedy jednak przekonał się, że jestem człowiekiem, mniej więcej takim samym jak on, wyminął mnie i zniknął w lesie. Po tym spotkaniu szybko zawróciłem, w obawie, że mógłbym zetknąć się twarzą w twarz z tym, co go ścigało.

Później

Zbyt pochopnie mówiłem o bezpiecznym schronieniu w lasach. Teraz puszcę pochłania ogień, przypuszczam, że to właśnie przed nim uciekał mój Indianin. Z początku nie wiedziałem, czy podłożyły go z rozmysłem demony bądź anioły, by wypłoszyć zwierzynę taką jak ja, czy też to zjawisko naturalne (czy coś podobnego można z pełną świadomością nazwać tu wyrokiem Sami Wiecie Kogo?). Podejrzewam, że może być naturalny, bo zauważyłem zmianę w powale chmur, nieodmiennie przesłaniającej niebo. Teraz były cięższe, czarniejsze, bardziej masywne, a w ich napuchniętych brzuchach dostrzegłem czerwony blask. Możliwe, że to odbicie pożaru lasu i że popiół, spadający z góry niczym lekki śnieg, także pochodził z niego... Ale spod

ziemi pod moimi stopami od czasu do czasu dobiegał łoskot, zaskakujący, niski huk, niczym ryk gromów szalejących w świecie podziemi. Zacząłem podejrzewać, że za połącią gęstych, wysokich drzew kryje się wulkan.

Próbowałem wyprzedzić dym, który coraz gęściej zasnuwał las, przyszło mi to jednak z trudem: puszcza wokół mnie stawała się zamglona, upiorna, a ja biegłem coraz szybciej i szybciej, gałęzie chłostały mnie po twarzy, płuca piekły od dymu. Raz usłyszałem nawet przed sobą łoskot i nagle w twarz uderzył mnie palący żar, musiałem więc skrócić szaleńczo w inną stronę. Tu i tam słyszałem w dali okrzyki przerażenia. Ponownie dobiegł mnie ptasi wrzask, w pewnym momencie z poszycia przede mną wybiegło w panice ciemne, przysadziste stworzenie podobne do dzika bądź niedźwiedzia, tyle że z głową jak oczyszczona z ciała bycza czaszka.

W końcu dzięki ślepemu szczęściu (choć być może nieświadomie podążyłem w ślad za rogatym zwierzęciem) wypadłem z lasu na rozległą, otwartą równinę. Od puszczy oddzielał ją uskoki wysoki na dziesięć stóp, jakby pustkowie przede mną było depresją, kraterem. Szczerze mówiąc, o mało nie spadłem z owego niewielkiego urwiska; odzyskując równowagę w ostatniej chwili. Kudłaty stwór zeskoczył wprost na równinę i runął na ziemię; usłyszałem wyraźny trzask pękającej kości. W jakiś sposób jednak rozpaczliwie dźwignął się i odbiegł szybko. Dopiero teraz przychodzi mi do głowy - w owym czasie byłem zbyt ogłuszony rozciągającą się przede mną przestrzenią - że zwierzę to stanowiło w istocie gatunek (może nawet bardzo prymitywną formę demona) przeznaczony wyłącznie dla pomniejszych skazanych, takich jak hominidy, Aborygeni i pozostali, dostarczający im skór i mięsa. Jakże wygodnie - głowy zwierząt, już pozbawione ciała, od razu stanowiły świetną ozdobę. Dzięki B*** za drobne akty łaski.

Kontrast pomiędzy gęstą puszcza i absolutnym pustkowiem był tak ogromny, że stałem tam sparaliżowany niczym sarna. Poczułem niemal wstrząs elektryczny, jakbym zeskoczył z brzegu glinianki do lodowatej wody. Zachłysnąłem się, moje mięśnie się napięły, miałem wrażenie, że zaraz zawrócę i popędzę wprost w ogień, nie mogąc znieść rozciągającej się przede mną wizji.

W pewnej chwili wydało mi się, że równina ciągnie się bez końca. Ale nie. Po przeciwnej stronie wyrastał z niej olbrzymi wulkan, a z jego ściętego wierzchołka wypływał atomowy grzyb skłębionego czarnego dymu i trujących gazów. Zastanawiałem się, czy nie odkryłem przypadkiem powodu ciągłego zachmurzenia. Ze zboczy tytanicznego stożka nie spływała lava, lecz na równinie dostrzegłem rozżarzone do czerwoności odłamki i niewielkie skupiska ognia. Były to pozostałości rozpalonych do białości bomb wulkanicznych, wyrzucanych niczym meteory podczas erupcji, która podpaliła las. Z głębi wulkanu dobiegał ogłuszający skowyt, zupełnie jakby szalał tam huragan. Przypominało to wbijające się w uszy ołówki (a mówię z doświadczenia, bo kiedy raz przysnąłem na jednym z zajęć uniwersyteckich, instruktor postanowił wbić mi wiedzę do głowy). Prócz odgłosów wulkanu usłyszałem też skowyt i pojąłem, że odkryłem źródło zawodzenia, jakie słyszałem nawet na uniwersytecie, niesionego z wiatrem w zależności od jego kierunku. Dobiegało ono z równiny, która, sądząc po kolistym kształcie, sama mogła stanowić olbrzymią, wulkaniczną kalderę.

Setki... tysiące... ludzkich głów pokrywały ciągnące się przede mną pustkowie, spękane niczym dno wyschniętego jeziora, z którego od czasu do czasu wyrastały rzadkie karłowate krzaki. Głowy, niczym rzędy kapusty, sterczały z suchego jak kość pola. Uznałbym, że to trofea, pozostałość

masowych egzekucji, gdyby nie fakt, że krzyczały i płakały.

Bez wątpienia ludzi tych zakopano w ziemi aż po szyję, a z bliskości wulkanu wynioskowałem, że tkwili w lawie, obecnie już zastygniętej. Może spotkało ich to lata temu, może całe pokolenia. Wyobraźcie sobie ludzi pogrzebanych w Pompejach, tyle że wciąż żywych.

Żar za moimi plecami wzmagał się, plecy chłostał mi rozpalony, dziki wiatr. Słyszałem trzask pękających konarów. Rozszalałe ogniste piekło chciało zepchnąć mnie z krawędzi, lecz choć widziałem zwierzę lądujące na twardej ziemi, nawet zbyt twardej, irracjonalnie obawiałem się, że jeśli skoczę, ugrzęznę w niej tak jak pozostali. Raz jeszcze obejrzałem się przez ramię i na widok płomieni pojąłem, że muszę to zrobić. Owszem, przeżyłbym pożar i zregenerował się, nie chciałem jednak, by dotknęły mego ciała z ektoplazmy. Czasami mam wrażenie, że regeneracja boli bardziej niż pierwotne obrażenia.

Odwróciłem się i opuściłem ze skalnej półki. Po chwili zdołałem zeskoczyć na dno kaldery bez żadnych obrażeń.

Spojrzawszy na najbliższe głowy, przekonałem się, że te zwrócone w moją stronę, wpatrują się we mnie z napięciem. Tu w dole ich lamenty brzmiały jeszcze bardziej ogłuszająco, nadal jednak słyszałem pojedyncze okrzyki.

- Pomóż mi!

- Wykop mnie! Proszę!

Głowa czarnoskórego mężczyzny o napiętnowanym czole, lśniącym od potu i oblepionym popiołem zawołała:

- Uważaj na żniwiarki!

Podszedłem krok bliżej i przykucnąłem, nie zbliżając się jednak za bardzo, jakby w obawie, że chce mnie tam zwabić i wciągnąć w pułapkę. Zobaczyłem małego pomarańczowego kraba, który wspiał się po tylnej krzywiznie czaszki i przykucnął na jej szczycie. W kleszczach utkwily mu

kędzierzawe włosy, bez wątpienia wyrwane z głowy. Wyciągnąłem rękę i straciłem go z niej.

- Na co mam uważać? - spytałem.

- Posłuchaj... - Mężczyzna rozpaczliwie wywrócił wybałuszonymi oczami. - Musisz stąd uciekać. Ci, którzy nas tu umieścili, zniknęli już dawno... sam nie wiem jak dawno... Ale teraz zaczęły nas zbierać żniwiarki. Wkrótce zjawią się kolejne.

- Proszę pana, proszę! - wrzasnęła kobieta.

Spojrzałem na nią. Połowę czaszki miała zmiażdżoną, wgniecioną jak oklapła piłka. Lecz mimo gęstej, zasychającej krwi widziałem, że już się zrasta. Pojąłem, że podobnie jak wiele innych głów trafił ją kamień, wyrzucony przez erupcję niczym pocisk.

- W żaden sposób nie może nam pomóc! - ryknął inny mężczyzna. - Jest taki sam jak my! On też tu dostanie za swoje.

- Posłuchaj - syknął czarnoskóry i znów skupiłem na nim uwagę. - U podnóża wulkanu, wśród wzgórz po prawej jest miasteczko. Widzisz wzgórze? - Próbował skinąć głową, zerknąłem w tamtą stronę i ujrzałem je, całkowicie czarne. - Jest tam miasteczko, Kaldera. My wszyscy tam mieszkaliśmy... Zbudowaliśmy je. Przez wiele lat nie było tam nawet tak źle. Odwiedzały nas demony i anioły, ale dało się wytrzymać. Wulkan milczał. A potem, pewnego dnia się przebudził i pochłoniął Kalderę. A demony zebrały tych, którzy przeżyli, i zasadziły nas tutaj.

- A miasteczko zostało zagrzebane?

- Niemal całe. Idź do niego. Nie znajdziesz tam bezpieczniejszej kryjówki, ale za nim, jeśli ci się uda, za nim leży miasto. Jeśli tam dotrzesz, będzie ci nieco lepiej. Miasta i miasteczka zapewniają więcej kryjówek. Zwykle są bezpieczniejsze - jeśli zdołasz je znaleźć. Bo przecież miasto

takie mogło już zniknąć, sam nie wiem. Uważaj tylko, by nie pójść do miasta demonów. Bardzo na to uważaj...

W oddali, pośród krzyków, wycia wiatru i narastającego huku ognia, rzucającego na ziemię pomarańczowy blask, usłyszałem nowy dźwięk. Przypominał ciężarówkę, toczącą się wolno po gołej ziemi. Towarzyszyły mu mechaniczne zgrzyty, łaskoty i skrzypienia.

- Żniwiarki! - wrzasnęła kobieta o zmiażdżonej czaszce. Znów na nią zerknąłem i ujrzałem kolejnego pomarańczowego kraba, wgrzającego się w gojącą się ranę. Straciłem go; nawet tego nie zauważyła, zbyt przerażały ją odgłosy owej żniwiarki.

- W końcu będziemy wolni - powiedział czarnoskóry. - Uwolnimy się z tej lawy.

- Nie chcę przez to przechodzić! - załkała.

- Lepiej już idź - ostrzegł mnie mężczyzna. - I to szybko.

- To głupiec - parsknął pogardliwie inny. - Jest nowy. Spójrzcie na jego strój. Wciąż nosi uniform. Nadal dźwiga torbę jak grzeczny uczeń. Zostań tu, uczniaku! Naucz się czegoś nowego.

- Pierdol się - rzuciłem w jego stronę. - Dziękuję - powiedziałem do czarnoskórego, a do kobiety: - Przykro mi.

Zerwałem się z ziemi i puściłem biegiem przez pole głów... omijając je bądź przeskakując, by nikogo nie zranić. Choć przyznaję, moja troska mogła się wydać komiczna.

Dymy z pożaru lasu zaczynały się rozlewać, ukrywając mnie przed czymś, co ci ludzie nazywali żniwiarką. Niestety, równie skutecznie ukrywały żniwiarkę przede mną.

Potknąłem się na kamieniach rozrzuconych przez wulkan. Ominiąłem karłowate krzaki, płonące od bomb wulkanicznych. Tu i tam ludzkie głowy płonęły, migocząc pomarańczowym blaskiem pośród szarej mgły. Płuca paliły mnie, gdy chwytałem powietrze pełne piekącego dymu i trujących,

siarkowych gazów.

Przede mną zasłona mgły rozplynęła się, gdy na moment wyprzedziłem wał dymu i znów ujrzałem przed sobą kalderę. Nie zbliżyłem się zbyt do wzgórz wulkanicznych, a co gorsza, po równinie płynęła w moją stronę fala jaskrawopomarańczowej lawy. Co dziwne, nie zauważyłem jej strumieni na zboczach samego wulkanu.

Cóż, mogłem skrócić w prawo, wymijając nadciągającą falę i, jeśli się uda, dotrzeć do pierwszych wzgórz, nim stopiony kamień popłynie także w tamtą stronę. Znów puściłem się naprzód, próbując nie zważać na chór błagań, rozbrzmiewających na nowo z każdym moim krokiem.

Biegłem. Biegłem. Biegłem. Bolały mnie nogi, z piekących oczu płynęły łzy, miałem wrażenie, że serce eksploduje mi w piersi (gdybym dostał zawału, pewnie wyzdrowiałbym bardzo szybko, ale wolałem tego uniknąć). W końcu wulkan wydał mi się wyższy. To oznaczało, że byłem bliżej. Przystanąwszy, by się obejrzeć, odkryłem, że krajobraz za mną zasnuwa nisko pełzający dym, oceniłem jednak, że znalazłem się mniej więcej w połowie kolistej równiny. Patrząc w tył, usłyszałem w dymie huk wystrzału. Potem kolejny. I trzeci. Pewnie to anioł, uznałem, nie wiedząc, czy demony także używają broni palnej. Z łatwością wyobraziłem sobie odzianego w szaty anioła, jak wędruje między rzędami głów, nie zważając na dławiący dym, i od czasu do czasu od niechcienia strzela w którąś.

Zachęcony postęпами ruszyłem dalej. Odgłosy żniwiarki zostały w tyle i w końcu ucichły. Słyszałem kolejne strzały, lecz dobiegały wyłącznie z tyłu. Kiedy jednak pokonałem kolejny spory kawał drogi, obawa przed rozlewającą się lawą powróciła. Wyglądało na to, że jednak przetnie także drogę prowadzącą na najbliższe wzgórze. Zastanawiałem się, jak będzie głęboka i jak daleko zdołam dobiec, nim zatrzymają

mnie spalone buty i spalone stopy. Nie mogłem na to pozwolić. Nie chciałem utknąć pogrzebany na tej równinie. Współczułem głowom zalewanym przez nadciągający pomarańczowy przypływ.

Spróbowałem przyspieszyć. Muszę wyprzedzić lawę i dotrzeć pierwszy na wzgórze. Muszę...

Porowaty pumeks i błyszczący obsydian, zmiażdżone na rozmigotany piasek, eksplodowały nagle z trzaskiem i tuż przede mną z przodu i po prawej kaldera pękła. Z początku sądziłem, że to wybuch pomniejszego wulkanu, potem jednak ujrzałem wielki masywny cień wyłaniający się z dziury. Szaro-czarny piasek osypywał mu się z boków.

Żniwiarka.

Wypełzła z dziury tyłem do mnie. Zatrzymałem się gwałtownie, nie wiedząc, w którą stronę uciekać. Żniwiarka wydzwignęła się z dołu na rzędach kół obracających się i poruszających niezależnie niczym nogi gąsienicy. Pokrywał ją pancerz poplamiony rdzą, powgniatany i podrapany, a choć nie widziałem przodu, usłyszałem świst i szcęk ostrza bądź ostrzy, przelatujących tuż nad ziemią.

Usłyszałem też krzyki. Krzyki kończące się gwałtownie bulgotem. Po nich następny rząd krzyków. Następny rząd bulgotów.

Żniwiarka zbierała głowy. Kiedy się przesunęła, ujrzałem pozostawione przez nią kikuty bezgłowych szyj. Tryskały z nich gejzery krwi, która niczym mgiełka zawisała w powietrzu. Z trzewi maszyny dobiegał hurgot. Pojąłem, że głowy trafiają do wielkiego pojemnika.

Z przodu żniwiarki nie zauważyłem kabiny i uznałem, że, o ile gdzieś w jej wnętrzu nie kryje się kierowca, żniwiarka jest raczej robotem niż pojazdem.

Nadciągająca fala lawy wyraźnie jej nie zniechęciła: maszyna ruszyła wprost w jej stronę. I gdy to pojąłem,

śmignąłem naprzód jej śladem, a potem wskoczyłem na nią z tyłu. Macając rozpaczliwie, złapałem się jakiegoś niezrozumiałego fragmentu mechanizmu sterczącego z szorstkiej, żelaznej skóry.

Jechałem na zniwiarce w stronę lawy. Uznałem, że przejadę po lawie i dotrę do wzgórz (wzgórz u podnóża wulkanu, założyłem bowiem, że wówczas zawróci i skieruje się z powrotem, systematycznie kosząc pole niczym trawnik). Przynajmniej miałem nadzieję, że podąży prosto do wzgórz. Jadąc, próbowałem nie zwracać uwagi na wydawane przez nią upiorne szczęki i świsty, krzyki grozy, kolejne rozbryzgi krwi. Posoka zalewała mnie, ochlapała mi twarz, jej smród wypełnił nozdrza. Zachłanna bestia parła naprzód, warcząc i grzechocząc, moje wytrzęsione wnętrzności nade wszystko pragnęły zwymiotować. Nic jednak nie mogłem zrobić, w żaden sposób pomóc... Pozostawało mi skupić się jedynie na własnym bezpieczeństwie. Oczywiście względny, biorąc pod uwagę fakt, że nic nie mogłoby mnie zabić. Na długo.

Żniwiarka dotarła do dużego, stygnącego głązu wyrzuconego przez wulkan. Gdy po nim przejeżdżała, o mało od niej nie odpadłem. Musiałem walczyć z całych sił, by się nie ześliznąć, desperacko szukając nowych uchwytów. Gdy w końcu znów się podciągnąłem, odkryłem, że masyw wulkanu niemal przesłania niebo, a wzgórza są bardzo blisko. Przekonałem się też, że dotarliśmy do fali lawy, która oblewa koła automatu. Teraz jednak pojąłem, że to jednak nie lawa.

To były kraby. Jaskrawopomarańczowe, maleńkie, jak te, które strąciłem z kilku głów... tyle że musiały ich być miliony. Tworzyły przelewający się, wijący dywan żywych stworzeń o ostrych, małych szczypcach, wyrywających włosy, skubiących skórę, kaleczących oczy. Może jednak lawa byłaby lepsza? Poczulem nowe współczucie dla rzędów uwięzionych ofiar. Pod pomarańczowym dywanem dostrzegałem równomiernie

rozmieszczone wybrzuszenia, wiedziałem, że to ludzkie głowy oblepione przez te stwory. Miałem nadzieję, że ostrza żniwiarki szybko ich dosięgną.

Mimo że żniwiarka miażdżyła kraby tysiącami, część z nich nadal zdołała wdrapać się na nią obok mnie. I choć zawsze kochałem zwierzęta, teraz z rozkoszą tłukłem je pięściami i rozdeptywałem.

Niemal dotarliśmy już na skraj równiny; rzędy głów zniknęły (może pożarły je kraby) i żniwiarka zaczęła zawracać. Musiałem z niej zeskoczyć i popędzić na wzgórza. Od zbocza tworzącego granicę kaldery oddzielała mnie rzeka krabów, musiałem jednak pokonać ją pieszo... i to błyskawicznie.

Zeskoczyłem z pojazdu, szczęśliwie nie straciłem równowagi i nie upadłem, i puściłem się pędem po chrzęszczących skorupkach. Kilka razy pośliznąłem się i o mało nie runąłem. Słyszałem szcęk maleńkich szczypiec, które próbowały mnie chwytać niczym nożyczki. Jednakże jeszcze gorszy był głośny syk, szelest wydawany przez przelewające się tysiące maleńkich ciał. Kilkanaście uczepiło mi się mankietów od spodni bądź wplątało w sznurówki. Dotarłem jednak do urwiska i skoczyłem na nie, chwyciłem się kolejnej półki, podciągając się niczym pająkowaty stwór. A kiedy wciągnąłem się na czarny piasek nad krawędzią, zacząłem zrzucać i odrywać od siebie małe, głodne pasożyty. Rozdeptałem je wszystkie. Choć nie przyglądałem im się, wyglądały jakby kontury ich rogowych pancerzy tworzyły stylizowane, demoniczne twarze."

Po raz ostatni obejrzałem się na olbrzymi, płytki amfiteatr, zasnuty mgłą, w której rozbłyskiwały ognie, dźwięczący hurgotem kilkunastu żniwiarek, zawodzeniem i jękami nieumarłych, a także od czasu do czasu strzałami. A potem odwróciłem się i ruszyłem na wzgórza, które

wyglądały, jakby zostały usypane z błyszczącego, czarnego piasku.

Wdrapałem się na zbocze pierwszego niskiego wzgórza; moje stopy ślizgały się i zapadały w miękkim popiele. Uznałem, że tak naprawdę to nie popiół, lecz spływ piroklastyczny, pył, który zsunął się w dół zbocza wulkanu, niczym lawina błotna bądź śnieżna. A może miasto Kaldera kryło się pod moimi stopami?

Dotarwszy na szczyt, ujrzałem dolinę, w której wystawały z ziemi płaskie dachy kilkunastu niewielkich budynków. Część sterczała odsłonięta, odcinając się ostrą bielą od popiołu czarnego jak sproszkowany obsydian. Inne dachy ukazywały się tylko częściowo - gdzieś tam była widoczna ostra krawędź, niczym dziób zatopionego statku. Wzniesienia wśród czerni zdradzały miejsca, gdzie tkwiły budowle całkowicie zasypane. Ruszyłem w dół, ślizgając się, popiół wpadał mi do butów, i po chwili znalazłem się w dolince, na jednym z wyższych dachów - tak wysokim, że górny szereg pozbawionych szyb okien wystawał tuż nad poziom popiołu.

Przykucnąwszy, wśliznąłem się przez jedno z okien do ciemnego, skąpo umeblowanego pomieszczenia. Wiatr wwiął do niego tak wiele popiołu, że zaścielał on całą podłogę, a pod surowymi ścianami z, jak oceniałem na oko, gipsu bądź spieczonej białej gliny, zebrały się spore wydmy. Po drugiej stronie ujrzałem drzwi zrobione z purpurowych desek, a gdy otwarłem je pchnięciem, znalazłem się w wąskim korytarzu. Tu podłogę pokrywała jedynie cienka warstwa popiołu.

W korytarzu odkryłem więcej drzwi zrobionych z drewna barwy sińca. Zza jednych z nich dobiegało ciche jęczenie.

Wiedziałem, że demon by nie jęczał, możliwe jednak, że mógł się przyczynić do czyichś jęków. Zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu broni. Niczego nie znalazłem. Podkradłem się

zatem do drzwi najciszej jak umiałem i przycisnąłem do nich ucho. Jęki brzmiały teraz wyraźniej, nie usłyszałem jednak niczego innego - nawet najmniejszego sadystycznego chichotu, warkotu podobnego do tych wydawanych przez żalosne pawiano-diabły. Nie słyszałem odgłosu ciosów ani rąbania. Postanowiłem więc zaryzykować. Nastawiając się psychicznie na to, że wkrótce być może sam zacznę jęczeć, uchyliłem drzwi i zajrzałem do ukrytego za nimi pokoju.

W środku zobaczyłem tylko jedną osobę: dziewczynkę, leżącą na podłodze. Jej głowa była zbyt nieproporcjonalnie duża w stosunku do ciała, nawet jak na dziecko. Może to karlica...

Otworzyłem drzwi na oścież, przekroczyłem próg i usłyszałem sapnięcie. O mało sam się nie zachłysnąłem.

Wiedzieliśmy, że oboje należymy do potępionych. Nie krzyknęła, lecz spojrzała na mnie oczami szklistymi od męki. Patrzyłem na nią z tak wielką litością, na jaką tylko było stać moją wyczerpaną duszę. Głowa kobiety była normalnej wielkości, lecz wyrastające z niej ciało pasowało najwyżej do pięciolatki. Śmiertelnie wychudzonej, zagłodzonej, nagiej i zasuszonej pięciolatki. Nie mając sił, by wdrapać się na zakurzone łóżko, ściągnęła z niego koc i uwiła sobie gniazdo. Teraz zakryła się fałdą, przypuszczam, że bardziej ze wstydu z powodu zniekształconego ciała niż nagości.

- Skoszono mnie - wyjaśniła głosem dziwnie piskliwym i wysokim. - Ale moja głowa odbiła się od ostrza żniwiarki, nim ta ją wessała. Odturlałam się na bok i zapomnieli o mnie. Kiedy ciało dostatecznie mi odrosło, przeczołgałam się tutaj. To było straszne, gorsze niż pogrzebanie. Kraby próbowały mnie pożreć, ale im uciekłam. - Odwróciła głowę, pokazując połowę twarzy objedzoną do kości, na której wyrastały już nowe mięśnie i skóra. - Nie wiem, jakim cudem udało mi się tu dotrzeć. - Westchnęła chrapliwie. - Teraz odzyskuję ciało...

ale tak bardzo boli... gorzej niż jego utrata.

- Znajdę ci jakieś ubranie - wyszeptałem i zacząłem przeszukiwać pomieszczenie. Znalazłem odzież w sąsiednim pokoju. Wróciłem szybko, schowałem znalezisko do poszewki na poduszkę i położyłem obok niej. - Chcesz, żebym ci pomógł to włożyć?

- Nie. Na razie niczego mi nie trzeba. Dorosnę do tego ubrania. Wkrótce. Choć mam wrażenie, że to trwa całe wieki.

Pokój był ciemny, pozbawiony okna, zostawiłem zatem otwarte drzwi, by wpuścić do środka choćby słaby promień światła. Chciałem jednak opisać swe przeżycia w tym dzienniku i potrzebowałem go więcej. Ruszyłem na kolejne poszukiwania i w jednym z pokoiów znalazłem świecąca lampę. Żelatynowy płyn wewnątrz nie przypominał oleju, nawet nie płonął, wydierał jednak - nawet po wielu latach pogrzebania - chłodny pomarańczowy blask. Nie wiem, czym jest ów śluz i gdzie go zebrano, ale jestem za niego wdzięczny. Kiedy wróciłem do kobiety, mogłem zamknąć drzwi i nadal widziałem dość wyraźnie, by móc pisać. Usiadłem na podłodze obok niej i rozłożyłem książkę na kolanach. Kobieta nie zadawała pytań, patrząc, jak piszę. Jednakże, wbrew woli od czasu do czasu z jej ust umykał kolejny jęk, gdy ciało powiększało się i rosło, niczym embriion rozwijający się z niewiarygodną szybkością.

DZIEŃ 36.

Kobieta ma na imię Caroline. Mieszkała kiedyś w Kalderze, choć jej dom został całkowicie zasypany. Miała trzydzieści dziewięć lat, kiedy zginęła w strzelaninie w klinice aborcyjnej. Towarzyszyła siostrze, która chciała usunąć ciążę; Caroline nie ma pojęcia, czy siostra także zginęła. Sądzi, że zabójca prawdopodobnie trafił do nieba, bo w odróżnieniu od niej był obdarzony głęboką wiarą.

Kiedy to powiedziała, zagapiłem się na nią z otwartymi ustami, ona jednak wzruszyła ramionami.

- Hej, nie ja tu ustalam zasady - rzekła.

W budynku, w którym się ukryliśmy, znalazłem butelkę domowego wina, wciąż dobrego (czy raczej nadającego się do spożycia: jest gęste i mdląco słodkie, jak syrop na kaszel), parę pasków suszonego mięsa, twardego i słonego, i kilka zabłąkanych krabów, które dotarły tu za nami. Zabiłem je, skosztowałem i odkryłem, że nadają się do jedzenia. A choć nie potrzebujemy pożywienia do przeżycia (w końcu jesteśmy już martwi), nasze fałszywe ciała go łakną.

Podczas zwiedzania znalazłem także zapasowy strój dla siebie i schowałem go do worka z książką. A w jednym z pomieszczeń z oknem ujrzałem kości, sterczące z czarnego popiołu zaścielającego posadzkę - żebra, czubek czaszki. Wiedziałem, że to nie jest ludzki szkielet, bo człowiek odrodziłby się po nawet najgorszych obrażeniach. A potem pojąłem, że widzę także kilkanaście długich kości, podzielonych na fragmenty jak kostki palców. To były szczątkowe skrzydła pawianiego demona.

Pobiegłem do Caroline, która opatulona w koc zdołała już wczougać się na łóżko, i opowiedziałem co znalazłem. Przez

chwile przyglądała mi się tak, jakbym był niedorozwinięty.

- Demony mogą umrzeć - rzekła. - Można je zabić. Nie są nieśmiertelne jak my.

- Nikt mi o tym nie powiedział!

- Nie reklamują tego w szkole. My jesteśmy nieśmiertelni, bo mamy dusze, demony ich nie mają.

Teraz to ja zapatrzyłem się na nią.

- To dlaczego nie zbierzemy się razem i nie zaczniemy walczyć? Mamy nad nimi przewagę!

- Stwórca może ich stworzyć więcej i więcej, zastępując zabitych - syknęła cicho, jakby On mógł wpaść do nas oburzony tą sugestią. - Nie zapominaj także o aniołach... one są nieśmiertelne.

Pokiwałem głową, oszołomiony. Mityczne stwory mogły umrzeć, zgnić, zostać objedzone przez kraby. A ja, zwykły człowiek, byłem wieczny, jak Apollo.

DZIEŃ 37.

Spaliśmy razem na łóżku, dyskretnie odwrócenii do siebie plecami, gdy Caroline ocknęła się gwałtownie ze straszego koszmaru. (Nie potrzebujemy snu, ale nasze ciała go łakną). Usiadłem, podniosłem z ziemi lampę i spytałem, co się stało.

- Miałam dwie córeczki - wyszłochała, odwracając się ku mnie; jej twarz, już w pełni wygojona, w ostrym blasku lampy przypominała teatralną, magiczną maskę. - Moje dziewczynki... Nie wiem nawet, czy wciąż żyją, czy nie. A jeśli żyją, nie wiem, ile mają lat...

- To niesprawiedliwe - wymamrotałem.

- Sprawiedliwość to ludzki wynalazek - odparła z goryczą.

Postawiłem lampę na rozklekotanym stoliku, zrobionym z tego samego, purpurowego drewna, i objąłem Caroline. Oplotła mnie rękami, na szyi czułem wilgoć jej łez. Po paru minutach poczułem wilgoć ust. Przysunąłem się do niej bliżej. Pod kocem wciąż była naga, niemal zupełnie odtworzona. Poczulem, że zrobiłem się twardy i przywarłem do niej.

Kochaliśmy się. A robiąc to, oboje cały czas płakaliśmy.

DZIEŃ 38.

Dziś w ruszyliśmy na poszukiwania miasta, o którym wspominał mi zakopany Afroamerykanin. Caroline poinformowała mnie, że nazywa się ono Zatracenie.

Na dworze, w rozproszonym świetle, przekonałem się, że Caroline jest bardzo niska i ma lekką nadwagę, a jej twarz stale wykrzywia grymas bólu, choć w innych okolicznościach mogła być atrakcyjna. Tego ranka (to oczywiście pojęcie względne, bo w tym świecie nie ma dni ani nocy) wyraźnie przeszkadzało jej, że potargane rude włosy ma nieumyte, i niewątpliwie to właśnie pchało ją najbardziej ku Zatraceniu: mieli tam wodę.

- Ale nie rosną dłuższe niż w chwili śmierci - wyjaśniła. - Mogę je zgolić i odrosną po kilku tygodniach, ale nigdy dłuższe. To samo z paznokciami. Z pewnością zauważyłeś, że nie musisz się golić.

- Tak.

- A ja wciąż mam tatuaż. - Zeszłej nocy odkryłem, że na jej prawej łopatkę widnieje podobizna trzmiela. Zrobiła ją sobie po pijaku, gdy miała dwadzieścia sześć lat. - To pewnie tusz astralny.

Dotarliśmy do kolejnego lasu, nie tak gęstego jak ten, przez który się przepравиłem przed dotarciem do wulkanu. Przecinał go szeroki, ubity gościniec; wędrowaliśmy nim, cały czas wypatrując demonów i aniołów. Tutejsze drzewa mają liście, przypominające z kształtu dębowe, i masywne pnie, grube i pomarszczone, niczym nogi dinozaurów, podczas gdy w poprzednim drzewa należały do gatunków wiecznie zielonych. Czy raczej wiecznie purpurowych. Liście tych drzew także były purpurowe. Trawa i krzewy po obu stronach

ścieżki mieniły się różnymi odcieniami purpury, czasami bliskimi fioleto i granatu, czasem niemal czarnymi.

- Jak właściwie zginąłeś? - spytała po drodze Caroline.

- Rana postrzałowa z własnej ręki - odparłem, nie patrząc na nią.

Kątem oka dostrzegłem, jak obróciła się ku mnie.

- Ile miałeś lat?

- Trzydzieści trzy.

- Czemu to zrobiłeś?

- Sądziłem, że nie mam po co żyć.

- A dlaczego tak myślałeś?

Zawahałem się.

- Chciałem być pisarzem - wyznałem. - Wielkim amerykańskim powieściopisarzem. Ale nie szło mi najlepiej.

- I to dlatego...

- Poza tym - przerwałem jej - miałem pracę, której nienawidziłem, i zarabiałem pieniądze niepokrywające moich rachunków. A moja żona zakochała się w koledze z pracy. Miała z nim romans. Rzuciła mnie dla niego.

- Och. Rany. Przykro mi. - Przez chwilę przetrawiała moje słowa, po czym spytała: - Mieliście dzieci?

- Jedno poronienie. Rok przed tym, nim odeszła.

- Wciąż ją kochasz?

- Ja... nie jestem pewien. - Taka była prawda. - Chyba za bardzo zaprzęta mnie fakt przebywania w piekle. Sam już nie wiem, co do niej czuję.

- Przykro mi. - Caroline, nie zwalniając, położyła mi dłoń na ramieniu.

Jej delikatność wzruszyła mnie i niebezpiecznie ścisnęło mi się gardło. Tu, w piekle, pozostaje nam tylko jedna swoboda: bycia dla siebie dobrymi. Jak tamten Murzyn: nie mógł uwolnić swego ciała, ale mógł uwolnić uczucia i próbować mi pomóc. To właśnie, bardziej niż fałszywe

odtworzone ciała, sprawia, że pozostajemy ludźmi. To coś, czego demony nie mogą nam odebrać, czego nie potrafią do końca zrozumieć, bo im tego brak.

- Nie miałeś po co żyć - powtórzyła cicho. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak będzie źle. Że śmierć to nie ostateczna ucieczka. Bałam się, że po śmierci nic już nie ma. Przerazało mnie to... Ale nie mogłam uwierzyć w zaświaty, po prostu nie mogłam. I oto tu jestem. Okazały się prawdziwe. Gdybym tylko zdołała uwierzyć, nie trafiłabym tutaj.

W tym momencie usłyszeliśmy straszliwy dźwięk. Zamarliśmy jak sparaliżowani. Brzmiał jak wycie wilka, krzyk kobiety, wrzask upiora.

- Co to? - wyszeptalem, rozglądając się gorączkowo.

- Chyba demon.

- Nie brzmi jak te pawiany.

- Istnieje ich znacznie więcej - syknęła. - Stwórca brandzluje się swoją pomysłowością. Ostatecznie w domu mamy więcej niż jeden gatunek kwiatów.

- Wolisz pójść przez las?

- Może tak będzie lepiej.

Zeszliśmy ze ścieżki, lecz słysząc trzask pękających gałązek i szelest liści pod nogami, zastanawiałem się, czy to na pewno dobry pomysł. Krzyk się nie powtórzył. Najprawdopodobniej dobiegał z przodu, ale nie miałem pewności. Wkrótce się dowiedziałem. Przecisnęliśmy się pod niskimi, poskręcanyimi, ciężkimi od liści gałęziami pomiędzy dwoma pradawnymi drzewami i ujrzeliśmy białą postać, odcinającą się ostro na tle grubego, ciemnego pnia - ostry obraz w negatywie.

- Chryste - jęknąłem.

- Cii - ostrzegła Caroline. Wybałuszyła oczy, bardziej przerażona moją nieostrożnością niż widokiem istoty, którą mieliśmy przed sobą.

To była kobieta, naga - i piękna - ukrzyżowana na gigantycznym dębie.

Warknęła na nas, jej górna warga uniosła się, odsłaniając zęby. I choć nie miała kłów, widok był przerażający. Oboje baliśmy się podejść bliżej, tak z powodu złowieszczego grymasu kobiety, jak i rozłożystych skrzydeł, rozciągniętych i przybitych do pomarszczonej dębowej kory.

Oszołomieni, gapiliśmy się w milczeniu na to stworzenie. Niewątpliwie był to demon... jego najbardziej ludzka odmiana, z jaką się dotąd zetknąłem. Dlaczego zatem przybito ją do drzewa? Czyżby ukarali ją pobratymcy?

Każde ze skrzydeł przytrzymywało około dziesięciu, dwunastu ćwieków wbitych między cztery długie kości, przypominające druty parasolki i wyrastające ze szczupłych ramion. Nagle przypomniałem sobie szczątki martwego diabła znalezione w kryjówce w Kalderze. Zauważyłem żyły wijące się w jasnych błonach, grube i ciemne pod przejrzystą powierzchnią, wyglądające jak napisy wykonane w tajemniczym alfabecie.

Przez wieki spierano się, czy Mesjasza ukrzyżowano, wbijając mu gwoździe w dłonie, czy w przeguby. Na wszelki wypadek tę kobietę przygwożdżono w obu miejscach, grubymi ćwiekami o szerokich główkach. Podejrzywałem, że produkują je same demony i że pierwotnie miały służyć właśnie do tych celów, choć potępieni zapewne przystosowali je do użycia na budowie. Przypomniało mi się moje własne ukrzyżowanie na zakończenie nauki na Uniwersytecie Awern. Zacząłem podejrzewać, że to zemsta, nie ze strony innych demonów, lecz zagubionych dusz, takich jak ja sam, niemogących zapomnieć o własnych ukrzyżowaniach.

Diablicę przybito także za stopy, nie umieszczono ich jednak skromnie jednej na drugiej, jak w przypadku Syna. Nogi miała lubieżnie rozłożone na szerokiej krzywiźnie pnia,

zupełnie jakby dosiadała grzbietu olbrzymiego zwierzęcia, i dodatkowo unieruchomione ćwiekami przebijającymi kostki. Mimo to dziwiłem się, że nawet tak wiele gwoździ zdołało ją przytrzymać - z tego co słyszałem, wszystkie odmiany demonów dysponowały niesamowitą siłą. Oczywiście bez wątpienia osłabił ją ból i utrata krwi: napastnicy wbili jej w brzuch czarny, żelazny pręt, niczym włócznię; przyszpilili ją jak motyla, dokładnie przez pępek. Być może stanowiło to jakąś chorą reakcję na fakt, że demon, niezrodzony w łonie matki, nie mógł mieć pępownicy. Wokół każdego ćwieka zebrała się zaschnięta krew. Spływała też po brzuchu, zasychając, zmieniając włosy łonowe w wielki, kłujący strup; ściekała po kończynach i skrzydłach, krzepnąc i się łuszcząc. Z ran nadal sączyła się świeża krew. Była czarna jak indyjski tusz.

Demonica szarpnęła się gwałtownie, zupełnie jakby ktoś potraktował jej ciało prądem. Oboje odruchowo cofnęliśmy się o krok. Ćwieki nie ustąpiły.

Widząc, że warczenie nic nie daje, spróbowała nas zastraszyć, przybierając władczą minę. Lecz w jej gardłowym, niskim głosie słyszałem ból i znużenie.

- Wy dwoje, uwolnijcie mnie! I to już! Jeśli tego nie zrobicie, będziecie cierpieć jak jeszcze nikt w piekle, przyrzekam wam!

- Chodźmy - błagała Caroline, łapiąc mnie za rękę.

Nie dziwiłem się jej, głos kobiety demona mnie także przeraził. Ale nie bardziej niż jej oczy. Były kocie: wielkie, szeroko rozstawione, drapieżne. Płonęła w nich szaleńcza furia, a mimo opadających, ciężkich powiek, wybałuszone patrzyły na nas z napięciem.

Ale dostrzegłem w nich coś jeszcze. Były mokre. Miała też mokre policzki. Spływały po nich łzy.

- Kto ci to zrobił? - odważyłem się zapytać.

- Twoi pobratymcy, głupcze. A jak myślisz? Sądzisz, że to zabawne? Uważasz, że zachowali się sprytnie? Nie będą tacy sprytni, kiedy ich wytropię. Znam ich zapach. Gdyby byli mądrzy, zabiliby mnie...

- Powinniśmy to zrobić - wyszeptała mi do ucha Caroline. Pochyliłem się ku niej.

- Ale co?

- Powinniśmy ją zabić! - syknęła.

Niski chichot sprawił, że oboje unieśliśmy głowy. Demonica kręciła powoli głową.

- Nie bądźcie jeszcze głupszy niż jesteście. Zapomnę, że to powiedziałaś. Uwolnijcie mnie.

- Zabijesz nas! - jęknęła Caroline.

- Nie zrobię tego, ty durna krowo! Obiecuję... macie moje słowo. Jeśli mnie uwolnicie, nie zrobię wam krzywdy. Bo niby czemu? Wy mi tego nie zrobiliście. Ale powiem wam jedno... Im dłużej się wahacie, tym większy ogarnia mnie gniew. - Mimo mokrych od łez policzków na jej usta wypełził złowrogi uśmiech. - Teraz znam też wasz zapach.

- Chodźmy, proszę - błagała Caroline, próbując mnie odciągnąć. - Proszę!

- Dopadnę cię, ty świnió - zamruczała demonica, wpatrując się w moją towarzyszkę.

- Sama się nie uwolni. Szybciej! Musimy już iść!

Moje spojrzenie powędrowało do upiornego żelastwa przebijającego wnętrze kobiety. Musiała cierpieć niewiarygodny ból. Znam się na tym, jestem fachowcem w kwestii niewiarygodnego bólu. Nawet gdybym ją uwolnił, przeżyłaby?

Postąpiłem ku niej dwa niepewne kroki.

- Grzeczny chłopiec - zagruchała zmysłowo; brzmiało to jak obsceniczna kołysanka.

Moje spojrzenie przeniosło się na jej piersi, niemal

nietknięte atramentowoczną krwią. Były pełne, lecz nie przesadnie duże. Sutki i delikatne aureole miały barwę pastelowej szarości. A jej skóra była biała. Nie blada, jak zwykła skóra, nawet nie jak wykrwawiony trup, lecz biała jak papier, pozbawiona jakiegokolwiek pigmentu. Wyglądała, jakby wyszła prosto z czarno-białego filmu. Włosy, długie i wilgotne od potu, miała czarne jak smoła. Kocie oczy były jasnoszare, a wargi w tym samym odcieniu szarości co sutki. Te wargi... były prawie jak karykatura pełnych ust, niemal przesadnie spęczniałe, jak zbyt długo pozostawiony na krzaku owoc, który lada moment zacznie się psuć. Kiedy je zamknęła, wyginały się w szyderczej parodii dziewczęcego dąsu.

Wędrowałem spojrzeniem po jej długich stopach, silnych udach, androgynicznie szerokich ramionach i umięśnionych rękach. Napiętym łuku szyi. A kiedy znów spojrzałem jej w oczy, zarumieniłem się zawstydzony.

- Pożądanie to grzech. - Jej pełne wargi wygięły się w złośliwym uśmiechu.

Zawstydziłem się faktem, że potraktowałem demona płci żeńskiej jako obiekt seksualny. Polityczna poprawność w piekle.

- Przepraszam - wymamrotałem, spuszczać wzrok, i podszedłem bliżej.

- Idę sobie - wyjęczała Caroline.

Obejrzałem się na nią przez ramię.

- Przysięgła, że nie zrobi nam krzywdy!

Caroline cofała się, dalej i dalej.

- Idę bez ciebie!

- Nie mogę jej tak zostawić!

- Ale czemu? Czemu? Spójrz tylko, jest jedną z nich.

- Ale ja nie jestem. Nie mogę taki być. Muszę ją uwolnić.

- Żadnego z pawianów byś nie uwolnił. Chcesz jej pomóc, bo jest piękna!

- Nie. Bo przypomina człowieka. Spójrz na nią!

- Idę.

- Nawet gdyby nas zraniła, co mogłaby zrobić gorszego, niż następny napotkany demon? I każdy inny po nim?

- Wolę jak najbardziej opóźnić moje następne ścięcie! Zapominasz, że spędziłam wiele lat zakopana na tamtej równinie! Lat! Nie zniosę ponownego schwywania.

- A zatem idź. Dogonię cię.

- Świetnie! Dogoń mnie... jeśli wciąż będziesz mógł chodzić po tym, jak cię rozszarpie na strzępy!

To rzekłszy, Caroline odbiegła na oślep w gęsty las, roztrącając gałęzie. Po chwili zniknęła pośród ciemnej roślinności.

Z powrotem skupiłem uwagę na przyszpilonym potworze.

- Chcesz, żebym... - Przełknąłem ślinę. - Czy mam...

- Najpierw wyciągnij włócznię - poleciła nieco łagodniej, jej głos załamał się w lekkim jęku. - Potem podważ ostrzem gwoździe i poluzuj je.

- Czy, jeśli ją wyjmę, nie wykrwawisz się na śmierć?

- Mogę znieść sporo bólu i stracić sporo krwi. A moje rany się zagoją. Nie tak szybko jak twoje i nie odrosną mi odcięte kończyny, tak jak tobie, ale przeżyję.

- Tyle że ty możesz umrzeć. - Spojrzałem na nią. Odpowiedziała dumnym spojrzeniem.

- Tak. Mogę umrzeć. I co? Zamierzasz mnie jednak zabić?

- Nie. Jak mówiłem... nie jestem taki jak wy, demony.

- Tak, wiem. Jesteś lepszy, lepiej rozwinięty, bla, bla, bla. Ale kto tu właściwie jest więźniem?

- Faktycznie, kto?

Znów się uśmiechnęła.

- No, dalej. Pokaż swą rycerskość, mój mały człowieczku. Dowiedz swej szlachetności. Wyjmij cierń z

mojej łapki.

Wyciągnąłem ręce, zacisnąłem dłonie na szorstkim metalu ciężkiej, żelaznej lancy, mocniej oplotłem ją palcami i zawahałem się. Bałem się zrobić jej krzywdę.

Kiedy szarpnąłem gwałtownie, krzyknęła. Ów wrzask o mało nie rozdarł mi bębenków. Słyszałem go już wcześniej, to właśnie on ściągnął mnie i Caroline w to miejsce.

Trzeba było więcej niż jednego szarpnięcia. Przy ostatnim poleciałem do tyłu i o mało nie upadłem. Ujrzałem świeżą krew, tryskającą z przebitego pępka jak z rany po kuli. Czarna krew ściekała wstążkami wokół jej ud, wypływając z otworu w plecach. A kiedy uniosłem wzrok, ujrzałem łyzy ściekające po jej policzkach. Z twarzy zniknęła wyniosła duma, zastąpiona grymasem cierpienia. Rzęsy kobiety demona były czarne, ciało wokół oczu miało subtelny odcień szarości, podkreślający ich niezwykłą urodę. Czasami wydaje mi się, że kobiety są piękniejsze wtedy, gdy cierpią, niż w chwilach szczęścia. Może dlatego mężczyźni źle je traktują. Wiedziałem tylko, że to nieziemskie stworzenie jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądałem. Zastanawiałem się nawet, czy Caroline nie miała może racji co do kierujących mną motywów, pomijając wszelkie kwestie wyniosłości i moralności. Tak jak zasugerowała demonica, podważałem ostrzem pręta kolejne ćwieki, począwszy od skrzydła. Nie mogłem znieść myśli, że miałbym zacząć od dłoni bądź stóp, nie po bólu, który już jej zadałem. Teraz jęczała, od czasu do czasu szlochając głośno.

Nie potrafiłem znów spojrzeć jej w twarz. Wyciągnąłem pierwszy ćwiek, przeszedłem do następnego.

- Skrzydła mam pewnie zupełnie zrujnowane - wymamrotała zduszonym głosem.

- Czy wciąż będziesz mogła latać?

- Latać? - Uniosła głowę. - Kto mówił, że umiem latać?

Nigdy nie widziałem, by skrzydlate mały latały, ale zawsze zakładałem, że gdyby chciały, mogłyby to robić. Powiedziałem jej to.

- One też nie umieją. Niektóre demony lewitują, ale nie mój gatunek.

- Po co zatem wykształciliście sobie skrzydła?

- Wykształciliśmy? Chcesz powiedzieć: wyewoluowaliśmy? Nic nie ewoluuje. Widzisz... takie właśnie myślenie sprawiło, że się tu znalazłeś. - Urwała, sapiąc, gdy wyciągnąłem kolejny gwóźdź. - Istnieją przecież skrzydlate ptaki, które nie latają, prawda? Pingwiny, strusie? Stwórca dał mojemu gatunkowi skrzydła, tak jak pawiowi dał piękny ogon. Bo ten widok go uradował.

Faktycznie, po co dawać jej skrzydła, jeśli nie z czystego kaprysu? Po co obdarzać niezwykłą twarzą? Przypomniałem sobie modliszkę, którą znalazłem na uniwersytecie. Tajemnicze piękno dla samego piękna.

Po wielu wysiłkach, od których wystąpiły mi na dłoniach pęcherze, a palce ślizgały się w jej krwi, wyciągnąłem ostatni ćwiek ze skrzydeł. Opadły, zadrżały konwulsyjnie i poruszyły się jak zdrętwiałe po długim unieruchomieniu. Nawet gdy nimi poruszała, wciąż drżały. Z bliska widziałem, jak w największych żyłkach wokół przyczepów pulsuje krew.

Teraz zająłem się jej dłońmi.

Uwolniłem jedną. Od jęków demonicy ścisnął mi się żołądek. Czułem się, jakbym sam był demonem i torturował jednego z potępionych. Zamiana ról. Ludzie, którzy ją pokonali i przyszpilili, musieli znaleźć radość w tej zamianie. Biorąc pod uwagę pozycję, w jakiej ją zostawili, zastanawiałem się, czy jej nie zgwałcili, ale bałem się spytać.

Sięgnęła nad głowę, wbijając palce w mocno pomarszczoną korę, by nie polecieć w przód, kiedy klęczałem przed nią jak wyznawca, poluzowując ćwieki

unieruchamiające stopy. Uwolniłem jedną. Potem, ostatnim wysiłkiem napiętych, zlanych potem mięśni, wyciągnąłem ostatni gwóźdź, a kobieta demon opadła na ziemię, opierając czoło o leśne poszycie, z ugiętymi łokciami i kolanami, wypiętymi pośladkami, skrzydłami dygoczącymi w górze, niczym zwalony namiot z żywej skóry.

- Przepraszam - wyszeptałem.

Wówczas wstała i wyprostowała się, tak nagle i gwałtownie, że się wzdrygnąłem.

- Dziękuję ci, mały - wymruczała.

Starła się zachowywać pewnie, znów panować nad sytuacją. Dumna wojowniczką, amazonką o nietoperzych skrzydłach. Ale widziałem opuchliznę wokół jej oczu, opadające powieki, bruzdy wokół ust. Wstydziała się tego; co jej zrobiono. Czuła się poniżona tym, że to oglądałem. Że potrzebowała mojej pomocy. Że mogła nawet umrzeć, gdybym się nie zjawił.

Wypuściłem pikę; runęła ciężko na trawę u mych stóp. Demonica zerknęła na nią i pochyliła się, by ją podnieść. Prostując się, wykrzywiła usta i przycisnęła dłoń do brzucha. Przełknąłem głośno ślinę. Wyobraziłem sobie, jak wbija ostrze piki prosto w moje oko... by zemścić się na dawnych śmiertelnikach, którzy ją pokonali.

- Muszę się pospieszyć, jeśli chcę dogonić twoją przyjaciółkę.

- Co? Zaczekaj... proszę...

- Chciała mnie zabić.

- Bała się!

- Ty także. A jednak mi pomogłeś.

- Ale ja jestem tu nowy. Jeszcze nie zgorzkniałem i...

- Przestań ją tłumaczyć. Ciesz się, że nie wbiję ci tego w tyłek, tak jak zamierzam to zrobić jej.

- Proszę. - Omal nie warknąłem. - Nie rób tego. Jeśli

musisz kogoś tak ukarać, to zrób to mnie.

Przekrzywiła głowę.

- Dziwny jesteś. Tak... Chyba jesteś tu nowy. Niewiele spotykam takich jak ty. - Podsunęła mi pike pod nos. - Tamci pieprzyli mnie tym. Podoba ci się zapach?

Gwałtownie cofnąłem głowę.

- W takim razie zapoluj na nich. Zasłużyli sobie. Ale nie Caroline - powiedziałem.

- Kochasz ją?

- Ledwo ją znam.

- Ale się z nią pieprzyłeś. - Pochyliła się blisko mej szyi i głośno wciągnęła powietrze, unosząc twarz tak, że znalazła się nos w nos ze mną. - Czuję na tobie zapach seksu.

- Proszę - powtórzyłem. Z tak bliska nozdrza wypełniła mi ostra woń potu i metaliczny zapach krwi. - Jeśli chcesz mi się odwdziaczyć za to, że ci pomogłem, to nie...

- Odwdziaczyć? - warknęła. Jej oczy błysnęły wściekle i wybałuszyły się obłąkańczo. - Nie muszę ci się odwdzięczać, zrozumiałeś? Nie zawarłam z tobą umowy! Nie kupiłam sobie wolności! To ty jesteś tu karany, ja wymierzam kary!

- Przepraszam!

- Sądziłeś, że odpłacę ci seksem? O to chodziło? Myślisz, że przeżyłbyś kopulację ze mną? Odgryzłabym ci głowę jak modliszka, ty żaloszny lizusie!

Cisnęła włócznię, która zawibrowała, wbita w ziemię między moimi stopami.

- Nie potrzebuję tego, by ukarać twoją dziewczynę - zagrzmiała kobieta demon i popędziła w las, przebijając się przez ten sam gąszcz, w który umknęła Caroline.

Nawet po tym, jak jej biała postać o łopoczących jak chorągwie skrzydłach już dawno zniknęła, słyszałem odległy trzask gałęzi.

Wyrwałem z ziemi włócznię. Uznałem, że ją zabiorę;

przyda mi się broń. Skoro o mało nie zabiła jednego diabła, może ochronić mnie przed innymi. A na razie posłużyła mi jako laska, gdy powoli dreptałem za dwiema kobietami, maszerując w stronę Zatracenia.

DZIEŃ 39.

Strzałę, która mnie trafiła, musiał wystrzelić anioł. Diabeł podszedłby do mnie i z szyderczym uśmiechem rozrąbałby mi czaszkę. To anioły lubią się skradać i ukrywać, tropić i polować. To dla nich sport. Mogą się tu zjawiać, kiedy tylko zechcą, i robić wszystko wedle woli.

Noc, jak lubię nazywać godziny odpoczynku, spędziłem w płytkiej dziurze u korzeni wielkiego drzewa, które runęło wiele lat wcześniej, spróchniałe bądź trafione piorunem. Jeśli nawet zostało zwęglone, ślady pokrył purpurowofioletowawy mech, porastający gruby pień. Dziura nie była dość głęboka, lecz wystarczyła, by ochronić mnie przed deszczem. Tym razem z nieba nie padała krew, lecz woda. Kiedy wypiliśmy z Caroline wino, zostawiłem sobie butelkę. Wystawiłem ją teraz na dwór, by nałapać deszczówki. Niewiele się jej zebrało, ale i tak byłem za nią wdzięczny. Potem, za dnia, ruszyłem znowu, w, jak miałem nadzieję, właściwym kierunku. Może trzeba było jednak trzymać się ścieżki? Zaledwie godzinę marszu od nocnego schronienia trafiła mnie strzała.

Tak naprawdę pochodziła z kuszy. Jak one się nazywają? Bełty? Za krótka na strzałę, przypominała po prostu długą strzałkę. Czubek musiała mieć bezlitośnie zakrzywiony, bo kiedy już posłała mnie na ziemię i złapałem ją, odkryłem, że nie mogę jej wyrwać, nie rozdierając przy tym ciała. Dotarła głęboko, aż do żeber i mam wrażenie, że wbita się w jedno.

Rozpaczliwie drapiąc ziemię, dźwignąłem się na nogi i popędziłem naprzód, w las, desperacko starając się wyprzedzić myśliwego. Płuca piekły mnie tak bardzo, że zastanawiałem się, czy nie wypełnia ich krew. W każdej chwili spodziewałem się drugiego bełtu, który trafi mnie

prosto w czaszkę.

Ale żaden się nie zjawiał. Zgubiłem myśliwego. Nie potrzebował mojego mięsa, by się posilić, ani skóry na okrycie, więc zapewne nie chciało mu się zanadto wysilać dla tak łatwej ofiary.

Od tej pory minęło wiele godzin. Przestałem już krwawić, lecz ostry jak brzytwa grot wciąż kaleczy mi mięśnie. Trze o kość jak nóż o osełkę. W piekle nie są potrzebni lekarze, lecz mam nadzieję, że w Zatraceniu znajdę ludzi, którzy zechcą pomóc...

Co za ironia: pomogłem kobiecie demonowi, wyjmując z jej ciała włócznię, którą wciąż ściskam w dłoni. Ale mnie nie ma kto pomóc.

Usiadłem na kamieniu, pokrytym plamami purpurowoniebieskich porostów, by odpocząć i wysączyć ostatni łyk wody z butelki. Mam nadzieję wkrótce opuścić ten ponury las. A co, jeśli puszcza ciągnie się wiele mil dalej, rozleglejsza niż wszystkie połączone kontynenty Ziemi? Mam wrażenie, że piekło jest większe od Ziemi... mimo że słyszałem, iż obecnie na Ziemi żyje więcej ludzi niż wszystkich umarłych łącznie. Cała ta przestrzeń czeka na wypełnienie przez kolejne nadchodzące pokolenia. Może wówczas lasy zostaną wycięte, robiąc miejsce następnym osadom, jak Kaldera, i miastom, jak Zatracenie.

Nadgoniłem pisanie dziennika i nie mam już żadnych powodów, by tu dłużej siedzieć. Poza tym nadal się boję, że doścignie mnie anioł. Zatem - naprzód.

Później

Nie wiem, ile godzin wędrowałem przez las, może nawet więcej niż dzień. W końcu przypadkiem znalazłem się z powrotem na ścieżce, choć możliwe, że innej niż poprzednia. W każdym razie była szersza, a najróżniejsze koła pozostawiły na niej koleiny. Wiodła prosto - tak prosto, że w dali ujrzałem

wyłaniające się zza horyzontu Zatracenie.

Wcześniej wspominałem o tym, jak pokryte spiralnymi piętnami pawianowate diabły skojarzyły mi się ze skrzydlatymi małpami z filmu „Czarnoksiężnik z krainy Oz”. Łatwo mi było zatem snuć dalej odniesienia do owego filmu: ostatecznie otoczenie było tak dogłębnie nierzeczywiste, że spokojnie mogłem założyć, iż znajduję się w gigantycznym, niezwykle szczegółowo przygotowanym studiu filmowym. Puszcza skojarzyła mi się z nawiedzonym lasem, przez który wędrowali Dorota i jej przyjaciele, a teraz miasto na skraju puszczy przywołało w mej pamięci wizję Szmaragdowego Grodu, wyrastającego na końcu żółtej, ceglanej drogi.

Tyle że złote cegły z drogi już dawno wywieziono, a i Szmaragdowy Gród najlepsze czasy miał za sobą.

Zatracenie było miastem czerni. Gdy się zbliżyłem - choć oceniałem, że minie jeszcze kilkanaście godzin, nim dotrę do samego miasta, które wydawało się równie odległe jak ciężkie ciemne burzowe chmury - moje pierwsze wrażenie jedynie się wzmocniło. Domyślałem się, że wzniesiono je głównie z czarnego metalu, tak jak Uniwersytet Awern, tyle że w skali jeszcze większej niż owa imponująca uczelnia. Nie była to osada, którą jak Kalderę zbudowali sobie potężni: tu główną rolę musiały odgrywać demony. Wciąż pozostawało dla mnie zagadką, po co miałyby zapewniać dach nad głową i towarzystwo obywatelom piekła, i wątpiłem, bym kiedykolwiek zdołał to odkryć.

Miasto z każdą chwilą stawało się coraz wyższe i większe, wynioślejsze, niczym poszarpany łańcuch górski. Nagle przypomniałem sobie gigantyczny wulkan górujący nad Kalderą. Jednakże wulkan wyrzucał z siebie w niebo potężne kłęby dymu, przesłaniające je jeszcze bardziej, a w Zatraceniu działo się coś wprost przeciwnego. Niebo nad miastem połyskiwało pomarańczowym blaskiem, niczym słońce o

świcie bądź zmierzchu. Zwykła warstwa chmur, dotąd zawsze przysłaniających niebo przed moim wzrokiem, nad miastem zniknęła, tworząc nierówny krąg. To, co w nim ujrzałem, różniło się od moich wyobrażeń wyniosłego, kamiennego sklepienia. Zobaczyłem lawę. Ocean stopionych skał o lekko fluktuującym blasku. Wyglądał niesamowicie, niczym odwrócone morze. Nie pojmowałem, w jaki sposób nie poddaje się grawitacji. Czy to właśnie kryło się za chmurami w całym piekle? I dlaczego akurat tu pozostawało odsłonięte? Można by przypuszczać, że zanieczyszczenia miejskie jeszcze wzmocnią powalę chmur. Może w jakiś sposób ją wypaliły, pochłonęły?

Gdy tak maszerowałem, gapiąc się na miasto i ogniste niebo nad nim, usłyszałem dobiegający z za pleców, szybko zbliżający się łoskot. Zerknąłem przez ramię, po czym uskokczyłem na pobocze szerokiego gościńca, po którym toczył się powóz, zmierzający chyżo w stronę Zatracenia. Kiedy się zbliżył, zdumiała mnie jego odstręczająca niesamowitość. Przypominał karocę z dyni, rodem z „Kopciuszka”, tyle że ta dynia gniła. Jej ramy zrobiono z misternie kutego czarnego żelaza, układającego się w kwiatowe, filigranowe wzory. Nawet koła miał zrobione z metalu. Ta barokowa konstrukcja podtrzymywała wielką pomarańczową kulę, wyglądającą dziwnie organicznie i jarzącą się luminescencyjnym blaskiem. Powóz, niczym riksę, ciągnęła szóstka potępionych, czterech mężczyzn i dwie kobiety - wszyscy byli nadzy, spoceni i zakurzeni. Kobiety, zaprzęgnięte z przodu, miały na twarzach skórzane maski zwieńczone czarnymi pióropuszcami. Każdemu ze zwierząt pociągowych usunięto oczy i wkrecono w ich miejsce grube czarne śruby, niepozwalające im odrosnąć. Z początku sądziłem, że w owej masywnej, pomarańczowej kuli kryje się pasażer powozu. Potem jednak pojąłem, że to ona

była pasażerem.

Kolista istota miała z przodu wielką twarz, małe oczka, niemal niewidoczne pośród galaretowatego, przejrzystego tłuszczu, szeroki, płaski nos i usta o grubych wargach przecinających kulę niemal na połowę. Żadnych kończyn, uszu, jedynie twarz. Oczy były zupełnie czarne na tle rozświetlonej głowy. Stwór sprawiał wrażenie niemal eterycznego, skojarzył mi się z dziecięcymi rysunkami przedstawiającymi słońce o błogo uśmiechniętym obliczu, a także z odrąbaną głową wielkiego posągu Buddy. Wiedziałem jednak, że ów słoneczny uśmiech Buddy i jowialne oczy to jedynie maska.

Czy czarne kulki stworu zerknęły w moją stronę, gdy pojazd przejeżdżał obok? Spuściłem wzrok, jakby z szacunku, lecz w istocie ze strachu. Powóz nie zatrzymał się... i wkrótce szczęśliwie zniknął w dali. Wiedziałem, że dotrze do miasta na długo przede mną.

Czas mijał, wkrótce zacząłem dostrzegać węższe ścieżki wychodzące z lasu po obu stronach głównego traktu. Co więcej, spotykałem też ludzi, wyłaniających się z owych odnóg i zmierzających w jedną stronę. Niektórzy, potykając się, maszerowali przed siebie, oszołomieni. Może byli nowi, jak ja... a może już dawno poddali się szaleństwu. Może ci nieszczęśnicy już za życia byli umysłowo chorzy i trafili tu, bo ich umysłem zabrakło jasności, niezbędnej do uznania idei Syna.

Coraz więcej ludzi wynurzało się z bocznych drózek i wkrótce przypominało to niemal exodus, pielgrzymkę do Zatracenia. Co naturalne, kilku podróżnych dogoniło mnie i jakiś czas maszerowaliśmy razem. I nawet zamieniliśmy parę słów. Jedną z tych osób był dwunastoletni chłopiec, mówiący z angielskim akcentem i dźwigający na plecach wiklinowy kosz, pełen tykw, przypominających małe, białe dynie. Mówił,

że wymieni je w mieście na nowe buty. Pochodził z niewielkiej leśnej osady, którą nazywał Limbusem. Podczas rozmowy zorientowałem się, że przebywa w piekle od dziewiętnastego wieku. Charakteryzował się pewnym fatalizmem, a nawet lekko cynicznym poczuciem humoru. Wydał mi się najbardziej światową osobą, jaką do tej pory tam spotkałem.

Drogą przemknęło jeszcze kilka powozów, ale żadnym z nich nie jechał dyniowaty pasażer. Widziałem wóz wyładowany pniami drzew i ciągnięty z wysiłkiem przez dwa stworzenia przypominające masywne, kudłate jak o sześciu zakrzywionych kozich rogach - kolejne zwierzę zaprojektowane do różnych celów, tak jak te przeznaczone do polowań amerykańskich Indian, Neandertalczyków i im podobnych. Spytałem mego towarzysza, czy psy, koty i inne ziemskie zwierzęta trafiają do nieba, czy też do piekła.

- Ani tu, ani tu - odparł. - Nie mają dusz.

- Hodowałem w swym życiu kilka psów i kotów i byłem pewien, że mają dusze. Szczerze mówiąc, lepsze niż mnóstwo znanych mi osób.

Chłopak jedynie wzruszył ramionami. Nieważne, czy się ze mną zgadzał, czy nie. Protesty wobec jego słów nie miały sensu, choć moja dusza burzyła się przeciw nim. Oto niebiański osąd, wszechobecny plan.

W takim razie zwierzęta mają szczęście. Jedynie umierają, przestają istnieć. Tego właśnie pragnąłem owego dnia, zdaje się wieki temu, kiedy ująłem w dłonie strzelbę...

Zazdroszczę też demonom. Również mogą liczyć na podobny koniec. Zapewne w oczach Stwórcy są jak zwierzęta. Może nawet uważa on swe legiony diabłów za niewinnych, których misją jest torturowanie ludzi, tak jak misją konia jest ciągnięcie wozu.

Kolejny podróżny, który podszedł do mnie, przedstawił

się jako Jesus (wymawiał to jak hey-zuus); słysząc to, spodziewałem się, że lada moment porazi go piorun. Był bardzo serdeczny i gadatliwy, jednakże wypalone na czole G, oznaczające gwałciciela, przypominało mi, że w piekle znaleźli się też ludzie, którzy istotnie powinni tu trafić. Nie wspomniał nawet słowem o bełcie sterczącym z moich pleców, jakby to było coś najnaturalniejszego pod niebem podziemi. Kiedy odkrył, że jestem względnie nowy w świecie wiekuistego potępienia w ogóle, a w Zatraceniu w szczególności, okazał się istną krynica wiedzy.

- Najlepiej byłoby, gdybyś zaczepił się w jednej z torturowni - poradził. - Nieźle za to płacą.

- Demony tam nie pracują?

- Czasami. Ale głównie nadzorują ludzi. Lubią, kiedy ludzie czynią to sobie nawzajem... chyba je to bawi.

- Chcą sprawdzić, do jakiego poniżenia zdołają nas zmusić.

- Jak mówiłem, nieźle płacą. Mając kasę, można sobie znaleźć porządną kwaterę. Może nawet własne mieszkanie.

- Nie mógłbym tego robić swoim braciom.

- Zgoda, tyle że jeśli nie znajdziesz pracy, tam czy gdziekolwiek, będziesz żył na ulicy. Może spał w alejce w jakiejś niewielkiej dziurze, jeśli zdołasz taką znaleźć. Ja jednak wolałbym nie zostawać na dworze, kiedy zacznie padać. - Uniósł głowę, wskazując żarzące się nad miastem niebo. Podążyłem za nim wzrokiem. Sceny, które sobie wyobraziłem, nie należały do najprzyjemniejszych.

Jak najszybciej mogłem, uwolniłem się od Jesusa. Moją następną, tymczasową towarzyszką została ubrana w domowej roboty sari Hinduska w średnim wieku. Spytała, po co wybieram się do Zatracenia. Wzruszyłem ramionami.

- Chyba potrzebowałem jakiegoś celu. Równie dobrze to mogło być to. Słyszałem też, że w mieście jest bezpieczniej

niż w głuszy.

- Niekoniecznie - odparła. - Ale jeśli pracujesz dla demonów, potrafią okazać pobłażliwość.

- Handlujesz w Zatraceniu? - zapytałem, zauważywszy na jej plecach tobolek.

- Nie... Chwilowo chcę tam zamieszkać. Przybywam z innego miasta. Najechała je armia demonów. Powywlekały ludzi z domów, nawet robotników z torturowni.

- Czemu?

- Nie wiemy. Przypuszczam, że zapewne po to, by nie czuli się zbyt pewnie. Zbyt bezpiecznie. Sporo nas uciekło. Kiedy obejrzałam się po raz ostatni, moje miasto płonęło.

- To właśnie niezrozumiałe przeraża mnie najbardziej - wyznałem. - Chyba bardziej niż ból. - Po paru chwilach spytałem. - Czy miałaś w mieście przyjaciół i rodzinę?

- Przyjaciół. Z piekła, nie sprzed śmierci... I nigdy nie spotkałam tu członka rodziny. Moi przyjaciele rozproszyli się w chaosie. Mam nadzieję, że część z nich trafi do Zatracenia.

Skinąłem głową.

- Widziałaś może kiedyś w piekle kogoś sławnego, znanego? Na przykład Teda Bundy'ego... Lee Harveya Oswalda?

Drobna Hinduska spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Umarłam w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym - wyjaśniła.

- Och. Przepraszam. Tu wszyscy wydają mi się mnie współcześni. No to... w każdym razie... na Uniwersytecie Awern pewnego razu wydało mi się, że zauważyłem na korytarzu Danny'ego Kaye'a. To był aktor filmowy, komik; w dzieciństwie uwielbiałem jego filmy. Ale jeden z instruktorów poganiał nas i nie odważyłem się spytać. Pamiętam, jak pomyślałem sobie, że jeśli Danny Kaye jest w piekle, to nie ma już nadziei dla ludzkości. To jedyna sława, jaką tu

widziałem. Nie spotkałem Jimmy'ego Hoffy ani Hitlera.

- To nazwisko już słyszałam - wtrąciła kobieta.

- Przebywasz tu od dawna. Myślisz, że można stąd uciec?

- Uciec? Z piekła? O nie... nie. Nie.

- No, ale spójrz na wizje piekła, stworzone przez pisarzy takich jak Dante i Swedenborg, proroków i tak dalej. Piekło wspomniane w Biblii... Odpowiedniki piekła we wszystkich religiach i kulturach. Skąd wzięły się te obrazy, jeśli nie od kogoś, kto trafił tu na krótko i wrócił?

- Część to zapewne projekcje. Myślę, że po prostu otwarto dla nich okno, by mogli przez nie zajrzeć. Albo może instynktownie wyczuli piekło. Tak czy inaczej, nikt, kto umarł i został potępiony, nie zdołał uciec z piekła.

- Orfeusz trafił tam i wrócił.

- To tylko mit.

- Za życia mawiałem, że piekło to mit.

Niektórzy ludzie nie zmierzali do Zatracenia, lecz je opuszczali. Ruch z każdą chwilą wzrastał, w miarę jak miasto pięło się coraz wyżej - a i tak było już bardzo wysokie. Górowało nade mną niczym sylwetka wielkiej ziemskiej metropolii, najwyższe wieże sięgały niemal nieba z magmy, przelewającego się wysoko nad głową. Kiedy patrzyłem w górę, na hebanowoczarne drapacze chmur, kręciło mi się w głowie. Pomarańczowe światło odbijało się od metalu i szkła, otaczając je rozproszonym blaskiem, przez co nasze twarze wyglądały tak, jakbyśmy zgromadzili się przy ognisku.

Wiele mniejszych budynków zbudowano z cegieł, wyciętych z czarnego pumeksu albo wypalonych z pomalowanej na czarno gliny. Przycupnęły pośród wyższych budowli niczym slumsy. Na ich płaskich dachach ujrzałem namioty i szałas, napowietrzne dzielnice nędzy. Natomiast większe budowle sprawiały z bliska wrażenie jeszcze bardziej industrialnych. Pokrywały je zewnętrzne układy krążenia,

zbudowane z rur, a także obracające się koła zębate, pracujące rytmicznie tłoki, pasy klinowe, przesuwane w zagłębieniach wyżłobionych w zardzewiałej skórze czarnych jak sadza gmachów - i nic z tego nie służyło żadnym widocznym celom.

W mieście ujrzałem nie tylko kilkanaście tytanicznych wieżowców, mogących śmiało konkurować z Empire State Building, ale też inne budowle, olbrzymie, zajmujące kilkanaście przecznic; w jednej z nich nie dostrzegłem nawet jednego okna. Większość wieżowców miała rzędy okien jak ziemskie drapacze chmur, część oświetlonych, część nie, część z nietkniętymi szybami, część z potłuczonymi. Wiele z nich zabito deskami.

Z miasta dochodził hałas: nie samochodów i klaksonów, jak w znanych mi ziemskich metropoliach, lecz tysiące głosów, huczającej i zgrzytającej maszynierii, syku piany kłębiącej się wokół ceglanych kominów, dziwacznych krat i prześwitów w cielskach budynków. Zatracenie przypominało tytaniczną fabrykę, produkującą samą siebie.

Całe miasto otaczał mur, wysoki na jakieś trzy piętra i zbudowany z wielkich żelaznych płyt - łączące je spawy lśniły na tle głębokiej czerni niczym srebrzyste blizny. Za murami wyrastała tajemnicza rafineria, a także niewiarygodnie wielka hałda połyskującego węgla. Widziałem konstrukcje przypominające wieże kościelne bądź minarety, o misternie zdobionej, pofalowanej, metalowej powierzchni. Na dachach obracały się wielkie wentylatory - może wiatraki produkujące moc elektryczną? Na innych zauważyłem zbiorniki wody. Między wieloma wyższymi budynkami rozciągnięto mosty linowe i kładki. Wszystko to wydawało mi się niewiarygodnie ścieśnione, stłoczone, jakby miasto wielkości Nowego Jorku wepchnięto w dwa razy mniejszą przestrzeń.

Mur wokół Zatracenia to sześciokąt, a z każdego jego

rogu wyrastają smukłe metalowe wieże. Na szczycie każdej z nich, otoczona metalowym szkieletem, niby reflektor latarni morskiej, jaśnieje pomarańczowa kula. Wewnątrz jednej z owych iglic podobna do windy konstrukcja unosiła jarzący się ciężar ku ciemnemu wierzchołkowi. Pojąłem nagle, że ta kula to okrągła, dyniowata istota o obliczu Buddy, którą widziałem w powozie.

- Co to jest? - spytałem Hinduskę, wskazując palcem.

- Nadzorca.

- Oni... nadzorują miasto?

- Tak. Mniej więcej.

- Dokąd wyjechał ten?

- Nie wyjechał, właśnie przybył. Zastępuje innego, który zapewne umarł. Czasami Nadzorcy chorują: ich blask gaśnie i umierają. Czasami mordują ich potężni, bo oleju z ich ciał można używać w lampach.

- Ach.

Przypomniałem sobie tajemniczą lampę, której z Caroline używaliśmy w Kalderze.

- W takim razie skąd przybył?

- Najpewniej urodził się w mieście Tartar. Stamtąd właśnie pochodzi większość demonów w tym regionie.

- Byłaś tam kiedyś?

Kobieta spojrzała na mnie ze zdumieniem i zgrozą.

- Miałabym tam pójść? Nikt tam nie chodzi! Nie z własnej woli...

Zbliżyliśmy się do masywnych bram miasta. Osadzone w wyżłobionych koleinach, po zamknięciu i zaryglowaniu całkowicie odcinały miasto. Spytałem towarzyszkę, do czego służą.

- Czasami armie aniołów przybywają tu, by oblegać któreś z miast. Takie gry wojenne dla ich zabawy. Spodziewają się, że tak my, jak i demony, będziemy walczyć.

Pielgrzymka zmierzająca do miasta zakorkowała bramę i ludzie przechodzili przez nią bardzo wolno. Kilkanaście strzegących wrót demonów trącało stłoczonych przybyszów dłuższymi wersjami metalowej piki, którą trzymałem w dłoni, poganiając ich, by przesuwali się szybciej. Z bliska odkryłem, że demony te przypominają kobietę, którą ocaliłem - były bardzo ludzkie, bardzo blade, o strzępiastych, smoczyczych skrzydłach. Tylko one w całym piekle przypominały ilustracje Dorego do *Boskiej komedii* Dantego - piękne, umięśnione ciała (ale bez rogów i ogonów). Wcześniej sądziłem, że z diablicy, którą uratowałem, zdarli ubranie jej prześladowcy, teraz jednak przekonałem się, że cztery demony płci męskiej także są nagie.

Jeden z nich dźgnął jakiegoś mężczyznę w pośladek ostrym końcem lancy.

- Ruszaj się, wieprzu! Blokujesz ruch. - Zaśmiał się ochryple.

Jego towarzysz także się zaśmiał, nagle jednak obrócił się prosto ku... mnie. Jego twarz miała czujny wyraz, jakby mnie rozpoznał i zdecydowanie mu się to nie spodobało. Wskoczył w tłum i przepychając się, dotarł do mnie.

- O co chodzi? - spytał jego towarzysz.

- Nie czujesz, Vetis? - warknął tamten. - Krew demona... u tego.

Ze zgrozą przypomniałem sobie o pice w mojej dłoni. Chciałem odrzucić ją jak najdalej, ale było już za późno. Zobaczyłem, jak Hinduska przeciska się do przodu między dwojgiem ludzi, byle tylko oddalić się ode mnie. Nie dziwiłem się jej.

- Zaczekaj. - Znieruchomiałem. Inne potępione dusze wymijały mnie, odwracając wzrok. - Posłuchaj...

Pierwszy demon wyrwał mi z ręki żelazny pręt i uniósł do nosa. Wkrótce dołączył do niego drugi, imieniem Vetis. Złapał

mnie za włosy i podsunął zakrwawiony koniuszek piki pod brodę. Jęknąłem, gdy zadrapał mi skórę.

- To krew kobiety - warknął pierwszy. - Krew Chary!

- To musi być jeden z tych, którzy ją zaatakowali... zranili - zagrział Vetis.

Poczułem, jak ostrze lancy przebija mi skórę. Krew popłynęła cienką strużką po mojej szyi.

- Chara - wymamrotałem rozpaczliwie. - Czy to ją przybito do drzewa?

- Ach, zatem się przyznajesz!

- Nie, ja ją uwolniłem! Wyciągnąłem ten pręt z jej brzucha!

- Chara nie wspominała o tym, by jakiś robak ją uwolnił.

- Nie? A nie mówiła, jak się uwolniła? Ja to zrobiłem, pomogłem jej! Spytajcie ją!

- Zabierzemy cię do niej, robaku. Jeśli rozpozna cię jako jednego z gwałcicieli, będziesz cierpiał, jak jeszcze żadna dusza w dziejach piekła.

- Zatem zabierzcie mnie do niej... proszę.

Dzięki temu bramy Zatracenia przekroczyłem z osobistą eskortą.

DZIEN 40.

Noc spędziłem w celi o niskim sklepieniu i ścianach z połączonych zaprawą kamieni. Przespałem się na cementowej podłodze; oceniam, że trwało to kilka godzin. Po zrewidowaniu mnie, w poszukiwaniu broni, strażnicy pozwolili mi zatrzymać organiczną sakwę z tą książką i zapasowe ubrania z Kaldery. Dzięki temu mogłem przynajmniej opisać drogę do miasta i pierwsze spotkanie z Zatraceniem.

Mój jedyny towarzysz niedoli albo choruje psychicznie, albo piekło doprowadziło go do obłądu. Został też ciężko ranny... Tyle że - i to znów coś, na co jeszcze nie natknąłem się w piekle - zregenerował się dziwnie, mutując. Jego głowa przypomina nierzeczywisty, umęczony kwiat z ciała - zniekształconą czaszkę okala rząd pomarszczonych, podobnych do odbytów otworów, z których wystają wypaczone kawałki suchej, szarej tkanki mózgowej. Może obłąd wpłynął także na proces gojenia. Siedzi w kącie, tuląc kolana do kościstej piersi, tłukąc głową o kamienną ścianę i szepcząc serie liczb, może tworzących równanie matematyczne, a może całkowicie przypadkowych.

W celi jest zdumiewająco chłodno - to miłe, choć, co niezbyt zaskakujące, nie dano mi jedzenia, wody ani koca. Za przerdzewiałą kratą widzę mroczny korytarz i słyszę rozdzierające wrzaski, skowyty odbijające się echem od ścian. Gdzieś z dali dobiega płacz dziecka. W tle rozbrzmiewa stłumiony rytmiczny zgrzyt wielkich obracających się mechanizmów.

Na ścianie nade mną, osadzone pośród kamieni, tkwią dwie kule zawierające mlecznobiały, bulgoczący płyn.

Dotknąłem ich i odkryłem, że przypominają elastyczną tkankę. Płyn nie wydziela światła, toteż z początku nie mogłem pojąć, do czego służą te kule. Przypomniało mi to o organicznym aspekcie Zatracenia, widocznym dopiero gdy znalazłem się za murami. Pomiedzy zewnętrznymi rurami, zębatkami i innymi elementami misternych ezgoszkioletów tutejszych budynków ujrzałem szarawe kule, podobne do olbrzymich, ślepych oczu bądź trawionych chorobą narządów, i kręte przewody, rozwidlające się jak gigantyczne czarne żyły... Wydawało mi się, że część elementów budowli jest zrobiona ze zwęglonej na czarno kości, a nie z metalu, choć te kości nie należały do żadnego znanego mi gatunku... Może hodowano je wyłącznie do tych celów?

Zastanawiałem się, czy budynki nie są aby, przynajmniej w bardzo prymitywnym sensie, żywe. Być może każdy z nich to olbrzymi, na wpół świadomy demon, w którego ciele potępieni żyją niczym pasożyty.

Trzymając książkę na kolanach, pogładziłem skórzastą okładkę i po chwili senne oko skupiło na mnie wzrok. Tak jak wcześniej, przemówiłem do niego kojąco. Samotna źrenica otoczona błękitną tęczówką wpatrywała się w moje wargi i dopiero wtedy pojąłem w końcu, że może umieć czytać z ich ruchu, jeśli tylko przemówię, powoli i przesadnie akcentując samogłoski.

- Rozumiesz, co mówię? - spytałem. - Jeśli tak, zamrugaj dwa razy. Oko nie mrugnęło. Zmieniłem taktykę - wydarłem kartkę z książki i napisałem wiadomość, którą uniosłem na wprost okładki.

- Jeśli możesz to przeczytać, mrugnij dwa razy.

Okno mrugnęło, raz i drugi. Wiedziałem, że książka jest świadoma mojej obecności, ale dotąd nie potrafiłem ocenić, jak sprawny umysł się za nią kryje. Cały czas nosiłem przy sobie niemego towarzysza. Nagle poczułem się mniej

samotny, i zacząłem z zapalem pisać.

„Powiedz mi, jak się nazywasz. Będę recytował alfabet, zamrugaj dwa razy, gdy dotrę do pierwszej litery twojego imienia. Potem drugiej litery. I tak dalej”.

Wymagało to wiele czasu, ale w końcu udało mi się zapisać imię i nazwisko duszy uwięzionej w okładce książki i tym samym niemogącej się zregenerować. Więzień poinformował mnie, że nazywa się Frank Lyre.

- Jakaż to zbrodnia sprawia, że więżą ludzi w książkach, podczas gdy reszta z nas chodzi swobodnie? Znów wyrecytuję alfabet, zamrugaj dwa razy, gdy dotrzemy do pierwszej litery pierwszego słowa odpowiedzi.

Po długim, mozolnym procesie w końcu odszyfrowałem odpowiedź.

„Pisarze, którzy rozgniewali Stwórcę”.

„Tak też przypuszczałem” - odpisałem oku. „Sam chciałem zostać pisarzem. Tworzyć powieści. Ale, niestety, nie miałem szczęścia”. „Może i dobrze” - padła odpowiedź. „Mógłbyś skończyć jak ja”. „Czy uwolnią cię kiedyś?” - spytałem. „Nie wiem”.

„Co by się stało, gdybym wydlubał oko z okładki? Czy wówczas byś się zregenerował? Choć skóra to też część ciebie. Gdybym zdarł okładkę i spalił ją, czy w końcu odrodziłbyś się w całości?”.

„Nie wiem” - powtórzył Lyre.

„Może znów stałbyś się okładką” - zastanawiałem się na głos. „Kawałem skóry z okiem pośrodku”. Zmieniłem temat i napisałem: „Wiesz może o kimkolwiek, kto zdołał uciec z piekła?”.

„Nie”.

„Myślisz, że można wysłać wiadomość na górę do żywych? Ostrzec ich, przygotować? Coś takiego, jak tę książkę? Czy można przemycić stąd przedmiot?”.

„Wątpię”.

„Chciałbym się dowiedzieć. Chciałbym spróbować wysłać tę książkę do domu. Może udałoby się, gdybym zdjął okładkę, bo to twoja dusza. Może jakoś znalazłbym sposób przekazania nieożywionych stronic”.

„Nie wiem” - odrzekł mój żyjący dziennik.

Mijały godziny. Można by przypuszczać, że demonica Chara powinna zdążyć w tym czasie zjawić się i mnie obejrzeć. Mówiłem sobie, że pewnie dochodzi do siebie po przeżytych mękach. Zastanawiałem się też, czy doścignęła Caroline, nim ta dotarła do Zatracenia. Ale właściwie, jakie to ma znaczenie? Przeznaczeniem Caroline były tortury i cierpienia z rąk wielu demonów przez całą wieczność. Jeden dodatkowy nie czynił różnicy.

Zacisnąwszy palce na szorstkich prętach kraty, wcisnąłem między nie twarz, wyglądając na pogrążony w mroku korytarz. Oświetlały go rzadkie, nagie żarówki, osłonięte małymi, metalowymi kratkami, podobnymi do miniaturowych więzień. W korytarzu były też inne cele, lecz tę naprzeciw skrywała nieprzenikniona ciemność i nie miałem pewności, czy ktoś w niej jest. Choć zdawało mi się, że raz usłyszałem dochodzący stamtąd cichy szelest. Nagły bulgot sprawił, że uniosłem wzrok ku niskiemu sufitowi. Przebiegała pod nim gruba rura, przejrzysta, organiczna. Przelewał się w niej ciemny płyn, który zdaje się niósł ze sobą kawałki odpadków. Nie były to jednak zwykłe ścieki: płyn miał czerwoną barwę i unosił strzępki skóry, wnętrzności, kawałki mięśni.

- To z torturowni - powiedział więzień z celi naprzeciwko. Zachichotał, wyraźnie rozbawiony moim czujnym, zaskoczonym spojrzeniem. - Tam właśnie trafimy, ty i ja.

- Może ty - odparłem. - Nie ja.

- Ha! Rozumiem... Adwokat cię stąd wyciągnie, co?

Apelacja w ostatniej chwili? - Z ciemności wyłoniła się postać obszarpanego mężczyzny, który uśmiechnął się do mnie między prętami. - Może ciebie też zamienią w książkę - dodał, wskazując skinieniem głowy tom leżący na podłodze obok. - Tam właśnie to robią. - Znów się zaśmiał. - Nadal masz książkę... zabawne. Co to ma być, zajęcia podyplomowe? Chcesz zrobić doktorat?

- Hej... nie jesteśmy aby po tej samej stronie?

- Stronie?

- Nieważne. Posłuchaj, mówiłeś, że te książki robią w torturowni?

- Tak, widziałem nawet gdzie. Pracowałem kiedyś w drukarni, więc mnie to zainteresowało. Widziałem, jak oprawiali książki. Trzeci raz trafiam do torturowni. Nie dam sobą pomiatać tym skurwielom. Nie obchodzi mnie, gdzie jestem, nie zamierzam się ugiąć.

- Nie boisz się?

- Jasne, że się boję. Myślisz, że zwariowałem? Została mi już tylko moja duma. Kiedy ją stracę, oni wygrają. Nie mogą mnie złamać. Muszę pokazać im wszystkim... pokazać Wielkiemu Szefowi... że wciąż jestem sobą. Mam własną wolę. Mogą rozszarpać na strzępy to fałszywe ciało i spuścić mnie w kiblu, ale nie zniszczą tego, kim jestem. Rozumiesz? W ten sposób możemy wygrać. Jeśli spojrzysz na to w ten sposób, wszyscy wygramy.

- Rozumiem, co masz na myśli, ale wolę to sobie ułatwić. Boję się bólu.

- Na to właśnie liczą. To właśnie je cieszy. Nie możesz poddać się strachowi, nieważne co będzie się działo. Niektórzy po prostu wariują z bólu i strachu. Inni obojętnieją jak roboty, padają w miejscu kamieniem i leżą tam. Jak w śpiączce. Nie rób tego: jeśli cię znajdą, podniosą i zrobią coś naprawdę wyjątkowego, byle tylko znów zwrócić twoją

uwagę.

- Wiesz, czym zawinił mój towarzysz z celi?

- To autyk.

- I za to trafił do piekła?

- Skoro nie mógł uwierzyć w Syna, tu właśnie trafił.

- To niesprawiedliwe - syknąłem, spoglądając na mężczyznę, nadal mamroczącego niekończącą się litanie liczb. Może to dni, które spędzi tutaj, godziny wieczności?

- Sprawiedliwe? O rany, prawdziwa z ciebie piekielna dziewczyna, co?

Kiedy patrzyłem na skulonego w kącie towarzysza niedoli, moją uwagę przyciągnęły bulgoczące kule osadzone w ścianie. W każdej pływało oko, nienaturalnie wielkie, być może powiększone przez mlecznobiały płyn. Oczy zamrugały. Kiedy zobaczyły, że je zauważyłem, cofnęły się... rozmazały i zniknęły. Czyżby więc było to urządzenie, za pomocą którego demoniczni nadzorcy mogli obserwować mnie z daleka?

Oczy wyglądały znajomo. Podłużne, drapieżne jak u rysia, o grubych ukośnych powiekach. Szare tęczęwki.

Przysiągłbym, że należały do demonicy Chary.

DZIEŃ 41.

Dziś obudziło mnie skrzypienie otwieranych drzwi celi. Zaskoczony, uniosłem głowę i ujrzałem przystojnego nagiego demona, stojącego na progu, ze złożonymi skrzydłami.

- Wstawaj - rzucił. - Możesz odejść. Jesteś wolny.

- Wolny? Myślałem, że Chara przyjdzie mnie zidentyfikować.

- Zidentyfikowała. Nie należałeś do grupy napastników. Potwierdziła, że jej pomogłeś, tak jak mówiłeś. - Wskazał korytarz za sobą. - Możesz więc odejść.

Gramoląc się z podłogi, złapałem worek z książką, po raz ostatni spojrzałem na żalosego towarzysza, nadal odliczającego liczby w kącie, po czym wyszedłem za demonem na korytarz.

Zajrzałem do celi naprzeciwko. Była ciemna i wydawała się pusta. Kiedy spałem, jej lokatora zabrano do torturowni.

Idąc obok posągowo pięknego strażnika, pojąłem, że istotnie to Chara przyglądała mi się ukradkiem przez organiczne urządzenie w ścianie. Lecz, o dziwo, czułem zawód, że rozpoznała mnie w ten sposób. Z daleka. Uświadomiłem sobie, że czekałem na jej przybycie do celi z czymś więcej niż pragnieniem odzyskania wolności. Chciałem znowu ją zobaczyć...

„To obłąd" - powiedziałem do siebie. „Zaczynasz wariować".

- Wiesz może, kogo mógłbym poprosić, żeby wyjął mi z ramienia strzałę? - spytałem demona. - Bo bardzo...

Strażnik obejrzał się na mnie, zatrzymał w miejscu, chwycił w garść drzewce i wyszarpnął mi z ciała.

Runąłem na kolana, świat przed oczami pociemniał na

chwile, z rany trysnęła krew. Wolną ręką - w drugiej nadal dzierżył strzałę - demon chwycił mnie za łokieć i podźwignął. Podtrzymał mnie, maszerując naprzód. Choć jego pomoc i wsparcie były dość szorstkie, wciąż wyczuwałem w nim pewien szacunek. To, co zrobiłem dla Chary, nie pozostało niedocenione.

Przeszliśmy pod mauretańskimi łukami na nowe korytarze, niektóre pełne cel, inne wyłożone wilgotnymi, oślizgłymi kamieniami. W miarę, jak zbliżaliśmy się do zewnętrznej części więzienia, mijając, jak podejrzewałem, biura, kryjące się za zamkniętymi drzwiami z czarnego metalu, korytarze stały się czyściejsze - zrobione z bloków szklistego obsydianu, połączonych zaprawą jak cegły. W końcu zatrzymaliśmy się przed jednymi z zamkniętych żelaznych drzwi. Strażnik otworzył je i wprowadził mnie do środka. Za biurkiem, także skreconym z kawałów czarnego metalu, siedział jeden ze szkieletowych demonów o płonących oczach i czubku czaszki niewiarygodnie napuchniętym jak balon. Był identyczny z tymi, które witały w piekle nowych przybyszów. Wychudzony stwór spojrzał na mnie bez słowa, wwiercając mi się wzrokiem w sam mózg, po czym skinął głową do strażnika. I to, cokolwiek znaczyło, wystarczyło. Wyszliśmy z pokoju, strażnik zamknął ciężkie drzwi, po minucie dotarłem do głównego wyjścia i znalazłem się na ulicach Zatracenia.

Ponieważ aresztowano mnie natychmiast po przekroczeniu bram miasta, po raz pierwszy mogłem zobaczyć, co się kryje za okalającymi je murami.

Potykając się na szerokich schodach z czarnego marmuru, spojrzałem na górujące nade mną więzienie. Gmach był szeroki i wysoki, w mieście jednak stały inne, szersze i wyższe budowle; podejrzewałem, że większa jego część kryje się pod powierzchnią. Po jednej ze ścian więzienia biegło

kilka wielkich, przejrzystych żył różnej grubości, podobnych do tej oglądanej na suficie. Łączyły budynek z wyższą budowlą obok. Na moich oczach jedną z nich przepłynęła fala krwi i poszarpanej materii. W sąsiednim budynku musiała mieścić się torturownia. Dwa masywne, ceglane kominy wznosiły się z płaskiego dachu ku czerwono-żółto-pomarańczowemu niebu z lawy. Kłęby czarnego dymu wypełniały powietrze odrażającą wonią palonego mięsa.

Ulica była bardzo szeroka, wybrukowana kamieniami. Jej środkiem biegły dwa szerokie tory, po których mógłby jeździć tramwaj, lecz nie dostrzegłem na drodze żadnych pojazdów silnikowych. Czyżby Zatrącenie miało własny system transportu publicznego? Skręciłem za róg i znalazłem się na węższej ulicy; po obu stronach wznosiły się niewielkie kamienice z czarnej cegły. Ze zdumieniem odkryłem, że ich partery zajmują witryny sklepowe, jarzące się żółcią na tle czerni. Kuszący zapach z piekarni niemal tłumił zanieczyszczenie powietrza. Ujrzałem kilka sklepów z ubraniami. Maszerowałem naprzód, wciąż mokry od własnej krwi, choć rana już się zrastała; nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

Dwaj nastoletni chłopcy pedałowali ulicą na prymitywnych rowerach, piszcząc jak wariaci. Stara kobieta przede mną ciągnęła po chodniku rozklekotany wózek pełen jarzyn. Gdy chłopcy ją mijali, jeden z nich wyciągnął rękę i porwał worek z wózka. Kobieta krzyknęła, ja zawołałem „hej!”, lecz chłopcy skręcili tylko za róg, pokrzykując tryumfalnie.

Mniej więcej między co piątym budynkiem rozciągnięto nad ulicą druty, na których, niczym schnące pranie, wisiały rzędy bezgłowych szkieletów, poczerniałych jak zwęglone, o stawach połączonych drutami jak u okazów w pracowniach biologicznych. Kołysały się w powiewach lekkiego wiatru,

grzechocząc cicho, niczym bambusowe dzwonki wietrzne. Podobnie jak w przypadku Caroline, po ścięciu głowy to z niej wyrastało nowe ciało. Pozbawiony czaszki korpus jedynie się rozkładał. Po raz pierwszy w piekle natknąłem się na ludzkie kości. Nie wątpiłem, że owe makabryczne ozdoby to dar sąsiedniej torturowni - może w ten sposób znakowała swój zasięg?

Na następnej, zatłoczonej ulicy nie było już rzędów dyndających w górze szkieletów. Zamiast nich ujrzałem przed sobą skromne targowisko. Ubrania złożone na kramach, garnki i patelnie rozwieszane na hakach, gliniane naczynia mieniające się ponurymi kolorami, mydła i świece. Nie dostrzegłem zbyt wielu stoisk z żywnością: paru sprzedawców ofiarowało kosze białych, dyniowatych tykw, inni wystawiali wanny pełne lodu, w którym tkwiły kraby, takie jak te rojące się na wulkanicznej równinie Kaldery. Wypatrzyłem też solone stworzenia podobne do węgorzy, upiorne jak ryby głębinowe i rozwieszane za ogony na zaimprovizowanym kramie. Nie miały oczu, lecz z ich wydatnych szczęk sterczały potężne kły. Pokazałem je muzułmance opatulonej w czarny strój, czekającej w kolejce.

- Czy w pobliżu jest jakiś ocean albo duży zbiornik wodny?

- Owszem, niedaleko jest Morze Czerwone. Ale te ryby nie pochodzą z morza.

- W takim razie skąd?

Jej ciemne oczy, jedyne co widziałem z twarzy, zwęziły się.

- Znajduje się je głównie w Dolinie Pary. - Zniżyła konspiracyjnie głos. - Pływają w powietrzu, a ich stado potrafi pożreć człowieka tak szybko, że zjadają go, nim ciało zdąży się odnowić. Nieszczęśnik, którego zaatakują, może miesiącami próbować odczołgać się dość daleko od doliny, by

w końcu wyzdrowieć.

Pokiwałem głową.

- Uhm. Dzięki. Cóż... to całkiem sprawiedliwe, że my też je zjadamy.

- Są bardzo smaczne.

Ruszyłem dalej, przyglądając się oferowanym na targu towarom. Widziałem wielkie płócienne worki i wysokie plecione kosze pełne czegoś w rodzaju ziarna (z którego, jak zgadywałem, piecze się miejski chleb) - ono przynajmniej wydawało się całkiem pospolite. Gdzieś na drewnianych tacach ułożono poskręcane korzenie, podobne do zdeformowanych, napuchniętych dłoni starych kobiet. Sądząc po tym, co zobaczyłem na tej ulicy, nie wyglądało na to, by nawet do tak dużego ośrodka handlowego trafiało zbyt wiele rozmaitych produktów spożywczych.

Zauważyłem jednak mężczyznę w zaplamionym krwią fartuchu, pchającego taczki brukowanym chodnikiem. Leżał na nich solidny kawał szkarłatnego mięsa z białymi żyłkami tłuszczu i chrząstek. Uznałem, że to mięso jednego z wielkich zwierząt, przeznaczonych dla hominidów, Aborygenów, Indian i innych ludów wywodzących się z czasów sprzed nadejścia Syna, na które polowali dla pożywienia i futer. Jednakże w kształcie zarżniętego stwora było coś niepokojąco antropomorficznego. Mój wzrok powędrował do drzwi, z których wyłonił się przed chwilą człowiek w fartuchu; przytrzymał je przed nim równie zakrwawiony pomocnik.

W witrynie sklepu wisiały na hakach trzy bezgłowe i pozbawione kończyn torsy drewnianych manekinów. Na każdym wypisano jedno słowo i razem tworzyły napis: NAJLEPSZE. MIĘSA. WALSHA.

- O nie - mruknąłem, drepcząc w stronę oświetlonej witryny, nie mogłem jednak się zmusić, by przekroczyć próg sklepu. Ale dotknąłem ręki człowieka kierującego się do

wejścia. - Czy to... Czy tu się sprzedaje ludzkie mięso?

- Nowy?

- Ja? Tak, raczej tak.

Uśmiechnął się.

- W piekle trudno o dobre mięso.

- Ale jeść innych ludzi?! Zabijać innych ludzi?! Czy demony nie dość nas męczą? Jak ludzie mogą robić sobie coś takiego? - perorowałem.

Mężczyzna uniósł pulchne ręce. Był przysadzisty, mocno zbudowany i wyglądał, jakby za życia lubił przegryźć porządny stek.

- Hej, hej... spokój nie... Może są też rzeźnicy sprzedający mięso wbrew woli ofiar, ale nie Walsh. On kupuje swój towar. Nieźle za niego płaci.

- Chcesz powiedzieć... że ludzie sprzedają mu swoje własne ciała?

- Jasne. Czemu nie? Choć odcięcie głowy to naprawdę ciężka sprawa. - Wzruszył ramionami. - Ciało w końcu odrasta, a jeśli rozpaczliwie potrzebujesz gotówki, to dobry sposób, by zarobić trochę grosza.

- To szaleństwo! Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek poniżyłby się do tego stopnia, by sprzedać swoje ciało. A co dopiero zjeść cudze.

- Hej, robimy to, co musimy!

- Ale przecież nie potrzebujemy jedzenia, by przeżyć!

- Tu jest inaczej. Sam się przekonasz.

- Potrzebujemy dumy bardziej niż jedzenia!

- Czyżby? A czemu? Poza tym - machnął ręką, wskazując kciukiem sklep - to nie jest przecież prawdziwe ciało. To tylko złudzenie. Kopia. - Mrugnął porozumiewawczo. - I świetnie smakuje z grilla.

To rzekłszy, precyzyjnie przycisnął przez drzwi swe mięsiste cielsko.

Przytrzymując głowę dłońmi, jakby w obawie, że lada

moment otworzą się w niej dawne rany po postrzale, ruszyłem, potykając się, w głąb ulicy, jak najszybciej mogłem. Na rogu jednak natknąłem się na piekarnię, wystawiającą towary na zewnątrz: kosze i tace pełne bułek, bułeczek, bochenków. Z bliska wydzielaly niebiańską woń. I choć nie musiałem jeść, żołądek ścisnął mi się boleśnie. Podszedłem do kobiety siedzącej za koszami.

- Chcę coś kupić - wyjąkałem - ale nie mam pieniędzy. Bierzecie coś na wymianę? - Przesunąłem torbę przed siebie i zacząłem ją otwierać. - Mam ubrania...

Skrzywiła się ze szczerym współczuciem.

- Przykro mi, ale nie przyjmujemy zapłaty w towarze. Widzisz ten budynek, o tam? Ten z bluszczem?

Podążyłem wzrokiem w ślad za jej ręką. Ponad płaskie dachy ceglanych kamienic wyrastała kolosalna budowla, wzniesiona z czarnego marmuru, z nielicznymi oknami wyglądającymi jak dziury pośród purpurowego bluszczu porastającego jedną ze ścian.

- To jest bank - podjęła kobieta. - Tam dokonują wymiany. Pewnie przyjmą ubrania, jeśli nie są zbyt zniszczone.

- Dzięki - wymamrotałem.

Przez jedną krótką chwilę wyobraziłem sobie, jak kładę głowę na pniu, a mężczyzna w zakrwawionym fartuchu unosi tasak. Czemu jednak w piekle nie mieliby mieć pieniędzy? Za życia stanowiły przecież jeden z najważniejszych powodów troski.

Uznałem, że muszę znaleźć sobie pracę. I choć wszystko we mnie burzyło się na tę myśl, natychmiast przyszła mi do głowy torturownia. To dlatego demony tolerowały istnienie piekarni, targowisk z żywnością i innych podobnych miejsc. Bo, by cokolwiek kupić, trzeba było cierpieć i zadawać cierpienie innym.

Owszem, miałem ubranie na wymianę... lecz mój obecny strój był już podarty, zakrwawiony, przesiąknięty potem, uwalany popiołem, a także bardzo rozbawił pewnego człowieka na równinie głów nieopodal Kaldery, bo jako uniform Uniwersytetu Awern ogłaszał wszem wobec, że jestem tu nowicjuszem. Postanowiłem przebrać się w świeże ciuchy, a to, co zostanie, wymienić. Raz jeszcze przypomniałem sobie, że nie potrzebuję jedzenia, choć ciało sygnalizowało coś innego.

Budynki w tej części miasta stały tak ciasno, że nie znalazłem zbyt wielu uliczek. W końcu jednak natrafiłem na dość szeroką, by mnie pomieściła. Choć demony chodziły nago, z dumą demonstrując swe umięśnione ciała, ja zbyt się wstydziałem, by się przebierać na środku ulicy.

W niewielkim przesmyku uliczki leżały śmieci, odłamki potłuczonego szkła i glinianych naczyń. Był tam też stary człowiek, który, mrugając, spojrzał na mnie spod dużego porzuconego dywanu. Mimo panującego w mieście letniego ciepła, być może będącego skutkiem bliskości nieba lawy, naciągnął go na siebie jak namiot. Pozdrowiłem go skinieniem głowy i zacząłem się przebierać. Nawet w tym zaułku nie mogłem liczyć na odrobinę prywatności.

Włożyłem ciemnobrazowe spodnie, trochę za luźne, jasnobrazowy podkoszulek, także wiszący luźno, oraz czyste skarpety i bieliznę. Stary człowiek wyciągnął rękę ze swego cuchnącego gniazda. Zrozumiawszy należycie ów gest, oddałem mu stare łachy. Potem wróciłem na ulicę, czując się odrobinę lepiej. Jeśli chciałem znaleźć pracę, musiałem jakoś wyglądać. Niestety, na razie nic nie mogłem poradzić na swój zapach. Pociłem się, ale przynajmniej nie musiałem się wypróżniać. Chyba że napiłbym się bądź coś zjadł, a tego właśnie mi brakowało.

Tuż przede mną kobieta zamiatała schody budynku,

wzbijając w powietrze szary obłok; zauważyłem sporo zamiatających osób, a między brukowcami ulic i chodników zalegał drobniuteńki pylisty popiół. Wszystko wydawało się tu zakurzone, nawet mieszkańcy. Zastanawiałem się, czy miasto atakują potężne burze popiołów wulkanicznych; może pochodziły z wulkanu, z którym sam zetknąłem się z bliska.

Przed rozpoczęciem poszukiwania pracy nadal zamierzałem spróbować szczęścia w banku, ruszyłem zatem w tamtą stronę. Skręciłem w kolejną z rzadkich, szerokich ulic. Jej środkiem także biegły dwie szyny, choć jak dotąd nie widziałem tu jeszcze tramwaju ani pociągu.

Dwa sfinksy z czarnego marmuru strzegły łukowatego frontowego wejścia do banku; wyglądały jak dwunogie lwy o orlich skrzydłach, zgrabnych kobiecych piersiach i obdartych z ciała ludzkich czaszkach - z ich obciętych wierzchołków strzelały w powietrze jaskrawofioletowe płomienie. Wspinając się po połyskujących szklistym blaskiem hebanowych stopniach, bałem się, że jeden z olbrzymów ożyje, chwyci mnie i wepchnie w swój ognisty czerep.

Wszedłszy do banku, znalazłem się w wielkiej sali o wysokim sklepieniu. Wzdłuż ścian ciągnęły się niewielkie otwarte boksy. Ludzie czekali w kolejkach na podejście do głównej lady bądź rozmowę w jednym z boksów. Wszyscy pracownicy należeli do potępionych dusz, choć dwóch wojowników demonów, nagich, lecz uzbrojonych w miecze w pochwach i długie włócznie, pełniło straż przy drzwiach frontowych, a dwaj kolejni czuwali u obu krańców długiej głównej lady. W wielkiej czarnej ptasiej klatce, zawieszanej u sufitu niczym uwięzione słońce, spoczywała nieco mniejsza wersja sześciu błogo uśmiechniętych, jarzących się pomarańczowym blaskiem Nadzorców, rozmieszczonych na wieżach okalających miasto.

Obejrawszy z daleka kilka transakcji, zdecydowałem się

na jedną z kolejek. (I to w ostatniej chwili, bo zdaje się, że jeden ze strażników demonów miał właśnie zamiar dźgnąć mnie lancą). Część kasjerów wydawała interesantom niewielkie sakiewki monet, z półek bądź szafek za kontuarem. Sugerowało to, że obywatele mogli bezpiecznie powierzać bankowi swoje oszczędności. (Cóż, skoro pieniądze zdobywało się bardzo ciężko, to logiczne, że należało ich strzec). Inni pracownicy przyjmowali najróżniejsze dobra i w zamian wręczali kolejne sakiewki. Czy bank następnie przekazywał towary bezpośrednio sprzedawcom, dostarczał je do należących do siebie sklepów, wymieniał z innymi miastami, czy może płacił nimi swoim pracownikom? Możliwe, że robił to wszystko, choć podejrzewałem, że w istocie nie ma to znaczenia: bank był tylko środkiem mającym stworzyć pewien porządek, system w mieście. Pieniądze też to potrafią.

Powoli przesuwając się w kolejce, patrzyłem, jak robotnicy za ladą ładują na wozy ubrania, najróżniejsze przedmioty i towary i wloką za drzwi osadzone w tylnej ścianie. Zza jednych z owych metalowych drzwi wyłonił się wielkogłowy demon, pół owad, pół szkielet z kasty administratorów. Uznałem, że to prezes banku, a przynajmniej jeden z głównych szefów, choć nie miałem pojęcia, czy Nadzorcy nie stoją w hierarchii wyżej.

Teraz to było już oczywiste. W odróżnieniu od Kaldery, od początku założonej, zbudowanej i zamieszkannej przez ludzi, Zatrącenie to miasto przygotowane dla potępionych. Demony starają się nie rzucać w oczy, ale w razie konieczności pociągają za sznurki. Nie chciałem jednak wpaść w pułapkę myślenia o nich jako o naszych dobroczyńcach. Musiałem powtórzyć sobie w duchu, że Zatrącenie to nie schronienie, jedynie inna odmiana cierpienia. Dowiedziałem się też, że anioły od czasu do czasu bawi składanie wizyt w

piekle całą armią i toczenie bitew z wybranymi miastami. Gwałcą wtedy i plądrują niczym podnieceni wikingowie. Zatrącenie jest jak misterny zamek z klocków, zbudowany przez dziecko po to, by następnie mogło sadystycznie go rozdeptać.

Szkieletowaty demon oddalił się w upiornie zwolnionym tempie, a potem nadeszła moja kolej. Kasjerka, ładna Azjatka, miała na czole wypaloną literą B, co oznaczało, że jest buddystką. Pokazałem jej, co mam na wymianę: białą damską bluzkę z długimi rękawami, parę czarnych szortów i grubych wełnianych skarpet. Przyjęła je bez protestów, lecz zamiast krąglutkiej sakiewki przesunęła po czarnym marmurowym blacie trzy monety. Podniosłem je z lekkim rozczarowaniem. Na każdej, ciężkiej i szarej, jak odlanej z ołowiu, z jednej strony wybito postać ogniogłowego sfinksa, a z drugiej oko, które skojarzyło mi się z Frankiem Lyre na okładce dziennika. Dopiero po chwili zrozumiałem, że miało oznaczać Stwórcę.

- Jak myślisz, co za to dostanę? Zależy mi na jedzeniu i schronieniu - spytałem kobietę.

- Zależy dokąd pójdziesz. Może trzy noce w hotelu. Albo trzy solidne posiłki.

- Chyba spróbuję to jakoś połączyć. Dzięki.

Wyszedłem z banku, w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać. Byłem zbyt zniechęcony perspektywą i trudami życia w Zatrąceniu, by na razie przejmować się problemem pracy. Błąkając się po mieście, zauważyłem jednak coś więcej niż jedynie torturownię. Były tam warsztaty stolarskie i dymiące kuźnie. Małe fabryki cegieł, z których dobiegały tajemnicze brzęki i łaskoty. Starłem się nie tracić optymizmu: nie mogłem się spodziewać, że zaraz na początku błąkania się po ulicach dopisze mi szczęście. Ale jeśli przetrwam tutaj, to poradzę sobie wszędzie.

Po przejściu kilkunastu przecznic ujrzałem przed sobą monumentalną wieżę, która wyglądała, jakby podtrzymywała ogniste niebo, niczym filar. Podczas gdy większość wieżowców miała okna, za którymi mieszkali obywatele bądź klasa demonów z Zatracenia, w tym nie dostrzegłem nawet jednej szyby. Ściany wieży zbudowano wyłącznie z misternie złożonej czarnej aparatury, pokrytej gęstymi strupami rdzy. Co więcej, ów maszynowy budynek mruczał, brzęczał, dźwięczał, grzechotał, jęczał, dzwonił, syczał, klekotał, grzmiał, przez co wszystko wokół wibrowało. Z wentylatorów rozmieszczonych na wysokich ścianach wylatywała skłębiona para i zwijała się niczym widma umykające z gargantuicznego obelisku.

U podnóża owej metalowej góry stał mały, zbudowany z cegły hotel, wciśnięty pomiędzy dwóch wyższych braci. W środku znalazłem mężczyznę za ladą. Zgodnie z tym, co usłyszałem w banku, dowiedziałem się, że jedna noc kosztowałaby mnie monetę. To właśnie powiedział: „Moneta za noc”. Najwyraźniej pieniądze - bez żadnych na nich napisów ani cyfr - nigdy nie doczekały się swojej nazwy.

- Ach... Na razie poproszę jedną noc. Można tu kupić coś do jedzenia?

- Za monetę możemy przynieść ci talerz rosółu, kawałek chleba i kubek wody.

- Zgoda, poproszę. Dzięki.

Właściciel wezwał z pokoju na zapleczu nastolatkę z przetłuszczonymi włosami, która zaprowadziła mnie do pokoju na drugim piętrze. Widok z jedyne go okna przesłaniał masyw mechanicznego budynku, sprawiającego także, że szyba w oknie wyraźnie drżała. Jednakże obecność łóżka wynagradzała wszystko, mimo mizernego materaca.

Zważywszy na okoliczności, nie mogłem dać dziewczynie napiwku, nie miałem zresztą bagażu. Zatrzymała

się jednak w progu i odezwała po chwili wahania:

- Za jeszcze jedną monetę mogłabym odwiedzić cię dzisiaj.

Wstrząsnęła mną ta myśl, zwłaszcza biorąc pod uwagę wiek dziewczyny. Ale też było mi jej żal. Nie wiedziałem, czy oczekuje tego od niej właściciel, czy robi to sama, by się wyżywić. Nie chcąc jej urazić, uśmiechnąłem się łagodnie.

- Nie, dziękuję - rzekłem. - Jestem... bardzo zmęczony... muszę odpocząć.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zawstydzona, i wyszła bez słowa, pozostawiając mnie, bym mógł opisać wydarzenia i wrażenia mego pierwszego dnia pobytu w mieście Zatracenie.

DZIEŃ 50.

Dziś mam wolne w pracy. Pomyślałem zatem, że powrócę do zaniedbanego dziennika. Lyre chyba ucieszył się na mój widok, bo ponad tydzień spędził w torbie.

Drugiego dnia w mieście włóczyłem się po okolicy, szukając pracy, świadom faktu, że została mi tylko jedna moneta. Wreszcie, pod koniec dnia, znalazłem robotę w fabryce kilka przecznic dalej. Ten zaledwie piętrowy budynek zajmuje mnóstwo miejsca i ma gigantyczny, pojedynczy komin. Nasmołowany dach jest pokryty małymi chatkami i namiotami jak grzbiet upstrzony pchłami, ale większość mieszkańców owych miniaturowych slumsów pracuje dla tej fabryki.

Moja praca sprowadza się do stania przy czymś podobnym do taśmy, oznaczonego białymi kreskami, jak linijka. Tu i ówdzie na taśmie widnieją także czerwone znaczki i, o dziwo, nie są rozmieszczone równomiernie. Kilka może znajdować się całkiem blisko, a potem przez dziesięć minut nie widzę ani jednego. Nie mam pewności, jak długa jest taśma i jak daleko prowadzi w głąb mechanicznych wnętrzności fabryki. Za każdym razem, gdy jeden z owych czerwonych znaczników zrównuje się z czerwoną kreską wytrawioną na krawędzi taśmy, muszę nacisnąć dźwignię. I to już wszystko. Ale, jak mówił szef mojej zmiany, to bardzo ważne zadanie; jeśli się zagapię i przeoczę zaledwie jeden czerwony znak, jedno naciśnięcie dźwigni, wylatuję.

Nie wiem, czemu służy naciskanie przeze mnie dźwigni, nie mam też pojęcia, co produkuje nasza fabryka. Pytałem kilku współpracowników, ale okazali się dziwnie wstrzemięźliwi w odpowiedziach. Jeden rzekł tylko: „Cii”,

inny: „Kogo to obchodzi?”, jeszcze ktoś inny powiedział: „Chyba produkujemy lalki, na mojej taśmie jadą oczy, małe oczy... może ze szkła, a może nie”. A następny wyszeptał do mnie: „To my utrzymujemy przy życiu Stwórcę”. Potem ktoś inny wyjaśnił, że akurat ten robotnik oszalał.

W końcu odkryłem, czym jest kurz na ulicach, tak często wymiatany spomiędzy kamieni brukowych i płyt chodników. Patrzę właśnie na deszcz za oknem: jaskrawą, żarzącą się ulewę lawy z morza magmy nad miastem. Tłucze o zewnętrzny parapet, tworząc małe strumyczki i kałuże. Potem jednak szybko stygnie i rozsypuje się w szary popiół. Pomarańczowy płyn ścieka między kamieniami niczym świetlista sieć, spływa do rynsztoków, przelewa się przez kratki ściekowe. Tak się cieszę, że znalazłem dach nad głową, że mi się poszczęściło i zdobyłem pracę. Żałuję ludzi śpiących w ciasnych bocznych uliczkach i nocujących w namiotach i nędznych szałasach. W istocie nawet w tej chwili słyszę dobiegający z zewnątrz czyjś upiorny krzyk.

Dnia 47. - tak mi się przynajmniej wydaje - wracając z pracy, ujrzałem dwa demony wywlekające mężczyznę z kamienicy. Wypadły z niej właśnie, ciągnąc go za ręce. Oba były płci żeńskiej - jedna miała proste, krótko obcięte włosy, fryzurę w stylu Louise Brooks, twarzową i zarazem nieco absurdalną, a druga splotła swoje w gruby warkocz. Obie zerknęły na mnie, lecz ta z warkoczem patrzyła chwilę dłużej.

Rozpoznałem ją: to była Chara.

I wiedziałem, że ona rozpoznała mnie.

Odciągnęły stamtąd zapłakanego, bełkoczącego bez ładu i składu mężczyznę, a ja podszedłem do grupki wystraszonych sąsiadów, obserwujących cały incydent.

- Co on zrobił? - spytałem.

- Pewnie nic - odparł ktoś. - Czasami po prostu wybierają ludzi losowo i zaciągają do torturowni.

- Czemu?

Mój rozmówca spojrział na mnie oszołomiony.

- Bo jesteśmy w piekle, oto czemu!

Głośny płacz sprawił, że mój wzrok powędrował z powrotem w stronę kamienicy. Ujrzałem kobietę, rozpaczliwie czepiającą się framugi, szlochała głośno.

- To jego żona - poinformował ktoś inny.

- Umarli razem?

- Nie, poznali się tu, w piekle.

Te słowa sprawiły, że znów zacząłem się zastanawiać, czemu nie spotkałem tu nikogo znajomego - nie tylko rodziny, choćby ojca, który zmarł kilka lat wcześniej, ale dziadków, wujów i ciotek, nieżyjących dziadków żony i tak dalej... Gdy moja żona umrze, to, zakładając, że nie trafi do nieba (w co wątpię, bo była agnostyczką, podobnie jak ja, choć może jej nowy chłopak to porządny chrześcijanin, który ocali jej duszę), czy kiedyś natknę się tu na nią? Piekło jest olbrzymie, może nawet nieskończone. A zresztą, nawet gdybym ją spotkał, może być wtedy staruszką, która zmarła na wylew. Ofiarą Alzheimera. Może nawet nie będzie mnie pamiętała.

Tęsknię za nią. Nienawidzę jej. I wiem, że wciąż ją kocham.

Mam dach nad głową. Mam jedzenie. Ale jestem samotny.

Współczuję kobiecie, która patrzyła, jak demony odciągają jej męża, by znosił nieopisane męki. Mam nadzieję, że wkrótce do niej wróci, choć słyszałem pogłoski, że pobyt w torturowni może trwać od kilku dni do nawet wielu lat.

Chara pomogła go zabrać. Jest zła. Nie ma duszy. Jest wrogiem. Nie wolno mi o tym zapomnieć, nieważne jak pięknie wygląda. Nie mam pojęcia, czemu chciałem jeszcze ją zobaczyć.

Deszcz przestaje padać.

DZIEŃ 55.

Po pracy jestem tak zmęczony, że brak mi energii, by pisać. Co prawda, nie jest ciężka, ale za to strasznie ogłupiająca. Jestem tam niemal robotem.

Na mojej taśmie jest jeden zielony znaczek. Chyba tylko jeden, choć może to kilka w dużych odstępach. Czy jakiś inny robotnik stoi gdzieś niedaleko cały dzień, naciskając dźwignię na widok tego z pozoru samotnego znaczka? Oceniam, że widuję go mniej więcej raz na godzinę, i mam straszną ochotę nacisnąć dźwignię, gdy zieleń zrównuje się z czerwonym wskaźnikiem wyrytym na mojej taśmie, tylko po to, by sprawdzić, co się stanie. Gdyby ktoś mi powiedział, że jeśli to zrobię, całe piekło wybuchnie w atomowym ogniu, wyparuje i zniknie na zawsze ze wszystkich poziomów istnienia, zrobiłbym to. Nacisnąłbym guzik. Pociągnął za spust.

DZIEŃ 57.

Ponieważ się nudzę i jestem w zgryźliwym nastroju, uznałem, że każdy dzień tutaj to trzydziesty pierwszy października. Kupiłem więc na targu kilka białych tykw, wydrążyłem je, wyrzeźbiłem w nich złośliwie wykrzywione twarze i wstawiłem do środka pachnące świece. Jedną ustawiłem na stoliku przy łóżku, a drugą w oknie, twarzą na zewnątrz. Z satysfakcją przyglądałem się jej z ulicy. Lubię leżeć na łóżku w pokoju oświetlonym jedynie przez dwie świece w dyniach i patrzeć, jak na suficie i ścianach dygoczą wodniste, ciepłopomarańczowe błonki światła.

Dziewczyna, która tu pracuje, sprząta mój pokój. Po raz drugi pytała, czy chciałbym, żeby odwiedziła mnie w nocy. Znów powiedziałem nie, ale tym razem przyszło mi to trudniej. Piekło tak działa na człowieka. Pozbawia nas odczucia wstydu i oburzenia, które nie odrasta, w odróżnieniu od ciała.

Gdybym znów mógł się zabić, zrobiłbym to.

DZIEŃ 60.

Dziś po raz pierwszy zobaczyłem z bliska aniołów.

Po skończonej zmianie wracałem właśnie do domu i skręcałem w moją ulicę, gdy z daleka dobiegł mnie niski, donośny łoskot. Był zbyt mechaniczny, by dało się go wziąć za grzmot, a zdążyłem już przywyknąć do najróżniejszych odgłosów wydawanych przez mechaniczny wieżowiec, w którego cieniu przycupnął mój hotel/pensjonat - ów dźwięk nie przypominał żadnego z nich. Choć niektóre hałasy wieżowca bywały irytujące i często wyrywały mnie ze snu, ten budził niepokój, bo brzmiał tak, jakby się zbliżał. I wydawał się... znajomy.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio słyszałem ryk silników motocykli. Wielu motocykli.

Uświadomiwszy sobie co to za dźwięk, natychmiast przyszło mi na myśl moje ojczyste miasteczko Eastborough w stanie Massachusetts. Przed kilkunastoma laty mała dziewczynka, jadąca na motorze z tyłu za ojcem, zginęła, kiedy pijany kierowca zepchnął ich na pobocze. Co roku, w rocznicę jej śmierci, miejscowi harleyowcy zbierali się, urządzając ponurą, hałaśliwą paradę przez centrum miasta, aż na cmentarz Pine Grove, gdzie pochowano małą. Tak... Ten dźwięk brzmiał dokładnie tak samo.

Gdy pierwszy motocyklista wjechał z rykiem w moją ulicę, jego wygląd wstrząsnął mną do tego stopnia, że nie zwróciłem nawet uwagi na motor, nie patrząc, czy to model ziemski, czy coś bardziej wyjątkowego, egzotycznego, w jakiś sposób niebiańskiego. Nigdy nie należałem do ludzi śliniących się na widok samochodów, ciężarówek i innych przedłużeń penisa, toteż dla mnie owe motocykle wyglądały jak wielkie,

czarne chromowane owady. O ile jednak motory były czarne, to dosiadający ich przybysze wręcz przeciwnie. Pojąłem, kim są, gdy tylko ujrzałem pierwszego.

Niektórzy nosili mnisie habity z kapturami naciągniętymi na głowy bądź odrzuconymi na plecy. Inni, tak jak pierwszy, woleli wysokie, szpiczaste czapki albo całkiem odsłaniające twarz, albo zakrywające ją tak, że widziałem tylko oczy w dziurach w materiale. Szaty niektórych błyszcząły jak satyna, inne uszyto z prostego płótna, ale wszystkie były nieskazitelnie białe.

Kiedy ostatni przemknął obok, podskakując na brukowanej ulicy, zorientowałem się, że nieświadomie cofnąłem się w boczną alejkę, tak daleko, że łopatkami dotknąłem ceglanej fasady jednego z ponurych, zakurzonych budynków. Kilku aniołów odwróciło zakapturzone głowy, szydząc ze mnie, lecz na szczęście żaden się nie zatrzymał. Zapewne zmierzali w jakieś ściśle określone miejsce. Poza tym wyglądało na to, że zdążyli się już zabawić: u paru z nich na śnieżnobiałych szatach zauważyłem świeże plamy krwi, kilku miało miecze, jak demoniczni wojownicy z Zatracenia, oprócz nich jednak nosili pistolety w kaburach przypiętych do czarnych skórzanych pasów. Większość zabrała też strzelby albo coś, co wyglądało jak karabinki automatyczne, wiszące na plecach, bądź karabiny w futerałach ze sztywnej czarnej skóry, uwieszone siodełek niczym kowbojskie juki.

Przysięgłbym, że u jednego dostrzegłem kuszę.

Ryk szczęśliwie ucichł, ale wciąż czułem obawę na myśl, że nadal pozostawali w granicach miasta, nieważne jak wielkiego. Żałowałem każdego, kto miał zetknąć się z nimi bliżej niż ja. Z początku sądziłem, że kierują się w stronę Ptaszarni.

Ptaszarnia to długa ulica, odkryłem ją niedawno, zwiedzając miasto w rzadkich wolnych chwilach. Ceglane

budynki stojące po obu stronach bardzo przypominały sklepy innych kwartałów, lecz zamiast szklanych witryn miały klatki z drucianej siatki, splecionych lin bądź żelaznych prętów, niektóre surowe i szorstkie jak w celach więziennych, inne bogato zdobione, filigranowe jak balustrady romantycznych tarasów. Towarem wystawianym w owych najróżniejszych ptasich klatkach były jeszcze bardziej zróżnicowane prostytutki. Białe, czarne, Azjatki. Nagie bądź ubrane. Jedne anorektycznie chude, inne tłuste. Siwowłose i podlotki. Kobiety i znacznie rzadziej mężczyźni. Wyglądało na to, że większość mieszkanek tej menażerii przebywa tam z własnej woli. Mrugały do przechodniów, pogwizdywały, nawoływały, odsłaniając piersi bądź rozkładając szeroko nogi, pochylając się i wypinając pośladki. Oprócz nich jednak widziałem także inne - zropaczone, nadęsane czy wręcz przerażone. Najpewniej były to ofiary innych potępionych dusz, wykorzystujących je, tak jak właściciel mojego hotelu wykorzystywał młodą sprzątaczkę. A może po prostu padły ofiarą swych własnych, rozpaczliwych potrzeb. Mimo pełnej poczucia winy przyjemności z otaczających mnie widoków, było to równie odrażające jak ulica ozdobiona wijącymi się ciałami nabitymi na pale. Od tej pory już tam nie wróciłem.

Nie, pomyślałem... aniołowie tam nie pojechali. Gdzie tu zabawa? Lepiej posiąść tych, którzy nie sprzedają swoich ciał. Ścigać kobiety na ulicach bądź bezczelnie wywlekać je z domów i gwałcić na oczach mężów.

Odkryłem, że w piekle sporo ludzi bierze śluby. Sekretnym ceremoniom przewodniczą dawni sędziowie pokoju czy księża, którzy po śmierci przeżyli bolesne przebudzenie. A choć w piekle nie można się rozmnażać, roi się tu od dzieci i często małżonkowie adoptują je jak własne. Podobne zachowania pocieszają mnie, podczas gdy miejsca takie jak Ptaszarnia szybko pozbawiają złudzeń. I

przypuszczam, że właśnie tacy ludzie najczęściej przyciągają spragnionych rozrywek aniołów.

Sam jestem jednak pewien tylko jednego: cieszę się, że ich kawalkada nie zatrzymała się, by zabawić się mną.

DZIEŃ 62.

Czytałem, że czasami ma się wrażenie, że sen trwał bardzo długo, choć w istocie minęło zaledwie kilka minut. A może sekund? Czas: zniekształcony, ściśnięty, upchnięty.

Zeszłej nocy, we śnie, przed oczami przebiegło mi całe życie po życiu.

Z początku byłem chłopcem - żywym - w ogrodzie mojej babci. Na nowo przeżywałem chwilę, gdy ujrzałem modliszkę pełzającą po krzaku bzu. Całkiem o niej zapomniałem, aż do momentu, gdy ujrzałem ją we śnie. Ta modliszka była zielona, nie purpurowa.

W oddali usłyszałem narastający łoskot, jakby nadjeżdżającego pociągu. Pobiegłem na front domu i stanąłem na soczyście zielonym trawniku, osłaniając oczy przed promieniami słońca, gdy obok przemknęła parada motocykli zmierzających z doroczną pielgrzymką na cmentarz Pine Grove... gdzie spoczywa teraz mój ojciec. I gdzie, jak przypuszczam, pogrzebano także mnie.

Nawet we śnie zastanawiałem się, czy podświadomie nie użyłem owych obrazów - modliszki, kawalkady motocyklistów - budując z nich moje własne przeżycia w piekle. Nawet śniąc, zastanawiałem się, czy nie jest to może sen we śnie...

Kiedy ostatni motocyklista zniknął w dali, przekrzywiłem głowę i spojrzałem w słońce. Jego ognisty blask rozlewał się coraz szerzej i szerzej.

Niebo zamieniło się w morze ognia, światło z jaskrawobiałego stało się bardziej rozproszone, czerwonawe. Gdy znów spojrzałem na ulicę, przekonałem się, że pokrywa ją bruk. W miejscu pięknych, starych domów po drugiej

stronie South Street obecnie stała jednolita ściana ceglanych kamienic. Wydawały się niewzruszone i namacalne, ale wiedziałem, że takie nie są. Każda cegła była zrobiona z tego samego eteru co moje ciało, skompresowanego, zgniecionego, po prostu inaczej ukształtowanego.

Patrzyłem, jak jedna z wielu cegieł, w jednym z wielu budynków Zatracenia, zaczyna się wiercić i wynurzać ze swego miejsca. Zaprawa sypała się wokół niczym kurz. W końcu cegła uwolniła się i pomknęła ku memu, obecnie dorosłemu, ciału. Nie próbowałem uskakiwać. Uderzyła w nie z zaledwie lekkim wstrząsem i zniknęła w głębi mojej piersi. Kolejna cegła odczepiła się, i jeszcze jedna, z drugiego budynku, potem następna, z trzeciego. Teraz leciały ku mnie ze wszystkich stron - rozmyte smugi, niczym strzały trafiające świętego Sebastiana, i znikały w moim ciele, a ja rozkładałem ręce szeroko jak skrzydła, przyjmując je.

Mężczyzna przechodzący ulicą odwrócił się nagle, patrząc na dziwne zjawisko. Zaskoczony, zaczął uciekać, lecz jego nogi, zupełnie jakby pozostawały pod moją kontrolą, skreśliły i posłały go ku mnie. Wbiegł na mnie i gdy się zderzyliśmy, poczułem jakby omiotła mnie lekka mgielka. Mężczyzna zniknął, a ja rozłożyłem szerzej ręce. Stały się dłuższe. Byłem wyższy. Miasto mnie karmiło.

Zza rogu wybiegła kobieta, przyciągana wbrew woli, pędząc wprost w moje objęcia. Pochłonałem ją. Brzęknęła wybita szyba i ku mnie pomknęło niemowlę. Przyjąłem je na swoje łono.

W ulicę wjechała grupa rozpędzonych aniołów. Kolejno skakali ku mnie i po chwili byłem już wyższy niż hotel, w którym mieszkam.

Teraz pędziły ku mnie rzesze, wpadając na siebie, uderzając o mnie niczym fale. Demony. Szukałem Chary, ale w tym chaotycznie wzburzonym oceanie, nie dało się

wypatrzeć pojedynczych twarzy.

Skoro mamy moc odtwarzania ciał, to czemu nie kształtowania naszych własnych komórek? I tak wszyscy obywatele Zatracenia, wszyscy mieszkańcy piekieł nakazywali naszym komórkom się połączyć. Czy nie powinniśmy mieć zatem także jednego, anonimowego, wspólnego umysłu? Nadal jednak rozpoznawałem w nim siebie, moją świadomość, osobowość i jaźń. Pozostali znikali, gasnąc we mnie, zasilając moje ciało. Czyżbym był potężniejszy od nich? Nie. Nagle doświadczyłem objawienia. Oświecenia...

To dlatego nie spotkałem w piekle nikogo znajomego. Nikogo o kim słyszałem. Żadnych postaci historycznych, sław, członków rodziny. Te miliony, miliardy ludzi nie zatracały się we mnie. Powracały do domu.

Z chwili na chwilę pochłaniałem, gromadziłem w sobie wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci - wszystkie demony, anioły, modliszki - w piekle. Każde z nich, wchłonięte, przetworzone, stawało się częścią mnie, kolejną komórką mego ciała, które rosło, coraz większe i większe, jak ocean powstający z połączonych kropel deszczu, padającego nieprzerwanie, niczym ulewy u zarania Ziemi. Rozrastałem się, rozszerzałem, olbrzym wyższy niż sześć wież z jaśniejącymi kulami Nadzorców, wyższy niż drapacze chmur. Przebiłem głową sklepienie jaśniejącej lawy. Za nią rozciągała się tak oślepiająca jasność, że z początku sądziłem, iż nadal tkwię w rozżarzonych do białości skałach. Ale nie. To było światło. Potem pomyślałem, że jestem w niebie. Nie. Jeszcze nie. Może w ogóle... Nadal rosłem coraz wyżej i wyżej, jakbym wsysał materię przez podeszwy stóp. Pojąłem jednak, że moje ciało z ektoplazmy zatraciło złudzenie kształtu, fizycznej substancji. I gdy to się stało, dla odmiany świetlista otchłań wokół mnie sama zaczęła jej nabierać, jakby z kolei

posiłała się mną.

W negatywie kosmosu zapłonęły czerwone gwiazdy. Potem ujrzałem jedną z nich z bliska: błyszcząca, czerwona planeta, gładka jak rzeczny kamyk. Kolejna w oddali, za nią... także jasna, lecz ciemnoczerwona. Następna, tak blisko, że widziałem jej siostry odbijające się w szklistej powierzchni (choć nie dostrzegalem obrazu własnej, widmowej twarzy). Coraz więcej i więcej planet, więcej niż w całym wszechświecie.

Wkrótce otoczyły mnie zewsząd. Jednakże w miarę jak rosłem nadal (w końcu nie czułem już twardego gruntu pod stopami - albo wzleciałem w górę, albo też rozplynał się przede mną) gwiazdy i planety nieco się oddalały. Było ich tak wiele, że zaczęły się zbijać w gromady, galaktyki. Pośród nich zauważyłem planety innych barw. Białawe. Szare. To mogły być asteroidy, miały bowiem mniej regularne kształty niż gładkie czerwone kule. Czerwone ciała niebieskie...

Otoczające mnie światło przestawało mnie oślepić. Teraz widziałem już coś poza czerwonymi konstelacjami, plamę nabierającą cienia i barwy. Ciało przybierające kształt, w miarę jak ja traciłem mój, stając się czystą mocą, esencją. Wiedziałem czyje to ciało. Nie bałem się już wymówić Jego imienia. Stałem się zbyt potężny, by się obawiać odpowiedzi, kary. Poza wiszącymi w powietrzu gwiazdami pojawiała się postać Stwórcy.

Znalazłem się w obecności Boga.

Boga, który nie tyle stał za czerwonymi gwiazdami, ile pod nimi: najwyraźniej wznosiłem się ponad Jego wciąż niewyraźną głowę. Szkarłatne galaktyki przesłaniały go niczym woal. A choć rozrosłem się do tytanicznych rozmiarów, On był jeszcze większy. Jednak... Czyżbym oszukiwał samego siebie, wyczuwając w sobie większą moc? Jego moc słabła, podczas gdy moja rosła? On tkwił uwięziony

w gigantycznej, wystrzającej się postaci, a ja uwalniałem się, stawałem swobodnym duchem? Czerwone planety pode mną były tak odległe, że bardziej przypominały mgłę niż galaktyki. Mgłę zawieszoną w jednej, niewiarygodnie rozciągniętej chwili czasu. Czasu, który stał w miejscu.

Stał w miejscu jak obraz wybuchającego wulkanu, rozbryzgującego na wszystkie strony krople czerwonego ognia. Głowa Boga również pozostawała nieruchoma. Ona także wybuchła jak wulkan. Głowa Boga otworzyła się niczym kwiat, wypuszczając chmurę pyłku. Jego aureola była chmurą krwi, zorzą polarną posoki, zawieszonej w powietrzu i czasie, ale ja nie byłem zawieszony, poruszałem się, wciąż rosłem, wznosiłem się ponad wszystko... Miałem zostawić to wszystko za sobą, pod sobą, tak małe i odległe, że o tym zapomnę. Wówczas nie będzie już nawet otaczającego mnie światła. (Błysk ognia z lufy, także zatrzymany w czasie?). Nawet światło było czymś. Ja jednak odrzucę je niczym kokon. A potem będzie już tylko ciemność i słodka nicość: jedyne niebo, jakiego łaknąłem, w jakie wierzyłem, jakie wymyśliłem.

Wreszcie... po tak długim czasie... po wszystkich cierpieniach na Ziemi... po mękach piekielnych, choć teraz wiedziałem, że trwały one zaledwie ułamek milisekundy, w umyśle rozpadającym się w kalejdoskopicznym obłędzie tuż przed śmiercią... byłem wolny. Przepełniał mnie spokój.

Odrodziłem się w nicości. Byłem feniksem zatracenia.

Byłem umykającą myślą i duszą Boga samobójcy...

...Ale kiedy się obudziłem, ujrzałem nad sobą popękany gipsowy sufit, tak oczywisty, przyziemny. To tylko złudzenie, że wszystko to było złudzeniem. To tylko sen, że wszystko to było jedynie snem. Czy raczej sufit istotnie był złudzeniem, ale chronił mnie przed złudzeniem deszczu lawy. A głód trawiący wnętrzności był jedynie złudzeniem, musiałem

jednak wstać i przekąsić iluzoryczny chleb, wypić wyhalucynowaną herbatę.

Moja głowa nigdy tak naprawdę, dosłownie nie zrosła się po śmiertelnym strzale. Mimo to jednak podniosłem ją z poduszki, by móc zjeść śniadanie i napisać te słowa.

DZIEN 64.

Od kilku dni trzyma mnie jakieś choróbsko, coś jak grypa; zaczęło się od zwykłego przeziębienia, ale teraz mam gorączkę, kręci mi się w głowie i czuję ostry ból w okolicach nosa i wokół jednego oka, jakby z zatok. Od przybycia do piekła widywałem ludzi z wysypkami, wrzodami, kaszlem, katarrem, plujących flegmą, wymiotujących na ulicach. Czy nasze dolegliwości są także iluzją, psychosomatycznym złudzeniem? Czyżbyśmy wszyscy byli hipochondrykami, wmawiającymi sobie poszczególne choroby? A może Stwórca produkuje nie tylko mięsożerne kraby i pływające w powietrzu węgorze, ale też demoniczne mikroorganizmy, by tortuowały nas od wewnątrz? Zeszłej nocy nawiedził mnie gorączkowy sen, zainspirowany obrazem piętnastowiecznego artysty, którego reprodukcja w jednej z książek rodziców fascynowała mnie i przerażała w dzieciństwie. Obraz ukazywał świętego Antoniego dręczonego przez niezwykle dziwaczne, barwne demony, które szarpały go za ubranie i włosy, drapały, unosiły pałki do ciosów. Wyobraziłem sobie owe demony wewnątrz mego ciała, atakujące komórki krwi, wgryzające się w nie, rozdzierające na strzępy. Mikroskopijne wampiry.

Lecz mimo fatalnego samopoczucia czułem, że muszę wyjść wieczorem z klaustrofobicznie ciasnego mieszkania, toteż powlokłem swe żalosne truchło do knajpki, którą odkryłem niedawno podczas spaceru.

Nazywa się po prostu „Błękit” - Myślę, że gdyby ktoś w Zatraceniu nazwał swój lokal „Piekielnie Dobry”, „Diabelska Kuchnia” czy jakoś podobnie, w humorystycznym stylu, wkrótce spaliłby go pozbawiony jakiegokolwiek poczucia

humoru tłum.

Cały lokal to w istocie jedna duża ciemna sala o niskim suficie. Oświetlają ją głównie gazowe płomyki w szklanych, otwartych u góry kulach, osadzonych w nierównych kamiennych ścianach. Pozbawiony zapachu, syczący gaz jest niebieski - stąd spowijający wszystko błękitnawy blask, a także nazwa knajpy.

Słyszałem, że w Zatraceniu działają tajne przybytki - tak naprawdę bimbrownie - w których można kupić bimber, księżycówkę czy jak tam nazywają półtrujące napitki warzone na czarnym rynku. (Słyszałem też, że w Zatraceniu można dostać narkotyki, ale nawet za życia nigdy mnie do nich nie ciągnęło). Lecz do „Błękitu” można wejść prosto z ulicy, toteż nikt tu nie ryzykuje. Istnieją też miejsca, w których można kupić stek z mięsa jednego ze zwierząt stworzonych dla neandertalczyków i im podobnych, nie z ludzkiego. Ale jeśli ktoś z nas, którzy mogliśmy doznać oświecenia przez jedyne dziecko Stwórcy, zostanie przyłapany na jedzeniu go bądź kupowaniu, może się spodziewać surowej kary. Z tego co słyszałem, typową jest pożarcie żywcem przez pawiano-demony.

Toteż w „Błękitcie” sprzedają potrawy z ludzkiego mięsa (ale nie mnie; wciąż jeszcze się nie zламаłem i mam nadzieję, że to nigdy nie nastąpi). Do picia podają zimną wodę, sprowadzaną do Zatracenia spoza granic podziemnymi rurami. (W Zatraceniu pada z nieba lawa, nie woda, bo nie ma tu chmur zasnuwających ognisty firmament). Sprzedają też sprytną mieszankę imitującą kawę, niemal tak dobrą jak najgorsza dekofeinowana jaką piłem za życia, wodnistą, słabą i gorzką, ale przynajmniej gorącą i czarną. Znacznie lepszy jest grzany cydr, smakujący jak marka instant, którą kupowałem też za życia. Jasne, nie dorównuje prawdziwemu grzanemu cydrowi, ale przywołuje nostalgiczne wspomnienia.

Tego wieczoru zamówiłem go sobie, rozkoszując się chwilą, gdy aromatyczna para omiotła mi twarz, zupełnie jakby mogła przeczyścić zatoki. Siedziałem pochylony przy małym, lepiącym się stoliku, w kamiennym kącie przypominającym jaskinię.

Kiedy zajrzałem tu po raz pierwszy, na niewielkiej scenie dwóch muzyków grało na misternie odtworzonych lutniach. Inny klient poinformował mnie, że umarli kilkaset lat wcześniej. Kiedy grali, jedna z kobiet przy stoliku obok rozplakała się cicho.

Dziś muzyków nie było. Miałem nadzieję załapać się na występ jazzowy, sporo o nich słyszałem. Ale musiałem zadowolić się przeżuwaniami sałaty, sączeniem drinka i podsłuchiwaniami toczących się wokół rozmów. Bliskość innych, ich śmiech, atmosfera bliska normalności dodawały mi otuchy, nie pragnąłem jednak zbliżyć się do nikogo z obecnych. Za życia zawsze byłem pełnym rezerwy introwertykiem. To typowe cechy pisarza. Ale tu stałem się jeszcze większym samotnikiem. To wciąż skutki szoku. Moja dusza nawet po dwóch miesiącach wieczności nadal miota się bezradnie. W pracy opierałem się próbom kilku kolegów, usiłujących się ze mną zaprzyjaźnić. Lecz nie jestem pod tym względem wyjątkiem: hałaśliwe, roześmiane, przyjacielskie typy są tu w zdecydowanej mniejszości. Większość z nas wędruje przez kolejne dni, szurając nogami i obdarzając się nawzajem najwyżej cieniami uśmiechu. Chodzący ranni.

Nie usłyszałem odgłosu otwieranych drzwi, zauważyłem jednak nagłą ciszę, która zapadła, przerwanie rozmów i śpiewów, i to sprawiło, że obejrzałem się ku wejściu. Na progu stała demonica, natychmiast poznałem jej twarzową fryzurę przypominającą Louise Brooks w „Lulu”: krótkie, błyszczące czarne włosy z grzywką zasłaniającą brwi. To ją widziałem z Charą jakiś czas temu, chyba dnia 47.; wywlekały

wtedy człowieka z jego domu. I faktycznie, za Lulu weszła do środka Chara we własnej osobie. Włosy ponownie splotła z tyłu w gruby warkocz, tak jak tamtego dnia.

Obie demonice miały na sobie jedynie szerokie skórzane pasy z uwieszonymi mieczami. Broń Lulu, krótka, o szerokiej klindze, przypominała gladius rzymskiej piechoty. Chara wolała miecz smuklejszy i bez wątpienia obosieczny, koniuszek pochwy niemal dotykał podłogi.

Ale nie przyszły same. Za nimi do środka wmaszerowało dwóch aniołów. Drugi zamknął za sobą drzwi. Teraz w lokalu naprawdę zapadła cisza.

Jeden z aniołów miał na sobie białą szatę z kapturem, który odrzucił, odsłaniając łysiejącą głowę, drugi nosił białą, stożkową, szpiczastą czapkę. U żadnego nie zauważyłem mieczy, podobnych do tych, które miała część motocyklistów, ale obaj byli uzbrojeni w tkwiące w kaburach u pasów pistolety. Brzuchaty, łysiejący anioł miał dodatkowo na ramieniu broń przypominającą izraelski karabinek szturmowy Galil, podobny do AK-47, ze szkieletową, metalową kolbą na zawiasach. Wyższy i chudszy, ze stożkiem jeszcze dodającym wzrostu, zdecydował się na pistolet automatyczny MP5 Hecklera & Kocha, o charakterystycznej, krótkiej lufie i długim magazynku. Podobnie jak liczni Amerykanie, za życia nieco interesowałem się bronią; ostatecznie miałem w domu znakomitą strzelbę Ithaca 12, która stała się moją przepustką do piekła.

Teraz przyglądałem się najpierw brzuchatemu gościowi, a potem wysokiemu, o policzkach pokrytych bliznami po trądziku, zastanawiając się, czemu właściwie aniołowie po przybyciu do nieba nie zamieniali się wszyscy w Melów Gibsonów bądź Tomów Cruise'ów. Wygląda na to, że nawet tam ludzie muszą zadowalać się dokładną repliką swego ciała za życia. Z drugiej strony, czy Stwórca naprawdę zaludnia

niebo miliardami przykutych do łóżka staruszków? Może przynajmniej mogą wybrać wiek, w którym dokonują zmartwychwstania.

Z początku, z mieszaniną zdumienia, niesmaku i czegoś, czego nie potrafiłem nawet nazwać zazdrością, bo za bardzo się jej wstydziłem, pomyślałem, że dwie diabllice towarzyszą aniołom w wycieczce po mieście. Wkrótce zrozumiałem, jak bardzo się myliłem.

- Hej, ty tam - rzucił niższy, próbując złapać brzeg jednego ze złożonych skrzydeł Chary. - Czemu nie chcesz ze mną porozmawiać, panienko?

- Motylki próbują uciec - dorzucił wyższy. W jego głosie dźwięczał wyraźny akcent z południa, jeszcze mocniejszy niż u towarzysza.

- Mm-mm - przytaknął pierwszy, drepcząc za dwiema kobietami do stolika niedaleko baru. Z premedytacją wybrały taki z dwoma krzesłami, nie czterema. Stał nad nimi, gdy zajęły miejsca. - Co pan woli, panie Franklin? - spytał. - Skrzydełko, pierś czy udko?

Chara w końcu uniosła wzrok ku dwóm turystom, jej niski głos był lodowaty, lecz opanowany.

- Może zainteresuje panów wizyta w Ptaszarni? To niedaleko stąd, mają otwarte całą noc.

- Wiemy gdzie jest Ptaszarnia.

- Znamy, próbowaliśmy - dodał Franklin, wyższy.

- Nie próbowaliśmy natomiast - podjął łysiejący anioł - czegoś nieco... pikantniejszego.

To rzekłszy, bezczelnie wyciągnął rękę i chwycił jedną z piersi Chary. Sądząc z tego, jak miękkie ciało przelewało mu się między palcami, zrobił to raczej mocno.

Chara ujęła jego przegub i odsunęła dłoń, stanowczo, lecz nie zadając bólu. Dostrzegłem napięte ścięgna jej szyi, niczym podpory mostu, na czole pulsowała żyłka podobna do mego

piętna w kształcie litery A.

- Jeśli wolno, chłopcy - rzuciła przez obnażone zęby - byłybyśmy wdzięczne za nieco szacunku.

- Szacunku? Szacunku? - Anioł wybałuszył oczy, patrząc na przyjaciela z przesadnie wstrząśniętą miną. - Anioł miałby szanować demoniczną kurwę, która obnaża swoje ciało jak w pieprzonym obozie dla nudystów? Słyszał pan, co mówi ten stwór, panie Franklin?

- Ja tam uważam, że te diabelskie suki powinny traktować nas ze znacznie większym szacunkiem, panie Butler.

Butler pochylił się, patrząc w białą jak u gejszy twarz Chary.

- Wy, bezduszne diabełki, jesteście tylko nakręcanymi zabawkami mojego Ojca, wiesz? Ale pan Franklin i ja jesteśmy jego dziećmi. Lepiej, żebyście o tym nie zapomniały.

Chara odwróciła głowę, zaciskając zęby. Jej pełne usta wygięły się w grymasie.

- Słyszałaś? - naciskał Butler, niczym ojciec upominający dziecko.

- Proszę im powiedzieć, żeby poszły z nami, panie Butler - rzucił wyższy.

- Słyszałaś, co mówi pan Franklin? Jesteście służebnicami mojego Ojca. To oznacza, że jesteście też moimi służebnicami. To oznacza, że mogę wam rozkazać, żebyście poszły z nami do hotelu.

Kelner podszedł nieśmiało do stolika, wyraźnie się zastanawiając, czy powinien przyjąć zamówienie. Franklin spojrział na niego martwymi, pustymi oczami i tamten błyskawicznie skreślił w stronę innego stołu.

- Spytałem po raz ostatni. - Butler niemal wypluł te słowa, tym razem chwytając w garść warkocz Chary i szarpnięciem odwracając ku sobie jej głowę. - Słyszysz, co powiedzia...

I wtedy Chara obróciła się gwałtownie, uderzając przegub

Butlera przedramieniem tak, że puścił jej włosy.

- Ty pierdolona suko! - wrzasnął Butler, bardziej z zaskoczenia niż bólu, i cofnął się o krok.

Widziałem, jak jego mięsista dłoń wędruje do pistoletu na biodrze... Zerwałem się na równe nogi.

- Zostawcie je w spokoju! - krzyknąłem.

Jeśli w kawiarni wcześniej zapadła cisza, to teraz zamieniła się w grootę pełną nieruchomych posągów. Klienci gapili się na mnie zza stolików i baru. Dwaj aniołowie, Butler i Franklin, oszołomieni, spojrzeli w moją stronę. Podobnie dwie demonice, Chara i jej partnerka.

- Co ty powiedziałeś? - wystękał Butler. - Ty... nie mówisz chyba do mnie, co?

- Lepiej ich nie zaczepiajcie, bo... możecie mieć kłopoty.

- Ja także się zająknąłem, choć starałem się przemawiać ostrym tonem i stanowczo.

- Kłopoty? Niby z kim, ty pierdzielony, cmentarny robalu? Jestem aniołem! - Tłusta twarz Butlera poczerwieniała gwałtownie. Wyrwał glocka z kabury tak szybko, że o mało nie wyleciał mu z ręki. Chwilę później broń celowała już w moją twarz. - Najpierw muszę znosić fochy tej zdziry, a teraz mam jeszcze słuchać, jak taki śmieć tak do mnie gada?

- Zastrzel tego skurwiela - syknął Franklin.

- Zastrzelić to za mało. Osobiście zabiorę bydlaka do najbliższej torturowni i dopilnuję, by go nigdy stamtąd nie wypuścili. Słyszysz, diabłolubie? - Z ust bryzgały mu kropelki śliny, niczym jad. - Będziesz tkwił w maszynie do mięsa od dziś aż po dzień sądu.

- Dzisiaj jest dzień sądu - oznajmiła Chara, podnosząc się z krzesła i dobywając miecza jednym wdzięcznym, płynnym ruchem. Błysnęła jasna stal.

Nagły świst. Solidny łoskot. Mokry rozbryzg na podłodze, gdy ostrze przecięło czaszkę anioła tuż nad

brwiami. Łysiejący czubek głowy poleciał na najbliższy stolik i upadł do góry nogami, kołysząc się niczym miska.

- Kurwa! - rzuciła dolna część głowy Butlera.

- Szlag! - Franklin cofnął się szybko, zsuwając z ramienia Hecklera & Kocha.

Lulu - tak przynajmniej o niej myślałem - zerwała się z krzesła, wyszarpnęła z pochwy krótki miecz i wyćwiczonym ruchem cisnęła nim we Franklina. Ciężka klinga wbiła się w sam środek piersi anioła, nawet z daleka usłyszałem głośny trzask pękającego mostka. Franklin poleciał parę kroków do tyłu i zachłysnął się przeraźliwie.

Głowa Butlera zamieniła się w wulkan, czerwona lawa kipiała w nim, ściekając po zboczach. Pod zasłoną posoki jego oczy płonęły białą furją i bólem. Dłoń z bronią opadła, potem jednak uniosła się ponownie, celując w Charę.

Ta jednak jeszcze nie skończyła, jej klinga się nie zatrzymała. Zakreśliła w powietrzu gładką ósemkę i po pierwszym cięciu, które rozplatało czaszkę anioła, zawróciła i powędrowała w górę pod kątem.

Tym razem ostra jak brzytwa krawędź trafiła Butlera prosto w gąbczastą szyję. To, co pozostało z głowy, zleciało z ramion i wpadło do kaptura, który pochwycił resztki czaszki, niczym wiklinowy kosz pod gilotyną. Butler zachwiał się, zdołał wystrzelić - kula, nie czyniąc nikomu krzywdy, trafiła w podłogę - a potem runął na ziemię.

Przykucnąłem za stolikiem. Mój wzrok wędrował tam i z powrotem, od jednego do drugiego zakrwawionego anioła.

Franklin zdążył już się wyprostować po błyskawicznej reakcji Lulu. Choć miecz nadal sterczał mu z piersi, nie zgubił swej szpiczastej czapki. Teraz Lulu została bez broni, a jego oczy znów stały się śmiertelnie puste i martwe, gdy przycisnął do policzka kolbę karabinka.

Do połowy rozkładając skrzydła i opadając ku niemu

niczym rozwścieczony smok, Lulu rzuciła się na byłego człowieka. Już odtrącała lufę broni, sięgając ręką ku jego gardłu, gdy Franklin pociągnął za spust.

Nagła eksplozja strzałów zabrzmiała ogłuszająco, w zamkniętym pomieszczeniu atakując moje uszy. Zamiast trafić w sam środek ciała, pociski z odtrąconej broni przebiły pierś demonicy z boku... Mimo to ujrzałem kilkanaście ran wylotowych otwierających się na plecach. Jedna z kul wyrwała dziurę w błonie skrzydła.

Dopiero wtedy poznałem prawdziwe imię Lulu, bo Chara ryknęła:

- Verdelet!

Siła strzału obróciła Verdelet, ale kobieta demon utrzymała się na nogach.

Franklin swobodnie uniósł broń do ramienia, mierząc ponownie, jak do dzikiego indyka.

Chara skoczyła ku niemu, unosząc broń, jej skrzydła także rozłożyły się niczym wydęta, poszarpana peleryna.

Druga, krótka seria z automatycznej broni bez żadnych przeszkód trafiła Verdelet prosto w twarz i przebiła jej czaszkę na wylot, w nagłej eksplozji krwi i odłamków kości. Kawalki tkanki z pozlepianymi krwią włosami posypały się na okoliczne stoły.

Ułamek sekundy później miecz Chary świsnął w powietrzu, trafiając Franklina z góry prosto w głowę (błazeńska czapka nie stawiała najmniejszego oporu) i rozcinając ją na pół tak daleko, że gdyby wgryzł się jeszcze parę cali, trafiłby na klingę Verdelet, wciąż tkwiącą w mostku anioła.

Franklin upadł. Wydało mi się, że widzę, jak jedno z jego oczu w połówce rozszczepionej głowy obraca się ku Charze, która stanęła nad nim i zamachnęła się ponownie. Tym razem cięła w rozpołowione gardło, odrabując rozplataną czaszkę od

szy, nim dwie połówki zdążyły się zrosnąć. Zazwyczaj po ścięciu, tak jak w przypadku Caroline, to z głowy odrasta reszta ciała, podczas gdy korpus gnije... Ale w przypadkach takich jak mój i tych dwóch aniołów, po poważnych uszkodzeniach czaszki, zamiast tego zmartwychwstaje ciało. Widziałem, jak dłonie Butlera zaciskają się i rozluźniają, gdy leżał na podłodze. Wiedziałem, że aniołowie regenerują się co najmniej dwa razy szybciej od potępionych. Przysięgłbym, że słyszałem wilgotny szelest, gdy z wydłużającego się kikuta szyi Butlera zaczynała wyrastać nowa głowa. Pocieszała mnie tylko świadomość, że aniołowie także cierpieli niewiarygodne katusze ożywiania, zachowali bowiem wszystkie ziemskie zmysły po to, by móc w pełni napawać się seksem, jadłem i napitkiem, a ból stanowił zachętę, by jak najlepiej radzili sobie w wojennych zabawach z piekłem.

Tylko ja i Chara pozostaliśmy na nogach. Oboje patrzyliśmy na Verdelet. Jej twarz zniknęła, zamieniona w jedną wielką ranę, głowę otaczała rosnąca kałuża czarnej krwi. Demony potrafią znieść obrażenia, które zabiłyby śmiertelnika, dowiodła tego sama Chara. Tym razem uszkodzenia okazały się jednak zbyt rozległe. Mimo ich niewiarygodnej siły, pod tym względem byłem lepszy od demonicznych wojowniczek, upadłych aniołów. Verdelet nie żyła.

Wokół mnie rozległ się tupot. „Błękit” szybko opustoszał, przerażeni klienci umykali na ulicę. Nawet nie zamierzam żartować i nie napiszę, że za to niewiarygodne starcie z dwoma aniołami na wakacjach trzeba będzie zapłacić diabłu wysoką cenę.

Spojrzeliliśmy na siebie z Charą. Ból i tęsknota na jej twarzy niemal łamały mi serce, ale zmieszana z nimi złowieszcza nienawiść sprawiła, że oprócz współczucia poczułem lęk.

- Idź! - syknęła do mnie.

- Ty lepiej także znikaj - odparłem.

Kopnęła glocka, którego upuścił Butler. Broń poleciała ślizgiem po podłodze i zatrzymała się obok mojej stopy.

- Idź - powtórzyła.

Jeszcze chwilę patrzyłem jej w oczy, po czym ukląknęłam, żeby podnieść pistolet. Wsunąłem go za pasek i zasłoniłem kolbę koszulą. Przy okazji wyrwałem z kabury pistolet Franklina i również ukryłem go za paskiem spodni. Kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem, że Chara zdążyła już schować miecz i podnosi z podłogi Hecklera & Kocha.

Wilgotne, obrzydliwe dźwięki dobiegające od strony truchła Butlera stały się jeszcze głośniejsze. Podobne wydawało teraz także ciało Franklina. Na ramionach Butlera pojawiło się zgrubienie - bryła tkanki, połyskliwa, czerwona kula głowy płodowej, doczepionej do dorosłego ciała. Dłonie obu zaciskały się i rozluźniały, ich nogi zaczęły się powoli trząść i pedałować. Butler wyglądał jakby zbierał siły, by podnieść się z podłogi.

- Już - rozkazała Chara, wskazując bronią drzwi.

- Przyjdź do mnie! - rzuciłem.

- Po co?

- Żebyśmy mogli o tym porozmawiać, mieszkam...

- Wiem, gdzie mieszkasz. - Stanęła w rozkroku nad Butlerem, celując z karabinka w rosnącą głowę anioła. - Wynoś się stąd!

Tym razem posłuchałem i przebiegłem przez pustą knajpkę do stojących otworem drzwi. Nie obejrzałem się, nawet gdy usłyszałem serię z karabinu. To Chara wyładowywała swe frustracje, dając mi czas na ucieczkę. Usłyszałem jedną długą serię, a potem kolejną, gdy zajęła się Franklinem. Nawet przecznicę dalej wciąż słyszałem strzały. Byłem pewien, że Chara opróżniła już magazynek Hecklera &

Kocha i przerzuciła się na galila, szpikując obu aniołów kulami, by jak najbardziej spowolnić i unieprzyjemnić proces odżywiania. Odległe echo sprawiło, że poczułem się tak, jakbym się znalazł na wojnie.

DZIEN 65.

Jakaś część mnie spodziewała się, że Chara odwiedzi mnie zeszłej nocy, gdy zamieszanie nieco ucichło. Nie zrobiła tego. Przypuszczam, że głupotą było sądzić inaczej.

Ale kiedy chciałem jej powiedzieć, gdzie mieszkam, odparła, że wie. Nawet jeśli biuro kontrolne demonów rejestrowało każdy ruch mieszkańców Zatracenia, a poważnie w to wątpię, czemu akurat Chara miałaby wiedzieć cokolwiek o mojej obecnej sytuacji? Chyba że mnie sprawdziła. Albo, co bardziej realistyczne i jednocześnie nieprawdopodobne, śledziła mnie któregoś dnia w drodze powrotnej do hotelu.

Po ponownym przeczytaniu wczorajszych zapisków i próbie odtworzenia sekwencji wydarzeń w „Błękanie”, musiałem zadać sobie pytanie, czy Chara zaatakowała aniołów z czystej pogardy i oburzenia za to, jak ją potraktowali, czy też po to, by chronić mnie przed groźbą odprowadzenia do ośrodka tortur. Oczywiście jedno i drugie. Ale nie zaczęła działać, dopóki Butler nie wycelował broni w moją twarz. Rzecz w tym, że doszedłbym do siebie po ranie postrzałowej, przeżyłbym nawet lata cierpień w torturowni, ale gdyby ona dostała kulę w twarz w czasie walki, nie przeżyłaby. Zginęłaby tak jak Verdelet. Mam tylko nadzieję, że Chara nie żałuje teraz, że mnie obroniła. Nie żywi do mnie urazy za śmierć partnerki.

Dziś rano poszedłem do pracy jak co dzień, choć po drodze oglądałem się często przez ramię, spodziewając się, że lada moment zza rogu wyłoni się banda aniołów na motorach - piekielnych aniołów - złaźnionych zemsty za to, w czym brałem udział.

Po długiej, ogłupiającej zmianie, mój kolega z pracy,

Larry, uparł się mnie odprowadzić, choć usilnie starałem się ugasić jego niemal psi entuzjazm. Wobec ciągłych próśb o przyjaźń, poczułem się jak kobieta zmęczona natrętnym zalotnikiem. Chciał skoczyć coś zjeść, a ja pragnąłem jedynie ukryć się w moim małym azylu, zjeść śniadanie, zapalić świece w tykwach na kolejny z niekończącej się serii halloweenowych wieczorów.

- Hej - rzucił Larry, niemal rozpaczliwie próbując mnie czymś zainteresować. - Słyszałeś, że złapali pięciu gości, którzy zgwałcili demonicę i ukrzyżowali ją na drzewie? Podobno torturują ich publicznie... chcą, by to było przestroga dla innych.

W końcu udało mu się przyciągnąć moją uwagę. Stałem jak wryty i odwróciłem się do niego.

- Skąd to wiesz?

- Od Jarroda. Widział ich wczoraj. Są wystawieni na widok publiczny. Jarrod słyszał, że za to, co zrobili, będą ich tam trzymać wiele lat.

- W której są torturowni?

- Też obok przetwórnii śmieci. Może skoczysz tam ze mną i zobaczysz?

- Tak... jasne. Chodźmy zerknąć.

- Super!

Żeby znaleźć przetwórnnię śmieci, wystarczyło kierować się węchem. Była wielka, zatrudniała setki ludzi, wołałem nie zastanawiać się, na czym polega ich praca - choć słyszałem, że czasami obywatele przykuwa się w głębi przetwórnii, zmuszając ich do zjadania odpadków. To rodzaj kary. Może przysyłała ich sąsiednia torturownia. Przetwórnia i ośrodek tortur stoją naprzeciw siebie na jednej z rzadkich, szerokich ulic, z biegnącymi środkiem bliźniaczymi torami pociągów, których nigdy nie widziałem. Spytałem o nie Larry'ego.

- Ach. To tory Czarnej Katedry.

- Aha. A co to?

- Kościół, który porusza się po mieście. Zatrzymuje się gdzieś na parę dni, a potem przesuwa gdzie indziej. Słyszałem, że ma też tunele i tory pod ziemią, jak metro, i odwiedza inne miasta.

- Ale po co?

- Demony zbierają ludzi i ściągają do środka. Mnie na szczęście nigdy to nie spotkało, odpukać w niemalowane. - Postukał się w czoło. - Wewnątrz też ich torturują, co innego mieliby robić? Ale to tortury psychiczne.

Pokiwałem głową. Miałem nadzieję, że nigdy nie dowiem się więcej.

A skoro już mowa o instytucjach wymierzających kary, przed sobą miałem największą torturownię, jaką widziałem w Zatraceniu - wieżowiec. Od patrzenia na niego z dołu zakręciło mi się w głowie; był znacznie wyższy niż przypominająca fabrykę budowla o bliźniaczych kominach, sąsiadująca z więzieniem, do którego na krótko trafiłem. Jego ściany w większości wyglądały na mechaniczne, nie dostrzegłem zbyt wielu okien. Widziałem zamknięte, ruchome pomieszczenia, wznoszące się lub opadające niczym zewnętrzne windy, a czasami nawet przesuwane się na boki po wielkiej fasadzie, by wreszcie wskoczyć na miejsce. Z dziesiątków krat i wylotów z sykiem ulatywała para, a gęsty, zielonkawy, śluzowaty smar pokrywał zębatki, przekładnie i łańcuchy dość grube, by utrzymać krążownik. Tuż za wieżowcem wyrastał kolejny, równie olbrzymi. Larry poinformował mnie, że mieszczą się tam główne koszary demonów. Żyło im się całkiem wygodnie, sądząc z tego co szeptała starannie wyselekcjonowana garstka ludzkiej służby, której pozwalano tam pracować. Larry jednak oznajmił, że wolałby odwiedzić miasto demonów Tartar, niż zapuścić się do wnętrza owej złowieszczej czarnej wieży.

Wieżowiec torturowni składał się z serii jakby tarasów, warstw czy poziomów, zwązających się wraz z wysokością, tak że przypominał niezwykle rozciągnięty w pionie ziggurat. Na najniższym i najszerszym z owych tarasów wystawiono na widok publiczny pięciu więźniów; wokół zgromadził się już niewielki tłum przechodniów, wyciągających szyje i osłaniających oczy przed ognistym blaskiem nieba, oglądających widowisko z mieszaniną strachu i chorej ciekawości.

Więźniów rozmieszczono z przodu występu, dokładnie nad wielkimi żelaznymi drzwiami, stanowiącymi główne wejście do torturowni. W chwili, gdy się zjawiliśmy, właśnie dokonywano egzekucji. Kolejnej.

Jeden z nich siedział na krześle, z rękami przykutymi do poręczy i kostkami do nóg krzesła. Jego szyję okalał stryczek. Zapadnia pod nim otwarła się i więzień runął w dół. Szarpnął się wraz z fotelem, który obracał się i kołysał, podczas gdy siedzący w nim mężczyzna dusił się, dławił, aż w końcu stracił przytomność. Sposób zawiązania stryczka bądź zarzucenia go na szyję, albo może krótki upadek, czy inny czynnik, nie pozwalał mu umrzeć szybko. A gdy tylko stracił przytomność, zaczął się unosić, zapadnia zaskoczyła na miejsce i krzesło znów na niej stanęło. Po jakimś czasie mężczyzna uleczy się, dojdzie do siebie, ocknie się - tylko po to, by znów przez to przejść. I, jak powtórzył Larry, będzie to trwało co najmniej rok. Kto wie... Może dziesięć. Może całe pokolenia.

Inny siedział w podobnym metalowym fotelu, tyle że jego rażono prądem. Czuliśmy swąd palonego ciała, gdy dławił się upiornie. Powietrze trzaskało. Ładunek był tak potężny, że mimo odległości czułem, jak unoszą mi się włoski na rękach. Widzieliśmy, jak jego oczy eksplodują, wypływa z nich krew, plamiąc i tak już zakrwawioną koszulę. One także odrosną. By

znów zginąć. Niekończący się cykl śmierci i narodzin. Jin i jang.

Pozostała trójka cierpiała w podobny sposób. Udawane egzekucje. Gilotyna (ten nieszczęśnik, co oczywiste, dochodził do siebie dłużej niż wisielec). Komora gazowa zrobiona z grubego szkła i nieco przypominająca budkę telefoniczną. Tych pięciu młodych ludzi musiało znosić nie tylko potworny, powtarzający się ból śmierci, ale, co gorsza, wyczekiwanie na nią. Czy w końcu do tego przywykną? Może nawet, jak w filozofii zen, nauczą się go wyciszać, posyłać swą świadomość poza własne ciało? A może jedynie umkną w obłąd, z którego już nigdy nie wyjdą.

- Kiedy patrzę na tych pięciu - rzekł Larry głosem pełnym przesadnego, pobożnego szacunku - nie widzę ostrzeżenia, które każe mi zachowywać się lepiej. Wiesz, co widzę?

- Co takiego?

- Widzę męczenników. Jakby świętych...

Moja reakcja była bardziej złożona, dwuznaczna. Widziałem, co ci ludzie zrobili Charze, jak ją ukrzyżowali, przebili piką i zostawili na pastwę śmierci - śmierci, której oni sami nie mogli zaznać (choć może tu akurat uważali, że Chara ma więcej szczęścia). A zanim przebili ją metalowym prętem, zgwałcili ją nim. Była kobietą. A oni mężczyznami.

Ale jednocześnie... była demonem, potworem. A oni ludźmi. Za życia mogli nie być gangsterami, gwałcicielami, terrorystami, tylko zwykłymi, ciężko pracującymi facetami, takimi jak ja. A jednak znaleźli w sobie dość odwagi, by zaatakować demonicę i pokonać, mimo jej wielkiej siły i biegłości w walce. Czy zatem nie powinienem widzieć w nich bohaterów, tak jak Larry?

Mój towarzysz uniósł wysoko rękę i rozcapierzył palce, pokazując znak pokoju, tak by więźniowie dostrzegli go i wiedzieli, że w tłumie są także tacy, którzy im współczują.

Wydało mi się, że spojrzenie mężczyzny czekającego na powieszenie powędrowało na moment ku Larry'emu, przyciągnięte jego gestem, po czym skazaniec zerknął nerwowo na mnie. Ja jednak nie naśladowałem mojego towarzysza.

W drodze powrotnej Larry szybko zapomniał o umęczonych nieszczęśnikach i przedstawił mi listę swych ulubionych filmów (w większości były to dziecinne, mizoginistyczne, krwawe horrory). Ucieszyła mnie zmiana tematu, bo nie miałem ochoty mu mówić, że to ja uratowałem kobietę demona ukrzyżowaną przez jego piątkę umęczonych świętych.

DZIEŃ 66.

Mój mały nakręcany czasomierz obudził mnie tego „ranka” po sześciu godzinach. Cały ten czas przespałem, ani razu nie budząc się z koszmaru czy na dźwięk wyjątkowo głośnego krzyku na dworze. Teraz, kiedy grypa ustępowała, nocami czułem się znacznie lepiej.

Gdy ubierałem się do pracy, wydało mi się, że słyszę szelest dobiegający z za drzwi wynajętego mieszkania. Pomyślałem, że może to młoda pomocnica gospodarza, ale kiedy włożyłem koszulę i podszedłem do drzwi, w ciemnym korytarzu nie ujrzałem nikogo.

Czy rzeczywiście ktoś tam był? Może to nie dziewczyna?

Kogo próbowałem oszukać? Chara do mnie nie przyjdzie. Równie dobrze mogła już zostać schwytana. Stracona.

Spóźniłem się do pracy, bo musiałem przeczekać deszcz lawy. Na szczęście trwał bardzo krótko. Sądziłem, że szef naszej grupy, Bruce, się wścieknie, ale gdy zbliżyłem się do swego stanowiska i ujrzałem go czekającego z pokorną miną, zapomniałem o wcześniejszych zmartwieniach, bo wraz z nim czekali anioł i Niebianin.

Anioł odwrócił się do mnie i przemówił. Bruce tymczasem cały czas milczał - podobnie jak Niebianin. Potwierdziwszy kim jestem, przedstawił się:

- Inspektor Turner. Wyciągnął rękę, a ja ją uścisnąłem.

Miał lekki południowy akcent, niski łagodny głos. Spod stożkowatej białej czapki wystawały jedynie srebrzyste bokobrody. Był niższy ode mnie, mocniej zbudowany. Niebianin natomiast zaskakiwał chudością. Inspektor Turner był kiedyś śmiertelnikiem, natomiast Niebianie są podobni do demonów: oba te gatunki nie zaznały życia ziemskiego, to

golemy pozbawione duszy. Ów wysoki, bardzo smukły, niemy stwór miał na sobie jedynie obcisły biały sarong, owinięty wokół bioder i nóg. Nad nim ujrzałem zapadniętą, kościstą pierś. Nie miał skrzydeł, lecz jego ciało dorównywało białą demonom wojownikom... nie, było nawet jeszcze bielsze i jarzyło się słabym, bioluminescencyjnym blaskiem. Ów subtelny połysk sprawiał, że wydawało się lekko rozmyte. Długie, niemal białe włosy okalały bardzo ładną, choć ponurą twarz, do tego stopnia androgyniczną, że nie domyśliłbym się płci, gdyby nie brak piersi. Z drugiej strony, w odróżnieniu od humanoidalnych demonów, Niebianin nie miał też sutków (ani pępka), możliwe zatem, że płęć w ogóle nie wchodziła tu w grę. Najbardziej niepokojące były jednak jego oczy: nienaturalnie błękitne, osobliwie beznamietne, jak oczy postaci z gry komputerowej, i jeszcze bardziej rozmazane niż fosforyzujące ciało. Nawet kiedy lekko poruszał głowę, można było odnieść wrażenie, że błękitne oczy pozostawiają w powietrzu przejrzyste barwne smugi.

- Czym mogę służyć, inspektorze? - spytałem głosem tak uprzejmym i pozbawionym paniki, na jaki tylko udało mi się zdobyć.

- Może pójdziemy i porozmawiamy w biurze pana Golda? Tam będzie ciszej.

- Pana Golda? - zdziwiłem się.

- Pańskiego przełożonego. Pana Golda.

A zatem tak się nazywał? Wówczas usłyszałem o nim po raz pierwszy. Dotąd widywałem tylko Bruce'a i na temat tego, czemu służy zarówno cała fabryka, jak i moja praca, wiedziałem równie mało co pierwszego dnia. Podejrzewałem, że nie służyła niczemu. Dawała jedynie zajęcie potępionym. Ale z tego, co słyszałem, było to lepsze niż praca pośród rozpalonych kuźni i odlewni w wielopoziomowym świecie podziemi pod Zatraceniem, czy też w sąsiednich,

przylegających do nich tunelach kopalni, którymi dostarczano rudę z Gór Źwirowych. Jeśli pracowało się tam z własnej woli - co czyniło wiele osób - można było sobie pozwolić na ładne mieszkanie, może nawet własny mały domek. Wielu innych jednak nie pracowało tam z wyboru: jeżeli demony natykały się na włączających się bez celu, pozbawionych pracy potępionych, przymusowo wcielały ich w szeregi robotników. Tak czy inaczej, wolałem trzymać się mojej, być może bezsensownej pracy i nie zadawać żadnych pytań.

Turner zaprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia, całkowicie zdominowanego przez biurko z zespawanych metalowych płyt, tak dokładnie zardzewiałe, że wyglądało jak pomalowane skrzepniętą, obłazącą posoką. Kiedy Niebianin zamknął za mną drzwi, odwróciłem się i odkryłem, że Bruce już nam nie towarzyszy. Nigdy nie sądziłem, że zatęsknię za tym fiutkiem. Turner wskazał gestem krzesło z purpurowego drewna. Usiadłem. On sam wcisnął się za zaśmiecone biurko pana Golda. Niebianin został przy drzwiach; czułem się nieswojo, mając go za plecami. I choć go nie widziałem, zdawało mi się, że wyczuwam jego/jej lodowaty blask.

- Mam do pana parę pytań na temat kobiecy demona imieniem Chara, która jakiś czas temu zaatakowała dwóch aniołów w lokalu zwanym „Błękit”. - Nie powiedział parę „dni” temu. Możliwe, że mierzył czas inaczej niż ja.

- Zrobię co w mojej mocy - odparłem, przełknąwszy wielką gulę w gardle. Wyobraziłem sobie, jak owa widmowa istota przytrzymuje mnie z tyłu, podczas gdy anioł wyciąga spod szaty coś ostrego jak skalpel.

- Wie pan, za życia byłem detektywem. - Turner odchylił się na skrzypiącym krześle, z roztargnieniem przeglądając enigmatyczne wykresy bądź tabele na biurku Golda. - Trzydzieści dwa lata... W Montgomery, w stanie Alabama.

- Nigdy tam nie byłem. W Alabamie.

- Ach. A skąd pan pochodzi?
 - Z Eastborough. W Massachusetts.
 - Chłopak z małego miasteczka.
 - Dość małego, owszem.
 - Byłem raz w Bostonie, na konferencji. Bardzo miłe, stare miasto.
 - Mhm.
- Turner znów się pochylił.
- Z tego co rozumiem, uratował pan tę demonicę, natknąwszy się na nią przypadkiem w drodze do Zatracenia.
 - Tak. Znalazłem ją przybitą do drzewa i przeszytą włócznią. Była słaba, mogła umrzeć i chyba zrobiło mi się jej żal.
 - Demona. Ciekawe.
 - Nigdy wcześniej nie spotkałem takiego jak ona. Podobnego do człowieka. I to chyba... na mnie podziałało. Gdybym poznał je wcześniej... Gdyby mnie dręczyły... sam nie wiem... może nie... Sam nie wiem.
 - To bardzo szlachetny gest. Nie musi go pan racjonalizować.
 - Dzięki. - Miałem straszną ochotę obejrzeć się przez ramię na owego wcielonego ducha.
 - Słyszał pan, że schwytali pięciu mężczyzn, którzy jej to zrobili?
 - Tak, proszę pana, widziałem ich wczoraj.
 - Jak się pan o tym dowiedział? - Czyżby jego oczy zwęziły się odrobine? Jak sądził, skąd mogłem się dowiedzieć o schwytaniu tamtych?
 - Powiedział mi kolega z pracy. Zabrał mnie tam i pokazał.
 - Rozumiem.
 - Nigdy się nie dowiedziałem, co właściwie robiła w lesie, kiedy ją złapali - dodałem szczerze, z nadzieją że Turner

mnie oświeci.

- Demon Chara wraz z kilkoma innymi ścigała bandę ludzi obozującą w lesie. Wędrowną grupkę niepokornych. Ludzie ci jakiś czas temu zabili Nadzorcę i jego asystentów, może też kilka innych demonów. Zaczynało to wchodzić im w krew, lecz popełnili wielki błąd, pozostawiając jedną z ofiar przy życiu, tak że mogła ich zidentyfikować. Kiedy oddział Chary najechał ich obóz, rozproszyli się, więc demony musiały się rozdzielić, by ich wyłapać. Rozłączyły się. Potem towarzysze Chary uznali, że zabrała swych więźniów do Zatracenia, gdzie czekała ich stosowna kara. Być może oddział poszukiwawczy znalazłby ją przed śmiercią. A może i nie. W istocie zatem postąpiłeś niezwykle szlachetnie, mój chłopcze. - Westchnął, powiódł wzrokiem po wiszących na ścianach wykresach i raportach. - Jednakże, choć przykro mi z powodu tego, co owo stworzenie ucierpiało z rąk buntowników, i cieszę się, że ich schwytano i wymierzono im sprawiedliwość, nie zmienia to faktu, że teraz to ona jest winna poważnego przestępstwa. I, podobnie jak napastnicy, także ucieka przed karą. - Jego błękitne oczy, bardziej przenikliwe niż u Niebianina, choć mniej niesamowite, spojrzały mi prosto w twarz. - Jej napaść na dwóch dżentelmenów w „Błękitnie” to niezwykle poważna sprawa. Aniołowie odwiedzający piekło podczas zabaw wojennych istotnie oczekują ataków, ale wyłącznie w ramach owych gier. I z pewnością nie takich. To bowiem nie była gra, lecz przejaw czystej wrogości i braku szacunku. Kiedy demon zachowuje się w ten sposób wobec dwóch aniołów... - Pokiwał głową, uniósł ręce i opuszczył je ciężko na blat biurka. - To coś więcej niż niesubordynacja. To bluźnierstwo... świętokradztwo.

- Rozumiem - odparłem niepewnie.

- Przynajmniej jej partnerka, Verdelet, zapłaciła już za

swe zbrodnie. To dzięki zidentyfikowaniu jej ciała dowiedzieliśmy się, kim jest nasza uciekinierka.

- Ach tak.

Turner uniósł przycisk do papierów, zielonkawą bryłę na wpół stopionego szkła. Wewnątrz, niczym mucha w bursztynie, wisiało coś, co mogło być okiem lalki. A może nie. Zważył przycisk na dłoni, jakby się zastanawiał, jakiej siły trzeba, żeby strzaskać nim czaszkę.

- Według raportu, którym dysponuję... zeznania panów Butlera i Franklina... w owym lokalu po raz drugi zachował się pan bardzo rycersko w stosunku do demona Chary.

- No cóż - wyjąkałem - to chyba po prostu kwestia wychowania. Wiem, że to demon, ale wygląda tak ludzko... I kiedy zobaczyłem, że dwóch mężczyzn się jej narzuca... cóż... chyba... zapragnąłem ją chronić albo...

- Rozumiem. - Uniósł rękę. - Naprawdę. I zdaję sobie sprawę, że pan sam nie wystąpił przeciwko owym dżentelmenom. Choć muszę powiedzieć, że nie żywią do pana ciepłych uczuć. - Zachichotał, jakby rzucił drobny żarcik. - Chcieliby, żeby został pan przykładowie ukarany za okazany im brak szacunku.

- Ale, proszę pana, ja tylko...

Ponowny chichot i uniesienie dłoni w geście przypominającym błogosławieństwo. Patrząc na mnie, uważnie odłożył na bok bryłę odpadowego szkła.

- Zapewniłem obu panów, że podczas przesłuchania okaże pan wszelką niezbędną pomoc. To oczywiste, że człowiek nie mógłby współpracować z demonem.

- Jasne. Dzięki. Naprawdę staram się pomóc.

- A ja to doceniam. Jak mówiłem, wiedziałem, że będzie pan skłonny do współpracy. Co prawda - wydał wargi i rozłożył masywne ręce - to dziwne, że dwa razy zachował się pan szarmancko w stosunku do tego samego stworzenia, ale

przypuszczam, że to jedynie zbieg okoliczności.

- Tak, proszę pana.

- Nie zamierzał pan spotkać się tego wieczoru z Charą w „Błękicie”?

- Nie, proszę pana. Nie miałem pojęcia, że tam będzie.

- Zakładam, że nigdy nie spotykaliście się towarzysko.

- Nie, proszę pana... nigdy. Jak pan mówił, to nie do pomyślenia.

Skinął głową.

- Oczywiście. Tyle że... cóż... panu Butlerowi zdawało się, że słyszał krótką wymianę zdań między panem a demonem. Niestety, w owym czasie jego głowa wciąż pozostawała nieuformowana, więc być może się pomylił...

- Wymianę zdań?

- Wydało mu się, że sugerował pan, by Chara się z panem spotkała. Na co odparła, że wie, gdzie pan mieszka.

Starąłem się znów nie przełknąć śliny. Starąłem się też nie wahać ani nie protestować zbyt gwałtownie.

- Pan Butler z pewnością się myli, panie Turner. Jak mówił, jego głowa wciąż się odtwarzała. Nic mnie nie łączy z tą kobietą... demonem... bez względu na to, co dla niej zrobiłem. To przecież demon, proszę pana. Jestem dla niej jedynie zwierzęciem, a może czymś mniej ważnym.

- Być może. Z drugiej strony, z tego co słyszałem od świadków, a zwłaszcza obu ofiar, wyglądało na to, że ów demon próbował bronić pana przed panem Butlerem.

- Wie pan... może faktycznie. Może chciała mi odpłacić za to, co dla niej zrobiłem. Ale nie prosiłem jej o to. Jak pan mówił, sam nie brałem udziału w napaści. A może mnie nie chroniła. Może po prostu tak bardzo ją nękali, że nie wytrzymała.

- Możliwe. Oczywiście to jej nie tłumaczy. Nic nie może usprawiedliwić tego, co zrobiła, nieważne jak bardzo się czuła

obrażona.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, proszę pana. - Tym razem to ja zachichotałem, by pokazać, że sama myśl o tym jest absurdalna. - Równie dobrze mógłbym wdrapać się na jedną z wież obserwacyjnych i zagrać w warcaby z Nadzorcą.

Turner parsknął śmiechem i odsunął krzesło, wstając z niego. Zrobiłem to samo. Wyszedł zza biurka i ponownie uścisnął mi dłoń.

- Doceniam pańską szczerą - rzekł. - I proszę... gdyby kiedykolwiek zauważył pan Charę w Zatraceniu, proszę natychmiast zgłosić to innemu demonowi. Polecono im ją schwytać, i jej pobratymcy dobrze wiedzą, że przede wszystkim muszą okazać wierność swojej służbie.

- Przypuszczam, że już dawno uciekła z Zatracenia.

- Może ma pan rację. Ale to bardzo duże miasto. Pełne kryjówek i zakamarków.

Wyszliśmy z biura mego domniemanego przełożonego (może pan Gold w ogóle nie istniał, może to tylko kolejne oszustwo). Z ulgą patrzyłem na kościsty kręgosłup maszerującego przede mną Niebianina. Lecz nagle Turner odwrócił się do mnie, Niebianin także przystanął.

- Jeszcze jedno, proszę pana - rzekł przepaszającym tonem. - Kiedy Butler i Franklin ozdrowieli, znaleźli obok swoje karabiny, ale ich pistolety zniknęły. Czy coś panu o tym wiadomo?

- O ich pistoletach? Nie, proszę pana...

- Cóż, jeden z klientów mógł się zakraść i je zabrać. Oczywiście możliwe też, że wzięła je Chara. Choć demony preferują miecze i tym podobne, to w razie konieczności sięgają po broń palną. Czego dowiodła, strzelając z karabinu.

- Tak, proszę pana.

Turner klasnął w dłonie, jakby złapał między nie muchę. - To dobrze. Bardzo dobrze. Raz jeszcze dziękuję.

- Bardzo proszę.

Zmusiłem się do uśmiechu, patrząc, jak śledczy anioł i jego ochroniarz - bądź towarzysz - znikają za zakrętem mrocznego korytarza. Niemal spodziewałem się, że sympatyczny detektyw odwróci się i pomacha do mnie.

Jakim cudem Turner dowiedział się, gdzie pracuję? Zapewne właściciel fabryki musiał zgłosić zatrudnienie mnie w jakimś biurze demonicznych władz miasta. Czy zatem właściciel hotelu/pensjonatu także składa raporty i przekazuje nazwiska osób, które na dłużej wynajmują pokoje? Może jednak w Zatraceniu istnieje biuro ewidencji ludności...

Czyżby Turner, tak jak Chara, wiedział, gdzie mieszkam?

DZIEN 67.

Do domu wróciłem preferowaną ostatnio, bardziej okreśną trasą. Chodnik na tej ulicy zrobiono z czarnych jak sadza cegieł, podobnie jak stłoczone po obu stronach budynki. W miejscu pomiędzy chodnikiem i ścianą rosła szara, przejrzysta trawa i chaszczce. Zdołałem wymigać się od towarzystwa Larry'ego, który bardzo chciał odprowadzić mnie do domu. Po drodze zatrzymałem się na chwilę w niewielkiej księgarni, którą odwiedzałem już wcześniej. Na zapleczu stoi prasa drukarska. Widziałem ją przez uchylone drzwi, słyszałem jej łoskot. Oferta nie była zbyt imponująca: broszurki spięte zszywaczem, żadnych solidnych opraw. Pamiętniki, krótkie autobiografie. Poezje, zbiory opowiadań, najwyżej nowele. Ani śladu propagandy religijnej, niczego w tym stylu. Nie była to też instytucja diabelska. Zorganizowała ją grupka obywateli, publikujących i dystrybuujących dzieła innych obywateli.

Naturalnie, większość kupionych przeze mnie dzieł okazała się amatorska, niedojrzała. Owszem, niewiele literówek (zasługę za to bardziej niż autorom przypisywałem redaktorom), lecz sama proza rzadko wykraczała poza poziom licealnych wprawek, roiło się w niej od banalnych, wyświechtanych rozwiązań, często zawodziło tempo, a literatura faktu nie interesowała nikogo, kto sam nie przeżył opisywanych zdarzeń.

A jednak cieszyły mnie nawet najgorsze książeczki i chętnie wydawałem na nie ciężko zarobione monety (choć bardzo żałowałem, że Anne Sexton i Yukio Mishima - pisarze, którzy bardzo mnie interesowali, a zakończyli swe życie podobnie jak ja - nie są obywatelami Zatracenia). Dziś

kupiłem cieniutki tomik wierszy kolejnego nieznanego autora.

Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, czy to wydawnictwo - Necropolitan Press - nie byłoby skłonne opublikować mojego dziennika. Często fantazjowałem o tym, że przemycam go przez szczelinę w okalającym piekło murze do świata żywych. Może niektóre co bardziej piekielne dzieła literackie naszego świata trafiły do rąk satanistów właśnie w ten sposób? I może owi sataniści wysłuchaliby mych ostrzeżeń i zmienili styl życia, by nie skończyć jak ja?

Nie wydaje mi się to jednak prawdopodobne. Powiadają, że ducha nie da się z powrotem przełożyć na materię. Gdyby się dało, równie dobrze sam mógłbym spróbować wymknąć się z piekła. Słyszałem, że tylko demonom i Niebianom się to udaje, oni jednak nigdy nie mieli śmiertelnych ciał... i zazwyczaj zabrania im się podobnych wypraw, bardzo rzadko uzyskują na nie zgodę (a plotka głosi, że w takich okolicznościach niemal zawsze pozostają niewidzialni).

Jestem jednak pisarzem i łaknę czytelników. Co za ironia, że w piekle być może będę miał więcej szczęścia w ich zdobyciu niż za życia na Ziemi. Dzięki temu piekło zyskałoby też lepszą stronę i ta myśl bardzo mi się spodobała - idea zmiany kary w coś, co działa na moją korzyść, choćby w bardzo skromnym, osobistym zakresie. Tak... będę musiał niedługo pogadać z jednym z właścicieli księgarni/wydawnictwa. Zanim mój dziennik stanie się zbyt obszerny, by mogli opublikować go w stosowanym przez siebie formacie. W końcu zawsze mogę napisać drugi tom, potem trzeci i tak dalej. Stworzyć serię, jeśli czytelnicy tego zapragną. Może historia moich osobistych przeżyć w piekle sprawi, że inni poczują się mniej samotni w swoim cierpieniu, bardziej złączeni z towarzyszami niedoli. To prawdziwe sedno istnienia sztuki: dzielić się z innymi, tworzyć więzi. Ale nie ograniczę się do tych wspomnień. Napiszę także o świecie, z

którego przychodzimy. Zajmę się eskapizmem, bo sztuka służy też temu mniej wyniosłemu, ale równie wartościowemu celowi. Moje własne zbiory wierszy i opowiadań. Tak... dzięki nim będę miał na co czekać (nie powiem: „po co żyć”).

Pomiędzy czarnymi szeregowymi kamienicami z czarnych cegieł od czasu do czasu otwierały się wąskie alejki. Budynki miały w sobie coś ze stylu kolonialnego i zakładałem, że to najstarsze budowle w Zatraceniu. Kiedy mijalem jedną z uliczek, zakończoną czarną żelazną bramą, z jej cielistego gardła dobiegł głos.

- Tutaj - usłyszałem. - Szybciej.

Zatrzymałem się, obejrzałem i ujrzałem białą zjawę na końcu uliczki. Postąpiła krok naprzód. To była Chara.

Obejrzawszy się przez ramię i sprawdziwszy, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby mnie rozpoznać, pchnąłem zakratowane skrzydło bramy. Powoli uchyliło się na zardzewiałych zawiasach. Wśliznąłem się w uliczkę, zamknąłem za sobą bramę i podszedłem do Chary.

- Nie mieszkam już w koszarach, mam własny pokój. Zabiorę cię tam, jeśli chcesz - wyszeptała.

Wydawała się poważna, skupiona, nie powitała mnie uśmiechem. Zresztą, niby po co miałyby to robić? A z drugiej strony, czemu w ogóle się tu znalazła? Bez wątpienia sprawdziła, jaką drogą wracam ostatnio z pracy do domu.

- Tak - odparłem. A potem spytałem: - Czy twoi pobratymcy cię szukają?

- Niektórzy. Inni nie.

- Śledczy złożył mi wizytę w pracy...

Chara spoważniała jeszcze bardziej.

- Zaczekaj, porozmawiamy u mnie. Wtedy opowiesz mi o wszystkim.

Pokiwałem głową i ruszyłem za nią na drugi koniec alejki. Łączyła się z większą ulicą, pełną stert połamanych

mebli i porozbieranych, tajemniczych maszyn. Nad rumowiskiem, niczym strażnicy, czuwały kubły na śmieci. Potem skręciliśmy w kolejny przesmyk i znaleźliśmy się na wybrukowanej nierównymi kamieniami ulicy, niemal równie wąskiej jak wcześniejsze alejki.

Kluczyliśmy tak jakiś czas i wkrótce całkowicie się pogubiłem. Wędrowaliśmy przez labirynt ulic, którego wcześniej nie odwiedziłem. Widziało nas sporo przechodniów, ale w obawie przed Charą natychmiast spuszczała wzrok. Na szczęście nie spotkaliśmy żadnych demonów, ale też w Zatraceniu stanowiły one mniejszość. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zrezygnowała z wcześniejszego warkocza i włosy miała rozpuszczone, opadające na plecy, tak jak wtedy, gdy spotkałem ją po raz pierwszy. U pasa nosiła miecz. Pożałowałem, że nie mam przy sobie pistoletów, zostawiłem je ukryte w mieszkaniu. Jak to miałem ostatnio w zwyczaju, wychodząc, ustawiałem książkę na oknie, by Lyte mógł przynajmniej powyglądać na ulicę (choć dalszą panoramę przesłaniał gigantyczny, maszynowy wieżowiec). Może dzięki temu łatwiej przychodzi mu spędzać nieznośnie dłużące się godziny. Miałem nadzieję, że nie będzie się o mnie martwił.

- Zachowuj się tak, jakbyś był moim więźniem - syknęła Chara, gdy wyszliśmy na szerszą ulicę.

Dobyła miecza, drugą ręką złapała mnie za przegub i potykającego się niemal dosłownie powlokła za sobą. Teraz wyglądała tak groźnie, że ludzie naprawdę bali się na nią spojrzeć. Wydało mi się jednak, że zerkają na mnie współczująco.

Wspięliśmy się na kamienne schody wciśnięte między dwie kamienice i znaleźliśmy się na wyższym poziomie ulicy. Wdrapując się za Charą, nie mogłem oderwać wzroku od jej rozkołysanych pośladków, silnych nóg, skrzydeł złożonych na

plecach. Zastanawiałem się, czy ma w nich czucie i co ja bym poczuł, dotykając ich. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu skrywanej żądz, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele inni ludzie ucierpieli z rąk tej istoty: zupełnie jakbym pożałował gestapówki. A jednak nie potrafiłem oderwać wzroku od jej oślepiająco białego ciała.

Przed nami ujrzałem most; wędrowali po nim ludzie, choć przede wszystkim stanowił kolejną powierzchnię dostępną dla budynków. Pokryty domami, skojarzył mi się z oglądanymi za życia zdjęciami Ponte Vecchio z Florencji. Kierowaliśmy się pod niego, w cieniste przejście pod jednym z łuków kamiennej podstawy. Gdy znaleźliśmy się pod mostem, Chara wyjęła z niewielkiej sakiewki uczeplonej do pasa z pochwą klucz, otworzyła pokryte rdzą metalowe drzwi w szerokim filarze mostu i poprowadziła mnie do małego mieszkania, które tam wynajęła bądź kupiła.

Okazało się większe niż moje, lecz pozbawione okien. Całe ściany pokrywała miedź, poplamiona zielonym grynszpanem, zwłaszcza na suficie, wokół przecinających go, spoconych rur. Tuż przy nich zebrało się tyle kamienia, że miejscami całkiem skrywał rury, tu i ówdzie tworząc miniaturowe stalaktyty. Ze ścian tryskały z sykiem strumyki płonącego gazu. W jednej dostrzegłem także rząd dźwigni; podejrzewałem, że pierwotnie pomieszczenie to służyło do obsługi technicznej. Chara zaciągnęła ciężki żelazny rygiel i odwróciła się do mnie.

- Kiedy uwolniłeś mnie po raz pierwszy - rzekła cichym, zmysłowym głosem - sądziłam, że to dlatego, że bałeś się postąpić inaczej. Myślałam, że jesteś zwykłym lizusem i tchórzem.

- Zrobiłem to ze współczucia! - zaprotestowałem.

Uniosła dłoń.

- Ale kiedy postawiłeś się tym pierdzielonym świniom w

„Błękicie”, zrozumiałam, że jesteś silniejszy niż przypuszczałam.

- Posłuchaj, w pracy odwiedził mnie detektyw i...

Nim zdołałem dokończyć zdanie, Chara rzuciła się na mnie. Przez moment mój umysł obezwładniała groza. Czyżby zwabiła mnie tutaj, żeby mnie ukarać? Czy sądziła, że zdradziłem ją inspektorowi Turnerowi?

Chwyciła w dłonie moją czaszkę. Jej twarz opadła ku mnie, głowa pochyliła się, tak że ciemno okolone oczy spojrzały na mnie spod brwi. Zbyt pełne wargi rozchyliły się, ukazując jedynie dolny rząd zębów. A potem jej drapieżne usta naparły na moje. Jej język wniknął w moją duszę.

Wargi Chary desperacko przywarły do moich, zupełnie jakby chciała wyssać ze mnie cały oddech. Moje ręce oploty ją, dłonie gładziły ciepłe nagie ciało, dopóki nie dotarły do jakże obcego przyczepu skrzydeł. Od tak dawna nie tuliłem kobiety... Moim ciałem zawładnęła rozpaczliwa tęsknota, silniejsza od żądz, od namiętności. Chara wydawała się równie rozgorączkowana i spragniona. Usłyszałem trzask pękającej koszuli, gdy zdarła ją ze mnie przez głowę.

W pokoju stało łóżko, zaledwie zwykła prycza. Chara pchnęła mnie na nie i dosiadła. Sięgnęła między nas, prowadząc mnie w siebie, po czym opadła całym ciężarem tak mocno, że krzyknąłem, bardziej z szoku niż z rozkoszy. Dosiadająca mnie diablica zaczęła unosić się i opadać na mnie, kołysząc się mocno, rytmicznie.

Jej skrzydła rozpostarły się na całą szerokość, drżąc lekko z napięcia ogarniającego całe ciało. Osłaniały nas niczym namiot, jeden z gazowych promieni przenikał przez przejrzyste błony, ukazując ciemne, lekko pulsujące żyłki. Pośród nich ujrzałem grube blizny... pamiątkę po ukrzyżowaniu w lesie. Pod tym kątem nie widziałem dłoni, przegubów, stóp ani kostek Chary, ale na nich także musiały

pozostać blizny: sama mi mówiła, że rany demonów goją się, ale nie tak dokładnie jak u ludzi. Mój wzrok powędrował ku jej pępkiowi, do miejsca, gdzie przebito ją żelaznym szpikulcem, ale w cienistym zagłębieniu nie dostrzegłem żadnej rany. Jego kusząca tajemnica pozostała nietknięta. Pępek jest jak oko i pochwa zarazem.

Jęcząc, przesunąłem dłońmi po gładkich udach, uniosłem ją, chwytając w talii, podczas gdy ona mnie ujeżdżała. A potem sięgnąłem wyżej, ściskając białe jak papier piersi o twardych, szarych sutkach.

Potem oboje wyczerpani leżeliśmy na łóżku, ona na brzuchu, ja na wznak. Jedna ręka i skrzydło osłaniały nasze stygnące, rozpalone, połyskujące potem ciała. Powietrze w pokoju było wilgotne od bijącego od nas gorąca i oddechów. Skrzydło przypominało koc; pogładziłem je palcami, podążając wzdłuż żył aż do jednej z wypukłych białych blizn. Stygmaty. Zerknąłem ukradkiem na jej twarz. Wydatne, szare usta układały się w najłżejszy z lekkich, pełen zadowolenia uśmiech. Ciężkie powieki opadły, osłaniając oczy. Uroda Chary sprawiła, że poczułem w piersi bolesne ukłucie.

- Pragnąłem cię od chwili, gdy cię ujrzałem - wyszeptałem.

- Czy wiedziałeś, że Verdelet była kimś więcej niż moją partnerką? - odparła, nie otwierając oczu, i po sekundzie milczenia dodała: - Była też moją kochanką.

- Przykro mi - rzekłem.

Mówiłem szczerze, choć poczułem ukłucie niemądrej zazdrości. Zastanawiałem się, czy leżąc tak z zamkniętymi oczami, Chara wyobraża sobie, że tuli teraz policzek do ramienia nieżyjącej kochanki. Z jej twarzy zniknął uśmiech. Otworzyła oczy i przekrzywiła głowę, patrząc na mnie.

- Różnisz się od innych. Jesteś pierwszym człowiekiem, w którym nie chcę budzić strachu.

- Ja też nie chcę się ciebie bać. - Uśmiechnąłem się.

- Nie wiem, czemu cię tu przyprowadziłam. W ogóle nie wiem, co robię.

- Buntujesz się. Przeciw temu wszystkiemu. Aniołom i temu, co chcą z tobą zrobić. Twojej pracy, która musi być równie ogłupiająca jak moja. Brakowi wolności, który doskwiera ci tak samo jak mnie...

- Jestem znudzona - przyznała i jej spojrzenie powędrowało ku ścianie w głębi pokoju. - Wiedziałeś, że my, demony, próbujemy wymyślać różne metody torturowania ludzi tylko po to, by nie oszaleć z nudów?

Miałem ochotę zażartować, że to takie okropne i że na myśl o cierpieniu demonów pęka mi serce, ale tak naprawdę wciąż się jej bałem.

- Tak jak mówiłeś, jesteśmy karani tak samo jak wy. Brak nam wolności. Rodzimy się w roju, jak pszczoły. Niczemu w tym wszechświecie nie obiecano sprawiedliwości, lecz moje serce nadal łaknie jej rozpaczliwie, tak jak twoje. Wyroki Ojca są dla mnie równie obce jak dla ciebie; można się z nimi godzić, dopóki się ich nie analizuje. Ale kiedy popełnisz błąd i zaczniesz im się przyglądać, przestają mieć jakikolwiek sens. Ty przynajmniej miałeś szansę trafienia do nieba. Moi pobratymcy rodzą się dorośli, z ustalonym przeznaczeniem. Nie ma szatana ani Lucyfera i żałuję tego. Chciałabym, żebyśmy mieli własne bóstwo, opiekujące się swoimi dziećmi...

- Jesteś tu teraz ze mną, bo się nudzisz? Bo to coś nowego i podniecającego? Czy może dlatego, że wzruszyła cię okazana ci litość?

- Z obu tych powodów - odparła bez wahania.

Ja natomiast się zawahałem, nim rzekłem:

- Naprawdę mi przykro z powodu Verdelet. Gdybyś nie stanęła w mojej obronie, może wciąż by żyła.

- Myślałam o tym. Ale to nie twoja wina. Nie winię cię za to.

- Cóż za przykład chrześcijańskiego miłosierdzia.

Rozjarzone oczy spojrzały w moje.

- Nie żartuj sobie z mojego współczucia. Nie jest wcale czymś oczywistym.

- Nie żartuję - zapewniłem. - Ale mu ufam. Wiem, że mogę ci wierzyć. Że jesteś lojalna. Dlatego właśnie nie rozumiem, jak możesz ranić ludzkie istoty.

- To moja praca. Już mówiłam: po to się urodziłam. Urodziłam się taka, jaka jestem teraz. To moja natura. Fakt, że się jej sprzeciwiam, świadczy wyraźnie, jakim stałam się dziwolągiem. Jak lata monotonii spaczyły moje myśli i uczyniły ze mnie odmieńca. Niemal żałuję, że nie mogę znów stać się taka jak kiedyś.

- Proszę, nie - wyszeptalem, pieszcząc gładką krzywiznę jej ramienia. - Nawet tak nie mów.

- Twoja przyjaciółka, ta z lasu... - zaczęła.

- Caroline.

- Nie złapałam jej. Nie jestem pewna, czy dotarła do Zatracenia.

- Ale gdybyś ją doścignęła, ukarałabyś ją. Bo chciała, żebym cię zabił.

- Nie złapałam jej - warknęła Chara. - To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Pewnie się zastanawiałeś.

- Nie była moją dziewczyną. Raz tylko uprawialiśmy seks. Z samotności.

- Przecież nie pytałam. - Westchnęła, opanowując rozdrażnienie. - Opowiedz mi o tym człowieku, który cię odwiedził - poprosiła. - Opowiedz wszystko.

Opisałem jej zatem wizytę Turnera. Powiedziałem też o Niebianinie.

- Choć wyglądają przerażająco, można ich zabić, tak jak

nas, demony - próbowała mnie pocieszyć Chara. - Trudniej to zrobić i ich rany szybciej się goją, ale można ich zabić. Jak demony, nie mają prawdziwych dusz. Ludzkich dusz. Nie jesteśmy nieśmiertelni, w odróżnieniu od aniołów i potępionych.

- Mówiłaś, że część demonów na ciebie poluje. A inne nie?

- Myślę, że niemal wszyscy moi pobratymcy na mój widok odwróciliby się i odeszli... Nawet Abbadon. To dowódca żołnierzy demonów w Zatraceniu. Lecz w mieście żyją też inne rasy demonów, mniej mi przyjazne. Na wszelki wypadek nie mogę zaufać żadnemu z nich.

- W takim razie czy nie powinnaś uciekać z Zatracenia? Odejść gdzieś daleko, może do innego miasta?

- Tak właśnie zamierzam zrobić.

- No to na co czekałaś?

Chwila milczenia.

- Na spotkanie z tobą.

Uniosłem dłoń, by przygładzić jej mokre od potu czarne włosy, ucałowałem wilgotne białe czoło.

- Chcę iść z tobą - oświadczyłem.

- Zgoda - odparła, może zbyt zakłopotana nowymi uczuciami, by spojrzeć mi w oczy.

Ale na razie nie rozmawialiśmy o planach ani celach podróży. Znow się kochaliśmy. Tym razem Chara pozwoliła mi na bardziej agresywną pozycję - wbiłem się w nią od tyłu, trzymając ją w talii i pompując zachłannie. Jej smocze skrzydła znow rozpostarły się na całą szerokość, a ja gładziłem je dłońmi, i chwyciłem za podstawę, gdy wbiłem się głębiej w ciało Chary. Szczytując, wydałem z siebie serię jękliwych krzyków; brzmiało to, jakby znow mnie torturowano.

DZIEN 68.

Pomiędzy chwilami namiętności Chara opowiadała mi o kolejnych miejscach, do których moglibyśmy uciec...

Opowiedziała o Morzu Czerwonym, znajdującym się niedaleko. Ocean nieżywej krwi. Wyobraziłem sobie szkarłatne morze, ciągnące się aż po horyzont, wielkie spienione fale posoki, rozbijające się po skałach z obsydianu i lizące plaże ze lśniącego czarnego piasku. Podczas odpływu pozostają na nim płytkie kałuże, które zaczynają krzepnąć. Masy galaretowatej tkanki czasem mają rozmiar pięści, czasem wieloryba. Morze wyrzuca je na brzeg, gdzie natychmiast pożerają je węgorzowate stwory pływające w powietrzu. Chara zapewniła mnie, że istnieją odcinki rozległego wybrzeża niemal wolne od żarłocznych węgorzy. Uprzedziła także, że od czasu do czasu na morzu zjawiają się ślizgacze z aniołami, którzy ciskają harpunami w potępionych próbujących dotrzeć na tratwach do dalekich, samotnych, obsydianowych wysepek.

Oprócz owych wysepek w urwiskach z wulkanicznego szkliwa, górujących nad częścią Morza Czerwonego, można znaleźć jaskinie. Perspektywa ta nie wydała mi się zbyt zachęcająca, a codzienność dość ponura. Odparłem, że nigdy nie przepadałem za wyprawami na łono natury i trudno by mi było porzucić życie w mieście.

Wedle słów Chary, na dnie morza istniało miasto Szeol. Cholernie trudno tam dotrzeć, ale potępieni, jeśli nawet się topią bądź duszą, to tylko chwilowo. Za zamkniętymi murami miasta znów można oddychać powietrzem. Wszystkim zarządzają demony z podwodnej, wyposażonej w skrzela rasy. Chara mogła utonąć, toteż jej pobratymcy nie odwiedzali

Szeolu - co oznaczało, że nie ma mowy, byśmy się tam schronili, podobnie jak w innych większych miastach... Przynajmniej w okolicy.

Znacznie dalej rozciągały się bezpieczniejsze, zamarznęte śnieżne pustkowia. Dzielilo je od nas wiele dni marszu. Było tam kilka niewielkich osad i potężna lodowa metropolia, zwana Plutonem. Królowały w niej kudłate, prymitywne, podobne do wilków demony, lecz jej pobratymcy także je odwiedzali, i choć wizja ciągłych mrozów mnie nie zachwyciła, uznałem, że to niezła perspektywa. Znacznie lepsza niż rozpalone pustynie, które mi opisywała. Jeśli miałem wybór pomiędzy upałem a zimnem, zimno stanowiło mniejsze zło.

Chara krążyła po pokoju.

- Przez większość czasu będziemy musieli udawać, że jesteś moim sługą. Albo więźniem. - Zamyśliła się chwilę. - Może powinnam obciąć sobie skrzydła. Wówczas włożyłabym szatę i kaptur i z daleka wyglądała jak człowiek...

- Nie - zaprotestowałem. - Nie mów tak. Kocham twoje skrzydła! - Zawstydzilem się, ale ona spojrzała na mnie z uśmiechem. - Poza tym z bliska ludzie zobaczyliby twoją skórę i szare usta i...

- Nie byłabym jedynym okaleczonym demonem w piekle. Poza tym... odkąd zaatakowali mnie i ukrzyżowali, skrzydła bolą mnie nieustannie.

- Przepraszam, nie wiedziałem. - Miałem nadzieję, że nie obszedłem się z nimi zbyt brutalnie w szale namiętności.

- Tak tylko pomyślałam - mruknęła i znów zaczęła krążyć.

- Co za ironia, że polują na ciebie, jednocześnie torturując ludzi, którzy cię skrzywdzili. Turner opowiedział mi, jak to się stało... Jak polowałaś na nich z innymi, rozłączyliście się i...

- Torturując ich publicznie, zrobią z nich męczenników.

W ten sposób więcej ludzi nawróci się na ich sprawę, niż zniechęci do naśladowania.

- Ich sprawę?

Chara przestała krążyć po pokoju jak schwyтана w klatkę lwica i odwróciła się ku mnie.

- A zatem Turner nie powiedział ci wszystkiego.

- Czego mi nie powiedział?

- Ci ludzie, których łapaliśmy... Ci, którzy mnie zaatakowali... to buntownicy. Próbują zorganizować się w zbrojny oddział, w armię. Większość ich grup jest mała i rozproszona, ale część próbowała złączyć siły. To był jeden z bardziej zdeterminowanych oddziałów.

- Buntownicy? Turner mówił o nich raczej jak o bandzie włóczęgów, która mści się na demonach, zabijając je.

- Nie są szczególnie zorganizowani. Na razie. Ale krążą pogłoski, że jest ich coraz więcej, że szykują się do poważnego ataku. Może na miasta takie jak Tartar, w których rodzi się i szkoli większość nas, demonów.

- To brzmi jak samobójstwo.

- Może. Ale pamiętaj... choć Tartar może produkować mnóstwo demonów zastępujących wcześniej zabite, w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do tego, że nas można zabić, a potępionych nie. I, jak mówiłam, nawet jeśli zjawia się Niebianie, mający stłumić poważniejszy bunt, ich także można zabić. Prawdziwie zorganizowaną i wielką armię potępionych można spowolnić, rozdzielić, można jej przeszkodzić, zmusić do rezygnacji. Ale nie da się jej wybić. Nie dokona tego nawet armia aniołów. Tego właśnie najbardziej boją się demony i aniołowie. Nic dziwnego, że Turner nie przedstawił ci tej wizji.

Teraz to ja zacząłem z namysłem krążyć po niewielkim mieszkanku.

- Rany - mruknąłem; nic innego nie przyszło mi do

głowy.

- Czyżbyś zaczynał sympatyzować z sukinsynami, którzy na mnie napadli?

- Nie usprawiedliwiam tego, co ci zrobili. Zgwałcili. Torturowali. Ani przez chwilę. Ale...

- Zasłużyli na to, co ich spotkało, prawda? - rzuciła lodowatym tonem.

- Tak! - Odwróciłem się ku niej. - Zasłużyli! Przynajmniej ci ludzie. Ale rozumiem ich nienawiść i ich pragnienia.

- Nigdy nie zdołają się zorganizować w armię dość dużą, by przejąć władzę nad piekłem. Może nad osadą. Może nawet miastem. Lecz w końcu zostaną pokonani i pożałują swoich czynów, tak jak teraz żałują ich ci sukinsyni. Właśnie ta świadomość powstrzymuje przeciętnych potępionych przed próbami buntu.

- Przed chwilą mi powiedziałaś, że armii potępionych nie można zniszczyć.

- Nie można wybić. Ale zatrzymać owszem. Ludzie boją się bólu, nawet jeśli ich rany się goją. Ludzie są jak owce, łatwo ich złamać. Są samolubni i wybierają najłatwiejsze wyjście, nawet jeśli oznacza wiekuiste cierpienia. Lepsze to niż wiekuiste, nieustające tortury, które czekają buntowników.

- Jej oczy zwęziły się w okrutne szparki. - Jeśli kiedyś przyjdzie ci do głowy, by dołączyć do podobnej grupy, możesz się ze mną pożegnać.

- Ale przecież ty też nienawidzisz Stwórcy, aniołów, całego tego systemu.

- I co niby miałabym zrobić? Sympatyzować z ruchem, który postawiłby cię przeciwko moim pobratymcom? Pomóc ci mordować moich braci?

- Nie proszę cię o sympatyzowanie. Jedynie... zrozumienie.

- Ja rozumiem - odparła łagodniejszym tonem. - Naprawdę. Ale teraz nie czas na rozważania o rewolucji. Oboje musimy myśleć o sobie. To jedyne, co możemy zrobić razem. Wojna oznaczałaby dla nas rozstanie.

Podszedłem do Chary.

- Zakochuję się w tobie - powiedziałem, a ona odwróciła wzrok. - Czy ty mnie kochasz?

- Ja nie mogę kochać.

- Nie? W takim razie co to jest?

- Łaknę twojego towarzystwa... - zawiesiła głos, szukając właściwych słów - ponieważ mnie interesujesz.

Nie chciałem naciskać, w obawie, że nie dopuszczając do siebie prawdy, wpadnie w gniew. Zostawiłem tematy osobiste, powracając do ogólniejszych kwestii.

- Rozumiem twoje oddanie pobratymcom. Ale ja także mam obowiązki wobec moich.

- I dobrze. Przekonasz się jednak, że tylko nieliczni twoi bracia dorównują ci szlachetnością. Rozmyślania o tym to strata czasu. Jeśli jednak chcesz wyruszyć na poszukiwania ich, bardzo proszę. Idź, walcz u boku kolegów tych, którzy mnie zbeczcili.

- Już mówiłem: nie popieram tego co ci zrobili!

- Ci ludzie to terroryści.

- Partyzanci.

- Czysta semantyka.

- Tu masz rację. Demony także mógłbym uznać za terrorystów. W końcu budzą strach w ludziach takich jak ja. Popierasz to?

- Wszystko to jest straszne. Wszystko. - Jej głos się załamał. - Wszystko. Dlatego właśnie chcę, żebyśmy byli tylko we dwoje, ty i ja. Żadnych armii, ras, więźniów i katów. Tylko ty i ja. Czy to takie straszne?

- Nie - westchnąłem. - Wcale nie. Ja też najbardziej tego

pragnę. - Podeszedłem i objąłem ją czule, tym razem uważając na obolałe skrzydła. Pogładziłem je złożone na plecach. - A zatem uciekniemy do Plutona. Zawsze wołałem zimę od lata.

- W takim razie powinniśmy wyruszyć już wkrótce. Możemy odczekać parę dni, dopóki nie opadnie pierwsza fala poszukiwań. Założą, że już uciekłam. Słyszałam też, że za kilka dni z miasta zniknie również banda aniołów. Wątpię, by ci dwaj, którzy domagają się mojej krwi, zostali.

- Dobrze - rzekłem. - To da mi czas na zakupienie grubszych ubrań, zebranie rzeczy, zarobienie kilku groszy.

- W takim razie powinieneś wrócić do mieszkania i pracy. Zachowuj się normalnie. Skontaktuję się z tobą.

- Zgoda. Ale jeśli nie odezwiesz się w ciągu najbliższych kilku dni, przyjdę cię tu szukać.

Chara nie protestowała. Zostawiłem ją zatem w jej mieszkanku, czy też kryjówce pod wiaduktem i z pewnym wysiłkiem odnalazłem drogę do domu.

Kiedy w końcu znalazłem się przed własnym mieszkaniem, otwierając drzwi, dostrzegłem subtelny blask, kładący przede mną mój cień. Usłyszałem ciche stąpienie i obróciłem się gwałtownie.

- Przepraszam, nie chciałem pana przestraszyć. - Inspektor Turner zaśmiał się ciepło, unosząc rękę uspokajającym gestem. - Powiniennem był najpierw zawołać.

Obok spowitego w szatę anioła stał androgyniczny Niebianin. W mroku korytarza wydawało się, że jaśniej bardziej niż w fabryce. Spróbowałem się uśmiechnąć.

- Nic się nie stało, inspektorze. Uhm. Mogę w czymś pomóc?

- No cóż, przepraszam, że znów przeszkadzam. Wiem, że dopiero co rozmawialiśmy, ale pomyślałem, że się odezwę, sprawdzę, czy nie słyszał pan czegoś nowego. Wróciłem do miejsca pana pracy i dowiedziałem się, że ma pan wolne.

Skierowano mnie tutaj. Ale... w mieszkaniu też pana nie było. - Uniósł ręce. - Założyłem, że poszedł pan na zakupy albo z wizytą do znajomych. Wróciłem więc po jakimś czasie, a pana wciąż nie było. Zaczynałem już sądzić, że opuścił pan Zatracenie. - Znow się zaśmiał. - Ale pomyślałem, że jeszcze raz zajrzę do hotelu i proszę!

- Tak... Przepraszam za to. Owszem, odwiedzałem kogoś. Może porozmawiamy w środku?

- Jeśli to kłopot, możemy pomówić tutaj.

- Ależ nie, nie. Proszę, wejdźcie...

Kiedy przekręcałem klucz w zamku, mój umysł pracował szaleńczo. Czy w mieszkaniu na wierzchu zostało coś, przez co mógłbym napytać sobie biedy? Broń ukryłem bezpiecznie, miałem tylko nadzieję, że Niebianinowi brak znakomitego węchu demonów. Bez wątpienia tylko to sobie wyobraziłem, ale wydało mi się, że w powietrzu unosi się lekka woń smaru z pistoletów.

- Proszę usiąść - rzuciłem. - Napije się pan może kawy albo...

- O nie, nie. Nie zostaniemy długo. - Turner machnął ręką. - Całkiem nieźle się pan tu urządził. - Wskazał jedną z wydrążonych tykw, zaczynających już więdnąć, tak że wyglądała jak bezzębny, osiemdziesięcioletni Dyniogłowy. - Urocz. Tak, na swój sposób to bardzo przytulne mieszkanko. Nie chciałbym się przechwalać, ale sam mam przyjemną chałupkę, zaprojektowaną specjalnie dla mnie. To replika mojego domu z dzieciństwa. Mnóstwo aniołów pragnie zamków, pałaców, plantacji i oczywiście dostają je. Ale ja mam skromniejsze potrzeby. Nigdy nie byłem zwolennikiem ostentacji.

- Doskonale to rozumiem.

Niebianin, tak jak wcześniej, milczał. Spojrzenie jego rozmazanych, błękitnych oczu jakby się na niczym nie

skupiało, nawet na mnie, i odkryłem, że drażni mnie to znacznie bardziej, niż gdyby gapił mi się w twarz.

- A zatem... miał pan wolne - zagadnął Turner. - Znakomicie. Nie wszędzie tak bywa. Jak często?

- Co dziewięć dni. Czy może dziewięć zmian w pracy. Zależy jak na to patrzeć. Nie wiem czemu akurat dziewięć.

- Ma pan szczęście.

- Tak. W czym mogę panu pomóc, inspektorze? - powtórzyłem.

- Nadal nie widział się pan z demonica Charą? Nie próbowała tu pana odwiedzić?

- Ależ nie. Naprawdę nie wiem, po co miałyby to robić. Nawet kiedy uratowałem ją przed buntownikami, traktowała mnie z pogardą.

- Nie aż tak wielką, by nie przyjść panu z pomocą w „Błękanie”. - Turner pochylał się właśnie, by obejrzeć z bliska kolejny lampion, lecz jego spojrzenie pomknęło nagle ku mojej twarzy. - Buntownikami? To dumna nazwa dla takich łotrzyków.

Cholera. Moje myśli znów się rozbiegły.

- No, kim tam sobie byli.

Turner się wyprostował. Wyjął zza pazuchy metalową puszkę, a ja wzdrygnąłem się, sądząc, że to broń. Otworzył ją pstryknięciem i ujrzałem leżące w środku cygara.

- Zapali pan?

- Och, nie, dziękuję. Od nich się umiera.

- Ha! Zabawne. A ja mogę...?

- Ależ tak, oczywiście. - Postawiłem przed nim kubek, wskazując, że może potraktować go jak popielniczkę.

- Na pewno? Niektórzy nie znoszą ich zapachu.

- Prawdę mówiąc, lubię zapach cygar i fajek, choć sam nigdy nie paliłem.

Ponieważ gość był kiedyś glina, nie dodałem, że to samo

dotyczy trawki. Turner zapalił i wydmuchnął dym, napawając się nim. Nie poczęstował swojego towarzysza.

- Widzi pan? Nawet w piekle znajdują się jakieś plusy. Można tu palić bez obawy przed konsekwencjami.

- W takim razie może powinienem zacząć?

Turner uśmiechnął się do mnie.

- Od naszej ostatniej rozmowy przesłuchałem sporo demonów - oznajmił. - Począwszy od pobratymców Chary aż po Nadzorców. Nikt jej nie widział. A jeśli widział, to się nie przyznał.

- Możliwe, że uciekła już z Zatracenia i mówią prawdę.

- Mhm. Cóż, taką mam nadzieję, dla ich dobra. Nawet kapitan Abbadon twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie ją znaleźć. Odnoszę jednak wrażenie, że biorąc pod uwagę ich zdolności w tropieniu uciekinierów-ludzi i niezwykle wyczulony węch, do tej pory powinni ją już odnaleźć. - Wzruszył ramionami.

- Dlatego właśnie jestem pewien, że uciekła. Może powinniście wysłać grupę poszukiwawczą poza granice Zatracenia i...

- Och, mamy taką grupę. - Ponownie wydmuchnął dym.

Jak bardzo utrudni nam to ucieczkę do Plutona? I kto wchodził w skład owej grupy: aniołowie, demony czy też, co najbardziej przerażające, Niebianie?

- Jeśli jednak nadal przebywa w Zatraceniu - podjął Turner - możliwe, że będę zmuszony podjąć drastyczne działania. Widzi pan, panowie Butler i Franklin są bardzo oburzeni tym, jak ich potraktowano, i spodziewają się, że dopilnuję ukarania winnych. - Skrzywił się, co prawdopodobnie miało wzbudzić moją sympatię. - Poinformowałem zatem kapitana Abbadona, iż oczekuję, że zwiększy wysiłki służące odnalezieniu demona Chary. Powiedziałem mu także bez ogródek, że być może wkrótce zbierzemy i stracimy wszystkie demony w Zatraceniu... co do

jednego. I zastąpimy je nowymi, wprost z Tartaru. Aby dać wszystkim rasom nauzkę co do lojalności.

- To dość ekstremalne rozwiązanie - zdołałem wykrztusić.

Swobodny ton Turnera ogłuszył mnie jak cios obuchem.

- W końcu mówimy tu o demonach. I dwóch aniołach napadniętych przez demony. Demony można zastąpić, anielski honor to zupełnie inna sprawa.

- Oczywiście - wymamrotałem.

Turner podszedł do okna, gdzie ustawiłem Lyre'a tak, by jego cyklopowe oko spoglądało na ulicę w dole. Szkło wibrowało od stłumionych dźwięków wydawanych przez gigantyczną maszynową budowlę przesłaniającą horyzont. Kiedy śledczy podniósł i obrócił w dłoniach książkę, miałem wrażenie, że wyrwał mi z piersi serce i obmacuje je bezceremonialnie. Otworzył ją, odczytał parę linijek wymuszonego samobiczowania.

- Zachował pan książkę ćwiczeń ze szkoły? - Spojrzał na mnie.

- Tak. Lubię czytać to, co w niej napisałem. Przypomina mi to, jak bardzo się myliłem, nie słuchając słowa Syna. I jak nisko przez to upadłem.

- Ach. Widzisz, przyjacielu, to właśnie jest najtragiczniejsze w ludziach takich jak ty. Macie naprawdę sporo zalet. Prawie wam się udało. Prawie dotarliście do nieba.

- Chciałbym móc to naprawić.

- W tym właśnie rzecz. Trzeba to zrobić za życia. Nie, kiedy jest już za późno. - Nie odwracając książki i nie przeglądając ostatnich kartek, na których spisuję dziennik, Turner ustawił ją z powrotem na oknie, w tym samym miejscu. - Co to ma być? Pana czujka? - zażartował.

- Bez ust? - odparłem żartobliwie. - Ja... chciałem po

prostu, by mógł sobie na coś popatrzeć.

- Bardzo szczerze szafuje pan swymi uczuciami. Współczucie wobec demonów. I ludzi takich jak ten, surowo ukaranych.

- Może to wada.

- Nie tyle wada, ile źle skierowane dobro. Szanuję je, naprawdę. - Turner westchnął. - Cóż, wiedziałem, że ta wizyta najpewniej nic nam nie da. Nie sądzę, by Chara mogła coś zyskać, odwiedzając pana. Ale gdyby się okazała tak niemądra, proszę jej powtórzyć, co planujemy. Wymianę wszystkich demonów w całym Zatraceniu. Jeśli jest równie oddana swoim pobratymcom jak oni jej, może zechce sama się poddać.

- Jeśli ją zobaczę, z całą pewnością powtórzę jej pańskie słowa.

- Dobry z pana człowiek. - Poklepał mnie po ramieniu i wyminął. Niebianin popłynął pierwszy, otwierając przed nim drzwi. Turner przekroczył próg, nagle jednak znów odwrócił się do mnie. - Musi pan nauczyć się posługiwać igłą i nitką, to nie takie trudne. Mężczyzna nie ma się co wstydzić, że umie szyc.

- Słucham?

Wskazał rozdarcie w mojej koszuli. Ślad po tym, jak Chara zerwała ją ze mnie.

- No... tak... Nigdy tego nie próbowałem. Chyba powinienem.

- Powinien pan. Mnie nauczyła mama. I przydało mi się kilka razy w życiu.

- Wiem, że nie wyglądam najporządniej, i nie chcę się skarżyć, bo zasłużyłem na swój los, ale jestem ubogi.

- Nadal jednak ma pan swoją dumę, czyż nie? Według mnie duma to nie grzech. - Powiedział to szeptem, jakby nie chciał, by usłyszał go Niebianin. - Jedynie przesadna duma.

- To prawda.
- Osoba, którą pan odwiedzał, kiedy przyszedłem tu wcześniej... to kobieta?
- Słucham?
- Bo jeśli to kobieta, może sama by panu to zaszyła.
- Och. Nie, to kolega z pracy. Ale może umie szyć - zażartowałem.
- Nie należy się obawiać uczenia nowych rzeczy - upomniał mnie ze śmiechem i w końcu sobie poszedł. Niesamowity Niebianin szybował tuż za nim.

Walczyłem z paniką nakazującą mi zatrzaskać drzwi. Zamknąłem je powoli, zmagając się ze sobą. Trudno mi było uwierzyć, że inspektor Turner nie czyha po drugiej stronie.

DZIEŃ 69.

- Słyszałeś, co się stało?! - wykrzyknął Larry, gdy tylko wpadł do sali rekreacyjnej.

Przyniosłem ze sobą skromny posiłek, siedziałem sam przy metalowym stole przyśrubowanym do podłogi. Facet przy sąsiednim złożył głowę na splecionych rękach i szlochał cicho.

Wielką rurą przecinającą sufit z głośnym szumem przepłynęła fala płynu - może ścieków albo chemikaliów. Rura zadrżała pod jej ciężarem. Odczekałem, aż szum ucichnie.

- Nie. Co się stało?

- Pewnie ze swego stanowiska nie dosłyszałeś strzałów.

- Jakich strzałów?

- U nas je słyszeliśmy, ale oczywiście nie mogliśmy wyjść na dwór i sprawdzić. Ale dziewczyna Jarroda wpadła do niego na lunch i powiedziała, co zaszło.

- Czyli?

- Grupa potępionych przypuściła szturm na wieżę tortur, gdzie wystawiono na widok publiczny pięciu gwałcicieli diablicy. Pamiętasz, oglądaliśmy ich...

- Tak... Ci ludzie zaatakowali torturownię? Po co?

- Żeby uwolnić tamtych! Uwierzyłybyś, że ktoś się odważy? Zdołali wyciągnąć trzech, nim pojawiły się demony. Świetnie zaplanowali atak.

- Rany. A ilu właściwie ich było?

- Dziesięciu, może trzynastu. W każdym razie demony złapały trzech z nich i odbiły jednego z gwałcicieli. Lecz pozostałych siedmiu czy dziewięciu uciekło wraz z dwoma tamtymi. Uwierzyłybyś? A co jeszcze lepsze, przy okazji zabili

cztery demony.

- O rany.

- Mieli kilka spluw. To dlatego im się udało. Nie wiem, skąd je wzięli, pewnie od złapanych w pułapkę aniołów.

Z trudem przyswajałem sobie te informacje. Nawet po moim stosunkowo krótkim pobycie w piekle wydawały mi się nie do pomyślenia. Lecz nagle przypomniałem sobie słowa Chary o buntownikach w Hadesie... i o tym, że ludzie, którzy ją zaatakowali, stanowili część podobnej grupy.

- Teraz demony solidnie przykręcą nam śrubę - przewidywał Larry.

- Może być gorzej - wymamrotałem, pomny wczorajszych słów inspektora Turnera o tym, że Niebianie mogą dla przykładu pozabijać i zastąpić nowymi wszystkie demony w Zatraceniu. Czy aniołowie, Niebianie, nawet sam Stwórca, nie uznają ostatnich wydarzeń za kolejny dowód, że przestali panować nad Zatraceniem? Jakie straszliwe środki mogą podjąć, by je odzyskać?

- Naprawdę nie chciałbym być jednym ze schwytyanych przez nich napastników - podjął Larry. - A więzień, którego odbili? Będą ich torturowali jak nikogo w dziejach.

- Nie wątpię.

- Biedacy... Żal mi ich. Gdybym był równie odważny jak oni, zorganizowałbym własną armię i spróbował ich uratować.

- Myślę, że ci skazańcy, jeśli nadal pozostaną w miejscu publicznym, będą odtąd pod dobrą strażą.

- Demony zechcą pewnie zorganizować nowe widowisko, jeszcze bardziej przerażające, by zniechęcić innych. Gdyby z tego zrezygnowały, mogłoby to wyglądać tak, jakby nie potrafiły zapanować nad sytuacją... A z pewnością nie zechcą stracić twarzy.

Larry próbował mnie namówić, bym po pracy wybrał się razem z nim do olbrzymiej torturowni i sprawdził, czy dwaj

nieodbici gwałciciele nadal są wystawieni na widok publiczny i czy trzej buntownicy i jeden odbity więzień już do nich dołączyli, ale odparłem, że pewnie chwilowo nie dopuszczą nas tak blisko. Demony, w obawie przed kolejnym atakiem, bez wątpienia odcięły całą okolicę. Przede wszystkim jednak chciałem wrócić do domu, sprawdzić, czy nie skontaktuje się ze mną Chara.

Nie wspomniałem Larry'emu o tym, co mi mówiła: że ci ludzie stanowili część rosnących zbuntowanych oddziałów. W ogóle mu o niej nie wspomniałem. Jakież nienawidzący demonów człowiek mógłby zaakceptować naszą bliskość? Choć nie wątpię, że wielu ludzi pożałowało owych pięknych, demonicznych wojowniczek. Jestem również pewien, że bardzo nieliczni zrozumieliby uczucia, jakie żywiłem wobec jednej z nich.

Kiedy tak szedłem samotnie do domu, marzyłem, by Chara odwiedziła mnie dziś w nocy. Co jednak, jeśli Turner nadal mnie obserwuje? Albo inne demony, które wobec gróźb Turnera zdecydowały się ją zdradzić? Jednocześnie jednak pragnąłem znów ją zobaczyć, zupełnie jakbyśmy nie widzieli się od tygodni.

Czy zatem odważę się pójść do niej? Bałem się poprowadzić przyczajonych wrogów do jej kryjówki. Chciałem ją uprzedzić, że Turner wie, gdzie mieszkam, że odwiedził mnie w hotelu i zagroził zabiciem wszystkich demonów w mieście. Czyżby podejrzewał, że pozostaję w kontakcie z Charą? I czy w takim razie nie chodziło mu o to, bym powtórzył jej jego groźby... w nadziei, że się poświęci, by ratować pobratymców?

Nie mogłem ryzykować, że doprowadzę do niej anioła bądź demona. Uznałem, że muszę zachować cierpliwość. Obiecała, że w jakiś sposób skontaktuje się ze mną.

Miałem tylko nadzieję, że pożyje dość długo, by

dotrzymać słowa.

DZIEŃ 70.

Tego ranka padłem w drodze do pracy ofiarą przypadkowej strzelaniny. Paru przejeżdżających na motorach aniołów naszpikowało mnie kulami. Najwyraźniej jeszcze nie opuścili miasta.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżąc na czarnym, ceglanym chodniku w kałuży własnej krwi, ściekającej do rynsztoka, poprzez strzępy zakrwawionej, podartej koszuli, ujrzałem zapadniętą pierś. Cholera. Będę musiał wrócić do domu, wyrzucić zniszczone ciuchy i się przebrać. Spóźnię się do pracy i szef zmiany, Bruce, zrobi mi piekło - wybaczcie to określenie. Chwilowo jednak najbardziej obchodził mnie ból, od którego po policzkach spływały mi łzy, i leżałem, szlochając, skulony w pozycji płodowej, a każdy spazm jedynie pogarszał cierpienie. Tak bardzo mnie pochłoneło, że jedynie przelotnie zauważyłem, że mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka w tym samym ataku straciła pół czaszki i leżała w ramionach potępionej kobiety, która przyjęła ją do siebie. Owa zastępcza matka nie płakała, lecz wyraz bezsilnej furii i pokornego fatalizmu na jej twarzy wyglądał równie tragicznie. Zobaczyłem, jak chude nóżki dziewczynki poruszają się i zginają konwulsyjnie, kiedy zaczęła dochodzić do siebie w bólach.

W końcu, nadal krwawiąc z większej rany wylotowej na plecach (przynajmniej nie wyzdrowieję z irytującą kulą uwięzioną w ciele), dowlokłem się do mieszkania. Usiadłem tam, czekając, aż rany się zagoją, a ostry ból osłabnie. Rany wlotowe stopniowo zamieniły się w bezkrwawe, obrzmiałe kraterę; policzyłem je (sześć), macając palcami przez czystą koszulę. Wróciłem na ulicę i truchtem pobiegłem do pracy,

licząc na to, że po drodze nie natknę się na żadnego anioła. Kiedy w końcu dotarłem do fabryki, Bruce czekał na mnie wściekły, w rękach ścisnął złowieszczy zębaty klucz. Ani za życia, ani za śmierci nie widziałem podobnego.

- Gdzie się, do kurwy nędzy, podziewałeś? - warknął, czerwieniejąc na twarzy. - Musiałem poprosić Jolandę, by stanęła przy twojej taśmie. Może powinienem na stałe dać jej twoją pracę, a ciebie wywalić? Dlaczego znów się spóźniłeś? Znowu padało?

- Wyluzuj - wymamrotałem. Nigdy jeszcze nie widziałem go takiego wkurzonego, a co gorsza, kilku innych robotników gapiło się na mnie.

- Nie mów mi, żebym wyluzował! Powinienem rozwalić ci łeb. - Uniósł umazane smarem, ciężkie narzędzie. - Musimy pilnować, by wszystko działało jak należy. Rozumiesz?

- Nie - warknąłem, patrząc mu prosto w oczy. - Nie rozumiem. Co dokładnie ma tu działać? I dlaczego grozisz, że rozwalisz mi łeb, Bruce? Czyżbyś dziś rano obudził się jako demon? Może powinieneś spojrzeć w lustro... bo wciąż jesteś człowiekiem, takim samym jak ja. Czy nie jesteśmy po tej samej stronie?

- Jakiej stronie? Mamy do wykonania pracę, nie nam decydować po co i dlaczego. Wolisz podyskutować o tym z panem Goldem? On nie tylko ci pogrozi, ale dopilnuje, żebyś wylądował w podziemiach torturowni. A teraz zajmij się swoją taśmą!

- Myliłem się co do ciebie, Bruce - rzekłem na odchodnym. - Jednak nie jesteś człowiekiem. Jesteś niedorobionym demonem.

- Jeszcze słowo, a doniosę o wszystkim panu Goldowi. Idź! - Skrzywił się gniewnie.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się lekko i podreptałem na swoje stanowisko. To dlatego potępieni nigdy nie zdołają

zjednoczyć się przeciw aniołom i demonom. Większość za bardzo się boi. A czasami ów strach każe im sprzymierzać się z prześladowcami. Zapomnijcie o legendarnych wyznawcach diabła, całujących tyłek szatana. W piekle ludzie tacy jak Bruce wpychają demonom w dupy całe głowy.

Ale ja także wolałem nie ciągnąć tej dyskusji, prawda? Za bardzo się bałem. Bałem się tego, co mogą mi zrobić Bruce i pan Gold, który najwyraźniej rzeczywiście istniał (chyba że Bruce'a także okłamano).

Sprzymierzeni z demonami, stali się tacy sami jak one. A ja byłem zbyt tchórzliwy albo złamany (jak zastępcza matka, ściskająca w objęciach adoptowaną córkę), by się nie ukorzyć. W pewnym sensie ta świadomość bolała bardziej niż rany po kulach. Bo te wkrótce się zagoją.

Piszę te słowa już w domu, jest noc, czy raczej pora uznawana tu za noc (choć na ulicy inni zmierzają właśnie do pracy, jakby ich dzień dopiero się zaczął). Chara wciąż się nie odezwała. Słyszę jedynie grzechot broni automatycznej dobiegający z daleka... dziś w nocy aniołowie zachowują się bardzo głośno. Z początku sądziłem, że to kolejne ataki buntowników, ale słyszałem też odległy warkot motocykli.

Może raz jeszcze chcą skąpać miasto we krwi, nim wrócą na górę, czy gdzie tam się mieści niebo. Do swych rajszych Disneylandów, sąsiadujących z każdym miastem. Wyobrażam sobie rzędy przyczep z litego złota, w których wiszą portrety Syna w neonowych ramach, podejrzanie podobne do Elvise. Jego oczy emanują upajającym światłem, silniejszym niż fontanny bourbona w każdym parku wyłożonym sztuczną trawą.

Możliwe też, że aniołowie są podkręceni, zdenerwowani, bo dwaj z nich zostali poniżeni przez wyniosłą demonicę, a teraz potępieni zabijają swych prześladowców i uwalniają więźniów z torturowni. Całe miasto zmierza wprost do piekła.

A Chara stoi w samym sercu. Moja przerażająca Ewa,
która nie upadła i nie straciła łaski, lecz właśnie ją odkrywa.

DZIEN 71.

Dziś do mojej dzielnicy przybyła Czarna Katedra.

Usłyszałem nagle rozdzierający, zgrzytliwy pisk metalu, zbliżający się powoli i narastający tak mocno, że najpierw podbiegłem do okna, by wyrzucić na zmechanizowany budynek, a potem zszedłem na ulicę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Zważywszy wszystkie upiorne dźwięki, które wydawał, pełniąc swe niepojęte funkcje, z początku uznałem, że to nowy, wyjątkowo głośny hałas produkcyjny. Albo może odgłos towarzyszący straszliwej awarii, mającej doprowadzić do wybuchu całej konstrukcji.

Ale to nie zmechanizowany wieżowiec był źródłem metalicznego zgrzytu. Po przeciwległej stronie budynek wychodził wprost na jedną z szerszych alej, z bliźniaczymi szynami błyskającymi pośród kamieni bruku. I właśnie na tej szerokiej ulicy po raz pierwszy ujrzałem górujące nad dachami sąsiednich niewielkich kamienic iglice i wieże Czarnej Katedry. Natychmiast zrozumiałem czym są, bo poruszały się z lewa w prawo, niczym maszty i żagle okrętu oglądane ponad dachami starego miasta portowego. Nawet patrząc z daleka, zorientowałem się od razu, że są zrobione wyłącznie z czarnego metalu. Katedra jednak szybko zniknęła za mechanicznym budynkiem i rozdzierający pisk ucichł. Najwyraźniej migrująca wędrowna budowla, którą opisał mi Larry, znalazła sobie nowe, tymczasowe miejsce postoju.

Chara nie odzywała się od sześćdziesiątego ósmego dnia i zaczynałem naprawdę się martwić. Może jest bardziej cierpliwa ode mnie... A może już ją schwytali, torturowali i stracili. Ta niewiedza dręczyła mnie okrutnie.

Wiedziałem, że może się wścieknąć... ale postanowiłem wybrać się dziś do jej pokoju pod mostem i sprawdzić, czy wciąż tam jest.

Podstawowy problem stanowiło ponowne odnalezienie tego miejsca. Wiele razy zgubiłem drogę, ponieważ jednak raz już musiałem trafić stamtąd do domu, w końcu udało mi się dotrzeć do celu. Po drodze cały czas oglądałem się nerwowo, sprawdzając, czy ktoś mnie nie śledzi. Nie zauważyłem nikogo podejrzanego, nikogo, kto by się mnie trzymał. Zdarzyło się jednak coś osobliwego. W pewnym momencie minąłem oddział około tuzina demonów, maszerujących gdzieś w bez wątpienia nieprzyjemnych zamiarach. Ich przywódca dzierżył w dłoni czarną żelazną włócznię, a insygnia na jego pasie wskazywały stopień odpowiadający sierżantowi. Kiedy przechodził obok mnie, spojrzałem mu w oczy, a on długą chwilę mi się przyglądał. Odwrócił nawet lekko głowę, nie spuszczając ze mnie wzroku, dopóki się nie minęliśmy. Może po prostu chciał, bym się ukorzył? Może z powodu moich stosunków intymnych z demonicą popełniam błąd, podchodząc do jej pobratymców z mniejszym lękiem; do niedawna za wszelką cenę unikałbym wzroku diabła. Miałem jednak dziwne wrażenie, że w jakiś sposób mnie rozpoznał, jakby wiedział, kim jestem. Kochankiem Chary, ich siostry, na którą musieli polować.

Raz jeszcze obejrzałem się przez ramię i zastukałem do metalowych drzwi osadzonych w łukowatym filarze kamiennego mostu. Po dziesięciu sekundach, które odmierzały ciężkie uderzenia mego serca, zapukałem ponownie, nieco mocniej. Tym razem drzwi otwarły się, skrzypiąc, i ujrzałem przed sobą znajomą postać.

- Och... cóż, chyba powinienem był się pana spodziewać - rzekł inspektor Turner z nieco bardziej wymuszonym uśmiechem niż zwykle. Był ubrany w tradycyjną białą szatę,

ale zdjął szpiczasty kaptur, siwe włosy miał potargane, jakby jeszcze przed chwilą drzemał. - Proszę wejść - zaprosił mnie.

Uznałem, że nie ma sensu dłużej udawać. Zostałem na miejscu.

- Gdzie jest Chara? - wykrztusiłem, starając się udawać twardziela.

- Jak widać, wcześniej to pan mógł mi to powiedzieć. Musiałem się dowiedzieć o istnieniu tej przytulnej norki własnymi kanałami. Naprawdę, proszę wejść, nalegam.

Nadał nie odrywałem stóp od progu.

- Jest tutaj czy już ją aresztowaliście? - spytałem ostro, czując, jak w brzuchu otwiera mi się bezdenna otchłań.

- Na nieszczęście nie widziałem jej.

- W takim razie czekacie, aż tu wróci. Żeby złapać ją w pułapkę.

- I bez wątpienia czekam na próżno. Jestem tu od wczoraj, co oznacza, że musiała sobie znaleźć nową kryjówkę. Dziwne jednak, że pana nie uprzedziła.

- Zapewne już uciekła z miasta.

- Już pan to mówił. Ale wówczas wiedział pan, że nadal tu jest. Proszę... niech pan wejdzie.

- Żeby stać się zakładnikiem?

Turner się skrzywił.

- Nie stosuję prymitywnych metod. Nie lubię uciekać się do przemocy... Nigdy nie lubiłem. Wolę subtelność.

- Woli pan gierki. To dla pana rozrywka.

Drzwi otwarły się szerzej i za plecami Turnera ujrzałem Niebianina. Jego osobliwie płaskie, dziwnie puste oczy spojrzały na mnie groźnie. Wiedziałem, że on bez skrupułów posunie się do zastosowania przemocy. Zauważyłem, że jest nagi, jak jeden z demonów, nie ma na sobie przepaski, która okalała mu biodra podczas naszych poprzednich spotkań. Lekko świetlista istota miała zarówno penisa, jak i, poniżej,

bezwłosy wzgórek w miejscu moszny. Hermafrodyta. Dziwne, że stwór pozbawiony sutków i pępka został tak hojnie wyposażony w narzędzia do rozmnażania.

- Lepiej będzie omówić te kwestie na osobności, nie sądzi pan? - nalegał uprzejmie Turner.

- Chce pan, żebym wszedł do środka i nie stał na widoku, na wypadek gdyby Chara jednak wróciła. Spodziewa się pan, że pomogę wam ją schwytać?

- Cóż, rozsądnie byłoby okazać chęć współpracy. Wciąż jeszcze ma pan szansę odkupić winy, nim wpadnie pan w poważne tarapaty. A bardzo bym tego nie chciał. Musi pan zrozumieć, że już dawno mogłem kazać pana aresztować.

- Pewnie mam to uznać za miłosierdzie. Ale tak naprawdę nie zrobił pan tego, bo niczego nie może dowieść.

- Jesteśmy w piekle, przyjacielu, nie w Sądzie Najwyższym. Nie muszę niczego dowodzić.

- Jak dotąd dał mi pan spokój tylko dlatego, że uznał pan, że na wolności bardziej mu się przydam.

- Proszę posłuchać. Pan wie, że schwywanie Chary to tylko kwestia czasu.

- Możliwe. Ale nie zamierzam w tym uczestniczyć.

- A zatem pan ją kocha? O to chodzi?

W końcu przekroczyłem próg mieszkania. Turner cofnął się, robiąc mi miejsce. Podobnie uczynił Niebianin. Wszedłem jednak tylko po to, by nie mógł zatrzęsnąć mi drzwi przed nosem.

Tym razem, w obawie, że mógłbym doprowadzić do kryjówki Chary jej wrogów, zabrałem ze sobą skradzione pistolety i ukryłem w głębokich kieszeniach luźnej brązowej kurtki. Wchodząc do kryjówki o ścianach i podłodze pokrytych zielonkawą miedzią, wyciągnąłem obie spluwy, glocka i kanciasty, mały półautomat Sig-Sauer AP-225. Uniosłem ręce i wycelowałem w twarz Niebianina.

Istota ruszyła naprzód, jej blask wzmógł się lekko, ale Turner zagroził jej przejście drugą ręką.

- Nie, Nefi!

- Teraz ja zadam panu pytanie - rzekłem do Turnera. - Kocha pan Nefiego?

- Nie jesteś zabójcą. Nie rób tego.

- Za życia nie byłem zabójcą. Wątpię, czy za życia mógłbym strzelić komuś w twarz, panie Turner. Ale od chwili śmierci widziałem mnóstwo strasznych rzeczy. I poważnie wątpię, czy nawet jeśli zastrzelę pańskiego kochanka, cokolwiek poczuje.

- Posłuchaj...

- Tak, inspektorze, odpowiadając na pańskie pytanie, istotnie, kocham Charę. A pan ma dość odwagi, by przyznać, że kocha Nefiego?

- Kocham wszystkich Niebian, wszystkie anioły i...

- Ale ich pan nie pieprzy, inspektorze. No dobrze, nie musi się pan przyznawać. Może to nie aż tak głębokie... Może Nefi to tylko usługowy kawałek ciała. Widzę, że Niebian zaprojektowano do rozkoszy, więc przypuszczam, że ssanie fiuta w niebie to żaden grzech... Choć osobiście uważam to za hipokryzję.

- Oni nie mają płci! - zaprotestował. - Stwórca ich pierwszych stworzył. Kiedy zajął się nami, postanowił rozdzielić atrybuty.

- Tak naprawdę - podjąłem, nie zwracając na niego uwagi - liczy się jedno: zabiję to stworzenie, jeśli nie da mi pan słowa honoru, że zakończy śledztwo.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić!

- W takim razie proszę markować. Udawać, że ściga pan Charę. Ale zostawić ją w spokoju.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie mogę okłamywać przełożonych!

- W takim razie pański przyjaciel stanie się ofiarą na ołtarzu pańskiej prawości.

- Mogę przyrzec jedynie, że nie doniosę na ciebie. Nie dowiedzą się, co zrobiłeś.

- To nie wystarczy. Jeśli może pan chronić mnie, to może i Charę.

- Ale to nie ciebie chcę dostać! - Turner zerknął na Nefiego i znów na mnie. - Tak. Zadowolony? Kocham Nefiego. I nie. Nie powinniśmy zbliżać się do siebie. Jedynie do członków naszych własnych gatunków. Rozumiem zatem twoją miłość do tej demonicy... naprawdę. Natychmiast ją wyczułem, i mogę nawet z tym sympatyzować. Istnieje jednak pewna podstawowa różnica, przyjacielu. Nefi to Niebianin. Istota błogosławiona. A Chara jest demonem.

- Ta różnica nic dla mnie nie znaczy, inspektorze. Kto panu powiedział, że Chara się tu ukrywa? Kto ją zdradził?

Turner się zawahał.

- Kapitan Abbadon - wyznał. - Przywódca wojowników z Zatracenia. Niestety, musieliśmy poddać go torturom, by zdobyć te informacje, a potem go stracić. Dziś jego ciało zostanie ukrzyżowane i wystawione na widok publiczny. - Turner pokiwał głową. - Straszne to, ale ostrzegałem. Decyzja już zapadła, wydano rozkazy. Oddziały Niebian zgromadzą wszystkie demony z Zatracenia, już tu zmierzają. Zastąpi je nowa armia demonów z Tartaru.

- Super.

- Nie będzie to ładne ani miłe, lecz mimo chaosu konieczne. Nie możemy dopuścić, by demony zaczęły się buntować. Potępieni także zanadto podnoszą głowy. Trzeba zapanować nad tym miastem.

- Nie potrafi pan nawet zapanować nad sobą, inspektorze. Nie różni się pan od potępionych; z pewnością zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Jesteśmy podobni do siebie. Proszę zatem, byś nie robił krzywdy tej istocie.

- Ale nie przyrzeknie mi pan, że nie skrzywdzi Chary?

- Możesz zabić Nefiego, ale mnie nie, i wiesz, że jeśli to zrobisz, będę cię ścigał z pomocą wszystkich Niebian i demonów,

- Chce pan grózb?! - krzyknąłem. - Rozwalę mu łeb, przysięgam!

- Zaczekaj! - Turner uniósł dłonie. - Proszę. Już mówiłem... nie mogę przestać ścigać Chary, ale... może zdołasz ją znaleźć przede mną. A jeśli tak, sugeruję, byście oboje uciekli jak najdalej stąd. Możliwe, że nadal będę was szukał, chyba że wyznaczą mi inną sprawę. Ale może, jeśli się wam poszczęści, zdołacie mnie wyprzedzić. Teraz cię wypuszczę. Przyrzekam, że nie pozwolę Nefiemu pójść za tobą, i przyrzekam, że nikogo nie poinformuję o tym, co zrobiłeś. Masz moje słowo honoru. - Rozłożył ręce. - Więcej dać nie mogę.

Po kilku chwilach opuściłem broń. Niebianin nadal wydawał się spięty jak do skoku, ale nie rzucił się na mnie. Nie byłem jednak gotów schować pistoletów.

- Zatem teraz żaden z nas nie wie gdzie ją znaleźć - mruknąłem.

- Może uciekła z miasta bez ciebie. Może jej uczucie do ciebie nie jest tak mocne jak twoje.

- Może ma pan rację.

- Z drugiej strony, wciąż może przebywać w Zatraceniu. I wygląda na to, że Abbadon jednak jej nie zdradził. Najpewniej wiedział, że to błędny trop.

- Nie mogę pana zabić, inspektorze, więc nie mogę pana powstrzymać przed dalszym pościgiem. Ale jeśli jeszcze raz zobaczę was w pobliżu, przysięgam, że zastrzelę pańskiego kochanka.

- Może nam się poszczęści i żaden z nas nie straci swojego.

Cofnąłem się o krok.

- Idę już, inspektorze.

- A zatem powodzenia. - Czy jego uśmiech był szczery? Z całą pewnością kryła się w nim ulga. - I dziękuję, że wysłuchał pan głosu rozsądku.

- To się nazywa miłosierdzie. Wy, aniołowie, moglibyście go kiedyś spróbować.

Schowałem pistolety do kieszeni kurtki, otworzyłem drzwi małego mieszkania i przekroczyłem próg. Odwrócony plecami, bezbronny, niemal spodziewałem się, że Nefi skoczy na mnie, ale tak się nie stało. Zamknąłem za sobą drzwi, pozostawiając kochanków w pokoju, w którym kochaliśmy się z Charą.

DZIEŃ 72.

(A przynajmniej zdaje mi się, że siedemdziesiąty drugi).

Na początku zmiany rzuciłem pracę. Po wczorajszym starciu z Turnerem wciąż czułem się mocny, nadal przepełniał mnie tłumiony gniew i uznałem, że równie dobrze mogę go wykorzystać.

Znalazłem Bruce'a, poinformowałem, że odchodzę i że chcę dostać monety za ostatni okres.

- Co takiego? - prychnął. - Nie możesz ot tak odejść! Potrzebuję cię przy taśmie! Najpierw musisz złożyć wymówienie, żebyśmy znalazł ci zastępstwo!

- Sam możesz stanąć przy taśmie. Daj mi pieniądze.

- Pieprzyć twoje pieniądze. Nie dostaniesz ich! Złóż skargę do urzędu pracy!

Od spotkania z Turnerem nie rozstawałem się z bronią, zwalczyłem jednak pokusę wyciągnięcia pistoletu. Zamiast tego z całych sił pchnąłem Bruce'a tak, że klapnął ciężko na tyłek.

- Uch! Ty sukinsynu! - wrzasnął, gramoląc się niezgrabnie z ziemi. - Opowiem o wszystkim panu Goldowi! On ma potężnych przyjaciół.

- Pierdolić pana Golda. Możesz mu też powiedzieć, że jego kumple demony lada moment zostaną aresztowani i spaleni na stosie.

- Zwariowałeś! Nie znajdziesz więcej pracy w tym mieście! Osobiście tego dopilnuję.

- Nie znajdę pracy w tym mieście? Niektórzy ludzie to chodzące banały. Ale wierzcie mi, nie wymyśliłem sobie Bruce'a.

Larry widział wszystko, lecz nie odważył się zaśmiać z

Bruce'a ani mi dopingować. Gębę miał pełną gadania o buncie, lecz tak naprawdę bał się komukolwiek narazić. Było mi go żal.

Gdy zbliżałem się do hotelu i ektoplazma służąca za adrenalinę zaczęła się rozplýwać, zważyłem w mądrość tej decyzji. Całkiem możliwe, że Chara istotnie uznała, że zabranie mnie ze sobą to zbyt wielkie ryzyko. Może uciekła już z miasta... albo, tak jak jej dowódca, została ukarana za niesubordynację? Możliwe zatem, że nie tak prędko opuszczę Zatracenie. Czy naprawdę chciałem samotnie wypuścić się na poszukiwanie Plutona bądź innego odległego miasta? A co, jeśli odejdę z Zatracenia, a zjawi się tu Chara i uzna, że ją porzuciłem?

Cóż, miałem ubrania i dach nad głową. Mimo głodu i pragnienia, tak naprawdę nie musiałem jeść ani pić. I dopóki zdołałem opłacać czynsz z moich skromnych oszczędności, na krótką metę poradzę sobie bez pracy.

Widziałem już przed sobą hotel i wyrastający ponad dachem złowieszczy zagajnik ciemnych metalowych iglic Czarnej Katedry, gdy z tyłu podbiegł do mnie demon i złapał mnie za rękę.

Obróciłem się, próbując się wyrwać, lecz surowe rysy demona nawet nie drgnęły, kiedy powlókł mnie za sobą.

- Nie walcz albo jeszcze pogorszysz sprawę - mruknął cicho.

- Dokąd idziemy? - spytałem, zaskakując siebie samego swą bezczelnością.

Na szczęście dla mnie okazał się cierpliwy i znudzony.

- Do Czarnej Katedry.

- Ale czemu?! - zawołałem.

- Bo jesteśmy w piekle - odparł demon, i była to dostateczna odpowiedź.

Niemal nie stawiałem oporu, pozwalając wlec się owemu

potężnemu stworowi, ale moje myśli pędziły szaleńczo. Irracjonalnie zastanawiałem się, czyby mu nie powiedzieć, że jestem przyjacielem Chary, ale mógł nie znać jej osobiście albo nie sympatyzować z jej buntowniczymi zachowaniami. Kiedy już przypomniałem sobie, że mam w kieszeniach broń, zastanowiłem się, czy jej nie dobyć i nie strzelić demonowi w brzuch. Nie przeszukał mnie, bo nikt z potępionych nie miał w zwyczaju nosić przy sobie pistoletów (przypuszczam, że pod tym względem piekło jest bezpieczniejsze od świata żywych).

Gdybym jednak zaczął walczyć, może musiałbym uciec z Zatracenia, albo przynajmniej ukryć się bez dalszego planu działania... i bez Chary. Z drugiej strony, jak długo zatrzymają mnie w Czarnej Katedrze? Dość długo, by Chara uznała, że ją opuściłem? W końcu postanowiłem się nie opierać. Jeśli Chara zacznie mnie szukać, znajdzie w mieszkaniu dziennik i zrozumie, że nie odszedłbym bez niej. Jeżeli go przeczyta, pojmie, że nie planowałem samotnej ucieczki.

Toteż z wielką niechęcią, rezygnacją i fatalizmem potępionych pozwoliłem demonowi poprowadzić się wokół olbrzymiego masywu maszynowej budowli, w szerszą ulicę, gdzie zatrzymała się Czarna Katedra.

Przed sobą, nieco dalej, ujrzałem demonicę, wlokącą innego człowieka w stronę złowieszczej budowli. Po jej frontowych stopniach, potykając się, schodziło dwóch samotnych potępionych, zwolnionych po nieznanym czasie i nieznanym mękach. Jeden z nich szlochał gwałtownie, inny, odrętwiały, patrzył tępo przed siebie.

Wydawało się, że Katedra, podobnie jak wyniosły budynek maszynowy, jest złożona z niezliczonych mechanicznych części, połączonych ze sobą i czarnych jak noc. Z najróżniejszych szczelin i otworów tryskała z sykiem para. Sam budynek był niezbyt duży i dość wąski, tak by się zmieścić w ulicach, na których położono tory. Ale i tak robił

imponujące wrażenie. Katedrę wieńczyły liczne ostre zębate iglice, a na bocznych ścianach ujrzałem okna witrażowe przedstawiające jedynie wzory abstrakcyjne i geometryczne, ze szkła czerwonego jak krew. Na froncie budynku, nad szerokimi stopniami wiodącymi do podwójnych żelaznych drzwi wejściowych, otwierało się jedno wielkie okrągłe okno, także krwistoczerwone i oświetlone od wewnątrz, niczym krater wulkanu albo oko olbrzymiego stworzenia, czekającego, by pożreć składane mu ofiary.

W metalu podwójnych drzwi literami pokrytymi rdzą, tak że wyglądały jak wypisane zeschniętą krwią, wryto napis:

TOŻ SAM WAŚĆ SPRAWIŁ DUCHOM TO WESELE! - GOETHE*

Choć nigdy nie czytałem *Fausta*, natychmiast zrozumiałem, że cytat musi pochodzić właśnie z niego. Jego obecność tutaj prowokowała, ale nie byłem w nastroju, by zastanawiać się nad znaczeniem tych słów.

Kiedy ruszyliśmy po schodach, usłyszałem za sobą żalosne kwilenie. Obejrawszy się, ujrzałem kruchą staruszkę, wywlekaną z jednego z budynków przy ulicy. Zupełnie jakby fakt, że przez całą wieczność będzie słaba, ledwie zdolna chodzić, nie stanowił dostatecznej kary.

Pokonawszy metalowe stopnie dźwięczące pod naszymi stopami, demon sięgnął do zagłębienia w masywie Katedry i pociągnął łańcuch, który albo łączył się z dzwonem anonsującym nasze przybycie i potrzebę wejścia, albo też sam sterował mechanizmem drzwi. Tak czy inaczej, bliźniacze skrzydła zaskrzypiały słabo i otwały się do wewnątrz, a my znaleźliśmy się w mroku. Wnętrze pachniało smarem maszynowym i kadzidłem.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nami, omiotłem wzrokiem wysoką salę. Jej łukowato sklepiony sufit przesłaniała mgiełka

* *Faust*, J.W. Goethe, tłum. Feliks Konopka.

pary i duszącego kadzidła. W bocznych ścianach i w głębi pomieszczenia otwierały się drzwi; ujrzałem kobietę przeprowadzaną przez jedne z nich i mężczyznę wychodzącego z innych. Towarzyszący mu demon nie musiał już ciągnąć go za rękę. Demon odszedł w inną stronę, mężczyzna ruszył do wyjścia. Kiedy mnie mijał, na jego twarzy dostrzegłem przejmujący smutek.

Gdzieś wewnątrz rozbrzmiała żałosna, zniekształcona muzyka organowa. Było w niej coś mechanicznego, martwego, bez wątplenia generował ją mechanizm Katedry, a nie czyjaś ręka. Niepokojąco powolna i nierzeczywista, brzmiała jak jęki duchów. Pośrodku głównej sali, na postumencie przypominającym kolisty ołtarz, stało biurko. Za nim zasiadał jeden z balonogłowych, chudych jak szkielety, demonów administratorów, podobny do tych, przed oblicze których przyprowadzono mnie tuż po moim przybyciu do piekła i po zwolnieniu z więzienia. Jego przejrzystą, jakby bezkostną czaszkę, rozświetlał z tyłu syczący, gazowy płomień. Ujrzałem ślady żył i ciemną chmurę wewnątrz, która się przelewała i kipiała - a może był to jedynie złudny efekt migotania płomienia. Pozbawiona warg, wykrzywiona w grymasie twarz spojrzała na mnie lśniącymi oczami, gdy demon żołnierz przytrzymał mnie u stóp ołtarza. Wyobraziłem sobie, że wnika w mój umysł, zmuszając go telepatycznie do niechcianej spowiedzi.

Po paru chwilach, podczas których nie padło ani jedno słowo, koścista ręka uniosła się, chudy palec wskazał jedne z drzwi w ścianie sali. Bez dalszych ceregieli wojownik poprowadził mnie ku nim.

Za drzwiami kryło się niewielkie pomieszczenie z samotnym, przykręconym do podłogi krzesłem. Do jego nóg i poręczy zamocowano grube, skórzane pasy, jak na krześle elektrycznym. Naprzeciwko otwierało się wąskie okno, jego

kształt i położenie wyraźnie świadczyły o tym, że to jedno z czerwonych okien witrażowych, które oglądałem z zewnątrz. Z tej strony jednak wyglądało inaczej. Było czarne i puste: choć wydało mi się, że dostrzegam czarniejsze niż czerń ślady widzianych przed chwilą osobliwych, geometrycznych wzorów.

Nie stawiałem oporu, gdy demon przypiął mnie do krzesła. Bałem się jedynie, że może wyczuć ciężar bądź kształt pistoletów w kieszeniach mojej kurtki. Wkrótce jednak bez słowa zostawił mnie samego, zamykając za sobą metalowe drzwi. Głowę także miałem przypiętą do oparcia, toteż nie mogłem spojrzeć za nim.

Po zaledwie paru sekundach zaczęła się tortura.

Nie wiem, czy okno było czymś w rodzaju portalu, czy jedynie ekranem telewizora... Stopniowo jednak ciemność pojaśniała i ujrzałem rozgrywającą się już scenę.

To, co mi pokazano, w ogóle mnie nie zaskoczyło, jakbym się spodziewał to ujrzeć. Z drugiej strony możliwe, że pokazywali wyłącznie rzeczy, których się spodziewałem. Program, który wbrew własnej woli zaplanowałem sam.

Moja żona Patricia - nazywałem ją Pati - leżała na nieznanym mi kanapie. Za jej głową dostrzegłem fragment choinki, blask kolorowych lampek padał na jej twarz niczym promień słońca przenikający przez zwykłe okno witrażowe. Na mojej żonie leżał jej kolega z pracy, obecnie chłopak, Keith. Patricia miała na sobie czerwoną nocną koszulę, ozdobioną podobizną wesołego bałwanka, podciągniętą do pasa. Keith zsunął spodnie od dresu dość nisko, bym musiał patrzeć jak zahipnotyzowany na blade owłosione pośladki, pulsujące rytmicznie, jakby stanowiły samo serce jego istnienia. Każdy szczegół owej ciągnącej się niemiłosiernie sceny (czy Keith dysponował niewyczerpanymi siłami, czy oglądałem zapętłony obraz?) odcinał się z rosnącą ostrością,

pozostawiając wewnątrz mej głowy ślad trwalszy niż piętno na czole. W końcu zauważyłem nawet, że z jednej z zielonych skarpetek Pati, z pasiastym wzorkiem, zwisa luźna nitka, a Keith stara się dyskretnie zerkać na ekran telewizora, pozostający poza kadrem, lecz rzucający błękitnawy, miękki blask na jego profil. Zastanawiałem się, czy ogląda transmisję sportową, czy pornola (poważnie wątpilem, by to był dokument z Discovery albo „Pokój z widokiem”).

Z mojego pokoju z widokiem patrzyłem, jak pulsowanie Keitha narasta, pogłębia się. Patty zdaje się jęczała, choć obrazom nie towarzyszyła ścieżka dźwiękowa. Kiedy jednak Keith wtłoczył w nią własny orgazm, a dłonie Patty zacisnęły się na fałdach jego bluzy, nie odwróciłem głowy ani nie zamknąłem oczu, choć mogłem. Albowiem - choć może moja podświadomość podpowiedziała prześladowcom, że ten rodzaj sceny stanowiłby dla mnie największą udrękę - w istocie obraz ten wzbudził we mnie jedynie słaby gniew i poczucie straty. Oplakiwanie utraty Patty teraz byłoby jak nienawidzenie kogoś za to, że zabrał mi spod nosa stek z dodatkami, po czym pokazał zdechłą mysz, zagrzebaną w purée ziemniaczanym: powinienem być mu raczej wdzięczny. Nie mogłem nienawidzić tych dwojga. Byli równie żałośni jak ja za życia. Śmieszne, lubieżne ludziki, głodne i zachłanne, przerażone i niezadowolone, zwijające się w gnieździe. Kiedy byłem żonaty, pożądałem innych kobiet. Gdyby nadarzyła się dostatecznie kusząca okazja, pierwszy mógłbym zdradzić Patty. Nie byłem od niej wcale czystszy, mniej skażony.

Istniały jednak dwa ważniejsze powody, dla których oglądana scena nieszczególnie mnie wzruszyła. Po pierwsze, cierpienia przeżyte w piekle pozbawiły głębi torturę, od której nigdy wypłakałbym sobie oczy. A po drugie i najważniejsze, teraz kochałem już inną kobietę.

Zamrugalem odruchowo i w czasie owego mrugnięcia

scena przed moimi oczami zmieniała się. Następna była boleśniejsza. Tym razem poczułem mocniejsze ukłucie straty. Ponieważ tym razem wciąż byliśmy z żoną parą i cierpieliśmy wspólnie. Siedzieliśmy w poczekalni w klinice. Czekaliśmy na wyniki badania potwierdzającego to, co już wiedzieliśmy... że Patty poroniła.

Pamiętałem - nie, znów czułem - przede wszystkim gniew. Złość, że otaczające nas kobiety wciąż są w ciąży, że ich marzeń nie zgnieciono i nie wyrzucono jak kawałka niepotrzebnego papieru. Że podczas gdy my siedzimy tu w rozpacz, dziesiątki nastolatków zachodzą w ciążę i się ich pozbywają. Zaplanowaliśmy to dziecko. Lecz Stwórca miał wyraźnie inne plany i przypominał nam, kto tu pociąga za sznurki.

Kolejna scena: pogrzeb mojego ojca. Leżał w trumnie, wychudzony i zasuszony, jak zmumifikowany gnom, w czerwonym, kraciastym berecie na głowie. A ponieważ nie miał już eleganckiego garnituru, ubrano go w moją rdzawą sztruksową marynarkę, którą pomógł mi wybrać na ślub kuzyna, kiedy byłem nastolatkiem. Co gorsza, ujrzałem też moją biedną, kruchą, pomarszczoną matkę. Siedziała oszołomiona w zakładzie pogrzebowym, jakby zabalsamowano ją za życia. Nagle ogarnęła mnie potworna groza, że zaraz ujrzę własny pogrzeb, zobaczę matkę w tym zakładzie. Wiedziałem, że nie wolno mi o tym myśleć, by prześladowcy nie podchwycili pomysłu. Bo przy tej scenie poczucie winy kazałoby mi odwrócić wzrok. Cóż za ból zadałem kobiecie, która wydała mnie na ten świat i która musiała już znieść utratę męża oraz nienarodzonego wnuka. Jakież byłem samolubny, jak bardzo zaślepiały mnie własne, trywialne troski. I wtedy pomyślałem, że jeśli pokażą mi mnie samego, siedzącego z ponurą miną nad grubym stosem odmownych listów z wydawnictw, umrę raz jeszcze, z

czystego wstydu.

Jednakże wydarzenia pojawiały się w odwrotnym porządku chronologicznym. Zobaczyłem, jak mój stary pies, Tippiie, umiera mi w objęciach po podaniu śmiertelnego zastrzyku. Na pogrzebie ojca nie płakałem, lecz kiedy patrzyłem na umierającego psa, gdy byłem dziesięć lat młodszy, dziesięć lat mniej odporny na ten świat, znów poczułem się młody i do oczu napłynęły mi łzy. Nie mogłem ich otrzeć, toteż następne sceny nieco się rozmazały.

Jedna z ostatnich wzbudziła moje zainteresowanie, ze względu na swą subtelność w porównaniu z innymi, otwarcie dramatycznymi.

Byłem w trzeciej klasie, na zajęciach z plastyki. Ładna, młoda kobieta, zastępująca naszą stałą nauczycielkę przebywającą na urlopie macierzyńskim, kazała nam zrobić laurki z kolorowego brystolu i dać je mamom na Dzień Matki. Poleciała nam posmarować klejem ozdobną wycinankę i przejść na przód sali, gdzie nauczycielka złoży razem oba kawałki. Upomniała, abyśmy nie nakładali za dużo kleju, jedynie kropeczki tu i ówdzie. Ja jednak uznałem widocznie, że to za mało, by utrzymać ozdobę, i posmarowałem nieco grubiej... A kiedy wystąpiłem naprzód, zastępczyni warknęła: „Mówiłam, żeby nie używać tyle kleju!” i z niesmakiem klepnęła dłonią z moją ozdobą w kartkę, przyklejając ją krzywo.

Pamiętam wyraźnie swoją rozpacz, kiedy spojrzałem na laurkę, mającą być prezentem dla mamy. Lecz tak jak wtedy, gdy straciłem dziecko, smutek ustąpił miejsca gniewowi. Byłem wściekły na niesprawiedliwość. Wiedziałem, że moja zbrodnia, posmarowanie nieco grubiej klejem laurki na Dzień Matki, jest mniej ważna niż zachowanie dorosłej kobiety, która nie powinna reagować z taką pogardą na zwykły, dziecięcy wybryk. Zupełnie jakbym zrozumiał nagle, jak mali

bywają dorośli, przepelnieni własnymi obawami, lękami i złościami do tego stopnia, że wolą budzić podobne uczucia u innych, niż chronić ich przed nimi. To było jak przedsmak sprawiedliwości, którą wymierzili mi obecnie teoretycznie lepsi ode mnie. Nie czułem jednak żalu. Nie czułem wstydu. Wiedziałem, tak wówczas, jak i teraz, że osądzono mnie i potraktowano niesprawiedliwie. Najwyraźniej jednak ów nieważny zapomniany incydent pozostał w mej pamięci. Bo nie chodziło w nim o to, że ktoś mnie pobił, zdradził, porzucił. Był to jeden z najmniejszych, lecz najliczniejszych odłamków mozaiki tworzącej piekło, które poznajemy za życia.

Przypomniałem sobie, jak próbowałem rozkleić laurkę, by móc zlepić ją jak należy. Ostatecznie, przed wyjściem ze szkoły wyrzuciłem ją, a po powrocie do domu odtworzyłem najlepiej jak umialem, z własnego brystolu i kleju. Ta przynajmniej nie była krzywa i matka przyjęła ją z zachwytem. Wiedziałem, że odniosłem niewielkie zwycięstwo, dokonałem aktu sprzeciwu, który nie zmienia samego wydarzenia, ale przynajmniej pozwala nam zachować godność i choć odrobinę zrównoważyć niesprawiedliwość. W obu wersjach piekła tylko na to możemy liczyć.

Kiedy demon powrócił, by odpiąć mnie od krzesła, moje łzy zdążyły już wyschnąć. Nadal czułem w sobie iskrę buntu i chciałem mu powiedzieć, żeby następnym razem przyniósł mi popcorn. Wołałem jednak, by nie przypinał mnie ponownie na drugi seans. Może tym razem obejrzałbym własny pogrzeb.

Niepewny, jak wiele czasu spędziłem w tym pokoju, wyszedłem z Czarnej Katedry i nikt więcej nie przeszkodził mi w drodze powrotnej do hotelu. Ale Chara tam na mnie nie czekała.

DZIEŃ 73.

Kiedy pierwszy raz usłyszałem strzały, pomyślałem, że motocyklowi aniołowie nie opuścili jeszcze miasta i kręcą się w pobliżu, czekając, aż Chara zostanie schwytana i postawiona przed obliczem sprawiedliwości. Jednakże, gdy podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę, ujrzałem skuloną postać, biegnącą szybko z karabinem bądź strzelbą w dłoniach. Nie miała na sobie białej szaty. To musiał być jeden z uzbrojonych, zbuntowanych potępionych...

Teraz, przy oknie, usłyszałem dalsze serie strzałów: grzechot broni automatycznej i głośniejsze, pojedyncze huk. A potem głuchy, ciężki łoskot sprawił, że okno, i tak już dygoczące od wibracji budynku maszynowego, zadrżało mocniej. To musiała być eksplozja.

Tuż po niej z miasta dobiegło upiorne zawodzenie, brzmiące jak idealnie zsynchronizowany chór dzieci, krzyczących ze strachu bądź w agonii. Potrzebowałem paru minut, by pojąć, że te syreny alarmowe to głosy dyniowatych Nadzorców, tkwiących w sześciu wieżach na obrzeżach miasta. Brzmiały upiornie. Trwało to dobre pięć minut i w tym czasie chyba każda syntetyczna komórka mojego ciała się wzdrygnęła.

Gdy tak siedziałem, pisząc oficjalną ofertę dla Necropolitan Press, w nadziei że zgodzą się opublikować te wspomnienia, usłyszałem kolejne strzały, rozbrzmiewające w całym mieście. Od czasu do czasu towarzyszyły im głuche łoskoty - jeden tak głośny i bliski, że poczułem, jak podłoga drży mi pod stopami. Nawet bez ostrzeżenia Nadzorców nietrudno było zgadnąć, co się dzieje. Oddziały Niebian przybyły do Zatracenia, by pozbyć się zamieszkujących je,

niegodnych zaufania demonów. Zdławić w zarodku bunt. Zaprowadzić porządek w całym mieście.

- Co się stanie z Charą? - spytałem Lyre'a, który spojrzał na mnie ponuro.

I co się stanie ze mną? Czy naprawdę mogę wierzyć, że inspektor Turner nie przyśle tu Niebian, by mnie aresztowali i zawlekli na tortury, w porównaniu z którymi zblednie wszystko, co dotąd przeżyłem?

Mijały godziny. Krążyłem po mieszkaniu, nie mogąc się skupić na liście. W końcu nie zdołałem już nad sobą zapanować i zszedłem na ulicę, żeby sprawdzić, co się dzieje w sąsiedztwie, bo widok z okna przesłaniała mi olbrzymia bryła maszynowego budynku.

Od razu poczułem w powietrzu dym. Trzaski strzałów były ostrzejsze, wyraźniejsze. Słyszałem nawet odległe krzyki i wrzaski. Właściwie to nie było czymś nowym w Zatraceniu, lecz tym razem w powietrzu wyczuwałem niesłyszalny pomruk, wibracje, jak przed nadchodzącą trąbą powietrzną... towarzyszące narastaniu złowieszczych sił.

Pod płaszczem ukrywałem dwa pistolety, niewiele jednak pocieszała mnie ich obecność wobec świadomości, że wkrótce całe miasto stanie się polem bitwy. Odchyliwszy głowę, spojrzałem wprost w kipiące, rozżarzone niebo, dziurę w powale chmur, niczym olbrzymie czerwone oko spoglądającą wprost na Zatracenie. Czerwonawy blask odbijał się od fasady maszynowego wieżowca. Nienawistne, przekrwione oko Stwórcy, nie tyle patrzące z dezaprobatą na rozgrywającą się w dole przemoc, ile napawające się nią, złąknione niekończących się wojen i dżihadów. Miałem ochotę wyciągnąć zza pasa bezużyteczne pistolety i strzelić z nich wprost w owo jezioro ognia.

I wtedy usłyszałem motocykle.

A zatem aniołowie nie opuścili miasta. Zjawili się teraz,

zaledwie dwaj, jadący obok siebie na ciężkich maszynach. Każda z nich wlokła za sobą kawał łańcucha, którego koniec przebijał skrzydło demona - ciało miał poszarpane, zdarte do kości na bruku, podskakiwał bezwładnie, zapewne już nie żył. I choć ten sam demon mógł kiedyś torturować niezliczonych moich braci, zapragnąłem nagle wyciągnąć broń i strzelić w plecy wlokącym go aniołom. Zamiast tego patrzyłem, jak oddalają się i znikają za rogiem.

I wtedy za przeciwległym budynkiem rozległa się ogłuszająca kanonada strzałów karabinowych. Słyszałem chaotyczne dźwięki: krzyki... jęki... i wywnioskowałem z nich, że oba motocykle się rozbiły. Właśnie zdecydowałem, że lepiej będzie, jeśli wrócę do siebie, kiedy ujrzałem jednego z dwóch aniołów, wybiegającego z za zakrętu i pędzącego wprost na mnie. Po drodze zgubił szpiczastą czapkę, a na jego szatach dostrzegłem jaskrawe plamy posoki. Nalaną twarz wykrzywił grymas strachu, którego przyczynę ujrzałem po chwili: pół tuzina demonów wojowników, które wypadły z za rogu za nim, szeroko rozkładając skrzydła. Większość dzierżyła w dłoniach miecze, lecz dwa były uzbrojone w pistolety maszynowe MAC-10. Choć nie mogły go zabić, myśl, że rozwścieczona zgraja zaraz go dopadnie, wyraźnie przerażała anioła - i słusznie.

Dostrzegł mnie i przyspieszył, pędząc w moją stronę, jakbym mógł mu pomóc. Zobaczyłem, jak demonica o ogolonej głowie celuje w niego w biegu z pistoletu, lecz paru wymachujących mieczami towarzyszy wyprzedziło ją, zasłaniając linię strzału.

Tym razem posłuchałem impulsu. Wyrwałem z za pasa glocka i zacząłem strzelać do anioła, raz za razem. Zupełnie jakby rzucał się na moje kule, nabijał się na nie w szaleńczym pędzie.

Uderzające weń pociski sprawiały, że podskakiwał

upiornie, jak wisielec, kołyszący się na końcu stryczka. Obrócił się na ziemi, a potem pierwsze dwa demony z mieczami go dopadły. Jednakże jedna z moich kul albo przeleciała przez anioła, albo chybiła i przebiła skrzydło demona z mieczem. Z rykiem bólu przeskoczył nad powalonym wrogiem wprost ku mnie, unosząc wysoko miecz do ciosu, który mógł mnie rozplatać. Przesunąłem pistolet, celując w niego.

- Cresil, nie! - wrzasnęła jego łyśa towarzyszką. - Nie jego!

Demon Cresil zawahał się, zatrzymał w poślizgu, ale nie śmiał spuścić ze mnie wzroku.

- Nie rób tego - powiedziałem. - Masz do stracenia więcej niż ja!

Kobieta z pistoletem MAC-10 podbiegła do niego. Uniosła lekko brodę, wężąc w powietrzu.

- To przyjaciel Chary.

- Kolejny powód, by go rozsiekać! - zagrział potężny muskularny samiec, jak wilk warczący w głębi gardła. - To przez niego to wszystko. Przez niego i Charę.

- Chara to nasza siostra, pamiętaj o tym.

- Gdzie ona jest? - spytałem, nie opuszczając broni.

- Może żyje, może nie - warknął Cresil. - Wkrótce wszystkie demony mogą już nie żyć, dzięki tobie. Ale co cię to obchodzi? Ciebie, który nie możesz umrzeć?

Spojrzałem ponad tą dwójką i przekonałem się, że reszta demonicznej bandy posiekała obu motocyklistów na ledwie przypominające ludzkie istoty strzępy. Demony miały teraz więcej broni palnej ukradzonej ofiarom. Rozczłonkowali aniołów z takim zapalem, że jeden z nich złamał na bruku miecz. Skinieniem głowy wskazałem zakrwawione kawały mięsa.

- Po co to? Przecież i tak odrosną.

- Odrośną w celi, do której tylko my mamy klucze. A my je zgubimy. - Cresil uśmiechnął się drapieżnie. - Gdyby to ode mnie zależało, porąbałbym cię i wrzucił do tej samej dziury. W tym mieście są cele, o których wiemy tylko my... i być może tych dwóch nigdy już nie znajdą.

- Chodź! - popędzała go towarzyszka. - Nim odrodzą się nam w ramionach albo zjawią się Niebianie.

Cresil pochylił się nade mną.

- Wyglądasz znajomo. Czy z przyjaciółmi nie zgwałciłem cię kiedyś na ulicy? Nim jeszcze znalazła cię twoja ogłupiała przyjaciółka?

- Chciałbyś - mruknąłem.

Jego ręka wystrzeliła naprzód, by złapać mnie za szyję. Lecz demonica, jeszcze szybsza, chwyciła go za przegub.

- Cresil, nie mamy czasu!

- Widzisz, jak on nas skłóca?

- Rozejrzyj się, Cresilu. Już jesteśmy skłócenii. Wszystko się zmienia. Jeśli to możliwe...

- Moje uczucia wobec tych kawałów mięsa nigdy się nie zmieniają - wycedził Cresil przez zaciśnięte zęby, pozwolił jednak towarzyszce odciągnąć się za rękę.

- Jeśli spotkacie Charę, powiedzcie jej, że na nią czekam! - krzyknąłem za nimi, gdy obrócili się i zaczęli uciekać niczym rozpedzone nietoperze.

- Jeśli ją zobaczę, najchętniej sam ją zabiję! - huknął Cresil, lecz zniknął, nim zdążyłem mu odpowiedzieć.

Wróciłem szybko do hotelu, nie czekając, aż pojawią się aniołowie, szukający swoich kumpli.

Później

Odgłos wybuchu dobiegający z bardzo bliska przebudził mnie z niespokojnej drzemki. Z okna nie widziałem niczego niezwykłego, oprócz chmury jasnego dymu. W mieście wokół wciąż latały kule. Czy to strzały jednej z walczących frakcji,

czy też eksplozje zaimprovizowanych koktajli Mołotowa?

Już miałem odejść od okna, kiedy trzęsienie ziemi wprawilo w drzenie moje skromne mieszkanko. Lyre zsunął się ze skraju łóżka, a ja musiałem przytrzymać się framugi. Z naprzeciwka dobiegł niewiarygodnie głośny łoskot - brzmiało to tak, jakby tuż przede mną szykowała się do startu wieloczołonowa rakietka.

Zrozumiałem, że ów dźwięk wydaje maszynowy budynek. Tyle że nie szykował się do startu w kosmos... przeciwnie, zaczął się zapadać pod ziemię. Z początku sądziłem, że ostatni wybuch powalił olbrzymi wieżowiec. Potem jednak pojąłem, że opuszcza się on mozolnie w głąb niewiarygodnie wielkiej komory bądź silosu. Grzmotowi towarzyszył rozdzierający pisk metalu, równie przeszywający jak ten zwiastujący przybycie Czarnej Katedry.

Ponieważ nie miałem pojęcia, czemu może służyć ów najwyraźniej w pełni zautomatyzowany budynek (nigdy nie widziałem, by odwiedzali go bądź opuszczali jacyś robotnicy, chyba że obsługę stanowili zamknięci wewnątrz więźniowie), nie potrafiłem odgadnąć, co się teraz święci. Zakładałem jednak, że chroni się przed narastającą wokół przemocą.

Głośne stukanie do drzwi odwróciło moją uwagę od okna. Podniosłem jeden z pistoletów i postąpiłem krok w stronę wejścia.

- Kto tam?! - wrzasnąłem.

- A jak myślisz? - usłyszałem znajomy kobiecy głos.

Podbiegłem do drzwi i otworzyłem je gwałtownie. Za nimi stała Chara, z drugim demonem rozglądającym się nerwowo tuż za nią. Cała lśniła od potu, gipsowy pył oblepiał jej nogi, a rany na ramieniu pokrywała gruba warstwa na wpół zaschniętej czarnej krwi. Włosy splotła w ulubiony gruby warkocz. Towarzyszący jej demon związał swoje w kok, niczym samuraj. Oboje trzymali w dłoniach strzelby, zapewne

skradzione aniołom bądź Niebianom.

- Czemu to trwało tak długo? - rzuciłem z wyrzutem i ulgą.

- Przekonasz się za chwilę. Gotów do ucieczki z miasta?

- Ucieczki? Już teraz?

- Miałeś przecież dość czasu, by się spakować. Przed chwilą skarżyłeś się, że musiałeś na mnie czekać. Bierz to co niezbędne... tylko szybko.

Demony weszły do mieszkania i zamknęły za sobą drzwi. Ja tymczasem pośpiesznie napełniłem powłoczkę paroma dodatkowymi ciuchami i dorzuciłem Lyre'a.

- Dokąd się wybieramy? - spytałem. - Do Plutona?

- Tak.

Spojrzałem niemal z zazdrością na obcego demona.

- Ilu pójdzie z nami?

- Przekonasz się za chwilę - powtórzyła nerwowo, zerkając w stronę okna, za którym powoli znikął maszynowy budynek. Na rozdygotanej szybie pojawiła się szyba.

- A co z „żadnych armii ani ras, tylko ty i ja”?

Chara odetchnęła głęboko, wyraźnie starając się nie stracić cierpliwości.

- Nie bądź dziecinny. Teraz to najlepsze wyjście. Siła w masie. Współpraca. Później przyjdzie czas na ciebie i mnie.

Towarzyszący jej demon nie wtrącał się do naszej sprzeczki, skupiony na budynku maszynowym.

- Zastanawiam się, czy on także przeniesie się do innego miasta - rzekł.

Podszedł do brudnych szyb, patrząc, jak wieżowiec cofa się w otchłań pod miastem, jak dotąd będącą dla mnie wyłącznie plotką. Okno rozbiło się z trzaskiem.

Z początku sądziłem, że sprawiła to wcześniejsza rysa i wstrząsy wywołane przez budynek. Kiedy jednak demon poleciał chwiejnie do tyłu i runął pomiędzy mnie i Charę,

ujrzałem dziurę po pocisku w jego policzku. Na łóżko spadły krople krwi i strzępki mózgu. Nagle pojąłem, że ja także mam twarz moką od krwi.

- Uciekajmy! - krzyknęła Chara.

Zarzuciłem na ramię powłoczkę, oba pistolety wsunąłem za pasek i sięgnąłem po należącą do martwego demona ithacę z kolbą pistoletową. Potem wyprysnąłem na korytarz w ślad za Charą. Jedna z lokatorek wyjrzała z mieszkania, kiedy jednak ujrzała Charę i naszą broń, cofnęła się błyskawicznie. Na podeście wpadłem na młodą asystentkę gospodarza, która kiedyś proponowała mi swe ciało. Przerażona, ściskająca w objęciach nędzne, obszarpane prześcieradła, przypadła do ściany, by nas przepuścić. Nie musiałem jej mówić, że się wymeldowuję.

Kiedy dotarliśmy na parter, moje serce - czy raczej jego eteryczny odpowiednik - tłukło się o żebra. Strzelba wydawała się zbyt ciężka, by nieść ją w jednej ręce i obawiałem się ukrytej w niej furii, ale jednocześnie dodawała mi otuchy. Nigdy wcześniej nie strzelałem ze strzelby do nikogo prócz siebie.

Chara pierwsza wybiegła za drzwi. Nim jeszcze przekroczyłem za nią próg, zaczęła strzelać. Upuściłem powłoczkę i wyjąłem pistolety.

Dwaj pochyleni Niebianie biegli przez ulicę. Jeden ścisnął w dłoni miecz, drugi karabinek szturmowy. Założyłem, podobnie jak zapewne Chara, że ów drugi Niebianin to snajper, który zauważył i zastrzelił jej towarzysza przez moje okno.

Chara wystrzeliła, przeładowała i znów wystrzeliła. Gdy po raz trzeci wypuściła z lufy ładunek śrutu, dołączyłem do niej. Odrzut wstrząsnął całym moim ciałem i zadzwoniły mi zęby. Niebianin z karabinem próbował odwrócić się i odpowiedzieć ogniem, ale pociski rzuciły nim o ścianę, na

jego szacie rozkwitły wielkie czerwone kwiaty. Ten z mieczem runął na brzuch i na próżno próbował się odczołgać, bo trzeci wystrzał Chary przyszpilił go w miejscu. Obaj wyglądali jak klony kochanka Turnera, Nefiego.

- Chodź! - rozkazała Chara, pędząc naprzód.

Chwyciłem mój zaimprovizowany bagaż i podążyłem za nią.

Wierzchołek budynku maszynowego znajdował się już poniżej dachu mojego hotelu. Okrążyliśmy jego potężną bryłę. Potem poczułem kolejny wstrząs i gdy obejrzałem się przez ramię, odkryłem, że dach budynku zrównał się z ulicą. Chmura pyłu, pozostałości chłoszczących go deszczów lawy zamienionej w popiół, wzbiła się w powietrze, przesłaniając miejsce, w którym niegdyś stał.

Przed nami, niezastłonięta już masywem wieżowca, widniała Czarna Katedra. A Chara prowadziła mnie wprost do niej.

Za plecami usłyszałem krzyk, przypominający głos morskiego ptaka. Po nim zabrzmiały kolejne, zlewające się ze sobą. Następne spojrzenie ujawniło źródło owego niepokojącego chóru. Grupa co najmniej dziesięciu Niebian wyłoniła się z alejki w nieco oddalonym odcinku szerokiej ulicy, w którą wbudowano tory służące Katedrze do przemieszczania się po mieście. Niebianie nas zauważyli...

Chara pędziła wprost ku stopniom wiodącym do podwójnych frontowych drzwi budowli z czarnego żelaza. Brakowało mi czasu i oddechu, by podawać w wątpliwość tę taktykę. Za mną rozlegały się strzały. Słyszałem metaliczny brzęk kul, odbijających się rykoszetem od mechanicznej fasady budowli.

Cios w łopatkę, mocny jak uderzenie kilofem, rzucił mnie na twarz. Kości w moim nosie eksplodowały. Strzelba wyleciała mi z ręki, jeden z pistoletów wysunął się z za pasa.

Przez chwilę leżałem oszołomiony, lecz w następnej Chara dźwigała mnie już na nogi i znów wlokła w stronę Katedry. Zobaczyłem, że podwójne drzwi się otwały, a na progu stają dwa demony, ostrzeliwujące zbliżającą się grupę Niebian.

Dwaj żołnierze rozstąpili się, by nas przepuścić, po czym szybko zamknęli podwójne drzwi i zaryglowali je z ogłuszającym łoskotem. Słyszałem, jak kolejne kule ze śpiewem zderzają się z metalową skórą budowli. Wyraźnie zirytowani jej zbroją, Niebianie zaczęli ostrzeliwać czerwone okna witrażowe. To okrągłe, wysoko nad drzwiami, pękło z trzaskiem i odskoczyliśmy, by uniknąć deszczu czerwonych odłamków, zamieniających się w kryształowy żwir pod naszymi stopami.

- Gdzie jest Juvart? - spytał jeden z osłaniających nas żołnierzy; rozpoznałem w nim Cresila, którego przypadkiem zraniłem.

- Nie żyje - wydyszała Chara, zgięta wpół, z dłonią wspartą na kolanie.

- Zabity dlatego, że poszłaś po swojego kochanka! - Cresil niemal wypluł te słowa. - To ci dopiero piękna śmierć.

Chara uniosła wzrok i powoli się wyprostowała.

- Nie mamy teraz czasu na walkę, Cresilu. Ale jeśli naprawdę jej pragniesz... - Palce dłoni, nadal trzymającej strzelbę, zacisnęły się.

Cresil zerknął na mnie, po czym obrócił się na pięcie.

- Lepiej uruchommy tę kolubrynę, nim znajdą drogę do środka!

Zauważyłem znajome biurko na podeście pośrodku sali. Jeszcze niedawno siedzący za nim szkieletowaty demon z wielką kolistą głową skanował mi umysł przed poddaniem torturom psychicznym i emocjonalnym. Obecnie ów demon leżał bezwładnie na blacie, jego oczy patrzyły ślepo, pozbawione wcześniejszej, przenikliwej świetlistości, a

balonowa czaszka przebita kulami się zapadła. Na biurku rozlewał się potop ohydnej cieczy, która ściekała po ścianie mebla i zbierała się w kałużę na podłodze.

W wielkiej centralnej sali zebrano się około trzydziestu demonów z kasty Chary. Wiele odniosło ciężkie rany, jeden stracił skrzydło, kilkoro umierało. Nagle jeden uniósł gwałtownie rękę.

- Tam, w górze! - zawołał.

W jakiś sposób Niebianie zdołali wspiąć się po zewnętrznej ścianie Katedry. Jeden z nich pojawił się pośród szczątków okrągłego okna, wysoko nad frontowymi drzwiami. W wymianie ognia, która nastąpiła, zginęły dwa demony, dwa inne odniosły rany, a grad pocisków wyrzucił Niebianina daleko na zewnątrz.

Szarpnięcie sprawiło, że zachwiałem się na nogach, wciąż oszołomiony po odniesionych obrażeniach. Chara znów złapała mnie za rękę. Uszy przeszył mi pisk i zgrzyt umęczonego metalu; pomyślałem, że ze standardowo niezrozumiałej przyczyny maszynowy budynek wyłania się z ziemi. Ale szybko pojąłem, że to Czarna Katedra zaczęła poruszać się na torach.

- Porwaliście ją - wymamrotałem z ustami pełnymi krwi.

- Tak.

- Zabiliście przebywające w środku demony.

- Nie wszystkie. Część do nas dołączyła. Resztę próbowaliśmy wypuścić żywcem, ale woleli walczyć. Czy to ci przeszkadza?

- Nie, jeśli tobie też nie.

Dwa demony zranione przez Niebianina zaniecono na bok, gdzie zajęli się nimi pobratymcy. Inni krzykami żegnali poległych. Kiedy zamieszanie nieco ucichło, Chara znów skupiła na mnie uwagę.

- Chodź ze mną... Musisz odpocząć, dopóki nie

ozdrowiejesz.

Pozwoliłem jej zabrać powłoczkę z moim dobytkiem i poprowadzić mnie chwiejnie w stronę jednych z wielu drzwi wbudowanych w ściany wielkiej sali.

- To dlatego musiałam się wstrzymać z przyjściem po ciebie - wyjaśniła Chara, prowadząc mnie przez nie i dalej, bardzo wąskim korytarzem o bardzo niskim sklepieniu. Nagle poczułem się jak na okręcie podwodnym. Powietrze było wilgotne od tryskającej z zaworów pary. - Musieliśmy zaplanować to wszystko.

- Zakładam, że nie przejedziemy jedynie przez miasto.

- Nie. Wkrótce znajdziemy się w punkcie wejścia na niższe poziomy. Tu w dole są tunele połączone z innymi miastami...

- Czy ona prowadzi się sama?

- Owszem, ale trzeba zaprogramować kurs. Musieliśmy znaleźć godnego zaufania demona, który potrafił zmienić program. Mieliśmy szczęście, dwójka inżynierów z jednej z torturowni zechciała uciec z nami. Następny przystanek miał przypadać gdzieś w mieście, ale inżynierowie wprowadzili kurs do najdalszego miasta na trasie... zwanego Gehenną. Stamtąd z łatwością pieszo albo wozem dotrzemy do Plutona. Część żołnierzy będzie nam towarzyszyć, część woli zostać w Gehennie.

Z korytarza wiodły liczne drzwi. Chara otworzyła jedno z nich i poprowadziła mnie do małego pokoju z dwiema piętrowymi pryzkami przyśrubowanymi do ścian, najwyraźniej przeznaczonymi dla stałego personelu Katedry. Na górnej pryzce leżało przykryte kocem ciało - może kolejny z wojowników, którego zmogły rany, albo jeden z członków załogi, których musieli zabić. Chara pomogła mi wspiąć się na dolne legowisko. Jęknąłem, czując ból w plecach, lecz ów cienki materac był najbliższym odpowiednikiem nieba, na jaki

mogłem liczyć.

- Zostanę z tobą - oznajmiła, siadając na pryczy naprzeciwko.

- Żeby strzec mnie przed przyjaciółmi?

- Nikt nie zrobi ci krzywdy. Choć wielu bardzo by chciało.

Spojrzałem jej w twarz, zaledwie kilka minut wcześniej dziką i przerażającą. Teraz piękną.

- Dłużej tęskniłem za tobą, niż z tobą byłem - oznajmiłem. - Zaczynałem już się zastanawiać, czy tylko sobie wyobrażam, że po mnie wrócisz. Wyobrażam sobie, że coś nas łączy.

- Ludzie. Tacy niepewni siebie. Pozbawieni wiary.

Uśmiechnąłem się mimo bólu.

- Przykro mi z powodu twoich przyjaciół, którzy zginęli - dodałem, poważniejąc. - Naprawdę.

Przytaknęła, odrobinę odwracając głowę. Chciałem usłyszeć, jak mówi, że jej też jest przykro z powodu potępionych, którzy cierpieli, których sama torturowała. Miała taką minę, jakby chciała to powiedzieć. Myślę, że poczuła ów żal, ale za dużo ją oszołomił. A poza tym duma wojowniczką wciąż była zbyt silna, by pozwolić jej przyznać się do podobnej słabości.

- Spij - powiedziała. - Będę tu, kiedy się obudzisz.

- Dzięki - wyszeptałem. Sięgnąłem ku niej. Po sekundzie wahania przyjęła moją dłoń i trzymała, dopóki nie straciłem świadomości.

DZIEŃ 74.

Kiedy Chara poinformowała mnie, że ucieczka z Zatracenia wymaga przeprogramowania Czarnej Katedry, wyobraziłem sobie jakiś system komputerowy. Zdziwiłem się jednak, gdy ujrzałem sterownię, o ile można ją tak nazwać - bardziej przypominała kabinę starej lokomotywy parowej skrzyżowaną z kotłownią i wnętrzem gigantycznego zegara. Przeprogramowanie wiązało się z wymianą najróżniejszych zębatek, przechowywanych w metalowych szafkach, i przestawieniem dźwigni, las których pokrywał całe ściany. Były tam też zawory kontrolujące przepływ pary, a w zbiorniku z grubego szkła, ogrzewanym przez pierścień syczącego błękitnego gazu, bulgotał zielonkawy płyn. Podobnie jak krew, płyn ów krążył po ruchomym budynku systemem rur wbudowanych w ściany.

Z przodu pomieszczenia, stanowiącego tył Katedry, otwierało się pojedyncze witrażowe okno, z zewnątrz czerwone jak wszystkie inne, lecz od wewnątrz dające wyraźny obraz znajdującej się przed nami drogi. I znów, jak w salach tortur, wnętrze owego okna bardziej przypominało ekran telewizyjny.

Podczas mojej krótkiej drzemki Katedra przejechała już przez znaczną część miasta i pokonała rampę wiodącą do tuneli pod ulicami. Tunele te skojarzyły mi się z koleją podziemną, która dowiozła mnie na Uniwersytet Awern.

Sam budynek co prawda nie oświetlał sobie drogi, ale wbudowane w ściany, zakratowane palniki gazowe rzucały ponure światło, ukazując ciągnące się przed nami tory i zakrzywiony tunel, jak się zdawało wykuty w litej skale.

Mijaliśmy odchodzące od niego boczne odgałęzienia: tu i

tam pod łukowatym sklepieniem dostrzegałem pomosty, a czasami także rury i liczne przewody. W pewnym momencie ujrzałem kilka obdartych postaci, przemykających przez tory i znikających w ujściu wąskiego korytarza technicznego. Z pewnością w owym podziemnym labiryncie schroniło się wielu potępionych, mniej tu narażonych na tortury z rąk demonów.

Dwójka inżynierów, samiec Thamuz i samica Allatou, czyniła przygotowania do zatrzymania wędrownego kościoła na przedmieściach Zatracenia.

- Tam - wyszeptała Chara - dosiądzie się do nas dwadzieścioro kolejnych demonów, które będą nam towarzyszyć w dalszej podróży.

Obserwowałem inżynierów, przesuwających dźwignie, obracających zawory. Katedra z ogłuszającym piskiem metalu zadrżała i zaczęła zwalniać.

Patrząc na Charę i podziwiając jej dziwnie płaski profil i pełne, mięsiste wargi, poczułem znajomy podziw i lęk, jakie we mnie budziła. Zastanawiałem się, jaki związek zdołamy stworzyć, skoro czuję się do tego stopnia słabszy i gorszy od niej, tak przeciętny w zestawieniu z jej egzotyczną, zwierzęcą naturą. Musiałem powtarzać sobie w duchu, że ona także jako sztucznie wytworzony organizm, pozbawiony nieśmiertelnej duszy, który nigdy nie poznał świata żywych, może czuć się niegodna mnie. A jednak, choć to żalosne, jej siła i pozorna wyższość ciążyły mojej męskiej dumie. Będę musiał nad tym popracować. Będziemy musieli odnaleźć równowagę, z którą oboje poczujemy się dobrze. Zauważyłem, że rana na jej ramieniu, oczyszczona i opatrzona, częściowo już się zasklepiła; delikatnie dotknąłem otaczającej jej skóry. Chara jednak odtrąciła moją dłoń i spojrzała na mnie surowo. Zapewne wstydziła się podobnych przejawów uczuć w obecności dwóch innych demonów.

Z ostatnim świstem pary i potężnym szarpnięciem, od którego się zachwiałem, Czarna Katedra zatrzymała się obok podwyższonego peronu, widocznego w półmroku na zewnątrz.

- Ile dni potrwa jazda do Gehenny? - spytałem Allatou, zastanawiając się, czy powolne tempo jazdy kościoła zwiększy się, kiedy opuścimy granice miasta.

- Dni? - powtórzyła. Uśmiechnąłem się.

- Nieważne.

- Powinniśmy pójść powitać pozostałych - oznajmiła Chara. - Kilkoro z tych, którzy się tu dosiada, to moi dobrzy przyjaciele.

Nim wyszedłem za nią ze sterowni, zerknąłem przez okno i ujrzałem mroczne postaci zbierające się na peronie. Zarys skrzydeł zdradzał, że to demony. Nigdy nie sądziłem, że podobnie złowieszczy widok doda mi otuchy.

Kiedy przekroczyliśmy próg wysokiej sali centralnej, spojrzałem na Charę.

- Mam nadzieję, że w Gehennie mają papier. Powoli kończy mi się miejsce w dzienniku.

- Czy mogę przeczytać twój dziennik? - spytała Chara, nie patrząc na mnie.

- Tak. Proszę. To mi pochlebia.

- Chcę po prostu sprawdzić, co o mnie piszesz - rzekła sucho.

Większość demonów zgromadziła się obok frontowych drzwi Katedry i szykowała do odsunięcia rygla. Ktoś pozamiatał stłuczone szkło i usunął dwa ciała.

Drzwi się otwarły, demony wpadły do środka. Chara wspomniała, że będzie ich dwadzieścioro, ale naliczyłem zaledwie dziesięścioro.

- Zamykajcie drzwi, szybko! - krzyknął ostatni demon. - Niebianie są wszędzie... coraz więcej i więcej! Ściągają też

oddziały aniołów!

Aniołów. Może nie są tak sprawni i silni jak Niebianie, ale nie da się ich zabić.

- Gdzie pozostali?! - zawołał Cresil.

- Zabici!

- Nergal - jęknęła Chara. Odgadłem, że to jeden z przyjaciół, których się spodziewała.

Kolejny - później odkryłem, że nazywa się Uphir - podbiegł nam na spotkanie. Dysząc, powitał mnie lekkim skinieniem głowy.

- Walki mogą ciągnąć się bardzo długo... ale tylko, jeśli nasi przyczają się w kryjówkach i będą atakować z zaskoczenia. W otwartych bitwach Niebianie szybko zyskują przewagę; zbyt wielu ich przybywa do miasta. Przysięgłbym, że to całe zastępy niebieskie! A teraz mamy też na głowie armię aniołów. Nie mówiąc o tym, że nie wszyscy nasi walczą przy naszym boku... mniej niż zakładałem... Ale wielu może zmienić zdanie w obliczu niebezpieczeństwa...

- Niebianie nie dbają o to, czy przeżyją, czy nie; to ich główna przewaga - oznajmiła Chara. - Ja osobiście wolałabym pozostać żywa. No, względnie - dodała pod moim adresem.

- Są jak kraby. - Uphir wyraźnie miał na myśli bezrozumne roje mięsożernych mięczaków, z którymi zetknąłem się w pobliżu Caldery.

Rygiel zaskoczył. Katedra mogła ruszać w dalszą drogę.

- Musimy pomówić z innymi - podjął Uphir. - W Pergamos żyje niewielka grupka sympatyzujących z nami demonów; powinniśmy zatrzymać się tam i ich zabrać.

- Czy wieść o przybyciu tak wielu demonów do Gehenny i Plutona nie dotrze do Niebian? - spytałem. - Czy sam Stwórca niczego nie zauważy?

Uphir odwrócił się do mnie z wymuszoną cierpliwością, wyraźnie z szacunku wobec przyjaciółki.

- W obu miastach żyje sporo demonów z naszej rasy; wtopimy się w tło. Jeśli jednak nadal będziemy musieli uciekać, podzielić się na mniejsze grupki, zniknąć, to właśnie zrobimy. Ostatecznie nie chodzi o to, by zorganizować prawdziwy bunt czy nawet armię, lecz jedynie ująć ludobójstwo w Zatraceniu.

- A co do Stwórcy - dodała Chara - stracił rozum i siły. Leży na łożu śmierci od początku istnienia świata. Tworząc życie i porządek wszechrzeczy, sam pozbawił się życia. Zostało z niego niewiele więcej niż warzywo.

- To tylko pogłoski - ostrzegł Uphir. - Ale nawet jeśli odpowiadają prawdzie, nadal od czasu do czasu budzi się ze śpiączki i jeżeli zechce skupić na nas wzrok, może sięgnąć ku nam i nas zmiażdżyć. Niektórzy uważają, że gdy Stwórca zorientuje się, że uciekamy z Zatracenia, zaleje cały Hades lawą i zabije wszystkie demony, by móc zacząć od początku z nowymi okazami wszystkich gatunków. Podczas gdy je będzie tworzył, potop się cofnie i potępieni wyzdrowieją. - Wydawało mi się, że z trudem powstrzymuje drżenie. - Nie rozmawiajmy o Nim, proszę. I tak mamy dość zmartwień.

Katedra szarpnęła i dygocząc, ruszyła w dalszą drogę. Byłem za to wdzięczny, zwłaszcza po tym, co usłyszałem od Uphira na temat stanu rzeczy w niebie.

- Żegnaj, Zatracenie - wymamrotałem.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziała Chara na temat półżywego Ojca. Przypomniałem sobie też sugestie kilku innych robotników, dotyczące celowości istnienia fabryki, w której pracowałem.

„To my utrzymujemy przy życiu Stwórcę” - wyszeptał do mnie jeden z nich. Czyżby miejsca takie jak fabryka i budynek maszynowy stanowiły coś w rodzaju systemu podtrzymania życia Stwórcy? A przynajmniej pomagały ujarzmić i skupić Jego moc? Gdyby zostały zniszczone, czy zabilibyśmy

Stwórcę? A gdyby On skonał... czy uwolnilibyśmy się, czy też jako Jego dzieci zginęlibyśmy wraz z Nim, bo Jego oddech nie nadymałby już złudnego balonu naszej pseudoegzystencji?

- Idę się naradzić z pozostałymi - oznajmił Uphir.

- Pójdę z tobą - powiedziała Chara.

- Ja chyba trochę odpocznę. - Poruszyłem ręką, sprawdzając stopień zagojenia rany na ramieniu. Skrzywiłem się z bólu.

Nie pamiętam, czy najpierw usłyszałem mewie krzyki, czy strzały, lecz cała nasza trójka obróciła się jednocześnie, kiedy czworo drzwi w centralnej hali otwarło się gwałtownie i do środka zaczęli wpadać Niebianie, dzierżący w dłoniach plujące ogniem pistolety maszynowe.

Najwyraźniej podczas krótkiego postoju wgramolili się po zewnętrznych ścianach Czarnej Katedry i wybijając okna, dostali się do czterech pokojów tortur. Wyglądało na to, że w sumie jest ich dwudziestu.

- Idź! - wrzasnęła Chara, odpychając mnie.

Ja jednak wyrwałem zza pasa ostatni pistolet, zdecydowany zostać i walczyć u boku demonów. Ostatecznie byłem jedynym pasażerem, którego nie można zabić.

Zobaczyłem demona odrąbującego trzymającą pistolet rękę Niebianina, który bez chwili wahania dobył własnego miecza i po sekundzie klingi uderzyły o siebie z brzękiem. Niebianin machnął kikutem, obryzgując krwią twarz demona po to, by go zdekoncentrować. Uznałem to za tanią sztuczkę, toteż strzeliłem mu prosto w ucho. Demon spojrzał na powalonego, skulonego przeciwnika, a potem na mnie w niemym zdumieniu. Niemal pożałowałem, że pozbawiłem go uczciwej walki, lecz on w mgnieniu oka popędził na spotkanie kolejnego wroga.

Niebianie także zauważyli, co zrobiłem. Tuż obok przeleciały ze świstem kule, jedna musnęła nawet moje włosy

nad lewym uchem. W poszukiwaniu osłony zanurkowałem za biurko, lecz najwyraźniej ktoś inny zaabsorbował strzelca, bo nie przyszedł tam za mną. A może w zamieszaniu przeleciały obok mnie kule wystrzelone z broni jednego z demonów?

Rozglądałem się gorączkowo w poszukiwaniu Chary, nie potrafiłem jednak jej odnaleźć w chaosie nietoperzowych skrzydeł i rozbłysków z luf, krzyków i grzmotów. Zobaczyłem Uphira z jednym odrąbanym, drugim na wpół odciętym skrzydłem, trzymającego oburącz Niebianina unoszącego miecz. Nim zdołałem wycelować, by mu pomóc, inny Niebianin podbiegł z tyłu i wbił klingę głęboko w krzyż demona. Patrzyłem, jak przyjaciel Chary pada... jej trzeci przyjaciel, którego śmierć oglądałem na własne oczy.

Nadal zamierzałem zastrzelić tych dwóch, lecz wyprzedziła mnie demonica z ogoloną głową i pistoletem MAC-10, zamieniająca ich długą serią w sito.

Niebianie wyraźnie próbowali zebrać się przy drzwiach sterowni, bez wątplenia zamierzając uszkodzić i unieruchomić Katedrę. Było ich tam już ośmiu, dwaj nacierali przez próg, nie zważając na pokrywające ich rany. Postanowiłem wyjść z zaimprovizowanej kryjówki i wspomóc demony próbujące ich powstrzymać.

Cresil, wrzeszcząc jak berserker, wyrwał strzelbę z rąk martwego Niebianina i puścił się biegiem wprost w stronę grupki przed drzwiami kokpitu, po drodze strzelając i przeładowując raz po raz. Pomknąłem w tym samym kierunku, celując z pistoletu i wystrzeliwując kilka ostatnich kul. Nadal biegłem, kiedy pistolet szczęknął bezradnie. Teraz nie miałem już broni, a nogi niosły mnie wprost na androgynicznych, niemal zwiewnych wojowników.

Kilka innych demonów rzuciło się za nami, dodając własne kule do rozgrywającego się wokół szaleństwa. Jeden z nich cisnął żelazną włócznią, która przeszła na wylot

Niebianina i wbiła się w drugiego, powalając ich obu niczym wijący się szaszłyk.

Kiedy z Cresilem dotarliśmy do drzwi, pięciu Niebian nie żyło, trzech znajdowało się w sterowni. Dobiegające ze środka odgłosy świadczyły, że nawigatorzy i mechanicy, Thamuz i Allatou, odpowiedzieli im pięknym za nadobne. Słyszałem rykoszetujące kule. Jeśli któraś strzaska delikatne instrumenty, pojemnik bulgoczącego zielonego płynu...

Cresil pierwszy wgramolił się na leżące w progu trupy, ja szedłem tuż za nim, za mną kolejny demon. Chciałem zawołać, by nie strzelał w pomieszczeniu, ale najwyraźniej, mimo bezrozumnej furii, sam się zorientował i zamiast tego zamachnął się trzymaną za skróconą kolbę bronią niczym maczugą. Siła ciosu była tak wielka, że złamała drewnianą kolbę, strzelba wyleciała mu z rąk, ale zdołał zmiażdżyć pół czaszki Niebianina, pozostawiając przy życiu tylko dwóch. Zobaczyłem, że Thamuz nie żyje - wrogowie strzelili mu kilkakroć w pierś. Lecz Allatou wbiła właśnie w wątpia jednego z Niebian długi miecz, zakrzywiony jak katana. Teraz obracała go i przekreślała jak jedną z dźwigni kierujących Katedrą. Wkrótce zakończyła pośrednie harakiri. Kolejny Niebianin padł.

Ostatni obrócił się gwałtownie, naciskając spust, i jego wzrok padł na mnie. Chwilę później podążyła za nim lufa rewolweru. Ujrzałem czubki pocisków wystające z bębna.

Bez broni mogłem tylko unieść rozcapierzone ręce w mizernej imitacji osłony i liczyć na to, że regeneracja nie będzie zbyt bolesna. W tym momencie Cresil rąbnął Niebianina w rękę, tak że kula trafiła w podłogę, odbiła się od niej i zrykoszetowała od ściany za moimi plecami, po czym spadła na ziemię. Nim rozległ się kolejny strzał, Cresil drugą ręką uderzył Niebianina w gardło, ciskając nim o ścianę. Przez moment trwał tam oszołomiony, a potem demon, który wpadł

do sterowni tuż za mną, wbił mu krótki miecz w czaszkę i nacisnął z furją tak, że spomiędzy rozdzielonych oczu wypłynął powoli mózg. Niebianin osunął się bezwładnie na ziemię; obróciwszy się, odkryłem, że owym demonem była Chara, od stóp do głów zalana krwią. Jej oczy jarzyły się groźnym blaskiem pośród krwistych rozbryzgów.

- To chyba już ostatni - wydyszała. Z zewnątrz nie dobiegały strzały.

Cresil i Allatou ukłękli nad Thamuzem. Po chwili krwawiący czarną jak atrament posoką z wielu ran Cresil dźwignął się ze znużeniem. Spojrzał na mnie.

- Dzięki - rzuciłem.

Sapnął w odpowiedzi i, wymijając mnie, ruszył do wyjścia.

- Wywalmy z pociągu te pokalane poczęcia. - Trąciłem nogą jednego z Niebian, po czym pomogłem wywlec ich z pokoju.

Drzwi frontowe Czarnej Katedry stały otworem. Wyrzuciliśmy ciała na ciemne tory znikające w dali. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy w ten sam sposób pozbyć się zwłok naszych towarzyszy. Tym razem jednak zatrzymaliśmy Katedrę i ułożyliśmy ich obok szyn, nie pogrzebanych, ale przynajmniej nie ciśniętych niedbale niczym śmieci. Potem szybko, w obawie, że dościgną nas kolejni Niebianie, znów ruszyliśmy w drogę.

Po kilku godzinach trzech rannych umarło. Z czterdzieściora demonów pozostało przy życiu dwadzieścioro siedmioro. I oczywiście ja. Nawrócony.

DZIEN 78.

Dziś zrobiliśmy krótki postój pod niewielkim miastem Pergamos, by zabrać na pokład kolejną grupkę buntowników. Na szczęście tym razem nie pojawili się Niebianie (demony z Pergamos w ogóle nie zauważyły ich w mieście) i bez kłopotu podjęliśmy przerwana podróż. Było nas teraz trzydzieścioro ośmioro. Jeden z nowo przybyłych pozdrowił mnie z szacunkiem, a jedna z kobiet skrzywiła się wzgardliwie, jak na widok czegoś, co właśnie rozdeptała.

Chara sypia na pryczy nad moją, a nie ze mną - głównie dla zachowania pozorów, choć łóżka są bardzo wąskie. Lecz oczywiście już dwukrotnie zdołaliśmy pomieścić się oboje na moim i kochać się niepostrzeżenie.

DZIEŃ 82.

Może dlatego, że wciąż przywykam do spania w nowym, obcym, ruchomym miejscu, zeszłej nocy nawiedził mnie dziwny sen. Wątpię, by miał jakieś rzeczywiste znaczenie, ale wówczas wydawał mi się niezwykle realistyczny, nawet gdy się obudziłem, toteż czuję się w obowiązku go opisać. Bardzo mnie poruszył.

W moim śnie znów byłem więźniem w Zatraceniu, jak wtedy gdy do niego przybyłem. Dzielilem celę z owym nieszczęsnym, okaleczonym stworem, najwyraźniej chorym umysłowo czy, jak twierdził inny więzień, autykiem. Jego źle zregenerowaną głowę okalał pierścień podobnych do odbytów otworów, z których zwisały poskręcane, suche strzępy mózgu. Obejmował rękami kościste kolana i tyłem głowy wybijał na ścianie niekończący się rytm, mamrocząc coś jednocześnie, niczym mantrę. Przebywałem razem z nim w celi, lecz mimo to we śnie czułem się wolny. Nie byłem więźniem jak on. Stałem naprzeciwko, obserwując go... po czym z ciekawości i współczucia podszedłem bliżej udręczonego mężczyzny i pochyliłem się lekko, by posłuchać, co mówi.

Kiedy się zbliżyłem i ujrzałem jego oczy, patrzące w przestrzeń, niedostrzegające mojej obecności, nagle zrozumiałem coś niewiarygodnego. Wyprostowałem się gwałtownie, oparłem się jednak pragnieniu szybkiego cofnięcia.

Pojałem bowiem, że ten nieszczęśnik to Stwórca we własnej Osobie. Przede mną nikt inny nie dostrzegł prawdy. Nawet demony, które uwięziły Go w tej celi. Demony, które Go torturowały, naszego Ojca, który stworzył nas i wszystko wokół, lecz wysiłek ten pozbawił Go mocy i rozumu.

Mimo tej niewiarygodnej świadomości nadal z troską pochylałem się nad ową istotą, cierpiącą jak najmizerniejszy nieszczęśnik w piekle. Podeszedłem o krok bliżej Niego i znów zniżyłem głowę, słuchając co mamrocze.

- Przepraszam - mówił więzień, do siebie albo do mnie, raz po raz, bez końca. - Przepraszam... przepraszam...

DZIEŃ 83.

Jeden z demonów, znakomity chirurg i mistrz tortur, zgodził się zrobić coś dla mnie - czy, ściślej biorąc, dla Chary - i uwolnić z mojego dziennika pisarza nazwiskiem Frank Lyre.

Chara zaczęła lekturę dziennika od samego początku. Pochlebilo mi to, ale też zaniepokoiło, bo obawiałem się, co pomyśli o zapisach dotyczących jej osoby. Jak dotąd jedynie mi gratulowała. Zauważyłem też parę razy, jak chichocze. To chyba dobry znak.

Dziś dotarła do Dnia 40. Przypadek (albo i nie) zrządził, że wtedy właśnie uwięziono mnie z istotą, o której śniłem wczoraj. Tego dnia opisałem też, jak nauczyłem się porozumiewać z Lyre'em i jak spytałem, co by się stało, gdybym spróbował wydłubać jego oko albo zdjąć skórę, tworzącą oprawę książki. Czy w końcu odrodziłby się w pełni jako człowiek? W owym czasie odparł, że nie ma co do tego pewności.

Wówczas Chara przerwała czytanie i oznajmiła, że Lyre'a istotnie dałoby się uwolnić. I że ów dość niepokojąco utalentowany demon, należący do naszej grupy, zapewne umiałby sobie z tym poradzić.

Patrzyłem, jak za pomocą zwykłego noża do filetowania, wyciągniętego z za złowieszczo ciężkiego pasa z narzędziami, obiera z ludzkiej skóry okładkę mojego dziennika. Na samą myśl o tym, jak musi cierpieć Lyre, sam poczułem ból. Jednak jeszcze przed podjęciem owej próby spytałem go, czy chce przez to przejść, a on, mrugając w naszym ustalonym szyfrze, odparł, że owszem.

Niczym kucharz zgrabnie przewracający jajko bez

naruszenia żółtka, kat zdołał ściągnąć skórę z okiem nietkniętym i wciąż mrugającym. Położył jej płat na moim łóżku, a potem zdarliśmy resztę oprawy z dziennika i spaliliśmy, bo wciąż pozostała w niej cząstka Lyre'a, zakorzeniona niczym perz. Po spaleniu to, co zostało z jego duszy, skupiło się w największym fragmencie ciała. Demon uznał, że dzięki temu istnieje większa szansa, że zdarta skóra zregeneruje się w człowieka... a nie zgnije, po czym Lyre znów pojawi się na okładce.

Ponieważ jest go tak mało, proces ma być wyjątkowo bolesny. Mam nadzieję, iż uzna, że było warto. Oddałem mu moją wąską pryczę. Nic nie szkodzi, wcisnę się na łóżko Chary. Do diabła z tym, co pomyślą pozostali.

DZIEŃ 85.

Mimo wprowadzonych przez Allatou współrzędnych okazało się, że przez parę dni błąkaliśmy się bez celu. Allatou sądzi, że mogła to sprawić bitwa, która odbyła się w sterowni: wystarczyło trącić zawór, pchnąć dźwignię, poruszyć zębatkę. Teraz wszystko już gra i jesteśmy z powrotem na kursie... po całodziennej podróży w tył i skęcie w inny tunel odchodzący w bok.

Musimy jednak zbliżyć się do chłodniejszych okolic, bo przez okna czuje się powietrze z zewnątrz. Mam nadzieję, że mieszkańcy Gehenny i Plutona nie przywykli i nie zaadoptowali się do zimna do tego stopnia, że nie używają już ciepła pary i ognia!

Lyre wygląda jak człowiek. Człowiek rozkrojony przez pierwszorocznego - i ślepego - studenta medycyny, ale jednak człowiek. Choć nadal zbyt niekompletny i cierpiący, by mówić. Mimo to siadam na skraju jego łóżka i gadam do niego, dotrzymując mu towarzystwa. Próbowałem wziąć go za rękę, ale odsłonięte nerwy za bardzo bolały, a jedna z żyłek pękła, mocząc mi krwią dłoń. Biedak. My, pisarze, cierpimy dla swojej sztuki.

Opowiedziałem mu zarys wielkiej powieści, którą zawsze zamierzałem napisać.

- Tylko nie podkradnij mi pomysłów - ostrzegłem.

Nie streszczę jej tutaj. Nie chcę przedwcześnie zużywać magii, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Czasami samym przesadnym myśleniem i gadaniną pozbywamy się powieści jeszcze przed napisaniem pierwszego słowa.

Czy powieść ta, której akcja dzieje się w świecie śmiertelnych, z troskami śmiertelnych, bez wzmianki o

zaświatach, wyjdzie tak, jak planuję, czy też zabarwi ją to, co wiem teraz, nie potrafię rzec. Przekonamy się w stosownym czasie. Chyba napiszę ją wcześniej, zamiast drugiego tomu dzienników. Je zawsze mogę podgonić później. Ostatecznie to ciągnęła, niekończąca się seria. Nie potrafię też orzec, czy moich czytelników tu, w Hadesie, bardziej zainteresują - i poruszą - moje przeżycia w zaświatach, czy też fikcyjne historie o świecie, który kiedyś znali. Ale nie mogę się już doczekać sprawdzenia w praktyce. Rozmowa z Lyre'em na nowo roznieciła mój dawny entuzjizm, pozbawiony tym razem wcześniejszej, obezwładniającej fatalistycznej rozpacz, która kazała mi sięgnąć po strzelbę zamiast po pióro. Czy raczej klawiaturę.

Chcę spytać Lyre'a, co zamierza napisać, kiedy już wyzdrowieje. Może nawet zajmiemy się czymś razem.

DZIEŃ 87.

Ostatni zapis.

Dotarliśmy do Gehenny. Niemal połowa naszej ekipy zdecydowała się tu zostać. Reszta ruszy dalej, do Plutona, pieszo i wozami, które tu kupimy, zaprzężonymi w masywne, włochate zwierzęta, pod cuchnącym, gęstym futrem zupełnie pozbawione głów.

Tutejsze niebo jest równie białe i monotonne jak ziemia - w istocie, z tego co słyszałem, to ponoć lodowe sklepienie, od którego czasami odpadają fragmenty i zlatują na miasto. Gehenna jest znacznie mniejsza od Zatracenia, najwyższe budowle mają tu zaledwie sześć, siedem pięter. Większość jest czarna, lecz ich ściany oplata koronka naniesionego przez wiatr, skryzalizowanego śniegu, gruba warstwa ubitego śniegu pokrywa także wszystkie dachy. Pluton, gdzie większość budowli wzniesiono z lodowych cegieł, jest ponoć jeszcze zimniejszy. Niemal czuję pokusę, by także tu zostać, ale przejdzie mi. Chara, po raz pierwszy odkąd ją znam, zaczęła nosić ubranie, i o dziwo, widok ten na nowo podsyca moją żądzę. Te uda, ciasno obciśnięte szorstkimi, brązowymi spodniami, kuszące mignięcia piersi otulonych szalem, którym okręca się w pasie i pomiędzy podstawami skrzydeł. Teraz jej nagość będzie jeszcze bardziej kusząca, podobnie jak widok jej włosów, uwolnionych spod zamotanej na głowie chusty.

W Gehennie żyją bardzo groźne i prymitywne demony, podobne do niedźwiedzi bądź olbrzymich kudłatych hien. Równie często biegają na czterech łapach, jak i chodzą chwiejnie na dwóch. Moi towarzysze opowiedzieli im przekonującą historyjkę, przedstawili mnie jako swego sługę i zabronili robić mi krzywdę. Serce wyrywa mi się ku

udręczonym, ponurym potępionym o stężonych twarzach i pustych oczach. Zbyt wielu nie ma szali, chust ani spodni, chroniących przed świszczącymi wichrami, niosącymi biały śnieżny pył i szalejącymi pomiędzy niskimi, długimi budynkami.

Demony z gatunku Chary, żyjące w Gehennie, poznały w zaufaniu prawdziwą historię masakr w Zatraceniu i naszej ucieczki. Choć obawialiśmy się, że ewentualność, iż Niebianie dotrą za nami aż tutaj, może w nich wzbudzić niechęć, to większość wyraziła współczucie i solidaryzuje się z nami.

Lyre jest już w stanie podejść do drzwi Czarnej Katedry i wyrzucić na zewnątrz, opatulony w koce. Ale nie dałby rady zapuścić się dalej. Zwierzęcym demonom polecono jego także nie niepokoić. Stwierdziłem, że jest bardzo chudy i niemal łysy... choć może wkrótce nabierze ciała, a jego włosy odrosną.

Allatou zdążyła już przeprogramować Czarną Katedrę i miała posłać ją bez załogi z powrotem w innym kierunku, by zmylić pościg. Na prośbę Lyre'a przekonałem ją, by zaczekała jeszcze trochę.

- Wydaje mi się, że w Zatraceniu mieszka mój ojciec - oznajmił. - Nie chciałbym, żebyś poczuł się winny... ale miałem nadzieję stamtąd nie odchodzić. Myślałem, że może kiedyś w jakiś sposób zdołam go odnaleźć. Oczywiście, jeśli uwolnię się z książki, co wydawało mi się wysoce nieprawdopodobne.

- Nie wspomniałeś mi - rzekłem, czując ukłucie winy.

- No cóż... prawdopodobieństwo, że zmartwychwstanę i będę mógł zacząć działać, uznałem za minimalne. Nie mogłem nawet zmusić się do tego, by przekazać ci moje odczucia. I bez nich było nam trudno się porozumieć i...

- Frank, wiesz chyba, że nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto natrafiłby w piekle na członka rodziny, bliskiego

czy nawet znajomego. W jakiś sposób rozmieszczają nas osobno po całym Hadesie, który jest przecież ogromny, może wręcz nieskończony, i nigdy nie zdołamy przebyć tych przestrzeni. Możliwe też, że istnieje więcej piekieł niż to jedno.

- Wiem o tym. Też to słyszałem. Ale powiadam ci: pewnego dnia, kiedy ustawiłeś mnie na oknie, przysięgłbym, że widziałem, jak przechodzi ulicą w dole. Przysięgam, że to był on. - Pokiwał głową, odwracając zarówno oko, które tak dobrze znałem, jak i jego bliźniaka.

- Hej, wiesz przecież, że możesz robić, co tylko zechcesz, Frank. Ale...

- Jak dzinn uwolniony z lampy?

- Ostatnimi czasy Zatrącenie stało się niebezpiecznym miastem.

- Zawsze było. Zawsze będzie.

Skiąłem głową, żartobliwie wydymając usta.

- Miałem nadzieję, że opowiesz mi, co takiego napisałeś, by tak bardzo wkurzyć Stwórcę.

- Nie potrzeba do tego zbyt wiele.

Odwrociłem się plecami do białej panoramy za drzwiami, patrząc mu prosto w twarz w nagłym natchnieniu.

- Frank... zechciałbyś zabrać ze sobą mój dziennik? W końcu i tak cały czas nosiłeś go w sobie. Mógłbyś w moim imieniu dostarczyć go do Necropolitan Press. Wydać drukiem w Zatrąceniu.

- Świetny pomysł! Jasne, że mogę. Ale... chwileczkę, jeśli choć jeden egzemplarz wpadnie w ręce władz, dowiedzą się, gdzie cię szukać. Dokąd wszyscy uciekliście.

- Faktycznie. Cholera. Hm. No cóż... pewnie zniósłbym nieco poprawek redakcyjnych, jeśli byś się ich podjął. Oczywiście, o ile zrobisz to z wycuciem i nie zaczniesz mi majstrować przy stylu.

Uśmiechnął się.

- Nie martw się. Sam też nie znoszę przemądrzałych redaktorów. Jasne... to będzie dla mnie przyjemność i zaszczyt. I w jakiś sposób dostarczę ci egzemplarze. Jeśli nie pozostaniecie w Plutonie, zostaw jakiś ślad, którym mógłbym podążyć.

- Tak zrobię. - Z szerokim uśmiechem klepnąłem go w ramię. - Nawet gdyby dostarczenie mi egzemplarzy miało trochę potrwać - zakładając, że w ogóle zgodzą się wydać tę książkę - nie przejmuj się. Ostatecznie mamy kupę czasu, by wcześniej czy później się odnaleźć.

- Chciałbym też przeczytać twoją powieść, kiedy już ją skończysz. Zjawię się tu może za rok, co ty na to? Umówmy się od razu. Potem, kiedy znów wrócę do Zatracenia, zabiorę twoją powieść do Necropolitan. Oczywiście, jeśli ją skończysz.

- Niezły plan. Ale nie zapominaj też o własnej pisaninie.

- Zobaczymy. - W lodowatym powietrzu jego uśmiech wydawał się dziwnie sztywny. - Przekonamy się, czy moja muza odrodziła się razem z resztą mnie.

I tak za chwilę, po krótkim opóźnieniu, reszta z nas odprowadzi wzrokiem czarną bryłę Katedry, odpływającą w głąb lodowej równiny za murami Gehenny, a potem zanurzającą się w czarny wylot tunelu w skalnej ścianie, skąd znów powędruje podziemnymi tunelami, unosząc samotnego pasażera. Samotną duszę. To ostatnie słowa, jakie piszę w tym dzienniku. Tak jak powiedziałem Frankowi Lyre, stosowne jest, by zabrał go ze sobą, bo ów tekst tak długo spoczywał pod osłoną jego skóry.

Zamiast pominąć kluczowe fragmenty, zgodziłem się, by w razie konieczności mógł je zmienić. Na przykład, tak naprawdę nie udaję się do Plutona. I nigdy nie odwiedziłem Gehenny. Ale słyszałem o nich dosyć, by przywołać ich obraz.

Przydadzą się do zamaskowania prawdziwych celów naszej podróży. W istocie po to, by jego także nie ścigano - zamierzał bowiem wrócić do Zatracenia - i torturami nie wyciągnięto informacji o naszym prawdziwym miejscu pobytu, mój towarzysz przyjął niezbyt subtelny pseudonim Lyre, Lira, zastępując nim prawdziwe imię i nazwisko, którym się posługiwałem.

Moja kochanka tak naprawdę nie nazywa się Chara. Lyre ochrzci ją tak, poprawiając i redagując mój skromny rękopis.

Wykreśli też wszelkie wzmianki o moim prawdziwym nazwisku. Choć wielce łaknę wyimaginowanej chwały literackiej i rzesz czytelników, z zapalem pochylających się nad zapisanymi przeze mnie słowami, to chcę też chronić naszą tożsamość, by utrudnić zadanie prześladowcom.

Przyjmiemy nowe nazwiska. Wymyślimy sobie nowe tożsamości. Nowe wcielenia. Ostatecznie mnóstwo autorów pisze pod pseudonimami. Spójrzcie choćby na Samuela Langhorne Clemensa. Lyre usunie zatem moje prawdziwe nazwisko, a pseudonim, który pojawi się na okładce, brzmi: Dan Alighieri.

Czas już odesłać Czarną Katedrę. Czas wręczyć sklezione kartki Lyre'owi. Chara pójdzie ze mną, by go pożegnać. Może nawet odważyć się objąć ją w pasie na oczach innych demonów. Będą musiały do tego przywyknąć. Wszystko się zmienia, jak powiedział jeden z nich... - jeśli to możliwe. A wygląda na to, że to będzie możliwe.

Jutro wraz z kobietą demonem, którą Lyre nazwie Chara, wyruszymy do miasta, które Lyre zastąpi Plutonem. Mam nadzieję, że to przyznanie się do pewnych uników, przekłamań i zmian w mojej historii nie sprawi, że zwątpicie w jej prawdziwość. Prawda wykracza poza fakty. Imiona, postaci, miejsca i zdarzenia są produktem wyobraźni autora, czasem bywają też ujęte w sposób fikcyjny. Ale moje

cierpienie było prawdziwe. I strzępy szczęścia, jakie zdołałem z niego wyszarpnąć, też. Miejsce akcji, wydarzenia w swej esencji są autentyczne i tylko to się liczy. W tych dziennikach ja jestem Stwórcą.

Jak powiedział Goethe w *Fauście*: „Toż sam waść sprawił duchom to wesele!”.

Uciekłem z Zatracenia. Zakochałem się we wrogu (może to syndrom helsiński, czy raczej Hellsiński)... a ów wróg kocha mnie. Dowiedziałem się, że Bóg to w najgorszym przypadku Diabeł, a w najlepszym smutna, samotna, zagubiona dusza. Jestem pewien, że w końcu, pośmiertnie, mój tekst ukaże się drukiem, i mam jeszcze do stworzenia więcej światów. Śmierć stała się dla mnie początkiem nowego życia.

Jest już Lyre. Uśmiecha się i czeka z wyciągniętą ręką. Będzie musiał wytrzymać jeszcze parę minut. Chcę, żeby Chara przeczytała kilka ostatnich stron.

- A ja? Nic już nie powiem? - W jej głosie dźwięczała pretensja.

- Właśnie powiedziałaś.

No już. Skończyła.

I, przynajmniej na razie, ja także.

Koniec.

PUNKTOWN

*Dla Scotta Thomasa i Thomasa Hughesa
- współobywateli.*

*Oraz z czułością i wdzięcznością dla Rose o zręcznych
palcach.*

*Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia*
- Dante Alighieri, „Piekło”, Pieśń III
(przeł. Edward Porębowicz)

KRÓTKA HISTORIA MIASTA: KILKA SŁÓW NA TEMAT PUNKTOWN, PIÓRA JEFFREYA THOMASA

Jeden samotny obraz nie mógł zrodzić całej koncepcji Paxton, miasta, które zarówno mnie, jak i jego mieszkańcom, jest lepiej znane jako Punktown, myślę jednak, że pomógł wkreślić ostatnią kluczową śrubę w szyję Frankensteina, kiedy w mojej podświadomości powoli składały się elementy tworzące resztę potwora. Pewnego letniego popołudnia 1980 roku ojciec gdzieś mnie wiozł, i w mijanym samochodzie zauważyłem kobietę, której długie włosy sprawiały wrażenie, że wyrastają wprost z zacienionych oczodołów. Często zdarza mi się interpretować w podobny sposób zupełnie zwyczajne obrazy, być może tylko po to, by bez powodu się wystraszyć. Jednakże z owego szokującego obrazu zrodzili się Tikkihotto, jedna z obcych ras żyjących w pozaziemskim mieście, którego podstawowa wizja ukształtowała się w mojej głowie, zanim dotarliśmy do domu. Inspiracją dla tytułu nie stała się, o ironio, ówczesna muzyka punkowa, lecz utwór disco z tekstem: „Może zabierzesz mnie do Funkytown?”. Przypuszczam, że początkowo po prostu źle go usłyszałem.

Dzięki Punktown dostrzegłem szansę stworzenia satyry społecznej, równie groteskowej jak moja interpretacja owej kobiety w samochodzie. Pomyślałem, że spróbuję przedstawić karykaturę ludzkości w owym często dziwacznym, ale zawsze niepokojącym stylu, w jakim Bosch malował swoje obrazy. Zanotowawszy podstawowe informacje na temat planety (Oaza), głównych ras (takich jak rodzimi Choomowie) itd., zaprosiłem do mego wszechświata przyjaciela, Thomasa Hughesa i brata, Scotta Thomasa i zaproponowałem, by sami stworzyli historie związane z Punktown. Tom przeniósł akcję do sąsiedniego miasta, Miniosis i skoncentrował się na postaci

czarującej i tajemniczej Domino Diamond. Scott napisał kilka krótkich powieści uzupełniających moje własne. W chwili, gdy to piszę, żadne z owych wczesnych dzieł nie trafiło do wydawcy (z wyjątkiem pierwszej historii Hughesa o Domino Diamond, zamieszczonej w antologii „Punktown: Third Eye”), mimo to, wraz z upływem lat nadal umieszczałem akcje powieści i opowiadań w Punktown, pisząc też inne historie, znacznie zgrabniej wpasowujące się w szufladki różnych gatunków niż opowiadania związane z miastem, które można uznać za science fiction z powodu miejsca akcji, ale pasuje do nich również etykiетка horroru, noir, literatury gangsterskiej, romansu bądź dowolnego połączenia owych podgatunków. Oto wolność, którą odnajduję na ulicach Punktown.

Do roku 1995 udało mi się opublikować kilka opowiadań z tego cyklu, najlepsze z nich to „Duchy w deszczu”, które sprzedałem Ann Kennedy do „The Silver Web”. (To moje ulubione opowiadanie, ukazuje się właśnie drukiem po raz szósty... istnieje też grupka ludzi, pracujących nad zaadaptowaniem go na komiks i dowiedziałem się, że pewna nauczycielka angielskiego zamierzała je wykorzystać na zajęciach, ale szkoła zmusiła ją do zmiany programu!). Wkrótce po pojawieniu się mojego tekstu w „The Silver Web”, przyszły mąż Ann Kennedy, Jeff VanderMeer, poinformował mnie, że chciałby wypuścić w swym wydawnictwie Ministry Of Whimsy Press broszurową edycję kilku moich historii. Wysłałem mu ich mnóstwo, zarówno dziejących się w Punktown, jak i poza nim. Jeff dał mi wybór: wydajemy same horrory albo same teksty z Punktown. Zdecydowałem się - na co zapewne liczył - trzymać się Punktown.

Przez następne trzy lata pierwotna idea owego zbioru w postaci czarno-białej zszywanej broszurki, zawierającej trzy opowiadania, przekształciła się w piękny paperback ze

świetną okładką autorstwa jednego z moich ulubionych grafików, H.E. Fassla (ewolucję tę z całą pewnością zawdzięczam sukcesowi, jaki Ministry odniosło dzięki nagrodzonej powieści Stepana Chapmana „The Troika”). „Punktown” ukazało się drukiem w maju 2000 r. i, przyznając bezwstydnie, zostało przyjęte bardzo entuzjastycznie. „Bibliotekę smutków” uwzględniono w antologii najlepszych opowiadań dark fantasy, która, niestety, w końcu się nie ukazała, lecz Ellen Datlow wybrała „Sezon na skóry” do czternastej edycji „The Years Best Fantasy And Horror” (a cztery inne opowiadania z cyklu Punktown trafiły na listę uzupełniającą). W dniu, w którym ujrzałem książkę w mojej lokalnej księgarni, mogłem umrzeć jako szczęśliwy człowiek.

Kilka lat po pierwszym wydaniu „Punktown” przez Ministry Of Whimsy Press postanowiłem ów zbiór rozbudować. Projekt przejął Sean Wallace z Prime, który niezwykle uprzejmie dał mnie i Delirium Books szansę wydania tej wersji rozszerzonej (z dodatkowym opowiadaniem nieuwzględnionym tutaj), w dwudziestu sześciu oprawnych w skórę, opakowanych w pudełka, i numerowanych egzemplarzach („Punktown Ultra”). Istnieje też limitowana edycja niemieckojęzyczna, wydana przez Festa-Verlag, licząca sobie więcej opowiadań niż edycja Ministry Of Whimsy, ale mniej niż ta, z okładką H.R. Giger, który podpisał także wszystkie egzemplarze - ale lepiej zajmę się z powrotem omawianiem niniejszego wydania, zanim wszystkim całkowicie namieszam w głowach.

Ściślej rzecz biorąc, nie wszystkie zamieszczone tu nowe materiały są takie zupełnie nowe. Parę usunięto z pierwotnego zbioru z powodu długości („Ballada o Moosecock Lip”, „Związkowy pies”). Kilka przedrukowano z mojej strony sieciowej (obecnie zagubionej w eterze Punktown City Limits) bądź z magazynów takich jak Knightmares (gdzie w roku

1972 ukazało się moje pierwsze opublikowane opowiadanie o Punktown, „Siostry Niemiłosierdzia”). „Różowe pigułki” i „Nom de Guerre” to zagubione pomysły, które w tej edycji zyskały życie. Ostatecznie dziewięć opowiadań z pierwotnego Punktown zostało uzupełnionych przez osiem oraz jeden wiersz. (Dodatkowo specjalnie do tego wydania dodałem subtelne elementy łączące poszczególne opowiadania i tworzące z nich luźną sekwencję wydarzeń. W ten sposób obywatele miasta przynajmniej otarli się o siebie). W żadnym razie nie jest to jednak ostateczny i definitywny zbiór wszystkich moich tekstów związanych z Punktown. Zbiór taki nie może się ukazać, póki żyję. Dodatkowo do opowiadań dołączyły również powieści takie jak mająca wkrótce ujrzeć światło dzienne „Everybody Scream!” i „Monstrosity” z Prime. Może i nie mieszkam w Punktown, ale z całą pewnością do końca swej pisarskiej kariery będę je odwiedzał.

Chcę podziękować Janet Fox za stworzenie nieistniejącego już, wspaniałego fanzinu „Scavenger's Newsletter”. Bez niego z pewnością znacznie mniej moich opowiadań ukazałoby się drukiem, łącznie z tym wydanym w „The Silver Web” i w konsekwencji książka zatytułowana „Punktown” najprawdopodobniej nigdy nie ujrzęłaby światła dziennego.

Na szczególne podziękowania zasłużył sobie Jeff VanderMeer - wątpię, by bez niego w ogóle powstał zbiór opowiadań z Punktown. Jemu zatem wręczam klucze do miasta.

DUCHY W DESZCZU

Nie miał wątpliwości: trup w rynsztoku był jednym z jego klonów.

Leżał nagi, skulony na boku w pozycji płodowej, niczym martwy pajak, a krople deszczu rozbijały się o białe, wychudzone ciało. Twarz miał zwróconą ku niebu, wywinięte wargi odsłaniały zastygłą w bezruchu krechę czarnych zębów. Jego ciało zwapniało niczym kamień, pokryty wgłębieniami, poczerniały i spękany wokół stawów szyi i ręki. Czarne oczy wyglądały jak dziury po wbitych ćwiekach.

Drew pomyślał, że jest piękny - leżąc tak niczym odlew postaci z Pompejów. Rozejrzał się, sącząc wolno kawę z osłoniętego pokrywką kubka. Po drugiej stronie ulicy stała Katedra Katslamska, wyniosła metalowa budowla najeżona ostrymi czarnymi iglicami, której witraże żarzyły się czerwienią pośród sieci czarnej stali. Po tej stronie ciągnął się szereg magazynów, w połowie pustych i zamkniętych na głucho. Kilka pozostałych zamieniono na domy mieszkalne dla tanich robotników pracujących we wciąż czynnych magazynach.

W gruncie rzeczy bardzo ładna oprawa dla trupa: cicha ulica, samotna ulica. Trudno znaleźć lepsze miejsce, w którym można umrzeć.

Miał wielką ochotę przesunąć biedaka parę stóp dalej, by znalazł się dokładnie naprzeciw katedry. Wówczas jeszcze bardziej wyglądałby jak zagubiona dusza, której odmówiono zbawienia. Ale nie, stwór postanowił umrzeć tutaj, nie tam. I choć Drew był artystą, zdecydował się uszanować jego wybór.

Szybkim krokiem wrócił do domu. Po drodze minął grupkę czterech Vlessich, rzadko widywanej rasy. Ich

niehumaniczny wygląd i zapewne fikcyjna reputacja krwiopijców nieco go zaniepokoiły, kiedy jednak ich mijał, kilka razy obejrzał się przez ramię, zaintrygowany odmiennością postaci obcych. Zapamiętał kilka szczegółów, które mogły mu się przydać w przyszłych dziełach.

Winda do jego loftu znów się zepsuła - dygotała jedynie i zawodziła boleśnie, dopóki jej nie wyłączył. Metalowe stopnie dźwięczały pod ciężkimi butami; część schodów, po których się wspinał, mieściła się wewnątrz starego magazynu, część na zewnątrz. Brudna deszczówka ściekała pomiędzy umazanymi, białymi ceramicznymi płytkami skóry budynku, do którego przywarły zewnętrzne schody, niczym szkielet olbrzymiego pasożyta. Za jednym z mijanych okien usłyszał płacz kobiety. Nie miał pojęcia, że ktoś wprowadził się na zrujnowane trzecie piętro. Może to duch? Kiedyś myślał, że duchy żyją na dachu starej zamkniętej fabryki po drugiej stronie ulicy - nocą często poruszały się w deszczu, połyskując łagodnym błękitnym blaskiem - aż w końcu pojął, że to czyjś holozbiornik wysyła rozproszony sygnał podczas burzy. To wyjaśniało częste strzelaniny. Filmy. Z początku Drew sądził, że to duchy odtwarzają wciąż na nowo swoją śmierć.

Jego loft zajmował całe najwyższe piętro; okalał go wąski balkon. W ciepłe noce Drew siadał tam, słuchając muzyki i spoglądając na światła założonego przez Ziemiaków miasta-kolonii zwanego Paxton - albo, znacznie częściej, choć niekoniecznie z większą sympatią, Punktown. Czasami coś szkicował. Choć on wybrał medium trójwymiarowe, upierał się, że każdy artysta powinien umieć rysować, tak jak każdy chirurg musi umieć założyć szew.

Teraz jednak meble balkonowe leżały złożone w stertę, zabezpieczone na zimę; a strugi deszczu chłostały plecy Drew, gdy zmagał się z drzwiami. Oświetlone przyciski zamka mrugały niepokojąco. Już miał wygrzebać z kieszeni klucz,

gdy w końcu wielkie metalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem do połowy i utknęły. Wśliznął się do środka, pacnął we włącznik zielonkawych świateł i nacisnął wewnętrzny przycisk drzwi, które zasunęły się za nim z żalnym, metalicznym jękiem. Światła nad jego głową także migotały. Może burza zakłócała jego nielegalne podłączenie? Cóż, taka była cena, jaką musiał płacić.

Nie zdjął płaszcza. Z ciężkimi od deszczu fałdami wciąż płaczącymi się wokół nóg, ruszył wprost do szeregu metalowych regałów, pełnych dużych naczyń z płynami i proszkami, opisanych markerem na taśmie samoprzylepnej. Zdjął jedno; bez naklejki, odkręcił, by powąchać zawartość, i wzdrygnął się, czując ostry odór. To ten.

Z dzbanem zawieszonym na jednym palcu za uchwyt podobny do osłony języczka spustowego pomaszerował przez loft do drzwi i wyszedł wprost w objęcia ulewy.

Deszcz lał coraz mocniej, Drew wątpił jednak, by woda wpłynęła jakoś na żywicę syntetyczną. Ostatecznie była wodoodporna.

Klon wciąż tam leżał. Żadna istota go nie zabrała, żadne zwierzę nie przyszło się posilić. Nie śmierdział. Od jak dawna nie żył? Czy skamieniała skóra zablokowała proces rozkładu? Plastikowa żywica uczyni to samo, i to znacznie sprawniej.

Zaczął wylewać przejrzysty, gęsty płyn wprost na zwłoki, nie zważając na nieliczne pojazdy najróżniejszych kształtów i rodzajów, przelatujące obok bądź przejeżdżające z pluskiem mokrą ulicą. Uważał, by nie postawić stopy na żywicy, która rozpływała się wokół nieruchomej postaci. Chciał nalać jej tyle, by klona nie dało się usunąć, by pozostał przyklejony do podłoża, aż w końcu ktoś zdecyduje się go odkuć.

Zostało jeszcze trochę żywicy, toteż wylał ją, by się jej pozbyć, i wyrzucił naczynie do bocznej uliczki między magazyny. Pokiwał z uśmiechem głową, przyglądając się

postaci połyskującej jak zawerniksowana. Pomyślał, że może warto by wypisać sprejem swój podpis na chodniku obok - ostatecznie wypalił go bądź wytatuował na kilku wypuszczonych swobodnie klonach - obawiał się jednak, że ktoś mógłby uznać, że to zwykły mutant, i że to on go zamordował.

Oczywiście w pracowni miał inne, rozwijające się klony, dowodzące, jak było naprawdę.

Całkiem przemókł i nie mógł się już doczekać chwili, gdy weźmie gorącą kąpiel i napije się świeżo zaparzonej kawy. Pozostawił zatem swego martwego potomka, wciąż zadowolony z tego, jak umarł i że nawet po śmierci pozostał dziełem sztuki.

Zawsze miał w domu pełen zbiornik kawy, niegdyś należący do miejscowego niszowego kina; jej zapach dodawał mu otuchy, a bulgot płynu w akwarium koił zmysły. Kawa była już ciut nieświeża, zaparzona przed kilkoma dniami, toteż wylał ją i przygotował nową. Zdążył wziąć kąpiel i przebrać się w czyste spodnie od dresu, czarną koszulkę i buty do kung-fu. Natchniony niedawnym odkryciem nie mógł się doczekać chwili, gdy weźmie się do pracy. W dodatku miał płatne zlecenie.

Czy to właśnie ono unosiło się teraz w chemicznej kąpeli? Ten zbiornik także bulgotał przyjemnie, choć ostra woń chemikaliów drażniła nozdrza, toteż zwykle zasuwiał ściankę działową, tak jak teraz, i włączał wentylację. Podobnie jak płody dręczone sennymi koszmarami, klony często wierciły się i kręciły w swych płynach owodniowych.

Tego tutaj jak zwykle zamówił bogaty klient. Stworzenie jednego klona wymagało tygodni, czasem wręcz miesięcy, ale jedna sprzedaż opłacała miesięczny czynsz, a także utrzymanie Drew i materiały do jego pracy.

Z początku bardzo naiwnie podchodził do sprzedaży. Sądził, że klienci wystawiają jego klony w podobnych do cel terrariach, niczym egzotyczne zwierzęta, albo może pozwalają im krążyć swobodnie na przyjęciach pośród gości mogących oglądać je z bliska. I owszem, czasem tak bywało. Ale jego przyjaciel Sol, kontakt ze światem bogaczy, brał raz udział w imprezie, podczas której jeden z klonów Drew został przekazany w prezencie urodzinowym. Cały wieczór tkwił przykuty łańcuchami do kolumny ze sztucznego marmuru. Pod koniec przyjęcia wyprowadzono go na skąpane w blasku reflektorów podwórze i zmuszono do połknięcia niezwykle drogiego pierścienia. Następnie młody człowiek, solenizant, dostał do ręki nóż, by móc odzyskać pierścień, swój drugi prezent. Jego przyjaciele krzyczeli i wiwatowali, kibicując mu, gdy zaczął ścigać uciekającego klona, tnąc go i dźgając nożem. Sol mówił Drew, że młodzik był okropnie zawiedziony, kiedy nieszczęsny klon w końcu zwymiotował pierścień i umarł. Ale solenizant mimo to wypruł mu flaki, obrzucając wnętrznościami szalejących przyjaciół, a potem uganiał się za swoją dziewczyną wokół basenu, wymachując głową biedaka, aż w końcu, do wtóru ryków aprobaty, wrzucił ją do wody.

Z początku Drew nie wiedział, co o tym sądzić. Niszczyli przecież jego dzieła, jego sztukę. Zupełnie jakby rozpruwali nożem płótna.

A w dodatku klony stanowiły przedłużenie jego samego.

Najważniejszą rzeczą przy każdym klonie, nieważne jak miał ostatecznie wyglądać, było usunięcie wszelkiego podobieństwa do niego. W tym celu stosował najróżniejsze metody: kąpiele chemiczne, farbowanie, piętnowanie, tatuowanie, pozostawianie blizn, przypalanie, amputację kończyn, dodawanie kończyn, chirurgię, zmiany cząsteczkowe i manipulacje genetyczne. Nie chciał, by stworzenia stanowiły

jego autoportrety. Nie mogły wyglądać jak on. W przeciwnym razie nie byłyby dziełami sztuki, lecz nauki i przyrody. Jego własna materia służyła mu za glinę tylko dlatego, że miał do niej dostęp. Poza tym, gdyby kiedykolwiek pojawiły się problemy prawne (kiedy zaczął robić klony, stracił stypendium artystyczne), mógł się bronić, twierdząc, że manipuluje jedynie własnym ciałem, a z nim może robić, co tylko zechce. Na razie etyka klonowania i prawa klonowanych form życia były dostatecznie mętne, by mógł czuć się bezpiecznie w swych poczynaniach. Rzecz jasna, dopóki klonował tylko siebie.

Równie ważne, jak usunięcie wszelkiego podobieństwa, było usunięcie umysłu, tak by również nie przypominał jego własnego. Ten cel także osiągał najróżniejszymi metodami, czasem prymitywnymi i brutalnymi, czasem wymagającymi większej finezji. W efekcie jednak zawsze powstawały klony na poziomie w najlepszym razie niższym od idioty, tak że nie były w stanie nawet podawać tacy z koreczkami na eleganckim przyjęciu. Stanowiło to kolejny manewr obronny - w ten sposób tworzył najwyżej ludzkie rozgwiadzy - poza tym jednak nie chciał odtwarzać swego umysłu w czymś tak żalnym. Czymś, co mogło czuć grozę z powodu własnego losu.

W końcu pogodził się z co bardziej sadystycznym wykorzystaniem swych potomków. Zabijane klony, torturowane klony, ścigane klony, zbiorowo gwałcone klony, klony stanowiące cel dla strzałek i bełtów (tak przynajmniej słyszał Sol), ofiary letnich polowań - one wszystkie nie były nim. Z całą pewnością nie były też nikim innym. Nie opłakiwał ich, tak jak nie opłakiwał nieustannie zrzucanych komórek skóry czy obcinanych paznokci. A jeśli nawet niszczone jego dzieła sztuki, cóż, obecnie należały do kogoś innego i mógł z nimi czynić, co zechce. Sumy, jakie płacili za

to, by zdobyć i czasem zabić część niego, pozwalały utrzymać przy życiu główną część.

I dzięki tym pieniądzom mógł tworzyć klony znaczące dla niego najwięcej: te, które po ukończeniu wypuszczał swobodnie na świat, by mogły wędrować ulicami Paxton/Punktown, dokąd tylko zawiodą je bezmyślne mózgi. Niektóre nagie, inne odziane na zimę. Jedne na swój sposób piękne, inne odrażające, tak jak te, które z wielkim rozbawieniem wypuścił w ostatnie Halloween.

Lecz mimo wszystkich klonów, które uwolnił przez ostatnie trzy lata, odkąd zaczął pracę, nigdy, aż do dzisiaj nie widział żadnego martwego. Och, słyszał o losie kilku. Jednego zabił gang, inny wpadł pod lotowóz. Drew przypuszczał, że większość umierała z głodu bądź zamarzała. Słyszał, że kilka trafiło do schronisk dla bezdomnych. Zawsze intrygowała go myśl o tym, gdzie jego twory znikają w ogromie miasta. Raz z zachwytem odkrył jednego po roku, wciąż żywego, pożerającego ptaka w małym eleganckim parku. Stwór spojrział na niego pustym wzrokiem. Ciało miał trwale ufarbowane na jaskrawoczerwono, na czole i nagich piersiach widniały wypukłe, spiralne piętna. Przypominał czarującego demona. Nawet jeśli ludzie nie zapuszczali się dość blisko, by ujrzeć wypalony podpis, nawet jeśli nigdy nie słyszeli o Drew, nawet jeżeli brali stwora za wymalowanego szaleńca, mutanta, obcego czy nawet autentycznego demona, podziwiali go, a choć on nigdy tego nie widział, cieszyła go sama myśl. Nieważne, czy patrzyli z podziwem, czy zgrozą - wiedział, że patrzyli, a patrząc na jego dzieło, spoglądali także na niego, stwórcę.

I choć je wypuszczał, pozostawał z nimi związany; choć je odrzucał, nadal bez wyjątku należały do niego.

Z kawą w ręku obszedł ściankę działową, sprawdzając postęp swej pracy.

W przezroczystych pojemnikach ustawionych na stole roboczym i pod ścianami, w bulgoczącym roztworze fioletowego płynu wisiały niewyraźne bryły materii organicznej. Niektóre przypominały płody, lecz w jednym zbiorniku wyhodował kopię własnej głowy, żyjące popiersie; zamierzał ją wystawić w miejscowej galerii, podłączoną do układów podtrzymywania życia, zamkniętą w podobnym do łona pojemniku. Ukląkł przy niej.

- Cześć, Robespierre - powiedział i postukał w szkło, patrząc, jak powieki głowy trzepocą jak we śnie.

Powstrzymał wzrost włosów, brwi i rzęs, by jak najbardziej zmniejszyć podobieństwo. Ponieważ jednak zależało mu na wywarciu odpowiedniego wrażenia, nadał głowie jak najbardziej ludzki wygląd.

Kolejny plusk; Drew uniósł głowę i ujrzał falę fioletowej cieczy przelewającą się przez krawędź głównego zbiornika i ściekającą po ścianie. Westchnął, wstał i, wzięwszy mopa, ruszył, by zajrzeć do zbiornika, który nazwał Źródłem Narcyza.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy pochylił się nad klonem, patrząc na niego. Na nią.

W odróżnieniu od pozbawionej ciała głowy, tu jeszcze pobudził wzrost włosów: długie ciemne pasma unosiły się leniwie wokół twarzy klona niczym morskie rośliny. Nie zniekształcił fizycznie rysów, zdołał jednak osiągnąć wielką zmianę dzięki zręcznej manipulacji genetycznej. Nie była to chirurgiczna zmiana płci, lecz coś bardziej subtelniejszego. Oto stworzył żeńską wersję siebie samego, w każdym możliwym znaczeniu tych słów. Nawet natura w swym geniuszu nie zdołała osiągnąć czegoś podobnego: identycznych bliźniaków różnych płci.

Podwinął rękaw, wsunął dłoń do bulgoczącego fioletowego płynu. Wziął w rękę jedną małą pierś i zaczął

ugniatać, jakby kształtował ją z gliny. Przesunął kciukiem po sutku, czekając na reakcję. Trwało to kilka minut, w końcu jednak zaczął twardnieć. Podobnie zresztą jak Drew. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, patrząc, jak jej oczy poruszają się w fazie REM pod cienkimi powiekami. Wkrótce obudzi śpiącą królową. Musiał też przyznać, że jest z niego cholernie ładna kobieta.

Wędrował wzrokiem po jej ciele, ku krzywiźnie bioder i ciemnej kępcie włosów, a potem z powrotem do piersi, którym nadał dość skromny rozmiar, opierając się pokusie zrobienia bujniejszych. Nie chciał zamienić jej w karykaturę.

O tak, była urocza. Wielka szkoda, że zniszczył już jej umysł. Ciekawe, jak wyglądałby ten kobiecy aspekt jego osoby.

Choć musiał przyznać, że nie pozbawił go jej aż w takim stopniu, jak swych innych dzieł.

W części loftu, którą uważał za salon, a dokładniej na ścianie nad kanapą, Drew zawiesił jedyny klon, który zostawił sobie dla własnej przyjemności. Miał całkiem ludzką głowę, lecz stwórca powstrzymał rozwój oczu, nie chciał bowiem, by cokolwiek go stale obserwoowało, gdy krząta się przy pracy i codziennych obowiązkach albo drzemie na kanapie. Stwór jednak czasami sapał bądź pojękiwał. Był podłączony do maszyny podtrzymującej życie, ukrytej za kanapą. Na stoliku leżała klawiatura; gdy z rzadka odwiedzał go znajomy, Drew mógł go zabawiać bądź podpuszczać, naciskając klawisze i pobudzając do ruchu kończyny i twarz ukrzyżowanego stwora - podskakujące w spazmach rażonych prądem mięśni.

Pierś klona otwierała się pomiędzy dwoma przybitymi do ściany, rozchylonymi płacami mięsa, przypominającymi rozpiętą na ziemi skórę bądź płaty brzucha rozkrojonej żaby. Pod przejrzystą błoną było widać żebra, a także kłęb

błękitnawych wnętrzności.

- Drew, bracie - powiedział Sol, kiedy ujrzał stwora po raz pierwszy - chyba naprawdę sam się nienawidzisz, skoro tak bardzo poniżasz własne ciało. Uprawiasz czysty masochizm. Tworzysz samego siebie po to, by móc się zniszczyć. To chyba rodzaj samobójstwa?

Drew wybuchnął śmiechem.

- Tylko sztuka, nic więcej. Po prostu za medium wybrałem sobie ciało. Ludzie zawsze to robili. Tatuże i piętna, blizny i kolczyki. Ciało jako płótno. Tyle że, wykorzystując klony, nie czuję bólu.

- No właśnie, to bezpieczny sposób znęcania się nad sobą.

- Skoro tak twierdzisz.

- Mówiłeś chyba, że nie możesz mieć dzieci, tak? Twój organizm nie produkuje nasienia. Czy to perwersyjna reakcja na ten fakt? To twoje dzieci, owoc nienawiści do ciała, które nie może stworzyć prawdziwych?

- Jasne - odparł Drew. - Czemu nie.

- Czy to dlatego, że nienawidziłeś ojca, a on ciebie?

- Właśnie tak, dokładnie. - Drew pokręcił głową. - Zbyt wiele próbujesz z nich odczytać. Te klony to nie ja. Nie mają przedstawiać mojego stanu emocjonalnego bądź psychicznego. Są uniwersalnym symbolem człowieczeństwa, nie dziełem osobistym. Po prostu podoba mi się wygląd, jaki im nadaję. To kwestia estetyki, nic ponadto.

Wytań rękę, uśmiechając się do swego odbicia w płynie ze zbiornika. A skoro mowa o estetyce, wiedział, że ten klon będzie prawdziwym przebojem. Wyglądała tak ładnie, że wątpił, by potraktowali ją jak worek treningowy. Na ich miejscu, pomyślał, zamknąłbym ją w pokoju i hodował jak zwierzątko na długie, samotne noce.

Wciąż czuł podstępne podniecenie. Sam będzie musiał sobie ulżyć. Trzy lata temu Drew zerwał z ostatnią

dziewczyną. Doceniała jego sztukę nawet mniej niż Sol. Od tego czasu nauczył się żyć z brakiem zrozumienia.

Lecz brak towarzystwa był gorszy.

Deszcz przestał już padać i ulice wyschły. Oczywiście trup w rynsztoku wciąż tam leżał, żywica zdławiła w zarodku i powstrzymała proces rozkładu. Jednakże wiedziony zapalem, próbując jak najmocniej przykleić swe dzieło do chodnika, Drew użył jej zbyt wiele i po wyschnięciu zżółkła; wyglądała teraz jak pokrywająca ciało warstwa brudnego wosku. Niestety, przy okazji zauważył coś znacznie gorszego. Jakiś dzieciak, bezczelny smarkacz, wypisał sprejem na ciele dowcipny, wulgarny tekst. Zbezcześcił jego sztukę. On sam nie złożył nawet podpisu, a jakiś żaloszny smark wypisał sprejem dowcip, jakby chciał przypisać sobie to dzieło. Rozwścieczony Drew rozejrzał się - może spodziewał się dostrzec przyczajonego w uliczce, roześmianego dzieciaka? Nikogo nie zauważył. Czy da się zmyć farbę rozpuszczalnikiem? Będzie musiał spróbować. Jeśli to się nie uda, zamaluje trupa innym kolorem, by ukryć ów akt wandalizmu. A w ostateczności sam odkuje go od chodnika i usunie. Wszystko, byle tylko nie pozostawić go w takim stanie - skalany przykład samotnego, poruszającego piękna.

Samotnego i poruszającego. No dobrze, pomyślał Drew. Istotnie, poprzez swą pracę próbował wyrazić własne uczucia. Posługiwał się jednak paletą emocji uniwersalnych, nie osobistych. Malował mocnymi, archetypicznymi kreskami barwy i znaczenia. Każdy jego klon był kolejnym symbolem uniwersalnego człowieczeństwa - upodlone ciało, wypalony umysł, wyłuskana dusza.

Drew westchnął i oderwał się od rzędu monitorów. W jednym kącie przestrzeni roboczej umieścił swe centrum

komputerowe, którego ekrany jaśniały niczym akwaria pełne egzotycznej wiedzy. Po podłodze i ścianach pełzały pęki kabli. Drew świetnie sobie radził na uczelni. Mógł zostać lekarzem - tak przynajmniej twierdzili wszyscy członkowie rodziny, przyjaciele i dziewczyny, kiedykolwiek go krytykujący. Lecz medycyna to zajęcie dla mechaników. On był artystą. Tę samą wiedzę można było postawić na głowie. Tę samą głowę wyrzucić na nice, tworząc nowy kwiat z ciała, piękny bądź brzydki, cudowny wykwit ludzkiej wyobraźni.

Była gotowa, by narodzić się ze sztucznego łona.

Dźwignął się z krzesła, pociągnął łyk kawy i poszedł do niej.

Najpierw opróżnił zbiornik z fioletowego płynu, który zniknął w układzie oczyszczającym, gdzie zostanie przefiltrowany do powtórnego użycia. Kiedy wewnątrz nieco wyschło, uniósł platformę, na której leżał jego klon.

Twarz kobiety była pogodna i spokojna, ręce leżały bezwładnie po bokach, stopy miała blade niczym trup w kostnicy. Drew wsunął jej w usta rurkę i wepchnął do gardła, jakby chciał odwrócić proces balsamowania. Do piersi miała przyłączone dyski. Nacisnął klawisze urządzenia leżącego na ruchomym stoliku obok zbiornika. Mokrym, błyszczącym ciałem kobiety wstrząsnął spazm, jej plecy wygięły się gwałtownie. I znów. Znów. Była niczym ryba tonąca w powietrzu. Niczym śniący w szponach straszego koszmaru.

W końcu jednak przenośne urządzenie zapiszczało i Drew się uśmiechnął. Oto dźwięk serca, budzącego się do życia.

Parę minut później jej powieki się uniosły. Z tępą, rybią miną spojrzała w twarz Drew. Jej wzrok podążył za nim, gdy przeszedł przez pokój, by nalać sobie świeżej kawy. Zauważył to z zadowoleniem. Chciał, by pozostała zwierzęciem, ale nie zwykłą rozgwiazdą. To stworzenie, jego najbardziej wysublimowane dzieło, wymagało czegoś więcej; nie

zadowalał go zwykły niezgrabny zombie.

Gdy zaczęła siadać, odstawił kubek i podbiegł do niej, biorąc ją za rękę i pomagając się podnieść. Opuścił jej nogi na ziemię i pomógł wstać, przytrzymując ramiona. Mimo że była ciężka i niezgrabna, udało mu się podprowadzić ją do zaplamionej kozetki. Po drodze obróciła głowę, spoglądając na niego. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Witaj, moja piękna - wyszeptał dumny jak ojciec bądź pan młody przenoszący żonę przez próg.

Grzebiąc w komodzie w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby na siebie włożyć, spodni od dresu i podkoszulka, patrzył, jak pełza na czworakach po pokoju. Zatrzymała się u stóp kanapy, gapiąc się tępo na obdarte ze skóry, ukrzyżowane stworzenie na ścianie. Ślepy stwór jęknął, zupełnie jakby wyczuł jej obecność.

Drew zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pozostawił swemu żeńskiemu klonowi zbyt wiele inteligencji. Nie mógł pozwolić, by pełzała mu po mieszkaniu, może nawet nauczyła się chodzić. Grzebała mu w rzeczach. Może powinien ją uspić? Zresztą, Sol odbierze ją za tydzień z kawałkiem, toteż problem szybko się rozwiąże.

Była zwrócona do niego tyłem nagimi pośladkami. Widział zapraszającą czarną szparę i schnące włosy, oblepiające plecy. Boże, Jezu, na co właściwie czekał? Wiedział, że to nieuniknione. Nie mógł przecież wstydzić się własnego pożądania. Ostatecznie w gruncie rzeczy to nadal zwykła masturbacja, prawda?

Drew odłożył na bok jej ubranie, przeszedł przez pokój i ukląkł za klonem. Powoli głaskał jej gładkie plecy. Zaczął paplać do niej, łagodnie, jak do dziecka bądź kociaka. Obejrzała się na niego, może jej uwagę przyciągnął odgłos rozsuwanego zamka. Naparł na nią i w jej oczach pojawiło się

coś jakby mglista, otepiała czujność - nie do końca niepokój. On jednak poruszał się wolno, swobodnie, nie chciał zadawać jej bólu ani gwałcić. Szalałby z radości, gdyby ona także odnalazła w tym przyjemność, to bowiem potwierdziłoby jego sukces.

Nie potrafił określić, co czuła. Nie stawiała oporu, gdy przycisnął ją do poduch kanapy i objął mocno, czując napierające na brzuch pośladki. Błada skóra na ich ciałach miała identyczny odcień. A choć tak bardzo różniła się od niego, dostrzegł na jej twarzy coś, co nim wstrząsnęło, zakłóciło rozkosz tak bardzo, że wolał patrzeć na jej plecy. Jej głowa leżała na kanapie bokiem, oczy patrzyły przed siebie bez cienia emocji. A na skroni ciemniał niewielki pieprzyk, zwykła kropka, dokładnie taka sama, jak na jego skroni. Coś tak małego, nieważnego, coś, co musiały mieć wszystkie jego klony, lecz nigdy dotąd nie zwrócił na to uwagi. Teraz jednak... Teraz pieprzyk jakby płonął, jaśniał niczym trzecie oko, patrzące wprost na niego.

Przez następne noce trzymał ją w swoim łóżku, zarówno po to, by wiedzieć co robi, jak i dla przyjemności czerpanej z jej ciała. Rzadko wychodził z mieszkania, bał się bowiem, że zacznie grzebać w jego sprzęcie niczym ciekawski niemowlak. Zadzwoił Sol. Drew poinformował go, że klon się udał. Nie mówił nic więcej. Nie wspomniał Solowi, że wczoraj ubrał ją i z perwersyjną radością zabrał na dwór na hot doga, kupionego w ulicznym automacie.

Nie mówił też Solowi, że zeszłej nocy obudził się w mroku i poczuł twarz klona wtuloną w swoją szyję. Spała spokojnie, obejmując ręką jego pierś.

Choć jej dotyk sprawiał mu przyjemność, łagodnie odepchnął ją od siebie.

Dziś zamierzał spać na kanapie. Odda jej łóżko. W końcu

jeszcze tylko parę dni pozostanie jego gościem.

Ale wieczorem zadzwonił do Sola.

- Sol, ten klient... Co chce zrobić z klonem? Zamówił go na przyjęcie?

- Nie wydaje mi się. To bogate małżeństwo, kolekcjonują dzieła sztuki. Zażyczyli sobie kobiety, to był ich pomysł. Z początku chcieli klona znajomej, ale Sol ich poinformował, że Drew klonuje wyłącznie siebie. Jednakże ich pomysł natchnął Drew do wzniesienia się na wyżyny sztuki. Dzieło, jakiego pragnęli, będzie jeszcze bardziej wyjątkowe i cenniejsze dzięki temu, że w ten sposób stało się kobietą.

- Wiesz cokolwiek o tych ludziach? - naciskał. - Czy zamierzają wystawić ją w gablocie? Zabierać na przyjęcia? Wziąć do łóżka?

- Drew, stary, nie mam pojęcia. Ale to dość prawdopodobne. Klienci używali w ten sposób nawet najbardziej groteskowych z twoich dzieł. A co, nie nadaje się? To jakiś problem?

Drew zerknął przez ramię na klona, klęczącego na podłodze i oglądającego film w jego starym, dwuwymiarowym wideozbiorniku.

- Chyba nie będą na nią... polować ani nic takiego? - spytał. - Nie chcą jej związać... przypalać papierosami... gwałcić, podduszając czy coś? Mógłbyś się dowiedzieć?

- Słuchaj, nie mogę. O co ci chodzi?

- Mogliby poczekać parę tygodni? Na innego klona? Ten... za bardzo się do niego przywiązałem. To moje najwspanialsze dzieło.

Mogę zrobić innego, równie ładnego, tylko trochę bardziej podobnego do rozgwiadzy, pomyślał.

- Posłuchaj - odparł Sol. - W takim razie zrób go dla siebie. Zawarliśmy umowę, ja się z nimi umówiłem i już na to za późno. Przykro mi. Nie chcę przez ciebie sprawić im

zawodu, naprawdę na to czekają. I pamiętaj, że potrzebujesz kasy znacznie bardziej niż ja.

Drew jeszcze raz zerknął na klona. To prawda, mógł zrobić następnego. I tym razem nie mniej inteligentnego, lecz bardziej. Dość inteligentnego, by nie tylko tulił się do niego jak oddany pies, ale kochał jak prawdziwa kobieta.

Tylko czy wówczas nie opuściłaby go tak jak inne kobiety? Najpierw skrytykowałaby jego sztukę, a potem odeszła?

Nie zdecydował jeszcze, czy stworzy kolejnego klona dla siebie, ale wiedział, że z tym musi się rozstać. Może tak będzie najlepiej. Czuł się przy niej zagubiony i bardziej żywy, niżby chciał. Klony mogły konać z głodu, zamarzać, umierać na ulicach. Ale kiedy on sam miał odczuwać ból własnej samotności... to dla niego zbyt wielkie brzemię. Lepiej, by cierpienie przypadło przedłużeniom jego osoby, bezpiecznym i odległym.

Wyłączywszy widfon, Drew przekonał się, że kobieta odwróciła się od wideo i patrzyła, jak kończy rozmowę z Solem.

- Cześć. - Uśmiechnął się, niepewnie niczym nastolatek przyłapany przez wścibską matkę na knowaniach.

Kobieta patrzyła nadal, jej ciemne oczy zwięziły się lekko. Zamrugła. Wyglądała jak ktoś, kto próbuje przypomnieć sobie zapomniany sen.

Obudził go głuchy łoskot.

Nad ścianką działową widział błękitnofioletowy blask, rzucany na sufit przez zbiorniki i monitory, poza tym jednak w lofcie nie paliło się żadne światło. Artysta czuł się tak, jakby zawisł w mrocznej otchłani, czarnym łonie. Słuchał bulgotu swojej kawy i swych chemikaliów. Komputer zaćwierkał niczym nocny owad. Na balkonie bębnił deszcz.

Wszystko wydawało się zupełnie normalne, ale coś było nie tak.

Jakiś szelest, ruch w salonie. Jakby coś... pełzało. Czołgało się z trudem w nieprzeniknionej ciemności po zimnej podłodze.

Nagle Drew pojawił, co jest nie tak: kobieta zniknęła. Nie czuł przy sobie ciepłego ciała, tak jak w poprzednie noce, ani skóry lepkiej po łózkowych zabawach. Poprzedniej nocy, nim zaczął zaloty, pocałowała go w usta. Czyżby ją zaprogramował? A może jej sucze, zwierzęce uwielbienie ewoluowało? Ostatnie parę nocy jęczała w jego objęciach i reagowała z większym entuzjazmem na akt miłości fizycznej, zwijała się, ścisnęła go mocno, a zeszłej nawet dosiadała.

Pozostały jeszcze zaledwie dwa dni i będzie musiał ją oddać. Drew znów ogarnęły wątpliwości, czy zdoła się z nią rozstać. Nawet gdyby potrafił stworzyć tuzin jej podobnych, byłby to tuzin kobiet takich jak ona. Ale żadna nie byłaby nią.

Usiadł na łóżku, patrząc w ciemność. Chciał zawołać ją po imieniu, ale przecież żadnego jej nie nadał. Wydawało mu się, że pełźnie w stronę łóżka. Tak, uznał, właśnie tak. Może upadła w mroku, zrobiła sobie krzywdę? Nie czekając dalej, sięgnął na oślep ku lampce...

Lecz w chwili, gdy to zrobił, poczuł, jak zderzyła się z materacem. Wyciągnął ku niej rękę, chwycił pod pachę i podniósł.

- Nic ci nie jest? - spytał, nie oczekując odpowiedzi.

Jęknęła.

Jej ręce wydawały się chudsze, zasuszone, jak u zagłodzonego dziecka. Oddech cuchnął. A kiedy upadła na niego, jej pierś była twarda, koścista...

Drew krzyknął, próbując zepchnąć z siebie to coś, lecz szerokie płyty skóry okrywały go niczym koc, dodając wagi żalosnemu stworowi, leżącemu na nim ciężko. Jego twarz

przywarła mu do szyi w upiornej parodii kobiety, Drew jednak wiedział, że to nie ona. Choć nie pojmował jak, w łóżku znalazł się ukrzyżowany klon. W jakiś sposób odpadł od ściany, wrywając przytrzymujące go szpikulce.

W ataku paniki Drew zrzucił stwora z łóżka, przerażony myślą, że tamten udusi go swoim płaszczkowatym ciałem. Klon runął na podłogę, a Drew, nie zwlekając, sięgnął po omacku do lampy.

Gdy zaświeciła, zeskoczył z łóżka, cofając się przez pokój. Widział, jak ohydny stwór próbuje wstać. Bezoka głowa uniosła się, zupełnie jakby węszyła. Wykrzywione w grymasie usta poruszyły się, pociekła z nich ślina. Za sobą klon włókł przewody do urządzenia podtrzymującego życie.

Drew odwrócił się do ściany, na której wcześniej wisiał stwór, i ujrzał kobietę. Stała przed nim.

Była naga, równie piękna jak zawsze, gęste włosy w połowie przesłaniały twarz. Wyglądała jak istota prymitywna, niewinna dzikuska. Jego bestia. Jego zwierzątko.

Ale pod pachą trzymała jego głowę.

A na kanapie leżały wszystkie embriony, przyszłe klony. I wszystkie nie żyły, prócz jednego, który trzepotał maleńkimi kończynami jak płetwami.

Tkwiący pod jej pachą Robespierre wywrócił oczami, jego wargi zadrżały, gdy skonał, odłączony od zbiornika.

Drew poczuł wzbierającą furję. I nie tylko, w głowie zakręciło mu się ze zgrozy i odrazy, dezorientującej, paraliżującej. Jego wzrok powędrował ku szpikulcowi tkwiącemu w drugiej dłoni kobiety. Był to jeden ze szpikulców mocujących do ściany ukrzyżowanego stwora.

Nagle ruszyła naprzód, z głową pod pachą. Uniosła szpikulce niczym sztylet.

Drew zasłonił się rękami.

- Nie! - krzyknął.

Kobieta przemknęła obok niego i upadła na plecy ślepego, na wpół obdartego ze skóry stwora, próbującego się podnieść. Wbiła szpikulec prosto w jego kark.

Cała trójka runęła jednocześnie: kobieta, głowa, bezoki stwór. Tylko kobieta się podniosła. Znow przytuliła do siebie głowę, teraz absolutnie nieruchomą, podobnie jak wszystkie embriony z szacunkiem ułożone na kanapie.

- Co robisz? - spytał kobietę Drew, powoli opuszczając ręce. - Co ty zrobiłaś?

Przez chwilę patrzyła na niego. Znał dość dobrze własne rysy, by na jej twarzy dostrzec smutek. Rozpacz. I wstręt do samej siebie. Wszystko to oglądał zbyt często w lustrze, by ich nie poznać.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Nacisnęła klawisz - zapewne zapamiętała jak robił to wcześniej. Od wewnątrz ich otwarcie nie wymagało kodu, toteż rozsunęły się z bolesnym zgrzytem. Dokąd się wybierała, naga, tuląc do siebie ludzką głowę niczym dziecko? Nie miała już broni, lecz Drew nadal niemal bał się pójść za nią. Ale i tak to zrobił.

- Zaczekaj! - zawołał.

Wyślizgnąwszy się przez szczelinę na gęstniejący deszcz, ujrzał kobietę stojącą przy balustradzie. Patrzyła na światła miasta. Może szukała duchów, które kiedyś widział.

- Hej! - Wyciągnął do niej ręce. - Wróć do środka, proszę. Nie odeślę cię, daję słowo.

Obróciła się lekko, patrząc na niego, strugi deszczu spływały po jej twarzy. Zobaczył, jak poruszają się jej wargi, jakby próbowała ukształtować słowa.

- Proszę, zostań ze mną - powiedział.

Kobieta znow obróciła się ku nocy. Z uroczystą gracją przekroczyła niską balustradę.

- Hej! - Drew rzucił się naprzód.

Zobaczył, jak skoczyła w ciemne, mokre powietrze, nadal

tuląc w ramionach jego pozbawioną ciała głowę.

Wrzasnął, starając się ją powstrzymać, mimo że ujrzał białą sylwetkę lecącą w dół. Zderzył się z balustradą i spojrzął za nią. Spadając, przecięła smugę żółtego światła, padającą z jednego z okien. Potem zniknęła mu z oczu. Usłyszał głuchy łoskot; miał wrażenie, że słyszy własne serce, wyrwane z piersi i padające na posadzkę.

Pędził na dół po schodach, czasem na zewnątrz magazynu, czasem w środku, i w końcu dotarł na ulicę. Była zimna pod bosymi stopami, niczym tafla lodu na jeziorze. Z radością przyjął bolesną reakcję zmysłów.

Podszedł do niej i ukląkł.

- O Boże - wymamrotał. - Dlaczego... Dlaczego to zrobiłaś?

Odgarnął mokre włosy przesłaniające jej twarz, bojąc się tego, jak mogła odmienić ją śmierć, złowieszcza rzeźbiarka. Upadek nie zniekształcił jej rysów - z głową zwróconą na bok wyglądała jakby spała. Nawet po śmierci była piękna. Piękne dzieło sztuki, krwawiące w rynsztoku.

Czułym gestem odsłonił jej skroń. Dotknął maleńkiego pieprzyka. Znamienia, które ich łączyło.

Drew nie zostawił jej w rynsztoku. Ostrożnie podniósł bezwładne ciało i rozpoczął długą powrotną wspinaczkę. Podszedł do łóżka, położył ją i znów odgarnął z twarzy mokre pasma włosów.

Wziął ze sobą głowę. Teraz zebrał embriony, a także ciężkie, groteskowe zwłoki ukrzyżowanego stwora. Potem poszedł do laboratorium, pracowni, zbierając kultury organiczne i zarodki, które kobieta przeoczyła w ciemności.

Złożył ją wraz z resztą potomstwa w zbiorniku, w którym wyrosła. Zamiast jednak zalać je fioletowym roztworem owodniowym, zdjął z metalowej półki dwa naczynia z chemikaliami.

Ośloniwszy maską twarz, oblał leżące w zbiorniku ciała zawartością najpierw jednego naczynia, a potem drugiego. Szybko się cofnął, by uniknąć kontaktu z kłębiącymi się żrącymi oparami. Za ich chmurą wciąż widział ciała, niewyraźne cienie w zbiorniku. Zdawało się, że się połączyły, zlały w jedną splątaną, niekształtną istotę. Wkrótce jednak kończyny zaczęły się kurczyć, cienie blednąć, pozostawiając tylko opar... który wentylatory wyssały w nocne powietrze, rozpraszając go niczym popioły ze stosu.

Patrzac, jak ostatnie smużki dymu wznoszą się ku wiatrakom, Drew opłakiwał kobietę. Opłakiwał samego siebie.

Czuł się jak własny duch... jakby to on popełnił samobójstwo.

RÓŻOWE PIGUŁKI

Małeńka kulka tańczyła lekko pod zataczającymi kręgi palcami Marisol Nunez. Raz, drugi, dziesiąty. W żaden sposób jednak nie mogła wyrwać jej z ciała, a palce nie potrafiły uchwycić śliskiej doskonałości. Bo guzek był przecież doskonały, prawda? Ona to bezkształtna, niezorganizowana masa pulsujących błon, zwijających się narządów, trzepoczących zastawek. Ona była ostrygą, a jej guz perłą.

Siedząc w pociągu, oparła brodę na dłoni - bez wątpienia w oczach innych pasażerów wyglądała jedynie na zmęczoną po długim dniu pracy. I faktycznie tak było, lecz pod epidermą jej myśli kryło się coś więcej niż zmęczenie. Palce wygiętej dłoni ugniatały podstawę szczęki po prawej stronie, niemal zmysłowymi, kojącymi ruchami, tylko po części świadomymi. Odkryła kulkę w zeszłym tygodniu. Tamtą noc przepłakała. Tego wieczoru oczy miała mętne i ciemne, patrzące w przestrzeń dalej niż znajdował się ostatni przystanek pociągu. Młody mężczyzna uwieszony poręczą tak, że jego krocze kołysało się tuż przy jej twarzy, spojrzał na nią z góry i powiedział, że jest śliczna. Udała, że nie słyszy, a on na szczęście wysiadł przy Rumford Park. Kiedy jednak zniknął, z opóźnieniem odpowiedziała mu w duchu: „Naprawdę? I nadal taka będę? Za rok? Może nawet mniej?”.

Pociąg poduszkowy jechał dalej... zagłębiając się w wątpia Paxton, olbrzymiego miasta, założonego przez Ziemiian na planecie Oaza, lecz później zasiedlonego także przez liczne inne rasy. Nawet Choomowie, którzy żyli tu na długo przed przybyciem Ziemiian, nazywali miasto przydomkiem Punktown.

Wzdłuż wyłożonych błyszczącymi, przypominającymi

gadzie łuski, kafelkami ścian tuneli ciągnęły się węże kabli, przewodów i rur kanalizacyjnych, tworzących złożony układ krążenia, skomplikowany system trawienny. Z niektórych rur, pękniętych bądź strzaskanych, tryskały pióropusze pary, przez które przebijał się pociąg, zupełnie jakby leciał przez chmury. Ujrzała deszcz rozpalonych iskier, sypiący się z przewodów na chodnik techniczny. W blasku rzadkich lamp awaryjnych dostrzegła skulone sylwetki ludzi, śpiących lub umierających na owych wąskich ścieżkach. Minęli pociąg, zmierzający w przeciwną stronę, patrzyła na widoczne w oknach twarze, tak bardzo wykrzywione i rozmazane, że nie potrafiła stwierdzić, czy należały do ludzi, czy do obcych. Ściany wewnątrz pociągu wyświetlały zapętlone, animowane reklamy. Zwiastun najnowszego filmu o seryjnym mordercy. Reklamę sieci sklepów z bronią. Reklamę leku na depresję. Reklamę leku zwalczającego uzależnienie od innych leków. Zabijać i leczyć. Jin i jang. Byle tylko zachować równowagę. Zastępcza przemoc. Pistolet pod poduszką, garść pigułek. Czy miały uchronić czyjeś życie, czy je odebrać?

Pociąg metra zatrzymał się z cichym szeptem na stacji Szpitala Miłosierdzia.

Marisol przycisnęła gładkie czoło do okna, obserwując odchodzących i przychodzących pasażerów. Pewnego dnia ona także tutaj wysiadzie. Po raz ostatni.

Żałowała tych, którzy na jej oczach opuszczali pociąg, zupełnie jakby zsiadali z barki Charona. A wsiadający... zapewne opłakiwali umierających albo może lekarze na krótko odwlekli chwilę ich śmierci. Śmierć była nieunikniona. To nic niezwykłego, wyjątkowego, w przeciwnym razie z każdym kęsem zjadanego przez nią steku wiązałyby się tragedia. A może i tak było. Mam dopiero dwadzieścia sześć lat, pomyślała. Tylko dwadzieścia sześć lat, nigdy nawet nie wyszłam za mąż. Nigdy nie poczuła, jak w jej ciele cudownie

wyrasta inne życie. Oprócz tej bękarciej perły. Niepokalanego nieszczęścia.

Marisol patrzyła, jak starszy człowiek wędruje z trudem, chwiejnie po peronie. Jej serce, zamknięte w klatce żeber, zadrżało. Podążyła za nim wzrokiem, patrzyła, jak wspina się po kilku stopniach i wsiada do wagonu. Ze wzdrygnięciem cofnęła się od okna i spojrzała wprost na swe okrągłookie odbicie, zupełnie jakby to ono wzbudziło w niej ową nieskrywaną zgrozę. Ale przecież była śliczna, tak jak mówił pasażer. Drobną jak laleczka, z burzą ciemnych włosów, zebranych z tyłu w niesforny koński ogon. Wielkie, błyszczące czarne oczy pod łukami grubych brwi. Małe, wyniośle nadąsane usta. I skóra jak kość słoniowa. Wszystko to dary ślepej natury, nie bioinżynierii ani kosmetyki. Bezcelowe przypadki. Bezrozumny łut szczęścia. Poza guzem wyczuwała niemal jego świadomą, wrogą determinację. Był niczym demon, zamierzający ją opętać. Zastąpić.

Marisol obróciła się lekko w fotelu, patrząc na wchodzącego do wagonu mężczyznę. Bała się spojrzeć na niego z bliska, lecz masochistycznie nie umiała odwrócić wzroku.

Miał tego samego guza, którego rozpoznał u niej LOP (lekarz opieki podstawowej), lecz w znacznie bardziej zaawansowanym stadium. Wyrastał spomiędzy jego łopatek, przygniatając go swym ciężarem niczym garbusa. Guzy mogły wyrosnąć wszędzie. Sprawdziła zdjęcia w sieci. Pewnemu dziecku, najwyżej ośmioletniemu, wyrastał z gałki ocznej - różowa kula wielkości piłki tenisowej, pokryta białymi żyłkami, niczym oglądana z kosmosu cielistą planeta w otoczce rzadkich chmur, lśniąca jak zrobiona z marmuru kula oderwana od szczytu nagrobka. Z jednej strony, nigdy nie wyrastało ich więcej. Tylko jeden. Lecz z drugiej, nie dawało się ich usunąć (egzorcyzmować, pomyślała). U podstawy

miały sieć włókien tak gęstą, że przenikała całe ciało, oplatając je niczym bluszcz pergole, łącząc się z układem nerwowym tak ściśle, że nawet na poziomie mikroskopowym nie dało się ich rozłączyć, chyba że z wielkim trudem i po śmierci. Odcięcie pasożyta u podstawy zabiłoby żywego nosiciela. Owa niezwykle pomysłowa budowa, dająca mu coś w rodzaju mechanizmu ochrony, sprawiła, że niektórzy nazywali go obcą formą życia, istotą - ale nie był nią, zapewnił Marisol lekarz. Guz nie miał rozumu. I to sprawiało, że budził jeszcze większą grozę. Nie da się go przekonać, przebłagać.

Nawet jej guz, mały jak kulka, zdążył już zapuścić swe trujące jak u meduzy korzenie w jej ciele, udając, że należy do niego. Wniknął w jej kanwę własnymi nićmi, zlewając się w całość z jej nowym ja. Podłączony do złożonej sieci nerwowej, a tym samym poprzez nią do mózgu.

„Dlaczego nie da się go usunąć za pomocą teleportacji?” - pytała.

„Oto dlaczego”, odparł LOP. Niestety, jego wyjaśnienia były zbyt mętne i techniczne, by mogła je zrozumieć.

Czemu nie można go otruć, tak by jego nerwy obumarły, a moje zostały przy życiu? „To w pewnym stopniu da się zrobić”, wyjaśnił LOP, „opóźniając proces... czasami o wiele lat. Lecz nie wszystkie włókna obumierają i w końcu zawsze zaczynają się odradzać. I nie jest to możliwe w każdym przypadku: u niektórych choroba rozwija się znacznie bardziej agresywnie niż u innych”.

Marisol miała szczęście, że załapała się na etat - dzięki pracy miała pełne ubezpieczenie. Za dwa i pół tygodnia wyznaczono jej termin pierwszej trutkoterii - w klinice, nie w Szpitalu Miłosierdzia, jeszcze nie tam. Ale w tym czasie, o ile ściślej jej perła złączy się z resztą ciała?

Starszy pasażer był zbyt zgarbiony, by móc sięgnąć

górną poręczą. Z niecierpliwym, pełnym niesmaku westchnieniem młody mężczyzna w pięcioczęściowym garniturze wstał ze swego miejsca, ustępując go starszemu. Chory na wpół usiadł, na wpół upadł na fotel.

Jego guz był jak kula armatnia, wystrzelona w niego, wbita głęboko, lecz do połowy stercząca przez skórę. Odpychał luźny kołnierzyk, ukazując część siebie nielicznym gapiom, głównie dzieciom. Większość w ogóle na niego nie patrzyła. Nie była to rzadka przypadłość. W Punktown istniały gorsze rzeczy i na większość z nich ludzie także woleli nie patrzeć.

Był jednak większy niż kula armatnia, większy niż różowa kula do kręgli, ciśnięta z góry wprost w galaretowate ciała. Z łatwością dorównywał rozmiarami piłce do koszykówki. Marisol widziała w sieci zdjęcie nieżyjącej kobiety w kostnicy, nagiej, z brzuchem wielkim jak w ciąży. W istocie był to guz, niemal całkiem wolny od skóry, błyszczący, gładki, wręcz piękny, twardy jak kość. I mógł ważyć około stu kilogramów. Większość chorych nie żyła wystarczająco długo, by ich guzy osiągnęły takie rozmiary. Dzięki Bogu.

Nagle pojęła, że ów mężczyzna nie może poruszać lewą ręką; trzymał ją zgiętą w łokciu, przyciśniętą mocno do piersi. A co pół minuty jego język wysuwał się spomiędzy warg. Miażdżący ciężar przygniatał rdzeń kręgowy, lecz większość poważnych szkód pozostała na poziomie mikroskopijnym.

Stary człowiek uniósł wzrok i spojrzał na Marisol.

Miał bardzo zmęczone oczy. A choć był taki stary, z guzem widocznym dla wszystkich, podczas gdy jej pozostawał niewidzialny, i był mężczyzną, a ona kobietą, rozpoznali wyraz swych oczu jak w lustrzanym odbiciu.

Uśmiechnął się do niej ze współczuciem. Uśmiech ów był równie straszny jak słowa lekarza. Marisol, przynajmniej w tej

chwili, odrzuciła myśl o jakimkolwiek łączącym ich pokrewieństwie. Oderwała od niego wzrok. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, krzyczeć, lecz była zbyt odrętwiała, zupełnie jakby jej układ nerwowy został już przechwycony i przeprogramowany i nie miała nad nim kontroli.

Technik, który przeskanował ją przed pierwszą sesją trutkoteraapii, był dość młody i przedstawił się Marisol imieniem Jay. Jay Torray.

- Jak można się tym zarazić? - spytała, leżąc na stole skanera, ubrana jedynie w zwiewną białą koszulkę, przez którą mógł przeniknąć skaner Jaya. Przez którą on także mógł przeniknąć wzrokiem. Ujrzy wszystko, co kryje się pod jej skórą. Jej wnętrze. Głos załamał się jej lekko. Wolałaby, żeby Jay nie był taki przystojny. Przy nim czuła się bardzo brzydka. Zobaczy jej gnijące jądro. Nawet najseksowniejsze wargi powiększone na reklamach szminki, w oczach Marisol wydawały się pomarszczone i ohydne, niczym odbyt słońia.

- Jeszcze tego nie ustalili - odparł, stając obok jej bosych stóp i dostrajając konsolę skanera. - Ale nie ogranicza się do ras ludzkich. Po raz pierwszy wystąpił u Anulów. W istocie lekarz, który będzie dziś nadzorował twoją sesję, pochodzi z Anula. Oni najlepiej znają się na walce z tą chorobą.

- Niektórzy twierdzą, że to Anulowie ją sprowadzili. Że to ich wina.

- Cii. - Jay uśmiechnął się do niej przez ramię. - Lepiej skończ z tymi uprzedzeniami. Czytałaś zbyt wiele teorii spiskowych w sieci.

- Podam ci zatem jeszcze jedną - rzekła. - Niektórzy uważają, że to tajna broń obcej rasy.

- Nie. W większości przypadków działa zbyt wolno. Zbyt nierównomiernie rozprzestrzenia się w populacji. To nie może być biobroń. - Machnął ręką w stronę jej stóp. - Podobają mi

się twoje paznokcie. - Na wszystkich, stóp i dłoni, umieściła zdjęcia swych oczu - prawego na prawych palcach, lewego na lewych. Najnowsza moda. - Ale trochę się denerwuję, że tak na mnie patrzysz - zażartował. Zakrył dłońmi palce jej stóp, jakby chciał zasłonić owe niemrugające oczy. Potraktowała to jak zaproszenie do flirtu i ów gest wzbudził w niej zarówno podniecenie, jak i rozpacz.

- Niektórzy ozdabiają swe guzy, kiedy przebijają się przez skórę - powiedziała Marisol. - Malują je. Jakiś rok temu widziałam faceta, który narysował na swoim twarzy.

- To musi im pomagać radzić sobie z tym. Traktują je jako żart. Odrobina humoru pomaga znieść brzemię.

- Tak? Osobiście uważam, że to chore.

Jay usiadł, by rozpocząć skanowanie. Przesłaniał go ekran, tak że Marisol nie mogła go zobaczyć. Spróbowała unieść głowę, on jednak uprzedził ją, by się nie ruszała. Zresztą to, co dostrzegła przelotnie, i tak w jej oczach nie miało sensu. Czy to jej komórki, czy komórki kanwy guza? A może jedno i drugie, splecione na poziomie cząsteczkowym, niczym ogniwa łańcucha w plątaninie jej organizmu.

- Czy twój LOP przepisał ci już różki? - spytał Jay, nie oglądając się.

- Tak. Jedną dziennie. - To była pigułka barwy różowej jak guz, nazywany potocznie tkaczakiem, tak jak pająk snujący swą misterną sieć. W pigułce kryła się niewielka dawka tej samej trucizny, którą anulski lekarz wsaczy w jej ciało po tym, jak Jay dokończy skanowanie. - Cokolwiek to da - dodała.

Wolałaby nie mówić z taką goryczą. Uzna ją za ponuraczkę. A potem spytała samą siebie, czemu w ogóle obchodzi ją jego opinia. Jakie są szanse na to, że zainteresuje go chora kobieta? I jakie na to, że ona pozwoli mu na to zainteresowanie?

- Warto spróbować wszystkiego, co może pomóc, nawet odrobinę. - Technik obrócił się i uśmiechnął do niej. - Proszę. Teraz pošlę wyniki doktorowi Faldowi. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Natomiast ja mam pytanie. Lubisz filmy?

- Filmy?

- Miałem nadzieję, że wybierzesz się ze mną na jakiś. - W jego uśmiechu pojawił się cień zakłopotania. - Wiem, że to niezbyt profesjonalne z mojej strony, ale... Zrozumiem, jeśli odmówisz.

Wniknął do jej wnętrza, ujrzał nasienie zepsucia, którego nawet ona nie dostrzegała, a mimo to ją zaprosił.

Odkryła, że słabym, niepewnym głosem, lecz bez wahania odpowiada, że chętnie.

Podczas sesji trutkoteraapii Marisol spała. I śniła.

We śnie wędrowała na bosaka po olbrzymiej fabryce, ubrana jedynie w cienką szpitalną koszulę. Podążała za olbrzymią taśmą produkcyjną, pracą naprzód niczym rzeka, przecinającą kolejne komory fabryki, skłębione obłoki tryskającej z zaworów pary, brzęczące i bzyczące ściany i pogrążone w ciemności korytarze, w których zalegała cisza niczym w podziemnym labiryncie grobowców. Na początku powoli przesuwającej się taśmy nadzy ludzie stali w kolejce i wchodzili na nią kolejno, po czym kładli się na wznak, łącząc stopy i układając ręce wzdłuż boków. Niektórzy wyglądali normalnie, lecz u większości wzbierały pod skórą guzytkaczaki, czasem bezkrwawo wyłaniające się z ciała, tak że widziała twarde, gładkie powierzchnie, połyskujące niczym emalia w rozchylonej muszli.

Taśma wiozła ich ciała naprzód, w miejsce, gdzie gilotynowe ostrza śmigały z obu stron, odcinając im głowy.

Wszystko wokół - taśmy, podłogę, ściany - pokrywały rozbryzgi, eksplozje krwi. Lecz żadna z osób zbliżających się do rozkołysanych ostrzy nawet nie próbowała uciec, a pozbawiane głów ciała nie wzdrygały się, nie poruszały. Zupełnie jakby uczestników tej procesji oszołomiły różowe pigułki, które wręczono im, gdy czekali w kolejce.

Bezglowe ciała trafiły do zamkniętej sali, do której Marisol nie mogła zajrzeć. Szła zatem dalej wzdłuż zakrytej taśmy, drepcząc po wąskim pomoście, bo podłoga pod jej stopami zniknęła, opadła gdzieś głęboko w mroczną otchłań. Przed sobą ujrzała białe bryły, wylatujące z wyrzutni i lecące w pustkę. Gdy się zbliżyła, odkryła co to jest: bezglowe, pozbawione krwi trupy. W każdym wywiercono czarną dziurę, tyle że w poszczególnych zwłokach ziały w różnych miejscach. Czasem były maleńkie, czasem przypominały rozległy krater. Nim Marisol ujrzała taśmę wylaniającą się spod pokrywy, pojęła, co wydobyto z owych dziur.

Teraz, na opłukanej z krwi taśmie, w miejscach ciał spoczywały guzy - niektóre tak małe, że niemal niewidoczne, inne zbyt wielkie, by dało się je objąć oburącz. Oceniała, że jeden musiał ważyć co najmniej tyle, co ona. I wszystkie były idealnie gładkie i okrągłe - czy można sobie wyobrazić coś doskonalszego? - lśniące różowe, z białymi smugami przypominającymi cirrusy.

Podłoga powróciła. Marisol zeszła z pomostu i nadal podążała śladem taśmy, aż w końcu ta znowu znalazła się pod przykryciem. Z wnętrza dobiegł ogłuszający chrzęst i zgrzyt, tak piskliwy, że wyobraziła sobie, że wkrótce z jej uszu popłyną strużki krwi. Mimo zasłony powietrze zasnuła mgielka drobnutkiego, różowego pyłu. Marisol nie zdołała się osłonić, wciągnęła go w usta. Wiedziała, że pokrył cieniutką warstewką płuca.

Taśma zmierzała szybko w stronę końcowego przystanku,

przecinając masywy głośnych, wibrujących maszyn...

Na końcu pasa stała kolejka nagich osób, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, ludzi i nie ludzi. Marisol ściągnęła przez głowę koszulę i dołączyła do końca kolejki. Obróciła twarz, znów obserwując taśmę w miejscu, gdzie wylaniała się z ostatniej maszyny. Zobaczyła, co niosła teraz, ostateczny produkt: rozłożone w równych odstępach maleńkie różowe pigułki. Podobnie jak pozostali kolejkowicze, wyciągnęła rękę, chwyciła jedną, wsunęła do ust i połknęła.

Gdy tylko pigułka wylądowała w żołądku, Marisol poczuła wyrastający z niej gąszcz pędów i zrozumiała, że taśma jednak się tu nie kończy. Po prostu zamyka krąg, równie doskonała w swym kształcie jak guzy. To było niekończące się błędne koło.

Stojący przed nią osobnik nie był człowiekiem. Różowy odcień skóry i koścista czaszka w kształcie młotka świadczyły, że to Anul. Obrócił głowę, by spojrzeć na nią z góry. Guz, który przebił mu się przez ciało na ramieniu, wielki jak głowa, obrócił się w swym gnieździe, jakby on także na nią patrzył.

- Panno Nunez? - rzekł.

- Tak? - odparła sennie, lekko unosząc powieki. Ujrzała nad sobą twarz doktora Falda.

- Skończyliśmy sesję. Jak się pani czuje?

- Zmęczona - poskarżyła się.

- Jakiś czas może tu pani zostać, dojść do siebie. Potem zjawi się pielęgniarka, która pomoże pani wstać i wyjść z kliniki.

Doktor Fald, wbrew wizji z narkotycznego snu, nie miał guza. Ponieważ nigdy dotąd nie widziała z tak bliska Anula, jego twarz, wisząca tuż nad nią, wzbudziła w niej niepokój: miała ochotę ją odepchnąć albo przynajmniej znów zamknąć

oczy. Wielka głowa stwora, podtrzymywana przez dwie cienkie szyje, przypominała łeb rekina młota, tyle że bez oczu po bokach; właściwie w ogóle nie miała widocznych oczu. U podstawy owej masywnej, kościstej konstrukcji pokrytej cienką, błyszczącą różową skórą otwierały się wielkie, pozbawione warg usta, wypełnione rzędami przerośniętych trzonowców, wyszczerzonych stale w uśmiechu, jak u czaszki. Pozaświatowiec nie przypiął do fartucha translatora, lecz Marisol miała w czaszce zwykłą kość tłumaczącą, niemal telepatycznie rozszyfrowującą jego mowę.

- Jak poszło? - wybełkotała.

- Cóż, wydaje się, że dobrze, ale nigdy nie ma pewności, panno Nunez... Kule to tajemniczy przeciwnik. Lecz trucizna powinna opóźnić jej rozwój.

- Czy są już może blisko wynalezienia leku, doktorze?

- Badania postępują powoli. Ale proszę nie tracić nadziei.

Utrzymamy panią przy życiu, dopóki nie znajdą leku.

Trupi grymas stał się szerszy, jakby naprawdę miał oznaczać uśmiech. Marisol nie chciała już go oglądać. Zamknęła oczy.

- Dziękuję, doktorze.

- Religia Anulów głosi, że wszyscy niewierzący zostaną strąceni w otchłań - oznajmiła Marisol.

- Wszystkie religie tak twierdzą - odparł Jay, przeżuając liść miejscowej choomskiej sałaty. Przybrano ją chrupkimi czarnymi chrząszczami. Marisol odmówiła ich skosztowania.

- Czytałam o niej w sieci.

- Już od paru lat współpracuję blisko z Faldem. Traktuje mnie bardzo dobrze.

- Nie sugeruję... - zawiesiła głos.

- Nie sugerujesz czego?

- Że nie miałyby być miły.

Jay jeszcze chwilę przeżuwał w milczeniu, zupełnie jakby się jej przyglądał. Marisol zastanawiała się, czy zerka na jej szczękę, czy widzi maleńką kulkę, napierającą na skórę. Przysięgłaby, że w ciągu tygodnia, od czasu ich pierwszej randki, zdążyła się powiększyć. Oparła się pokusie sięgnięcia ku niej i sprawdzenia.

- Nie mów mi, że czytałaś w sieci tę miejską legendę - rzekł Jay.

- Jaką miejską legendę?

- Ty mi powiedz. Tę o Anulach... i tkaczakach?

Marisol pogrzebała widelcem w swej sałatce cesarskiej, nie patrząc mu w oczy.

- Coś czytałam. To było zeznanie naocznego świadka.

- Jedynie plotki. Oparte na bigoterii... ksenofobii. Wiem, o czym mówisz. Wiedziałem, że to czytałaś...

Uniosła wzrok. W jej wielkich oczach zapłonął ciemny ogień.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Jay. Skąd wiesz, że to nieprawda?

- Przepraszam, Mar, ale to przecież śmieszne. Poza tym czytałem kilka wersji, różniących się jedynie szczegółami. Parę razy w roku dostaję masowe mejle. Zawsze opowiadają o kobiecie albo mężczyźnie dość bogatym, by umówić się z niesamowicie dobrym specjalistą z Anulu. Anul jest tak zręczny, że umie usunąć tkaczaka, nie zabijając nosiciela; nie może przyrzec, że guz nie odrośnie, ale przynajmniej ofiara zyskuje sporo czasu. Kiedy pacjent budzi się po operacji i sesji trutkoteraapii, jest sam, idzie zatem do gabinetu lekarza, by go poszukać, jego bądź asystenta. Otwiera drzwi i widzi pomieszczenie przypominające kostnicę. Leży tam parę przykrytych zwłok i jedno odsłonięte. Martwa kobieta, czy w innych wersjach mężczyzna, ma w miejscu usuniętego guza dziurę, a nad nią stoi anulski specjalista - przyłapany na

gorącym uczynku. W ręce trzyma spory guz. Pacjent nie wie, czy to jego własny, czy też pochodzi z trupa. Ale jedno jest pewne - anulski lekarz odgryzł kawał kuli i teraz miażdży ów kęs swymi wielkimi zębami, z okropnym... paskudnym... zgrzytem. - Jakby podkreślając te słowa, przeżuł liść sałaty.

- Mówiłam już: nie nabijaj się ze mnie, Jay. To nie jest zabawne. Może gdybyś sam miał guz, podchodziłbyś do tego bardziej serio, jak ja. Może byłbyś bardziej otwarty na różne historie - jego pochodzenie, jak robi to, co robi, czemu nie można usunąć go poprzez teleportację, jak...

Jay przestał się uśmiechać i sięgnął ponad stolikiem, chwytając jej drobną, bladą dłoń.

- Marisol... przepraszam. Wierz mi, nie uważam tego za żart. Naprawdę.

- Sprowadzili go Anulowie. Skąd wiemy, że nie zrobili tego specjalnie?

- Jako źródło pożywienia? Przykro mi, ale to nie miałyby sensu, Mar... Oni także na to chorują. I nie wiemy na pewno, czy to oni przywlekli chorobę.

Marisol oplotła palcami jego dłoń.

- Jay... wiesz, że wcześniej czy później mój stan się pogorszy. Trucizna jedynie spowalnia rozwój guza, a poza tym nie zawsze działa. Nie wiemy, ile czasu dzieli nas od odkrycia leku. - Nerwowo przełknęła ślinę. - Co będziesz do mnie czuł później? Kiedy urośnie? Przebije się przez skórę?

Desperackim gestem ucisnął jej rękę.

- Będziemy z tym walczyć, Mar. Zaufaj mi. Będę cię chronił.

- Chronił? Jak miałbyś mnie ochronić i przed kim? Przed doktorem Faldem?

Jay wypuścił dłoń Marisol i wbił wzrok w stół, jakby nie mógł znieść jej widoku. Zgarnął na widelec chrząszcza, lecz nie uniósł do ust.

- Masz może długopis? - wyszeptał.
- Długopis? Tak... Czemu?
- I papier? Mogę też użyć serwetki.
- Mam papier. Chwileczkę. - Położyła na kolanach torebkę.

Kiedy wyjęła z niej pisak i notes i wręczyła Jayowi, ten pochylił się nad nim w skupieniu i zaczął szybko pisać, stawiając drobne, ciasne litery. Wolną ręką, niczym małym murem, osłaniał słowa przed jej oczami.

Czekając, Marisol powiodła wzrokiem po sąsiednich stolikach. Zauważyła patrzącą na nią kobietę Tikkihotto i znów zapragnęła zasłonić ręką szczękę. Kobieta Tikkihotto przypominała z wyglądu człowieka, tyle że z obu jej oczodołów wyrastał rozkołysany gąszcz przejrzystych macek. Czy pozwalały jej widzieć to, czego nie dostrzegają inni?

Marisol poczuła, jak Jay podsuwa jej pod rękę notes. Wzięła go, odwróciła i zaczęła czytać. Jay Torray napisał:

Nie mogę powiedzieć nic głośno, bo wsadzili mi do głowy chip. Chip słyszy co mówię, oni słyszą także. Przestań zażywać pigułki, które dał ci LOP. To albo placebo, albo coś, co przyspiesza rozwój guza. Mam inne, które będziesz łykać. Skutecznie powstrzymują rozwój guza. Ale nie możesz powiedzieć o tym nikomu, albo oboje znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Marisol wyrwała kartkę, schowała do kieszeni i napisała:

O kim ty mówisz? Z kim pracujesz? Masz na myśli Falda?

Jay odczytał pytania i odpowiedział, bazgrząc:

Nie mogę ci powiedzieć. Ale to wielka sprawa. Lekarstwa i terapie to ogromny zarobek dla pewnych osób. Na inne choroby istnieje zbyt wiele leków - nikt nie może się wzbogacić, jeśli nikt nie choruje. To przemysł śmierci. Nie pytaj o nic więcej. Po prostu weź pigułki, które dam ci jutro...

i wyrzucić tamte, nim twój guz rozrośnie się za bardzo. Mogę mieć tylko nadzieję, że sesja u Falda była prawdziwa. Że nie pogorszył jeszcze sprawy.

Marisol odczytała ostatnie słowa z szeroko otwartymi ustami i spojrzała na Jaya przepętnionymi lękiem i gniewem oczyma. Napisała szybko, niezgrabnie:

Pozwalasz im robić to innym i nie ostrzegasz ich tak jak mnie, prawda?

Na to Jay już nie odpowiedział.

Na widekranie domowego desktopa Marisol ujrzała twarz pielęgniarki doktora Falda, panny Banal. Ona także była Anulką, z wyglądu nie różniła się od swego szefa niczym, łącznie z szerokim uśmiechem. Nieważne, co mówił Jay, Marisol z łatwością mogła wyobrazić sobie owe zęby miażdżące skostniałą bryłę guza.

- Czyli chciałaby pani przełożyć następną wizytę, panno Nunez?

- Nie. Chcę ją odwołać.

- Ale to za sześć miesięcy. Czy mogę spytać, czemu rezygnuje pani z kolejnego badania?

- Spodziewam się do tego czasu opuścić Oazę. Wracam na Ziemię.

- Ach. Cóż, doktor Fald ma na Ziemi znajomego, doktora Olada. Dokąd dokładnie pani wraca?

Marisol przez chwilę przetrawiała te słowa. Czyli na Ziemi także?

- Na razie wolę nie umawiać się na konkretną datę. Jeśli zmienię zdanie, zadzwonię.

Zanim pielęgniarka zdążyła zaprotestować, Marisol zerwała połączenie.

Spróbowała znów wywołać Jaya. Nie odpowiedział, toteż zostawiła kolejną wiadomość. Potem wytrząsnęła z fiolki

jedną z otrzymanych od niego pigułek, którymi kazał zastąpić lek przepisany przez lekarza opieki podstawowej. Ta też była różowa.

Przez pierwsze kilka dni po tym, jak Jay dał jej pigułki, Marisol nie miała ochoty się z nim widywać. Owszem, wyznał jej prawdę... zaufała jej. Faktycznie, starał się ją chronić. Ale myśl, że gdyby owego pierwszego dnia nie zgodziła się z nim umówić, to zapewne by jej nie ostrzegł, budziła w niej niesmak. I oburzenie, że nie uprzedził nikogo innego...

Nadal jednak ją pociągał. A poza tym... nowe pigułki kiedyś się skończą. Skoro nim mógł kierować egoizm, to nią także.

W sieciowej gazecie, którą prenumerowała, przeczytała informację o podejrzanym osobniku, widzianym w holu apartamentowca, w którym mieszkał Jay Torray. Intruzem okazał się Vlessi. Vlessi byli odrębną, choć spokrewnioną z Anulami rasą, pochodzącą z tego samego świata; niewiele o nich wiedziano, lecz krążyły pogłoski, że to rasa wampirów. Kiedy współlokator Jaya odkrył jego ciało, okazało się pozbawione krwi. Zabójca odciął też głowę i umieścił jak dekorację na blacie w małej kuchni.

Marisol nie poszła na pogrzeb, w obawie że ten, kto dowiedział się o zdradzie Jaya, będzie tam, czekając, aż ona się pokaże. Czy Jay wyznał coś, nim go uciszyli? Od nastolatka mieszkającego kilka pięter pod nią w tym samym bloku i zajmującego się ponoć nielegalnym handlem bronią kupiła teleskopową pałkę ogłuszającą, którą można było nastawić tak, by zadawała śmiertelne ciosy. Miała ją przy sobie prawie zawsze, zwłaszcza podczas jazdy do pracy w zatłoczonym pociągu, pełnym obcych ludzi.

Niewielkie sumy, jakie pozostawały jej z renty po

opłaceniu czynszu za nowe, maleńkie mieszkanie, wydawała na druk ulotek, które rozdawała każdego popołudnia na stacji znajdującej się najbliżej pensjonatu. Drukowała je na różowym papierze. Często widywała owe różowe karteczki zgniecione w kule, rozrzucone na ziemi wokół spalarek śmieci. Większość osób nie chciała przyjmować wciskanych im ulotek. Większość ludzi omijała ją, nie chciała kazić sobie wzroku tak przykrym widokiem.

Ulotka miała kilka różnych wersji, każdą drastyczniejszą od poprzedniej. Na najnowszej Marisol umieściła zdjęcie odciętej głowy Jaya, ściągnięte ze strony, na której gwoli uciechy gawiedzi zamieszczano fotografie z miejsc zbrodni. Pewna matka upomniała ją ostro za próbę wręczenia owej ulotki małej córeczce.

Kiedy wciąż była piękna - nim skończyły jej się pigułki od Jaya - ludzie czasami zatrzymywali się, by jej posłuchać. Teraz oczy miała równie wielkie i ciemne, choć mniej błyszczące. Lecz przechodnie widzieli jedynie jej kulę i łańcuch. Guz, lśniący jak gałka z różowego marmuru, sterczący z boku szczęki, ścigał na bok głowę pod groteskowym kątem. Przekrzywiona na ramię, przesunęła środek ciężkości ciała tak, że Marisol kuśtykała krzywo. Głos dobiegający z na wpół zgniecionego gardła stał się zdławionym, ochryplym szeptem. Kula była aż nazbyt widoczna; niewidzialny łańcuch oplatał cały układ nerwowy Marisol.

Teraz, stojąc u stóp ruchomych schodów wiodących na ulicę, uznała, że zrobi sobie przerwę. Wepchnęła do plecaka plik ulotek i pokuśtykała do stoiska, żeby kupić butelkę wody. Po drodze wpadła niechcący na stojącego w kolejce mężczyznę; jego dziewczyna, czy może żona, odciągnęła go na bok, sycząc gniewnie.

- Tom, uważaj! To może być zaraźliwe!

W kąciku ust Marisol zatańczył uśmiech, sprawiając, że zadrżał także kącik jej oka. Ludzie byli tacy niedouczeni. Tacy przesądni. Guz to nie dzuma. Był ledwie organiczny, jedynie na powierzchni. To maszyna, pomyślała, wielka, wygłodniała maszyna. Kupiła wodę, lecz gdy tylko odkręciła spoconą butelkę, ta wysliznęła jej się z palców. Marisol jak odrętwiała patrzyła, jak z leżącej między stopami butelki wylewa się zawartość. Stała jak zahipnotyzowana, nie próbując nawet się schylić i jej podnieść. Mężczyzna i jego dziewczyna odeszli szybkim krokiem. Może się bali, że jeśli kałuża zmoczy im buty, zostawi na nich zarazę, niczym ropa z przeciętego wrzodu.

Czyjaś ręka ujęła lekko łokieć Marisol, która się wzdrygnęła. Kto jej dotykał? Czy nie widział, że może się zarazić? Powoli obróciła się ku owej osobie, stojącej tuż za nią i tak wysokiej, że Marisol musiała odchylić głowę niczym dziecko.

- Potrzebujesz pomocy - usłyszała łagodny, kojący głos.

Marisol nie potrafiła określić, czy to owa istota nosiła tłumacza, czy też chip w jej głowie rozszyfrował słowa Anula. Nie wiedziała, czy to kobieta, czy mężczyzna. Ani tego, czy jest lekarzem.

Jak przez mgłę pomyślała o czymś w plecaku, co powinna wyjąć. O czymś, co mogłoby jej pomóc. Wsunęła rękę do środka, jej palce jedynie przez moment zawahały się na tulejowatym kształcie teleskopowej pałki. Potem niepewnie popęzły do pliku ulotek. Wyjęła jedną z nich... podała Anulowi.

Ten przyjął ulotkę bez słowa i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Może pójdziesz ze mną? - zaproponował.

Marisol nie protestowała. Nie odezwała się, nie stawiała oporu, gdy różowoskóra istota poprowadziła ją w dal.

SEZON NA SKÓRY

Płaszczki, jak nazywano owe wielkie stworzenia, miały malachitową skórę, pokrytą zakrętasami zieleni i czerni i połyskującą gładko. Antse zdzierali ją z ich trucheł w garażach z ceramicznych cegieł bądź hangarowatych budowlach o dachach ze złomu. Ich jasnożółta krew spływała ulicami do ścieków i zasychała w rynsztokach, gdy sezon na skóry dobiegał końca.

Kohl raz jeden patrzyła, jak grupa Antse chwytła płaszczkę; potem już nigdy więcej nie była w stanie tego oglądać. Obrzmiące kijankowate stworzenie przywołano z jego wymiaru do tego w sposób, którego nie rozumiała. Lecz przecież sami Antse przybyli do tej ziemskiej kolonii z tego samego miejsca, sąsiadującego z naszym światem. Nim całe ciało płaszczyki przeszło na tę stronę, Antse zdążyli wbić w jej boki haki, przewlec przez nią sznury, dźgnąć zębatymi metalowymi pikami najróżniejsze otwory ciała, które trzepotały i parskały z bólu i strachu, podczas gdy łowcy z donośnym łupnięciem ściągnęli na ziemię resztę ciała, szarpiącą się dziesięć stóp w powietrzu nad pustą ulicą. Wielkie stworzenie zwijało się, wymachując na oślep kilkoma sznurowatymi przednimi kończynami, lecz Antse wykończyli je szybko, nie naruszając zbytnio lśniącej skóry.

Teraz, kiedy na ulicy w dole chwymano płaszczkę, Kohl zaciągała zasłony i włączała muzykę, by zagłuszyć odgłosy rzezi; jakąś wesołą, szybką, bliskowschodnią melodię, odciągającą myśli od tego co się działo na dole. Trudno jednak było uniknąć widowiska towarzyszącego sezonowi na skóry, zwłaszcza w tej dzielnicy Punktown, bo tu właśnie tłumnie gromadzili się Antse. Nad ulicami ciągnęły się sznury, na

których, niczym pranie, wisiały wielkie płachty malachitowych skór, szeleszczące w powiewach nocnego wiatru i roztaczające wokół woń przypominającą zapach smoły - być może naturalną, być może wynik procesu garbowania. W ukośnych promieniach słońca jaśniały półprzejrystą, soczystą zielenią. A potem Antse nakładali je na siebie, przyczepiając w sposób, którego Kohl nigdy nie widziała ani nie pojmowała, tak że zazwyczaj gładkie, szare ciała nagich osadników całkowicie pokrywały obcisłe, lśniące skóry płaszczynek. Wówczas Antse upodobniali się do szkieletów rzeźbionych z malachitu, aż do chwili, gdy z nieznanых przyczyn - zakładała, że zapewne religijnych, bo to zazwyczaj najlepiej tłumaczyło większość niezrozumiałych zachowań - przybysze zdzierali je bądź zrzucali w oczekiwaniu na kolejny sezon.

Uczciwość kazała jej założyć, że może owe skóry ogrzewały ich podczas zimy w ich własnym świetle, choć tutaj sezon na skóry przypadał latem. Ale kukły musiały mieć znaczenie religijne. Nawet teraz, z filiżanką herbaty w dłoni i słuchając grającej cicho muzyki, Kohl stała w oknie i spoglądała na jeden z owych mięsnych manekinów, kołyszący się na wczesnowieczornym wietrze. Zwisiał z tyczki wystającej z okna na piętrze, tuż nad głowami maszerujących w dole przechodniów. Teraz, gdy nadszedł sezon na skóry, w dzielnicy pojawią się ich dziesiątki. Była to figura antropomorficzna w zarysach, zszyta z przejrzystego białego ciała, kryjącego się pod piękną skórą płaszczyki. I owszem, Antse zjadali to białe mięso. Choć sama Kohl nie jadła mięsa ani nie nosiła zwierzęcych szczątków, wiedziała, że ów zwyczaj nie jest czymś charakterystycznym wyłącznie dla Antse. Jednakże manekiny stanowiły dla niej większą tajemnicę niż wdziwanie skór płaszczynek: Antse, choć nie skrywali przed obcymi owoców swoich zwyczajów,

zazdrośnie strzegli swych tajemnic. Owe wiszące totemy wypełniały grube ćwieki i długie, cienkie gwoździe i oplatały pasma czegoś przypominającego drut kolczasty. Były niczym święci męczennicy, wyrzeźbieni z podbrzusza samego Boga.

Ptaki lądowały ostrożnie pośród lasu okrutnych cierni, by się posilić. Bezpańskie psy znajdowały kawałki mięsa na ulicach. A kiedy kukły zanadto się rozpadły bądź zaśmiardły, zastępowały je nowe, aż do zakończenia sezonu na skóry

Kohl przyjrzała się postaci wiszącej naprzeciw jej okna, która wyglądała, jakby patrzyła na nią czarnymi ćwiekami wbitymi w miejscu oczu.

Wszędzie w sąsiedztwie tłoczyły się ciasno budynki we wszystkich odcieniach szarości. Ich spowite mrokiem nocy ściany połyskiwały od deszczu, by zapłonąć nagłą bielą w stroboskopowym rozbłysku iskier starych lin tramwajowych, po których przemykały wagoniki z i do centrum handlowego Canberra. Kohl wróciła właśnie do domu jednym z owych tramwajów - pracowała w kawiarni w centrum. Jej ubranie zbyt mocno pachniało kawą; nigdy nie sądziła, że będzie mieć dosyć owego zapachu. Wzięła prysznic, zaparzyła sobie herbatę (nigdy nie wyobrażała sobie także, że zbrzydnie jej smak kawy). Ledwie było ją stać na owe cztery małe pokoje (łącznie z łazienką) w tej okolicy, choć kiedyś zarabiała znacznie lepiej - była researcherką sieciową wielkiego konglomeratu z główną siedzibą na Ziemi. Doskonale pamiętała swoją pracę. Nie pamiętała natomiast tego, jak zgwałcono ją na firmowym parkingu. Wiedziała tylko tyle: że zgwałcono ją na firmowym parkingu. Po gwałcie pozostał jej trwały szok. Winnych nigdy nie złapano. Tak bardzo ją to dręczyło, tak się bała opuścić mieszkanie, wyjść wieczorem, nawet pójść do pracy, że ją straciła.

- I bardzo dobrze - zapewnił ją lekarz, do którego się w

końcu zwróciła. Powinna zacząć życie od nowa, pozostawić za sobą wszystkie dawne koszmary. A tak naprawdę to usunął je z jej głowy. Atak został delikatnie i precyzyjnie wypalony z pamięci. Lekarz usunął całe podwątki myślowe, wynikające z owego zdarzenia, wyśledziwszy je dokładnie za pomocą szczegółowych skanów mózgu. Zniknęły nawet wspomnienia ran fizycznych, toteż nie wiedziała, jak owi mężczyźni zranili ją podczas gwałtu.

Ponownie stanęła przy oknie, znów z herbatą, w szlafroku, patrząc na deszcz ściekający po szybie. Z odległego centrum handlowego wyprysnął tramwaj i eksplozja iskier oświetliła fasadę kamienicy naprzeciwko. Kukła gapiała się na nią; ćwieki w ciele, które w blasku iskier wydawało się niemal świetliste, odcinały się jeszcze głębszą czernią. A potem zniknęła niczym duch i Kohl się cofnęła, puszczając zasłonę. Odstawiła herbatę i rozpięła szlafrok. Przyglądała się swemu ciału. Gładkie, białe, z samotną blizną pępka, niewielkim zgrabnym zagłębieniem, przypominającym ślad po głębokim ukłuciu.

Co jej zrobili owi niewidzialni mężczyźni? W jakim stopniu ją naprawiono? Z głośników sączył się cichuteńko jazz. Kohl znów sięgnęła po herbatę i zawróciła do łazienki, gdzie z lustra zniknęła powoli zasnuwająca je para. Z tafli spojrzęło na nią jej odbicie. Mokry gąszcz ufarbowanych na ciemną czerwień włosów... Woda zmyła gruby czarny makijaż, który Kohl tak lubiła, i własne oczy wydały jej się nagie, słabe, wyblakłe. Czemu farbowała włosy i malowała wargi ciemnobrązową szminką? Czy lubił to jej mąż, uważał za pociągające? Wszystkie wspomnienia o nim zniknęły, ale czy to możliwe, by skanowanie i wypalanie pozostawiło jakieś wskazówki, ślady związku? Czy lubi pewnego reżysera dlatego, że mąż pokazał jej jego dzieła? Może nawet jazz, którego słucha, pochodzi z kupionego przez niego chipa?

Próbowała sobie przypomnieć chwilę zakupu i odkryła, że nie potrafi.

Za oknem przejechał tramwaj. Pograżony w mroku świat rozblił, a potem znów pociemniał, jak za opadającą powieką.

- Uwielbiam tutejszy zapach - oznajmił klient za plecami Kohl szykującej mocha cappuccino; w jego głosie dźwięczał uśmiech. Postawiła przed nim kubek, wybiła cenę na kasie. Całą resztę wrzucił do kubka na napiwki, zupełnie jakby chciał jej zaimponować. - Niewielki dziś ruch, prawda? Pewnie wszyscy siedzą w domach i oglądają mecz.

- Mecz? - powtórzyła bez cienia zainteresowania Kohl.

- Nieważne. - Mężczyzna zachichotał. - Dokładnie tak samo o tym myślę. Zdecydowanie wolę poczytać. - Uniósł książkę, pochodzącą z księgarni znajdującej się kilka sklepów dalej. - Lubisz książki?

Kohl odgarnęła z twarzy splątany kosmyk włosów i natychmiast tego pożałowała, mężczyzna bowiem mógł uznać to za zalotny gest.

- Czytam w sieci - odparła beznamiętnie.

- Oj... nie czujesz zapachu papieru. Nie możesz wyciągnąć się w wannie z...

- Czasami to robię; mam wizjer.

Ugryzła się w język; nie powinna rozmawiać o swym życiu prywatnym. A zwłaszcza o czynnościach wiążących się z nagością. Na szczęście w kawiarni zjawiała się nowa klientka i zaczęła przeglądać torebki ze świeżymi ziarnami. Kohl modliła się, by kobieta szybciej podeszła do lady.

- Cóż. - Młody mężczyzna westchnął, zabierając kawę. - Czas ruszać do domu, nim skończy się mecz i pijacy wylegną z barów. Lepiej uważaj dziś wieczorem.

- Dzięki - rzuciła.

Każdego wieczoru uważała, wychodząc z centrum i

czekając na tramwaj. Kupiła okulary noktowizyjne, wyglądające jak zwykle przeciwsłoneczne, a w torebce nosiła pistolet.

Odprowadziła mężczyznę wzrokiem, nieco zaskoczona, że zrezygnował z flirtu, nie próbując umówić się na randkę. Czy onieśmieliło go przybycie nowej klientki, czy może od początku nie zamierzał próbować? Może po prostu chciał być miły. I choć zaledwie minutę temu Kohl z niechęcią przyjmowała jego zainteresowanie, teraz ze zdumieniem odkryła, że czuje lekki zawód. Był nawet atrakcyjny. Niewątpliwie inteligentny i zapewne wrażliwy.

Ale czy jej mąż także taki nie był, skoro pociągały ją podobne cechy? A jednak z czasem musiał ukazać jej swą mroczniejszą stronę. Może ją zdradził, zaczął pić? Bił ją? Nawet zgwałcił? Musiał boleśnie ją zranić, skoro wróciła do lekarza i zapłaciła za usunięcie wszelkich wspomnień o mężu, a wcześniej rozwiodła się z nim, wyrzuciła wszystkie zdjęcia i filmy, zmieniła nazwisko i przeprowadziła się do nowej dzielnicy, gdzie obcy imigranci nie uważali jej za atrakcyjną, mimo rudych włosów i brązowych warg. Tu nikt jej nie niepokoił.

Kohl czuła się urażona, zraniona, że mężczyzna tak łatwo stracił zainteresowanie, a może w ogóle go nie czuł. Lecz bez wątpienia tak było najlepiej.

Godzinę później zamknęła kawiarnię. Usiadła na ławce w głównym holu, czytając kolorowe pismo. Młoda kobieta z głową przekrzywioną na bok pod ciężarem wielkiego guza, zwanego tkaczakiem, zatrzymała się, żeby wręczyć jej ulotkę. Gdy Kohl odeszła dość daleko, cisnęła kartkę do spalarki śmieci. Obok przeszła grupka nastolatków. Spojrzeli na nią, mlaszcząc głośno. Wsunęła dłoń do torebki, nie przerywając lektury. Na szczęście jednak zjawił się robot ochrony, powgniatany i pokryty graffiti, i potoczył się za chłopcami,

każąc im iść dalej. Kohl wypuściła z palców śliską od potu kolbę.

Siostra się spóźniała, ale w końcu się zjawiała: śliczna Terr o grubych czarnych brwiach i idealnie ukształtowanej głowie, pokrytej zaledwie ciemnym meszkiem. Ucałowała lekko Kohl i ruszyły razem przez powoli pustoszące centrum.

- Zdrajczyń. - Kohl skinieniem głowy wskazała kubek kawy w dłoni Terr; nie pochodził z jej sieci.

- Przepraszam, nie mogłam czekać.

Spytała, jak postępują przygotowania do ślubu siostry. Jej narzeczony wydawał się bardzo miły: atrakcyjny, wrażliwy, artystyczna dusza. Kohl martwiła się o siostrę, ale bała się w jakikolwiek sposób zdusić jej entuzjazm. Wolałaby tylko, żeby знаła go nieco dłużej.

- Co u ciebie? - spytała z kolei Terr, wioząc Kohl do restauracji, gdzie zamierzały zjeść późną kolację i wypić parę drinków.

Kohl patrzyła wprost przed siebie, przez szyby na nocne miasto: budynki tak czarne, że wydawały się pozbawione okien, niczym obeliski z litego kamienia, i inne, oświetlone jasno, lecz bynajmniej nie cieplej. Wielka świątynia Tikkihotto w kształcie muszli, wzniesiona z błękitnego kamienia i skapana w blasku błękitnych reflektorów, wydała jej się szczególnie samotna. Miejscowi dziennikarze lubili mówić o fascynującej mieszance kultur w Punktown (choć oczywiście woleli prawdziwą nazwę miasta - Paxton), fascynującym tygłem etnicznym. Kohl uważała, że budynki miasta nie tworzą bogatej, zróżnicowanej gamy, lecz milczącą kakofonię, dysharmonię, podobne do obcych sobie istot, zmuszonych do stania obok siebie.

- Terr - zagadnęła. - Czy lubiłaś mojego męża?

- Jezu, Kohl! - jęknęła Terr. - Jezu!

- No co?

- Chcesz, żebym spowodowała wypadek? - Siostra opanowała się, usiadła sztywniej za sterami. - Wiesz, że nie mogę o nim rozmawiać. Prosiłaś, żebym nigdy o nim nie wspominała... ani o tym drugim! Zapłaciłaś słono za zabiegi. Czemu w ogóle pytasz?

- Sama nie wiem. Po prostu... to mnie dręczy... czasami.

- Dręczyło cię, kiedy wiedziałaś, dlatego właśnie chciałaś zapomnieć. Najpierw gwałt, potem jego. Cierpiałaś i chciałaś uwolnić się od bólu. Teraz zaczynasz składać swe życie do kupy, więc proszę, nie cofaj się.

- Po prostu czasem jestem ciekawa. Jak mogłabym nie być? Czy on wciąż mieszka w mieście? Pytał cię kiedyś, gdzie jestem? Czy zrobił mi krzywdę? Fizyczną?

- Zamknij się, Kohl. Robię tylko to, co ci obiecałam, więc się zamknij.

- Tylko jedno, Terr. Proszę. Czy on robił mi krzywdę? Fizyczną?

Terr pokręciła głową.

- Proszę, Terr. Tylko to jedno.

- Nie. Nie fizyczną. W porządku? Zadowolona? Nie fizyczną.

- W takim razie jaką? Dlaczego od niego odeszłam? A może on odszedł ode mnie? Może nie traktował mnie źle, tylko dobrze, co? Może dlatego chciałam go zapomnieć... bo tak bardzo go kochałam.

- Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. Nieważne, czy go lubiłam, czy nie, czy żyje, czy umarł. Chciałaś tego i dałam ci słowo, to wszystko. Nie spoglądaj wstecz. Przeszłaś oczyszczenie, możesz zacząć od nowa. Powinnaś skupić się na odzyskaniu dawnej pracy albo zaskarżyć tych drani. Zapomnij o gwałcie i małżeństwie.

- Byłam jego żoną dwa lata, wcześniej spotykaliśmy się przez rok. Straciłam trzy lata. Z tamtych czasów pamiętam

pracę, ale nie jego. Pamiętam zabiegi, które przeszłam u dentysty, ale nie jego. To po prostu... dziwne, Terr.

- Na pewno. Ale nie tak dziwne, jak przeżycie gwałtu.

Kohl milczała kilka chwil. A potem znowu zaczęła:

- Czasami próbuję sobie przypomnieć. Czasem myślę, że przypomni mi piosenka albo zapach, albo...

- To niemożliwe. Wspomnienia nie powrócą, nie czekaj na nie. Wydarzenia odciskają się fizycznie w mózgu. Twój mózg fizycznie zmieniono, by je usunąć. Nigdy sobie nie przypomnisz, jasne? Wszystko zniknęło, jak gdyby nigdy się nie wydarzyło. I tak być powinno. To najbliższe cofnięciu się w czasie i naprawieniu wszystkiego. Kiedyś, gdy będę miała dość forsy, sama chciałabym cofnąć się i usunąć parę bolesnych wspomnień. Nie całego tatę, tylko chwile, gdy ze mnie szydził; bywał w tym prawdziwym sadystą. I trochę wydarzeń ze szkoły. - Terr pokiwała głową. Blask z tablicy rozdzielczej oświetlał jej skupioną twarz. - Dobrze jest zapomnieć. Życie za bardzo boli.

- Wiem - ustąpiła Kohl. - Po prostu... to dziwne uczucie mieć... takie dziury. Trzy lata. Nawet... nawet gwałt. To coś ważnego, co mnie spotkało.

Terr spojrzała gniewnie na siostrę.

- To coś strasznego, co cię spotkało! Niczego cię nie nauczyło, niczego nie zyskałaś. Nie potrzebujesz tego, więc zapomnij, słyszysz? Zapomnij!

- To dziura. Czasami fakt, że nie wiem, jak to było, wydaje mi się jeszcze straszniejszy. Czasami wyobrażam sobie jeden koszmar, potem inny. Z moim mężem także. Próbuję zapełnić lukę, i to mnie przeraża.

- Lekarz nie rozwiąże wszystkiego. Reszta zależy od ciebie. Nie starasz się dość mocno. Musisz żyć dalej i nie oglądać się za siebie. Wiesz chyba, że tata często wyśmiewał się też z ciebie. Pewnie to zaszkodziło twojej samoocenie.

Powinnaś się cofnąć i pozbyć tego wszystkiego. To mogłoby pomóc, wiesz?

- Wtedy nie miałabym prawdziwych wspomnień o tacie! Tylko ocenzonej wersji.

- Byłyby takie jak powinny - wymamrotała Terr.

- Pamiętam, jak w dzieciństwie biłyśmy się i zaczęłaś mnie dusić, aż w końcu nie mogłam oddychać i strasznie się przeraziłam. Może to także powinnam wykasować, co?

- Byłyśmy dziećmi! - warknęła Terr. - Ale jeśli nadal cię to dręczy, to jasne, bardzo proszę.

- Niewiele by mi zostało - mruknęła Kohl. - Tyle czasu tracimy na sen. Mam wrażenie, że straciłam go jeszcze więcej.

- Złego czasu. Nie potrzebujesz go. Tak jest lepiej. Prawda?

Kohl patrzyła na księżyc obniżający się nad iglicami i obeliskami zębatych konturów miasta. Jego tarcza wyglądała jak placek, z którego ktoś odgryzł potężny kęs.

Kohl wprowadziła się do tej dzielnicy pod koniec zeszłorocznego sezonu na skóry. Teraz z ulgą stwierdziła, że tegoroczny niemal dobiegł końca. Zaczął się parę miesięcy za wcześnie, ale odgadła, że Antse mają po prostu krótsze lata. Z rynsztoków zniknęła krew, nie zastępowali już kukieł nowymi: ostatnie zostawili na pastwę żywiołów, czekając, aż się pomarszczą, rozpadną i zeschną w promieniach gorącego słońca.

Teraz chętniej wybierała się na przechadzki po okolicy. Pewnej niedzieli zapuściła się wczesnym wieczorem aż do marketu na rogu. W drodze powrotnej przystanęła przed jednym z budynków. Zatrzymywała się tam już wcześniej.

To była stara, rozsypująca się ceglana konstrukcja, wzniesiona przez Choomów, rodowitych mieszkańców Oazy sprzed kolonizacji. Jednakże pośród jej cegieł sterczała

skamielina nie pochodząca z czasów starożytnych. Było to zmumifikowane ciało Ziemianina; wypadek podczas teleportacji sprawił, że biedak częściowo złączył się z szarymi cegłami.

Nad jego głową widniała wymalowana strzałka, niczym znak pokazujący położenie czekającej na naprawę magistrali. Jakby ktoś uznał, że należy zwrócić uwagę na jego obecność. Nikt jednak się nie zjawił, żeby zabrać bądź usunąć widoczną połówkę zwłok. Ubranie w większości podarło się już bądź przetarło. Stracił też jedną dłoń - zapewne ukradły ją rozbawione dzieciaki, tak jak te, które namalowały sprajem genitalia w miejscu jego własnych, zasuszonych.

Cała prawa strona ciała, od szczytu głowy aż po stopę, zniknęła w ścianie. Połowa głowy złała się z nią tak, że pozostał jedynie oczodół i połówka pozbawionego warg grymasu. Kilka kosmyków siwych włosów falowało w leniwych podmuchach letniego wietrzyku.

Kohl wyciągnęła rękę i lekko dotknęła ramienia mężczyzny, jakby chciała dodać mu otuchy w samotnym, milczącym cierpieniu. Potem rozejrzała się nerwowo i zobaczyła samca Antse, obserwującego go z okna ceglanego budynku. Jego twarz była tak blisko, a głęboko zapadnięte oczy wpatrywały się w nią z takim napięciem, że się wzdrygnęła. Nie potrafiła poznać po wyrazie owej szkieletowatej twarzy, mieniącej się spiralami zieleni i czerni, czy był zaledwie ciekaw, czy też jej sentymentalny gest wzbudził w nim okrutne rozbawienie. Widząc jednak, że go zauważyła, cofnął się natychmiast, jakby zawstydzony. I mimo że należeli do radykalnie odmiennych ras, ów nerwowy gest sprawił, że Kohl zaczęła się zastanawiać, czy może ukradkiem jej nie podziwiał.

Myśl ta wstrząsnęła nią. Pospieszyła szybko do mieszkania, by zdążyć, nim zrobi się ciemno.

- Witam ponownie - rzekł przystojny młody mężczyzna, pochylając się nad ladą. Czyżby czekał przed kawiarnią na moment, kiedy w środku nie będzie nikogo? - Mogę prosić mocha cappuccino, powiększone?

Kohl uśmiechnęła się słabo i odwróciła do niego plecami. Niechętnie.

Zjawił się tutaj już trzeci raz w tym miesiącu. Za drugim razem ucieszyła się w duchu na jego widok. Ale potem, gdy zamienili kilka słów i wyszedł, pojawiły się wątpliwości. A nawet lęki.

Co, jeśli znał ją sprzed leczenia? Krótko mówiąc: co, jeśli to jej mąż, któremu udało się ją znaleźć, wytropić? Jej mąż, który w jakiś sposób dowiedział się, że ona go nie rozpozna. Mąż odnajdujący perwersyjną satysfakcję w ponownym zalecaniu się do byłej żony, zupełnie jakby czynił to po raz pierwszy; pragnący jej pokazać, że nie zdoła tak łatwo mu uciec...

Jej wzrok powędrował ku torebce leżącej na tylnym blacie. W środku tkwił pistolet. Gdyby spróbował wejść za ladę...

- Co teraz będziemy czytać? - spytała, stawiając przed nim kawę.

- Zbiór opowiadań dwudziestowiecznego pisarza, Yukio Mishimy. - Mężczyzna pokazał jej książkę. - Popełnił samobójstwo poprzez rytualne wypatroszenie.

- Błę. - Kohl zachichotała nerwowo, przyjmując pieniądze. - Cóż, miłej lektury.

- Też powinnaś go przeczytać. Jest świetny. - Rytualne wrzucenie drobnych do kubka na napiwki. - No cóż, do zobaczenia następnym razem, co?

- Jasne. Cześć.

Kohl odprowadziła go wzrokiem. Tego wieczoru

zamknęła kwadrans wcześniej, pobiegła do księgarni i kupiła tom opowiadań Mishimy. Zaczęła go czytać jeszcze w tramwaju. W środku mogły kryć się jakieś wskazówki, które chciał jej przekazać nieznajomy. Coś, co mogło ujawnić jego prawdziwą tożsamość, zamiary.

To, czy był jej mężem. A może nawet jednym z gwałcicieli z parkingu...

- Tak. Pamiętam - rzekła do widefonu, prawą ręką z roztargnieniem obracając kartki zbioru opowiadań Mishimy. - Doktor Rudy informował mnie o możliwości zarejestrowania wspomnień, na wypadek gdybym zmieniła zdanie... za dodatkową opłatą. Ale w owym czasie nie sądziłam, bym kiedyś tego pragnęła. Wolałam oszczędzić pieniądze i...

- I zdecydowała się pani nie zapisywać owych wzorów - dokończyła recepcjonistka doktora Rudy'ego. Odwróciła twarz od ekranu, przebiegając wzrokiem sąsiedni monitor.

- Właśnie - potwierdziła Kohl. - Ale miałam nadzieję... Zastanawiałam się, czy może jednak i tak nie rejestruje się owych zapisów i nie przechowuje jakiś czas po zabiegu, na wypadek gdyby ktoś zmienił zdanie. - Spróbowała zażartować: - Albo gdyby mu je zmieniono.

- Nie, przykro mi, ale doktor Rudy tego nie praktykuje. A poza tym, nawet gdyby, minął już rok od pani pierwszej sesji. Ale nie... - Kobieta odwróciła się z powrotem, patrząc na Kohl. - Właśnie sprawdziłam i nie widzę niczego, co wskazywałoby na to, żeby zarejestrował usunięte wspomnienia. Przykro mi.

Kohl uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie szkodzi. Tak naprawdę nie sądziłam, by to zrobił. Po prostu się zastanawiałam. Tak czy inaczej, dziękuję.

- Przykro mi, że nie mogłam pomóc.

- To nie ma znaczenia. Dziękuję raz jeszcze. - Nacisnęła

przycisk i twarz kobiety zniknęła, zastąpiona wygaszaczem ekranu.

Teraz Kohl zaczęła przeglądać książkę Mishimy uważniej. Jedno z opowiadań - „Patriotyzm” - opisywało szczegółowo i boleśnie podwójne samobójstwo - zwane shinju - japońskiego oficera i jego żony, a zwłaszcza jego wypatroszenie; Kohl niemal wyobrażała sobie, że Mishima pisał to, rozpruwając własny brzuch i notując kolejne obserwacje. Kiedy czytała tę historię, od obrazów krwawienia i cięcia zakręciło jej się w głowie tak mocno, że musiała na chwilę odłożyć książkę, by uspokoić oddech.

Co chciał jej zasugerować ów młody mężczyzna poprzez tę lekturę? Czy rzeczywiście był jej mężem, który ma obsesję na jej punkcie i w końcu zdołał ją wytropić... a teraz proponuje, by wspólnie odprawili ten najdrastyczniejszy akt miłosny? Umarli złączeni w rytuale shinju?

Kohl ponownie uniosła wzrok do ekranu widefonu, na którym tańczyły smugi barw. Czy recepcjonistka sprawdziła wszystko dokładnie? Może Kohl powinna porozmawiać z doktorem Rudym osobiście?

A co, jeśli Rudy zatrzymał zapisy do celów prywatnych? Dla własnej rozrywki? Może właśnie w tej chwili ogląda noc poślubną Kohl i jej męża, widzianą jej oczami?

A może ogląda gwałt na parkingu i znajduje w nim podniecie?

Ta myśl tak bardzo ją przeraziła, że aż się wzdrygnęła. Ale przecież mężczyźni tacy właśnie byli. W anonimowych ankietach przyznawali otwarcie, że gwałciliby kobiety, gdyby sądzili, że ujdzie im to płazem. To była ich najczęstsza fantazja seksualna. Mężczyźni łaknęli, mężczyźni konsumowali. Ponownie pomyślała o zapatrzonym Antse w oknie, jego twarzy, będącej twarzą wszystkich mężczyzn, pozbawionej kłamliwego ciała, fasady cywilizacji, tak że

pozostały jedynie puste oczy i uśmiech Śmierci.

Zapadła noc. Kohl puściła muzykę. Zaparzyła herbatę. Podeszła do okna.

Jutro wróci do pracy i jak zawsze będzie miała przy sobie pistolet - choć ostatnio zamiast w torebce zaczęła go nosić w kieszeni sukienki. A jeśli w kawiarni znów zjawi się młody mężczyzna, wyceluje w niego i zażąda, by powiedział, kim jest naprawdę.

Jeśli to gwałciciel, strzeli mu w twarz. A jeśli jej mąż, strzeli mu w serce, a potem zrobi to samo ze sobą, bo shinju znaczy „w sercu”. Wówczas złączą się z mężem ponownie i na zawsze w śmierci. Staną się jednością.

Za oknem przejechał tramwaj. Rozbłysk iskier oświetlił na sekundę mięsnego stracha na wróble wiszącego w oknie naprzeciwko, teraz ledwie rozpoznawalnego; tłumoczek poszarpanych strzepów, które wkrótce odpadną.

ZWIĄZKOWY PIES

Ziemska kolonia Paxton - przez mieszkańców niezbyt czule nazywana Punktown - stanowiła tygiel, w którym przetapiały się zbrodnie i zbroczenia tysiąca planet i kilkunastu różnych wymiarów, a bar „Krzywy Uśmiech” był żywym przykładem tego bogactwa.

Kelnerka, która w zasnutym gęstą parą wnętrzu owego tygla przyniosła dwóm mężczyznom ich bańki gazu anodynowego, okazała się człowiekiem dopiero, gdy stanęła tuż nad nimi. Wcześniej zwiódły ich geometryczne implanty pod skórą, rozciągające jej twarz i zamieniające ją w wielofasetkowy klejnot z żywej tkanki. Jedynie oczy zachowały resztkę naturalnej symetrii. Ale też miała jeszcze sporo czasu na eksperymenty.

Bez wątpienia nie zadziałał na nią urok obrzmiałej, zniszczonej i skażonej urody Yolka, bo jego rany były naturalne, nie stanowiły artystycznych deformacji. Yolk pracował jako związkowy pies; większość obrażeń - zarówno psychicznych, jak i pozostałych - odniósł podczas zamieszek, które przekształciły się w Wojnę Związkową. Walczył po stronie robotników, był odznaczony medalami bohaterem. Był zatrudniony w Paxtońskiej OWP - Organizacji Współpracy Pracowniczej - i w uznaniu dawnych zasług związek zapewnił mu szkolenie detektywistyczne. Od tego czasu jednak minęło dwadzieścia lat. Yolk nie był już gorąckrwistym, natchnionym młodym gniewnym. Pozostał w nim tylko gniew... a i on był doprawiony przejmującym znużeniem. Dwadzieścia lat w Punktown mogło pozbawić entuzjazmu nawet najsilniejszego altruistę, a Yolk nigdy nie był świętym, jedynie zwykłym robolem z naturalnym

poczuciem sprawiedliwości. Z drugiej strony, może i nie było to takie zwyczajne... a sprawiedliwość była naturalna.

Obok, przy stoliku siedział Scurf, informator z syndy. Reszta zniszczeń na twarzy i duszy Yolka pochodziła od nieustannej walki z powstrzymaniem wpływów syndy w OWP. Dzięki tej walce zyskał sobie wielu wrogów w związku i nie mógł liczyć na dalsze wyrazy uznania oraz rozwój kariery. Osobiście nie znosił syndy, przydawały mu się jednak usługi Scurfa, choć za samym facetem też nie przepadał.

Wtrysnął sobie w głąb gardła cienką stróżkę gazu i zakasłał lekko.

- Mów dalej - mruknął.

- Mów dalej - powtórzył Scurf. - Dobra, już dobra. Chodzi o to, że... słyszałem, że w Zakładach Krysoptycznych Mangaudisa na Placu Przemysłowym dzieją się dziwne rzeczy. Odwiedzałeś je kiedyś?

- Sześć lat temu, w sprawie niebezpiecznych materiałów zagrażających personelowi. Wezwaliśmy agentów Wydziału Zdrowia i dowaliliśmy im grzywnę. Typowe łajno. Mów dalej.

- No, nikt nie mówił dokładnie, ale obito mi się o uszy, że pracownicy tak naprawdę nie kontrolują procesów produkcji. Wygląda na to, że obecnie to zwykła kukła.

Yolk pokiwał głową; z każdym rokiem stawało się to coraz powszechniejsze. Od czasu Wojny Związkowej wszystkie ziemskie kolonie na Oazie musiały wprowadzić w życie przepis stanowiący, że w fabrykach i zakładach produkcyjnych roboty i procesy w pełni automatyczne nie mogą przewyższać liczby żywych robotników, chyba że w wyjątkowo niebezpiecznych warunkach.

Cóż, producenci znaleźli wiele sposobów na obejście tego nakazu. Czasem pilnowali, by warunki faktycznie stawały się zbyt niebezpieczne, częściej jednak udawali przed inspektorami związkowymi, że dwa lub trzy procesy to w

istocie jeden. Zdarzało się, że choć pracownicy z pozoru kierowali maszynami, w istocie pracowali przy atrapach - albo przynajmniej nie działających tablicach kontrolnych prawdziwych automatów - i niczego nie produkowali. Niektórzy byli tego świadomi, inni harowali w błogiej niewiedzy. W kilku zakładach Yolk natknął się nawet na robotników, którzy grali w karty, drzemali, oglądali VT: w sumie nie robili nic prócz wypełniania narzuconego organicznego parytetu. Powód był prosty: często bardziej opłacało się, by w fabrykach żywi robotnicy robili niewiele, a produkcją zajmowały się automaty.

Wziąwszy pod uwagę etykę, trudno było w takich okolicznościach ścigać właścicieli i karać grzywną. Ale w razie ich dowiedzenia, wiele owych sztuczek uznawano za złamanie przepisów związkowych. Często też się nie udawało, na przykład, gdy dwa bądź trzy procesy tak sprytnie łączyły się ze sobą, że w istocie stanowiły jeden. Zatrudnianie ludzi do zmiatania w automatycznej fabryce przez dwie godziny i grania w karty przez sześć uważano za „niewłaściwe wykorzystanie robotników, ograniczające ich wartość jako jednostek, członków społeczeństwa oraz członków związku”. Fabryka zatem otrzymywała karę, a robotnicy zmiatali odtąd pełne osiem godzin. Nowi, dumni robotnicy.

Yolk jeszcze dwa razy wstrzyknął sobie gaz, a potem pożegnał się szorstko ze Scurfem i przelał mu na konto pięćdziesiąt miednostek z karty związkowej. Po to właśnie dostał tę kartę. Niech władze same opłacają się syndy.

W drodze do schodków wiodących na ulicę Yolk minął alkowę pełną nastolatków, zaśmiewających się i głośno coś bełkoczących. Gdyby zwracali większą uwagę na otoczenie, mogliby zacząć z niego szydzić, zadufani w swej młodości - póki Yolk nie ściągnąłby jednego z fotela i nie pchnął z całych sił z powrotem. Podpalali gaz tryskający z ich gruszek i

używali go jako minipalników, sprawdzając, kto najdłużej wytrzyma bolesny dotyk płomieni na przedramieniu. Przegranii musieli opróżnić swoje gruszki jednym strzałem w głąb gardła. Czy można ich uznać za masochistów, skoro byli zbyt naćpani, żeby odczuwać ból?

Nieświadomie sikali też w gacie: Yolk wyczuł znajomy smród. Towarzyszącym im dziewczynom widać bardzo zaimponowały te wybryki: demonstrowały, że chłopak poważnie podchodzi do wszelkich przyjemności.

- Idioci - mruknął Yolk, wspinając się po stopniach.

Yolk nie potrzebował nakazu - Zakłady Krysoptyczne Mangaudisa, jako firma uznająca związki, musiały być przygotowane na przyjęcie inspektorów technicznych i śledczych bez uprzedzenia. Dzięki temu producenci nie mieli czasu na szybką zmianę nieetycznych praktyk. Yolk zatem spotkał się z żoną Vita na lunchu w salonie biurowca przy Corporation Avenue w dzielnicy biznesowej, gdzie pracowała, a potem pojechał wprost na Plac Przemysłowy, oddalając się od centrum miasta. Jego irytacja, podsycona jeszcze wizytą w „Krzywym Uśmiechu” nieco osłabła po godzinie spędzonej z żoną. Vita była jego najlepszą przyjaciółką i najjaśniejszym punktem jego życia. Ładna, bardziej seksowna niż ładna i jeszcze bardziej urocza. Trudno uwierzyć, by kogokolwiek z dzielnicy biznesowej dało się uznać za uroczonego, czy wręcz seksownego, ona jednak stanowiła klejnot i był za nią niewypowiedzianie wdzięczny. Trzy lata po ślubie. W ciągu czterech lat znajomości zdołała nawet odkryć i wykopać skamieniałe szczątki jego duszy. Któregoś dnia wpadnie pod lotowóz kierowany przez nagazowanych smarkaczy, pomyślał. Była za dobra, by przeżyć.

Budynek Mangaudisa wyglądał z zewnątrz standardowo. Nie imponował ogromem, przypominał wielkie secesyjne

radio. Yolk przedstawił się w recepcji i pokazał odznakę. Po minucie zjawiała się szefowa personelu. Ucisnęła mu dłoń, przedstawiła się jako Nancy Moore.

Panna Moore była ładna i atrakcyjna, lecz jej wymuszony uśmiech odstręczał Yolkę równie mocno, jak udawana gościnność i zainteresowanie w głosie. U takiej kobiety długie nogi w czarnych nylonach stanowiły jedynie symbol i były dla niego równie seksowne, jak idealnie skrojony garnitur męczyzny na tym samym stanowisku. Yolk nie cierpiał kierowników personelu.

- Dziś rano otrzymałem anonimową informację, dotyczącą możliwego naruszenia przepisów pracowniczych, chciałbym zatem dokonać obchodu waszej firmy. Może pani wezwać zarządcę?

- Przykro mi, panie Yolk, pan Cobb jest właśnie na dwutygodniowym urlopie.

Cobb - Yolk przypomniał go sobie sprzed sześciu lat. Mały, skorumpowany alkoholik, skurwiel, który uważał wszystkich za zbyt głupich, by umieli przejrzeć jego oczywiste kłamstwa i oszustwa - innymi słowy, głupiec. Przekupni działacze związkowi ułatwiali życie nieetycznym przedsiębiorcom.

- W takim razie proszę wezwać pana Mangaudisa... jeśli on też nie jest na urlopie.

- Nie jest. - W głosie panny Moore zadźwięczało lodowate oburzenie jego bezczelnością. - Zaraz go wywołam.

- Pójdę z panią - oznajmił Yolk.

Nie ma sensu ryzykować, że go zatrzymają i ogłoszą alarm w fabryce, wzywając drzemiących ludzi z powrotem na udawane stanowiska.

Mangaudis zjawiał się natychmiast. Miał na sobie piękny grafitowy garnitur i był tak samo przystojny, jakim Yolk go zapamiętał, z atrakcyjną siwizną na skroniach. Lecz na tle

szerości blada skóra wyglądała jak bezkrwista kreda. Nieskazitelną elegancją i miękkością głosu prezesa upodabniały go w oczach Yolka do robota, manekina. Nie potrafił sobie wyobrazić ani krztyny koloru u tego człowieka, nawet wewnątrz niego. Mangaudis powitał detektywa mocnym, przyjaznym uściskiem dłoni i upiornym uśmiechem. Jego oczy nie wyrażały niczego.

- Gdzie pan usłyszał, że naruszamy związkowe zasady, panie Yolk? W naszej fabryce pracuje świetny zarządca, który...

- Tak, znakomity. Dziwię się, że moi ludzie nie wykopali tego drania do rynsztoka po tym, co się zdarzyło sześć lat temu.

- Niewielki wyciek, panie Yolk... Takie rzeczy zdarzają się co dzień.

- Podobnie jak gwałt i morderstwo. Pamięta pan może waszą pracownicę, nazywała się, ach... Clora... - Yolk zapomniał, jak brzmiało jej nazwisko. - Była na miejscu, kiedy zdarzył się wasz drobny wyciek. W zeszłym roku natknąłem się na nią w foyer teatru. Nie umiem zapomnieć twarzy, zwłaszcza gdy jej połowa jest spalona, a ofiara nie otrzymała odszkodowania dość dużego, by pozwolić sobie na pełną rekonstrukcję.

- Panie Yolk, z całą pewnością to nie ja spryskałem jej twarz, a co do odszkodowania, musi się pan zwrócić do naszego dawnego ubezpieczyciela. Nie współpracujemy już z tą firmą. Przejdźmy, proszę, do rzeczy... O co chodzi?

Teraz, gdy paskudny uśmiech zniknął z twarzy Mangaudisa, gość podobał się Yolkowi znacznie bardziej.

- Niech pan mi powie.

- Nie mam co mówić.

- W takim razie chciałbym dokonać z panem obchodu całego zakładu.

- Jak pan sobie życzy. Bez wątpienia znajdzie pan coś zasługującego na grzywnę. Ostatecznie związek musi na czymś zarabiać, by móc płacić dawnym bohaterom, takim jak pan.

Yolk zdecydowanie wolał takiego Mangaudisa: otwarcie wrogię, który nie udawał już sympatii. Może jednak pod skorupą krył się żywy człowiek.

- Może gdybyście zeszłym razem hojniej przekupili agentów Wydziału Zdrowia, nie wymierzyliby wam tak dużej kary. Ale też stracone pieniądze to stracone pieniądze, nieważne, dokąd w końcu trafiają.

- Radzę, by uważał pan na swoje oskarżenia, panie Yolk... są niezbyt profesjonalne... Uprzedzam też, że nagrywam tę rozmowę do celów prawnych.

- Znakomicie. Tyle że nie może pan wykorzystać niczego, co powiedziałem przed uprzedzeniem mnie o tym fakcie. To co, zaczynamy?

- Oczywiście. Tędy. Ruszyli w głąb korytarza.

Yolkowi zdawało się, że częściowo pamięta tę fabrykę. Zwiedzał jednak tak wiele zakładów, że trudno mu było przypomnieć sobie obrazy sprzed sześciu lat. Ubrane na białę kobiety w średnim wieku, z siatkami na włosach, takimi jak u pracownic stołówek, za pomocą komputerowych ekranów wzmacniających sprawdzały soczewki. Żywi pracownicy nie byli tu niezbędni. Ale też, gdzie tak naprawdę byli? Gdyby nie Wojna Związkowa, cała fabryka z pewnością zostałaby zautomatyzowana. Yolk kilka minut przyglądał się kobietom, jego wyczulony wzrok chłonał każdy szczegół. Uprzedził Mangaudisa, by nie opisywał mu zasady działania maszyn, chyba że go spyta. Wolał polegać na własnych, nieskażonych obserwacjach. W razie konieczności będzie mógł później wezwać podległych mu inspektorów technicznych.

Dział spedycyjny nie wymagał uważniejszej kontroli, jak

zawsze. W podobnych fabrykach, w nim właśnie zatrudniano większość żywych robotników.

- Ile osób tu pracuje? - spytał Yolk, zaglądając do stołówki. Była pusta; nikt nie grał w niej w karty.

- Siedemdziesiąt pięć - odparł z dumą prezes firmy. Następnie podał dane o przestrzeni roboczej, liczonej w stopach kwadratowych, a także liczbę poszczególnych procesów mechanicznych, określonych wedle definicji związkowych.

Yolk obrócił się i obdarzył go krzywym uśmiechem.

- A ile z tych osób to pracownicy biurowi?

Oczy Mangaudisa zwięzły się odrobinę.

- Piętnaścioro. Ale nadal pozostaje sześćdziesięciu żywych robotników.

- I to właśnie o nich pytałem, nie o gryzipiórków. Z tych sześćdziesięciu, ile osób pracuje w spedycji, a ile zmywa podłogi i zmienia papier toaletowy?

- Osiem w spedycji, dwie w obsłudze nietechnicznej.

- Zatem macie pięćdziesięciu operatorów maszyn. Prawdziwych robotników.

- Nadal zgodnie z przepisami związkowymi, inspektorze Yolk. Mamy dokładnie sto zdefiniowanych przez związek procesów mechanicznych, co oznacza, że dla połowy jest wymagany nadzór ludzki. - Mangaudis położył nacisk na słowo „wymagany”.

Yolk uniósł rękę.

- Chodźmy.

W szerokim korytarzu minęli dwa sunące nad ziemią roboty. Stanowiły trzon głównej ekipy technicznej. Doglądały potrzeb swoich braci. Ten z głową pozdrowił skinieniem Yolka, który jednak nie odpowiedział. Nie urazi jego uczuć.

- Przed sobą mamy pewne innowacyjne rozwiązania, panie Yolk. Coś nowego. Mój własny pomysł... rzecz jasna

wprowadzony w życie przez naszych fantastycznych projektantów; część z nich zatrudniłem specjalnie do tego celu.

Yolk odniósł wrażenie, że Mangaudis próbuje go ugłaskać, przygotować na coś niezwykłego. Korytarz doprowadził ich do dużej okrągłej sali. Yolk natychmiast rozpoznał to miejsce: to tutaj sześć lat temu doszło do niebezpiecznego wycieku odpadów. Teraz zamieniło się w szalony cyrk.

Przed sobą miał nie tyle żywe istoty kierujące maszynami, ile dziwną symbiozę maszyn i organizmów.

- Co to jest, do diabła? - syknął.

Mangaudis obdarzył go upiornym, bezkrwistym uśmiechem. Nie był po prostu dumny, pysznił się.

Mężczyzna maszerował po bieżni podłączonej do jednej z maszyn. Wyglądał jak szczur biegnący w kole, a jego ruchy obracały wielkimi zębatkami. Maszynę pokrywały kolorowe światełka i ekrany komputerowe. Stanowiło to dziwaczne połączenie nowoczesnej techniki z rozwiązaniami z epoki Rewolucji Przemysłowej. A obok stały podobne konstrukcje - aparat do wiosłowania podłączony do jednego procesu, rower do drugiego. Dwóch umięśnionych, spoconych nastolatków w białych koszulkach bez rękawów na zmianę pchało w dół i w górę ciężką huśtawkę, jak w staroświeckiej drezynie. Mężczyzna stał i obracał czymś w rodzaju wskazówek zegara, wysokich jak on sam.

- Zupełnie pan oszalał - warknął Yolk. - To najbardziej oczywiste kukły, jakie w życiu widziałem.

- Ach, w tym właśnie piękno całego systemu, panie Yolk. Wyglądają na atrapy, prawda? Ale nie są nimi. Z całego serca zachęcam, by zaprosił pan waszych najlepszych inżynierów, niech zbadają każdy proces. Tu do wszystkiego niezbędna jest praca żywych mięśni. Bez niej nic by nie działało.

Yolk rozejrzał się ponownie, wszedł dalej. Młoda Choomka, rodowita, humanoidalna mieszkanka planety, obdarzyła go szerokim, delfinim uśmiechem. Leżała wygodnie na maszynie do wiosłowania, oglądając VT z ekranu wbudowanego w aparat. Widząc gest Yolka, zdjęła słuchawki.

- Nie męczysz się? - spytał ostro.

- To nie wymaga zbytnej siły. Poza tym wymieniamy się co kwadrans. Utrzymujemy formę. To świetny, nowatorski pomysł, prawda? Nazywamy go Siłownią.

Yolk obejrzał pomieszczenie. W wielkiej sali naliczył dwadzieścia trzy osoby. Zadźwięczał dzwonek i większość robotników przeniosła się na sąsiednie stanowiska. Niektórzy odpoczywali w niewielkim barku obok. Podczas pracy wielu oglądało VT bądź słuchało muzyki czy rozmawiało. Niektóre procesy wymagały pewnego wysiłku, ale większość nie. Jedno z urządzeń przypominało drążek pogo, inne miękki fotel bujany. Yolk uświadomił sobie, że kręci głową. Mangaudis podszedł do niego.

- To szczęśliwi robotnicy, panie Yolk. Dostają uczciwą płacę. Hojne pakiety socjalne. I proszę spojrzeć... wideo, muzyka, kontakty towarzyskie, ciężka praca i wysiłek fizyczny, wszystko w jednym pakiecie. Bardzo innowacyjne, nie sądzi pan?

Yolk zazgrzytał zębami.

- To farsa, Mangaudis. Obrzydliwa, oczywista farsa, a ty popisujesz się nią przede mną. Pewnie nie mogłeś się doczekać wizyty związkowego psa, tak bardzo chciałeś pokazać mu to wariactwo. Robisz głupców z nas i tych ludzi.

- Ci ludzie są bardzo zadowoleni.

- Od jak dawna to trwa? Wykończę za to tego skurwiela, Cobba!

- Cii, panie Yolk. - Mangaudis próbował ująć detektywa za łokieć, ale ten uwolnił się szarpnięciem. - Panie Yolk, nie

naruszamy tu żadnych przepisów. Raz już miałem problemy z waszymi ludźmi. Proszę mi wierzyć, podczas projektowania tej sali bardzo uważałem, by nie naruszyć żadnych reguł związkowych.

- To twoja zemsta na nas, zgadza się, Mangaudis? Oto czym jest. Bardzo pomysłowa... i bardzo paskudna zemsta na wszystkich urzędach, które śmiały ci mówić, jak masz kierować swoją firmą i wydawać swoje pieniądze. Mam rację? A co gorsza, to zemsta na ludziach, do zatrudnienia których cię zmuszamy. Nie jest tak? Nie jest? Drwisz z nas wszystkich, a ich poniżasz. I jesteś tym zachwycony.

- To zadowoleni robotnicy, panie Yolk. Słyszał pan, co mówiła Eti? Lubi pracę w Siłowni. To szczytowe osiągnięcie w zakresie stanowisk pracy. Praca i zabawa w jednym.

- To chory żart i zamierzam z nim skończyć. - Yolk pomaszerował do drzwi; jego długi płaszcz załopotał za nim. W progu jednak odwrócił się na pięcie i przemówił tak głośno, że robotnicy spojrzeli na niego. - To nie siłownia, to izba tortur!

- Ja tego tak nie postrzegam, panie Yolk. Naprawdę.

- To izba tortur duchowych! Zabijacie tu godność ludzi.

- Inspektorze, oskarża mnie pan o skrzywiony fanatyzm, ale uważam, że to pan jest fanatykiem. Proszę posłuchać samego siebie. Tortury duchowe? Minał się pan z powołaniem, powinien pan zostać księdzem bądź poetą. Proszę pogodzić się z faktami, panie Yolk. Pan po prostu nienawidzi techniki.

- Nie nienawidzę techniki, ty oślizły draniu. Jedynie sukinsynów, którzy używają jej przeciw nam.

To rzekłszy, związkowy pies wymaszerował samotnie z fabryki. Mangaudis nie ruszył za nim, by go odprowadzić. Yolk był fanatykiem, i co gorsza, uzbrojonym.

Ściągnięto inspektorów, którzy zbadali Siłownię. Nie postawiono żadnych zarzutów. Żywi robotnicy istotnie generowali moc niezbędną do zasilania maszyn albo w kluczowy sposób pomagali im w funkcjonowaniu. W ciągu następnych tygodni informacje o dochodzeniu w sprawie Zakładów Krysoptycznych Mangaudisa przeciekły do prasy i media opisały Siłownię jako nowatorskie podejście do ludzkiej pracy, cytując dokładnie słowa prezesa firmy. W VT Mangaudis zademonstrował z dumą trzy kolejne stanowiska robocze, przypominające automaty do gier podłączone do najróżniejszych maszyn. Wyjaśnił, że wpadł na nowy pomysł, miniaturowej kręgielni złożonej z jednego bądź kilku torów, a także innych obiektów, zapewniających rozrywkę wśród pozostałych, wymagających wysiłku zadań. Yolk uznał to za atak uprzedzający: Mangaudis nie chciał, by ktokolwiek potraktował Siłownię jak coś w stylu dickensowskiej manufaktury. Którą w opinii Yolka była, niezależnie od tego, jak wiele Mangaudis wprowadził do niej kręgielni, gier wideo czy stołów bilardowych.

„Wyjątkowa wizja ekscentrycznego geniusza”, głosiła okładka magazynu, ozdobiona zdjęciem wyszczerzonego w uśmiechu Mangaudisa, siedzącego na jednym ze stanowisk Siłowni. W upiornym uśmiechu, pomyślał Yolk.

- Daj sobie spokój - poradziła łagodnie Vita. - Zrobiłeś co mogłeś. To chory drań.

- Czuję się jak głupiec.

- Zostaw to, nim to poczucie się wzmocni. Nie zawsze możemy pokonać diabła, ukochany.

- A kiedy w ogóle nam się to udało?

Po pracy usiadł wśród pracowników Zakładów Krysoptycznych w pobliskim barze. Spytał, co naprawdę czują ci z Siłowni.

- No cóż, nie po to chodziłam do szkoły - przyznała ładna

kobieta o ogolonej głowie, która przedstawiła się imieniem Terr. - Zwolnili mnie z ostatniej roboty, więc nie mogę kapryścić. Na razie mam czym opłacać rachunki... i w sumie nieźle się bawię.

- Hej, w czym problem? - Potężnie zbudowany mężczyzna po dwudziestce zaśmiał się, pochłaniający czwarte piwo. - Zmieniamy się na stanowiskach, więc nikt się nie nudzi. Dobrze się bawimy. Nie płacą zbyt wiele, ale też nie za mało. No i proszę popatrzeć, co robimy. Dzięki temu stać nas na substancje zabawowe. - Mężczyzna uniósł szklanekę w toaście.

- I jesteście dumni z tego co robicie? Czujecie się ważni, biegając jak szczury w kółku?

- Hej, to równie ważne jak cokolwiek innego. Co mnie obchodzi duma? Wystarczy, jeśli lubię to co robię. A ty, przyjacielu? Lubisz swoją pracę?

Yolk jedynie spojrzał groźnie na spoconego mężczyznę o czerwonej twarzy i dokończył drinka. Apatyczny kretyn, przeklął w duchu. Jak wy wszyscy. Wasze poníženie obchodzi mniej was niż mnie.

To ignoranci, zaprotestował, broniąc robotników. Zmanipulowani. Sami nie widzą, jak są wykorzystywani...

Sprawa została zamknięta. Yolk czuł wyrzuty sumienia, że nie może zrobić nic więcej i że to on ujawnił istnienie Siłowni. Był pewien, że wkrótce inni zaczną ją naśladować - tutaj i może na innych skolonizowanych światach.

Niecałe trzy miesiące po dochodzeniu w sprawie Zakładów Krysoptycznych Mangaudisa Vita została zamordowana przez dwóch młodych Choomów. Napadli ją w toalecie w metrze, by zdobyć pieniądze na narkotyki.

Byli bezrobotni, powtarzał w duchu Yolk. Może gdyby pracowali w miejscu takim jak zakłady Mangaudisa, nie

musieliby zabijać jego ukochanej dla „substancji zabawowych”. Zakłady takie jak Mangaudisa przynajmniej dawały ludziom pracę. A jego związek bardzo skutecznie pilnował, by tak było, nawet jeśli ich zatrudnienie stanowiło w istocie farsę.

Lecz wszystkie rozpaczliwe argumenty nie powstrzymały go przed zakupem materiałów wybuchowych na czarnym rynku.

Wydał na nie ostatnie cztery pensje. Pięć pakietów materiału podobnego do zielonej gliny, ważących zaledwie pół funta każda. Sprzedawca zapewnił Yolka, że choć prymitywny, ów środek wystarczy do zburzenia całego budynku. Yolk mu podziękował, zastanawiając się, czy nie powinien zastrzelić śmiecia z syndy i odebrać mu kasy. Ale przecież gość wykonywał tylko swoją pracę.

W Zakładach Krysoptycznych Mangaudisa pracowano tylko na jedną zmianę, lecz robot strażniczy - mroczne połączenie zbiornika i owada - krążył tam i z powrotem po holu. Yolk widział go przez lornetkę noktowizyjną, stanowiącą pamiątkę dawnych bitew, z czasów gdy roboty takie jak strażnik oraz wynajęte bandy łamistrajków stanowiły żelazne rękawice na miękkich, białych dłoniach ludzi takich jak Mangaudis. Yolk zaczął przekradać się wokół olbrzymiego, secesyjnego radia niczym partyzant.

Widział, co ma robić. Był bohaterem z Wojny Związkowej i w swoim czasie załatwił sporo fabryk.

Zimne nocne powietrze przyjemnie chłodziło mu skórę i mierzwiło włosy. W swym bólu czuł się żywy. Znów młody. Oklejał zwiniętymi wałeczkami wybuchowej gliny podstawę budynku, w jednym miejscu wcisnął kulkę w wylot rury. Nie potrzebował przewodów: to był inteligentny materiał, jego umysłem na poziomie ameby i stabilnością sterowały specjalne kody radiowe z małego nadajnika, który trzymał

w kieszeni płaszcza.

Gdy zużył całą glinę, powrócił ukradkiem do stojącego w oddali samochodu i usiadł, opuszczając szybę. Pociągnął łyk piwa. Przez parę minut marzył, że Vita - niezwykła Vita, klejnot wśród kobiet - siedzi obok niego. Ale nie. Był sam.

Ich to nie obchodzi, pomyślał. Robotników z Siłowni. Tych błaznów. Tresowanych, bezmyślnych małp. Nie obchodzi ich, że Mangaudis z rozmysłem robi z nich durniów. Po to, by zagrać na nosie władzom związku i samym robotnikom. Jak bardzo obchodziło to związek? Dostawał opłaty... i tylko to się liczyło. To tylko kolejna organizacja, prawda? Jak zalegalizowany syndy. Czemu zatem on miałby się tym przejmować? Jeśli to zrobi, zostanie przestępcą. Wojna Związkowa dobiegła końca. Nastąpiły leniwe, apatyczne, bezmyślne czasy pokoju. Vita zawsze była dumna z jego poczucia sprawiedliwości i uczciwości.

- Jesteś jak złote jajko - żartowała.

Będzie przestępcą...

Ich to nie obchodzi, powtórzył w myślach. Zarabiają na swoje rozrywki. Czują równie nikły wstyd jak śmiecie, którzy zabili Vitę, by zdobyć pieniądze na rozrywki. Nie obchodzą ich nawet oni sami, a co dopiero całe społeczeństwo. Nie mogą szanować innych, skoro nie szanują siebie.

Urządzenie tkwiło w jego dłoni, kciuk lekko dotykał przycisku. Yolk czuł się jak człowiek zastanawiający się nad zmianą kanału VT, szukający celu dla swej rakiety...

Ich to nie obchodzi. Wracaj do domu. Rób, co możesz w związku. Realistycznie patrząc, nie możesz liczyć na nic innego. Musisz pogodzić się z własnymi ograniczeniami. Jak mówiła Vita, nie zawsze da się wygrać z diabłem.

Yolk uruchomił silnik.

Tak, wracaj do domu. Pokaz ogni sztucznych nie ożywi Vity. Nie zmaże upiornego uśmiešku ze wszystkich

bezkrwistych twarzy. Wóz uniósł się dwie stopy nad ziemię. Wracaj do domu i tyle. Ich nie obchodzi, że Mangaudis chce się na nich zemścić.

Lotowóz przepłynął cicho przez pusty parking, wydostając się na cichą ulicę. Poruszona jego przejazdem pusta butelka po winie odtoczyła się na bok...

A może ja także chcę się na was zemścić? - powiedział w myślach do robotników Yolk. Bo was to nie obchodzi. A ja mam potąd przejmowania się wami.

Obejrzał się przez ramię i wycelował małe urządzenie.

I noc zapłonęła na krótko jego gniewem... dopóki nie zjawily się automatyczne wozy strażackie. Paru niepotrzebnych strażaków-ludzi popijało kawę, patrząc, jak roboty gaszą pożar.

WAKIZASHI

Na ścianach celi L'leweda wisiały powiększone wydruki zdjęć jego trzech ofiar. Soko wpatrywał się w nie, czekając, aż sam L'lewed wynurzy się ze swego pojemnika niczym leniwy dzinn, niemający ochoty opuszczać lampy.

Jedno zdjęcie przedstawiało pulchną, młodą kobietę z rasy ludzkiej, leżącą na brzuchu w wysokiej trawie zapuszczonego parku. Miała na sobie jedynie skarpetki. Na drugim plakacie widniała naga kobieta skulona na boku, jakby spała w kojarzącym się z jaskinią wylocie kanału odpływowego w tym samym parku. Na trzecim było widać jedynie twarz kobiety ewidentnie sfotografowanej w kostnicy. Oczy miała otwarte, na ustach szeroki tajemniczy uśmiech; o tym, że była Choomką, rdzenną mieszkanką tego skolonizowanego przez Ziemiaków świata, humanoidalną, świadczyły rysy jej twarzy z wyjątkiem wielkich ust, wyglądających jak rana, rozcięcie od ucha do ucha. Na ciałach kobiet nie znaleziono żadnych widocznych obrażeń; L'lewed dokonał okrutnej zbrodni w ich wnętrzu.

W celi, na biurku pod plakatami, stał komputer z dostępem do sieci - i właśnie z niej, a dokładniej ze strony zwanej TrueCrime L'lewed ściągnął fotografie ofiar. Soko zastanawiał się, czy ich rodziny wiedzą, że podobizny ukochanych zmarłych rozwieszono w celi istoty, która je zamordowała. Wątpił jednak, by rodziny mogły w jakikolwiek sposób odebrać L'lewedowi prawo do ściągnięcia informacji i ozdabiania celi. Naczelnik więzienia mógł jedynie prosić, by zgodził się usunąć plakaty. L'lewed odparł jednak, że rozwiesił je, by przypominać sobie o straszliwych uczynkach, których się dopuścił, i by w obliczu duchów ofiar móc

pokutować za grzechy.

Soko z powrotem skupił wzrok na pojemniku więźnia stojącym pośrodku pomieszczenia. W celu nie było pryczy, bo więzień odpoczywał w owym urządzeniu. Było ono jego łóżkiem i systemem podtrzymania życia. Kiedy był jeszcze dyplomata, mieszkającym w ambasadzie swego ludu, naprzeciwko parku w Paxton, po mieście woził go w pojemniku asystent, człowiek. Człowiek ów siedział obecnie w tym samym więzieniu, skazany za współudział w zbrodniach ambasadora; zanosił do parku lampę z dzinnem i wyszukiwał odpowiednie ofiary dla szefa.

Soko usłyszał cichy, mechaniczny zgrzyt, podobny do odgłosów, jaki wydają z siebie bardzo stare zegary tuż przed wybiciem godziny. Na urządzenie składał się środkowy cylinder z przymocowanymi do boków dwoma mniejszymi - wszystkie zrobiono z metalu barwy mosiądzu. Teraz z owych mniejszych cylindrów wyłaniały się dysze. Następnie spiralna przesłona głównego cylindra zawirowała i się otworzyła. Kątem oka Soko zobaczył, jak towarzyszący mu mężczyzna postępuje wyczekując niewielki krok naprzód.

Choć wątpił, by L'lewed uciekł się do przemocy, na wszelki wypadek położył dłoń na kolbie pistoletu, tkwiącego w kaburze u pasa. Podobnie jak wszyscy strażnicy w Paxtonskim Więzieniu o Zaostrzonym Rygorze, był uzbrojony w pistolet, który nie wystrzeliłby w czyimkolwiek ręku poza dłoń strażnika, któremu go wydano. (Podczas jednej z prób ucieczki więzień odrąbał dłoń strażnika i przycisnął do niej kolbę. Lecz pistolet wyczuł, że ręka jest martwa i nie zadziałał). L'lewed jednak nie spróbuje ukraść broni: chroniony immunitetem dyplomatycznym, miał zostać odesłany do domu, gdy tylko warunki pozwolą na otwarcie portalu, dającego dostęp do innego wymiaru, w którym istniała planeta L'lewedów.

Więzień zaczął wyłaniać się ze swej celi wewnątrz celi. Przypominało to rozciągniętą do granic wytrzymałości plastelinę - z obu dysz trysnęły strugi napiętej materii barwy ciała. Owe pseudopoda przywarły do sufitu, jakby miały dźwignąć resztę istoty. I wtedy ze środkowego cylindra wynurzyło się coś, co skojarzyło się Soko z bryłką ikry rekina bądź płaszczki: lekko kanciasta, jednolita gruda ciała, z dwiema rogowatymi kończynami u góry i dwiema u dołu. Dolna para pozostała wewnątrz urządzenia; Soko nie był pewien, co kryje się na ich końcach i jak wielka część stworzenia pozostaje niewidoczna. Dwa górne rogi, nieco giętkie, zakołysały się subtelnie w powietrzu, niczym czułki.

Z przodu głównego cylindra otwierała się kratka. Dobiegł z niej głos - miękki szepc przesiany przez piasek szumów. To była mowa L'leweda, tłumaczona na ludzką.

- Witam, panie Soko. Kim jest mój gość?

Drugi człowiek uśmiechnął się i pozdrowił więźnia skinieniem głowy.

- Ambasadorze Rhh, jestem David-Paul Friesner, nowo mianowany łącznik duchowy w PWOZR.

- Taką miałem nadzieję - wyszeptało urządzenie na podłodze. Plastelinowa istota wisiała nad nim niczym bezlistne pnącze w miedzianym wazonie. - Bardzo mi miło.

- Przyszedłem na pańską prośbę. - Friesner uśmiechnął się, lecz uśmiech ów miał w sobie coś z oficjalnej sztywności.

- To bardzo trudne żądanie, ale...

- Z pewnością możecie znaleźć kobietę cierpiącą na śmiertelną chorobę, która zechciałaby przekazać ofiarowaną przeze mnie sumę swojej rodzinie. Kobietę, która pragnie zakończyć swe cierpienia.

- Cóż, w istocie po omówieniu tej kwestii z naczelnikiem, zdecydowaliśmy się na inne podejście do pańskiego... problemu. W tym ośrodku mamy sporą grupę więźniów z

wyrokami śmierci. Ja sam nie aprobuję idei egzekucji, ale nie zmienia to faktu, że część więźniów czeka tu na śmierć. Naczelnik osobiście spytał kilkunastu z nich, czy nie zechcieliby... uczestniczyć w pańskim... rytuale... w zamian za pieniądze z pańskiego konta osobistego.

- Z jakim skutkiem? - Czułki zafalowały jak pędy podwodnej rośliny.

- No cóż... uhm... wyrażono wiele obaw. Rzecz jasna, większość skazańców z celi śmierci ma nadzieję na złagodzenie wyroku. Poza tym jednak bali się bólu. Naczelnik poinformował ich... uhm... poinformował, że podanie leków znieczulających nie wchodzi w rachubę, bo osłabiłoby... osłabiłoby... drgawki.

- Wibracje - poprawił L'lewed.

- Szczerze mówiąc, tu właśnie dostrzegam potencjalnie największe źródło publicznego... oburzenia.

- Ale czy znaleźliście chętną? Czy ktoś wyraził zainteresowanie?

Soko obrócił się, patrząc w twarz swego towarzysza. Nie mógł uwierzyć, że jakikolwiek człowiek zgodziłby się zostać zamordowany przez innego więźnia, zwłaszcza w sposób, w jaki L'lewedowie zabijali swe ofiary.

- Owszem, tak, znalazł się jeden. To Waiiai. Jeśli nie zna pan tej rasy, są bardzo podobni do ludzi. Nazywa się Oowoh Kee. Zabił pięciu ludzi, nastolatków mieszkających w tym samym bloku. Podobno zgwałcili jego żonę w pralni, nie mogła jednak zidentyfikować ich twarzy, bo Waiiai są ślepi. To oznacza, że zamiast wzroku posługują się zmysłem radarowym. Tak czy inaczej, zemstę pana Kee uznano za wielokrotne zabójstwo pierwszego stopnia, stąd wyrok. Ostatecznie dwaj z owych chłopców mieli zaledwie trzynaście lat.

- I ten człowiek... ten Kee... chce dostać pieniądze dla

żony?

- Tak. Zgodził się, nawet bez przyjęcia leków.

- Cóż za odwaga - mruknął L'lewed i dodał z odgłosem przypominającym westchnienie: - Wolałbym samicę... - Jego słowa rozplynęły się melancholijnie.

Soko powiódł wzrokiem pomiędzy gumowatą istotą i duchowym łącznikiem. Zaschło mu w gardle, a kiedy przełknął, by je nawilżyć, poczuł bolesne ukłucie. Zakasłał ostro kilka razy. Dostrzegł, że ślimakowate rogi więźnia obracają się ku niemu.

- W innych ośrodkach mamy kilka kobiet w celach śmierci - wyjaśnił Friesner. - Ale uznaliśmy, że to wywołałoby gwałtowniejszą reakcję mieszkańców. Egzekucja stanowi wolę większości, w przeciwnym razie nie byłaby praktyczna. Jednak jej przeciwnicy są bardzo hałaśliwi, a ich reakcja byłaby wielce nieprzyjemna. Mamy zatem nadzieję zachować wszystko w sekrecie. Naczelnik rozmawiał już z biurem kolonialnym w Miniosis, by się upewnić, że możemy wcielić ten plan w życie. Na szczęście dla nas pański status obcoświatowego dyplomaty sprawił, że dali nam zielone światło. Postaramy się jak najlepiej poradzić sobie z protestami. Naczelnik wyjaśnił wszystkim zainteresowanym, że czas odgrywa tu kluczową rolę... że musi pan złożyć ofiarę w ciągu dwóch tygodni, po to, by... odnowić się duchowo, zgodnie z waszą wiarą.

- Doskonale - pogratił ambasadora Rhh. - Znakomicie poradził pan sobie w, przyznaję, trudnej sytuacji, panie Friesner. Z pewnością będzie pan świetny na swym nowym stanowisku.

- Dziękuję. - Soko uznał, że Friesnerowi naprawdę pochlebiły te słowa. - A zatem, uhm, zaczniemy już przygotowania. Będziemy działać jak najszybciej, na wypadek nieprzewidzianych trudności. Zanim pan Kee, uhm... zmieni

zdanie albo protesty staną się zbyt... uciążliwe. Mam nadzieję, że uda nam się załatwić sprawę w tydzień. Im szybciej to zrobimy, tym mniejsza obawa, że ktoś znajdzie sposób, by udaremnić nam to prawnie. Jeśli będziemy mieli wielkie szczęście, skończymy, nim publika dowie się o czymkolwiek. Zatem... będę pana informował.

- Dziękuję - zamruczał L'lewed.

- Świetnie. Cóż, chyba się pożegnamy. Do następnego spotkania.

- Było mi niezmiernie miło, panie Friesner - dobiegł głos z pojemnika.

Jedna z elastycznych kończyn uczepionych sufitu oderwała się z odgłosem zdzieranej taśmy, opuściła się i sięgnęła w stronę doradcy duchowego. Jej koniec zaczął się rozszerzać i cienieć jak liść, by móc lepiej ucisnąć ludzką dłoń.

Nim macka dokończyła przemianę, Soko wyrwał z kabury pistolet i wycelował - nie w istotę, lecz w kratkę głośnika pojemnika ochronnego.

- Ambasadorze, proszę nie dotykać pana Friesnera.

Kończyna zamarła w powietrzu stopę od łącznika. Zaczęła się cofać, jej końcówka się zwężyła.

- Chciałem jedynie wyrazić swą wdzięczność na sposób waszego ludu, panie Soko, ale jak pan sobie życzy. Do następnego spotkania, panie Friesner. I raz jeszcze dziękuję.

Główna bryła ciała L'leweda zniknęła z powrotem w pojemniku, jakby malała. Jako ostatnie zanurzyły się ślimacze rogi. Dwie zwiewne kończyny wniknęły z powrotem w bliźniacze dysze, które następnie ze zgrzytem i szczękiem wycofały się do swych cylindrów. Otwór w środkowym pojemniku zawirował i się zatrzasnął. L'lewed zniknął bez śladu, jakby wrócił do swego wymiaru, a nie jedynie ukrył się niczym kobra w koszyku.

Soko przesunął z roztargnieniem dłonią po karku i poczuł kłujące, ostrzyżone na jeża włosy. Obłoczek pachnącej pary wzlatującej z nad filiżanki kawy przesłonił zimową scenerię za oknem stołówki. Niebo było tak błękitne, że aż raniło oczy. Wyglądało niemal syntetycznie, ziemia jaśniała plamami i pryzmami odbijającego światła śniegu. Teraz, gdy na dobre nastąpiła zima, pozostałości zeszłotygodniowej śnieżycy, które nie zdążyły stopnieć, zamarzły i zdawało się, że nigdy nie stają. Soko widział masywny narożnik skrzydła B, niczym ścianę wielkiego zamku; jej biel podsyciała ponurą atmosferę, choć niemal całą krył błękitny cień.

Wszystkie narożniki więzienia wieńczyły gigantyczne, abstrakcyjne sosnowe szyszki - olbrzymie dekoracje, które być może miały sprawić, że cała bryła wyda się mieszkańcom Punktown mniej groźna, mniej militarna. Soko uznał to jednak za kiepski zamiennik rozległych szpilkowych lasów, które niegdyś sąsiadowały z owym choomskim miastem, nim przybyli tu Ziemianie. Para wypływająca z otworu wentylacyjnego co chwila zasnuwała okno; jej obłok, wzlatując ponad mury, złocił się w promieniach słońca.

- To naprawdę nie było konieczne - powiedział Friesner, smarując margaryną rozek croissanta. - Ta broń...

Soko uniósł kubek i pociągnął łyk kawy.

- Wie pan, jak L'lewed zabił te kobiety?

- Owszem, wiem. Sprawdziłem akta. Ale był skłonny do współpracy i...

- Nieważne, co zrobi, i tak wróci do domu. Możemy go tylko pilnować, póki do tego nie dojdzie, i udawać przed ludźmi, że to kara. Ale on i tak wróci, nawet jeśli zabije czwartą ofiarę. Nawet jeśli tą ofiarą zostanie łącznik duchowy. Może nie chce czekać na dopełnienie owego... rytuału.

- Proszę nie myśleć - Friesner spojrzał na niego ponuro,

znacząco - że podoba mi się jego prośba. Ale L'lewed nie kłamie. To rzeczywiście praktyki religijne jego rasy. Jako takie musimy je szanować i umożliwić mu uprawianie ich. Ma takie prawo.

Soko wbił wzrok w filiżankę.

- Te stworzenia, które składają w ofierze na swej własnej planecie... Widział pan ich zdjęcia?

- Tak - odparł Friesner, znów smarując croissanta.

- No i? Czy to są ludzie?

- Stworzenia wyglądają... humanoidalnie. Są bardziej podobne do małp, tyle że bezwłosych. Nie mają żadnej cywilizacji, kultury, posługują się jedynie prymitywnymi narzędziami. L'lewedowie pierwszy raz natknęli się na nie na planecie sąsiadującej z ich układem niemal sto lat temu. Zabrali je do domu w swoim świecie i, jak pan wie, hodują w celach ofiarnych.

- Uroczy ludzie - mruknął Soko.

- Panie Soko, wszystkie kultury innym wydają się dziwne. Powinien pan szanować tę różnorodność. Niewątpliwie miał pan przodków w Japonii. Czy nie przechowuje pan w domu przedmiotów, które zadziwiłyby L'leweda, Chooma, Tikkihotto? Może maski kabuki na ścianie? Malowanego parawanu byobu? Katany i wakizashi na stojaku?

- Nie mam niczego takiego - wymamrotał Soko, znów unosząc filiżankę.

- A powinien pan. Pański lud ma wspaniałą, starożytną kulturę. Bardzo dziwną kulturę. Cudownie dziwną.

- Pochlebia mi, że pan tak sądzi. I rozumiem, że może pan uważać za fascynujące, urocze, cudowne, że kiedyś ludzie wbijali sobie sztylety we własne wątpia. Ale ten L'lewed zabił trzy kobiety. Nie wiem, jakie religie wyznawały, ale nigdy już tego nie robią, bo ów stwór wlał im się w gardła i zadławił na

śmierć.

- Panie Soko, wiem... wiem...

- ...I czerpał przyjemność z ich konwulsji, przedśmiertnych drgawek, bo nazywa to „wibracjami”, chwilą, kiedy ofiara przekazuje mu swą siłę życiową, a on wynurza się odrodzony z... jej dolnej części ciała. Jak pan powiedział... cudownie dziwne.

- Proszę posłuchać, wszyscy wiemy, że to złe. Owszem, to była zbrodnia. Straszna zbrodnia. Te kobiety to nie zwierzęta hodowane do celów ofiarnych, lecz świadome, rozwinięte istoty. Zgadzam się. Dlatego właśnie pan Rhh trafił do więzienia. Dlatego poddajemy go ekstradycji...

- W domu nic mu nie zrobią.

- Nie wiemy tego.

- Nic mu nie zrobią. I przyślą kolejnego, który go zastąpi.

- Słyszałem, że podobno następny ambasador przywiezie ze sobą większe stado zwierząt ofiarnych. W istocie, biorąc pod uwagę, że stosunki pomiędzy L'lewedami a Ziemią rozwijają się znakomicie, w niektórych naszych koloniach będziemy hodować te zwierzęta, by zapewnić ich stały dostęp.

- Jakie to miłe. Wygląda na to, że Rhh po prostu źle wyliczył swoje potrzeby.

- Musiał zostać dłużej niż sądził. Musi pan zrozumieć... Jeśli zbyt długo nie składają ofiary, jeśli przekroczą pewien punkt, uznają się za nieczystych. Nieodwracalnie, do końca życia.

- Zabrakło mu zwierząt, więc nadali się ludzie? Dla naszych nowych przyjaciół ludzie to tylko zwierzęta?

- Nie. Ale przecież dlatego właśnie tu trafił. Dokonał strasznego wyboru. Nikt temu nie przeczy, nawet on sam. Mówi, że był w desperacji.

- Już to, co robią tym zwierzętom, jest wystarczająco straszne - wymamrotał Soko.

Friesner wskazał nożem jego talerz. Nietknięty posiłek.

- Te paseczki, panie Soko? Prawdziwe mięso? Żywego stworzenia?

- Nie jestem z tego dumny. Owszem, lubię jego smak. Ale gdybym zobaczył to samo zwierzę kopane na ulicy przez paru gnojków, rozwaliłbym im czaszki.

- Czyż to nie miłe? - Friesner westchnął. - Panie Soko... Ken... Wyznaczono cię do towarzyszenia mi podczas moich spotkań z więźniami, w czasie których staram się zaspokoić ich potrzeby duchowe. Mam bardzo ważną pracę. Religia daje tym ludziom nadzieję, fundament... Sens. Może odwieść ich od dawnych błędów, obdarzyć nowym życiem. Powinieneś czuć się zaszczycony, że możesz być także częścią tego. Jak mówiłem, spędzimy ze sobą sporo czasu. Dlatego właśnie chciałem zjeść z tobą śniadanie, pogawędzić, nieco cię poznać.

- Doceniam to - rzekł obojętnie Soko.

Friesner westchnął raz jeszcze. Pokręcił głową, przekroił kawałek melona - jako wegetarianin nie miał na talerzu mięsa. A Soko, mimo kuszącego zapachu wędliny, zjadł wyłącznie jedną grzanekę.

W salonie swego małego, porządnego mieszkania Soko obejrzał w VT materiał o dwóch choomskich nastolatkach, którzy podczas napadu zatłukli na śmierć kobietę nazwiskiem Vita Yolk. Prokurator domagał się kary śmierci, lecz sąd skazał ich na dwadzieścia lat więzienia. Soko pomyślał, że nawet połączone, ich wyroki wydają się oburzająco niskie, i z niesmakiem wyłączył odbiornik.

Pod drugą ścianą salonu stała oświetlona muzealna gablota. Spoczywał w niej ułożony na uchwytych krótki japoński miecz - wakizashi - z osiemnastego ziemskiego stulecia.

Soko podszedł i przyjrzał się ostrzu. Blask padający z gablyoty był jedynym źródłem światła w pokoju. Soko nigdy nie odważył się wyciągnąć miecza, nie dotknął go od czasów dzieciństwa, kiedy wręczył mu go ojciec. Od pokoleń należał do rodziny ojca, pierwotnie był bronią ich przodka, samuraja. Ale jak mógł przyznać Friesnerowi, że ten miał rację? Zawsze uważał historię o przodku samuraju za banał, stereotyp, powód do wstydu - nie do dumy. Teraz, po tym jak Friesner wspomniał o wakizashi, Soko czuł się jeszcze idiotyczniej, że tak się nim popisuje, choć od piętnastu lat nie oglądał klingi miecza.

Owa gablyota miała przede wszystkim uczcić pamięć ojca, dla którego miecz stanowił bezcenny skarb. Soko nie znał owego bajecznego samuraja ani innych ludzi, którzy z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie miecz i już dawno zamienili się w proch. Znał tylko ojca. Wiedział, że miecz jest wart majątek, ale nawet nie śnił o tym, by się z nim rozstać. Nie bał się, że obudzi się pewnej nocy i u stóp łóżka ujrzy widmo rozgniewanego samuraja w hełmie kabuto i masce wojennej menpo. Kierował nim szacunek dla najbliższego przodka, tego, który go spłodził.

Pochwę, czy raczej sayę, z czarnego lakierowanego drewna ozdobił motyw raka. Soko nie znał jego znaczenia. Rękojeść zrobiono z drewna pokrytego wyprawioną rybią skórą. Osłona albo tsuba sama w sobie stanowiła misterne dzieło sztuki. A wewnątrz czarnej pochwy drzemała klinga z miękkiego żelaza skutego warstwowo ze stałą, zapewne nadal jasna i nieskazitelna po piętnastu latach, które minęły od dnia śmierci ojca... setki lat po śmierci samuraja...

Obsesyjna duma kulturowa, podobnie jak religia, dzieli ludzi, pomyślał. Blask padający z gablyoty oświetlał jego ponurą twarz tak, że wyglądała jak maska. Jedno i drugie rodziło nienawiść, uprzedzenia. Różne języki, różne

modlitwy. Ojciec umiał jeszcze mówić po japońsku. Soko podziwiał jego wytrwałość, ale tak samo podziwiałby go, gdyby się nauczył ojczystej mowy Waiiai. Było już późno. Rano szedł do pracy. Sięgnął do przycisku u podstawy gabloty i pograżył ją w ciemności.

- To, co robię, robię z własnej woli - powiedział Oowoh Kee do kamery ustawionej w jego celi. - Jestem wdzięczny za troskę osób protestujących przeciw mojej decyzji. Nie oplakujcie mnie. Oplakujcie moją żonę, która będzie musiała żyć z hańbą tego, co jej zrobiono.

Nie było to oświadczenie dla prasy; jak dotąd media o niczym się jeszcze nie dowiedziały.

Szykowano je na wypadek, gdyby na Kee wykonano nieortodoksyjną egzekucję, nim media zdołają przeprowadzić z nim wywiad... na co w skrytości ducha liczyli wszyscy zainteresowani. Nie było to ostatnie nagranie więźnia, lecz raczej ochrona dla więzienia, zastrzeżenie prawne.

Soko skończył już służbę. Wcześniej poprosił o możliwość spotkania z Waiiai. Kee się zgodził. Friesnera przy tym nie było. zaproponował, że zajmie się duchowymi potrzebami Waiiai, lecz Kee odparł, że jego lud nie wyznaje żadnej religii.

Soko zaczekał, aż więzień skończy wygłaszać oświadczenie i personel zabierze kamerę, dopiero potem podszedł do celi skazańca. Oddzielające ich pole mieniło się lekkim odcieniem fioletu, tak by dało się je zobaczyć. Samą celę urządzono po spartańsku; nie było w niej żadnych zdjęć, kalendarzy, portretów żony. Waiiai stał zwrócony plecami do bariery, musiał jednak usłyszeć, jak Soko się zbliża, bo natychmiast się obrócił. Jak wszyscy członkowie jego rasy dysponował świetnym słuchem - ich głowy otaczał z tyłu półpierzścień połączonych ze sobą otworów. A kiedy Kee

zwrócił się ku Soko, ukazał w pełni swą ślepotę. Nawet jeśli miał oczy, to wydawały się zmiażdżone pod ciężarem wielkiej bezwłosej kopuły czoła, które, jakże stosownie, skojarzyło się Soko z głową delfina. Z narządu pośrodku owej kopuły Waiiai produkowali fale poddźwiękowe, które powracały do nich odbite niczym radar, tworząc na płótnie mózgu trójwymiarowe obrazy. Mimo skóry żółtej jak upierzenie kanarka, braku oczu i nadmiaru uszu, istota ta była jedną z bardziej humanoidalnych, z jakimi się zetknął. Więzień uśmiechał się przyjaźnie, choć z rezerwą, uprzejmie i zupełnie ludzko.

- Pan Soko. Dotąd się nie poznaliśmy. Czemu zawdzięczam tę przyjemność? - W tych słowach nie pobrzmiewał nawet cień ironii.

- Pracuję z Friesnerem - wyjaśnił Soko, podchodząc dość blisko bariery; usłyszał jej cichutki pomruk. - Pan mnie... zaciekał. - „Zaintrygował” stanowiło zbyt mocne słowo.

- Przypuszczam, że wkrótce inni także poczują ciekawość. Będą o mnie mówić. A potem zapomną. I to mi odpowiada. Liczy się tylko to, by pamiętała o mnie żona.

Głos miał wysoki i piskliwy, jakby dobywał się z winylowego gardła, z balonu napelnionego powietrzem i wyrzucającego z siebie słowa. Głos delfina.

- Jest pan bardzo oddany żonie - zauważył Soko.

- Żona to moje życie. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Cieszyliśmy się, że przybędziemy tutaj... poznamy tak wiele różnych kultur. Nikogo nie skrzywdziliśmy. Byliśmy pacyfistami.

- A jednak miał pan pistolet - przypomniał Soko.

Bardzo ludzkie usta skrzywiły się pod masywem czaszki.

- Nie od razu. Nie mieliśmy pojęcia, jak tu wszystko wygląda. A potem się dowiedzieliśmy i zaczęliśmy się bać. Pod koniec rozmawialiśmy nawet o powrocie do domu.

- Trzeba było wrócić - rzekł Soko, bardziej do siebie niż do obcej istoty.

Waiai zaczął krążyć po celi. Opuścił głowę, jakby przesuwiał przed sobą po podłodze niewidzialną łaskę.

- Teraz to wiem. Ale nie żałuję, że zabiłem tych młodych ludzi, panie Soko. Gdybym powiedział sądowi, że mi żal, może darowałyby mi życie. Lecz nie jestem kłamcą. Nie wstydzę się, że broniłem honoru żony. - Zatrzymał się i unióśł głowę. - Jestem dumny z tego, co zrobiłem.

- Powinien pan próbować wszystkich metod obrony...

- Pan nas nie rozumie, panie Soko. - Waiai podszedł tak blisko dzielącego ich pola, że jego wielką czaszkę zalał fioletowy blask. - Nasze kobiety są dla nas święte. Sprowadzają na świat życie. Pielęgnują je. Kiedy krwawią podczas porodu, nazywamy to Ofiarą. Ból... cierpienie towarzyszące powstaniu nowego życia. Ofiara. Kobiety składają Ofiarę i życie trwa dalej. Gdybyśmy mieli więcej czasu... moja żona... moja żona i ja... - Waiai lekko obrócił głowę, jakby nie mógł dłużej dźwigać jej ciężaru.

Soko pomyślał o starożytnych kulturach ziemskich. W wielu z nich menstruację uważano za przekleństwo, za coś zdecydowanie złego. Mężczyźni kazali swym kobietom dokonywać symbolicznych oblucji. Nie tykali ich i całymi dniami nie pozwalali szykować sobie strawy. Bali się krwi, nie czcili jej...

- Przez tych wyrostków moja żona krwawiła - pisnął Waiai głosem zbliżonym do szeptu. - Zbezczęścili ją. Splamili. - Jego głowa uniosła się gwałtownie. - Ale proszę nie myśleć, że uważam ją za splamioną... że się jej wyrzekam. Nie odwracamy się od naszych zbezczeszczonych kobiet. Mścimy się za to, co im zrobiono. Przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić. Śmierć dla mojej kobiety... w pewnym sensie to będzie zaszczyt. Bo umieram dla wszystkich naszych

kobiet, kobiet, które dają nowe życie.

- Pana żona potrzebuje pana żywego.

- Potrzebuje mojej pomocy - przyznał Kee. - Potrzebuje pieniędzy. Jeśli je zdobędzie, chcę, żeby wróciła do naszego świata. Przekazałem jej moje życzenie i przysięgła, że je wypełni.

- L'lewed - rzekł Soko - to, jak zabija... będzie bolało.

- Nie bardziej niż Ofiara - odparł Kee.

Soko przyglądał mu się chwilę, a potem powoli skinął głową, wiedząc, że Waiiai dostrzeże ów gest w sylwetkach bądź hologramach wyświetlanych wewnątrz czaszki. Był to gest cichego zrozumienia.

- Było mi bardzo miło - oznajmił.

- Proszę przyjść i porozmawiać ze mną jeszcze, panie Soko. - Waiiai uśmiechnął się łagodnie.

- Może tak zrobię. Powodzenia. Pańskiej żonie także.

To rzekłszy, Soko odwrócił się od więźnia i odszedł w głąb korytarza. Za jedną z mijanych barier otyły i nagi człowiek leżał przykryty do połowy na łóżku. Po obu stronach miał piękne kobiety, hologramy mniej naturalnego pochodzenia: więźniom pozwalano posiadać najróżniejsze systemy vidgier i hologramów. Tłuszcioch spojrzął obłeśnie na Soko, jakby zachęcał go do dołączenia do zabawy. Soko z niesmakiem odwrócił wzrok... Nie chciał, by rozdęta ludzka larwa przyćmiła w jego umyśle ślepy wdzięk istoty, z którą spędził kilka minut.

Dwa dni później, podczas codziennej godzinnej gimnastyki, jeden z więźniów-ludzi - także z celi śmierci - wbił własnoręcznie zrobione ostrze głęboko w brzuch Oowoha Kee.

Zanim Soko dowiedział się o tym i dotarł do szpitala, Waiiai umarł, jego morderca, niemający nic do stracenia,

wrzeszczał coś o tym, że humanoid to rasista... uprzedzony do ludzi. W końcu bez litości zamordował pięciu z nich. Ktoś powiedział, że zainteresowanie, jakie budził Kee, wzbudziło w tamtym nienawiść.

Tego dnia Soko miał ochotę wziąć wolny dzień. Jeszcze nigdy nie brał zwolnienia. Zamiast tego poszukał Davida-Paula Friesnera i przekonał się, że tamten przekazuje już wieści o katastrofie ambasadorowi Rhh.

Friesner ledwie pozdrowił Soko, całą uwagę skupiając na L'lewedzie i błagając, by tamten zachował spokój.

- Wciąż mamy dość czasu... coś wymyślimy... znajdziemy innego więźnia. Może kogoś spoza więzienia, cierpiącego na śmiertelną chorobę... uhm... kogoś pragnącego pomocy w samobójstwie.

- Nie wystarczy czasu! - Syczący szept L'leweda dobiegał z kratki pośrodku cylindra jego lampy. Elastyczne pseudopoda uczone sufity napinały się niczym stalowe liny, a ślimakowate czułki na korpusie zwijały się jak poddane torturom. - Proszę zobaczyć, ile czasu straciliście na przygotowanie Waiiai! Nie rozumiecie, co się ze mną stanie! Z moją duszą!

- Mamy prawie tydzień na...

- Tydzień! Tydzień! Nie ma już czasu! - lamentował z pozoru bezcielesny głos; ciało z ektoplazmy zadrżało w nagłym spazmie. - Będę nieczysty! Stanę się wyrzutkiem wśród swoich!

W tym momencie Soko odszedł niepostrzeżenie. Po drodze zauważył, że w odróżnieniu od poprzedniej wizyty u ambasadora, tym razem łącznik duchowy pozostawał bezpiecznie po drugiej stronie fioletowego pola ochronnego.

Sprawdziwszy w interkomie jego głos, ten sam który słyszała, rozmawiając przez vidfon, choć nie mogła zobaczyć

jego twarzy na videokranie, Eeaea Kee otworzyła drzwi mieszkania i wpuściła swego gościa, Kena Soko.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zoba... mnie przyjąć - powiedział z szacunkiem Soko.

Kobieta niemal nie różniła się od swego męża. Wysoka prosta sylwetka, zwieńczona wielką kulą czaszki; jaskrawożółte ciało i miły uśmiech.

- Czy mogę poczęstować pana herbatą?

- Nie, dziękuję.

- Proszę usiąść.

Poszedł za nią do salonu, przytulnego mimo nagich ścian. Stały w nim rzeźby, zachwycające zmyślnymi kształtami i fakturami. Zmierzając do wysłużonej kanapy, dotknął kilku z nich.

- Czy dobrze znał pan... mojego męża? - spytała pani Kee.

- Nie. Spotkaliśmy się raz, krótko. Ale... zaimponowała mi jego miłość do pani. Zaimponowała mi wasza kultura.

- Pan mi pochlebia - pisnęła nieśmiało.

- Przyniosłem coś dla pani. To prezent i chcę, żeby go pani przyjęła.

- To bardzo uprzejme z pana strony. Należał do mojego męża?

- Należał do mnie. - Pochylił się, podając jej przedmiot owinięty w kawałek tkaniny. Wyczuła, że się zbliża, i uniosła ręce, by go przyjąć. - Proszę uważać - uprzedził - jest bardzo ostry.

Kobieta Waiiai odwinęła materiał. Pomacała gładką lakierowaną pochwę. Zacisnęła dłoń na plecionej rękojeści. Dobyła kilka cali ostrza, które błysnęło jasno w pomarańczowych promieniach popołudniowego słońca, jakby wciąż było rozpalone, świeżo po wykuciu.

- Broń? Do obrony?

Soko uśmiechnął się.

- W pewnym sensie. Teraz zaprowadzę panią w miejsce, gdzie zapłacą pani za ten miecz. Zapłacą więcej niż kiedykolwiek pani miała i śniła, że dostanie. Chcę, by za te pieniądze wypełniła pani wolę męża. Chcę, żeby wróciła pani do własnego świata.

Teraz nieśmiałe usta istoty skrzywiły się w zdumieniu, oszołomieniu.

- Nie mogę tego przyjąć, panie Soko! Skoro jest takie cenne...

- Jest. I musi pani przyjąć. Jeśli nie... zhańbi mnie pani.

- Ale jakże? Jak może pan rozstać się z czymś takim? Tyle pieniędzy...

- Gdybym wydał te pieniądze, splamiłbym pamięć ojca, pani Kee. Nie mam syna, któremu mógłbym przekazać miecz. Nie wiem, co by go czekało po mojej śmierci. To jedyny honorowy los, jaki mogłem dla niego znaleźć. Chcę, żeby miecz stał się bronią, która zabiła owych ludzi, tych, co panią zhańbili. Chcę żeby ten miecz... pani bronił.

Waiai opuściła głowę. Nie miała oczu, którymi mogłaby zapłakać, lecz Soko usłyszał dziwny, miękki świst. Nie wiedział, czy dobiega z jej ust, czy też z otworu w czole.

- To dla mnie wielki zaszczyt i honor, panie Soko - powiedziała. - Przyjmuję pański dar.

Soko wstał i wyciągnął rękę, by móc ją poprowadzić zgodnie z obietnicą. Mógł sam zanieść miecz do sprzedawcy antyków i przynieść jej pieniądze, ale to nie byłoby to samo.

Choć nie potrzebowała jego pomocy, podała mu rękę i wstała.

- Dziękuję - rzekła. Jej uśmiechnięte wargi drżały.

- To ja pani dziękuję, pani Kee - odparł Soko i uklonił się szybko, jak nakazywał zwyczaj jego ludu.

SEKCJA DUSZY

Madhur Jhabvala nie mogła spać, podreptała zatem na bosaka do swej maleńkiej kuchni, zaparzyła kubek herbaty i usiadła przy domowym komputerze w wygodnej, męskiej piżamie, by zacząć sekcję mózgu skazanego więźnia.

Obecnie mózg spoczywał w zbiorniku pełnym fioletowego płynu, stojącym w laboratorium kryminalistycznym odległego o dziesięć minut jazdy lotowozem komisariatu numer 2 w Paxton - założonej przez Ziemiaków kolonii, zwanej przez mieszkańców Punktown. By uzyskać dostęp do laboratorium policyjnego, Maddie musiała poddać się przez vidfon skanowaniu obrazu i głosu. Następnie podała kilka haseł, by dostać się do interesujących ją danych. Obecnie jej główny i kilka pobocznych ekranów wypełniały informacje i obrazy mózgu seryjnego zabójcy, zawieszzonego w bulgoczącym akwarium. Wyglądał jak tajemnicze, nieprzeniknione zwierzę, drzemące na dnie, kryjące swe sekrety w poskręcanych konwulsyjnych objęciach; przypominał gniazdo ciasno zwiniętych macek.

Lśniące czarne włosy wciąż miała potargane, powieki nad ciemnymi oczami senne i ciężkie. Podobnie trzecie, pionowe oko pośrodku czoła. Choć z pochodzenia była Hinduską, to bindi miało dla niej znaczenie wyłącznie kosmetyczne, nie bardziej kulturowe niż jaskrawobłękitny odcień, na jaki farbowała włosy w college'u. Koleżanka z pracy żartowała, że oko bindi, z powodu pionowego położenia wygląda jak srom na jej głowie. Maddie odparła żartem, że z tego sromu rodzą się jej myśli.

Podawszy datę i godzinę, Maddie zaczęła dyktować, opisując komputerowi proces skanowania. Mniejsze ekrany

pokazywały kodowane barwnie trójwymiarowe przekroje i gwałtownie zmieniające się, radośnie barwne, obrazy ze skanera. Mówiąc, kierowała za pomocą myszki delikatną sondą, wprowadzaną w głąb uszpiętego stworzenia. Podążając za sondą, główny ekran ukazał mocno powiększone wnętrze narządu.

Sądząc po zachowaniu jego właściciela, spodziewała się oznak choroby, degeneracji. Jako patolog częściej badała inne części ciała, ustalając przyczynę śmierci. Teraz natomiast próbowała określić, co nakazało właścicielowi tego mózgu sprowadzać śmierć na innych. W przypadkach takich jak Waiai, który zastrzelił pięciu chłopaków za gwałt na żonie i którego mózg zbadała po tym, jak zabito go na więziennym dziedzińcu, powód zabójczego zachowania był tak oczywisty, że w zasadzie nie musiała się wysilać. Czasami znajdowała guzy, różne uszkodzenia, drobne bądź rozległe. W innych przypadkach okazy były doskonałe, jakby stworzone przez inżynierów genetyków. Lecz zbrodnia zawsze pozostawała zbrodnią, karana równie surowo, niezależnie od tego, czy przyczyny zabójstwa były somatyczne, czy psychologiczne. Oczywiście nigdy nie skazano by na śmierć osoby niepełnosprawnej. Lecz ten człowiek dopuścił się tak ohydnych czynów, że Maddie wątpiła, by jakikolwiek guz bądź uszkodzenie wpłynęły na wyrok, nawet gdyby wiadano o nim wcześniej. W istocie jeszcze za życia proponowano mu skanowanie mózgu, sprawdzenie czy jakaś wada, choroba nie wpłynęła na jego zachowanie, bo to mogłoby wzbudzić współczucie przysięgłych. On jednak kategorycznie odmówił, a prawo broniło go przed przymusowym badaniem - przynajmniej za życia. Podobnie odmówił zbadania prawdomierzem, co oznaczałoby szybki proces i nie wymagało udziału ławników. Lecz w jego sprawie przysięgli musieli ustalić prawdę i uznali, że ów stwór o rękach

umazanych krwią nie może dłużej żyć.

- Obiekt to Peter Maxwell Wegener - recytowała bezbarwnie Maddie, poruszając myszką prawą ręką, a lewą naciskając od czasu do czasu jakiś klawisz. - Wyrok wykonano za pomocą zastrzyku o siódmej dwadzieścia koma czterdzieści cztery. Mózgowie usunięto, przygotowano i umieszczono w płynie owodniowym. - Pociągnęła łyk herbaty, potem zapaliła ziołowego papierosa w czarnej bibułce. - Jak dotąd sekcja wirtualna nie wykazała żadnych anomalii. Wprowadzam sondę aktywującą i przechwytyjącą wspomnienia obiektu, by sprawdzić dane wiążące się ze zbrodniami. - Mniej klinicznym tonem wymamrotała: - A poza tym podoba mi się myśl o wbijaniu długiego, ostrego przedmiotu w mózg tego chorego skurwiela.

Na moment przerwała pracę, odchyliła się na krześle i wydmuchnęła dym poza monitor. Pożałowała, że przed zajęciem się pracą nie zapaliła świateł w mieszkaniu. Na głównym ekranie zobaczy zaraz dokonujące się morderstwo, ujrzy je na własne oczy, czy raczej oczy Petera Maxwella Wegenera. Oczywiście widywała już podobne obrazy. Została też wielokrotnie pobita przez swego byłego męża. Każdy kolejny raz był równie nieprzyjemny.

Nie poznała Wegenera za życia. Po raz pierwszy zobaczyła go, otwierając mu czaszkę. Uznała jednak, że jak na seryjnego zabójcę był całkiem przystojny. Nie musiał wcale zmuszać kobiet, by uprawiały z nim seks, a potem uciszać, zabijając. To nie było konieczne. Ale wolał postępować w ten sposób. To takie proste. I takie skomplikowane.

- Poza tym - dodała Maddie nieco mniej pewnie, jakby próbowała grać na czas - istnieją wątpliwości co do tego, czy pan Wegener naprawdę zabił pięćdziesiąt cztery kobiety, tak jak twierdził. Dowody łączyły go jedynie ze śmiercią jego dziewczyny, Lanis Hassan. Przyznał się do licznych innych

zabójstw i przedstawił szczegółowe relacje, twierdził jednak, że kiepska pamięć nie pozwoliła mu zapamiętać dat, nazwisk i dokładnego miejsca ukrycia ciał. Żadnej z domniemanych pięćdziesięciu trzech ofiar nie odnaleziono ani nie powiązano ze znanymi, zaginionymi osobami.

Czy pragnął jedynie uwagi? Chciał umrzeć jako bardziej znaczący potwór? A może po prostu próbował dłużej pozostać przy życiu, dyndając im przed nosem obietnicą informacji przydatnych w innych śledztwach? Teraz nie mógł dłużej skrywać prawdy. Jego mózg nie mógł już wymyślać kłamstw, zachowywać tajemnic. Ani zabijać.

Cichy brzęczyk poinformował, że wszystkie wspomnienia, przeżycia, myśli, uczucia i czyny wsiąknięte w ową cielesną gąbkę zostały w pełni wypreparowane i zarejestrowane, wypełniając całe dwa chipy. Maddie sprawdziła w notatkach, jaką datę jednego z domniemanych zabójstw podał Wegener. Nacisnęła SZUKAJ i niewidzialny zwiadowca popędził przez zdublowany umysł zabójcy. Kiedy na ekranie wyskoczyła data, Maddie nacisnęła ODTWARZAJ i na monitorze pojawiła się scena, dzień z życia nieżyjącego Petera Wegenera, oglądany jego oczami.

Oczy te patrzyły na kobietę i Maddie poczuła niemal mdlące napięcie, widząc, że kobieta jest naga, a on porusza się na niej. Głowę miała odchyloną, oczy zamknięte, usta otwarte: dobry Boże, czyżby nie żyła?

Wtedy jednak Maddie zobaczyła, jak kobieta otwiera oczy i patrzy wprost w jej własne. W oczach nieznajomej ujrzała rozmarzenie i rozkosz. Więcej, miłość. Maddie nacisnęła kilka klawiszy, by dostać się do głębszych pokładów wiedzy. W podświadomości umysłu Wegenera odczytała, że to jego dziewczyna, Lanis Hassan, którą zabił w ataku morderczej zazdrości dwa lata później, kiedy go rzuciła i wprowadziła się do swego przełożonego.

Teraz Maddie oglądała ich kochających się, jakby sama w tym uczestniczyła, a przynajmniej w połowie aktu (czując dziwną bliskość, tak z Peterem, jak i z Lanis), choć nie miała na głowie hełmu pozwalającego jej „pamiętać” fizyczny aspekt owych wydarzeń, zapachy, smaki, wrażenia dotykowe. Nie było to jednak konieczne. Jej własne wspomnienie podpowiadało, jak przystojny był Peter Wegener z odchyłoną głową i oczami zamkniętymi po śmierci, zupełnie jakby odczuwał rozkosz.

Otrząsnęła się, sięgnęła ręką i wyłączyła odtwarzanie, zakłopotana i zawstydzona. Zaczęła przewijać na podglądzie, sprawdzając resztę dnia. W tym momencie jednak skłonna była uwierzyć, że Wegener albo pomylił daty, albo też zwyczajnie kłamał.

Kiedy zatrzymała przewijanie i znów włączyła nagranie, odchyliła się gwałtownie, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Dzięki Bogu nie włączyła dźwięku. Sam widok niemych obrazów całkowicie ją ogłuszył. Teraz pod Wegenerem leżała inna kobieta. Na jej twarzy nie malował się wyraz miłości, tylko strachu i paniki. I na jej ciele była krew. Maddie nie mogła tego oglądać dłużej niż pół minuty. Uderzyła na oślep w klawiaturę, by przegnać upiorną scenę.

Wstała z krzesła i cofnęła się od komputera, jakby stał tam Wegener we własnej osobie, złośliwie uśmiechnięty, zamknięty z nią w mieszkaniu. Pragnęła przed nim uciec, tak jak w końcu uciekła od męża. W strachu. W bólu. Zmusiła się jednak do pozostania w pokoju.

Jak mógł to zrobić? Zabić jedną kobietę parę godzin po tym, jak kochał się z drugą? Jak człowiek mógł być zdolny do podobnej sprzeczności? Czulości, a potem nieoczekiwanego okrucieństwa? To nie było konieczne. Nie było. Nie rozumiała tego. Mimo techniki pozwalającej wejrzeć w każdą komórkę jego mózgu, umysł tego człowieka pozostawał dla niej

całkowitą zagadką. Czy to jej własny umysł nie pozwalał jej właściwie go odczytać? Czy inna kobieta lepiej rozumiałaby jej byłego męża i dręczące go demony, uśpione w jego głowie?

A zatem inne zabójstwa nie były kłamstwem. Z jakichś powodów to odkrycie nią wstrząsnęło. Wegener tłumaczył się kiepską pamięcią, ale umysł nie zapomina niczego. Wszystko zostaje zapisane, zachowane. Odnalezienie tego wymaga umiejętności. Może nie zabił wszystkich kobiet, o których mówił, ale z pewnością więcej niż jedną. Istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że znajdą się też pozostałe. Niech ktoś inny je skataloguje. Rozkopie ich groby. Ona już swoje zrobiła.

Nagle odkryła, że czuje dziwny zawód. Chciała, żeby był niewinny, żeby popełnił jedynie zbrodnię w afekcie. W jej oczach nie wyglądał jak potwór. Choć z drugiej strony, jej mąż także był bardzo przystojny...

Słyszając ciche buczenie, zerknęła na klawiaturę i przekonała się, że w pośpiechu niechcący nacisnęła cofanie. Podeszła do biurka, by je zatrzymać. Odczyt wskazywał, że cofnęła Wegenera do wieku sześciu lat. Zostały dwa dni do Gwiazdki. Bliskość świąt wzbudziła w Maddie dziwną ciekawość. Jak morderca spędzał Boże Narodzenie w szóstym roku życia? Łatwo można było się tego dowiedzieć - wystarczyło dotknąć paru klawiszy.

Włączyła dźwięk i powoli opadła na krzesło.

- Mamo, obudź się - usłyszała dziecięcy głos. Brzmiał płaczliwie i gniewnie. - Mamo, obudź się! Obudź się!

Mała dłoń potrząsnęła ramieniem kobiety. Kobieta leżała na kanapie, włosy zakrywały jej twarz, było przez nie widać zamknięte oczy i otwarte usta. Czyżby umarła? - zastanawiała się Maddie, sztywna z troski. Lecz tamta wymamrotała coś z rozdrażnieniem i odepchnęła dłoń dziecka. Nawet bez kasku

stymulującego mózg, Maddie wyobraziła sobie pijacki, alkoholowy oddech.

Obraz przesunął się w stronę choinki. Lampki nie świeciły, pod drzewkiem nie było prezentów.

Może leżały schowane w jakiejś szafie. Maddie nie wierzyła, by matka niczego nie kupiła. Po prostu tak bardzo upiła się w Wigilię, że zapomniała wyłożyć podarki. Ale niestety, nie było ich tam. I tak naprawdę nie było też matki.

- Obudź się! - zawołał, wydawał się coraz bliższy płaczu i ataku wściekłości. - Obudź się!

Maddie nacisnęła STOP. Na oślep przesunęła wspomnienia. Znow włączyła odtwarzanie. I powtarzała to przez kilka godzin, choć ani razu nie wróciła do chwili zbrodni.

Kiedy Peter miał dziesięć lat, przelatujący ulicą lotowóz zranił mu psa. Matka (Maddie nigdy nie widziała ojca) zabrała go do weterynarza, który uspił psa, choć wcześniej poinformował ją, że można by go ocalić. Odparła, że nie mają pieniędzy. Czekala zatem w recepcji, pozostawiwszy Petera i zwierzę w surowym gabinecie, ozdobionym holograficznymi obrazami anatomii zwierząt, przywodzącymi na myśl upiorne truchła w rzeźni. W czasie gdy lekarz szykował zastrzyk, małej piesek w objęciach Petera spoglądał tęsknie za okno, jakby nie mógł się już doczekać chwili, gdy skończą zabieg i będzie mógł wrócić na dwór, znow pojechać do domu. Peter wtulił twarz w futro na jego karku. Wcześniej Maddie też widziała, jak to robił. Pół godziny wcześniej patrzyła, jak tulił się do psa, który był jeszcze szczeniakiem. Znalazł go na wagarach - małe, zabłąkane stworzenie, które zapewne zginęłoby, gdyby go nie ocalił, nie dał mu domu. A teraz pies, którego przyniósł w objęciach do domu, w tych samych objęciach umarł, a ciałem Petera wstrząsało głośne łkanie.

Tego dnia matka nie uderzyła go, może ze współczucia. Lecz przy innych okazjach owszem. I za każdym razem

Maddie wzdrygała się, jakby to na nią spadał cios.

Przeskakiwała w przód i w tył w czasie, jakby przeglądała album ze zdjęciami. W liceum Peter wdał się w bójkę z jednym z chłopaków - poszło o dziewczynę, która obu im się podobała. Złoił go bezlitośnie, aż do krwi. Choć Maddie nie sprawdzała towarzyszących temu emocji, czuła, że to mu się spodobało. Że bardziej pragnął krwi niż dziewczyny. Tak czy inaczej, było to ostatnie wspomnienie, jakie obejrzała. Kluczowa scena, pomyślała, niczym wysadzenie mostu. Nie chciała oglądać więcej. Nie po tym, co zobaczyła przez ostatnie trzy godziny. Zupełnie jakby nie chciała zapamiętać go jako zabójcy.

Dziesięć minut drogi od niej mózg spoczywał na dnie zbiornika. Teraz, po wyciśnięciu z niego danych, zostanie zniszczony podczas drugiej egzekucji. Na razie jednak w pewnym sensie wciąż żył. Żył też na dwóch chipach w jej komputerze. Choć może to raczej życie po życiu? Jednakże seans dobiegł końca. W jej pokoju znów zapadł spokój, nocna cisza.

Samotność. Wokół, za murami, rozciągało się wielkie, zimne miasto. Punktown. Nawet w tym momencie umierali w nim ludzie. A inni się kochali.

Maddie siedziała, wpatrzona w ekrany, teraz bez wyjątku puste. Pionowe oko przyklejone do czoła spoglądało obojętnie. Lecz w prawdziwych oczach zakręciły się łzy. Bała się umysłu, do którego się zakradła. Nienawidziła człowieka, sprawcy tak wielu cierpień i śmierci. I opłakiwała małego chłopca, którym był kiedyś Peter Maxwell Wegener.

DROGOCENNY METAL

Następnym zespołem był DeVeined Shrimp, choomski kwartet. Jeden z członków grał na wielkim saksofonie z trzydziestoma klawiszami i idiotycznie szerokim ustnikiem, dopasowanym do charakterystycznego delfiniego uśmiechu od ucha do ucha. Wokalistka miała na sobie krótką czarną sukienkę. Przycięte krótko czarne lśniące włosy okalały twarz; kilometry warg pokrywała laserowoczerwona szminka, jeszcze bardziej przyciągająca do nich wzrok. Oczywiście Grey żył dość długo na Oazie, by nie dziwił go wygląd rodowitych Choomów; dość długo, by uznać wokalistkę za seksowną. Przyglądał jej się przez falującą zasłonę dymu z papierosa, słuchając karkołomnych wokaliz, w jakie zamieniła starożytną, choomską pieśń religijną, monotony hymn, który w jej ustach zamienił się w szaloną przejażdżkę kolejką wysokogórską. Mieli jego głos.

Członkowie poprzedniej grupy, Idiot Savant, kręcili się po klubie jazzowym, gadając z przyjaciółmi, którzy przyszli wesprzeć ich oklaskami i głosami podczas dzisiejszego konkursu zespołów. Grey Harlequin powędrował wzrokiem do paru z nich, pogrążonych w rozmowie, i jego oczy zwięzły się, jakby zapiekły go od dymu. Członkowie Idiot Savant byli robotami. Mieli instrumenty sprytnie wbudowane w ciała, tak że przypominali przesadnie barokowe, chromowane i mosiężne saksofony, którym nadano ludzkie rysy. Tylko jeden, wokalista, miał głowę przypominającą ludzką, pozbawioną wyrazu ślepą rzeźbę z mosiądzu o czarnych, ruchomych, gumowatych wargach. Klawiszowiec był chodzącym syntezatorem i liderem zespołu; przezywano go Organ. Grey i jego kumple nazywali go Wibrator.

Te maszyny i ich pobratymcy, były potomkami grupy robotów, pracujących niegdyś w pobliskich Paxtonskich Zakładach Samochodowych, zmiecionych z powierzchni ziemi podczas Wojny Związkowej przez robotników organicznych - w większości zwolnionych - buntujących się przeciwko zastępowaniu ich automatami. Większość maszyn wybito, lecz kilka przeżyło zamieszki w ruinach swego zakładu i innych, pośród zdziesiątkowanych fabryk. Kiedy tereny stopniowo zrekultywowano i odbudowano fabryki (po kolejnych bitwach z plemionami robotów, które nie chciały ustąpić prawa do gruntu), maszyny trafiły do opuszczonych tuneli metra, zamurowanych i zapomnianych po wielkim trzęsieniu ziemi. Tam, w dole, z pomocą sprzętu, który zabrały ze sobą z fabryk, i nowego, który same zbudowały, zrodziły kolejne pokolenia robotów, nieznających organicznych panów.

Cóż za aroganckie, paskudne twory, pomyślał Grey, przyglądając im się pod poszarpaną osłoną dymu. W dodatku konkurencja... Bo choć stworzyły własną, hermetyczną społeczność wewnątrz większej społeczności, nadal potrzebowały pieniędzy, by kupować części i materiały do swych tajnych, nielicencjonowanych wytwórni. Ze względu na swe pochodzenie nie mogły wynajmować się do legalnych zajęć. Zresztą i tak nie zgodziłyby się na to, nie pozwoliłaby im duma. Zamiast tego produkowały na skalę masową coś, co pozwalało im zdobyć niezbędne fundusze - urządzenie zwane hajerem, które istoty organiczne mogły ukryć w kieszeni, przekazujące sygnały do samoprzylepnego dysku, przyczepionego do skroni właściciela (dyski te oferowano w różnych kolorach dopasowanych do skóry). Hajer za pomocą dysku przesyłał sygnały rozkoszy do mózgu. Można było różnie ustawić ich intensywność, a same hajery sprzedawano w kilku odmianach - jedne wywoływały cudowne

halucynacje, niektóre potęgowały rozkosz seksualną, inne (często noszone przez uliczne gangi) wywoływały podniecającą żądzę przemocy. Czy wredne maszyny zastanawiały się w ogóle nad tym, jak ich wynalazek wpływa na istoty organiczne (Grey był pewien, że czerpały satysfakcję z faktu, że wzmagają zepsucie istot żywych, których nienawidziły).

A jednak Idiot Savant miał swych ludzkich przyjaciół i fanów, którzy gawędzili z nimi teraz. Zdrajcy, pomyślał Grey. Ładna podpita kolonistka obejmowała ramieniem wokalistę. Posunęła się nawet do tego, by ucałować mosiężny policzek. To pewnie hajerka, zadrwił w myślach. Nie wątpił, że twór spał z tą laską.

Na dworze prószył śnieg (Kontrola Pogody nie pozwalała na nic więcej - tylko tyle, by przywołać atmosferę zbliżających się świąt, ale nie dość, by zablokować ruch uliczny). Do klubu weszli dwaj mężczyźni; płatki śniegu migotały na ramionach ich ciężkich płaszczy i rondach kapeluszy. Jeden był rasy orientalnej, drugi białej. Grey uznał, że są nieszkodliwi; odwrócił wzrok i właśnie zapalał świeżego skręta, kiedy dostrzegł kątem oka, jak przechodzą szybko przez parkiet i jednocześnie sięgają pod kłapy długich płaszczy.

W chwili, gdy jego wzrok powędrował ku nim, w zadymionym klubie eksplodowały światła i zabrzmiało głośnie, ostre szczekanie broni. Biały strzelał z jednego pistoletu, żółty z dwóch, po jednym w każdej ręce. Broni nie wyposażono w tłumiki dźwięków ani błysków: musieli pragnąć dramatycznego widowiska. Ludzie zaczęli krzyczeć, wchodzili pod stoły. Pękało szkło, muzyka DeVeined Shrimp ucichła nagle.

Grey nie rozpoznał zabójców, założył zatem z początku, że to ludzie Neptune'a Teeba, głównego barona zbrodni z

Punktown, i o mało sam nie poszukał sobie kryjówki. Lecz chwilę później zrozumiał, o kogo im chodziło. O członków zespołu Idiot Savant.

Kule rzuciły Organem o ścianę, szarpał się i wzdrygał spazmatycznie, jak robał przyszpilony przez sadystyczne dziecko. Syntezatory wbudowane w jego ciało piszczwały i zawodziły w ogłuszającej kakofonii. Jeden z robotów śmignął w stronę drzwi, lecz Azjata wycelował w niego oba podskakujące pistolety. Robot padł, jeszcze chwilę gramolił się na swych odpowiednikach rąk i nóg, a potem runął na brzuch i znieruchomiał. Żółty zabójca ostrzeliwał go jeszcze przez moment. Kule dziurawiły mechaniczne części, odbijały się od innych. Humanoidalny Tikkihotto, z pękami przejrzystych macek zamiast oczu, dostał w szczękę rykoszetem i poleciał na ziemię.

Wokalista otworzył czarne gumiate usta w szerokie O, błagając o litość, lecz biały mężczyzna wyciągnął rękę i zaczął strzelać tak szybko, jak na to pozwalał palec. Pociski powgniatały jedynie mosiężną twarz, lecz te, które trafiły w gardło, wzbudziły łuki fioletowej elektryczności, strzelające wokół niczym szarpane wiatrem wstążki.

Rykoszet strzaskał szklany kufer Greya, który rzucił się bokiem na ziemię. Miał nadzieję, że oślepiająca go lepka ciecz to piwo, a nie krew z przebitych odłamkiem oczu.

Kanonada ucichła, a zabójcy najprawdopodobniej uciekli. Grey podniósł się z podłogi, odzyskawszy już wzrok i usunąwszy piwo z oczu. W klubie nadal panował zgiełk, bo ludzie wciąż krzyczeli. Otrzeptał turkusową sportową kurtkę, ogarnął wzrokiem zniszczenia i zachłysnął się, widząc martwego wokalistę, leżącego obok szafy grającej. Z jego korpusu wciąż strzelały łuki elektryczne, poprzez kolczyki łączące go z kobietą, która go pocałowała. Ona także była martwa, oczy miała półprzymknięte, umalowane szminką usta

rozchylone. Pośrodku głębokiego dekoltu widniała okrutna, krwawiąca rana. Wokół kucali ludzie, bali się jednak dotknąć ciała, bo prąd wciąż łączył je z mechanicznym zewłokiem. Grey odruchowo postąpił kilka kroków w stronę ponurej sceny, zatrzymał się jednak, gdy zbolące twarze zwróciły się ku niemu, patrząc oskarżycielsko.

- To zrobili twoi kumple, Harlequin! - wrzasnęła jedna z kobiet.

- Z pewnością to był wypadek - wymamrotał i już wymawiając te słowa, poczuł obrzydzenie do siebie za te wymówki.

- Obląkani psychopaci! - darła się kobieta. - Gangster! - Wstała z ziemi, pokazując Greya palcem i krzycząc całą mocą swych całkiem pojemnych płuc. - Jego kumple to zrobili! Gangsterzy! To gangster! - Strząsnęła z siebie dłoń ostrożniejszego przyjaciela, który próbował ją odciągnąć.

Grey uznał, że to dobra chwila, by opuścić lokal, i ruszył do drzwi. Wyszedł na zaśnieżoną ulicę. Odprowadziły go dziesiątki oczu, a choć wszyscy stali klienci musieli wiedzieć już wcześniej, że był dzielnicowym dowódcą triady, jednego z najpotężniejszych, zorganizowanych syndykatów zbrodni Punktown, nadal czuł się zakłopotany, może wręcz zawstydzony.

Właściciel klubu, świadom jego pozycji, pozwalał Greyowi parkować na parceli na tyłach. Zapaliwszy świeżego papierosa, by choć odrobinę rozgrzać się w mroźnym, zimowym powietrzu, prawie już dotarł do lotowozu, gdy usłyszał dziwny, ukradkowy szelest - czy może tupot - i zwolnił. Dłoń wsunęła zapalniczkę do kieszeni kurtki i wyłoniła się ponownie, dzierżąc kanciastą bryłę pistoletu automatycznego, załadowanego kapsułami plazmowymi wysokiej mocy.

Ściskając broń oburącz, obrócił się przy masce i ujrzał olbrzymiego owada, opartego o brudną, kafelkową ścianę klubu. Opancerzony odwłok połyskiwał miejscami odbitym blaskiem świątecznych lampek. Nie - to nie był owad, lecz jeden z robotów z klubu; w korpusie ziały dziury, z kilku mechanicznych ran sączył się żółtozielony płyn. Kończyny poruszały się niczym w agonii, szpony drapały rozpaczliwie o ziemię i ściennie płytki. Chwilę później Grey rozpoznał w nim jednego z członków Idiot Savant, zbudowanego głównie z jasnobłękitnego stopu. Podczas występu, w pewnym momencie robot ten niezwykle rozbawił publiczność, wygrywając partie perkusyjne na różnych częściach swojej anatomii. Gdy zaczął bębnić po metalowym kroczu, publika zareagowała rykami zachwytu.

Oszołomiona maszyna uniosła to, co zapewne służyło jej za bezoką głowę, i obróciła w stronę Greya. Jego maszyna, pistolet, patrzyła na nią beznamiętnie jednym pustym, czarnym okiem.

Robot miał szczęście - udało mu się ująć z rzezi. Ale czy aby na pewno szczęście, biorąc pod uwagę to, jaki nędzny widok sobą przedstawiał? Czy istotnie cierpiał, czy też to była jedynie reakcja nerwowa? Czy mógł wpaść w panikę w obawie o swe sztuczne życie? Nie wydając żadnych dźwięków, patrzył na niego. To był jeden z wrogów. Grey pomyślał, że powinien go wykończyć, ostatecznie nikt by się nie zorientował. W odróżnieniu od broni zabójców, jego pistolet był dyskretnie wytlumiony.

Nie czuł jednak wrogości wobec tego nieszczęsnego, bezradnego tworu. Jeśli miałby strzelić, to bardziej z litości, by uwolnić go od cierpień, niezależnie od ich natury.

- A, do diabła z tym - mruknął bardziej do siebie niż do automatu. - Już prawie Gwiazdka.

Wepchnął pistolet do kieszeni kurtki i wszedł do wozu.

Nie tracił czujności, w obawie, że robot mógłby skoczyć na niego teraz, kiedy Grey nie ma broni, ale tamten jedynie obserwował go uważnie.

Być może umrze z odniesionych ran, może odczołga się i współbracia zdołają go naprawić. Przynajmniej dał tej żalostnej istocie szansę. Po ciężkich oskarżeniach, jakie usłyszał w klubie, poczuł się lepiej, mogąc okazać litość. Przynajmniej odrobinę lepiej...

Zostawił robota skulonego pod ścianą i odjechał w śnieg i noc.

Następnego popołudnia nadal padał śnieg; okna arabskiej restauracji okalały sznury kolorowych lampek. Grey wybrał kurczaka, a jego towarzysz jagnięcinę. Ng Yueh-sheng, przywódca triady, wielokroć żartował, że to ich wspólne upodobanie do bliskowschodniej kuchni sprawiło, że mianował Greya kapitanem. To i zbliżony gust muzyczny.

- Wiesz, jak uwielbiam jazz - powiedział Ng, wyjaśniając zamach z poprzedniego wieczoru. - Rzygać mi się chce na myśl, że maszyny mogłyby wygrać w konkursie jazzowym z takim cudownym zespołem jak Shrimp. Roboty miałyby ukraść tę niezwykłą, obcą im muzykę, przywłaszczyć ją sobie, tak jak próbują zabrać nam wszystko inne: pracę, zwykłych robotników, mój interes...

- Dla Choomów także jazz jest obcy - przypomniał najuprzejmiej jak umiał Grey. - A jednak nie zostali zabici.

Nie śmiał naciskać i dodawać, że zazwyczaj jazzu nie kojarzy się również z Chińczykami.

- Choomowie są niemal jak ludzie. Ich uczucia to nie fałszerstwo i naśladownictwo, jak u robotów. A, co jeszcze bardziej chore, te śmiecie zapewne szczerze wierzą w autentyczność swoich emocji. Nie chodziło jednak tylko o to, że zirytowały mnie maszyny grające jazz, Grey. Przysłał je

gang Śrub. To wrogowie, wdzierający się na moje terytorium i szukający przyjaciół, którzy później zostaliby dealerami. Miałem tego dosyć. Czas przegnać te maszyny z powrotem w podziemie. Ściągnąłem zatem parę spluw z klanu mojego brata na Ziemi, by uniemożliwić identyfikację. Uznałem, że lepiej załatwić to publicznie, by tutejsi ludzie zastanowili się, nim znów zaczną się zadawać z blaszanymi żołnierzami i kupować od nich prochy.

- Boję się tylko, że mogliśmy zrazić do siebie miejscowych, proszę pana. Nie spodobało im się, że zginęła przypadkowa osoba, a inna odniosła rany. Policji też się to nie spodoba.

Ng uniósł swą miękką dłoń w lekceważącym geście.

- Z okazji świąt jednorazowo podwoję im pensje. To oczyści ich sumienia.

- Po prostu, trochę mi głupio z powodu niewinnych ofiar.

- Mój drogi chłopcze, jak dotąd nigdy nie sprawiałeś na mnie wrażenia tak czulego. - Ng uśmiechnął się, wypowiadając te słowa. Wielu jednak nauczyło się lękać uśmiechów Ng Yueh-shenga.

- Nie jestem mięczakiem. Tylko... nigdy nie wcześniej nie widziałem ginących niewinnych i pomyślałem... Pomyślałem, że mądrzej byłoby nie ustanawiać precedensów.

- Możliwe, że ludzie mego brata są okrutniejsi niż moi - przyznał Ng. - Na Ziemi muszą tacy być. Nie odwiedzałeś jej od czasów dzieciństwa, prawda? Nie jest tam lekko, mój chłopcze. Na każdej ulicy czają się nastoletni mordercy, przy których Peter Maxwell Wegener wygląda jak ministrant.

Grey westchnął, wbijając wzrok w małą filiżankę espresso, pełną kawy tak mocnej, że niemal gęstej.

- Czy znałeś ofiary osobiście, Grey?

- Nie.

- W takim razie spróbuj o nich zapomnieć. Każę posłać

rodzinom trochę grosza, oczywiście anonimowo.

Grey skinął głową, świadom, że gest Ng ma nie tyle kupić milczenie pogrążonych w żalu rodzin, ile uspokoić jego. Zdawał też sobie sprawę, że szefem nie kieruje szczerą troską. Grey Harlequin pomyślał, że to ironia: uczucia jego towarzysza były równie fałszywe jak maszyny, przeciw którym się burzył.

A choć on sam nienawidził Śrub, często zastanawiał się, czy - niezależnie od pierwotnego pochodzenia robotów - ich obecne emocje nie są równie autentyczne jak jego.

Fakt, że Ng zorganizował zamach na terenie Greya i nie uprzedził go o tym, nie był dobrym znakiem. Być może świadczyło to o braku zaufania; rozczarowania. A w tym biznesie rozczarowanie mogło być śmiertelnie groźne. Ich dyskusja w restauracji, choć spokojna, mogła jeszcze wzmocnić owo poczucie zawodu. Może byłoby dobrze wynieść się z Paxton - „miasta pokoju”, które mieszkańcy nazywali Punktown - póki jeszcze może...

Grey zastanawiał się nad tym, a tymczasem nadeszła Gwiazdka, a wraz z nią zaproszenie na coroczny bal u Ng, jak gdyby nic się nie stało. Miał się odbyć w luksusowym hotelu Paradiso; Grey zaprosił na niego młodą kobietę, z którą spotkał się po raz pierwszy w zeszły weekend. Poznał Marię w klubie jazzowym, a że miała podobny gust muzyczny, od razu świetnie się porozumieli. Może oczaruje Ng dość mocno, by zmniejszyć subtelne napięcie, jakie zapanowało pomiędzy Greyem i jego szefem.

Maria wyglądała równie pięknie jak owego pierwszego wieczoru, gdy usiadła obok przy barze. Kiedy Grey przyjechał po nią, zmierzył ją wzrokiem i z podziwem pokręcił głową, a ona się roześmiała. Miała na sobie obcisłą, metaliczną suknię, czerwoną jak gwiazdkowa folia. Pełne, szerokie usta

pomalowała na ten sam kolor. Wyglądała jak uosobienie zmysłowości, niemal nieludzka w swej doskonałości, cielesne marzenie każdego mężczyzny. Grey tak bardzo jej pragnął, że czuł głęboki fizyczny ból, lecz podczas pierwszej randki uprzejmie oparła się próbom uwiedzenia. Wolał nie naciskać; nie chciał ryzykować, że ją zniechęci. Och, jakimż cudownym stanie się dziś prezentem, gdy rozwinie tę folię na niej...

Na parkiecie objęli się i zaczęli kołysać sennie w rytm gwiazdkowego nagrania z zamierzchłej przeszłości.

- Kto to? - spytała, przeciągając głoski i uśmiechając się. Z bliska jej uroda aż bolała. Miękkie piersi napierały na niego. Potrzebował kilku chwil do namysłu.

- Bing Crosby.

- Bing. Brzmi jak Choom.

- Nie, to dwudziestowieczny, ziemski śpiewak.

- Ładne. Twój szef ma eklektyczny gust. Sprawia wrażenie miłego człowieka. Oczywiście słyszałam różne historie...

Nie od Greya. Był jednak ciekaw.

- Jakie?

- Słyszałam o grupie robotów, zastrzelonych w naszym ulubionym klubie, parę tygodni temu. Ludzie powiadają, że stał za tym twój szef.

Grey rozejrzał się i przysunął usta do jej ucha, muskając pachnące czarne loki.

- Oczywiście nie przyznaję, że wiem cokolwiek o tej sprawie, ale słyszałam, że uraziła go myśl o robotach grających jazz.

- Jeśli to był powód, to chory. Myślałam, że chodziło o hajery, które sprzedają roboty. Myślałam, że twój szef podejrzewał członków Idiot Savant o dealerkę.

- Hajery niewątpliwie odegrały swoją rolę. Ale muzyka także.

- Mówisz z dezaprobatą. To dlatego, że postąpił tak okrutnie czy że zachował się irracjonalnie?

Niemal otarli się o drugą parę, kapitana triady z innej dzielnicy i jego kochankę.

- Pomówimy o tym później, dobrze? - wyszeptał Grey. Przyciągnął ją nieco bliżej, starając się, by nie wyglądało to lubieżnie. - Może Nowy Rok także uczymy razem?

Maria wahała się przez sekundę, podczas której serce Greya zamarło, zawieszony nad głęboką studnią.

- Będzie mi bardzo miło - szepnęła w końcu zmysłowo. Ale nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie i serce Greya nie do końca wróciło na miejsce.

- Nie musisz przychodzić, jeśli masz inne plany - odparł. Nawet we własnych uszach zabrzmiał jak zraniony chłopczyk.

Tym razem to Maria objęła go mocniej.

- Lubię cię, Grey - wyszeptała, niemal muskając mu wargami ucho. - Jesteś miłszy, niż oczekiwałam po gangsterze.

Zachichotał, zakładając, że to żart. Przypomniał sobie oskarżenia, jakie usłyszał w klubie tamtego straszego wieczoru.

- Mogę odbić?

To był Ng, podkradł się do nich od tyłu. Zawstydzeni swoją bliskością, Grey i Maria niemal odskoczyli od siebie.

- Jasne - odparła z uśmiechem Maria, nim Grey zdążył się odezwać.

Ng ujął ją za rękę.

- Cóż za urocza dziewczyna, mój drogi chłopcze. Maria. - Wymówił to słowo jak muzykę. - Co za piękne imię.

- Moje nazwisko nie jest równie piękne. - Zaśmiała się. - Rotwang.

- No cóż. - Ng zachichotał. - Każdy musi mieć co najmniej jedną wadę.

Maria objęła przywódcę triady.

- Grey - rzekła ponad jego ramieniem. - Mógłbyś mi przynieść papierosy? Zostawiłam je w kieszeni płaszcza.

- Poślij po nie kelnera, Grey - wtrącił Ng. Oboje tańczyli już parę kroków od niego.

- Och, mam nadzieję, że Grey nie obawia się krótkiej przechadzki - rzuciła Maria.

Grey uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przyniosę je.

Odwrócił się i ruszył przez wielką, zatłoczoną salę.

Pozbyła się go, żeby zostać sama z Ngiem. Było to oczywiste i Greyowi zbierało się na wymioty z wściekłości. Z wściekłości i bólu. Mimo gadania o okrucieństwie Ng, teraz udawała oczarowaną. Owszem, jak na swój wiek był całkiem atrakcyjny, ale co ważniejsze, miał wielką władzę i majątek. Czyżby spotkała się z Greyem tylko po to, by się do niego zbliżyć, posłużyła się nim do osiągnięcia właściwego celu? Czuł się oszukany, wykorzystany. A może przesadzał? Może powinien parę minut postać w holu, pozbierać myśli i zapalić. Miał jednak ochotę minąć szatnię, przejść przez hol, wyjść w noc i na zawsze opuścić to pieprzone miasto.

Kiedy dotarł do szerokich, podwójnych drzwi sali, zawahał się i nie zdołał powstrzymać odruchu. Obejrzał się, szukając wzrokiem przytulonej pary. Odnalazł ją natychmiast. W istocie Maria także na niego patrzyła. Czyżby obserwowała go cały czas? Już miał odwrócić się z niesmakiem, kiedy do niego pomachała. Czy to szyderczy gest, czy też mający dowieść, że wciąż jest nim zainteresowana? Grey z westchnieniem uniósł niechętnie rękę, by pomachać. Z uśmiechem na ustach Maria eksplodowała.

Rozbłysk oślepił Greya. Ułamek sekundy później dotarła do niego ogłuszająca fala uderzeniowa, która cisnęła nim w tył. Poczul, jak odłamki rozdzierają mu skórę. Uderzył

plecami o przeciwległą ścianę wyłożonego dywanami holu.

Osunął się tam, oparty o ścianę; z ran po odłamkach płynęła krew. Z miejsca, w którym siedział, widział salę balową, teraz przypominającą zamglone pole bitwy. Usłyszał kilka krzyków, głównie jednak jęki i westchnienia, a nade wszystko ciszę. Z głębi korytarza, ze schodów na górze dobiegały głosy gości hotelowych.

Triada została unicestwiona w jednym ataku. A jednak Maria go wykorzystała.

Rotwang. Dopiero teraz, w obliczu tego wszystkiego - gdy tak siedział, myśląc spokojnie, jasno mimo szoku - zrozumiał jej żart. Uwielbiał starą ziemską sztukę. Powinien był wcześniej się połapać. Metropolis...

Na progu leżał poszarpany korpus mężczyzny, siła wybuchu oderwała głowę i kończyny, zerwała też smoking. Na dywanie, obok stóp Greya, kołysała się płytka misa porośniętej włosami czaszki. A między torsem i czaszką ujrzał czarną, dymiącą kobiecą rękę. Miejscami ciało było tak zwęglone, że przezierały spod niego kości - lśniące metalowe kości. Jasnobłękitny stop.

Czy była tym samym stworem, którego oszczędził na tyłach klubu jazzowego? Przyszła zemścić się na Ngu za jego zbrodnię, zniszczyć konkurencję? Czy została naprawiona, a potem pokryta pięknie stworzonymi warstwami sklonowanego ludzkiego ciała? Upiorny, gwiazdkowy prezent, jakże starannie opakowany? Męczennica swego ludu, nowa świąteczna święta?

Tak, uznał. I bez wątpienia odesłała Greya, by go oszczędzić. By zrewanżować mu się za jego współczucie. Lecz czy pozwolenie, by żył i oglądał śmierć innych, miało być drwiną, szyderstwem, czy prawdziwym gestem miłosierdzia?

Jego wzrok znów powędrował ku owej ręce o błękitnych

kościach. Miękkiej, delikatnej ręce, którą trzymał za ledwie parę minut wcześniej.

Grey jęknął i się skrzywił. Nie wiedział, czy umrze, czy przeżyje, by móc opuścić miasto. Ale nieważne, co nią kierowało, Maria dała mu przynajmniej szansę.

SIOSTRY NIEMIŁOSIERDZIA

Czekając na powrót Ayn z videm z jej misji, pozostała piątka oglądała kanał Złych Facetów. Był to dość nowy kanał w Punktown, choć leżące u jego podstaw idee wywodziły się jeszcze z epoki sprzed kolonizacji planet. W dzisiejszych interesach, w dzisiejszym świecie istniała nowa moda, nowe kluczowe słowo, nowy wszechobecny ideał: „zły”. Na rynku królowały książki w stylu „Strategie zła w biznesie”, „Stań się zły” i „Żyj źle!”. Słowem tym częściej posługiwali się mężczyźni, choć ich kobiece odpowiedniki wcale nie ustępowały im w bezwzględności ambicji i dążeń. Ta piątka młodych kobiet, po skończeniu college'u wykorzystała zdobyte tu i wyszlifowane mordercze zdolności... i bez wątpienia poślubi w końcu mężczyzn z gatunku tych, których teraz podziwiała.

Dwaj mężczyźni w holozbiorniku, nienaturalnie powiększeni - jeden przeprowadzał z drugim wywiad - mieli ogolone, napiętnowane głowy. Gość, popularny i często zapraszany N. Ron Hubherd, opowiadający właśnie o niedawnej śmierci w zamachu swego współnika, nie miał lewego ucha - sam je sobie odciął podczas rytualnego spotkania biznesowego, na którym złożył też w ofierze owieczkę. Pokazano to tydzień wcześniej.

- Oto prawdziwie zły facet z jądrami - mruknęła Gale. Jej kocie usta wygięły się w pożądliwym uśmiešku. - Rob Malice myśli, że jest super, bo obciął sobie palec: słyszałam, że potem o mało nie zemdłał. Gdyby kiedyś spotkał tego gościa, tak by się zawstydził, że chyba kazałby go sobie z powrotem sklonować.

- Cóż za ohyda - zgodziła się oparta o bar Shivka;

trzymająca papierosa ręka kołysała się leniwie. - Te wszystkie robaki, które myślą, że są takie złe.

- Rob nie będzie musiał przegryzać nikomu gardła. Tatuś poda mu biznes na tacy. Robal nie ma jader.

- A skoro mowa o jądrach - wtrąciła Alexandra - idzie Ayn.

Ayn uśmiechała się szeroko, jej oczy miały zamglony, szklisty wyraz, jak u niektórych świeżo po seksie.

Na razie nie zadawały pytań - chciały zobaczyć same. Choć mogły zgadnąć jak jej poszło, wciąż pragnęły poznać szczegóły.

Kanał Złych Facetów zniknął, zastąpiony sceną nakręconą z perspektywy osoby stojącej na ulicy, ogladaną przez specjalne, noktowizyjne okulary, które Ayn założyła na tę okazję. Skąpana w deszczu ulica, błyszczące chodniki, połyskujące, brudne, białe ścienne kafle. Szybująca kamera skręciła w alejkę; słyszały chrzęst stłuczonego szkła i gruzu pod obcasami Ayn. W tej uliczce nie znalazła tego, czego szukała. Kamera popłynęła kolejnym rozwidleniem, wypełnionym kłębamii pary tryskającej z sykiem z rzędu zaworów. Coś małego i czarnego zeskoczyło spłoszone z zepsutej spalarki śmieci.

- Kurwa. - Usłyszały sapnięcie Ayn i roześmiały się.

- Przestraszyłaś się? - spytała Gale.

- No wiecie, ktoś mógł na mnie napaść. Zazwyczaj nie odwiedzam podobnych dzielnic.

- Mam nadzieję.

Umilkły z szacunkiem, bo widać było wyraźnie, że kamera zbliża się do większej czarnej postaci, zbyt oszołomionej, by się spłoszyć, niemal nieruchomej. Obserwując zbiornik holograficzny, pozornie wypełniony kłębamii pary, czuły się tak, jakby one same stały nad tym skulonym pod ścianą człowiekiem. Zresztą, jak dotąd, mógł to

być vid każdej z nich. Ayn była najnowszą kandydatką. Dobrą „nowicjuską”, jak ją nazywały... ale teraz zyskała szansę prawdziwego wstąpienia do stowarzyszenia. Na uniwersytecie w Paxton stanowiły elitę - tajemnicze, budzące zazdrość, Siostry Niemiłosierdzia.

Tak, Ayn wyraźnie zdecydowała się na tego. Zaśliniony śmieć bełkotał, plując wokoło, i w końcu wyszczerzył zęby z pełną niedowierzania rozkoszą, która o mało nie przegnała z jego mózgu pijackiej bądź narkotycznej mgiełki, gdy Ayn rozpięła poplamione spodnie, zsunęła je i pochyliła się nad nim. Kamera podążała w ślad za nią. Zbiornik wypełnił oglądany przez nią obraz. Puszcza porastających nogi włosów. Siostry wiwatowały i klaskały.

- Ani cienia wahania! - wykrzyknęła zachwycona Alexandra.

- Masz to coś. - Gale pokiwała głową. - Masz to coś, dziewczyno.

- Jesteś piękna - powiedział pijak w alejce. - Taka piękna. A potem krzyknął.

Obraz z kamery się trząsnął. Usłyszały, jak Ayn sapie. Mężczyzna krzyczał dalej. Teraz Ayn krzyknęła, słyszały wyraźnie jej głos, bo miała wolne usta.

- Złapał mnie za włosy - wyjaśniła.

Kamera znów podleciała bliżej. Zatrzęsła się gwałtownie z boku na bok. Ujrzały krew, usłyszały jęk Ayn.

- Boże - mruknęła Gale. - Nie wierzę, że faktycznie tak to zrobiłaś.

- Powaga - dodała Shivka.

Teraz nie krzyczały już i nie klaskały, patrzyły tylko z oszołomieniem, niemal nabożnym podziwem. Wszystkie dotąd użyły noży, skalpeli bądź nożyc. Ayn oznajmiła, że wystarczy jej własne zęby. Sądziły, że to nierealne, i Gale, przewodnicząca, kazała jej zabrać nóż, wiedząc, że nawet ona

nie poradziłaby sobie zębami.

- Nie uda ci się tak tego zrobić - ostrzegła wówczas Ayn.

- To naprawdę coś, mała - rzekła teraz, gdy vid dobiegł końca. Zapaliły światła i w końcu Siostry zaczęły klaskać - choć wciąż raczej bez entuzjazmu. Ayn wręczyła Gale butelkę zawierającą skarb zdobyty podczas misji. Inicjacja dobiegła końca.

Pozostałe zebrały się wokół, patrząc, jak Gale piętnuje lewą pierś Ayn symbolem Sióstr Niemiłosierdzia. Potem rozpoczęły zabawę. Podziw nieco osłabł, zaczęły ścisnąć Ayn i klepać ją po plecach.

- Może wrzucimy go w blender - zaproponowała pijana własnym sukcesem - i domieszkamy do drinków? To byłoby niezłe zwieńczenie rytuału.

- Boże, Ayn, już przeszłaś inicjację, spokojnie. - Gale zaśmiała się ze zdumieniem.

Podczas imprezy Ayn ponownie puściła vid, zatrzymując na niektórych ujęciach. Po kilku dalszych drinkach odtworzyła go raz jeszcze, cofając. Shivka odciągnęła Alexandrę na bok.

- Kiedyś Ayn będzie szefować korporacji, nie sądzisz?

Był nie tylko pijanym, bezrobotnym żywym śmieciem, ale w dodatku mutantem. Wodniste, błękitne oczy wielkości zaciśniętych pięści, kosmyki białych włosów. Cuchnął gównem, szczynami i wódką. Ayn stała, górując nad nim, a on mrugał, patrząc na nią bezmyślnie.

Istotnie była piękna, jak powiedział pierwszy włóczęga. Jasne włosy upięte w kok, ciało wokół jej oczu, warg, na całej twarzy, seksowne i lekko obrzmiałe. Modnie blada, o jaskrawoczerwonych wargach, ubrana w kostium z zielonego jedwabiu. W torebce, na wypadek gdyby jej przeszkodzono, miała broń.

Mutant z całą pewnością nie był atrakcyjny. I nie miał

pracy. Mężczyzna bez pracy. Bez kariery. Bez ambicji. Nie zasługiwał na ów mały skrawek ciała, pozwalający mu nazywać się mężczyzną na równi z tymi, których Ayn podziwiała pożądliwie na kanale Złych Facetów.

Wyjęła z torebki okulary.

- Kim ty w ogóle jesteś? Pracujesz w opiece społecznej? - spytał śmieć u jej stóp, jakże doskonale dopasowany do otaczającej go ruiny i zgnilizny. Wytrzeszczając oczy, wyglądał jak ryba.

Durny dziwoląg. Co w ogóle wiedział o społeczeństwie, o pracy? Z rozmysłem się odurzał, by ich unikać. Ale ona wkrótce przegna jego odrętwienie...

Krew bryznęła wewnątrz zbiornika holograficznego, zamienionego w akwarium bólu. Gale otworzyła usta, by coś powiedzieć. Siostry zebrały się jak co tydzień, pierwszy raz po ceremonii inicjacji Ayn. Ayn przyniosła im do obejrzenia vid. Teraz, kiedy scena dobiegła końca, Gale czuła, że powinna coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nim zdążyła, rozpoczęła się druga część. Tym razem był to tłusty, czarnoskóry mężczyzna. Ayn odwróciła się do pozostałych z uśmiechem.

- Przy nim włożyłam na głowę obcisły czepek kąpielowy. Po ostatnich dwóch wolałam osłonić włosy.

- Ayn...

- Patrzcie.

Mężczyzna walczył. Ból niemal go ocucił, a był silny. Obraz z kamery szarpał się i miotał. Usłyszały, jak Ayn przeklina, upadając, odepchnięta stopą bezdomnego. Wyprostowała się. W polu widzenia pojawił się pistolet. Wycelował. Strzelił cicho raz, drugi. Teraz konwulsje wstrząsające ciałem mężczyzny były już tylko odruchem.

Kamera podleciała niżej, znów rejestrując obraz z bliska.

Gdy scena dobiegła końca, Gale niemal spodziewała się trzeciej. Ale nie.

- Ayn... - Uniosła ręce. - Co to, kurna, było? Przecież już raz przeprowadziłyśmy twoją inicjację.

Ayn uśmiechnęła się z zażenowaniem, powiodła wzrokiem od Gale ku pozostałym czterem i z powrotem.

- Zrobiłam to głównie dla naszej rozrywki... Nie sądzicie, że było mocne? Porządna, solidna inspiracja i zabawa, jak u Złych Facetów, prawda? O co wam biega?

- Ayn, to jednorazowy, symboliczny rytuał, nie hobby, jasne? Jesteśmy Siostrami, najważniejszym stowarzyszeniem w dziejach UP, nie klubem wampirzyc.

Usta Ayn się rozchyliły. Wytrzymała spojrzenie Gale, ale nie mogła się zmusić, by znów zerknąć na czwórkę towarzyszek. Krew napłynęła do jej seksownie obrzmiałej białej twarzy, pokrywając ją wysypką czerwonych plam.

- Nie jestem wampirzycą, Gale.

- W takim razie co, znalazłaś sobie nową zabawę? A może zatrudniłaś się jako zabójczyni w triadzie Yueh-shenga i zapomniałaś nam powiedzieć?

- Myślałam, że podziwiałaś to, co zrobiłam!

- Owszem... podziwiałam, ale... nie do końca mi się podobało. Ja... - Gale wyprostowała się, lekko zadzierając brodę - nie jestem pewna, czy kieruje nami ta sama motywacja.

- O czym ty mówisz, Gale? Chcę tego co wy: być zła!

- Ayn... Zechcesz na parę minut przejść do drugiego pokoju? Proszę?

- Po co?

- Żebyśmy mogły porozmawiać.

- Porozmawiać? O czym?

- O głosowaniu.

- Ach. Rozumiem. Tak właśnie podejrzewałam.

- Proszę, przejdź do sąsiedniego pokoju, Ayn. Dobrze?

- A. No dobra. Jasne.

Spokojna i opanowana, lecz z twarzą nadal pokrytą rumianymi plamami, Ayn wyjęła swój dysk vid i schowała do kieszeni, po czym wymaszerowała z pokoju, stukając czarnymi szpilekami.

W chwili gdy zamknęły się za nią drzwi, Shivka zaczęła kręcić głową.

- Zanadto ją to wciągnęło. Jest zbyt dramatyczna, zbyt niedojrzała.

- Próbuje przebić nas wszystkie - wtrąciła Alexandra.

- Wylatuje. Nie czuję się z tym dobrze - przyznała Gale. - Pod pewnymi względami ma dość jąder za dziesięciu Złych Facetów. Ale musi nauczyć się właściwie skupiać swoją energię. Jest bardzo niedojrzała.

- Zawsze możemy pozwolić jej spróbować za rok - mruknęła Alexandra. - Może po tej nauce przestanie się tak popisywać.

- Musimy zachować klasę i godność - oświadczyła Gale, ruszając ku drzwiom, by wezwać Ayn. Najpierw jednak zwróciła się do całej czwórki. - A zatem przegłosowałyśmy.

Nikt nie sprzeciwił się jej decyzji, toteż rozsunęła drzwi.

- Ayn. Zechcesz, proszę, tu wrócić?

Ayn weszła. Jej jedwabny, szmaragdowy żakiet i spódnica połyskiwały, głowę wieńczył nieskazitelny kok, doprowadzony do porządku po szarpaniu włosów i czepku ochronnym. Starła rozmazaną szminkę i wargi znów odcinały się ostro od białej skóry, jak u gejszy. Wyglądała jakby swobodnie wchodziła na posiedzenie rady nadzorczej, prezeska nowej, odpowiednio drapieżnej korporacji. To ona była przywódczynią i miała przemówić do zebranych, zadecydować o ich losie. Ostatecznie, czy nie okazały się oślizłymi, małymi robalami, którymi ponoć tak gardziły?

- Ayn... - zaczęła Gale.

- Tak? - spytała Ayn, po czym strzeliła jej w twarz z

pistoletu, który miała w torebce.

Zapas kul, poważnie nadszarpnięty w walce z tłuszczochem, wyczerpał się, nim podeszła do Alexandry, zatem ją załatwiła nożem, który dostała od Gale. Poszło całkiem szybko, choć znów musiała poprawić fryzurę.

Przed wyjściem podpaliła pokój. Robale, pomyślała, stukając cicho obcasami w drodze do metra. Siostry Niemiłosierdzia. Jak śmiały się tak nazwać i próbować ją wyrzucić? Alexandra bełkotała, błagając o litość. To mogło być nawet zabawne, gdyby nie było tak żałosne.

Nie, od tej pory w szeregach Sióstr nie znajdzie się żaden robal, stwierdziła w duchu, wsiadając do pociągu, który miał zawieźć ją do zamożnej, dobrze strzeżonej dzielnicy Punktown, gdzie mieszkała z rodziną.

Dopilnuje, by wszystkie nowe kandydatki naprawdę dowiodły swojej wartości.

SZTUKA KOCHANIA

Nimbus spojrzała przez okno na alejkę w dole, a dokładnie na ścianę budynku naprzeciwko. Ozdabiały ją dzieła Teala, namalowane sprejem szeroką gamą jaskrawych kolorów; były tak wyraźne i ostre, jak odbite z szablonu. Powiedział jej kiedyś, że od dzieciństwa pokrywał swymi graffiti całe Punktown. To dzieło sztuki przedstawiało długą wstęgę egipskich hieroglifów. Nigdy nie pytała, co znaczą i czy w ogóle on sam to wie.

Zastanawiała się także, ile jego wcześniejszych arcydzieł graffiti oglądała w życiu, nim go poznała. Kiedy zerknęła na nie, opierała się o nie plecami, by zapalić papierosa, albo kulila się pod nimi, sypiając w uliczkach w zimne noce, nie miała pojęcia, że pewnego dnia ich losy się splecą. Nie wiedziała, że zostanie jego partnerką w tak wielu znaczeniach tego słowa.

Przyglądała się poobijanemu czyścilotowi, który dotarł do wylotu uliczki; cały korpus nieszczęsnego robota, podobnie jak jego pobratymców, pokrywały nabazgrane sprejem graffiti, znacznie mniej artystyczne niż dzieła Teala. Słyszac ostre zgrzyty i trzaski sprzątacza wgryzającego się w grube pokłady śmieci, Nimbus zacisnęła zęby. Gdy się zbliżył, spłaszczony kartonowy pudło uniosło się nagle i dwóch bladych chłopaków uciekło w głąb uliczki, by uniknąć zmiżdżenia na stercie śmieci. Białe insekty pod kamieniem, brutalnie odsłonięte. Na serce Nimbus padł nagle cień.

Gniewny pneumatyczny syk sprawił, że gwałtownie się obróciła. Czyżby i tutaj dotarł czyścilot? Jej ciało spięło się do ucieczki. Trudno zwalczyć stare nawyki.

Teal siedział przy swym warsztacie, ciągnącym się

wzdłuż wysokiej, ceglanej ściany, którą pomalował lśniąca różową farbą. Mały, przenośny grzejnik dmuchał wprost na niego. Loft był wielki i kiepsko ogrzany. Obok na blacie stał kubek kawy. Scena ta miała w sobie domową błogość, nieznaną dotąd Nimbus. Teal zmagał się z syczącym wężem sprężonego powietrza, podłączonym do kompresora, który zdołał skądś zdobyć; marszczył w skupieniu brwi. Nimbus uśmiechnęła się na ten widok i ciepło owego uśmiechu powoli rozlało się po jej ciele, przeganiając chłodny cień, niczym promień słońca wyskakujący zza chmury.

Podreptała ku niemu w skarpetkach i objęła go od tyłu. Sapnął z lekką irytacją i poruszył się, wciąż próbując opanować przepływ powietrza przez wąż. Zatem drażniła go dalej - pochyliła się i polizała go w ucho, jej włosy opadły mu na twarz. W tym momencie mógł na nią warknąć, ale udało mu się opanować powietrze, toteż westchnął i wyprostował się, napierając plecami na piersi Nimbus. Sięgnął, by pomasować jej ramiona.

- Jeszcze kawy? - wymruczała, ciągnąc go za płatek ucha zębami.

- Musi zostać na jutro rano. To wszystko, co nam zostało.

- Mogę kupić małą paczkę.

- Nie mamy dość pieniędzy.

- Nie?

- Nie. Zaczekaj, aż Willie mi zapłaci.

- Lepiej, żeby zapłacił, i to szybko. Przecież wie, że potrzebujesz kasy.

Willie był starym kumplem, obecnie prowadzącym skromny punkt usług drukarskich. Teal projektował dla niego logotypy na wizytówki i nagłówki listów biznesowych. Obecnie nie zarabiał na niczym innym. Miał szczęście, że dom należał do jego wuja.

Nimbus okrążyła krzesło i usiadła Tealowi na kolanach.

Uśmiechnął się ze znużeniem i pomasował jej uda przez miękką bawełnę mocno spranego dresu. Jak dotąd oboje nie zdjęli jeszcze ciepłych, wkładanych do łóżka dresów, ani nie wzięli prysznic. Szorstki zarost na policzkach Teala i jego krótkie, potargane włosy rozczuliły Nimbus - kojarzyła jej się z małym chłopcem, który właśnie zbudził się z drzemki i przeciera oczy.

Czasami budził w niej niemal macierzyńskie uczucia. Nawet po roku było to dla niej takie dziwne, takie obce. I takie ciepłe...

Dłoń Teala wśliznęła się pod jej bluzę z tyłu, pieszcząc gładką, napiętą skórę. Nimbus poczuła, jak stwardniał pod jej pośladkami. Uśmiechnęła się, zeskoczyła z kolan i wzięła go za rękę.

Łóżko stało obok lśniącego pomarańczowego grzejnika w kącie wysokiego loftu. Dzięki temu mogli zrzucać ubrania i nadal w ciepłe leżeć bez przykrycia. Poza tym rozgrzewali się nawzajem w objęciach, zdyszani, spoceni.

Teal objął rękami po jednym jej udzie, jakby zamierzał je sobie zarzucić na ramiona i przycisnął mocno wargi do miękkiego, białego brzucha. Polizał znużone oko pepka. Zanurzył nos w piżmowym, lśniącym gąszczu. Przytrzymała mu głowę, krótkie włosy zjeżyły się między jej rozcapierzonymi palcami, wygiętymi jak jej plecy w paroksyzmie rozkoszy.

Kiedy spojrział na nią z dołu, jego źrenice zaśniły jasno w pomarańczowym blasku grzejnika. Teal odziedziczył mutację nadającą źrenicom srebrzystą barwę - wyglądało to jak metaliczna katarakta. Tęczówki okalały je niczym fioletowa słoneczna korona. Twierdził, że ma świetny wzrok, że doskonale widzi głębie i rozróżnia kolory. Ona jednak wołała wierzyć, że owe niezwykle soczewki skupiają jego wyobraźnię, pozwalając tworzyć sztukę. Lubiała, kiedy

koncentrowały się na niej, choć teraz, gdy przesuwał się w górę wzdłuż jej ciała, połyskiwały niesamowicie. Z uśmiechem położył się na niej. Kiedy jego twarz znalazła się w górze, ujrzała swoje odbicie w owych jasnych kręgach - dwie bliźniacze kamee.

Zanurzony w niej, oparł się na ugiętych rękach, patrząc między nich w miejsce, w którym się łączyli, i na całe jej ciało. Jako artysta kochał kształty i formy. Zastanawiała się, czy w tym momencie budzi w nim jakieś natchnienie, i z wielką czułością pomyślała o jego tajemniczym umyśle. Czuła dumę, że mimo swego wyjątkowego indywidualizmu, pozwolił jej połączyć jej sztukę z własną, tak jak teraz łączyły się ich ciała.

Działający w różnych mediach artyści, którym oddawała je wcześniej, nim spotkała Teala, twierdzili, że jest dla nich natchnieniem. Natchnieniem do pożądania, drwiła w myślach. Nawet gdy zachwycali się jej pięknie rzeźbioną figurą, w szale namiętności ich słowa znaczyły tyle co nieartykułowane pomruki. To było pożądanie, nie pełen szacunku podziw, jak u Teala.

No dobrze... on także jej pożądał. Ale z szacunkiem. Teal nie był pozerem - ani jako kochanek, ani jako artysta.

Spotkali się w Cafe Steam. Odkąd rzuciła liceum i szkołę baletową, Nimbus dorabiała jako performerka. W czasie, gdy co tydzień w weekendy występowała w Steam, przez pół roku żyła na ulicy.

Z początku ich grupę tworzyły cztery osoby, ale kiedy zjawiał się Teal, już tylko trzy. Nimbus i jeszcze jedna młoda kobieta miały na sobie obcisłe trykoty, które były członkiem ich grupy obszyły tysiącami misternie pociętych kawałków modeli militarnych, fragmentów maszyn i obwodów. Było ich dość, by pokryć powierzchnię całego ciała, nie powiększając jej optycznie, zachowując poczucie gibkości i kształtu. Nosiły też

kaski - pomalowane identyczną szaroniebieską farbą - dzieło tego samego artysty, częściowo plastikowe, częściowo z lekkiego metalu; rogate, zębate, a jednocześnie delikatne i barokowe, niczym tiary starożytnej rasy, w której piramidach kryłyby się rozpędzone, huczące fabryki. Trzeci członek, nieczłowiek Udotu'ut, gorączkowo wymachiwał i falował kończynami wokół kobiet tańczących szalone tańce, w których następowały okresy dziwnych połączeń, gdy dwie kobiety i kwaciasta istota splatali się, tworząc żywe rzeźby, pozostające bez ruchu nawet przez godzinę. Podczas owych nieruchomych faz ciszę zakłócał jedynie powtarzający się od czasu do czasu skrzypiący głos: „Olej... olej...” - fragment z dialogu z bardzo starego filmu „Czarnoksiężnik z krainy Oz”.

Teal przyznał później, że ich program „Olej” zachwycił go wizualnie, wydał mu się jednak pozbawiony treści; rozbłysk bez myśli.

Choć kostium niezwykle odmieniał Nimbus, warunki życia odmieniały ją bardziej i znacznie groźniej. Trawiona chorobą chudła, popękane wargi pokrywały ciemne strupy. Partnerka z zespołu miała teraz chłopaka i nie mogła dłużej udostępniać jej kanapy. Sypianie w metrze było niebezpieczne. Kartonowe pudła w uliczkach także, a właśnie nadeszła zima. W tygodniu pomiędzy występami Nimbus zajęła się inną pracą, by mieć co jeść i móc się wybrać do kliniki po leki na infekcję żołądkową, z którą sama nie potrafiła sobie poradzić. Nowa praca także wymagała posługiwania się ciałem...

Wcześniej zamieniła już z Tealem parę słów - potrafiła wyróżnić jego twarz z tłumu - toteż gdy zaproponował kieliszek wina, usiadła przy jego stoliku w swej falującej mozaice z plastikowej chityny. Zaproponował też wyjście do kina, ale odmówiła. Czowała się zbyt zbrukana, by wybrać się na randkę jak jakaś uczennica.

Mimo to, przy następnej okazji dosiadła się do niego, tym razem na kawę, już w zwykłym stroju, i rozmawiali nieco dłużej. Opowiedział jej trochę o swych twórczych poszukiwaniach. Zafascynowana, otworzyła się, przyznała do ciężkich warunków życia, nie wspominając o drugim - tak naprawdę głównym - źródle dochodów. Teal zaoferował jej śpiwór na podłodze mieszkania w budynku należącym do wuja. Z przyczyny, której sama nie pojmowała, Nimbus z trudem oderwała spojrzenie od owych niepokojących, fascynujących chromowych źrenic i ponownie odmówiła.

Dwa wieczory później Teal wracał właśnie w śnieżycy z wyprawy do marketu na rogu, gdy znalazł na swym progu skuloną, nieprzytomną Nimbus.

Obudziła się w jego łóżku. Pojęła, że zdjął z niej ubranie... ale po to, by ją wykąpać. Ubrał ją we własną, czystą piżamę. Z początku założyła ze znużeniem i rezygnacją, że gdy była nieprzytomna, uprawiał z nią seks - ale nie. Siedział jedynie na krześle obok łóżka i ją szkicował. W ciągu następnych dni szkicował ją nagą i w ubraniu i ani razu jej nie dotknął. Jego ulubiony rysunek z owych czasów przedstawiał skradziony obraz jej uśpionej twarzy. Portret ten wisiał teraz w ramie na ścianie. Mimo popękanych warg miał w sobie miękkość i czar.

Teal zabrał ją do lepszej kliniki. Przepisane przez nich leki z początku niewiele działały, ale wypoczęta, lepiej odżywiona Nimbus zaczęła dochodzić do siebie. Odzyskiwać siły. I przez cały ten czas Teal prosił, by mu pozowała. Owocem były niewielkie rzeźby z intelmetal i filmy. Bardzo chętnie odwdzięczała się w ten sposób. Aż w końcu mogła odplacić mu też inaczej. Wówczas zrobiła to już zarówno dla niego, jak i dla siebie.

Wcześniej przyznała się Tealowi, jak zarabiała na życie. Wysłuchał jej z troską i bez odrazy. Już po ich pierwszym

razie przyznał, że od początku pragnął tej bliskości, ale się bał, czuł się niegodny jej piękna. Nimbus roześmiała się, jednocześnie jednak jej zaimponował. Wcześniej, znani artyści, a także klienci, w jej umyśle nieróżniący się od siebie, zachwycali się nią przed bądź w trakcie seksu, nigdy po.

Teraz leżeli razem w łóżku, ze skórą połyskującą od wyciśniętych soków, zgrzani i zdyszani. Otaczał ich beczasowy kokon bezpieczeństwa - ciepłe łóżko w ciepłym kącie wielkiego zimnego miasta, w rozległym zimnym czasie i przestrzeni.

Ktoś zastukał głośno do drzwi.

- Teal?! - zawołał z korytarza wuj.

Nie mieli koma. Oboje wyskoczyli z łóżka, pospiesznie naciągając dresy, potem Teal podszedł do drzwi.

Obok wuja, na korytarzu stał mężczyzna w drogim pięcioczęściowym garniturze, jak te noszone przez popularnego gwiazdora VT, N. Rona Hubherda, mistrza programów motywacyjnych dla biznesmenów na kanale Złych Facetów. Mężczyzna spojrzał na strój Teala z pełnym dezaprobaty, wzgardliwym grymasem - albo nie był świadom tego, co wyraża jego twarz, albo też zupełnie go to nie obchodziło. Teal zerknął w dół i zorientował się, że wciąż ma dostateczny wzwód, by go było widać, a pośrodku krocza powoli ciemniała wilgotna plama.

- Chase Power, panie Teal - przedstawił się mężczyzna.

- Przykro mi, Teal - dodał bezradnie wuj. - Ja...

- Panie Teal, nasi agenci wykryli nielegalne podłączenie do sieci z tego mieszkania. Podpiął się pan do zakładów ceramicznych obok. Właściciele nie są zadowoleni z faktu, że od dwóch lat płacą za pański prąd.

Teal wbijał wzrok w ozdobioną dwoma kamieniami szpilkę od krawata, wskazującą pozycję nieznanego w jego

wydziale.

- Zaraz, zaraz, proszę pana, kiedy się tu wprowadziłem, to podłączenie już było.

- Proszę nie kłamać, panie Teal. Mieszka pan tu od trzech lat. Według naszych danych przez pierwszy rok miał pan u nas konto, ale zostało skasowane z powodu braku płatności.

Teal uniósł wzrok. Kiedy się złościł, wyglądał naprawdę groźnie.

- Przecież w końcu wszystko zapłaciłem!

- W końcu, owszem. Ale nadal jest pan nam winien za ostatnie dwa lata, panie Teal. To w sumie tysiąc dwieście miednostek, razem z odsetkami... którą to sumę musimy otrzymać do końca miesiąca, jeśli chce pan uniknąć postępowania sądowego.

- Proszę posłuchać...

- Nie, to niech pan posłucha, panie Teal. Jeśli chce pan mieć darmowy prąd, to w więzieniu. A my nie jesteśmy instytucją charytatywną.

- Nie mógłbym rozłożyć tego na raty?

- Nie z pańską historią łamania podobnych umów. Proszę pożyczyć pieniądze od przyjaciół, panie Teal. Może obecny tu wuj, który twierdzi, że nie miał pojęcia o dwóch latach działalności przestępczej w należącym do niego budynku, pożyczy panu tę sumę. Ale ma pan ją dostarczyć do naszego biura do końca miesiąca, inaczej naprawdę pan pożałuje.

- Już żałuję, że muszę żyć w świecie pełnym tak bezwzględnych rekinów ludojadów.

- Może i jestem rekinem, panie Teal, ale pan nie powinien wypływać na szerokie wody cudzą łodzią. Dzień dobry, panienko. - Mężczyzna posłał Nimbus na poły drzwi, na poły poządlivy uśmiezek i pozdrowił ją skinieniem głowy.

Odpowiedziała mu morderczym spojrzeniem.

Wuj Teala odprowadził agenta do wyjścia i wrócił sam.

- Przykro mi, dzieciaki... Próbowałem zamydlić mu oczy, ale mają was. Słuchajcie, mogę wam pożyczyć parę setek, ale po świętach jestem prawie goły i...

Teal westchnął i uniósł dłoń, by go uciszyć.

- Nie martw się. Coś się... Coś wymyślę.

Nimbus splotła ręce na piersi i zadrżała. Przypomniała sobie zeszłą zimę, budowane w uliczkach schronienia, tekturowe namioty, szalasy z palet. Ale jeszcze bardziej niż perspektywa powrotu do tego życia przeraziła ją wizja Teala, wrażliwego, utalentowanego Teala, zamkniętego w więzieniu pełnym morderców i gwałcicieli. Nawet żyjąc na ulicy, miała większe szanse...

Kiedy wuj odszedł, odwróciła się do Teala.

- Zaraz polecę do Steam, zobaczę, czy nie zatrudnią mnie jako kelnerki.

- Nigdzie nie pójdziesz! Mamy robotę, pamiętasz? Jesteśmy artystami... to nasze przeznaczenie! Jeśli poświęcisz całą swą energię na nalewanie kawy, jak ktoś pozbawiony choćby odrobiny talentu, nie wystarczy ci jej do tworzenia sztuki!

- Potrzebujemy pieniędzy, Teal! W doskonałym świecie żaden artysta nie musiałby podawać kawy, chyba że na swych przyjęciach, ale...

- Zaczekaj przynajmniej do wystawy. Zaczekaj, może ktoś zainteresuje się moją pracą. Kelnerowanie? Równie dobrze mogłabyś wrócić na ulicę.

Nimbus odwróciła wzrok.

- Może powinnam - wymamrotała.

Teal odruchowo postąpił krok w jej stronę, dźgnął palcem powietrze.

- Nawet tak nie mów!

- Chcę ci tylko pomóc...

- Nie rań mnie po to, by mi pomóc! Mówię serio, Nim...

Nawet o tym nie myśl, zwłaszcza dla mnie.

- Ale przecież to ty zrównujesz uczciwą pracę kelnerki z prostytutką. Teraz nie możemy sobie pozwolić na marzenia... Na ideałach możemy się skupić, kiedy spłacimy pieprzone rachunki! Na razie musimy myśleć realnie.

- A to takie nierealne, że sprzedam jakieś prace? To chciałaś powiedzieć? Nie wierzysz, że jeśli staniesz się lepiej znana, możesz zostać prawdziwą, szanowaną performerką? Sama siebie posłuchaj, Nimbus. Nie wiem, co wkurza mnie bardziej: twój brak wiary we mnie czy w samą siebie?

Zawsze był taki namiętny, taki przekonujący. Gdyby tylko Teal mógł swym zręcznym językiem, umysłem i dłońmi zapobiec temu wszystkiemu, pomyślała Nimbus. Ale przecież miała własny umysł, własne ręce. Oboje zbyt długo spali w swym wygodnym łóżku. A potem pukanie do drzwi... jak czyścilot przeganiający marzycieli.

Dzięki specjalnej wystawie „Sztuka uliczna” w galerii Hill Way, odbywającej się dwa tygodnie później, Teal chociaż na krótki czas zapomniał o fakcie, że jak dotąd na konto długu zdołał zebrać zaledwie sto osiemdziesiąt miednostek. Całymi miesiącami harował, przygotowując projekt na tę wystawę, mimo jej protekcyjnego tytułu. Ostatnie dwa tygodnie czynił to z mniejszym entuzjazmem. Nimbus jednak stwierdziła z ulgą, że teraz dawny zapał powrócił. Denerwował się, irytował byle czym, ale to dlatego, że czuł podniecenie. Ona także była podniecona, bo dziś miała być nie tylko performerką, ale też częścią dzieła sztuki.

Teal do samego końca majstrował przy ukrytym systemie kontrolnym swojego dzieła. Zdjął panele, odsłaniając misterną płataninę kabli i przewodów, zaworów i płyt z obwodami. Ubrana w szlafrok Nimbus żartowała sobie z niego.

- Hej, co to robi?

Zacisnęła palce na zaworze, jakby chciała go przekreślić.

- Niczego nie dotykaj! Przecież wiesz, że wszystko tu jest pod ciśnieniem! Gdyby węże puściły, zamieniłby całe muzeum w jeden paskudny obraz Jacksona Pollocka!

- Czyj?

Ich ambitnym wkładem w trwającą tydzień wystawę było dzieło zatytułowane „Stacje Krzyża albo Wszyscy jesteśmy męczennikami”. Było to wielkie akwarium, zrobione z płyt lekkiego, przezroczystego materiału ceramicznego, które Teal znalazł oparte o spalarkę śmieci pod fabryką obok, odrzucone z powodu kilku niewielkich półprzejrzystych skaz. Akwarium bądź terrarium dzieliło się na kilka mniejszych pomieszczeń, czy raczej cel. A Nimbus siedziała w środku owego małego domku o przezroczystych ścianach, wykonując kolejne, przeciwiczone ruchy. Nagi obraz, ożywiona rzeźba.

Ze względu na rozmiary pracy, jej niezwykłość i rozkoszną zawartość, wkrótce stała się największą atrakcją wystawy. Teal uśmiechał się bezwstydnie, widząc, jak wielu ludzi zebrało się wokół owej niesamowitej klatki, by obejrzyć egzotyczną więźniarkę. Owszem, czuł lekkie wyrzuty sumienia, że całkowicie zdominował wystawę, ale w końcu po tym, jak nacieszą się jego pracą, obejrzą też pewnie i resztę. I nie zamierzał pozwolić, by poczucie winy przeszkodziło mu w smakowaniu największego tryumfu artystycznego. Byli tu prawdziwi krytycy. Właściciele małych galerii. Dealerzy dzieł sztuki. I kolekcjonerzy.

Nimbus miała na sobie jedynie realistyczną, twardą maskę, którą Teal odlał z jej twarzy. Wyglądała jak maska pośmiertna, wyposażona w szkła chroniące oczy i ukryty wewnątrz filtr malarski. Natychmiast stało się zrozumiałe, czemu służyła ta ochrona. W pierwszym przedziale Nimbus unosiła się jako płód w czerwonej wodzie, niczym w wypełnionej krwią macicy matki. Sztuczna pepowina

pompowała powietrze wprost w usta maski. Nimbus pływała przez chwilę skulona, potem zaczęła kopać na boki. W końcu przysunęła się do panelu wiodącego do następnego pomieszczenia i otworzyła go. Krew z macicy trysnęła do sąsiedniej celi, ukryte dysze spryskały Nimbus sztuczną posoką z góry i z boków. Ludzie mimo woli cofnęli się o krok. Nimbus odłączyła przewód pepowiny. Drzwi za nią zamknęły się, odcinając potop, z dysz przestała tryskać farba. Zalana krwią Nimbus się „urodziła”.

Teraz z dysz popłynęła czysta woda. Mężczyźni uśmiechali się, patrząc jak Nimbus obmywa się z farby, świeża dusza, gotowa na trudy świata. Woda splukiwała krew kapiącą z jej włosów łonowych. Była chłodna i sutki Nimbus stwardniały niczym gumki na końcówkach ołówków. Teraz do celi zaczęło wpadać ciepłe powietrze. Potrząsnęła długimi włosami przy jednym z wywietrzników. Ustawiała się tak, by powietrze dotarło do włosów łonowych. Nawet Teal, który widział to już wcześniej, poczuł, że twardnieje.

Zmarszczył czoło. Bez wątpienia w pomieszczeniu doszło do wielu erekcji... zupełnie jakby siedział w pograżonym w mroku kinie porno. Widział połyskujące skrzela jednego z widzów, nieczłowieka, trzepoczące coraz szybciej. Tak naprawdę nie czuł zazdrości - to on wymyślił, by była naga, Nimbus z początku wcale nie miała na to ochoty. Chciał, by ich dzieło nie tylko prowokowało do myślenia, ale też podniecało. Teraz poczuł wyrzuty sumienia. Czy wykorzystywał Nimbus? Nie bardziej niż Renoir bujne, rudowłose piękności, odpowiedział sobie w duchu. Tyle że oglądając akty Renoira, czuł podziw wobec talentu twórcy, ale i przemożną ochotę, by się onanizować. Czy zatem sprzedawał ciało Nimbus? Tak jak ona kiedyś? Czy właśnie stał się jej alfonsem? Czy to ma być schronienie, jakie jej oferował? Ucieczka od dawnych czasów. Czy ma nią być ta

cela?

Spojrzał na nią. Robiła to dla niego i z dumą. Ale czy w głębi ducha nie czuła się wykorzystana, poniżona; czy nie robiła tego bardziej z miłości do niego niż z własnego artyzmu? W tej chwili był z niej taki dumny, a zarazem dręczył go dziwny niepokój. Czy to sztukę stworzył, czy też podświadomie chciał się podniecić, podniecając innych wizjami swej kochanki? Czy to było jego największe osiągnięcie artystyczne, czy też nadir człowieczeństwa?

Nigdy nie potrafił ująć tego w słowa, ale gdy tylko będzie mógł, musi jej wyjaśnić, że z nim jest inaczej niż z jej poprzednimi facetami. Desperacko pragnął przekazać Nimbus, że ją kocha...

Nowo narodzona istota ludzka przeszła do następnego pomieszczenia. To był świat zewnętrzny, który natychmiast zaczął ją bombardować kolorami i bodźcami. Chłostały ją wiatry. Zewsząd bryzgała farba wszystkich możliwych kolorów, mieszających się w nowe na palecie ciała - jej skóra była niczym stale zmieniające się płótno. Nimbus obróciła się, zawirowała, tańczyła w swojej celi. Odrzucała w tył mokrą grzywę w błękicie i żółci. Jej włosy łonowe były zielone. Po chwili pomarańczowe. Pochyliła się, pozwalając, by strumień fioletowej farby eksplodował na wypiętych pośladkach. Mężczyźni, nawet kobiety, uśmiechali się szeroko: kierowało nimi uznanie czy cielesna żądza?

Ceramiczne płyty miały pierwotnie służyć za okna budynków mieszkalnych, poddano je zatem specjalnemu procesowi chroniącemu przed wandalami i graffiti, toteż huragan tryskającej, bryzgającej farby nie przesłaniał wnętrza celi. Tę część płyty pokrywało najwięcej skaz, ale nic nie szkodzi - Teal wyciął owe fragmenty i doczepił w tych miejscach długie czarne gumowe rękawice, dyndające w środku niczym sflaczałe penisy. Ludzie zaczęli tłoczyć się

bliżej, odtrącać i przepychać, prześcigając się we wkładaniu i unoszeniu rękawic, by móc sięgnąć i dotknąć Nimbus... gładzić ją, pieścić. Mężczyzna w kosztownym garniturze złapał za jej pierś, jakby chciał przytrzymać Nimbus, nie dopuścić do ucieczki. Jednakże ona, śliska od farby, wymknęła mu się i podtańczyła do przeciwległej ściany, dając szansę zebrany tam ludziom. Jedna z kobiet wsunęła dłoń między nogi Nimbus i uciskała ją tam parę chwil. Nimbus pozwoliła na to, potem opadła na ziemię i zaczęła się tarzać w farbie. Świat wykorzystywał niewinną duszę, brukał ją. Brudził. Mrok w sercu Teala rósł wraz z jego erekcją. Sami zaprojektowali całą choreografię w lofcie. Ale wówczas było ich tylko dwoje.

Spójrz na tę farbę. Jasne, zostanie poddana recyklingowi, podzielona przez komputer na kolory i przepompowana do dawnych zbiorników, ale nadal pozostawała droga. Podłączenie komputera, jak na standardy Teala, także sporo kosztowało. Nie zapłacił jednak za prąd i proszę, jakie mają kłopoty. Nie kupił też kawy ani porządnego jedzenia. Nie kupił Nimbus prezentu na Gwiazdkę. A ona się nie skarżyła. Z początku pracowała krótko w zakładach ceramicznych, ale ją zwolnili. Wówczas nie protestowała, że czerpał z jej pieniędzy. Tak bardzo się poświęcała dla jego wizji, a on nagle w nią zwątpił.

Patrz na tych szacownych obywateli, obmacujących Nimbus, która bawiła się z nimi, podchodząc bliżej i uskakując, a potem znów się zbliżając, by mogli jej dotknąć. Czy nie zdawali sobie sprawy, że dzięki tej interakcji i staniu się częścią dzieła sztuki pełnią rolę negatywną? Przedstawiali tych, którzy kalają piękno, i sami się tacy stawali? Nie, oni nie rozumieli sztuki, nie obchodziła ich. Dla nich to był cyrk, dziwowisko, pokaz striptizu. Ale czego właściwie się spodziewał, umieszczając tam te rękawice? Że będą ją

obmacywać i jednocześnie dyskutować na temat znaczenia symboliki?

Owszem. Uświadomił sobie jednak, że przecenił swoją widownię.

Czy zatem to entuzjastycznie przyjęte dzieło było tak naprawdę klęską?

W następnym pomieszczeniu wytrysnął z dysz wir proszku barwy piasku, oblepiając farbę, która zamieniła ciało Nimbus w cyrkową błyskotkę. Szybko pokryła ją gruba warstwa. Życie brudzi duszę, wykorzystuje, wysysa, dławi. Nimbus tańczyła pośród burzy, tłukła rękami o ściany, próbując się uwolnić, aż w końcu upadła i skuliła się na podłodze. Pokrywała ją tak gruba warstwa piasku, że przypominała teraz postać z Pompejów.

Wiatr ucichł. Pył opadł. Publiczność umilkła, Teal wstrzymał oddech.

Jasne, niemal oślepiające światło wpadło do celi, wypełniając ją. Większość oszołomionych ludzi musiała odwrócić wzrok i osłonić oczy. Nie słyszeli, nie mogli słyszeć wody tryskającej do celi. Kiedy światło przygasło, ujrzeli Nimbus stojącą prosto, z uniesionymi rękami, z jej ciała zniknął brud i farba. Czysta i piękna dusza nie odeszła po śmierci... tylko się odrodziła.

Cela pociemniała. Podobnie całe dzieło. Po paru sekundach oszołomienia rozległa się eksplozja oklasków i do oczu Teala napłynęły łzy. Tak... Udało mu się. To była złożona instalacja. Nieprzyjemna, budząca wątpliwości. Ale też poruszająca i piękna. Gardło ścisnęło mu się z dumy i ta duma prawie przesłoniła wyrzuty sumienia.

Odczekali godzinę i znów powtórzyli cały proces. Zegar obok instalacji odmierzał pozostały czas. Potem kolejna przerwa. Tym razem Nimbus, opatulona w szlafrok i w kapciach, wyszła obejrzeć resztę eksponatów. Ludzie

gratulowali jej częściej niż Tealowi.

Nimbus, Teal i jego wuj stali zajęci rozmową, gdy zbliżyło się do nich dwóch mężczyzn w nieskazitelnie skrojonych garniturach. Jeden był człowiekiem, drugi humanoidem z Kali - jego czarne włosy pokrywał błękitny satynowy turban, skóra miała odcień błyszczącej szarości. Kalianin spoglądał na nich skośnymi oczyma, czarnymi jak obsydian. Ucisnął dłoń Teala.

- Panie Teal, nazywam się Darik Stuul. Nie potrafię wyrazić jak bardzo zaimponowała mi pańska praca. Wspaniałe przedstawienie kolejnych etapów życia, życiowych doświadczeń... A fakt, że wszystko zaczyna się od nowa co godzinę, dodaje jeszcze wyrazu i mocy, ukazując nieustający cykl życia, śmierci i odrodzenia. Dla mnie jako Kalianina to szczególnie wymowne. Odzwierciedla moje poglądy religijne.

- Dziękuję. To uniwersalny temat.

- W istocie. Chciałbym to kupić.

Teal zamrugał, z trudem powstrzymując chichot.

- Och... poważnie? - Poczuł, jak podniecona Nimbus ściska mu rękę. - Jest przecież na sprzedaż, prawda? To mój dealer, David Nussbrown.

- Tak, witam. Cóż, no tak, jasne, uhm...

- Ile pan żąda?

- Będę się musiał zastanowić, sam nie wiem.

- Dziesięć tysięcy - wtrąciła się Nimbus.

Teal obrócił głowę, patrząc na nią gniewnie, jednak, słysząc głos Stuula, obrócił się z powrotem.

- To brzmi bardzo rozsądnie. Panie Teal?

- Jasne... tak, brzmi rozsądnie. - Próbował zdławić uśmiech.

- David odradzał mi zakup w obawie przed możliwą awarią mechaniczną.

- Istotnie, to dość delikatna praca. Jestem w tej dziedzinie

amatorem.

- Cóż za skromność! Zatrudnię inżyniera, by się jej przyjrzał, rzecz jasna w żaden sposób nie zmieniając samego dzieła. David mówi także, że sztuka powinna być wieczna, a obecna tu młoda kobieta oczywiście z czasem będzie się starzeć, ale nie zamierzam martwić się na zapas.

- Co takiego? - wtrąciła Nimbus.

- Nie chce pan chyba... nie chce pan chyba kupić także Nimbus?

- No cóż, oczywiście, ludzi się nie kupuje. Ale musi towarzyszyć dziełu, w przeciwnym razie obawiam się, że zrezygnuję z zakupu. Jest tak cudowna, tak wspaniała, nie potrafię go sobie wyobrazić bez niej.

- Ale przecież w nim nie zamieszka.

- Zamieszka w moim domu, podobnie jak służba. Zapłacę jej pięćset miednostek tygodniowo. Będzie mogła robić, co tylko zechce, lecz od szóstej wieczór, kiedy wracam do domu, aż do północy, gdy idę spać, będzie musiała odegrać cały program. Co godzinę, odpoczywając w przerwach. To chyba uczciwa propozycja. I bardzo łatwa praca! Oczywiście w weekendy mogę prosić o częstsze występy, bo wówczas jestem w domu.

- Nie wolałby pan zatrudnić wybranej przez siebie perofmerki? - spytał Teal.

- Teal - wyszeptała Nimbus. - Pięćset miednostek tygodniowo! I dziesięć tysięcy dla ciebie! Nie musielibyśmy się martwić pieniędzmi.

- I nie bylibyśmy razem.

- Mogę do ciebie przychodzić, codziennie.

- Oczywiście. - Stuul uśmiechnął się wyrozumiale. Na tle szarej twarzy zęby zajaśniały niepokojącą bielą.

- Musimy porozmawiać, przemyśleć tę ofertę - oznajmił artysta.

- Nie, nie musimy - ucięła jego partnerka, jego arcydzieło. - Teal, jeśli odmówisz, będziesz głupcem. Potem głupcem w więzieniu i wreszcie martwym głupcem. Ale jeżeli się zgodzisz, zostaniesz ważnym artystą. Bogatym artystą! Ten człowiek ma przyjaciół, którzy obejrzą „Stacje”.

- Niewątpliwie - wtrącił Stuul.

- Będzie zupełnie, jakbym miała własne mieszkanie i pracę.

- Owszem, panie Teal, dla niej to dokładnie to. Praca.

Tak, pomyślał Teal, ale bycie prostytutką też było pracą.

Nimbus rozbiła dla Teala namiot, uniósłszy kolana pod kocem. Był to kruchy namiot pośrodku rozległego, zimnego pustkowiecia życia. Ale Teal miał tylko ten i wszedł do niego chętnie, z radością przyjmując osłonę jej ciepłej wewnętrznej wilgoci.

- Nie chcę, żebyś to robiła - powiedział, poruszając biodrami w powolnym rytmie, huśtając się w kołysce jej miednicy. - Musi istnieć inny sposób.

- Już ci powiedział, nie ma innego sposobu. On chce mnie.

- Owszem, to prawda. Chce mieć ciebie bardziej niż moją pracę.

- Jesteś zazdrosny?

- O co? Że zamieszkaś z egzotycznym i bogatym biznesmenem? O co tu być zazdrosnym?

Nimbus uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś zazdrosny, prawda? I niepewny siebie. Hej... robię to dla ciebie. - Oplotła go nogami, zahaczając stopy o tył jego ud. Pomarańczowy blask grzejnika, przełączonego na baterie po odcięciu prądu, podkreślał łagodnie napięte mięśnie karku i piersi Teala, poruszające się w hipnotycznym rytmie.

- Chcesz zrobić coś dla mnie? W takim razie nie rób tego.

A jeśli już, to nie dla mnie.

- Owszem, dla ciebie. Czy ci się to podoba, czy nie, to dla ciebie najlepsze.

- Nie jesteś moją matką. I nie jestem pewien, czy ci wierzę.

- Co to znaczy?

- To dla mnie wielka szansa, Nim. Ale jeszcze większa dla ciebie. Zamieszkas w rezydencji w dzielnicy bogaczy. Pięćset miednostek tygodniowo. Robisz to dla mnie, Nim, czy tak naprawdę dla siebie?

- Zejdź ze mnie. - Wypuściła go spomiędzy szczęk zgłodniałych nóg i odepchnęła jego ramiona.

- Nie, posłuchaj...

- Zejdź ze mnie!

Wyśliznęła się spod niego, nawilżona ich zmieszany potem. Bose stopy uderzały gniewnie o zimną podłogę.

- W ogóle we mnie nie wierzysz, prawda? Myślisz, że zależy mi tylko na sobie.

- Mówisz, że robisz to dla mnie, ale ja tego nie chcę!

- Możemy się co dzień widywać, do diabła! Co z tego, że nie będę już tu mieszkać?

- Nie będziemy spotykać się co dzień. Może z początku. Ale spodoba ci się w bogatej dzielnicy, Nim... i to bardzo. Nie będziesz chciała jej opuszczać. Nie po to, by przyjeżdżać w stare miejsce i przypominać sobie, że kiedyś byłaś bezdomna. Nie, by odwiedzać to zapchlone mieszkanie. I spędzać czas z zapchlonym biedakiem, takim jak ja.

- Ani trochę mi nie ufasz. - W oczach Nimbus zalśniły łzy. Naciągnęła majtki. - W ogóle. Myślisz, że chcę zamieszkać bez ciebie? Świetnie. Myśl sobie co chcesz.

Teal patrzył, jak się ubiera, sznurkuje ciężkie, czarne buciory, wkłada czarną kurtkę ze sztucznej skóry, manipuluje przy zamkach, sprzączkach i ćwiekach.

- Dokąd idziesz? Poszukać Stuula? Nawet nie dostarczyli mu jeszcze „Stacji” do domu.

- Idę na spacer.

- On chce mieć cię jako dziwoląga, Nim. Tygodniowe występy w tym ustrojstwie to co innego niż życie w nim. Chce cię mieć jak zwierzątko. Jak swoją własność.

- Ty także.

Teal chciał zaprotestować, powiedzieć, że ją kocha, ale był zbyt wściekły, zbyt zraniony i oszołomiony, a Nimbus zatrzęsnęła już za sobą drzwi loftu.

Nie słyszeli się przez przejrzystą, ceramiczną ścianę.

Nimbus zaledwie czwarty raz występowała w swej celi dla Stuula. Za trzecim zaprosił dwóch przyjaciół, ale poinformował ją, że nie pokaże swego nabytku innym, dopóki nie zbierze wszystkich znajomych i nie urządzi oficjalnego, uroczystego odsłonięcia.

Tym razem byli sami.

Po raz pierwszy wsunął obie dłonie w czarne, gumowe rękawiczki i zaczął pieścić zlaną farbą Nimbus, gdy przesunęła się w tańcu na wystarczającą odległość. W pewnym momencie złapał ją za rękę, przytrzymał - nie mocno, ale stanowczo, a ona się nie wyrwała. Jego druga dłoń wśliznęła się między jej nogi, pomiędzy nawilżone farbą pośladki. Wsunął w nią palec, drugi w sąsiedni otwór. Nietoksyczna farba nawilżała ją.

Wówczas Nimbus uwolniła się zdecydowanie, zmieniła jednak ów ruch w taneczny piruet. O mało nie upadła, ale odzyskała równowagę. Stojący na zewnątrz Stuul był jedynie ciemną, rozmazaną plamą. Jej ukryta pod maską twarz poczerwieniała z gniewu. Serce waliło w piersi. Myśli tak bardzo przepełniły umysł, że się wyłączył. Tańczyła dalej.

Zobaczyła, jak Stuul wyciąga rękę, by znów jej dotknąć, i

nakazuje gestem, by doń podeszła. Był to krótkie, wyniosłe skinienie. Niecierpliwe. Nie spodobało mu się, że odskoczyła.

Rękawice były przeznaczone dla rąk. Te w galerii jej dotykały. Stuul oczekiwał tego samego. Hojnie za to zapłacił.

Sumę, która uchroni Teala przed więzieniem...

Nimbus zawirowała, zbliżając się do niego. Złapał ją oburącz. Jedną ręką objął jej brzuch, a prawa ponownie wśliznęła się między nogi.

Nimbus zamknęła oczy. Chciała się wyrwać. Naprawdę chciała. Czyż od początku nie podejrzewała o co mu chodzi, tak jak Teal? Ale dziesięć tysięcy pozwoli im spłacić długi, a cotygodniowa pensja zapewni bezpieczeństwo. Nie odskoczyła od Stuula. Nie miała przecież wyboru, musiała znosić to, że jest zabawką, którą sobie kupił.

Stuul wyłączył maszynę, wyłączył dzieło sztuki i polecił Nimbus wyjść, choć wciąż była mokra od farby. Rozłożył na ziemi kape, by nie zaplamiała drogiego dywanu, na którym metalową nicią wyszyto portret koszmarnego, kaliańskiego boga-demonu Ugghiutu, pożerającego dusze tylko po to, by wydalić je z powrotem na świat. Nimbus niechętnie wyszła z maszyny, przepelniała ją groza. Dopiero od czterech dni miał dzieło Teala i już go znudziło?

- Połóż się, proszę - polecił i z uśmiechem pogładził palcami kolorowy policzek jej maski.

- To nie jest część przedstawienia - odparła głosem lunatyczki.

- Moja panno. - Stuul mówił spokojnie, z uśmiechem, ujrzała jednak, jak wciąga powietrze nozdrzami, zupełnie jakby zbierał w sobie determinację i gniew. Skojarzył jej się z rozkładającą kaptur kobrą. - Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię odprawił i zwrócił to dzieło. Wiesz, że nie możecie pozwolić sobie na to z partnerem. Opowiadałaś mi o waszej

godnej pożalowania sytuacji. Proszę zatem... położyć się.

Kilka uderzeń serca. Umysł Nimbus znów pociemniał, wszystkie myśli sprowadzały się do kropel farby, powoli ściekających po rękach i nogach. A potem bez jednego słowa zrobiła jak kazał.

Kalianin rozebrał się i starannie złożył na boku ubranie. Jego penis był znacznie ciemniejszy od reszty ciała, niemal czarny, bardzo długi, ale cienki jak u psa. Doprowadzony masażem do wzwodu, wyłonił się z ochronnych fałd skóry, połyskując naturalnym sokiem. Stuul opuścił się na nią i w nią wszedł. Nie zdjął jednak jej maski. Była żywym posągiem.

Nimbus przyglądała się swojej, pozbawionej wyrazu, sztucznej twarzy, odbitej w jego oczach z wulkanicznego szkła.

- Tak - sapnął, poruszając się na niej, w niej z wilgotnym cmokaniem, coraz bardziej umazany farbą. - Tak, tak... Taka piękna... Tak... Uch... Taka... piękna...

Wokół nich wisały drogie obrazy w złożonych ramach. Na postumentach stały rzeźby i hologramy. Jego prywatne muzeum... A oni pieprzyli się na podłodze.

Następny dzień był gorszy. Stuul uparł się, że przejdzie wraz z nią kolejne etapy w maszynie - bliźniak w łonie obok niej. I uprawiał z nią seks na podłodze, pośród burzy farb, biorąc ją od tyłu gwałtownymi pchnięciami, w malarskiej masce filtrującej osłaniającej twarz. Krzyknął, kiedy doszedł, uderzając mocno o jej lśniące, wielobarwne pośladki.

Ten raz był gorszy, bo Kalianin zbezczeszczył dzieło Teala, wchodząc tam, gdzie nie było dla niego miejsca. Wdzierając się w nie, zmieniając jego cel, znaczenie.

I kiedy krzyknął w swą maskę, Nimbus zapłakała pod swoją.

Odkąd zamieszkała ze Stuulem tydzień temu, ani razu nie

odwiedziła Teala. Pewnie sądził, że jego przewidywania się spełniły. Jak mogła mu wyznać, że naprawdę kierował nią wstyd?

Mechanik zjawił się, by doszlifować dzieło Teala. Nimbus patrzyła, jak kręci głową, zdumiony i zadziwiony.

- Co za obłęd! Niewiarygodny! Jak zmusił to do działania?

- Niech pan robi co musi - polecił Stuul - byle tylko efekty pozostały te same. I kategorycznie musi działać do weekendu; urządzam przyjęcie i zamierzam pokazać tę pracę wielu ważnym osobom.

- Będę musiał przerobić niemal wszystko, panie Stuul... To jedna wielka katastrofa. Nie miała przetrwać zbyt długo.

- Panie Lang, kupiłem to dzieło po naprawdę okazyjnej cenie. Nagle Stuul zorientował się, że posunął się w swojej szczerości nieco za daleko, i przepaszajaco uśmiechnął się do Nimbus. Patrzyła na niego bez wyrazu... Potem znów spojrzała na to, co robi inżynier, i pomyślała o występie, który czeka ją w ten weekend. Bogaci ludzie, patrzący jak, niczym dziwka, rozbiera się za szkłem, za żeton. Bogaci ludzie, obmacujący ją czarnymi, gumowymi rękawicami. Bezpieczny seks. Może Stuul zaprosi nawet kogoś wyjątkowego, by ją wziął, tak jak on wcześniej...

Myśląc o tych rzeczach, bardzo uważnie patrzyła na to, co robi mechanik.

Mieli na sobie pięcioczęściowe garnitury, wieczorowe suknie, fraki i połyskliwe kreacje. Wśród gości znalazł się znany artysta robot, który mimo braku emocji i ledwie antropomorficznej postaci, nadal każdym swym ruchem zdradzał gigantyczne ego. Byli tam też Kalianie, w bogatych, złotych szatach i błękitnych turbanach, mówiący bogatymi, złotymi głosami i przechadzający się władczo. Ich kobiety,

piękne mimo rytualnych blizn, uśmiechały się uprzejmie, ale nie wolno im było się odzywać. Dźwięczące śmiechy, dźwięczące szkło. Stuul polecił Nimbus nie pokazywać się, by nie zepsuć pierwszego wrażenia, jakie wywrze wewnątrz dzieła. Wyjrzała jednak zza tablicy kontrolnej, gdzie przycupnęła.

I zamarła na widok znajomej twarzy. Z początku go nie poznała, bo był ubrany całkiem nieźle, ale jego oczy rozbłysły odbitym światłem. Teal...

To oczywiście, że zaproszono też artystę. Nimbus obserwowała go. W wielkim sąsiednim pokoju Stuul ścisnął mu dłoń i przedstawiał innym. Mimo odległości widziała, że Teal się nie uśmiecha. Patrzył pusto przed siebie. Dobrze go znała. Zastanawiała się, po co przyszedł. Z obowiązku wobec swej sztuki? Z masochizmu? Czy po to, by ją zobaczyć?

Miała nadzieję, że zrozumie, czemu zniszczyła jego arcydzieło.

- Panie i panowie - oznajmił Darik Stuul, unosząc ręce niczym cyrkowy mistrz ceremonii. - Przedstawiam wam „Stacje Krzyża albo Wszyscy jesteśmy męczennikami”.

Oklaski. I zaczęło się. Nimbus była płodem. Urodziła się w wodospadzie krwi. Oczyszczona wyszła na świat. Goście podeszli bliżej, zafascynowani, zachwyceni. Wyobraziła sobie erekcje w spodniach od fraków. Nawet nadęty robot obserwował ją jak zahipnotyzowany. Nie patrzyła na nich. Nade wszystko nie chciała zobaczyć Teala. Tym razem wiedziała, że nie jest z niej dumny.

A teraz dziecko, które przedstawiała, wyszło na świat, który oszołomił je kolorami i wiatrem. Ludzie podeszli bliżej, sięgając do rękawic. Stuul dopilnował, by kaliańscy dygnitarze w turbanach pierwsi zajęli najlepsze miejsca.

Rozpoczęła się burza farb i nagle wieko pokrywające tę część akwarium odskoczyło jak pajacyk z pudełka. Węże

tańczyły wokół, niczym rozwścieczone gady, tryskając wielobarwną farbą po całej sali. Po prywatnej galerii Stuula.

- Nie! - krzyknął. - Nie!

Na frakach rozkwitły plamy. Farba zlała kosztowne fryzury. Jeden z Kalian zakrztusił się i wypluł ją, zamrugał oślepiionymi oczami. Struga farby przekrzywiła mu turban. Hologram Marylin Monroe uśmiechnął się, przytrzymując unoszoną powietrzem spódnicę, strugi farby tryskały przez sam środek widmowej postaci. Strumienie żółci strącały rzeźby z postumentów. Strugi czerwieni uderzały w obrazy w złoconych ramach. Białe ściany i sufit w ciągu paru sekund zamieniły się w paskudny obraz Jacksona Pollocka.

- Teal! - zawołał Stuul. - Wyłącz to, szybko, wyłącz!

Teal podbiegł do tablicy kontrolnej. On także ociekał farbą. Zdjął panele i jęknął.

- Jezu... Wszystko poprzelączające!

- Do diabła! - Stuul odepchnął go na bok i szarpnął węże. Jeden wyskoczył i strumyk czerwonej wody z macicy uderzył go prosto w nozdrza.

Teal wybuchnął śmiechem. Zaczął szukać wzrokiem Nimbus i znalazł - wydostała się już z jego dzieła, naga, ociekająca farbą. Z szerokim uśmiechem podeszła do niego.

- Zaskarżę cię o odszkodowanie, Teal! - wściekał się Stuul.

- Majstrowałeś przy jego dziele - odparła Nimbus. - Nie możesz go obwiniać. U niego działało.

Kalianin rozpaczliwie szarpał zawory, naciskał przełączniki. Z maszyny wypadła chmura pyłu, oblepiając mokrą farbę.

- Żądam zwrotu pieniędzy! - ryknął.

- Weź swoje pieniądze - odparła Nimbus, przekrzykując chaos i krzyki. - Ale nie możesz nas zaskarżyć, to wszystko twoja wina. Trzeba było słuchać swojego dealera. A przy

okazji, rzucam pracę.

Ujęła Teala za rękę i w pandemonium wycofali się na korytarz, gdzie stanęli, chlapiąc farbą na nieskazitelną wykładzinę.

- Przepraszam - wyszeptała Nimbus.
- Nic nie szkodzi.
- Bezpieczniej będzie, jeśli zwrócimy mu pieniądze.
- Wiem.
- Znów będziemy potrzebowali gotówki.
- Coś wymyślimy. Może zostanę kelnerem. Na jakiś czas.

Obok była łazienka; poprowadził ją tam za rękę. Stanęli razem pod prysznicem - Nimbus naga, Teal w ubraniu - by zmyć farbę. Za chwilę pójda i zbiorą jej rzeczy, ale teraz całowali się pod oczyszczającym strumieniem wody w jasnym, białym świetle łazienki - jak dwie odrodzone dusze.

BALLADA O MOOSECOCK LIP

Z Punktown byli oboje, miasta, co się rozumie,
Może gdzieś się minęli,
Wpadli na siebie w tłumie,
W ciemnej sali kinowej upłynęła im chwila,
Oglądali performance, dzieło Nimbus i Teala,
Wspólnie pełnym pociągiem odbywali podróże,
I w tej samej księgarni się schronili przed burzą.
Brine'a pół roku wcześniej wywalili z fabryki,
Dawny szept niepokoju wzbierał w nim w głośnie krzyki,
Do Moss Hollow pod miastem, tuż u stóp szarej góry,
Wybrał się do Dazeya, zbrojny w grymas i skóry.
Znał go z dawniejszych czasów, zawsze ścigał kłopoty,
Oczy - ogniste lonty, uśmiech szczery i złoty.
Dazey objął kolegę i poklepał po plecach,
Swoją samolot pokazał - co za wrak, istna heca,
Uziemiony na wieki, w pnączy zwartych ramionach,
Mieszkał w nim sam jak palec (bo rzuciła go żona).
Poprowadził wnet Brine'a ciemnym i gęstym lasem,
Aż do stawu, gdzie towar przechowywał tymczasem.
Stwory, jakby krewetki, lecz z ludzkimi stopami,
Przetworzone na prochy, kupowali masami
Na ulicy. Gdy Dazey cynk mu dał, jak i co,
Brine zawahał się, ale szybko rzekł: „Wchodzę w to”.

Złota Dziewczyna,
Blasku lawina,
Jasna jak chmury,
W trykocie skóry.
Włosów czerń nocy,

Lecz najpiękniejsze miała oczy.
Tęczówki złote,
Złoto - jej totem.
Matka Złotej Dziewczyny od niedawna nie żyła,
Ojca dawno już kula w środek głowy zabiła.
Złotą skórę okrutna oszpeciła choroba,
Odbierając marzenia,
Kładąc sny w cichych grobach.
Harowała w barze,
W kiecce, jak szef każe,
Ale w domu ponurym,
Wolała błysk skóry.
Roznosiła talerze, liczył się każdy tip,
A nocami wracała prosto na Moosecock Lip.

Brine się zaraz wprowadził, prosto do samolotu,
Niczym bomba w ładowni leżał sam w gęstym mroku.
Dazey zbudził go: „Chodźże, świta już, dalej, ryp.
Czeka na nas mutantka,
Mieszka na Moosecock Lip”.
Brine wziął w garść swoją spluwę, wolffa czterdzieści
pięć,
Jazda mu się dłużyła, przysnąć wielką miał chęć.
Zbudził go zgrzyt - to Dazey włączał strzelania tryb
W swej giwerze. „Wstań, koleś,
Oto jest Moosecock Lip.
Spluwy to tylko bajer, laska nic nam nie robi,
Jest w porządku, dość młoda - lubię takie, co robić”.
Brine go słuchał bez słowa: chciał odwalić robotę.
Poszedł w ślad za Dazeyem,
Obaj nieśli narkotyki.
„Pannę zżera Choroba, matkę Sue już zabiła,
Ale cię nie zarazi, może dla nas być miła”.

Dom na szczycie już czekał, otworzyła im drzwi,
Odwrócona plecami,
Ukrywała swój wstyd.
W samotności tańczyła z dawnym żarem, płomieniem,
Lecz przy ludziach wołała skrywać swoje cierpienie,
Dazey ruszył z prochami ku niej prosto przez pokój,
A Brine szukał jej wzrokiem, złotej iskierki w mroku.

Złota Dziewczyna,
Krucza łupina,
Oczu czarny blask,
Narkotyki - jej świat.
Dazey poszedł się odlać,
Brine'owi dała kawy. Podziękował: „Dobra”
Nieśmiało spuściła wzrok,
Z ust jej słów lał się tok.
Brine'a ujął jej urok, jej nieśmiałość, i jeszcze
Widział w duchu jej włosy jak chorągiew na wietrze.
Obleczone trykotem podziwiał jej ciało,
Złoto skóry z tak bliska duszę mu ogrzewało.
Chciał się umówić - próżno,
Dazey rzekł, że już późno.
Złota Dziewczyna o darze złotym,
Kiedy Brine wyszedł, uniosła oczy.
Nie zapaliła światła, i noc
Opadła na nią, dławiąc jak koc.

Narkotyki sprzedane, Brine pożegnał się z nędzą,
Znalazł sobie mieszkanie,
Wciąż miał masę pieniędzy,
Poszedł więc na śniadanie w miłym barze pod domem,
I znad karty tam ujrział rysy twarzy znajome,
(Złota, Złota Dziewczyna, nie ukryjesz się, mała).

Uśmiechnęła się, ale W głębi ducha zadrżała.
Gawędzili przez chwilę, potem poszedł do miasta.
„Zobaczymy się jutro” I faktycznie ją zastał.
Poszli razem na obiad, szeptał czule do uszka,
I po krótkich podchodach
Ją zaciągnął do łóżka.
Zamieszkała u niego, w kręgu światła i mocy,
Porzuciła na wzgórzu domek swój w mroku nocy,
Ale prochy, jak blizny, pozostały jej częścią.
Po dwóch ciężkich miesiącach
Porzuciła ich szczęście
I wróciła na wzgórze. Wypalony jak kłown
Brine spakował swą gorycz,
I wyjechał z Punktown.

Złota kobieta,
Uczuć paleta,
Tańczy jak płomień,
Lecz nikt nie przychodzi do niej.
Na dachu domu tańczy deszcz.
Stłukła zdjęcie matki,
By ból przegnać precz.
Straciła pracę,
Zbyt ogłuszona, nawet nie płacze.

Krótką wizyta, przytulny bar,
Ściągnął go tutaj browaru czar.
Kilka kufli i człowiek zapomina o nędzy.
Ktoś go klepnął po plecach,
Patrzy w dym - a to Dazey.
Dazey zbił niezłą kasę, podbił całą ulicę,
Brine się przyznał, że znowu zapiernicza w fabryce.
Dazey chciał dać robotę, Brine uprzejmie odmówił.

„Co tam słycać u Złotej?”
Spytał, bo miał już w czubie.
„Daje dupy za kasę, alfons jej to Reddream,
Twardy koleś, rozumiesz, lubi czad, lubi dym.
Zawsze nosi obrzyna, mówię ci - ostry typ -
Przeniósł się z chłopakami
Do niej, na Moosecock Lip”.
Brine przytaknął powoli i odstawił kielicha.
Patrzył zimno i trzeźwo.
„Idę do niej, i kwita”.
Kumpel zęby wyszczerzył. „Wiedziałem, że wrócisz,
Może przyda się pomoc? Chyba mnie nie odrzucisz?”.
Nocna burza minęła, krople kapały w rytm,
Z dachu domu, co czekał
Na nich na Moosecock Lip.
Drzwi otworzył im mutant - rybi pysk, oczka małe,
Załatwili go szybko pierwszym porannym strzałem.
Dazey śmiał się, strzelając: „Zdychaj, ty sukinsynu!”,
Gdy załatwił drugiego serią w pierś z karabinu.
Potem głos dała spluwa Brine'a; sam nie miał słów,
Więc pozwalał, by gnat tam przemówił za dwóch.
Wcześniej poddał się szybko, walkę miał za daremną,
I pozwolił, by złote Słońce pożarła ciemność.
Wtedy obrzyn wychynął z za drzwi, gdzie się chował,
Zagrzmiał strzał, tylko jeden,
I Dazey eksplodował.
Brine usłyszał krzyk Złotej, ale nie miał już czasu,
Kule mknęły spragnione jak komarów rój z lasu.
Nagle ujrzał Reddreama, alfons szedł jak po swoje,
Brine uskoczył i strzelił, Łeb rozwalił na dwoje.
Ukląkł obok Dazeya, ale nic nie mógł zrobić,
Kumpel we krwi kałuży już spoczywał jak w grobie.
Poszedł zatem do kuchni - była tam, gdzie jej dom.

Złota Dziewczyna,
Włosów kurtyna,
Okrywa ją.
To jest jej schron,
Jej jaskinia.
W kącie tkwiła skulona, z otwartymi oczami,
Jakby dopadł ją demon i potwornie poranił.
Musiał cicho przemawiać, by jej tylko nie spłoszyć,
Żeby znów nie umknęła, dalej w głąb swojej nocy.
„Łatwiej było mi uciec, łatwo żyć nam z prochami,
Chcę, by to była pierwsza bitwa, którą wygramy”.

Złota Dziewczyna, Pusta łupina,
Jej taniec kiedyś - ze świata drwina.
Teraz ślepa i głucha,
Martwa twarz, jak u trupa,
Lecz powoli rozjaśnił ją uśmiech, i siła,
Skryta w owym uśmiechu, życie jej przywróciła.

Po raz pierwszy od lat,
Z dzielnic bogactw i nędzy,
Ludzie smutni, radośni,
A przeważnie pomiędzy,
Różni jak gama uczuć, od weselisk do styp,
Nocą światła ujrzeli,
Na szczycie Moosecock Lip.

TWARZ

- Wesołych świąt! - zawołał pięcioletni Ian Declan. Był koniec lata.

- Raczej: wesołego Halloween - rzucił do swego kumpla młody mężczyzna, mijając Declanów idących w drugą stronę środkiem centrum handlowego.

- Co on powiedział? - spytała męża Rebecca.

- Nic - odparł cicho Declan, ale obejrzał się przez ramię.

W tym samym momencie młodzieniec także spojrział na niego z uśmiechem. Był wysoki, miał sięgające ramion czarne włosy, rozdzielone z boku i przytrzymane czerwoną spinką, i rysy tak przystojne, że niemal zbyt piękne. Spomiędzy pełnych warg w brązowej twarzy błyskały jasne zęby. Declan chciał wierzyć, że coś w jego twarzy sprawiło, że tamten obrócił się szybko.

Ian tymczasem, nieświadom niczego, jechał między rodzicami na swym wózku, będącym bardziej robotem niż zwykłym fotelem na kółkach i czyniącym z niego coś w rodzaju półmechanicznego centaura. Zbiorniki pod siedzeniem łączyły się węzami z cewnikami w jego ciele. Nadal miał w sobie tu i tam plastikowe pierścienie wcześniejszych otworów, już nieużywanych. Od urodzenia pozostawał podłączony do najróżniejszych maszyn podtrzymujących życie, lecz dopiero od niedawna musiał się poruszać na wózku, bo atrofia osłabionych nóg posunęła się tak daleko, że nawet Declanowi, który wcześniej często ganiał się z synem i był przez niego ścigany, trudno było uwierzyć, że to dziecko kiedykolwiek swobodnie biegało.

Declan rozejrzał się, sprawdzając odruchowo, czy coś na wystawie nie wywołało okrzyku Iana, uznał jednak, że to

skutek ostatniej fascynacji syna płytą piosenek świątecznych, której z niewiadomych powodów zaczął słuchać parę tygodni wcześniej. Zeszłej zimy zupełnie go nie interesowały, ale ostatnio musiał wysłuchać całej co najmniej raz dziennie, a czasami po wielokroć. Choć Ian posługiwał się zaledwie kilkunastoma prostymi zdaniami, wpojonymi w trakcie specjalnego programu przedszkolnego, tak by w potrzebie zawsze potrafił je wyrecytować, owe piosenki umiał powtórzyć niemal słowo w słowo. Declan sam uwielbiał je w dzieciństwie i teraz często śpiewał z synem. Dla niego głos Iana brzmiał cudownie - jak głos anioła.

Tunele centrum, po którym spacerowali, przerobiono z podziemnej części dawnej kanalizacji miejskiej, uszkodzonej podczas wielkiego trzęsienia, kiedy to zawaliło się także niemal całe stare metro Punktown. Dla zachowania atmosfery, w tunelach i przewodach pozostawiono zawory, skrzynki z obwodami i mniejsze rury, biegnące w górze albo wzdłuż zakrzywionych ścian między sklepami. Całość, łącznie z wyłożoną płytkami podłogą, pomalowano na upiorną zieleń, przypominającą zaśniedziałą miedź, Ian uwielbiał to miejsce, choć w przeszłości wiele razy awanturował się, gdy nie pozwolili mu odwiedzić każdego napotkanego sklepu z zabawkami i kupić wszystkiego, co mu się spodobało. Ostatnimi czasy zachowywał się znacznie lepiej, ale i tak Declan miał w zwyczaju podczas każdej wyprawy kupować mu jakiś prezent.

Gdy dotarli do jednego z kilku sklepów, specjalizujących się w grach i zabawkach, Ian zaczął wskazywać ręką i wydawać z siebie uporczywy, gardłowy pomruk. Declan zobaczył, że przechodząca para ogląda się na nich. Bez wątpienia widywali w Punktown mutantów znacznie bardziej szokujących niż Ian, ale zwykle stanowili oni owoc biedy i niewiedzy, rzadko bywali potomkami dobrze ubranej i

wyraźnie zamożnej pary, takiej jak Declanowie. Mimo że upłynęło już pięć lat, wciąż czuł ochotę, by przepaszającym tonem wyjaśnić tamtym jak do tego doszło. Dlaczego temu stworzeniu pozwolono żyć. Że aborcja jest sprzeczna z ich wierzeniami religijnymi - choć od narodzin Iana zaczęli stosować środki antykoncepcyjne. Choć od narodzin Iana znacznie rzadziej chodzili do kościoła.

Ian wyciągnął cienkie, przejrzyste jak szkło ręce, sięgając do wielobarwnych, plastikowych lampek sklepu. Wózek podtrzymywał jego coraz cięższą głowę, wezbraną burzową chmurę mlecznobiałego ciała. Mimo jej wielkich rozmiarów (była większa od głowy Declana), dziecko wydawało się zbudowane bardziej z ducha niż materii. Bez wątplenia sprawiała to jego przejrzysta skóra, przez którą prześwitywały sieci jaskrawobłękitnych żyłek. Ale także, jak wierzył ojciec, czystość jego uśmiechu. Declan uważał, że syn jest piękny, mimo tragedii widocznej w nieszczęsnych oczach.

Z Ianem między nimi, towarzyszącym im niczym olbrzymi płód w mechanicznej macicy, który nosili oboje, Declanowie weszli do sklepu z zabawkami.

Wokół uganiały się dzieci, szczebiocząc z zachwytem. Dzieci o jedwabistych włosach, które rodzice mogli głaskać do woli. O, jakże gorzko Declan nienawidził tych rodziców pięć lat temu, kiedy wszystko się zaczęło. Zamiast cieszyć się, że ich dzieci nie chorują tak jak jego syn, cieszyć się, że ich rodzice nie cierpią tak jak on, w owych czasach Declan odtrącał ich wszystkich.

Ian rozejrzał się z podnieceniem po oferowanych przez sklep towarach, zdjął z półek dwie figurki żołnierzyków i porównał je, trzymając po jednej w dłoni, ważąc ich zalety, a następnie odrzucając na rzecz figurki z filmu. Zdrowi, silni bohaterowie.

- Spójrz, skarbie. - Matka podsunęła mu urocze

zwierzątko, postać z jednego z jego ulubionych vidów. Ledwie na nie spojrział.

- Za mało broni - zażartował ojciec.

- Za mała cena - odparła równie żartobliwie Rebecca.

Była piękną, wysoką kobietą, jej długie cieniutkie jasne włosy, blada skóra i delikatne kości sprawiały, że wyglądała eterycznie. Beznamiętny błękit jej oczu miał w sobie coś odległego, a otaczająca go czerwień sprawiała, że zawsze wyglądała jak tuż po płaczu.

Oboje mówili ze zmęczeniem. Oboje uśmiechali się anemicznie.

Kiedy znów skupili uwagę na Ianie, zobaczyli, że zdecydował się na dużą lalkę Randy'ego Atlasa. Lalka mogła strzelać najróżniejszymi nieszkodliwymi promieniami i generować hologram pozawymiarowego towarzysza Randy'ego, Ektopsa. Ian miał w domu pościel i piżamę z Randym Atlasem.

- O rany - mruknął Declan, przyglądając się nalepce z ceną na półce.

- Skarbie - rzekła Rebecca - masz już dwie albo trzy lalki Randy'ego Atlasa.

- Ale nie takie. - Declan pokazał synowi figurkę potwora, kosztującą zaledwie pięć miednostek. - Ian, a widziałeś to? Rany, popatrz tylko.

- Przykro mi, skarbie, ale nie stać nas na nią dzisiaj - oznajmiła Rebecca, odbierając pudełko synowi, który zaczął marudzić głośno i krzyczeć ze złości. Declan szybko odsunął wózek syna od półki. - Wybierz coś innego - ciągnęła, odstawiając lalkę. - Dziś nie możemy jej kupić... Brakuje nam pieniędzy, Ian. Musimy jeszcze zjeść lunch - argumentowała, choć oboje wiedzieli, że chłopczyk niczego nie zrozumie.

Po licznych krzykach - i spojrzeń innych klientów - Ian z ponurą miną przyjął w końcu małego żołnierzyka z

sąsiedniego regału. Wyczerpani rodzice pozwolili swemu równie zmęczonemu synowi, by sam zawiózł lalkę do kasy. Twarz wciąż miał mokrą od łez. Siedząca za ladą kasjerka wybiła cenę na kasie. Zgodnie z obecną modą, dziewczyna miała na sobie czarny trykot i naszywaną cekinami maskę meksykańskiego zapaśnika, zasłaniającą całą twarz oprócz oczu i ust. Declan uważał tę modę za wybitnie wkurzającą. Pod maską dziewczyna bez wątpienia była śliczna. Dwa lata temu dzieciaki pokrywały twarze spiralnymi, maoryskimi tatuazami (później usuwanymi). Szkoda było dla nich urody.

Ian zmarł trzy tygodnie przed świętami.

Centrum nie ociągało się z rozwieszaniem dekoracji, toteż zdążył jeszcze je obejrzeć podczas ostatniej wyprawy, nim osłabł tak bardzo, że nie mógł już opuszczać szpitala. Teraz Declan wodził po nich wzrokiem. Czerwone i złote girlandy oplatały rury i pęki kabli. Z wklęsłego sklepienia zwisały srebrne kule, niczym błyszczące, rakowe guzy. W głośnikach dźwięczały kolędy. Burl Evans śpiewał „Holly Jolly Christmas”.

Declan usiadł ciężko na ławce i odstawił torbę tak szybko, że się wywróciła. Tę właśnie piosenkę jego syn śpiewał najczęściej.

Młoda kobieta pochyliła się i spojrzała mu w twarz. Nie Rebecca - w tej chwili była w kościele; ostatnio przesiadywała tam coraz częściej, jakby chcąc zrekompensować nieobecność Declana w tym miejscu. Przed świętami miała wiele pracy, wiele zajęć, na których skupiała się z niemal gorączkowym zapalem.

- Dobrze się pan czuje? - Nieznajoma zauważyła, że o mało nie upadł na ławkę.

Ale Declan zastanawiał się, czy prócz wyraźnego bólu nie pociąga jej też jego wygląd. Był niezwykle atrakcyjnym

mężczyzną. Rebecce spodobał się od pierwszego wejrzenia. Kobiety w pracy flirtowały z nim bezwstydnie. I choć nie golił się od dwóch dni i nieco zapuścił zwykle krótko przystryżone włosy, nadal przyciągał wzrok.

- Wszystko w porządku - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Nic mi nie jest, dziękuję. - Sięgnął po torbę z zakupami.

- Na pewno?

- Tak, dzięki.

Kątem oka zauważył, jak odchodzi niechętnie. Declan przyglądał się zawartości swej torby. Tkwiło w niej kolorowe pudełko z dużą lalką Randy'ego Atlasa. W Wigilię położył je pod choinką. W Boże Narodzenie rozpakuje i posadzi na łóżku Iana, w pościeli z Randym Atlasem.

Dlaczego nie kupił jej tamtego dnia? Dlaczego jej nie kupił, kiedy syn mógł jeszcze wziąć ją w ręce, choćby nawet następnego dnia miał odrzucić na stertę innych, zapomnianych zabawek? Tamtego dnia zjedli lunch w kafejce: dwadzieścia miednostek. Następnego go wysrali. Czemu wcześniej nie kupił lalki? Zapomniał o niej; podejrzewał, że tę partię lalek sprzedano i nie zamówiono nowych. Powinien był jednak poszukać gdzie indziej, zamówić, przynieść ją Ianowi do szpitala. On i Rebecca dawali mu inne prezenty, ale zapomnieli o tej szczególnej lalce, którą Declan zobaczył dopiero dziś, błakając się jak lunatyk po sklepie z zabawkami.

Wstał z ławki i znów ruszył naprzód. Pozbawiony ciężaru żony i syna na wózku, zdawał się szybować bez celu. Czuł się jak duch, nawiedzający swój dawny dom i niewiedzący, czemu to robi. Wyobrażał sobie, że Ian jedzie obok. Rozmawiał z nim nawet w myślach.

- Rany - mruknął. - Popatrz tylko.

Pośrodku głównego holu zbudowano miniaturowy zamek Świętego Mikołaja. Holograficzne elfy krzątały się wokół, tworząc pętle filmowe. Declan przyglądał im się jakiś czas.

Wyobraził sobie swą dłoń na bezwłosej, rozdętej czaszce syna. Nie dostrzegał innych dzieci wokół siebie; dla niego nawet elfy były bardziej żywe.

Odwiędził wszystkie miejsca w centrum, które uwielbiał jego synek. Przejrzał dział dziecięcy w księgarni. Przyglądał się zamkniętym w klatkach psom i małym rybkom śmigającym w akwariach. W jego głowie rozlegał się głos Iana, wołającego: „Pies!”. Wówczas Declan był z niego taki dumny. Ludzie zapewne myśleli, że teraz uśmiecha się do psów.

W owym codziennym seansie odgrywał rolę medium. Ale wiedział, że to wszystko fałsz.

W męskiej toalecie dużego sklepu sieciowego ochlapał zimną wodą twarz, a potem przejrzał się w długim, brudnym videokranie, który z szacunkiem ukazywał jego odbicie tak, że mógł zobaczyć się takim, jakim widzieli go inni. Dostrzegł w nim nienawiść, zastanawiał się jednak, czy inni też ją widzą, była bowiem zbyt głęboka, zbyt skryta. Nienawidził tego ciała, za jego urodę. Nienawidził swych lśniących, granatowoczarnych włosów, jasnych, błękitnych oczu... a nawet sprawności umysłu. Wolałby bezgraniczną niewinność swego syna. Chętnie unicestwiłby ów zdrowy umysł, byle tylko odnaleźć zapomnienie.

W głowie dźwięczał mu nie tylko głos Iana, ale także Rebeki; ona również wydawała mu się martwa.

- To mnie winisz za to wszystko. - Oczy miała czerwieńsze niż kiedykolwiek. - Bo nie chciałam usunąć ciąży. Bo nalegałam, by utrzymali go przy życiu...

Nie wierzyła, że czuł coś zupełnie innego. Że to nie jej nienawidził. Że nie winił nawet Boga, ani nauki. Że jego nienawiść nie była aż tak prosta. Jak dziesięć lat po ślubie mógł powiedzieć żonie, że nigdy nie kochał nikogo tak mocno, jak swego pięknego synka?

Dobiegający zza pleców dźwięk sprawił, że oderwał od odbicia swych oczu zagubione spojrzenie. Do toalety weszło dwóch hałaśliwych młodzieńców; zawstydzony Declan pospieszenie wytarł ręce. Robiąc to, dostrzegł ich w wideokranie, stojących w rozkroku przed pisuarami i żartujących między sobą głośno. Jeden bryznął odrobiną moczu na nogę drugiego. Tamten odpowiedział ogniem. Zaczęli się trącać i popychać ze śmiechem. Mocz polał się na podłogę. Declan ruszył do drzwi. W Punktown żyło sporo rozwydrzonej młodzieży, a on w odróżnieniu od innych, nie nosił broni dla ochrony własnej i rodziny.

Sięgając do klamki, obejrzał się raz jeszcze, zapewne sprowokowany wyjątkowo głośnym krzykiem. Jeden z chłopaków próbował zapiąć rozporek, drugi nadal go popychał. Widział z profilu tego drugiego: długie czarne włosy, rozdzielone z boku i przytrzymane czerwoną spinką, i rysy tak przystojne, że niemal zbyt piękne. Pomiedzy pełnymi wargami, w brązowej twarzy błyskały białe zęby.

Przez moment Declan zawahał się na progu.

Ktoś otworzył drzwi z drugiej strony; do łazienki wszedł starszy Choom o wielkich ustach pozbawionych zębów; jego głowa wyglądała jakby częściowo zapadła się w sobie. Declan wzdrygnął się, szybko prześliznął obok niego i wrócił do sklepu, nim dwaj kumple zdążyli się obejrzeć i zobaczyć, że ich obserwuje.

Udawał, że przygląda się wystawie elektrycznych śrubokrętów w dziale z narzędziami, gdy chłopcy wyszli z łazienki i minęli go. Chwilę później ruszył ich śladem. Dyndająca torba obijała mu się o nogę.

Podążył za nimi z powrotem do centrum, jednym tunelem, potem drugim. Płynę kanałami za głównym, pomyślał. Kiedy dotarli do sklepu muzycznego, zatrzymał się

na zewnątrz i czekał. Obserwował ich przez okno. W końcu odrętwiały ruszył naprzód i parę sklepów dalej kupił sobie kawę. Usiadł na kolejnej ławce, popijając ją wolno.

Nie był jednak w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak we trójkę siadywali tyle razy na tej samej ławce. Rebecca także piła kawę, a Ian zawsze skubał czekoladowego pączka; lukier oblepiał mu usta, pozostające jedyną nietkniętą chorobą częścią jego ciała.

Declan wstał, wrzucił pełen kubek do spalarki i pomaszerował szybko z powrotem do supermarketu i działu z narzędziami. Przejrzał wystawione śrubokręty i młotki, noże, łatwopalne gazy i płyny. W końcu dotarł do działu turystycznego. Och, jakże chętnie Ian pobawiłby się w rozbitym tam namiocie.

Maszerując zwawo, choć jeszcze pół godziny temu snuł się niczym widmo, wrócił do sklepu muzycznego. Chłopaków już tam nie było. Częściowo poczuł ulgę, przede wszystkim jednak zawód. Ruszył w stronę knajpek... ale nie dotarł zbyt daleko, bo dostrzegł ich ponownie, przez wystawę sklepu z modnymi ciuchami.

Wszedł do środka. Choć nie spodobało mu się nic z tego, co ujrzał, kupił jakiś drobiazg, po czym znów ruszył za chłopakami do centrum. Wkrótce jednak pojął, że mają już dosyć zakupów, bo skręcili w stronę wyjścia wiodącego na wielopoziomowy parking.

Obaj zeszli po schodach, zamiast jechać windą; na klatce dźwięczały ich ciężkie kroki i donośne, podniesione głosy. Metalowe stopnie kończyły się podestem, a potem skręcały i znów opadały w dół. Poniżej lampa ścienna migotała niczym jasna, roztrzepotana ćma na tle mdląco-zielonych, szpitalnych kafli.

Nad nimi Declan przystanął na podeście, grzebiąc w torbach. Potem znów ruszył w dół. Jego krokom nie

towarzyszył zaden dźwięk; równie dobrze mógł być duchem.

Chłopcy przecięli parking, przemykając między ciasno ustawionymi pojazdami wszelkich typów i rodzajów, odbijającymi przebogie bogactwo kulturowe Punktown. Ich własny pojazd okazał się powgniatanym i odrapanym czarnym lotowozem ozdobionym wymalowanymi od szablonu czaszkami i postaciami z meksykańskiego Dnia Umarłych, tak że przypominał wesoły karawan.

Przez kilka chwil ukryty za filarem Declan patrzył nerwowo, jak mężczyzna w kurtce z klonowanej skóry i kobieta w pomarańczowym trykocie wsiadają do wozu i odjeżdżają w stronę bramy. Wówczas wystąpił szybko naprzód, pokonując niewielką odległość dzielącą go od czarnego lotowozu.

- Wesołych świąt - rzekł za plecami długowłosego chłopca, który otworzył właśnie drzwi, lecz odwrócił się w stronę głosu.

Declan wyciągnął rękę, jakby chciał dać mu prezent. Bardziej jednak przypominał dzieciaka w Halloween, bo jego głowę pokrywała naszywana cekinami maska meksykańskiego zapaśnika.

Jaskrawoczerwony pistolet sygnałowy miał pomagać zagubionym turystom. On także był zagubiony. W obrotowym cylindrze mieściło się sześć komór. Jak Randy Atlas w hełmie, z bronią, Randy Atlas mściciel i obrońca uciśnionych, zaczął strzelać raz za razem, prosto w twarz pięknego chłopca o długich włosach.

W półmroku niskiego parkingu zajaśniały migoczące płomienie. Chłopak runął do tyłu, uderzając z wrzaskiem o sąsiedni pojazd, rękami tłukł różowe, ogniste inferno na twarzy; wyglądał jak rozwścieczony demon. Declanowi wydało się, że pod kapturem niemal płynnego płomienia widzi, jak jądro z ciała zapada się w siebie. Żałował, że

chłopakowi topią się oczy. Że nie będzie mógł obejrzeć swej twarzy, kiedy ta już wystygnie. Wierzył bowiem, że chłopak przeżyje. Nauka tego dopilnuje.

Pistolet sygnałowy szczęknął głucho. Declan obrócił się na pięcie i puścił biegiem przed siebie. Piękny chłopak leżał na ziemi i wrzeszczał między dwoma pojazdami, spod których bił blask trawiącego jego ciało żaru. Kolega, także z wrzaskiem, ukrył się szybko, nietknięty.

Biegąc i wciąż ściskając pod pachą torbę z lalką Randy'ego Atlasa, przytuloną do piersi jak ocalone niemowlę, Declan nie widział już ognia odbitego w skórze wielu pojazdów, zimnych, ustawionych w szeregi niczym trumny w kryptach. Ogień nie odbijał się już od cekinów ohydnej maski kryjącej jego przystojną twarz ani we łzach, które zebrały się w przeświecających przez nią oczach.

- *Dla Colina.*

DRUKARZ

Immanuelowi Glintowi nie podobał się nowy drukarz. Oczywiście był to robot, a jego wygląd skojarzył się Glintowi z parą kopulujących modliszek, wyrzeźbionych ze stali przez naćpanego halucynogenami Salvadora Dali. Przynajmniej owa potworność o wielu kończynach miała tylko jedną głowę (co ponownie skojarzyło się Glintowi z romansującymi modliszkami, jako że ich samice mają w zwyczaju odgryzać głowy kochankom w szale namiętności). Nowa maszyna jaśniała nieskazitelną czystością - nienaturalną, jak na robota, który umarł i trafił do nieba. Brakowało jej wgnieceń, zadrapań, plam z farby na pokrytej pancerzem skórze, typowych dla innych drukarzy. Przez to nowy w oczach Glinta wydawał się nadmiernie schludny, pedantyczny.

Oczywiście musiał przyznać, że na jego odczucia poważnie wpływała zbyt żywa wyobraźnia artysty, Glint był bowiem dyrektorem artystycznym drukarni w Paxton.

Teraz podszedł do drukarza, trzymając w dłoni chip z informacjami. Robot podłączył się do prasy drukarskiej, podpinając przewody do jej tablicy kontrolnej. Glint ujrzał kartki papieru z nagłówkami, wyskakujące z drugiego końca taśmy i zatrzymujące się w koszyku. Wibrujący koszyk układał je w równiutki stos.

- Dzień dobry, Manny - powiedział robot miłym męskim głosem (choć nie miał ust); Glint pomyślał z irytacją, że brzmi zupełnie jak gadająca figurka Randy'ego Atlasa. Drukacz obrócił owadzią głowę ku niemu. - Zapewne przynosisz mi projekt do nowego katalogu.

- Cześć, Koleś - odparł Glint. Jeśli istniało przezwisko, które drażniło go bardziej niż Manny, to właśnie Koleś.

Dyrektor drukarni, Scott, ochrzcił tak nowego pracownika. - Owszem, mam go tutaj. - Uniósł kość, demonstrując ją przed wielkimi, pustymi oczyma.

- Doskonale, Manny. Możesz go włożyć do mojego portu drugiego. Nie martw się, to mi w niczym nie przeszkodzi.

- Dzięki... trochę mi się spieszy z tymi próbkami - oznajmił z cieniem goryczy, wsuwając chip do automatu. - No wiesz, terminy - dodał ciszej. - Nierealne terminy.

- Przykro mi, że to cię stresuje, Manny. A kto ci narzuca te nierealne terminy?

- Mayda Gendron z zarządu ziemskiego. Odwiedziła nas w tym tygodniu... i ciągle stoi mi nad głową. - Glint nie mógł uwierzyć, że zwierza się maszynie zaprogramowanej do pogawędek, tak jak interkom do grania kojącej muzyki. Ale ponieważ właściwie przypominało to rozmowę z samym sobą, posunął się jeszcze dalej. - To tyranka. Paskudna trollica i despotka. Brakuje jej mężczyzny, ot co.

- Ojej - rzekł współczująco Koleś. - Brzmi naprawdę okropnie. Będę uważał, by nie wejść jej w drogę. No cóż, Manny, zawiadomię cię, gdy tylko próbki będą gotowe. Zaraz się nimi zajmę.

- Super, dzięki. - Glint zawrócił w stronę biur i swego małego, jednoosobowego działu artystycznego.

Minęła niecała godzina, gdy Koleś zapiszczał, wzywając Glinta z powrotem do wielkiej sali. Robot machnął smukłą ptasią, szponiastą kończyną, wskazując dziesięć równiutkich stosów wydrukowanych zaproszeń na barmicwę, przeznaczonych do najnowszego katalogu.

- Szybko się uwiñałeś - pogratulował błyszczącej maszynie Glint i obejrzał jedno z zaproszeń.

Chwilę przyglądał mu się, marszcząc brwi, po czym wezwał do siebie Kolesia.

- Koleś, ta zieleń bardzo różni się od mojego projektu.

Czy sprawdzano u ciebie kalibrację barw?

Koleś spojrzał mu przez ramię na zaproszenia.

- O tak, mój system jest bardzo dokładny. Po prostu, szczerze mówiąc, Manny, uznałem, że zieleń z twojego projektu jest trochę żółtawa. Bardzo podoba mi się sam rysunek, ale stwierdziłem, że niebieskawa zieleń daje lepszy efekt.

Glint powoli uniósł głowę, patrząc na maszynę.

- Hej... posłuchaj mnie uważnie. Ja tu jestem dyrektorem artystycznym, rozumiano? Nie możesz zmieniać mojej kolorystyki!

- Ale, Manny, z całym szacunkiem...

- Nie. Nie. Nie będziesz zmieniał moich projektów! To idiotyczne. - Glint ponownie przyjrzał się próbce. - A zobacz tutaj, spójrz! Te dzieci! Niektóre mają brązowe twarze.

- Uznałem, że wcześniej brakowało im różnorodności etnicznej, Manny.

- To żydowskie dzieci! W Izraelu!

- Wiesz chyba, Manny, że istnieją też czarni Żydzi. - Koleś upomniał go łagodnie.

- Co? Jesteś tylko maszyną, narzędziem! Nie będziesz, powtarzam, nie będziesz przeprojektowywał moich prac, albo, daję słowo, każę wywalić cię do spalarki! Zrozumiałeś?

- No cóż, jeśli nalegasz, Manny. Chciałem tylko pomóc.

- Zamknij się - warknął Glint. - Wyrzuć to łajno, wydrukuj mój projekt i nigdy więcej nie majstruj przy kolorach. - To rzekłszy, odmaszerował do biura, po drodze jednak zatrzymał się na chwilę i krzyknął do robota: - I nie mów do mnie Manny! Dla ciebie jestem panem Glintem!

Niecałe pół godziny później Koleś ponownie wezwał piskiem Glinta do sali drukarskiej. Glint zapisał program, nad którym pracował, i z determinacją pomaszerował w stronę prasy, zdecydowany nie znosić ani cienia nieposłuszeństwa

nowego „sprzętu”.

O mało nie stanął jak wryty, kiedy ujrzał, że wraz z Kolesiem przy prasie stoi Maya Gendron - Maya Gendron, główna dyrektor artystyczna z zarządu ziemskiego.

- Witaj, Immanuelu - pozdrowiła go, oglądając dwie próbki zaproszenia na barmicwę. - Koleś pokazywał mi właśnie twój projekt. Dobra robota. - Glint podszedł bliżej i nagle pojął, że Maya porównuje dwie różne karty: jego wersję i Kolesia. - Muszę jednak przyznać - podjęła - że wolę pierwszą wersję kolorystyczną. Błękitnawa zieleń jest znacznie ładniejsza, a dzieci różnych ras to miły akcent...

Glint nie wierzył własnym uszom. Spojrzał z wściekłością na robota, jednak oblicze maszyny nie zdradzało niczego. Poczuł, że do twarzy napływa mu krew.

- Kolesiu, kazałem ci wyrzucić pierwszą partię, zgadza się?

- O czym ty mówisz, Immanuelu? - zdziwiła się Maya. - Właśnie ci powiedziałam, że wolę...

- Ale, Mayu! Wydałem temu... temu bezczelnemu kawałowi złomu dokładne polecenie...

- Naprawdę nie lubię się skarżyć, panno Gendron - wtrącił kojącym głosem Koleś - ale pan Glint traktuje mnie niezwykle nieprzyjemnie, choć staram się jedynie zapewnić naszym klientom najlepszy możliwy produkt.

- Wystarczy! - ryknął Glint. - Zamknij się, zamknij!

- Panie Glint! - Maya wyraźnie się zdenerwowała.

I nagle Glint usłyszał swój własny głos. Nie dobiegał jednak z jego ust. Zrozumiał, że to nagranie zrobione wcześniej przez robota i teraz odtwarzane. Mówił właśnie:

- Mayda Gendron z zarządu ziemskiego. Odwiedziła nas w tym tygodniu... i ciągle stoi mi nad głową. To tyranka. Paskudna trollica i despotka. Brakuje jej mężczyzny, ot co.

- Jak widzisz, Mayu - powiedział Koleś, kiedy nagranie

dobiegło końca - pan Glint bywa bardzo nieprzyjemny we współpracy.

Głowa Mai obróciła się powoli na szyi, jakby ona sama była robotem. Spojrzała w stronę Glinta.

- Teraz to widzę, Kolesiu - rzekła lodowato. - Widzę bardzo wyraźnie.

Immanuelowi Glintowi zabrakło słów. Ukradł je Koleś. Razem z jego posadą.

PAŁAC NICOŚCI

Titus wpadł na lunch do baru krabowego J.J. Redhooka. Skłębiona masa owych „krabów” - a dokładniej kuzynów rybika cukrowego wielkości homara i w porcelanowobiałych skorupach - czekała w wielkich siatkach, do połowy zanurzonych w wodzie obok baru. Ów zbiornik wodny stanowił kiedyś fragment systemu chłodzącego, używanego przez obecnie zamknięte Odlewnie Plastechowe. W dzisiejszych czasach wspomniane już białe kraby zasiedliły jego muliste głębiny. Sprowadził je tam pan Redhook, który hodował w stawie także mackowaty wodorost, po ugotowaniu mający konsystencję makaronu i przyjemnie słonawy smak. Titus zamówił to danie i jedno jasne piwo. Po posiłku wyszedł z baru z dużą kawą na wynos.

Stanął na zagrodzonym brzegu dawnego zbiornika chłodzącego, sącząc kawę, parującą w mroźnym powietrzu. Uwielbiał dobrą kawę, odkrył jednak, że nawet zła, taka jak ta, ma w sobie pewien urok, właściwy śmieciowemu żarciu - była nie do przyjęcia w porządnej restauracji, natomiast świetnie pasowała do wesołych miasteczek, parków, barów krabowych i tym podobnych. Zimna, sennie chlupiąca woda wielkiego zbiornika także parowała, spowijając wielkimi chmurami nogi

J.J. Redhooka, zanurzone do kolan w ciemnej tafli. Białe makaronowate wodorosty zazwyczaj rosły na dnie, ale tu i ówdzie ich sploty sięgały ku powierzchni, niczym włosy topielic. Czerwone ściany i jaśniejące okna drewnianego baru stanowiły przyjazny, ciepły punkt w mglistej rozległej szarości otaczającego go miasta Punktown.

Dziś jednak nie przybył tu po to, by przyjrzeć się bliżej Odlewni Plastachowej z jej wieloma zabitymi deskami oknami, wyglądającymi jak setki ślepych oczu (sprawdził już, że fabryka stanowi obiekt skomplikowanej batalii sądowej). Chodziło mu o inną budowlę w tej samej okolicy i powoli ruszył w jej stronę.

Odkrył ów budynek, gdy wynajął godzinę połączenia z komercyjnym satelitą przez jego własny, domowy komputer. Zamierzał przyjrzeć się uważniej starej dzielnicy przemysłowej Punktown, obecnie w większości przebudowanej na biura i magazyny. Na obrazy z satelity nałożył najróżniejsze plany miasta, próbując ustalić właściciela. Jedna z map wskazywała, że budynek należał do kompleksu starej choomskiej tkalni, inna sugerowała, że był częścią jednej z pierwszych ziemskich stalowni. Według jednego planu w ogóle nie istniał. Zaskoczony Titus sięgnął po wcześniejsze zdjęcia satelitarne dzielnicy. Budynek widniał na każdym z nich, nawet na tych sprzed dziesięcioleci, i zawsze wyglądał równie tajemniczo. Czy na tym zdjęciu wypełniony pojazdami parking należał do niego, czy do stalowni? Komputer nie potrafił przypisać mu żadnej nazwy ani etykiety. Mimo swych słusznych rozmiarów, budynek egzystował w błogiej anonimowości przez wiele lat wzrostu i upadku.

W końcu pochylił się nad najwcześniejszymi zdjęciami choomskiego miasta, później wchłoniętego przez Punktown, zrobionymi podczas pierwszych prób kolonizacyjnych.

Wyglądało na to, że budynek tam jest - a może i nie? Wyglądał znajomo, lecz inaczej. Kiedy Titus raz jeszcze przejrzał różne zdjęcia, odniósł wrażenie, że budynek zmieniał się z upływem lat - czasem subtelnie, czasem drastycznie. Różni właściciele przerabiający go do swoich celów czy może seria różnych budynków, stojących w tym samym miejscu?

Na najwcześniejszym ujęciu fabrykę bądź tkalnię wieńczyło pół tuzina wielkich, ceglanych kominów. Być może to ulatujący z nich gęsty dym sprawiał, że cała budowla wydawała się ciemna, rozmyta, jakby uchwycona na zdjęciu podczas szybkiego ruchu.

Teraz jednak stała przed nim i choć widział ją wcześniej tylko z wysoka na swym komputerze i w ciągu dziesięcioleci znów została odmieniona, natychmiast ją poznał. Wyrastała ponad gęszcz niskich zabudowań i generatorów stalowni, jej ściany pokrywała mozaika czerwonej cegły, która w zamglonym powietrzu sprawiała wrażenie wilgotnej. Miała niewiele okien, przynajmniej na tej ścianie, niektóre zabite na głucho, inne nagie i czarne. Zauważył jednak, że żadnego nie wybito; zapewne zrobiono je z przezroczystego materiału ceramicznego, bo Titus nie wyobrażał sobie, by sąsiedzi zostawili je w spokoju. Nadal miał kilka kominów, choć nie większych niż zamkowe wieże z przeszłości, oraz pordzewiałą, metalową kopułę nad jedną częścią; być może niegdyś przechowywano w niej gaz lub jakiś pył. A może służyła wyłącznie do celów kosmetycznych? Może nadal coś kryła? Może nawet coś ważnego? Dlaczego założył, że budynek stoi pusty? Faktycznie, większość fabryk z tego sektora w ciągu ostatnich dwudziestu lat opuszczono, i gdy się zbliżył, nie dostrzegł niczego, co zmieniłoby jego pierwsze wrażenie. Budynek przypominał statek widmo, doskonale zachowany, nagle wypływający z dna oceanu. Zatopiony statek, od dawna pozbawiony nazwy.

Wędrując wokół i utrzymując pełen szacunku dystans, zaczął szukać jakiejś drogi do środka, sprawdzając, czy zdoła się tam dziś dostać. Jedne boczne metalowe drzwi były starannie zamknięte. Para powgniatanych i obłazących z farby wrót towarowych także. Zauważył na nich wymalowany białą farbą symbol - może logo fabryki, a może literę z nieznanego mu języka. Po przeciwnej stronie natrafił na inne drzwi i bez zbytniego optymizmu położył dłoń na klamce. Szczęknęła i poruszyła się lekko. Nie były zamknięte.

Titus się zawahał. W brudnym szkle ujrzał odbicie swojej twarzy. Regularne rysy czterdziestoletniego czarnego mężczyzny o nadal gładkiej skórze, barwy głębokiego kasztanowego brązu. Za szklami okularów białka oczu jaśniały kością słoniową niczym stare klawisze fortepianu. Uznał, że ma smutną twarz. Przyglądała mu się wyczekująco, jakby po drugiej stronie owych drzwi stał inny człowiek, czekający, aż przybysz otworzy je i go wypuści.

Nie wiedział, czy wchodząc do środka, nie wtargnie na czyjś teren prywatny, ale w razie złapania mógł całkiem szczerze tłumaczyć się nieświadomością. Przybył przecież zbadać to miejsce. Już wcześniej wielokrotnie odwiedzał opuszczone budowle. Otworzył drzwi, które nawet nie skrzypnęły.

Na progu jednak ponownie się zawahał. Dalej zalegał mrok, choć przez odkryte okna sączyło się szare światło. Z kieszeni spodni wyjął latarkę i przypomniał sobie o licencjonowanej broni, którą nosił pod pachą, ukrytą pod płaszczem. Punktown nawet w mniej opuszczonych dzielnicach pozostawało niebezpiecznym miastem. Puste budynki zapewniały atrakcyjne schronienie sporemu gronu bezdomnych, zwłaszcza teraz, gdy zbliżała się zima.

Jeszcze u J.J. Redhooka spytał obsługującego go barmana, co wie o tym budynku.

- Ktoś chyba wspominał kiedyś, że mieściły się tam zakłady ceramiczne. Jeśli to ten, o którym myślę, to obecnie stoi pusty. Jedno z dzieci, które zbierają wodorosty, wybrało się tam raz z kumplami i natknęli się na mieszkającego w nim mutanta. Czy może pozaświatowca, kto to wie? Podobno wyglądał jak diabeł skrzyżowany z koszmarem i przegonił ich na cztery wiatry.

- Ja też słyszałem o tym miejscu - odezwał się inny kelner. - Wydaje mi się, że robili tam środki chemiczne... do fotografii. I mieszka tam jeden gość, bardzo stary facet. Musiał założyć maskę albo użyć hologramu, żeby przepędzić tych gówniarzy. Jeśli to był ten kretyn Brandon i jego kumple, sam bym ich przegonił.

Stojąc teraz w otwartych drzwiach, Titus nie wiedział, czy ma wypatrywać starego bezdomnego, czy też niebezpiecznego mutanta bądź obcego. Może, pomyślał, próbując żartować w duchu, to starszy zmutowany obcy. Najprawdopodobniej, jak sugerowała logika, w budynku chroniło się znacznie więcej zbłąkanych dusz. Cóż, miewał już z nimi do czynienia, zdarzało mu się nawet grać ostro. Zapalił latarkę i wszedł do środka.

Znalazł się w otwartym holu albo sali, której sklepienie sięgało samego dachu. Choć panował tam prawie mrok, Titus stwierdził, że pomieszczenie wieńczy owa kopuła, którą oglądał z zewnątrz. Hol miał ceglane ściany, z których wyzierały łukowate, wewnętrzne okna. Ów pionowy tunel przecinały metalowe pomosty z poręczami z kratownic, łącząc pomieszczenia na czterech poziomach. Nie zauważył natomiast żadnych schodów ani wind. Titus podszedł do metalowych drzwi. Ciemne odbicie w wąskiej szybie znów wyglądało jak ktoś po drugiej stronie, zerkający na niego. Poświecił latarką, przepłaszając własnego ducha.

Tak jak się spodziewał, drzwi prowadziły na klatkę

schodową. Pomaszerował na górę. Gdyby nie jego latarka, w owej studni panowałby nieprzenikniony mrok. Ucieszył się, dotarłszy na pierwszy podest z drzwiami znów wiodącymi do holu, w którym jaśniały słabe plamy słońca. Wszedł na pierwszy metalowy pomost i zatrzymał się w połowie, kończąc kawę. Postawił pusty kubek na skraju pomostu i podjął wędrówkę. Otworzyły się przed nim kolejne drzwi. Stał w długim, ceglany korytarzu o sklepionym suficie, przed sobą widział drzwi windy. Choć w jej akumulatorach mogła pozostać reszta awaryjnego zasilania, wolał nie ryzykować i poszedł dalej, kierując się wyłącznie własnym kaprysem i światłem latarki.

Jedne z drzwi, za które zajrzał, zaprowadziły go do wielkiej sali pełnej ciemnych brył skomplikowanych maszyn. Nawet z bliska - podszedł ostrożnie do olbrzymiej maszyny, jakby się obawiał, że ożyje nagle i rozchyli łakome szczęki - nie potrafił określić, czemu pierwotnie służyły. Poświeciwszy latarką wzdłuż ściany, odkrył parę wykresów, może schematów bądź diagramów, nie dostrzegł jednak ani śladu pisma, wskazującego pochodzenie ostatnich właścicieli budynku.

Badając drugi, potem trzeci poziom, Titus ze zdumieniem zauważył panujący w fabryce porządek. Nie wypatroszył jej żaden pożar, wyciek chemikaliów nie wymusił ewakuacji (choć katastrofy fizyczne rzadko prowadziły do upadku zakładów; częściej niż gniew Boga, zabijały je przyczyny gospodarcze). Co więcej, nie dostrzegł żadnych śladów zamieszkania przez bezdomnych i bezrobotnych. Żadnych graffiti pokrywających ściany, rozrzuconych butelek po piwie i winie, akcesoriów zostawionych przez narkomanów. Żadnego smrodu moczu, śmieci, gryzoni ani robactwa, które zwykle przyciągały. W tak wielkim budynku powinno roić się od różnych plemion konkurujących ze sobą bezdomnych,

egzystujących wspólnie we własnym mikrokosmosie.

Co ich tu nie dopuszczało? Owszem, w budynku panowała niesamowita, niepokojąca cisza. Ale ludzie zamieszkujący Punktown nie słynęli z wrażliwości. W Punktown panowała nieustanna walka o życie, nieważne czy jej uczestnicy nosili śmierzące szmaty, czy eleganckie garnitury. Co w tym miejscu mogło odstraszyć gang szukający przestronnej kryjówki albo bandę wściekłych mutantów tak, że pozostawili je nietknięte? Czy istotnie doszło tu do niebezpiecznego wycieku, o którego istnieniu nie miał pojęcia, a który mógł zagrozić także jemu? A może budynek był po prostu tak zręcznie anonimowy, że ludzie ci nie mieli pojęcia o jego istnieniu?

Dotarł teraz na czwarty poziom i przystanął na pomoście przecinającym hol, patrząc w dół jego ceglanej otchłani. Ciche bębnienie o nagle pociemniałe okna świadczyło, że rozpadał się deszcz.

Chwileczkę. Oparł się o poręcz i wyciągnął szyję, przyglądając się niższym pomostom. Na pierwszym z nich zostawił pusty kubek po kawie. Już go tam nie było.

A zatem nie był tu sam. Ponownie poczuł ciężar broni przytulonej do żeber. Kto się tutaj krył? Zasuszony staruszek? Demon o ognistej, wściekłej twarzy?

Ruszył dalej, kontynuując swoje badania, zdecydowany sprawdzić także ostatnie piętro przed sporządzeniem wstępnego raportu. Podsunął w górę opadające okulary. Rejestrowały wszystko, co widział i słyszał, dzięki czemu do raportu będzie mógł dołączyć kompletny materiał.

W końcu znalazł się w kolejnej przestronnej, choć dość niskiej sali, pełnej cyklopowych machin. Wzdłuż ścian i na sklepieniu wiły się pęki kabli, niczym żywe korzenie bądź rozbuchane pędy znikające w mroku. Wokół panowała kościelna cisza. A jednak Titus usłyszał w niej cichy, miarowy

dźwięk. Wstrzymał oddech, wyęzając słuch. Może to był tylko deszcz uderzający o okno? Nie dostrzegł jednak żadnego okna. Owad biegnący po podłodze? Gdy odwrócił głowę, szukając źródła dźwięku, jego spojrzenie padło na jedną z maszyn. Podeszedł do niej i wycelował latarkę. Lecz dotarwszy na miejsce, zgasił ją, bo z wąziutkiej szczeliny w maszynie przeświecało słabe światło, delikatny blask z głębi. Ostrożnie przysunął oko do otworu.

Źródłem świetlikowej, zielonkawej luminescencji była samotna lampa próżniowa. Obok mały lewarek przesuwiał się w górę i w dół, wydając z siebie miarowe cykanie, które Titus wcześniej usłyszał. To wszystko. Czuł się tak, jakby znalazł ostami kawałek żaru w wypalonym budynku, słyszał słabnące uderzenia serca konającego dinozaura.

Kiedy się prostował, coś jeszcze zwróciło jego uwagę. Promień latarki odbił się od przeciwległej ściany. Manewrując pośród maszyn, by tam dotrzeć, Titus stwierdził, że zrobiono ją z ciemnożółtego szkła - bursztynowy mur.

Ściana wydawała się bardzo gruba, pokrywał ją kurz. Przetarł powierzchnię rękawem płaszcza, a potem przycisnął do niej latarkę i okulary, żałując, że nie zabrał cięższej pary, w której widział także w ciemności. Czy po drugiej stronie szklanej tafli kryło się kolejne pomieszczenie? Gwałtownie zgasił latarkę i odskoczył, bo w chwili gdy promień światła padł na nogi wąskiej, niemal więziennej pryczy, przysuniętej do ściany ciasnego pomieszczenia, wewnątrz zapłonęło słabe światło. Z każdą chwilą jaśniało coraz mocniej, rzucając żółty, przefiltrowany przez szkło blask na Titusa i otaczające go maszyny. Postąpił kilka kroków w tył.

W tym momencie postać, która od początku musiała tkwić w celi, zsunęła się z łóżka i podeszła do szyby. Widział sylwetkę w rozproszonym, padającym z tyłu świetle. Potrafił stwierdzić jedynie, że to kobieta, naga, o powabnych

kształtach; ciemność skrywała jej twarz. Postać oparła na szklanej tafli wyciągnięte dłonie. I znów Titus odskoczył gwałtownie. Teraz przysuwała do niej twarz... żeby mu się przyjrzeć.

Sam nie wiedząc czemu, odwrócił się i uciekł. Poła płaszcza zaczepiła o jedną z maszyn; uwolnił się szarpnięciem, rozdzierając tkaninę.

Jego kroki dźwięczały głośno na pierwszym metalowym pomoście. Potem na kolejnym. Na schodach było ciemno, o mało nie stracił równowagi i nie zabił się w upadku...

W końcu, wydostawszy się na zewnątrz, uniósł twarz w gęstniejącym deszczu, który ściekał z lśniącej ceglanej skóry górującego nad nim budynku.

W swoim salonie Titus zastał kobietę, leżącą na sofie na boku z podkulonymi nogami. Ubrana w wygodną obszerną bluzę, czarne obcisłe spodnie, nieukrywające kształtu zgrabnych nóg, i ciepłe skarpetki, wpatrywała się w widzbiornik, obok na podłodze stał kubek kawy. Nie słyszała, jak wszedł, albo może zanadto wciągnął ją oglądany program. Tyle, że VT było wyłączone i wpatrywała się w pusty ekran. To nie VT Titus zapomniał wyłączyć przed wyjściem, ale projektor holograficzny. Nacisnął klawisz i atrakcyjna ciemnoskóra kobieta zniknęła - dokładnie tak jak z jego życia niemal dwa lata temu. Zniknął nawet kubek kawy.

Wsunął głowę do jednej z dwóch sypialni, ale nie, była pusta. Nie znalazł w niej widma swego syna. Chłopiec przebywał teraz na Ziemi. Titus zostawił na ścianach jego plakaty, w kącie nadal czekało łóżeczko.

Powiesiwszy podarty, przemoczony płaszcz na oparciu krzesła, usiadł za biurkiem i wsunął do komputera niewielką kulkę z okularów rejestracyjnych. Wygaszacz ekranu przedstawiał staroświecką kulę burzącą, atakującą

antropomorficzną, rysunkową katedrę, która krzywiła się, jęczała i malała po każdym przesadzonym uderzeniu. Teraz ten obraz zniknął, zastąpiony nagraniem. Titus przewinął większość materiału.

Zatrzymał się kilka razy, przeglądając tę część, podczas której zajrzał w głąb maszyny, jaśniejącej własnym, słabym blaskiem. Może sprawiło to słabe światło, lecz mimo prób podkręcenia obrazu, nie widział wyraźnie miniaturowej dźwigienki. Pozostała tylko ciemna zmaza bądź plama, jakby poruszała się zbyt szybko, by nadażyło za nią oko, choć z tego co pamiętał, to wcale tak nie wyglądało.

I w końcu dotarł do momentu, kiedy podszedł i spojrzął w szklaną ścianę.

Chciał zatrzymać obraz na owej czarnej twarzy uwięzionego widma. Powiększyć ją. Rozjaśnić. Okropnie się bał, co może zobaczyć, jakie oczy spojrzą na niego.

Ale ich nie ujrzał. Bo choć wcześniej był w stanie przeniknąć wzrokiem szkło, nagranie zapamiętało coś innego. Ściana nadal jaśniała, jakby sam materiał promieniował światłem. Za nią jednak nie kryło się żadne pomieszczenie. Ujrzał tylko niewyraźną siatkę ciemnych żył, wyglądających jak pęknięcia szklanej tafli. Można było odnieść wrażenie, że najgrubsze z nich, przy maksymalnym powiększeniu, lekko pulsują.

Pomyślał o modliszce udającej kwiat. Ale może to zbyt brutalny obraz. Może raczej ćma, której skrzydełka naśladową kolor i fakturę kory drzewa.

Pomyślał także o martwych istotach. I o tym, co mogą po sobie zostawić.

Następnego ranka wstał późno, nie śpiesząc się do pracy. Zadzwoił przełożony, ale przyjął to lekko. Widząc, że Titus wciąż ma na sobie szlafrok i piżamę, powiedział, że jeśli źle się czuje, może wziąć sobie wolne.

- Aha, a co z tym budynkiem, który zamierzałeś obejrzeć?
- spytał, nim się rozłączył. - Dotarłeś tam w ogóle?
- To pudło - odparł cicho Titus, wpatrując się w ekran i zastanawiając, co właściwie ukrywa bądź chroni. - Tam nie ma żadnego budynku.

ZARDZEWIAŁE BRAMY RAJU

Kiedy wędrowali przez las, porastający część posiadłości Bellakeesów, przed nimi biegli dwaj ulubieńcy gospodarzy, Hapi i Gbekre, pawiany płaszczone, których puszyste peleryny - i całe ciała - ufarbowano na jaskrawy błękit, a oczy na metaliczne srebro. W futrze wygolono ozdobne hieroglify, podobne wzory wypalono też na długich, psich pyskach.

Mendeni wiedział, kto to był Hapi, starożytny egipski bóg o głowie pawiana. Lecz pan Bellakee musiał wyjaśnić, że Gbekre był pawianogłowym bogiem plemienia Baule z ziemskiego Wybrzeża Kości Słoniowej. Zajmował się osądzaniem umarłych. Jego podobizny, ciągnął, wiedząc, że jako archeologa, Mendeniego z pewnością to zainteresuje, znajdowano często zaplamione krwią ofiarną.

Mendeni pomyślał, że pawiany wyglądałyby dostatecznie imponująco bez dodatkowych ozdób, ale nie zamierzał mówić tego głośno w obecności ziemskiej pary. Ci ludzie okazali się przecież niezwykle życzliwi.

Wielkie małpy pogalopowały w dal, przedzierając się z trzaskiem przez gęste zarośla. Bellakeesowie nie obawiali się, że stracą ulubione zwierzęta, bo ich rozległy majątek otaczała wysoka, niewidzialna bariera energetyczna. Podążając za gospodarzami udeptaną ścieżką, Mendeni z nostalgią wspominał pikniki w lasach, jakie urządzali z braćmi i rodzicami za czasów jego dzieciństwa. Mimo owych wspomnień trudno mu było uwierzyć, że kiedyś lasy porastały tak rozległe tereny. Oczywiście dziecku wszystko wydawało się większe i dłuższe, począwszy od placu zabaw, a skończywszy na letnich dniach. Ale wiedział, że sprawił to raczej przyspieszony rozwój kolonialnego miasta Paxton w

ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci. Jednakże Paxton, czy, jak je nazywali mieszkańcy, Punktown, istniało jeszcze przed jego narodzinami. Choć był Choomem, rdzennym mieszkańcem planety Oaza, całe życie spędził w mieście Ziemi. Wcześniejsze, choomskie miasto, było zaledwie drobinką piasku, wokół której uformowała się czarna perła Punktown.

Miękką, nasiąkniętą wilgocią ziemię pokrywała gruba warstwa pomarańczowo-brązowych szpilek, na ścieżce tańczyły plamy błękitnych i złocistych cieni. Dom, w którym zjedli lunch, zniknął w dali. Po wizycie w willi, która Mendeniemu skojarzyła się z ekscentrycznym, lecz fascynującym muzeum sztuki, nie zdziwił się zbyt, odkrywszy, że otaczające ją tereny uporządkowano i przeistoczono w równie ostentacyjne ogrody. Teraz jednak znaleźli się w naturalnej części mrocznego lasu.

W pewnym sensie otoczenie wyglądało znajomo, bo wcześniej oglądał zdjęcia satelitarne posiadłości. W istocie od nich właśnie się zaczęło. Wydziałowi historii uniwersytetu w Paxton przydzielono ograniczony czas na satelicie po to, by mogli poszukać ruin bądź śladów zabytków historycznych w niewielkich lasach, pozostałych w tym regionie. Ponieważ przełożeni subtelnie zniechęcili go do zbyt bliskiego przyglądania się terenom korporacyjnym, niechętnie porzucił dziwnie rozmazany obraz fabryki na jednym z przypadkowych skanów drugiej co do wielkości dzielnicy przemysłowej Punktown. Władze zakazały też kategorycznie sprawdzania majątków prywatnych - ale kiedy zobaczył, co kryje się na ziemi Bellakeesów, nie zdołał się powstrzymać przed nawiązaniem kontaktu. Na szczęście dla niego, ciepło przyjęli jego zainteresowanie i dziś po raz pierwszy zaprosili do siebie.

- No, jesteśmy, mój chłopcze - oznajmił z dumą pan Bellakee, zupełnie jakby sam zainstalował na swym terenie

znalezisko.

Obrócił się i uśmiechnął do Mendeniego, w opalonej twarzy zęby błyszcząły jasną, papierową bielą. Pani Bellakee uśmiechała się subtelniej, stosownie do okazywanej nieustannie powściągliwości. Była uderzająco piękną kobietą po trzydziestce, dwadzieścia lat młodszą od męża. Intensywnie czerwona szminka i intensywnie ciemne okulary stanowiły dwa najważniejsze akcenty jej twarzy. Mendeni odkrył, że nieustannie powraca ku niej spojrzeniem, jak również ku wdzięcznej, wysportowanej sylwetce. Przyciągała jego wzrok mimo dzieł sztuki wystawianych w domu i kwiatów na zewnątrz. Teraz jednak wpatrywał się w obiekt tuż za gospodarzem. Nawet drzewa rozstępowały się przed nim jak kurtyna.

Posąg wzniesiony przez jego lud, sto lat przed przybyciem ziemskich kolonistów; świątynia Ralooma, której członkiem był dziadek Mendeniego ze strony ojca. Posąg/świątynia przedstawiał wielką głowę i ramiona wyrastające z ziemi, jakby pod jej powierzchnią kryła się reszta tytanicznego ciała. Wielkie popiersie zrobiono z czystego żelaza - niegdyś majestatycznie czarne, obecnie zardzewiało, przybierając brudnoczerwoną barwę. Choomowie z wyglądu nie różnili się od przybyszów z Ziemi, pomijając usta, rozciągające się niemal od ucha do ucha. Cecha ta była obecna także w żelaznej twarzy - jej wargi zaciskały się w pełnym powagi grymasie. Trudno orzec, czy przedstawione pod warstwą szorstkiej korozji oczy miały być otwarte, czy zamknięte, lecz Mendeni wiedział, że oczy Ralooma całą wieczność spoglądają w dusze bez wyjątku wszystkich wyznawców.

- I co pan myśli? - spytała pani Bellakee pełnym szacunku szeptem, jakby się znaleźli w wielkiej katedrze. Stała obok, tak blisko, że ich ramiona się stykały. Uświadomił

sobie, że wciąga głęboko w płuca zapach jej perfum. - Jest bardzo przystojny, prawda? W gruncie rzeczy całkiem podobny do pana.

- Jest wspaniały - zdołał wyszeptać, zapatrzony w dwa cudowne dzieła sztuki. - Nigdy dotąd nie widziałem całego, poza muzeum. Raz jeszcze... muszę państwu podziękować. To dla mnie coś wspaniałego.

- Proszę wejść do środka - zaprosił pan Bellakee, wskazując drogę.

Z szerokim uśmiechem pomachał do nich. Ruszyli posłusznie, jakby wezwani przez kapłana. Za żelaznym sfinksem metalowe stopnie wiodły w górę, ku tyłowi głowy. Metalowe drzwi otwały się lekko - i Mendeni pojął nagle, że to nowe wejście na nowych zawiasach.

Jak mogli tak odmienić posąg? Jak mogli przy nim majstrować? Nim zdołał znaleźć uprzejmy sposób wyrażenia swej troski, cała trójka znalazła się w świątyni.

- O mój Boże - wymamrotał Mendeni.

Odnosił wrażenie, jakby gospodarze wyskrobali mózg jednego człowieka po to, by zastąpić go obcym. Okrągły ołtarz, który powinien stać pośrodku, zniknął. Zastąpiło go okrągłe łóżko. Wokół jarzyły się kaganki z aromatycznych olejów, a w kącie stała kamera na trójnogu. Mendeni, ze zgrozą, nic niepojmującym wzrokiem, spojrzął na swych gospodarzy i ujrzał, że pani Bellakee ściąga przez głowę letnią sukienkę. Jej okulary zniknęły, lecz uszmiukowany uśmiech pozostał na miejscu. Teraz była naga, jak bogini bądź ofiara, w migotliwym świetle lamp olejnych, i to jej ciało było źródłem blasku i zapachu.

- Widziałam, jak na mnie patrzyłeś - rzekła znów szeptem, pełnym drwiącego szacunku.

Mendeni zerknął na pana Bellakee, który uspokajającym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie martw się, chłopcze, nie zamierzam do was dołączać. Popatrzę sobie z domu. - Wskazał ręką kamerę. - Spodobałeś się mojej żonie, kiedy do nas zadzwoniłeś... a ona z pewnością spodobała się tobie.

- Ale... - zaczął Mendeni.

Jego spojrzenie pomknęło ku cudownemu ciału na tle szorstkich, przerdzewiających ścian. O dziwo, niszczący metal wydawał się bardziej ulotny, miękkie ciało trwalsze.

Bellakee jeszcze raz poklepał go po ramieniu i w drodze do wyjścia cmoknął żonę w policzek. A potem pani Bellakee położyła się na łóżku i ugięła jedną nogę. Uśmiechała się do niego poziomo i pionowo. Czekala, aż do niej przyjdzie, ofiara dla nowej bogini.

W końcu, po długiej chwili, Mendeni niemal zdumiał się, czując własne palce, manipulujące przy taśmie zatrzaskowej koszuli. Na zewnątrz jeden z dwóch rozbrykanych pawianów warknął dziko na drugiego.

I kiedy legł na niej, odkrył, że nie może dłużej patrzeć w jej piękną twarz. Zamiast tego uniósł wzrok ku zakrzywionym ścianom. Wnętrze czaszki wielkiego Ralooma... który, choć poddany lobotomii, choć jego oczy pozostały na zewnątrz świątyni, krusząc i niszcząc, patrzył surowo, z rozpaczą prosto w głąb duszy Mendeniego.

OFIARA

1. SAM POŚRÓD JONESÓW

W ten weekend znowu wywołali śnieg, tak jak w każdy, aż do Bożego Narodzenia. Nie w tygodniu, wówczas mógłby utrudnić pracę drogowcom i robotnikom, i nie tak wiele, by przeszkodzić klientom sklepów. Ale dość, by rozbudzić u konsumentów świątecznego ducha i zachęcić do większych zakupów.

Wysoko na Kadzi, maszynie kojarzącej się niektórym ze staroświeckim tankowcem postawionym na dziobie, Magnez Jones przycupnął ukryty wśród przewodów i dysz wylotowych, niczym maleńki gargulec, który ma właśnie się narodzić. W jego macicy kłębiła się para; gorąco z dmuchaw ugotowałyby rodzeńca jak homara. Jones był nagi, ramiona przyciskał do osłony wirującego wentylatora. Kiedy chciał przyrządzić sobie błyskawiczną zupkę bądź kawę, gotował wodę, stawiając garnek na tej osłonie. Nie włożył ubrania, by się nie zapaliło. Nie wszystkich fabrykatów zaprojektowano do tak wielkiej odporności na gorąco; niektórym nie przeszkadzał raczej potężny ziąb. Na szóstym tarasie Fabryki właściwej, stojącej naprzeciw Kadzi, grupa fabrykatów zrobiła sobie przerwę.

Kilku spośród nich, nagich, wystawiało twarze na lekki śnieżek. Wielu uznało decyzję kierownictwa Fabryki o przyznaniu fabrykatom prawa do przerw za niezwykle niepokojącą. Sugerowała ona, że wymagali lepszego traktowania, może wręcz troski.

Jones, mrużąc oczy, spoglądał przez falującą zasłonę śniegu. Poznał kilku robotników. Choć wszyscy byli łysi i sklonowani z zaledwie pół tuzina panów, ich głowy

pokrywały indywidualne tatuaże, pozwalające ich odróżniać. Zwykle w owych tatuażach pojawiały się litery i cyfry - kody. Niektórym na czołach wytatuowano imiona i nazwiska, a barwa tuszu zależała od działu: fiolet to Spedycja, szary - Kadź, niebieski - Kriogenika, czerwony - Piece i tak dalej. Tatuaz Magneza Jonesa był właśnie barwy czerwonej. Lecz w naskórnych obrazach krył się też pewien artyzm. Czasami przedstawiały znane zabytki i budynki z Punktown bądź z Ziemi, z której pochodziła większość tutejszych kolonistów, a przynajmniej ich przodkowie. Zwierzęta, gwiazdy sportu, sławy. Magnezowi Jonesowi wytatuowano pierścień ognia, otaczający głowę jak korona słoneczna. Pośród płomieni ciemniało kilka czarnych liter i kod paskowy, niczym zwęglony szkielet wypalonego domu.

Pewien artyzm i ambicję miały także w sobie imiona fabrykatów. Na tarasie rozpoznał Sherlocka Jonesa, Imitację Jonesa i Koszykówkę Jonesa. Wydało mu się, że dostrzega Podprogowca Jonesa, zmierzającego do Fabryki. Woskowe Wargi Jones siedział na poręczy, dyndając nogami nad ulicą w dole. Jones Jones trzymał w dłoniach kubek parującej kawy. Huckleberry Jones toczył cichą rozmowę z Cyfrowym Jonesem. Copyright Jones i M.I. Jones wyszli z budynku, by dołączyć do pozostałych.

Obserwując ich, Magnez Jones zatęsknił za rozmowami z częścią z nich, za jedyną przerwą, której wyczekiwał przez pierwsze dziesięć godzin roboczego dnia. Zastanawiał się jednak, czy tęskni za nimi samymi. Czuł więc z innymi fabrykatami, współczuł im ich życia, sytuacji w sensie ogólnym - ale być może tylko dlatego, że widział w nich siebie, żałował własnego życia, własnej sytuacji. Czasami owa więc przypominała braterstwo. Ale czułość? Przyjaźń? Miłość? Nie był pewien, czy jego uczucia da się określić tymi słowami. A może rodzeńcy wcale nie odczuwali mocniej,

jedynie ubarwiali i uromantyczniali swe własne, mizerne uczucia? Przynajmniej Jones nie podzielał losu robotów androidów. Nie dręczyło go pytanie, czy może uważać się za istotę żywą, aspirować do prawdziwych emocji. Czuł się bardzo żywy. I odczuwał bardzo silne emocje. Gniew. Nienawiść. W odróżnieniu od miłości nie były bynajmniej wieloznaczne.

Odwrócił się od obrazu zaśniewanej Fabryki i miasta za nią i drżąc, z radością schronił się w gnieździe pulsującego gorąca. Z izolowanej skrzynki, którą ukradł i wciągnął tu na górę, wyjął ubrania - część ognioodpornych, część nie. Długi czarny płaszcz z szerokimi klapami i uniesionym kołnierzem, chroniącym kark przed śniegiem, miał wplecioną w podszewkę siatkę grzewczą. Jones włożył rękawiczki, na łysą głowę naciągnął czarną narciarską czapkę, nie tylko po to, by osłonić ją przed śniegiem, ale też, by ukryć tatuaż. Spojrzał na przegub, przywołując na skórę cyfry. Podały mu godzinę. Wszystkich fabrykatów wyposażono w podobne, by mogli sprawnie koordynować pracę. Był umówiony na spotkanie, ale miał jeszcze mnóstwo czasu, by tam dotrzeć. Choć bowiem pogardzał swym dawnym życiem w Fabryce, pewne zachowania zostały mu zbyt dogłębnie wpojone, by mógł się uwolnić. Magnez Jones nigdy się nie spóźniał.

Maszerując ulicą, nałożył na nos parę ciemnych okularów. W okolicy Fabryki ludzie z łatwością rozpoznaliby w nim fabrykata. Sześciu panów, naturalnie urodzonych mężczyzn, było przestępcami skazanymi na śmierć (zapłacono im za prawa do sklonowania komórek dla potrzeb przemysłowych). Wedle obecnego prawa, klonowanie ludzkiej istoty było nielegalne. Klony żywych istot mogły próbować zrównać się ze swymi pierwowzorami. Klony żywych istot mogły uwierzyć, że mają jakieś prawa.

Bogacze, na wypadek nieszczęścia, przechowywali, oczywiście nielegalnie, klony samych siebie, swoich rodzin i przyjaciół. Wszyscy o tym wiedzieli. Z tego, co Jones słyszał, prezes Fabryki też mógł być klonem. Lecz mimo wszystko fabrykanci pozostawali fabrykatami. Odrębną rasą.

Zza bezpiecznej zasłony ciemnych szkielec Jones przyglądał się twarzom mijanych na ulicach ludzi. Rodzeńcy, kupujący prezenty świąteczne, twarze mieli ponure, wrogie. Im ciaśniej się zbierali, tym bardziej utrzymywali innych na dystans, kierowani desperacką, zwierzęcą potrzebą posiadania własnego terytorium, nawet jeśli sięgało nie dalej niż ich miny, grymasy i surowe spojrzenia wbijane w ziemię.

Odległe krzyki sprawiły, że odwrócił głowę, choć znał już ich źródło. Tuż pod barierą Fabryki stale obozowała grupka strajkujących. Namioty, dym z ogni w beczkach, transparenty łopoczące wraz ze śnieżnymi podmuchami. Jedna grupa prowadziła strajk głodowy - ich wychudzone ciała przypominały więźniów obozów koncentracyjnych. Parę tygodni temu pewna kobieta się podpaliła. Jones usłyszał krzyki i podszedł na skraj swej wysokiej kryjówki. Zdumiał go spokój kobiety, gdy siedziała ze skrzyżowanymi nogami - ciemna sylwetka o zwęglonej czarnej głowie, pośrodku niewielkiego, ognistego piekła. Dziwiło go, że nie uciekła, nie krzyknęła z bólu czy paniki, nie straciła panowania nad sobą. Podziwiał jej siłę i zdecydowanie. To była ofiara, złożona ludzkim współbraciom, akt sugerujący, że rodzeńców łączyło mocniejsze braterstwo niż fabrykatów. Ale też ich społeczność zachęcała do podobnych uczuć, podczas gdy fabrykatów zniechęcano do nawiązywania przyjaźni, więzów towarzyskich, czułości.

Z drugiej strony możliwe, że kobieta po prostu była wariatką.

By dotrzeć do pubu mieszczącego się w piwnicy, Jones szedł ostrożnie wąskim tunelem z ciekących, ceramicznych cegieł, z podłogą z metalowej kratki, pod którą słyszał szum ciemnej cieczy. Fragment ściany po prawej otworzył się, zagrodzony drucianą siatką. Z ciemnego, podobnego do klatki pomieszczenia grupa mutantów, obcych bądź zmutowanych obcych wyjrzała na niego bezmyślnie, jak zwierzęta czekające, by zjeść bądź być zjedzonymi (i może tak było w istocie); byli tak wysocy, że głowami sięgali sufitu, chudsi niż szkielety, mieli pomarszczone twarze, wyglądające jakby się stłukły i zostały sklezione z powrotem. Cieniutkie pajęczyny włosów powiewały, choć Jonesowi tutejsze gęste, wilgotne powietrze oblepiało nogi niczym woda.

W uszach dźwięczało mu coraz mocniejsze pulsowanie muzyki. W końcu otworzył metalowe drzwi i dźwięki eksplodowały mu w twarz jak pułapka. Przygarbione, szerokie plecy przy barze, naga, brzuchata kobieta, powoli kręcąca biodrami na stole bilardowym. Jones nie zerknął nawet na jej gigantyczne piersi, wirujące w kolorowych światłach jak planety; fabrykaci nie odczuwali pożądania seksualnego. Wszyscy byli mężczyznami.

Przy narożnym stoliku siedział młody mężczyzna o rudych włosach, rzadko spotykanych w naturze. Uśmiechnął się i lekko skinął ręką. Jones ruszył ku niemu, zsuwając okulary. Obserwował jego ręce na blacie: czy pod gazetą kryła się broń?

Włosy mężczyzny były długie i przetłuszczone, broda rzadka, nadal jednak pozostawał przystojny i przemawiał przyjaznym tonem.

- Cieszę się, że zdecydowałeś się przyjść. Nevin Parr. - Uścisnęli sobie dłonie. - Siadaj. Napijesz się czegoś?

- Kawy.

Mężczyzna wezwał kelnerkę, która przyniosła im kawę.

Jones zauważył, że rodzeniec także nie przytłumia zmysłów alkoholem.

- Jak poznałeś mojego kumpla, Moodringa? - spytał tamten, unosząc obtłuczony kubek i pociągając łyk.

- Na ulicy. Dał mi pieniądze na jedzenie w zamian za drobną przysługę.

- I teraz od czasu do czasu handlujesz dla niego prochami. Czasem przechowujesz gorącą broń.

Jones zmarszczył brwi, wbijając wzrok w dłonie w rękawiczkach, splecione niczym kopulujące tarantule.

- Cóż za rozczarowanie. Sądziłem, że Moodring jest bardziej dyskretny.

- Proszę, nie złość się na niego. Jak wiesz, jesteśmy starymi kumplami. I jak, mam ci mówić pan Jones? - Parr uśmiechnął się szeroko. - Mangesz? Czy po prostu Mag?

- Wszystko jedno, to nic nie znaczy.

- Nigdy dotąd nie rozmawiałem z fabrykatem.

- Wolimy określenie „cienie”.

- W porządku, panie Cieniu. Ile właściwie masz lat?

- Pięć.

- Mądry jesteś jak na pięciolatka.

- Kodowane pamięciowo cząsteczki długołańcuchowe w kąpieli mózgowej. Umiały wykonywać moją pracę, nim jeszcze wyszedłem ze zbiornika.

- Oczywiście, pięć lat, tak? To zdaje się wiek, w jakim zaczynają was wymieniać, mam rację? Mówią, że wtedy robicie się niespokojni. Przestajecie nad sobą panować. Dlatego właśnie uciekłeś z Fabryki, zgadza się? Wiedziałeś, że kończy ci się czas.

- Tak. Wiedziałem, co mnie czeka. W ciągu dwóch dni usunięto dziewięciu fabrykatów z mojej ekipy. Wszyscy byli w moim wieku. Przełożony powiedział, żebym się nie martwił, ale wiedziałem.

- Sprzątali. Ściągali świeże mięso. Zabijają ich, prawda? Starych fabrykatów. Palą.

- Tak.

- Słyszałem, że podczas ucieczki zabiłeś dwóch ludzi. Dwóch prawdziwych ludzi.

- Moodring za dużo gada.

- Nie tylko on. Zabiłeś dwóch ludzi. Słyszałem, że cię szukają. Nazywają gorącą głową z powodu tatuażu. Mógłbym go obejrzeć?

- To niezbyt rozsądne w miejscu publicznym.

- Nie jesteś tu jedynym klonem, który uciekł, ale masz rację. Czekają nas prace wymagające dyskrecji. Po prostu lubię tatuaże, sam też mam kilka. Chcesz zobaczyć? - Podwinął rękaw, odsłaniając ciemną plamę, na którą Jones zerknął tylko w przelocie. - Słyszałem, że przy waszych tatuażach nieźle szaleją. Ktoś musi się świetnie bawić.

- Tatuują nas roboty. Czerpią wzory z plików z gotowcami, zazwyczaj niemających nic wspólnego z naszą funkcją bądź wybranym imieniem. Robią to po to, by móc nas zidentyfikować i pewnie dla zabawy robotników-ludzi. Chyba uważają to za ozdobę.

- Nie złapali cię, ale nadal mieszkasz niedaleko Fabryki. Zapewne umiesz znikać. To przydatna zdolność. Gdzie dokładnie się ukrywasz?

- Nie twoja sprawa. Kiedy będziesz mnie potrzebował, zostaw wiadomość Moodringowi. Powtórzy mi, kiedy mnie zobaczy. Moodring też nie musi wiedzieć, gdzie mieszkam.

- To twój przyjaciel czy łączą was tylko interesy?

- Ja nie mam przyjaciół.

- Marnie. Myślałem, że może nimi zostaniemy.

- Nie wiesz jak wiele to dla mnie znaczy. Dlaczego wybrałeś akurat mnie? Bo jestem fabrykatem? Jeśli tak, czemu?

- I znów... Bo podczas ucieczki z Fabryki zabiłeś dwóch ludzi. Wiem, że przy odpowiedniej zachęcie potrafisz znów zabić.

- Cieszę się, że w końcu przeszliśmy do rzeczy. Jaka to ma być zachęta?

- Pięć tysięcy miednostek.

- Za zabicie człowieka? Tanio.

- Nie dla fabrykanta, który w życiu nie zarobił ani grosza. Nie dla fabrykanta, który żyje na ulicy.

- A kogo mam zabić?

- To kolejna zachęta - odparł Nevin Parr.

Jak na gust Jonesa, stanowczo za często się uśmiechał. Sam Jones rzadko się uśmiechał. Słyszał kiedyś, że to pozostałość po zwierzęcych przodkach rodzeńców, którzy pierwotnie wyszczerzali zęby w ostrzegawczym grymasie. Ta myśl go rozbawiła, sprawiła, że poczuł się bardziej wyewoluowany, bo rzadko wykrzywił własną twarz w taki sposób. Po długiej, uśmiechniętej przerwie, Parr znów się odezwał.

- Chodzi nam o Ephraima Maydę.

Jones uniósł bezwłose brwi, mruknął i zamieszał kawę.

- To przewodniczący związku. Dobrze strzeżony. Materiał na męczennika.

- Mniejsza o reperkusje. Przeszkadza ludziom, dla których pracuję, i jest wart mniejszych problemów, jakie nastąpią po jego śmierci.

Jones uniósł w nagłym olśnieniu wzrok. Omal nie sięgnął za pazuchę po kupiony od Moodringa pistolet.

- Pracujesz dla Fabryki! - wysyczał.

Parr wyszczerzył zęby.

- Pracuję dla siebie. Mniejsza o to, kto mnie wynajął.

Jones z pozoru się opanował, lecz jego serce pulsowało równie mocno jak muzyka.

- Związek mocno kombinuje z syndy.

- Ludzie, dla których pracuję, poradzą sobie z syndy. Mag, ci strajkujący pod bramą nienawidzą was... cieni. Gdy przyłapali z tuzin poza barierą, zlinczowali wszystkich. Gdyby postawili na swoich, już jutro co do jednego trafilibyście do pieców. Z tego co słyszałem, ty także miałeś do czynienia z grupką, która dostała się do Fabryki. - Parr znacząco zawiesił głos, jego łyżeczka uderzyła o kubek, tworząc w nim wir. - Włamali się, zniszczyli maszyny. Zabili paru waszych. Od naszego wspólnego przyjaciela słyszałem, że znaleźli cię nagiego pod prysznicem i zranili... boleśnie.

- To nie wpłynęło na moją pracę - wymamrotał Jones, nie patrząc człowiekowi w oczy. - A poza tym używałem go tylko do sikania. Teraz sikam jak kobiety rodzeńców.

- I w ogóle ci to nie przeszkadza? Nie przeszkadza ci, że to Mayda podburza tych bandziorów?

Byli wściekli. Jones doskonale to rozumiał. Jeśli cokolwiek sprawiało, że czuł więź z rodzeńcami, to właśnie gniew. Nadal jednak ciężko było znosić ciężar ich wrogości... niechęci... otwartej, wściekłej nienawiści. Zranili go. On sam nigdy z rozmysłem nie zranił rodzeńca. To Fabryka zdecydowała o wykorzystaniu fabrykatów na połowie stanowisk pracy (więcej stanowiłoby naruszenie przepisów, ale konserwatywny kandydat na premiera walczył o zniesienie gwarancji parytetu dla nieklonów, grząc, że najważniejsza jest swoboda przedsiębiorczości). Strajkujący mogli zamiast tego okaleczyć prezesa Fabryki. Powiesić go wraz z przydupasami w cieniu Kadzi. Czy nie rozumieli - choć Jones zajmował ich miejsce, a tymczasem bezrobotnym kończyły się zasiłki i ich rodziny głodowały - że był ofiarą tak samo jak oni? Ten człowiek pracował dla jego wrogów. Oczywiście on sam także kiedyś dla nich pracował. Czy jednak mógł mu zaufać jako wspólnikowi? Nie. Mógł jednak prowadzić

interesy z ludźmi, którym nie ufał. Moodringa też wolał obserwować, ale w ostatecznym rozrachunku musiał coś jeść. Pięć tysięcy miednostek. Do dnia ucieczki z Fabryki nigdy nie zarobił ani grosza, a odtąd nigdy legalnie.

Będzie mógł uciec. Gdzieś w gorące miejsce. Usunąć tatuaż. Może nawet przywrócić bezużyteczny atrybut „męskości”.

- I trzecia zachęta - ciągnął Parr. - Nie jesteś głupcem, więc przyznam od razu. Ludzie, którzy mnie zatrudnili... ty też kiedyś dla nich pracowałeś. Jeśli odmówisz, cóż... Jak mówiłem, bardzo chcieliby cię dorwać po tym, jak potraktowałeś tamtych dwóch.

Powoli, z rozmysłem, Jones uniósł wzrok, spoglądając spod kościstych brwi. Uśmiechnął się. Zupełnie jakby wyszczerzał kły.

- Świetnie ci szło, Nevin. Nie psuj tego zbędnymi zachętami. Pomogę ci go zabić.

- Przepraszam. - I znów ten uśmiech. - Po prostu chcę, żeby doszło do tego szybko, a ja wolałbym nie szukać drugiego partnera.

- A po co ci partner?

- Zaraz ci powiem...

2. UKŁAD PRZENICOWANY

Ze swego gniazda na szczycie Kadzi o zaplamionych, usmalonych ścianach, wśród dobiegających z wnętrza głębokich gulgotów, Jones patrzył, jak w Punktown zapada noc. Śnieg był jedynie drobną domieszką luźnych płatków. W mieście za Fabryką płonęły kolorowe światła, tu i tam błyskały także w samym zakładzie, ale służyły do mniej radosnych celów. Od czasu do czasu w przejrzystej kopule działu spedycyjnego jaśniał jaskrawy, fioletowy błysk - to kolejną partię towarów teleportowano gdzieś na tę planetę bądź nawet poza. Być może była to grupa przeznaczona do

pracy w kopalni na asteroidzie albo budowy stacji orbitalnej, czy nowej kolonii, nowego Punktown, w jakimś świecie jeszcze niezgwałconym, zaledwie obmacanym.

Patrzył, jak z ładowni wyjeżdża kryta lotociężarówka, przywodząca na myśl transporter wojskowy, i kieruje się ku wschodniej bramie. Dostawa lokalna. Jones wyobraził sobie jej zawartość, produkt fabryczny, siedzący w dwóch rzędach i patrzący na siebie tępo. Fabrykaci, jeszcze niewytatuowani, nienazwani. Może firmy, do których ich wysyłano, nie używały do identyfikacji klonów tatuaży i ozdobnych imion - szyderczych imion, pomyślał. Zastanawiał się, czy podczas jazdy cokolwiek dzieje się w ich głowach. Nie zaprogramowano w nich jeszcze nowych obowiązków, nie przeszli kroplówek mózgowych. On, którego praca polegała na wypieku owych golemów, w odróżnieniu od nich przyszedł na świat już zatrudniony. Ci byli niewinni w swej bezrozumnej ślepoty i jest im z nią lepiej, pomyślał Jones, patrząc, jak ciężarówka znika w mroku nocy. On sam także był dzieckiem, ale zbrukanym: miesiące od czasu ucieczki przypominały skondensowane życie. Czy w pierwszych dniach, kiedy nie znał jeszcze niezadowolenia, obawy, żyło mu się lepiej? Nowo odkryta duma sprawiała, że z trudem przyznawał nawet przed sobą, że zdarzały się chwile, kiedy czuł się jak ludzki chłopiec, marzący o tym, by na powrót stać się drewnianą kukiełką.

Słuchał bulgoczących w Kadzi płynów owodniowych, wyobrażając sobie w myślach niezliczone, bezrozumne płody, śpiące bez snów w wielkim silosie macicy pod jego stopami. Tak, zbliżały się święta. Jones przypomniał sobie, skąd się wzięły, a także niepokalane poczęcie kobiety rodzeńca, Marii. Uśmiechnął się złośliwie.

Uniósł przegub i zapatrzył się w niego, póki na skórze nie zmaterializowały się lśniące numerki - nowy, nietrwały tatuaż.

Czas ruszać; bardzo nie lubił się spóźniać.

Jones nie chciał, żeby Parr odgadł, jak blisko Fabryki mieszka, więc umówił się z nim na Pewter Square. By tam dotrzeć, musiał przeprowić się przez wiadukt nad Obsidian Street, lekko łukowaty most, zaprojektowany przez Ramonów i wzniesiony z niewiarygodnie twardego, ramońskiego drewna, pokrytego lakierem, niegdyś barwy lśniącej czerni. Obecnie był wybrudzony i umazany sprejem, zakurzony i poobtłukiwany. Pojazdy śmigały po nim w obie strony, wypełniając kryty most ogłuszającym hałasem. Chodnik dla pieszych chroniła rozklekotana poręcz, gdzieś tam brakujące fragmenty zastąpiono drucianą siatką. Co więcej, w zagłębieniach drewnianego szkieletu mostu zagnieździł się bezdomni. Większość zbudowała sobie misterne pasożytnicze schronienia z kawałków drewna, blach, płacht plastiku czy materiału ceramicznego. Jeden z nich, starszy, niedożywiony Choom, dawny kapłan ginącej religii Ralooma, mieszkał w dużym kartonie, na którego ścianie, jak na świątyni, narysował surowe rysy swego boga. Chodnik z jednej strony graniczył z poręczą, z drugiej z owym małym biedamiasteczkiem. Część mieszkańców sprzedawała przechodniom kawę bądź papierowe gazety, lub też kusila zza szeleszczących plastikowych zasłon i przemokniętych kartonowych ścianek obietnicą narkotyków i seksu.

Jones znał jednego z owych stworów cienia i gdy się zbliżył, tamten wyłonił się ze swej kryjówki. Jego mały domek był jednym z najmisterniejszych - jakby w obawie przed rzadką inspekcją i eksmisją udawał, że stanowi część mostu, zrobioną z drewna i pomalowaną na lśniąca czerń. Miał nawet atrapy okien, w istocie zakurzone lustra. Zbliżywszy się, Jones ujrzał zwielokrotnione odbicie swej poważnej twarzy; czarna narciarska czapka przesłaniała

tatuaż.

Mała postać poruszała pajęczymi kończynami jak na zwolnionym filmie, lecz jej głowa nieustannie kołysała się, a od czasu do czasu szarpała z boku na bok tak szybko, że obraz niemal się rozmywał. Gdy wielka, bezwłosa czaszka - dwa razy większa niż Jonesa - nieruchomiała, widać w niej było maleńkie czarne dziurki, niemal idealnie okrągłe, przywodzące na myśl pumeks. Nikt prócz Jonesa nie miał pojęcia, że nie jest to zwykły mutant, ale odrzut hodowlany z Fabryki, niepokalane nieszczęście, któremu w jakiś sposób udało się uniknąć pieca i wyrwać na wolność. Kto by przypuszczał, że zostali sklonowani z tego samego pana? Przy jakiejś okazji defekt zatrzymał Jonesa i nawiązał rozmowę. Zdradziły go bezwłose brwi. Teraz, kiedy nie nosił ciemnych okularów, naciągał czapkę aż na oczy.

- Dokąd to się wybieramy o tej porze? - wychrypiął kaleki stwór, który nazwał się Edgarem Allanem Jonesem.

Magnez nie pojmował, dlaczego cień z własnej woli nadał sobie tak kretyńskie imię, ale też czasami zastanawiał się, czemu nie wymyślił nowego dla siebie.

- Nie mogę usiedzieć w miejscu - mruknął, zatrzymując się przed lakierowanym domkiem dla lalek.

Usłyszał dobiegający ze środka gwizd czajnika i stłumioną radiową muzykę, brzmiącą jak pianino - zabawka dla dziecka - grające z nadludzką szybkością.

- Do Gwiazdki zostały tylko trzy dni - oznajmił uszkodzony klon, uśmiechając się bezzębnie. - Zajrzysz do mnie? Posłuchamy razem radia. Zagramy w karty. Zaparzę ci herbaty.

Jones spojrział ponad Edgarem w głąb miniaturowego domu. Czy zmieściliby się w nim obaj? Wydawał się klaustrofobicznie ciasny i zbyt intymny jak na jego gust. Mimo wszystko jednak propozycja mu pochlebiła i nie potrafił

tak po prostu odmówić.

- Możliwe, że mnie tu wtedy nie będzie - rzekł zamiast tego. - Ale jeśli będę... zobaczymy.

- Nigdy nie zaglądałeś do środka. Może wejdiesz? Mógłbym...

- Przepraszam, ale nie mogę. Mam... pewną sprawę.

Kulista głowa rozmazała się, zatrzymała gwałtownie, uśmiech zamienił się w niespokojny grymas.

- Ten twój przyjaciel, Moodring. Kiedyś przez niego zginiesz.

- Nie jest moim przyjacielem - wyjaśnił Jones i ruszył dalej.

- Nie zapomnij o Gwiazdce! - wychrypiał stwór.

Jones pokiwał głową, ale nie zwalniał. Czuł dziwne wyrzuty sumienia, że nie wszedł do środka i nie napił się herbaty. Ostatecznie miał jeszcze mnóstwo czasu.

- Siedziałeś już kiedyś w samochodzie? - spytał z uśmiechem Parr, odjeżdżając od krawężnika i włączając się w migotliwy, ciemny prąd ruchu.

- W taksówce - wymamrotał Jones, sztywny jak manekin.

- Mayda mieszka w Wiszących Ogrodach, to parę przecznic od Beaumonde Square. Nie głoduje jak ci, których podburza. Ma ładne mieszkanko, do którego wraca co dzień. Kupił je z pieniędzy syndy.

- Mhm.

- Hej. - Parr obejrzał się na niego. - Nie denerwuj się. Powtarzaj tylko w myślach swój tekst. Będiesz gwiazdą wid, przyjacielem... sławą.

3. RZEźBIONY WOJOWNIK

Parr wypuścił Jonesa i lotowóz zniknął za rogiem. Jones, zgodnie z instrukcjami, ruszył zaśnieżonym dziedzińcem; jego buty skrzypiały, jakby stapał po styropianie. Okrążył jeden

apartamentowiec, wspiał się po schodach drugiego i znalazł czekające już, otwarte drzwi. Parr wezwał go gestem do środka i pozwolił drzwiom się zasunąć. Jones usłyszał szcęk zamka. Nie pytał Parra, jak zdołał się dostać do westybulu.

Razem podreptali pogrążonym w półmroku korytarzem, po wykładzinie w brzoskwińowe i fioletowe romby. Ściany i drzwi po obu stronach były nieskazitelnie białe. Miejsce to skojarzyło się Jonesowi z czystszyimi rejonami Fabryki, przede wszystkim rzadko widywanymi poziomami administracyjnymi. Słuchał cichego skrzypienia kurtki Parra ze sztucznej skóry. Obaj nosili rękawiczki. Jones wciąż miał na głowie narciarską czapkę, a także szalik, okręcony wokół szyi, chroniący przed piekielnym chłodem, do którego nie umiał przywyknąć.

Winda zawiozła ich na szóste piętro. Następnie, stąpając obok siebie, ruszyli dalej do drzwi na samym końcu. Parr zastukał i uśmiechnął się promiennie do swego towarzysza.

Jones w końcu ściągnął czapkę i wepchnął do kieszeni. W słabym świetle jego bezwłosa czaszka lekko połyskiwała, ognista aureola wpuszczona w skórę płonęła ciemnym ogniem. Schował ręce za plecami.

- Kto tam? - spytał ktoś przez interkom.

Zamontowane nad drzwiami maleńkie oko kamery, wielkości mrówczego czułka, z pewnością już ich obserwowało.

- Porządkowy, proszę pana - odparł Parr z nietypową dla niego powagą. I faktycznie tak wyglądał w swym czarnym stroju: skórzana kurtka, hełm jak głowa owada, broń w kaburach. Przystrzygł krótko włosy i ogolił się, zostawiając elegancką bródkę. Trzymał Jonesa za łokieć. - Mógłbym zamienić parę słów?

- Co się dzieje?

- Pański sąsiad zameldował o pojawieniu się

podejrzanego osobnika. Znaleźliśmy tego fabrykata, kręcił się w pobliżu. Twierdzi, że nie jest uciekinierem, lecz został kupiony przez Ephraima Maydę.

- Pan Mayda nie ma żadnych fabrykatów.

- Czy mógłbym pomówić z nim osobiście? - Parr westchnął z irytacją.

W głośniku rozległ się inny głos.

- Znam tego śmiecia! - zagrzmiął. - Uciekł z Fabryki, zabił dwóch ludzi!

- Co? Jest pan pewien?

- Tak! Pracował w dziale Pieców. Pokazywali go w wiadomościach.

- Czy możemy pomówić osobiście, panie Maydo?

- Nie chcę wpuszczać do domu tego mordercy i dziwoląga!

- Jest skuty, proszę pana. Będę musiał złożyć raport. Pańskie oświadczenie może się okazać cenne.

- No dobrze. Ale lepiej niech go pan pilnuje...

Dwaj mężczyźni usłyszeli szcęk zwalnianego zamka. Ktoś z drugiej strony przekręcił gałkę i w chwili, gdy drzwi się otwały, Jones przepchnął się pierwszy, prawą ręką sięgając pod płaszcz. W środku ujrzał dwie twarze, obie niemal identyczne w wyrazie szoku i zgrozy, gdy wyrwał z kabury mały, srebrzysty pistolet i w nie wycelował. Jeden z mężczyzn miał rozjaśniane włosy, drugi ciemne. Jones strzelił brunetowi w twarz. Obok jego nozdrzy otworzyło się trzecie, okrągłe, a tył głowy rozchylił się, niczym drzwi saloonu. Ciemnowłosy zatrzepotał powiekami, gdy bryznęła nań krew. Strzał zabrzmiał cicho, jak kasznięcie dziecka. Blondyn osunął się na ziemię. Jones, a za nim Parr, przekroczyli próg i stanęli na grubym białym dywanie. Parr zamknął za nimi drzwi.

- Kim wy jesteście?! - zawołał Mayda, unosząc dłonie i

cofając się pod ścianę.

- Do salonu - warknął Jones, unosząc broń.

Mayda obejrzał się i zaczął posuwać się tyłem wzdłuż ściany do wielkiego, eleganckiego salonu, z oknem wychodzącym na zaśnieżony dziedziniec Wiszących Ogrodów. Parr poszedł przyciemnić maksymalnie okna.

- Dam wam pieniądze, słuchajcie... - zaczął Mayda.

- Pamiętasz mnie, prawda? - syknął Jones, opuszczając pistolet, tak by celował w krocze brzuchatego rodzeńca. - Pozbawiłeś mnie męskości, pamiętasz?

- Wcale nie! To ci świrnięci strajkujący, którzy dostali się do Fabryki! Nie miałem z tym nic wspólnego!

- W takim razie skąd o tym wiesz? Powiedzieli ci, prawda? Świetnie się bawili, co?

- Czego chcesz? Możesz dostać wszystko.

Zalęknione spojrzenie szefa związku skupiło się na Parrze, który wyciągnął spod kurtki coś dziwnego. Coś, co wcześniej wyglądało jak trzy lufy pistoletów, rozłożyło się i zamieniło w trójnog. Na nim Parr przykręcił małą kamerę vid. Zapłonęło zielone światełko, oznaczające, że zaczęła filmować. Parr pozostał za kamerą. Mayda zerknął z powrotem na Jonesa, sprawdzając co powie.

Jones się zawahał. Przecwiczył wcześniej swój tekst, ale teraz w jego głowie panował chaos; cichy strzał, który zabił blondyna, roztrzaskał słowa na kawałki. Zabił człowieka... po raz trzeci. Przyszło mu to naturalnie, jak umiejętność wszczepiona po mózgowej kroplówce, pierwotny, zwierzęcy instynkt przetrwania. Czemu zatem po wszystkim czuł się taki... poruszony?

Powiódł wzrokiem po pokoju. Nigdy jeszcze nie był w podobnym miejscu. Stoliki zrobione ze szklistego zielonego kamienia. Białe kanapy i fotele, pokryte srebrzystą koronką haftów. Bar, holozbiornik. Na ścianach skromna kolekcja

sztuki. Na kilku stolikach, ławkach i piedestałach stały najróżniejsze ramońskie rzeźby z roziskrzonego białego kryształu. Zwierzęta, a także ramoński wojownik, oddany zdumiewająco szczegółowo - zważywszy na medium - począwszy od lwiej głowy aż po lancę, czy może halabardę uniesioną w obronnym geście. Każda z nich musiała kosztować fortunę. A jednak przed Fabryką koczowali mężczyźni i kobiety wycieńczeni po strajku głodowym. Wychudzeni nie z własnego wyboru. Przypomniawszy sobie też kobietę siedzącą w całunie płomieni.

Jego dezorientacja minęła i Jones znów skupił rozpalone spojrzenie na przerażonym rodzeńcu. Gniew w jego głosie nie był udawany, choć przemawiał cudzymi słowami.

- Jestem tu, panie Maydo, by zarejestrować... początek buntu i pierwszy cios w wojnie, która nie ustanie, dopóki my, klony, nie uzyskamy tych samych praw co naturalnie urodzeni.

Sprytne, pomyślał wcześniej; Fabryka pozbędzie się ciernia w swej lwiej łapie, tak że ani prawo, ani syndy nie będą jej winić. Nie, Ephraima Maydę zabije niebezpieczny uciekinier, fabrykat, fanatyk opętany manią wielkości. Mimo to zastanawiał się, czy ów czyn nie sprawi, że robotnicy rodzeńcy oraz bezrobotni i większość mieszkańców miasta nie zareagują wzmożoną nieufnością wobec fabrykatów, nie zaczną sprzeciwiać się wykorzystywaniu ich na coraz szerszą skalę? Czy nie zaszkodzi to samemu istnieniu Fabryki? Ale przecież z pewnością lepiej od niego wiedzieli co robią. Ostatecznie był tylko fabrykatem - wykształconym przez mózgową kroplówkę i podsłuchiwanie rozmów ludzkich robotników, programów radiowych, których słuchali, a potem kształconym na ulicy. Ci ludzie zasiadali za wielkimi szklanymi stołami i podejmowali wielkie decyzje. Nie umiał tego ogarnąć. Potrafił co najwyżej wyobrazić sobie zapłatę

pięciu tysięcy miednostek. A Parr przekazał mu połowę, kiedy dzisiejszego wieczoru wsiadł do jego lotowozu.

- Hej - wybełkotał Mayda. - Co ty gadasz? Posłuchaj... Proszę! Słuchaj...

- Chcemy żyć tak jak wy - ciągnął Jones, improwizując, bo reszta słów przeciekła przez palce jego umysłu. Pomyślał o własnym piekielnym gnieździe, o maleńkim domku Edgara. - Chcemy...

- Hej! Stój! - usłyszał wrzask Parra.

Gwałtownie obrócił głowę. Co się dzieje? Czy z któregoś pokoju wyłonił się inny ochroniarz? Powinni byli wcześniej wszystko sprawdzić, powinni byli...

Parr unosił pistolet policyjny, ale celował do niego, nie do nowego przybysza. I nim Jones zdołał unieść własną broń, tamten wystrzelił szybko, pięciokrotnie. Z lufy z błyskiem uleciały obłoczki gazu, rozgrzane pioruny bez grzmotu powaliły Jonesa. Poczł ognistą kulę ocierającą się o szyję, częściowo osłoniętą szalikiem. Koń kopnął go w obojczyk, a trzy pociski, jeden za drugim, przebiły mu pierś z lewej strony. Obrócił się i runął na brzuch na biały dywan. Jak na zbliżeniu ujrzał własną krew, jaśniejącą niczym krople rosy. Piękne czerwone koraliki, maleńkie rubiny uczipione białych włókien dywanu. W tym miejscu nawet przemoc wyglądała wspaniale.

Mayda zbliżył się, wytrącił kopniakiem z jego dłoni mały srebrzysty pistolet. Wnętrznosci Jonesa ścisnęły się gwałtownie, lecz ciało nawet nie drgnęło. Odrobinę uniósł powieki i spod rzęs popatrzył na podchodzącego bliżej Parra. Przez moment sądził, że to ktoś inny. Po wystrzeleniu kul poza polem widzenia kamery Parr zdążył już zrzucić fałszywy mundur i przebrać się w zwykłe ciuchy.

- Zdawało mi się, że słyszę obcy głos, panie Mayda - wykrztusił zdyszany. - Przysnąłem w drugim pokoju...

strasznie przepraszam! Nic panu nie jest?

- Nic, dzięki Bogu. On zabił Bretta!

- Jak się tu dostał?

- Nie wiem. Brett poszedł otworzyć drzwi i nim się zorientowałem... Dopiero teraz Jones pojął, że Parr nie pracował dla Fabryki. Co ze mnie za durny fabrykat. Przeklął w duchu samego siebie. Nie był wcale cwany. Był tylko dzieckiem. Miał pięć lat...

Parr pracował dla Ephraima Maydy, przewodniczącego związku, przyjaciela syndykatu. Maydy, którego podwładni zabijali innych i siebie nawzajem w walce o pracę, o chleb i schronienie, podczas gdy on wykorzystywał ich głód, gniew i strach.

No i vid. Vid przedstawiający morderczego kłona, atakującego bohatera ludu, powstrzymanego w ostatniej chwili przez wiernego ochroniarza (podczas gdy drugi wierny ochroniarz, nieszczęsny Brett, został złożony w ofierze). Złakniony krwi zwiastun znacznie większego zagrożenia - sam przecież tak twierdził! Ów vid zjednoczy opinię publiczną przeciw fabrykatom, rozlegną się głosy żądające delegalizacji klonowanych robotników... ich masowej utylizacji, spalania...

Wcześniej prawie przejrzał tę historię, ale pozwolił zaślepić się pieniądzom. Teraz kule w pełni go przebudziły.

- Wezwij służby - rzekł Mayda do kamery.

Sprawiał wrażenie wstrząśniętego, choć od początku wiedział, że nic mu nie grozi.

Spod rzęs Jones ujrzał Parra, pochylającego się po srebrny pistolet.

Jego lewa ręka leżała zgięta pod ciałem. Sięgnął za połę płaszcza i przekręcając się na bok, wyrwał zza pazuchy drugą broń, lśniącą czarną, pistolet, o którym Parr nie wiedział. Gdy tamten, zdumiony, uniósł głowę, Jones wypuścił z lufy serię

pocisków tak szybko, jak tylko był w stanie naciskać spust. Parr usiadł ciężko, komicznie, na tyłku. Po każdym strzale podskakiwał jak dziecko na kolanie ojca. Gdy w końcu Jones przestał strzelać, tamten, z twarzą niemal czarną od krwi i dziur, zgięty wpół osunął się na kolana.

Jones usiadł, w piersi eksplodowała mu supernowa bólu, druga, gazowa, przysłoniła oczy. Zobaczył Maydę biegnącego do wyjścia. Strzał trafił rodzeńca w prawy pośladek, gość poleciał na twarz, wrzeszcząc jak rozhisteryzowane dziecko, zbudzone z koszmarnego snu.

Podczas gdy Jones z trudem dźwignął się z podłogi i chwiejnie utrzymywał na nogach, Mayda czołgał się na brzuchu w stronę drzwi. Jones podszedł, stanął nad nim i wycelował z małej czarnej broni. Mayda obrócił się z krzykiem i kule wbiły mu ów krzyk w głąb gardła. Jones strzelił mu w oczy, pociski strzaskały nos i zmiażdżyły zęby, tak że jego twarz wyglądała teraz jak twarz Edgara, z prostymi czarnymi dziurami zamiast rysów.

Pistolet szczęknął głucho. Jones upuścił broń, przekroczył trupa Maydy, trupa Bretta i zatrzymał się przed drzwiami, naciągając narciarską czapkę na płomienistą głowę. Nim jednak otworzył drzwi, zmienił zdanie i jeszcze na moment wrócił do owego wytwornego, wielkiego salonu...

Godzinę przed świtem Magnez Jones dotarł do domu Edgara Allana Jonesa na wiadukcie przy Obsidian Street.

Na jego widok Edgar zachrypiał radośnie, potem jednak zobaczył wyraz twarzy wyższego fabrykanta. Wziął go za rękę i pomógł schylonemu wejść do maleńkiej czarnej chatki.

- Jesteś ranny! - zawołał, podtrzymując Jonesa, który powoli opadł na mały rozklekotany fotel przy stole na środku pokoju.

Oprócz regałów nie było tu nic więcej. Ani śladu łóżka,

jedynie radio, z którego sączyła się muzyka, przypominająca puszczone od tyłu śpiewy wielorybów i parujący czajnik na małej kuchence na baterie.

- Mam coś dla ciebie - oznajmił Jones. Jego głos dobywał się ze świstem z gardła, jedno z płuc zapadło się w kołysce żeber. - Prezent gwiazdkowy...

- Muszę sprowadzić pomoc. Pójdę, zatrzymam jakiś wóz... - zaczął Edgar.

Jones złapał go za rękę, nim tamten dotarł do drzwi. Uśmiechnął się do kaleki.

- Chętnie napiję się herbaty - rzekł.

Przez parę chwil Edgar przyglądał mu się, jego zniekształcone rysy niczego nie wyrażały. Potem, w zwolnionym tempie, co chwila zarzucając głową, odwrócił się i podszedł do kuchenki i parującego czajnika.

Kiedy tamten odwrócił się do niego plecami, Jones sięgnął za pazuchę długiego czarnego płaszcza, teraz ciężkiego od krwi, i z kieszonki w podszewce wyciągnął rzeźbę, wyciętą z opalizującego kryształu. Przedstawiała groźnego ramońskiego wojownika, unoszącego lancę. Cicho postawił ją na stole, by zaskoczyć karłowatego kłona, gdy ten się obróci.

Czekając, aż Edgar zjawi się z herbatą, Jones ściągnął z głowy czapkę i opuścił ogniste czoło na poręcz fotela. Zamknął oczy, by chwilę odpocząć.

Tak, poodpoczywa tylko chwilkę... dopóki przyjaciel w końcu się nie odwróci.

ŚWIATŁO BEZ KOŃCA

„Oko, gdy zmienia się, zmienia wszystko”.
- William Blake

Anoushka nie przepadała za wirtualnymi księgarniami. Jeśli nie mogła nigdzie indziej znaleźć wybranej książki, odwiedzała je oczywiście i przyznawała, że bywają użyteczne, ale ponieważ tak wielu je preferowało i zachwycało się wygodą zakupów, zazwyczaj skłonna była raczej wytykać ich wady i bronić niezliczonych, autentycznych księgarni z Paxton. Ludzie często powtarzali, że zaletą wirtualnych sklepów jest to, że, by je odwiedzić, nie trzeba opuszczać wygodnego (i bezpiecznego - ostatecznie działało się to w Paxton, lepiej znanym jako Punktown) domu. I właśnie w tym rzecz. Anoushka lubiła zapuszczać się do miasta. Odwiedzać fizycznie miejsca inne niż własne mieszkanie. Sączyć kawę w księgarniach sprzedających też napoje, słuchać żywych, oddychających muzyków, a nie nagrań artystów jazzowych, folkowych i etnicznych, puszcanych w większości sklepów VR. W niektórych były też kafejki i jeśli dysponowało się odpowiednim interfejsem, można było poczuć w nozdrzach zapach świeżej kawy, wyobrazić sobie jej smak. Anoushkę to oburzało. Równie dobrze można by zapeklować sobie mózg w słoiku, podłączyć do najnowocześniejszego komputera i czerpać z niego wszystkie życiowe doświadczenia. Pseudożycie. Fałszywe życie. Życie pozbawione sensu.

Z tego samego powodu preferowała namacalne, fizyczne książki, a nie książki sieciowe czy dyskowe. Lubiała trzymać je w rękach, czuć zapach (uwielbiała przyciskać nos do zagłębienia między otwartymi połówkami książki i wciągać w nozdrza zapach świeżej farby bądź starego kurzu). Mając do

wyboru książkę rzeczywistą i wirtualną, nigdy nie wybrałaby tej drugiej. Tak samo jak nigdy nie wybrałaby dziecka robota zamiast niemowlęcia z krwi i ciała. Kochanka VR miast mężczyzny z żywych komórek.

W sieci można było nawet zwiedzić większą część owego olbrzymiego, założonego przez Ziemiaków miasta-kolonii na planecie Oaza, bez konieczności stawiania czoła jego mocno rozślawionym i bardzo rzeczywistym zagrożeniom. (W Punktown istniały miejsca tak niebezpieczne, że w pewnym sensie niezbadane, nieopisane na mapach; *terror incognita*). Anoushka była jednak skłonna zaryzykować - żeby tylko móc zrobić zakupy na wietnamskim targu, kupić od ulicznego sprzedawcy smażone dilki, korzeń uwielbiany przez miejscowych Choomów, poczuć słońce na twarzy, na ulicach niepograżonych w cieniach drapaczy chmur (z których część zasługiwała raczej na miano przebijaczy chmur). A jedną z największych radości sprawiało jej pierwsze zwiedzanie księgarni. Do tego sieć się nadawała - wymieniano w niej liczne księgarnie z Punktown, duże i małe. Czasami jednak przypadkiem natykała się na sklep nieujęty w spisie. To cieszyło ją najbardziej.

Było lato, powietrze tak gęste, że wiele osób podejrzewało, że zatkąły się kanały odpływowe i cuchnąca woda wzbiera w nich, by zatopić całe miasto. A może Anoushka wyobraziła sobie owo morze, po którego dnie teraz stąpała, wyobraziła sobie, że jego wody tworzyły soki wyciśnięte z milionów spoconych ciał. Jej krągłe ramiona były odsłonięte - miała bluzkę bez rękawów - i pokrywała je lekka warstewka potu. Spódnica obciskająca krągłe biodra była uszyta ze srebrzystej satyny. Jasny strój sprawiał, że blada, żółtobrązowa skóra Anoushki wydawała się ciemniejsza. Na nogach miała sandały. Gdy przechodziła, mężczyźni oglądali się za nią. Gęste ciemne włosy, opadające gęszczem aż do

pasa, wielkie ciemne oczy i pełne wargi - wszystko to sprawiało, że była bardzo atrakcyjna. W aptece, gdzie pracowała, zazwyczaj spotykała mężczyzn zbyt poirytowanych lub za starych, by z nimi flirtować, gdy realizowała recepty. Czasami nosiła bindi, ale nie dziś, choć w jej lewym nozdrzu połyskiwał maleńki klejnocik.

Na końcu ulicy Anoushka zeszła do metra, by podjechać na stację Ratchet Avenue. Okolica, w której wysiadła, bardzo przypominała tę, w której mieszkała: była nie najlepsza, ale też nie najgorsza spośród tego, co miało do zaoferowania Punktown. Kiedy poprzednio odwiedziła służbowo to miejsce, odkryła przyjemną hinduską restaurację. A że nadszedł weekend, postanowiła urządzić sobie wycieczkę połączoną z lunchem.

Wzdłuż tej ulicy wznosiły się budynki będące pozostałością choomskiego miasta sprzed czasów kolonizacji; większość zbudowano z czerwonej bądź brązowej cegły. Widoczne tu i ówdzie nowoczesne budowle upodobniono do nich, by zachować atmosferę tradycji, lecz w innych miejscach Anoushka widziała nowsze konstrukcje, wzniesione wprost nad zabytkami, na grubych słupach kryjących w swym wnętrzu windy. Ceglane domy przycupnięte w ich cieniu wydawały się jeszcze mniejsze. Te budowle w niczym nie przypominały rdzennej architektury. Kilkanaście starych kamienic miało pozamykane na głucho drzwi i okna: opuszczone, rozsypywały się powoli, pokryte graffiti i podobnymi do bluszczu pędami, którym czasem udawało się wychwycić odrobinę niezbędnego do życia słońca, pomiędzy przyływami i odpływami miejskich cieni.

Znalazła restaurację i, jedząc, zagłębiła się w lekturze książki wyjętej z torebki. Miała szczęście - posadzono ją przy oknie, mogła zatem unosić wzrok znad obiadu i książki i przyglądać się paradyzie przechodniów i pojazdów, w równym

stopniu zróżnicowanych. Jej uwagę zwrócił mężczyzna przebiegający przez ulicę i kierujący się do restauracji - z początku dlatego, że przstraszyła się, że wpadnie pod lotowóz. Potem z powodu wyglądu.

Starając się robić to dyskretnie, przyglądała się, jak mężczyzna wchodzi do restauracji i zbliża się do baru. Najwyraźniej odbierał wcześniej złożone zamówienie. Nie był Hindusem, choć oczywiście tego popołudnia stanowili oni zaledwie połowę klientów. Wysoki, ubrany w kilka rozmiarów za duży czarny podkoszulek, zwisający ze szczupłych ramion na obcisłe czarne dżinsy. Ciężkie czarne buciory. Sięgające ramion włosy, rozdzielone pośrodku i splątane bardziej niż jej własne. Na tle tej czerni jego skóra przypominała czysty papier. Nos miał długi, wargi bardzo pełne, mięsiste, niemal kobiece. Anoushce ogromnie się spodobał.

Nosił też czarne gogle o grubych, wypukłych soczewkach, przywierające do twarzy tak, że nie przepuszczały nawet najdrobniejszego światła i całkowicie przesłaniały skryte pod nimi oczy. Wyglądał jakby zrobił sobie przerwę od spawania, żeby coś przekąsić. A może po prostu w ten sposób radził sobie z letnim słońcem, a przy okazji uzyskał efekt tajemniczego wyglądu.

Torebka z jedzeniem i kilka banknotów powędrowały z rąk do rąk i mężczyzna wyszedł. Anoushka patrzyła, jak z powrotem przebiega przez jezdnię. Kiedy zniknął jej z oczu, wróciła do lektury. Krótki odpoczynek, przyjemność dla oczu.

Kiedy wyszła z hinduskiej restauracji, o mało nie wpadła na nią mała, niekształtna istota, bez ustanku potrzásająca przerośniętą głową - bez wątpienia mutant. Zaskoczona Anoushka skręciła gwałtownie i inny przechodzień trącił ją w lewe ramię. Przez moment poczuła lęk: dwa lata temu Coleopteroid ukradł jej portfel, a kiedy próbowała go

zatrzymać, chlasnął ją w przegub jedną z przednich chitynowych kończyn, raniąc aż do kości. Mężczyzna zatrzymał się, by przeprosić. Spojrzawszy mu w twarz, odkryła, że to Tikkihotto. Czasami Anoushce wydawało się, że ludzkie rasy, takie jak Tikkihotto czy Choomowie, wyglądają bardziej niepokojąco niż podobne do chrząszczy Coleopteroidy i inne istoty niehumanoidalne. Z wyglądu tak bardzo przypominali ludzi, że wyróżniające ich cechy (takie jak choomski uśmiech od ucha do ucha) wydawały się oznakami nie obcości, lecz kalectwa. Inna humanoidalna rasa, szaroskórzy Kalianie, twierdziła, że ich bóg, Uggihiutu, zasiał we wszechświecie nasiona ludzi, którzy następnie przystosowali się do różnych światów.

- Przepraszam - rzucił wysoki mężczyzna. Nawet głos miał całkowicie ludzki.

- Nic się nie stało - odparła Anoushka, jej zęby błysnęły na tle śniadej skóry.

Przez chwilę patrzyła w twarz obcego. Z ciemnych oczodołów czaszki wyrastały przejrzyste włókna, wijące się w powietrzu niczym delikatne morskie rośliny falujące pod wodą. Skojarzyły jej się z oglądanymi pod mikroskopem rzęskami. Czułki te służyły Tikkihotto za oczy.

Mężczyzna ruszył dalej. Anoushka powędrowała w przeciwną stronę. Chciała jeszcze trochę pozwiedzać tę ulicę, zanim wróci do domu. Wcześniej dotarła tylko do restauracji.

Ujrzała kobietę Tikkihotto z niemowlęciem w nosidełku na plecach. Włókna optyczne dziecka falowały równie radośnie jak jego grube paluszki.

Starszy Tikkihotto minął ją, jego czułki poruszały się wolniej, ciemniejsze, mlecznobiałe, mniej przejrzyste na starość. Jednocześnie Anoushka zaczęła dostrzegać szyldy, napisane zarówno po angielsku, jak i złożonymi hieroglifami Tikkihotto. A zatem to była ich dzielnica. Nie wiedziała, że tu

jest, ale to odkrycie wcale jej nie zdziwiło - sama dorastała w sporej dzielnicy hinduskiej na przedmieściach. Nawet do szkoły chodziła niemal wyłącznie ze swoimi ziomkami. W pewnym sensie uważała, że rodzice zanadto ją chronili. Bez wątpienia pragnęli nie tylko uchronić córkę przed szalejącą w Punktown przestępczością, ale też pielegnować jej poczucie tożsamości kulturowej. Anoushka uważała jednak, że aż do czasów licealnych izolowano ją przed wszystkimi, prócz maleńkiej mikro-społeczności, drobnej enklawy w ogromie Punktown. Przypuszczała, że gdyby nie wychowanie, rasy takie jak Tikkihotto i rdzenni Choomowie w ogóle by jej nie dziwiły.

Cóż, w tej dzielnicy nie mieszkali jednak wyłącznie Tikkihotto i nie czuła się ani jak intruz, ani nie wyróżniała, tak jak w innych, bardziej jednolitych rasowo. Więcej, ogarnęła ją nagła ciekawość. Czy ta szybka i jękliwa, przeciągła muzyka, wylewająca się z za otwartego okna, to muzyka Tikkihotto? Co reklamowały wiszące wszędzie tablice, na których brakowało angielskiego tłumaczenia? Choć do języka pisanego Tikkihotto najlepiej pasuje określenie hieroglify, na piktogramach dostrzegała też kształty geometryczne, a one same - choć czasami sugerowały swym zarysem ludzi, zwierzęta, przedmioty - najczęściej pozostawały zagadką. Albo przedstawiały ludzi i zwierzęta w niezwykle abstrakcyjnej formie, albo też nie ilustrowały niczego prócz abstrakcji, myśli i idei. Choć nie wiedziała, co wyobrażają te symbole, uznała, że to stosownie złożony język jak na tak skomplikowane narządy wzroku.

Wędrując hałaśliwą ulicą, wypatrzyła jeden szyld napisany wyłącznie po angielsku: pionowy napis przyczepiony do ceglanej fasady na pierwszym piętrze starego choomskiego budynku:

S
I
A
Ż
K
I

Nic więcej, tylko proste, samotne słowo. Ale Anoushce wystarczyło. Bez wahania skierowała się prosto do obłazących z farby, nieco cofniętych drzwi budynku.

Parter kamienicy okazał się ciemny i wypatroszony, choć Anoushce wydało się, że zza otwartych drzwi dobiega jakiś szelest. Tynk na sufitach odstawał i pękał, w miejscach, gdzie odpadł, widziała gołe belki. Graffiti na poplamionych wodą ścianach. W istocie były to graffiti Tikkihotto - niewyraźny, wielobarwny bełkot, od którego omal nie rozboleły jej oczy. Próby zrozumienia go przypominały szukanie słoneczników van Gogha na obrazie Pollocka. Ruszyła spiesznie w stronę schodów, nie próbując nawet skorzystać z niebudzącej zaufania windy na końcu holu.

Na pierwszym piętrze ujrzała przed sobą zamknięte drzwi, pomalowane lśniącą czerwoną farbą, mocno kontrastującą z dotychczasowym wystrojem. Przyczepiona do nich tabliczka głosiła: KSIĘGARNIA RETKU.

Kiedy Anoushka otworzyła drzwi, dyskretne piśnicie powiadomiło o tym sprzedawcę. Siedział przy długim, niskim stole, na którym dostrzegła kasę i pozostałości lunchu. Spojrzał na nią znad krawędzi kubka z kawą. Nie widziała jednak jego oczu, bo przesłaniały je czarne szkła gogli.

O mało nie stanęła jak wryta. Minęła sekunda, dwie.

- Cześć - rzuciła.

Mężczyzna, którego widziała w restauracji, skinął na powitanie głową i przełknął łyk kawy.

- Cześć.

Stół stał kilka kroków od drzwi; spojrzała ponad nim w głąb księgarni. Była nieduża. Regały pod ścianami i pośrodku, tworzące kilka przejść, sterty książek na niskich stołach, książki wysypujące się z kartonów pod nimi. Z głośników płynęła muzyka klasyczna. Anoushka zauważyła tylko dwie osoby, kobiety bez reszty zajęte grzebaniem na półkach - młodą Ziemiankę i starszą Tikkihotto.

- Pierwszy raz tutaj? - spytał mężczyzna za ladą.

W końcu postąpiła parę kroków naprzód, zasuwając za sobą drzwi. Zauważyła pięknie odrestaurowaną drewnianą podłogę, lśniącą niczym bursztyn.

- Tak. Po prostu zwiedzam okolicę. Nigdy nie słyszałam o tym sklepie.

- Jestem tu od trzech lat.

- Poważnie? - Ponownie rozejrzała się, podchodząc jeszcze krok bliżej, zupełnie jakby nonszalancko skradała się ku siedzącemu mężczyźnie.

Skradała wbrew samej sobie, w nadziei że reszta jej nie zauważy, co robi.

- Czyli ty jesteś właścicielem?

- Owszem.

- To super. Zawsze wydawało mi się, że musi być strasznie fajnie mieć własną księgarnię.

- Cóż, jak wszystko, to też ma swoje wady.

- No tak, jasne.

- A ty co robisz?

- Pracuję w aptece Superdrugs, na Polymer Street.

- Ach... pewnie musiałaś skończyć odpowiednią szkołę.

- Mhm. - Była już dość blisko jednego z regałów, by losowo wybrać jakiś tomik. - Ale mój ulubiony lek dla duszy to książki - zażartowała niezręcznie.

- Świetnie to rozumiem.

Uśmiechnął się.

Z bliska wyglądał jeszcze lepiej; oceniła, że jest kilka lat starszy od niej. Zauważyła też, że z boku gogle mają niewielkie pokrętko i kilka przycisków; z drugiej strony jaśniała mała czerwona lampka. A zatem nie chroniły wyłącznie przed słońcem, nie były stylowym dodatkiem... Przypuszczała, że to sprzęt rejestrujący bądź wspomagający. Może z ich pomocą przeglądał stan towarów albo nawet czytał książki wyświetlane na miniaturowych ekranach.

- Niedawno widziałam cię w restauracji w głębi ulicy - przyznała i natychmiast pożałowała. Zabrzmiało to tak, jakby przyszła tu za nim. W obawie, że mówi od rzeczy, podjęła szybko, by umieścić tę uwagę we właściwym kontekście: - Interesuje cię kultura hinduska?

- Pewnie - odrzekł. Po chwili dodał: - No wiesz... nie wiem o niej zbyt wiele.

- Czytałeś jakichś indyjskich autorów?

- Przykro mi przyznać, ale nie.

- Poważnie? - rzuciła lekko żartobliwym tonem i podeszła jeszcze bliżej stołu, wciąż z roztargnieniem gładząc palcami książkę, na którą nawet nie spojrzała. - Nie znasz klasyków takich jak Ramajana? Sakuntala?

- Niestety, nie. - Przepraszające wzruszenie ramion.

- Pisarzy takich jak Kalidasa? Tagore?

- Niestety i Niestety. Ale skoro ich polecasz, poszukam.

- Oczywiście nie czytam wyłącznie literatury hinduskiej, starej i nowoczesnej.

- No cóż, ja nie czytam wyłącznie autorów Tikkihotta.

- Aach. - Anoushka pokiwała głową, nie tyle w odpowiedzi na jego uwagę, ile w nagłym zrozumieniu.

Tikkihotto. A zatem nie był człowiekiem, a przynajmniej nie z jej gatunku. Teraz pojmowała, co kryje się pod owymi nieprzeniknionymi szklami. Wyobrażała sobie lśniące oczy, równie ciemne jak jego włosy. Idea, że pod goglami tkwią

zwoje macek jak u meduzy, budziła w niej wstręt. Odpychała, ponieważ wcześniej tak bardzo ją pociągał. Irracjonalnie czuła się niemal tak, jakby ją oszukał... jak w historiach, które czytała o gościu odkrywającym, że wynajęta prostytutka to naprawdę facet w przebraniu.

- Czytasz w tikkihotto? - Wskazał gestem książkę w jej rękach.

W końcu ją otworzyła. Przypuszczała, że jaskrawa, fioletowa okładka ze złotymi literami podświadomie przyciągnęła jej wzrok. Teraz, przesuwając palcami po owej wytłaczanej okładce jak po napisie w brajlu, uświadomiła sobie, że to w istocie hieroglify, podobnie jak cały tekst w środku. Znaki i symbole były wyraźne, wielokolorowe.

Przejrzała zaledwie parę stron, po czym zawstydzona, odłożyła książkę na miejsce.

- Nie - przyznała. - Nie czytam.

- Nie ma się czego wstydzić. Prawdę mówiąc, Ziemianie nie mogą czytać naszego języka bez specjalnych okularów tłumaczących... podobnych do tych. Postukał palcem w gogle.
- To przez to jak widzimy. Zauważyłaś, w jaki sposób kolorowe symbole splatają się ze sobą i w miejscach, gdzie się nakładają, tworzą nowe kolory? To oddaje różne warstwy znaczeniowe. Niektóre znaki należy odczytywać z lewej do prawej, inne z prawej do lewej. Długość szeryfów, odstęp między symbolami, grubość, nachylenie - wszystko to warstwy znaczeń. I wszystko trzeba chłonąć jednocześnie.

- Rany - zdołała tylko wykrztusić Anoushka.

- Wasze pismo... to znaczy angielskie... jest zupełnie inne. Z wielkim trudem się go nauczyłem. - Roześmiał się. - Do większości musiałem użyć bezpośredniego łącza mózgowego.
- Postukał palcem w skroń.

- Tak właśnie uczy się go większość ludzi. Ale dla ciebie, w porównaniu z waszym, to musi być bardzo prosty język. -

Teraz zachowywała się z mniejszym entuzjazmem; nagle poczuła, że chce już wyjść.

- A mówisz po... hindusku?

- W bengali, owszem.

Pokiwał głową. Zapadła długa cisza. Czy wyczuwał, że coś, co wcześniej wisiało między nimi, zniknęło?

- Uhm, nie bój się, możesz się tu rozejrzeć. Nie sprzedaję wyłącznie książek Tikkihotto. Najwyżej połowę.

- Dzięki.

Uznała, że to robi. Bo czemu nie? To była całkiem miła księgarnia. A gość był uprzejmy. Po prostu nie tak kuszący jak złudzenie, które sobie stworzyła. Nagle poczuła wyrzuty sumienia z powodu nagłej niechęci, jaka ją ogarnęła. Powoli przywykała do swego odkrycia.

- Jestem Kress - przedstawił się i wyciągnął rękę. - Kress Retku.

- Anoushka Roy. - Podała mu ciepłą, wilgotną dłoń. - No cóż... w takim razie rozejrzę się po sklepie. Dzięki, panie Retku.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Anoushko.

Częściowo z poczucia obowiązku, skoro już wciągnęła w rozmowę właściciela sklepu, owego popołudnia, kiedy Anoushka odkryła księgarnię Retku, kupiła w niej jedną książkę. Od tego czasu minęły dwa tygodnie, podczas których zajmowała się zwykłym korowodem wkurzonych, niecierpliwych klientów, stojących w kolejce w Superdrugs. Po pracy wracała do domu, do małego mieszkanca, które zajmowała sama, bo jej współlokatorka wyprowadziła się do chłopaka. W zeszły weekend odwiedziła rodziców w miniaturowej, hinduskiej kolonii na przedmieściach. Wieczorami leżała w łóżku, czytając powieść kupioną dwa weekendy wcześniej. I przez cały ten czas przed oczami wciąż

miała postać, pojawiającą się znienacka pośród gęstej, oślepiającej mgły codziennej nudnej rutyny - postać w czerni, o bardzo białej skórze i cesze wyróżniającej ją od innych, ukrytej jak pod maską.

Sama przed sobą udawała, że powrót do hinduskiej restauracji na lunch (miała nadzieję, że on też się tam zjawi, na próżno) stanowił impulsywną decyzję, podobnie jak powrotną przechadzka do księgarni Retku... choć gdzieś w głębi, pod warstwą świadomości wiedziała, że zaplanowała to wcześniej, w czasie morderczo nudnych godzin pracy.

Kiedy weszła do sklepu, ciesząc się, że zostawia za sobą ponury pusty parter, czekała ją lekka ulga i znacznie większy zawód. Za długim stołem, służącym za ladę, siedziała kobieta Tikkihotto w średnim wieku. Jej węzowe oczne macki uniosły się, jakby węszyły.

- Czym mogę służyć? - spytała, wyczuwając targającą Anoushka rozterkę.

- Dziękuję, niczym - odparła Anoushka szybko. - Po prostu oglądam. - Jak kot udający, że specjalnie spudłował po ambitnym skoku, ruszyła prosto w stronę wąskich przejść między regałami.

Przeglądała właśnie domowy przewodnik lekarski, podświadomie wyczuwając obecność drugiej osoby niedaleko, gdy usłyszała znajomy, pozbawiony akcentu głos.

- Wolisz beletrystykę, Anoushko, czy nie?

Unosząc wzrok, ujrzała Kressa Retku, stojącego parę kroków dalej. Nie rozpoznała go wcześniej kątem oka, bo dziś miał na sobie białą koszulkę i zielone spodnie moro. Koszulkę ozdabiało rysunkowe logo popularnego parę lat wcześniej zespołu, Tikkihotto grających na przesadnie długich ocznych mackach jak na strunach gitar. Wciąż jednak miał na twarzy czarne gogle.

Uśmiechnęła się.

- Cześć, uhm... nie, wolę literaturę.

- Ja też. Przepraszam, że nie sprawdziłem żadnego z autorów, których polecałaś poprzednio. Może przed wyjściem zechcesz zapisać mi ich nazwiska?

- Oczywiście. A ty... może zapiszesz mi parę nazwisk pisarzy Tikkihotto tłumaczonych na angielski?

- Jasne. Choć naturalnie tracą wiele ze swej głębi.

- Jesteś trochę snobem, jeśli chodzi o język Tikkihotto - rzuciła żartobliwym tonem. - Angielski w porównaniu z nim musi być strasznie płytki.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Coś bardzo złożonego i wielopoziomowego po angielsku, na przykład „Błady ogień” Nabokova bardzo do mnie przemawia. No i są oczywiście popularni pisarze Tikkihotto, tacy jak Jekee K'Lenz, która używa naszej wielowymiarowej mowy, wypełniając książki hordami papierowych postaci, dziesiątkami idiotycznych wątków jak z mydlanek.

- Czy język mówiony Tikkihotto jest równie złożony jak pismo?

- Nie... o dziwo są bardzo różne. W końcu mamy wiele oczu, nie języków.

Anoushka słyszała szeptane pogłoski o Tikkihotto i myśl o zmysłowych możliwościach wielu języków przypomniawszy jej. Zastanawiała się, czy to może mit, coś jak ten, że kobiety Wschodu mają poprzeczne pochwy.

Podobno jednak mężczyźni Tikkihotto wsuwali czasem swe włókna optyczne w najróżniejsze otwory ciała swych kochanek, pobudzając tak je, jak i siebie oglądaniem z niezwykle intymnej perspektywy. Myśl ta budziła w Anoushce głównie przerażenie. Głównie.

- Jadłaś już lunch? - spytał, nerwowym gestem odgarniając za ucho długie włosy.

- Prawdę mówiąc, tak...

- Och... Ja tylko... A może chciałabyś gdzieś wyskoczyć na kawę? Jeśli nie dziś... to kiedy indziej.

Gdyby spytał ją o to pierwszego dnia, wykręciłaby się. Dziś nieśmiało spuściła wzrok i wzruszyła ramionami, lecz jej zęby błysnęły w uśmiechu.

- Jasne. Byłoby miło.

- Świetnie. Pogadamy o książkach, co? Oneek w tym czasie zajmie się sklepem. Ale najpierw rozejrzyj się spokojnie, Anoushko. Nie chciałbym cię ponaglać.

- Dobra - rzekła. - Poszukam cię, kiedy będę gotowa.

- Świetnie - powiedział i uśmiechnął się szeroko. - Dziękuję.

Siedzieli w małej szklarni-atrium, dobudowanej do frontu starego ceglanego budynku, którego parter przerobiono na kawiarnię. Sącząc kawę, niemal nie dostrzegali najróżniejszych przechodniów, śmigających tam i z powrotem niczym barwne ryby w olbrzymim akwarium. Dyskutowali na temat mistycyzmu, porównując ziemską ideę siedmiu czakr z pięcioma wewnętrznymi kołami siły życiowej Tikkihotto. Kress z entuzjazmem opowiadał o niegdyś posiadanym, pierwszym wydaniu mistycznego i kontrowersyjnego dzieła autora Tikkihotto, *Skretu: Żyły Przedwiecznych*. Sprzedał je jednak właścicielowi Dove, innej księgarni, o której Anoushka wcześniej nie słyszała, za pięć tysięcy miednostek, po to by móc sfinansować Księgarnię Retku.

- Ciężko pracowałem, żeby ją otworzyć - rzekł, odwracając w końcu głowę i przyglądając się pojazdowi omijającym ich szklany pęcherz. Anoushka ujrzała ruch uliczny, odbity w obsydianie jego soczewek, i zapragnęła zapytać, dlaczego ich nie zdjął. Choć jednocześnie nie chciała o to pytać. Nie chciała ujrzeć wzrokowych włókien, które raz na zawsze dowiodą, że jej towarzysz należy do obcej rasy. -

Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogę ją stracić - podjął.

- Czemu miałbyś ją stracić? Tak trudno jest zarobić na czynsz? Masz za mało klientów?

- Wkrótce przestanę sobie radzić. Owszem, mam dwie pracownice, ale wątpię, by stanowiły wystarczającą pomoc.

- Potrzebujesz więcej, ale nie stać cię na ich pensje?

- Nie. - Kress odwrócił się do niej i ujrzała w goglach swe bliźniacze odbicia. - Ja ślepnę.

- Ty...? - Anoushka wyprostowała się lekko, patrząc na Kressa w zupełnie nowym świetle. - Tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

- Nic nie szkodzi. - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Powiódł wzrokiem po innych klientach kawiarni. Byle tylko na nią nie patrzeć. Zupełnie jakby się wstydził, jakby się przyznał do impotencji.

- Jak dobrze teraz widzisz? - spytała.

Czy była próżna, zastanawiając się, jak dobrze widział ją?

- Widzę co najmniej równie dobrze jak ty. Z ich pomocą.

- Poglądził palcem krawędź soczewki obok pokręteł i przycisków kontrolnych. - Nadal jestem w stanie odebrać większość znaczeń naszego języka pisanego. Ale nie wszystkie. A choroba postępuje...

- Przecież ktoś musi być w stanie coś zrobić! Musi istnieć operacja... przeszczepy organiczne... nieorganiczne implanty... klonowanie regeneracyjne...

- Owszem, istnieją lekarstwa, właściwie na wszystko. Pozostaje kwestia, czy jesteś w stanie za nie zapłacić. Poważniejsza procedura byłaby bardzo skomplikowana i niezwykle kosztowna. Większość firm ubezpieczeniowych zniechęcałaby do niej. A ja w ogóle nie mam ubezpieczenia zdrowotnego.

- O Boże, Kress, tak mi przykro... To straszne.

- Taki los. - Znów wzruszył ramionami.

Widziała, że nie jest to przyjemny temat i że jego humor szybko gaśnie.

- Ale sytuacja nie jest beznadziejna, prawda? Gdybyś pewnego dnia zdołał zdobyć pieniądze... wykupić właściwe ubezpieczenie...

- Nigdy nie będę bogaty, Anoushko. Wiążę koniec z końcem, robiąc coś co kocham. Czy można liczyć na więcej? Gdybym chciał więcej, tylko bym się zadreczał. Zamierzam pogodzić się z moim życiem i z tą chorobą.

- Istnieje różnica między pogodzeniem się a fatalizmem. Poddaniem.

- Nie pracowałem tak ciężko tylko po to, żeby się poddać - niemal warknął. - Nie mówiłem, że się poddaję.

- Zdawało mi się, że to sugerujesz - mruknęła Anoushka.

Kress westchnął i pokręcił głową.

- Przepraszam, Anoushko. Przepraszam, że się tak zachowuję.

- Rozumiem. I nie winię cię. To niesprawiedliwe.

- Na razie czytam, ile tylko mogę i póki mogę. Na wypadek gdybym nie zdołał tego zmienić.

- Istnieją jeszcze książki audio - podsunęła słabo Anoushka i poczuła się głupio. Wiedząc, jak to zabrzmiało, zażartowała: - Choć przy tak cudownie skomplikowanym języku pisanim przypuszczam, że potrzebowalibyście pięciu narratorów czytających jednocześnie, by uchwycić wszystkie warstwy, których brak angielszczyźnie.

Parsknął śmiechem.

- Ja ci poczytam - oznajmiła poważniejszym tonem.

Kress uniósł głowę, gogle na jego twarzy wyglądały jak puste oczodoły.

- Naprawdę?

- Tak. - Przełknęła nerwowo ślinę, ale udało jej się nie odwrócić wzroku.

Patrzyła wprost w jego niewidzialne oczy, które niegdyś wyobrażała sobie jako błyszczące i czarne, jak jej własne.

- W takim razie ja też ci poczytam - oznajmił. - Chciałbym poczytać ci trochę Tikkihotto. Dopóki mogę.

- Będzie mi bardzo miło.

- Cieszę się, że poznałem cię teraz, Anoushko - powiedział bardzo cicho Kress. - Kiedy wciąż mogę widzieć, jaka jesteś piękna.

Nie wiedziała, co na to odrzec, więc tylko uśmiechnęła się czule.

Samotna w małym mieszkaniu, po dniu kiedy klient w aptecce nazwał ją durną krową, bo wciąż nie przysłano jego leków, Anoushka zasnęła i przyśnił jej się dziwny sen. Wybrała się do dzielnicy Tikkihotto na spotkanie z Kressem... ale we śnie księgarnia nie mieściła się na piętrze, lecz na parterze. Drzwi nadal były czerwone, błyszczące, ale gdy je otworzyła, ujrzała puste pomieszczenie, opróżnione, wypatroszone, pozbawione światła. Wróciła na ulicę, jakby z nadzieją, że dostrzeże Kressa zmierzającego gdzieś szybkim krokiem, zanim zniknie jej z oczu. Ktoś ujął ją pod rękę i obróciła się gwałtownie, zaskoczona. To była jej drobniutka matka. Patrzyła z powagą na Anoushkę. Stojący za jej plecami ojciec krzywił się gniewnie.

- Wracaj do domu - poleciała matka.

- Chcę tu pracować - oznajmiła Anoushka, stając przy ladzie.

- Będziesz musiała wypełnić podanie. - Kress zachichotał, nie odrywając wzroku od leżącej przed nim otwartej książki.

- Mówię poważnie, Kress.

Uniósł głowę.

- Noush... nie stać cię na rzucenie posady w aptecce. Mnie

nie stać na to, by ci zapłacić tyle, ile tam zarabiasz.

- Chcę pracować na pół etatu. W weekendy. Przyda mi się dodatkowy dochód. I będę mogła ci pomóc.

- Kiedy już sam sobie nie poradzę?

- Mówiłeś, że będziesz potrzebować ludzi, żeby wszystko działało jak należy.

Przyglądał jej się kilka długich sekund.

- Jestem wdzięczny za to co robisz, ale...

- To nie jałmużna.

- Ale ci mnie żal.

- Nie lituję się nad tobą, Kress. I chyba mam prawo się martwić?

- Anoushka...

- Nie chcę patrzeć, jak zamykasz sklep, i nie chcę, żebyś zrezygnował z czegoś tak dla ciebie ważnego.

Kress rozejrzał się po księgarni. Kręciło się w niej tylko kilkoro klientów. Wiedziała, że nigdy nie ma tu zbyt dużego ruchu. Zarabiał dosyć, by utrzymać się na powierzchni, nie więcej. Kiedy znów na nią spojrzął, zniżył głos do szeptu.

- Chcę się z tobą związać.

Skinęła nerwowo głową.

- Ja też tego pragnę.

- Ale wiesz, że twoi rodzice nie.

- To prawda.

- Szczerze mówiąc, moi także nie będą zachwyceni.

- Po prostu będą musieli przywyknąć.

- I nie widziałaś mnie bez okularów.

Na to nie miała odpowiedzi.

Nie ukrywał przed nią faktu, że jest Tikkihotto, ukrywał natomiast grożącą mu ślepotę. Mimo to Anoushka pojęła, że łatwiej było jej pogodzić się z chorobą niż z faktem, że należał do rasy obcych. Z przerażeniem myślała o chwili, kiedy ujrzy go bez gogli. Ale wiedziała, że nie może dłużej jej odkładać.

- Zdejmij je - poprosiła. - Chcę cię zobaczyć.
- Będę wyglądał brzydko.
- Czy moje oczy są dla ciebie brzydkie?
- Nie. Twoje oczy są śliczne.
- Może więc twoje oczy będą śliczne dla mnie.
- Mówisz tak, ale widzę strach na twojej twarzy. Potrafię odczytać na niej warstwy znaczeń, tak jak w naszym języku.

- Zdejmij gogle, Kress.

- To pewnie nieuniknione - mruknął, unosząc rękę.

Nacisnął przycisk i małe czerwone lampki po drugiej stronie zgasły. Gogle odpadły od twarzy.

Anoushka mimo woli głośno wciągnęła powietrze.

- Są chore - przypomniał jej, a potem dodał: - Przykro mi.

Jego włókna optyczne były równie liczne jak u zwykłych Tikkihotto i falowały niczym macki morskiego anemonu. Z początku grubsze, cofnięte, by mieścić się lepiej pod okularami, wkrótce wydłużyły się i wysmukły.

Włókna nie były jednak przezroczyste, tylko szare, niemal czarne. Oczy Anoushki zasnuły łzy. Musiała odwrócić wzrok. Teraz to ona powiedziała:

- Przykro mi.

- Nie będę miał pretensji, jeśli nie zechcesz się więcej ze mną spotkać - rzekł. - Tak czy inaczej... - Zaczął zakładać gogle.

- Nie - powiedziała, zmuszając się, by znów na niego spojrzeć.

- To nie tylko choroba, Anoushko. Nawet gdyby były zdrowe, budziłyby w tobie wstręt.

- Po prostu będę musiała do nich przywyknąć.

Okrzyknęła ladę. Obok Kressa stało drugie krzesło, na wypadek gdyby musiała tam usiąść druga kasjerka, choć rzadko pojawiała się taka potrzeba. Przysunęła je bliżej.

- Bez gogli nie widzę cię tak dobrze - rzekł, jakby

szukając pretekstu, by się za nimi ukryć.

- Na razie zostaw tak jak jest. - Uniosła książkę, którą przyniosła ze sobą tego popołudnia. - Chcę ci poczytać.

Kress uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Zgoda.

Zamknął książkę. Zauważyła, że musiał ją namacać.

- To wiersze Rabindranatha Tagore. Był Hindusem.

- Jakoś zgadłem.

- Ciii.

Kiedy czytała, do lady podeszło kilku klientów. Anoushka przyjęła pieniądze. Kress mówił co ma robić, wciąż nie zakładając gogli. W końcu zostali sami. Zniżające się, wieczorne słońce rzucało długie, słabe smugi światła na miodowe deski podłogi, podczas gdy Anoushka czytała:

„Kiedyś dałeś mi

W pożyczce dla mych oczu

Światło bez końca”.

BIBLIOTEKA SMUTKÓW

MacDiaz już dawno odkrył, że nic, co mógł mu powiedzieć morderca podczas przesłuchania, nie ujawniało tak wiele jak wystrój jego mieszkania. Niektórzy okazywali się nudni, konwencjonalni, nie mieli w swych mieszkaniach niczego prócz pary czy dwóch pamiątkowych majtek; zabijali jak najprościej, na przykład strzałem w głowę. Inni byli znacznie bardziej pomysłowi, wręcz kapryśni, tak w upodobaniach estetycznych, jak i metodach mordowania ofiar. Ci ludzie zarówno fascynowali MacDiaza, jak i go przerażali. W porównaniu z nimi poprzedni przypominali rekiny, bezmyślnie zaspokajające dręczący je głód. Ci natomiast byli jak artyści, chirurdzy, bardzo czarni komicy w jednym ciele. I gdy tylko MacDiaz znalazł się na miejscu zbrodni, potrafił określić, czy zabójca należy do typu artystycznego.

Ściany salonu pokrywały czaszki ludzi, zwierząt i obcych (czasami te ostatnie dwie kategorie trudno było odróżnić od siebie; w kolonii Punktown spotykało się więcej gatunków, niż przeciętny obywatel może poznać przez całe swe życie). Następnie wyłożono je płachtami błyszczącego czarnego plastiku, który oblepił próżniowo czerepy, nadając im wygląd obsydianowych skamielin.

- Nie sądziłem, że sam mógł zdobyć wszystkie te czaszki - poinformował Knickers, dowodzący mundurowymi przed przybyciem MacDiaza. - Uznałem, że większość kupił z katalogów medycznych albo na czarnym rynku... dopóki nie zajrzałem do sypialni.

Cóż, MacDiaz uznał to za sugestię, żeby zbadać pokój. Tak czy inaczej, nie musiał dłużej przyglądać się niemal muzealnej wystawie: obrazy zapisały się już nieodwracalnie w

jego umyśle i mógł swobodnie odtworzyć je później. Miał fotograficzną pamięć, prawdziwe muzeum fotografii - zawierające więcej czaszek, niż zdołał zgromadzić nawet ten kolekcjoner.

Prowadząc MacDiaz korytarzem, Knickers relacjonował, że zabójca poddał się bez walki i że to trzydziestotrzyletni bibliotekarz z paxtonskiego konserwatorium. Na piersi miał wytatuowaną boginię Kali: żółty tusz jej oczu świecił tak jasno, że gość musiał zaklejać je ciemną taśmą, by nie prześwitywały przez ubrania w pracy. MacDiaz uznał, że po surowym pięknie salonu brzmi to strasznie kiczowato. Może jednak zabójca dał się wytatuować w młodości. Tymczasem dotarli już do sypialni.

Tu wystrój i ofiary stanowiły jedność. MacDiazowi pomieszczenie skojarzyło się natychmiast z mroczną jaskinią, z której sklepienia zwisa gęszcz stalaktytów. Naliczył trzynaście nagich męskich ciał, zwróconych do niego plecami, podwieszonych u sufitu. Z początku sądził, że zostali normalnie zawieszeni, a ich głowy skrywa cień. Potem jednak przekonał się, że sufit tworzy ciężka ciemna ciecz, falująca lekko, być może poruszana subtelnym kołysaniem zawieszonych trupów... albo vice versa. Głowy i szyje ciał wsunięto w ów płynny sufit i tak je zostawiono. Może to płyn, a może coś innego w tym pokoju zakonserwowało ciała tak, że w żadnym proces rozkładu nie posunął się zbyt daleko; MacDiaz zauważył jedynie lekkie wydęcie i odbarwienia dolnych kończyn w miejscach, gdzie osiadła krew. Lecz ciało i członki pozostały giętkie. Nie dotknął jednak żadnej z ofiar.

Zaczął kluczyć między nimi, odchylając głowę i starając się nawet nie otrzeć o rozkołysane zwłoki. Przyglądał im się od przodu, rejestrował tatuaże i kolczyki, modne, rytualne blizny i piętna świadczące o tym, że część ofiar to byli studenci, być może konserwatorium. Jego oczy fotografowały

wszystko, a kiedy uznał, że wystarczy, polecił Knickersowi i jego ludziom, by zdjęli któregoś.

Mieli z tym pewne trudności; w istocie, kiedy ciało uwolniło się nagle, funkcjonariusze polecieli na ziemię, a ono runęło na nich. Nie miało głowy. Przez jedną, irracjonalną chwilę MacDiaz pomyślał, że szarpnęli za mocno i głowa pozostała w dziwnym suficie. Wkrótce przekonali się jednak, że wszystkim ciałom obcięto głowy. Jedynie szyje utrzymywały je bezpiecznie w atramentowoczarnej cieczy. MacDiaz dowiedział się później, że wiele z czaszek z salonu istotnie należało do ofiar.

Kilka godzin później, kiedy zabrano ostatniego młodego nieboszczyka, MacDiaz ponownie stanął w salonie. Na stoliku zauważył futerał ze skrzypcami. Czy zabójca był sfrustrowanym muzykiem, który grywał swym czaszkom, być może nagi, ze łzami płynącymi po policzkach, porwany pięknem muzyki i zachwyconymi spojrzeniami skamieniałych wielbicieli? Detektyw podszedł szybko do okna i odciągnął ciężkie czarne zasłony. Światło dzienne przyniosło ulgę. Otworzył okno, wpuszczając do środka chłodne powietrze i wypuszczając zebraną w sobie truciznę. Przed nim rozciągało się miasto, warstwy blednącej szarości, gęste stalagmity, odpowiadające stalaktytom sypialni, skażona rafa koralowa rojąca się życiem. Lotowozy śmigały we wszystkie strony niczym ławice ryb. Roje much nad wielkim zamglonym truchłem Punktown.

Zmusił się do przegnania z umysłu wizji zabójcy grającego na skrzypcach, ale nie mógł go wymazać: małe chip podłączony do mózgu sprawiał, że pamiętał nie tylko wszystko co widział, ale też to, co myślał i sobie wyobrażał. Mógł zapisać w obraz i pozostawić tam, w teorii nigdy więcej nie musiał go oglądać, chyba że zaczęłby grzebać w swym myślowym archiwum w poszukiwaniu akurat tej wizji. W

rzeczywistości jednak obrazy pojawiały się w jego głowie z własnej woli. Gdy leżał w łóżku, widział je wyświetlane na wewnętrznej powierzchni powiek, a kiedy otwierał oczy, pojawiały się na ciemnym suficie sypialni. Perwersyjne sprzężenie zwrotne. Podświadomość przywoływała obrazy, podczas gdy świadomość pragnęła się od nich odwrócić. Zupełnie jak obgryzanie paznokcia aż do krwi; nie jest to coś, co robimy świadomie. W dzieciństwie skubał strupy i zjadał oderwaną martwą skórę, po czym ze zgrozą patrzył na wzbierającą w rankach krew i ją także wysysał, jak spragniony. Przywoływanie obrazów było niczym potrzeba zabicia człowieka. Wezwanie, któremu musiał się poddać, bez nadziei na nieposłuszeństwo.

Columbarium - tak nazywał się całodobowy dom opieki, który MacDiaz odwiedzał raz w tygodniu, żeby zobaczyć się z matką. Dodatkowo dzwonił do niej raz czy dwa na tydzień. W urodziny bądź święta zabierał do niej żonę i dwoje małych dzieci. Kiedyś jego młodsza córka obudziła się z krzykiem i wyjaśniła zapłakana, że śniło jej się, że tkwi uwięziona w łóżku babci razem z nią, tyle że babcia nie żyła, a ona nie mogła się wydostać. Prosiła, by pozwolili jej spać ze sobą. MacDiaz przytulił ją, wbijając wzrok w ciemny sufit i oglądając przepływające po nim obrazy. Jego matka - młodsza, uśmiechnięta, taka ładna... Gęste rude włosy, którymi w dzieciństwie bawił się niemal obsesyjnie, nawijając kosmyki na palce...

Jedna z technicznych spytała, czy ma zaprowadzić go na miejsce. Odparł, że nie trzeba. Zaoferowała się jednak, że zadzwoni do pani MacDiaz, by dać jej znać, że przyszedł do niej syn. Gdy to zrobiła, MacDiaz podziękował krótko i ruszył w głąb znajomych korytarzy, ozdobionych banalnymi obrazami. Jego buty skrzypiały na zbyt jasnej podłodze.

Matka miała numer 3-33, łatwy do zapamiętania, ale i tak znał drogę na pamięć. Implant zapisał każdą najdrobniejszą plamę na podłodze bądź tynku, każdy wiszący na ścianie, sztampowy, pseudoimpresjonistyczny landszaft. Zadrapania i odpryski farby na każdej z szuflad zamontowanych w rzędach po trzy. Dotarłszy do szuflady opisanej 3-33, zatrzymał się, patrząc z wahaniem. Mieściła się w najwyższym rzędzie. Nie wziął sobie składanego krzeselka z jednego z dystrybutorów rozmieszczonych między grupami skrytek, bo rzadko potrafił się zmusić, żeby zostać dość długo. Nie musiał się obawiać, że inni goście będą go poganiać, niecierpliwie czekając na dostanie się do dolnych szuflad, bo w tej części korytarza był zupełnie sam.

W końcu nacisnął guzik i powiedział:

- Cześć, mamó, to ja.

Następnie uniósł zatrzask i wysunął gładko szufladę z zagłębienia w ścianie, opuszczając ją na wysięgnikach na wysokość pasa.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała słabym uśmiechem, ledwie widocznym przez pęcherz. Jej hełm, przez który rozmawiała z nim, kiedy dzwonił, i w którym wraz z innymi mieszkańcami domu opieki całymi dniami oglądała filmy, seriale, talk-show i teleturnieje, uniósł się, by mogła go zobaczyć na własne oczy. Musiała je zmrużyć, przywykając do światła. Wyglądała jak szkielet; wątpił, czy gdyby nawet uwolnił ją ze szklanego sarkofagu, zdołałaby przejść choćby parę kroków. Jej twarz wyglądała jak czaszka, ledwie osłonięta skórą. Pomyślał o czaszkach w niedawno oglądanym mieszkaniu. Na głowie pozostało zaledwie parę mizernych kosmyków siwych włosów, szare macki ducha, próbującego się wyzwolić, lecz uwięzionego w pęcherzu.

- Co oglądałaś? - spytał.

Wiedział, że uwielbia filmy, i podzielał tę pasję.

- Program ogrodniczy - dobiegł z głośnika jej skrzypliwy głos.

- Nie wchodzisz już do sieci, mamó? To by ci dobrze zrobiło, mogłabyś rozmawiać z ludźmi...

- I okłamać jakiegoś młodzika, że jestem biuściastą, rudowłosą seksbombą? - zażartowała. - Jestem zbyt zmęczona na rozmowy. Wolę oglądać filmy... patrzeć jak inni mówią. Wypróbowałam parę kanałów VR, ale jestem zbyt zmęczona, nawet jako duch w maszynie. Chcę tylko patrzeć, nie robić. Jestem taka zmęczona... stale zmęczona...

MacDiaz często wyobrażał sobie, jak czuje się matka, kiedy wsuwa ją z powrotem w głąb ściany, samotną, w cylindrze podtrzymującym życie, jej łonie, zagubioną w wideomarzeniach. Niezdolną do ucieczki. Sądził, że to rozumie. Lecz w pewnym sensie ona sama skazała go na to. Wraz z ojcem zdecydowali, że w dzieciństwie zostanie mu wszczepiony chip. Miał dać mu większe szanse powodzenia w życiu, zapewnić lepszą pracę, pozycję w świecie, w którym wszyscy ze sobą konkurują i technologia jest dostępna dla każdego... kogo na to stać. Nie miał wyboru, ostatecznie słowo należało do rodziców, tak jak w dawnych czasach decyzja o obrzezaniu. Lecz uwięzienie żywcem w tym cylindrze nie było jego zemstą. Nakazało to prawo, któremu służył. Gdyby mógł, w tej chwili rozdarłby pęcherz i odciął wijące się przewody tak, by w końcu odnalazła prawdziwy spokój.

- Jak się miewają dziewczynki? - spytała, poruszając swój ulubiony temat, i opowiedział jej.

Czasami przynosił ze sobą vidy z ich zabaw bądź wakacji. Na szczęście nie spytała go o pracę. Rodzicom nie spodobało się to, że został policjantem, i wolał jej nie mówić, jak wielki sprawia mu ból. Nie mówić, że sam już nie wie, ile jeszcze wytrzyma, że czas nie polepsza sytuacji, tylko ją pogarsza, bo z każdym dniem ogląda kolejne okropności i

jego umysł zaczyna pękać pod naporem obrazów, które nigdy nie znikają, jedynie przepychają się, walcząc o pierwszeństwo. Że wewnątrz jego czaszki to jedno wielkie miejsce zbrodni, bezkresne, ciągnące się na wszystkie strony aż po krwawą nieskończoność.

Siedział przy kuchennym stole, ze szklanką soku pomarańczowego. Parę minut temu żona przydreptała z sypialni, sprawdzając, czy dobrze się czuje. Łagodnie odesłał ją do łóżka. Dzisiejszego wieczoru kochali się. Jak miał jej powiedzieć, że ostatnio podczas aktu coraz częściej przywołuje wspomnienie innych miłosnych nocy sprzed dziesięciu lat, gdy była smuklejsza, ładniejsza, w pełni rozkwitu? Zupełnie jakby zdradzał ją z jej wcześniejszą wersją. Zdarzało się też, że wspominał noc spędzoną z dawną dziewczyną z college'u. Albo też - zupełnie jakby stała mu przed oczami - obcą nastolatkę, która czekała przed nim w kolejce w wesołym miasteczku, gdy miał trzynaście lat, a on wpatrywał się w jej długie nogi, gładkie jak u lalki, i obcisłe szorty, podkreślające pośladki.

Było to słodkie wspomnienie, nie tylko zmysłowe - pamiętał migotanie słońca w jej długich włosach w rzadkim odcieniu blondu, a także skórę nóg i odbijające się w niej złote połyski. Jednakże wydawało się zbyt oczywiste, zbyt bliskie, tak że konkurowało z rzeczywistością dnia dzisiejszego, chwilą obecną, sprawiając, że czuł się zagubiony. Zabłąkany wewnątrz siebie. Powinien już przywyknąć do tych wspomnień: od ponad trzydziestu lat nosił w głowie chip. W dzieciństwie jego umysł był przestronny i miał w nim osobny pokój, który pozwalał mu utrzymywać wspomnienia na dystans i oglądać z właściwej perspektywy. Teraz jednak ten dom się wypełnił i zamienił w przechowalnię, magazyn o oknach przesłoniętych stertami śmieci i obrazami znacznie

bardziej przerażającymi niż wszystko, co wyobrażał sobie w dzieciństwie czy nawet jako początkujący glina. Im więcej czasu upływało i im więcej gromadził w głowie natychmiast dostępnych życiowych przeżyć, tym bardziej czuł się z nimi obco.

Nawet w tej chwili ujrzał przed sobą obraz złotej dziewczyny, po prostu dlatego, że doprowadził go do niej łańcuch skojarzeń. Gniewnie przegonił ową wizję i, by czymś ją zastąpić, zaczął grzebać w myślach w aktach kolejnych spraw. Wybrał jedno i położył na biurku przedmózgowia.

Właściwie to smutne, że musiał przepędzić ducha jasnowłosej, gładkoskórej dziewczyny widmem gangstera, któremu rytualnie strzelono w oczy. Siedział tam jednak dalej, popijając sok pomarańczowy i powoli chłonąc wszystkie detale miejsca, gdzie go znaleziono. Ujrzał nawet ponownie swoją własną twarz, ciemne odbicie w kałuży krwi rozlewającej się pod strzaskaną czaszką dzieciaka.

MacDiaz przybył na miejsce zbrodni minutę po mundurowych, toteż nie odkryli jeszcze wszystkich ciał. Ujrzał kątem oka nagi szkielet na dywanie w salonie, a potem wdarł się dalej, w głąb starego mieszkania o wielkich pomieszczeniach i wysokich sufitach. Dobyta broń prowadziła go jak pies przewodnik. Zauważył, że rolety są zaciągnięte, podobnie zasłony, tak że wewnątrz panowała niemal kościelna atmosfera. I śmierdziało. Podczas gdy mundurowy wpadł do jednej z sypialni, MacDiaz nacisnął klamkę sąsiedniej.

Drzwi ustąpiły zaledwie parę cali. Czyżby ktoś opierał się o nie z drugiej strony? A może je zabarykadował? MacDiaz uskoczył w bok, na wypadek gdyby tamten zdecydował się strzelić przez panele, i spróbował zajrzeć do środka przez szczelinę. Ujrzał wyłącznie ciemność. Cóż, co miał robić? W jego płaszcz i kamizelkę wpleciono dość siatki ochronnej, by

zatrzymać połowę dostępnych pocisków i promieni. Cofnął się zatem odrobinę, nabierając rozpędu, a potem zaatakował ramieniem drzwi. Ustąpiły częściowo z głośnym trzaskiem i zgrzytem, a potem znów się zacięły. MacDiaz zamienił się w ruchomy cel, wbiegając do środka z wysuniętą na oślep spluwą.

Jego stopy zachręściły na nierównej powierzchni i o mało nie upadł. Na podłodze, tuż przed drzwiami leżało ciało, niemal równie wychudzone jak tamto w salonie, lecz nadal pokryte odrobiną skóry. Nie zauważył nikogo innego - pod łóżkiem, w szafie. Zapaliwszy światło, skupił uwagę na trupie - miał ogromną ochotę sprawdzić, czy jego głowa jest naprawdę tak duża jak wydawała się w półmroku - bo to właśnie ją strzaskał drzwiami i zmiażdżył stopami.

Rozbłysk światła przepłoszył rój owadów. Zaskoczony i zbrzydzone, MacDiaz poczuł irracjonalne pragnienie, by wycelować do nich z broni. W tym samym momencie zrozumiał jednak, że to nie głowę trupa zmiażdżył i że umykające stworzenia to nie owady.

- No super - syknął.

Należeli do rasy zwanej Mee'hi i wiedzieli, że nie powinni zabijać przedstawicieli innych ras inteligentnych po to, by się nimi żywić i budować gniazda. Ostrzegano ich już kilkakrotnie i zagrożono wypędzeniem z tego świata. Głowa wychudzonego człowieka, zamieniona w gniazdo, wyglądała jak zamek z piasku wzniesiony z czarnej wydzieliny, miniaturowe miasto, mikrokosmos Punktown o potrzaskanych i zmiażdżonych, prymitywnych, lecz delikatnych iglicach i minaretach. Budowla przesłoniła też twarz trupa, widać było tylko usta, wykrzywione w upiornym, żółtym uśmiechu.

- Do diabła z wami - warknął MacDiaz pod adresem umykających stworzeń.

Bez wątpienia będą się awanturować, twierdząc, że

rozdeptał ich pobratymców. Cóż, jego oczy zarejestrowały całą scenę, w razie konieczności można było wypreparować wspomnienie i pokazać przysięgłym, że do zabójstwa doszło przypadkiem. Dręczyła go jednak myśl, że właśnie zabił więcej istot niż kilkunastu morderców razem wziętych.

- Hej, chłopcy! - zawołał do mundurowych. - Chodźcie tutaj! Obawiał się, że Mee'hi uciekną przez szpary i szczeliny w murach.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ich wyłapać.

Nagle tuż obok rozległ się głos i wzrok zaskoczonego MacDiaza powędrował natychmiast ku postaci na podłodze. Nie potrafił stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna. Ujrzał jednak, jak jej palce zginają się niemal niedostrzegalnie, a pomiędzy zaciśniętych zębów dobiegł niski, przeciągły odgłos, jakby nagrania puszczonego na bardzo zwolnionych obrotach. Nieszczęsny stwór nadal żył, Mee'hi nie wyssali z niego jeszcze wszystkich soków. Może nawet sądził, że umarł i leżał z oczami zaklejonymi czarną żywicą, dopóki MacDiaz nie wpadł do środka i nie obudził tej istoty.

Żalсна potworność. Przez kolejną irracjonalną chwilę MacDiaz miał ochotę przycisnąć pistolet do porośniętej czernią czaszki i zakończyć cierpienia stwora. Ale już dołączyli do niego mundurowi. Teraz mógł tylko się modlić, by po uwolnieniu od gniazda, które zarówno zabijało nieszczęśnika, jak i utrzymywało go przy życiu, ten mógł w końcu odnaleźć prawdziwą śmierć.

Matka słabła. Jakaś część jego przyjęła to z ulgą, choć okazała się mniejsza niż przypuszczał. I podczas gdy kiedyś czuł wyrzuty sumienia - żywiąc w sekrecie nadzieję, że matka szybko umrze - teraz się wstydził, bo w głębi ducha liczył, że pozostanie przy życiu.

Tym razem, kiedy złożył jej wizytę, spojrzała na niego z głębi pęcherza. Jej oczy wyrażały podejrzliwość, może nawet strach, jak gdyby przyszedł do niej, by ją zamordować. Podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- Kim jesteś? - spytała ostro. - Czego chcesz?

- Jestem Roger, twój syn - odparł MacDiaz i rozejrzał się po pokoju.

Czy mogliby zwiększyć dawki leków? Wstrzyknąć coś w jeden z małych otworów w ścianie, skąd dotarłoby do najpierw sztucznego, a potem prawdziwego krwioobiegu i choćby tymczasowo przywróciło jej jasność myślenia, przywołało z mrocznego labiryntu mózgu zabląkaną w nim kruchą duszę?

W końcu jednak zaczęła myśleć jaśniej - może właśnie obudziła się z drzemki, a może jego twarz przebiła się przez spowijającą ją mgłę, bo naraz przypomniała sobie kim jest. Niestety, głos miała piskliwy jak dziecko i co parę minut pytała, kto opiekuje się jej suczką, Lady, która zdechła pięć lat wcześniej.

Wędrując do wyjścia, czuł ogromne zmęczenie; w końcu zasnęła, a on został jeszcze chwilę, by po prostu na nią popatrzeć. Gdy MacDiaz szedł korytarzem, starszy mężczyzna podszedł do niego, szurając nogami, i lekko dotknął jego ramienia; w oczach miał łzy. Przez moment MacDiaz zastanawiał się czy może tamten nie uciekł z jednej z szuflad.

- Przepraszam - jęknął starszy pan - nie mogę znaleźć żony. Jest w jednej z tych... ale nie mogę jej znaleźć. Nie pamiętam numeru.

MacDiaz zaprowadził go do recepcji i zostawił z techniczną, która wkrótce odnajdzie numer żony w swojej bazie. Odchodząc, czuł jednak niemądrą obawę, że zamiast znaleźć szufladę żony, zamkną w nowej męża.

We śnie MacDiaz żył, został jednak odurzony narkotykami albo zahipnotyzowany, może oszołomiony ciosem i teraz ktoś włókł go nagiego przez ciemne mieszkanie do pokoju, w którym sufit zamienił się w łagodnie falujący staw, zbyt ciemny, by dało się przeniknąć go wzrokiem. Z owego stawu zwisały inne nagie postaci, dyndające niczym płaszcze w szafie... czy raczej truchła na hakach w rzeźniczej chłodni. Z sapnięciem wysiłku mroczna postać, która go wlokła, teraz dźwignęła go i z trudem wepchnęła głowę MacDiaza w ów lodowaty, falujący staw.

Wisiał tam, patrząc ślepo w czarną otchłań. Stopniowo jednak jego wzrok zaczął przywykać, a w istocie z oczu wystrzeliły dwa żółte promienie - jak z oczu Kali, pomyślał we śnie. Z początku obrazy były niewyraźne: blade, roztrzepotane kształty, szare, chwiejne sylwetki... Daleko, tam gdzie nie sięgały jego promienie światła. Stopniowo jednak owe cienie zbliżały się, omiatane promieniami przesuwanymi się krętą ścieżką i padającymi to na jeden, to na drugi. Postaci podeszły jeszcze bliżej, ukazując wreszcie swój katastrofalny, widmowy stan. Ofiara samobójstwa z twarzą rozsadaną od wewnątrz po strzale z dubeltówki. Kobieta o umytej piersi, jaśniejącej niczym biała chusta pokryta kaligrafią klutych ran... mnóstwem czarnych kreseczek skupionych tak blisko, że przypominały rój żywiących się nią owadów. I wtedy zrozumiał, że widzi przed sobą krainę umarłych, choć sam nadal żyje, mimo że pozostałe ciała, pośród których wisiał, straciły głowy i nie widziały niczego. Był sam, przerażony, bezradny, nie mógł się uwolnić... i co najgorsze, nie odkrył żadnych tajemnic, owa wizja nie niosła żadnego oświecenia. Oglądał tylko to, co sam widział wcześniej, tyle że unieśmiertelnione w otchłani, w której nigdy nie zblaknie, w której zmarli nie odnajdą spoczynku.

Obudził go ostry ból tuż pod lewym okiem. Instynktownie pacnął to miejsce ręką. Usiadł na łóżku i sięgnął do nocnej lampki; żona jęknęła z irytacją, i przekręciła się na drugi bok.

Na kołdrze, na kolanach ujrzał przejrzystego szarawego insekta, zwijającego się na grzbiecie, przetrąconego uderzeniem. To był Mee'hi; najwyraźniej ugryzł go we śnie.

Z łazienki MacDiaz przyniósł plastikowy kubek, zgarnął do niego owada i zabrał ze sobą do kibla, zamykając drzwi. Spoglądał na zwijające się stworzenie. Czy ukryło mu się w bucie bądź ubraniu, uciekając z miejsca zbrodni, które badał parę tygodni wcześniej? Ale czemu czekało tak długo z atakiem? Może to pierwszy zwiadowca całej armii łaknącej zemsty? Z rosnącą wściekłością MacDiaz uniósł kopniakiem klapę ubikacji i zaczął przechylać kubek, jakby chciał wrzucić do środka maleńkiego obcego. Zawahał się jednak. To byłoby morderstwo i tym razem w pełni świadome. Choć woda spłucze dowody, zbrodnia zostanie zapisana w jego umyśle, a technicy regularnie dobywali z niego wspomnienia, wykorzystując je w sprawach sądowych. Nie wiedząc, czy kieruje nim poczucie moralności, czy raczej instynkt samozachowawczy, zamknął toaletę i przeniósł ranne stworzenie do zakręcannej fiolki po lekarstwie.

Następnego ranka przekonał się, że ciało wokół oka poróżowiło i napuchło; oko piekło od światła tak boleśnie i tak mocno łzawiło, że musiał je zamknąć. Nawet wtedy prawe oko wciąż łzawiło lekko - albo z empatii, albo ponieważ dotarł do niego jad z ukąszenia. MacDiaz wsunął do kieszeni marynarki fiolkę z wciąż zwijającym się obcym i w drodze do pracy zajrzał do szpitala. Pokazał lekarzowi ukąszenie, ale najpierw oddał mu pod opiekę swojego więźnia. Doktor, który go przyjął (usłyszawszy, że jest policjantem, bardzo szybko znalazł dla niego czas), poinformował, że samce Mee'hi

istotnie wstrzykują ofiarom truciznę, choć zazwyczaj jest ona niebezpieczna tylko w przypadku licznych ukąszeń. Co więcej, ten samiec był jeszcze niedojrzały i jego jad nie działał w pełni.

- Może uciekł z miejsca zbrodni - zgadywał lekarz - i przez ostatnie kilka tygodni szukał pana, by się zemścić.

Ta myśl wyraźnie go rozbawiła. Jednakże MacDiaz nagle pożałował stworzenia. Niedojrzały... może dziecko? Przepełnione żalem, może po śmierci rodzeństwa, rodziców? Atakujące wściekle, bezsilnie próbujące pokonać znacznie większego i potężniejszego wroga.

Spytawszy MacDiaza, z której apteki korzysta, lekarz wypisał receptę na antybiotyk, na adres Superdrugs przy Polymer Street. MacDiaz znał tam z widzenia farmaceutkę, ładną Hinduskę. Teraz ujrzał przed sobą jej twarz. Kiedyś wspomniała mu, że dorabia na pół etatu w księgarni. Gdyby choć zerknął na każdą stronę każdej książki w owej księgarni, pomyślał teraz, sam by się w nią zamienił. Myśl ta sprawiła, że głowa zaciężała mu nagle.

- Doktorze - rzekł, wkładając marynarkę i ciemne okulary, mające ochronić zmęczone oczy - mam w głowie chip pamięci, Mnemosyne-755, wszczepiono mi go w wieku dziesięciu lat. Zastanawiałem się nad... usunięciem go.

- Owszem, teraz produkują już znacznie lepsze chipy.

- Nie chcę go wymieniać. Jedynie usunąć.

Doktor uśmiechnął się i lekko przechylił głowę, jakby z rozbawieniem. MacDiaz poczuł do niego niechęć.

- Czemu?

- Po prostu już go nie chcę - odparł z lekką irytacją detektyw.

- Cóż, ja mam chip i jestem z niego bardzo zadowolony... Trudno sobie wyobrazić, by lekarz zajmujący się tyłoma rasami mógł sobie poradzić bez niego.

- Z pewnością dobrze panu służy. Ale ja chciałbym pozbyć się mojego i zastanawiałem się, jak skomplikowanej i kosztownej wymaga to procedury. Czy opłaci ją ubezpieczalnia, czy też...

- Ale przecież nie musi go pan usuwać. Można go po prostu wyłączyć. To bardzo prosty zabieg, nie wymaga ingerencji chirurga.

- Chciałbym go wyjąć.

- Z pewnością wie pan, że nie włączyłby się sam z siebie. Chyba że potem zmieniłby pan zdanie i sam o to poprosił. Nie uruchomi się od uderzenia w głowę. - Lekarz zachichotał.

MacDiaz wstał z krzesła.

- Dziękuję - rzekł z jeszcze większym rozdrażnieniem i wyszedł z gabinetu.

- Przykro mi, panie MacDiaz. - Techniczna wybiegła zza biurka, jakby chciała go zatrzymać. - Nie zdążyliśmy jeszcze jej przenieść. Jest pan pewien, że nie zaczeka?

Nie był pewien, ale ruszył już znajomą drogą. Techniczka dreptała obok, dotrzymując mu kroku. Przy szufladzie nie dostrzegł nikogo i ucieszył się, że nie przyszedł tu nieświadomy i sam nie dokonał odkrycia. Oczywiście nie było to możliwe: system podtrzymania życia zaalarmował recepcję, że coś się dzieje, właśnie po to, by nikt nie przeżył nieprzyjemnej niespodzianki. Mimo wszystko nie potrafił uniknąć wizji siebie, jak otwiera szufladę.

Techniczna minęła go, uruchamiając mechanizm, i pęcherz wypłynął ze swego zagłębienia w ścianie, opuszczając się na wysięgnikach i demonstrując ponurą zawartość.

- O mój Boże - wyszeptał MacDiaz, jakby wciąż jeszcze coś mogło go zaskoczyć.

W chwili, której szuflada potrzebowałaby się otworzyć i opuścić, wyobraził sobie jak będzie wyglądała matka po

śmierci - z wykrzywioną twarzą, wybałuszonymi oczami, ciałem sinym i poczerniałym. Lecz na jej twarzy dostrzegł spokój... Wargi układały się w osobliwy uśmieszek umarłych. Oczy nie zamknęły się do końca: szczegół subtelny, lecz niepokojący.

Tak jak podczas owej wizyty, gdy go nie poznała, długi czas przyglądał się jej nieruchomej postaci. Techniczna czekała obok. Włosy matki - niegdyś rude, gęste, w które wplatał drobne paluszki - zmieniły się w szare rzadkie pasma. Policzki - niegdyś gładkie i miękkie, zasypywane chłopięcymi pocałunkami - pomarszczyły się i zapadły. Oczy - dawniej chłonnae filmy - trwały bez ruchu, pół otwarte, pół zamknięte. I ów drobny szczegół przyjął jak wyraz szyderstwa. Pozostawał niezdecydowany. Niedokończony. Powinny się zamknąć. Powinna cała spoczywać w spokoju.

- Proszę zamknąć drzwi - rzekł w końcu głucho do technicznej, odwracając się.

Po policzkach popłynęły mu łzy. Zobaczył już dosyć. Był jej winien tę ostatnią wizytę. Ale nie chciał patrzeć więcej... Nie chciał jej takiej zapamiętać.

- Wie pan - poinformowała lekarka, gdy ukończyła skanowanie chipa w jego mózgu - teraz istnieją już chipy dające właścicielowi możliwość wybierania i kasowania wspomnień, których ktoś chce się pozbyć. Miałby pan pełną kontrolę, mógł nawet wyłączyć chip w wybranych przez siebie chwilach... Wystarczyłaby jedna myśl.

- Nie chcę nowego chipa - powtórzył. - Chcę tylko usunąć mój.

Westchnęła.

- Oczywiście, decyzja należy do pana. Upewniam się tylko, czy jest pan świadom różnych możliwości... Zwłaszcza że zabieg może mieć wpływ na wykonywaną przez pana

pracę.

- Jestem tego doskonale świadom - poinformował ją MacDiaz.

Załatwili to jeszcze tego popołudnia. I kiedy leżał i odpoczywał, czekając aż żona go odbierze, pomyślał, że gdyby matka też miała chip pamięci, nie zapomniałaby, kim jest jej syn. Zamknięta w ciasnym więzieniu mogłaby całymi godzinami przeżywać od nowa najszcześniejsze chwile swego życia, wyzwolona przez owe wspomnienia i zagubiona w nich... nawet w ich smakach, zapachach, dotyku chłodnego, wieczornego wiatru na skórze. W delirium może uwierzyłaby nawet, że to rzeczywistość. Ale też wspomnienia jeszcze pogłębiłyby poczucie uwięzienia... Świadomość, że mimo towarzyszących im odczuć, to tylko obrazy dawnych dni, pięknych dni, które minęły, nie teraźniejszości. Co więcej, w niewielkim pęcherzu wraz z nią tkwiłyby także złe wspomnienia - zawody, niepokoje i lęki długiego życia, choćby śmierć ulubionego pieska, przeżywana raz po raz, bez końca, za każdym razem tak samo bolesna...

Leżąc tam tak i dochodząc do siebie, z początku zastanawiał się, czy istotnie usunęli mu chip. Patrząc w ciemny sufit, nadal widział na nim twarz matki, owe półprzymknięte oczy. Ale gdy sięgnął głębiej, szukając sceny w pokoju wiszących bezgłowych trupów, przekonał się, że obraz jest nieco rozmyty, bardziej abstrakcyjny, mniej ostry. Zamknął drzwi i odetchnął głęboko. Wówczas ogarnął go dziwny spokój, zupełnie jak po egzorcyzmach. Nie śmiał szukać twarzy matki w młodości. Wiedział, że jej nie znajdzie, na pewno nie wyraźną. Ale miał przecież zdjęcia i vity, mógł je odwiedzać. To ofiara, z którą potrafił się pogodzić. Zresztą odkryje wkrótce, że choć obrazy znikają, uczucia trwają dłużej.

Zjawiła się żona i zawiozła go do domu. Mijały dni,

tygodnie, miesiące... Twarze umarłych - roztrzaskane kulami, tajemniczo uśmiechnięte, świadome własnych losów, rozdęte niczym głowy karykaturalnych plastikowych lalek i zasuszone jak czaszki - zaczęły się rozpływać w dym i cień. Szare i niewyraźne. Ulotne i zwiewne, jakimi duchy - i wspomnienia - często powinny pozostać.

NOM DE GUERRE

W wodnistym blasku baru ośmiu mężczyzn, siedzących przy dwóch zsuniętych stolikach, jaśniało tą samą mglistą, błękitną zielenią. To tylko złudzenie optyczne, zwykły pozór: w istocie nic ich nie łączyło. Rzecz jasna, prócz faktu, że wszyscy byli zabójcami.

Najbardziej odróżniał ich fakt, że połowę grupy stanowili nieludzie. Czterech Vlessich siedziało przy jednym z dwóch małych stolików, zgarbionych i przysuniętych do siebie tak ciasno, że mieliby problemy, gdyby pili. Ale nie pili i w Jasperze Conchu wzbudziło to większe obawy niż ich złowrogi wygląd. Przynajmniej jednak zachowywali się serdecznie, okazali dość szacunku, by spotkać się tu z jego ekipą. Mimo to stracił ochotę na piwo, jakby się obawiał, że kiedy zacznie działać, Vlessi po prostu zabiją go z przyjaciółmi tu, na miejscu, żeby mieć to z głowy.

Wróćmy na moment do złowrokiego wyglądu: każdy z obcych był wyższy niż najwyższy z ludzi, okrywały ich wyłącznie zwiewne pomarańczowe szale (oprócz przywódcy, który nosił jaskrawozielony). Conch słyszał kiedyś o pewnym człowieku w pewnym barze, który dla zabawy szarpnął szal Vlessiego. Vlessi dla zabawy szarpnął jego jabłko Adama i wyrwał je z gardła.

Każdego z Vlessich pokrywała krótka biała sierść, jak ta, która odrasta na psim brzuchu po operacji. Klatki piersiowe mieli długie, wąskie i kościste, ręce i nogi cienkie jak u sarny; w istocie ich stopy kończyły się czymś w rodzaju kopyt (stąd ich przezwisko: Białe Diabły). Dłonie natomiast mieli długie i humanoidalne, paznokcie równie czarne jak kopyta. Wątle ciała wieńczyły wielkie głowy, pochylające się jakby pod

własnym ciężarem. Głowy te najbardziej przypominały ludzkie miednice, podziurawione i pokryte ową cienką skórą z krótkim futrem. Nie widać w nich było ust ani miejsca, w którym mógłby się mieścić mózg. W otworach owej czaszkomiednicy tkwiło sześć maleńkich, pozbawionych powiek oczu, patrzących nieruchomo jak u lalki. Owe lalczyne oczy wydawały się przyklejone losowo do tego stopnia, że u poszczególnych Vlessich tkwiły w różnych miejscach, bez cienia jakiegokolwiek symetrii. Conch wiedział dobrze, że natura nie znosi antysymetrii, ale może Vlessi dysponowali własną odmianą natury.

Nie nosili ubrań: nie mieli gdzie ukryć broni. Zatem nie korzystali z pistoletów? Choć Concha powinno to ucieszyć, nie czuł radości. Przeciwnie, myśl ta dręczyła go jeszcze bardziej niż ich trzeźwość. Prawdę mówiąc, wśród ludzi krążyły pogłoski, że Białe Diabły piją krew, ale uznał je za miejską legendę (zwłaszcza że - choć słyszał ich tłumaczoną na bieżąco mowę - w głowach nie dostrzegł żadnych ust. Z drugiej strony, może faktycznie pili krew... po to, by podtrzymać reputację).

Brass, jeden z chłopaków Concha, pochylił się ku niemu, skrzypiąc płaszczem z klonowanej skóry.

- Myślę, że ta po prawej to samica - wyszeptał z szerokim uśmiechem. - Sutki bardziej jej sterczą, widzisz? No, popatrz, stary, widzisz? Albo to samica, albo kutafon zmarł. Widzisz? Kurczę, to mnie podnieca. Sześć sterczących różowych suteków, stary! Jeden w zębach, po jednym w każdej dłoni... między palcami nóg...

Conch uśmiechnął się i zgasił ziołowego papierosa.

- Zamknij się, stary - mruknął w odpowiedzi.

Słuchał z roztargnieniem, jak drugi przyjaciel, Hans, opisuje Vlessim kodeks wojownika, stosowany przez kocich Ramonów, i przewagę ich mieczy nad starożytną ziemską

bronią samurajów. Miał nadzieję, że Hans nie zacznie gadać o samurajach. Co za banał, pomyślał. Miał potąd roninów, bushido i uwielbianych przez Hansa mangi i anime. Fiut kazał sobie nawet wyhaftować na plecach skórzanej kurtki barwnego smoka, zupełnie jakby tatuaże yakuzy nie wystarczyły. Czasem nosił chiński strój do kung-fu, Conch przypuszczał, że szukał odmiany. Ale mimo upodobania do starożytnych wojowników, Hans nie rezygnował z używania broni palnej.

Trzeci człowiek Concha, Indigo, sącył drinka molekularnymi łykami i uśmiechał się lekko, słuchając gadaniny ludzi i bulgoczącego, zniekształconego tłumaczenia głosu Diabłów. Sam nie odezwał się ani razu. Indigo nosił krótko ostrzyżone włosy i bródkę, był smukły jak ogar, oczy pod nisko sklepionymi brwiami miał jednocześnie ciemne i jasne. Jeśli Diabły nie potrafiły określić, że jest najgroźniejszy z ekipy, to miały bardziej zakute łby niż na to wskazywały ich kości. Trzydziestoletni Indigo był parę lat młodszy od Concha, najstarszego z zespołu.

Żaden z nich nie przypominał wytrawnych, siwiejących brzuchatych zabójców z syndy. W ogóle nic ich z syndy nie łączyło, choć jako młodzi nastolatki trochę z nimi kombinowali, nim wypracowali sobie własną, samodzielną niszę. Chłopcy Porka próbowali ich kiedyś załatwić, ale gdy obdarli jednego z jego ludzi żywcem ze skóry w piwnicy, tłusty fajfus zostawił ich w spokoju. Poza tym nie mieszał się do operacji syndy. Od dobrych pięciu lat żyli wyłącznie ze zleceń korporacyjnych, takich jak to.

- O, tak - mruknął właśnie z aprobatą Brass, bo jedna z nagich tancerek z lokalu poczołgała się w ich stronę odgałęzieniem zakratowanych pomostów, przecinających całą salę.

Wyciągnęła się na brzuchu, tak że, stojąc, mógł szczytać

jej sutki przez kratę pomostu. Przesunął palcami po metalowej siatce, wbijającej się w miękki brzuch i uda i dzielącej je na wiele drobnych, smakowitych kwadracików. Potem uniósł głowę, by dziewczyna - Tikkihotto - mogła popieścić mu gardło i policzki dziesiątkami przejrzystych włókien wyrastających z oczodołów.

- O tak - powtórzył - dotykaj mnie, mała, liź mnie.

Pęki falujących oczu pieściły szeroki, czarny pas modnych barw wojennych, które wymalował sobie pośrodku czoła, sięgający do połowy nosa. Wyraźnie spodobał jej się dotyk jego wydatnych kości policzkowych - choć Conch uważał, że są zbyt wydatne, usta zbyt wydęte w seksowno-całuśnym grymasie amora, bo dolna część twarzy Brassa, zniszczona po postrzale, została zrekonstruowana wedle jego ścisłych, najmodniejszych wytycznych.

Z powrotem skupił się na rozmowie.

- Od jak dawna pracujecie razem? - spytał przywódca Vlessich.

- Och, od dzieciństwa - odparł Hans. - W tamtych czasach było nas dziewięciu... ale jednego straciliśmy cztery lata temu, drugiego trzy lata temu, a ostatnich dwóch załatwił jeden samotny zabójca. To był Ramon, najtwardszy sukinsyn z jakim mieliśmy do czynienia. Jednoosobowy zespół. Z początku nie wydawało nam się to fair, dopóki nie załatwił dwóch naszych, w dodatku jednego zabił mieczem, przeciął prawie na pół. Najstraszniejszy skurwiel, z jakim miałem do czynienia. Całkowicie skupiony na pracy. Nosił konserwatywny garnitur, nie tradycyjne szaty, był jednak prawdziwym ramońskim wojownikiem.

- Zakładam jednak, że w końcu go pokonaliście.

- O tak, Indigo go załatwił.

Conch ujrzał, jak przywódca Diabłów zwraca sześcioro maleńkich oczu w stronę milczącego mężczyzny, jakby

szacował go wzrokiem. Indigo nie uniósł nawet głowy, cały czas przesuwając palcem po wodnym pierścieniu na stole.

- Mówiłeś, że było was dziewięciu. Czterech żyje, czterech zginęło. A dziewiąty?

- Ach, jednego straciliśmy wcześniej. Wybrał los gorszy od śmierci: małżeństwo! - Hans się roześmiał. - To był Blint. Nie chciał się dłużej bawić.

Conch zauważył, że Hans rozmawia, a Vlessi ocenia. Ocenia ich dawne sukcesy i porażki. Diabły z całą pewnością nie należały do najzabawniejszych przeciwników, z jakimi spotkali się przed pojedynkiem.

- A ilu członków liczyła z początku wasza ekipa?

- Czterech - odparł Vlessi głosem tonącego. - Od początku nikogo nie straciliśmy.

Hans jakby nieco spoważniał. Posłał Conchowi spojrzenie, ten jednak zignorował go, biorąc za przykład Indigo. Gestem wezwał kelnerkę, by zamówić coś do jedzenia - coś, co związałoby alkohol, który w siebie wlał.

- I co myślicie o wampirach? - spytał Conch.

Szli razem szerokim chodnikiem w jednym szeregu. Cała czwórka miała na sobie okrycia z klonowanej skóry, różnej długości i w różnych odcieniach, chroniące przed zimnem nocy w Punktown.

- Hej - rzekł szybko Brass - mam nadzieję, że się połapaliście, że tylko żartowałem. Wcale nie podniecała mnie ta z sutkami.

- Co innego, gdyby miała tyle cipek, co? - zażartował Hans.

- U żadnego z nich nie zauważyłem cipki - odparł Brass. - Ani fiuta.

- Fiutów może i nie mają, ale jaja owszem - oznajmił cicho Indigo.

- Tak - przytaknął Conch. - Są cwani i lepiej ich nie lekceważmy.

- Gdzie schowali spluwy? - spytał Hans. - A może myślicie, że wolą miecze?

- Pieprz się z tymi twoimi mieczami - jęknął Brass.

- Nie używają spluw - powiedział Indigo.

- A zatem czego? - spytał Hans.

- Jeszcze nie wiem.

Gdy tak szli, zbliżający się z naprzeciwka gang młodych twardzieli rozstał się, by ich przepuścić. Nie słyszeli plotek o tych mężczyznach, ale instynkt podpowiadał im, że lepiej z nich nie szydzić i z nimi nie zadzierać. Czwórka przyjaciół zatrzymała się na rogu pod latarnią, w słabym zielonkawym blasku wyglądali jak zanurzeni w zbiorniku ohydnej cieczy, w której przechowuje się chore narządy bądź zdeformowane niemowlęta. Wysoko nad ich głowami przeleciał heliwóz, skręcając w locie. Przezroczystym tunelem, łączącym potężny biurowiec z drugim naprzeciwko, przemknął ze świstem wagonik. Ze szczytu szklanej wieży w głębi ulicy wyfrunęło stadko lśniących zielonych holograficznych ptaków. Zatoczyło krąg na niebie i ułożyło się w słowa FLOCK CORP, po czym rozproszyło się i wróciło do soczewki na dachu. Nad kolejną budowlą unosiła się błękitna holograficzna ręka, wielka jak u Boga, raz po raz pokazująca w języku migowym nazwę tej firmy: AUDIOWSZCZEPY. Czterej mężczyźni znajdowali się na skraju placu przemysłowego, niedaleko koncernu farmaceutycznego Ziggurat, firmy, która zaproponowała im obecny kontrakt.

- Ktoś ma ochotę skoczyć do Wężowych Skórek? - spytał Brass. Miał na myśli ekskluzywny klub ze striptizem, do którego miejscowi biznesmeni zapraszali na lunch szczególnie cenionych klientów. Pracujące tam piękne kobiety najpierw zrzucały ubranie, a potem zdzierały klonowane ciała,

ujawniając robocie wnętrze. - Skoro już uwolniliśmy się od naszych nudnych kolegów?

- Nie ja. - Conch westchnął. - Zaczynamy robotę.

- Dopiero w przyszłym tygodniu!

- Nieważne. Idź, jeśli chcesz. Po spotkaniu z tymi wampirami wolę naostrzyć nóż.

- Zaczynasz gadać jak Hans - poskarżył się Brass.

- Ja z tobą pójdę - wtrącił Hans, nie przejmując się jego obraźliwym tonem.

- W takim razie do zobaczenia, chłopaki. Ale bądźcie czujni, nadstawiajcie ucha. Nie wiemy, czy Diabły kierują się tymi zasadami fair play i etykiety co my. Ich reguły mogą być dla nas zupełnie obce.

- Zawsze się pilnujemy. - Brass poklepał twarde wyrzuczenie na boku, unoszące sięgający kolan skórzany płaszcz. - Znasz nas przecież.

- Jasne. - Nagły powiew wiatru zburzył krótkie, nastroszone jasne włosy Concha. - W takim razie spotkamy się jutro po południu. W piwnicy.

Życzyli sobie dobrej nocy, po czym Brass i Hans zniknęli za rogiem, a Conch i Indigo ruszyli razem do końca przecznicy, gdzie się rozstali. Wcześniej jednak Conch spojrział na przyjaciela.

- Rano mam spotkanie z garniturami z Zigguratu. Zostawię otwarte łącze, żebyś mógł posłuchać... jeśli oczywiście nie zamontowali blokad ani filtrów. Powiem im, że spotkaliśmy się z drużyną przeciwną, żeby wiedzieli, że gramy uczciwie, i odbiorę zaliczkę.

Indigo pokiwał głową. Conch się pożegnał, tamten znów skinął głową. Niczym pojedynkujący się dżentelmeni odwrócili się do siebie plecami i ruszyli w przeciwne strony.

Siedziba zarządu i lokalnej dyrekcji koncernu

farmaceutycznego Ziggurat mieściła się, co dość oczywiste, w wyniosłej, wielopoziomowej piramidzie z zielonkawych, ceramicznych bloków, udających stare, spękane ruiny. Jasper Conch przypuszczał, że ów odcień miał symbolizować śluz bądź mech z dżungli, w której można znaleźć podobną świątynię, albo może promienie słońca przeświecające przez szmaragdowe, liściaste sklepienie. A może zabarwiono je sokami wyciśniętymi ze zmiażdżonych banknotów.

W holu zapatrzył się w ustawiony pośrodku wielki holozbiornik, odtwarzający zapętłony film, wychwalający produkty i sukcesy firmy i ukazujący odzianych w stroje ochronne robotników i roboty, machających radośnie ze sterylnych sal, a także szczęśliwych trutni z biur, unoszących wzrok znad komputerów, by się uśmiechnąć do kamery. Na próżno rozglądał, się w poszukiwaniu jakiegoś pisma. Westchnął, walcząc z ochotą zapalenia papierosa. Na widok mężczyzny, idącego ku niemu energicznie z wyciągniętą do uścisku ręką przez sawannę zielonej wykładziny, podniósł się szybko.

- Panie Conch, miło znów pana widzieć. Zapraszam do siebie. Conch uścisnął rękę tamtego, po czym ruszył za nim.

- Panie Abbas.

Hamid Abbas był drobny, śniady i przystojny, ubrany w nieskazitelnie skrojony garnitur. Conch nie miał pojęcia, jak dokładnie go tytułują i czym zajmuje się w koncernie Ziggurat. Przedtem spotykali się poza firmą. Ponieważ był niedzielny ranek (według kalendarza ziemskiego), budynek wyglądał na pusty - nie było w nim nikogo prócz strażnika, który wyszedł im na spotkanie w punkcie kontrolnym i przeskanował ich, szukając broni. Conch z uśmiechem wręczył mu tęponosego decimatora.220 z kabury pod pachą i miniaturowy automat naładowany kapsułami plazmy, noszony przy kostce.

Usiedli w gabinecie Abbasa, którego ściany wyłożono grubą, czarną pianką. Conch poważnie wątpił, by Indigo zdołał podsłuchać ich rozmowę, ale przynajmniej porządkowi także nie dadzą rady. Korporacyjne pojedynki były nielegalne... choć - ponieważ zwykle nie cierpiał w nich nikt prócz wynajętych zabójców - władze zazwyczaj starały się przymykać oko, zwłaszcza że w grę zawsze wchodziły ogromne sumy, a pieniądze to najlepszy smar dla społeczeństwa. Przy jednej okazji mocno namieszał gliniarz z wydziału zabójstw, niejaki MacDiaz, ale to dlatego, że zginął niewinny przechodzień; zabili go przeciwnicy - Conch szczylił się tym, że jego zespół nigdy nie zranił osoby postronnej.

- A zatem - Abbas uśmiechnął się i splótł dłonie na blacie biurka, zgodnie z modą zrobionego z syntetycznego - a może prawdziwego - nefrytu - spotkaliście złowieszczych Vlessi.

- Próbujemy dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

- Trochę mogę powiedzieć. Pochodzą z tej samej planety co Anulowie. Kiedy Anulowie maczają palce w jakichś ciemnych interesach, istnieje spora szansa, że wraz z nimi w ciemności brodzą Vlessi. Boją się Vlessich... ale chętnie ich wykorzystują.

Konkurentem, którego Ziggurat wyzwał na pojedynek, był koncern farmaceutyczny Rescue, firma należąca i kierowana przez grupę potężnych imigrantów z planety Anul. Ich najlepiej sprzedający się produkt, różowe pigułki służące do walki z chorobą zwaną tkaczakami, miały podobno spowolniać jej postępy, nim zagrozi życiu ofiar. Ziggurat zamierzał produkować własny lek spowalniający chorobę, a Rescue zakwestionowało ich prawa do tego, powołując się na swoją wyłączność do zastosowania w terapii rozwiązań medycznych. Ziggurat odpowiedział brzydkimi oskarżeniami, sugerującymi, że leki Rescue to jedynie placebo. Rescue

zaprotestował z oburzeniem, przekazując próbki do analizy przez niezainteresowaną firmę. Bitwa w sądach zamieniła się w oślepiającą nawałnicę dokumentów, plątaninę biurokratycznych przeszkód, w której na próżno błakali się prawnicy. Ziggurat zatem złożył Rescue propozycję rozstrzygnięcia pozasądowego, by uniknąć dalszego wstrzymania produkcji. Jeśli Rescue zwycięży, Ziggurat wycofa się z pomysłu stworzenia pigułek zwalczających tkaczaki. Jeśli nie, będzie pracować bez przeszkód.

- Naturalnie Rescue przyjęło wyzwanie - wyjaśnił Abbas.
- Nie życzą sobie dalszego angażowania sądów... bo mimo ich protestów większość produkcji to rzeczywiście placebo. A także leki pogarszające stan chorych. Uważają tkaczaki za swego sojusznika. Źródło nieskończonych zysków. My nie. My chcemy naprawdę pomóc ofiarom. Rescue produkuje dość autentycznych leków, by w razie konieczności poddawać je analizom... ale większość problemów rozwiązują, dając ludziom w łapę.

Conch uśmiechnął się ponuro, rozwalony w fotelu i kołyszący się lekko. Nie zdjął płaszcza, podsunął tylko na czoło ciemne okulary, jeszcze bardziej strosząc włosy.

- Skoro Rescue zachowuje się tak nietypowo, czemu sądzicie, że w razie waszej wygranej dotrzymają warunków umowy?

- Cóż, pojedynek to kwestia honoru, panie Conch. Tak jak w przypadku pańskiego zespołu i drużyny Vlessich. Poza tym - na twarzy Abbasa pojawił się uśmiech, który zmroziłby krew każdemu oprócz Concha - jeśli Rescue się wycofa, zapłacimy wam hojną sumkę za wyeliminowanie ich zarządu.

- Rozumiem. I przypuszczam, że Rescue to samo powiedziało swoim, na wypadek gdybyście to wy złamali umowę.

- Z pewnością udzielili im takich instrukcji. Zapewne

słyszał pan o podobnych ustaleniach w przeszłości.

- Tak. To nie jest mój pierwszy raz. Całkiem mądre zabezpieczenie.

Abbas pochylił się z przesadną troską w oczach.

- Strasznie przepraszam, panie Conch, byłem nieuprzejmy. Mogę poczęstować pana espresso? A może wodą?

- A mógłbym zapalić?

Conch uniósł połą płaszcza, ukazując paczkę papierosów tkwiącą w kieszeni czarnej jedwabnej koszuli, tuż obok pustej kabury. Abbas znów skrzywił się przesadnie, tym razem przepraszająco.

- Bardzo mi przykro, panie Conch; to jednak koncern farmaceutyczny. - Skinął dłonią. - Palenie szkodzi zdrowiu.

Przed wyjściem z budynku Conch skreślił do dość klaustrofobicznej, męskiej toalety wielkości niedużej szafy. Gdy opróżnił pęcherz i umył ręce, ochlapał zimną wodą twarz, bo czuł narastający tępy ból głowy. Wyprostowawszy się, spojrzął na siebie w lustrze. Może sprawiło to ostre, jaskrawe światło, ukazujące każdy por, każdą niewielką zmarszczkę i niedoskonałość, lecz jego własne odbicie wydało mu się obce i brzydkie... A może to przez wspomnienie chwili, kiedy w publicznej toalecie strzelił w twarz innemu, przystojnemu młodemu mężczyźnie, zakontraktowanemu celowi. Tak czy inaczej, widok własnego odbicia wstrząsnął nim. Zmusił się, by oderwać od niego wzrok, wyszedł z łazienki i zgasił w niej światło.

Siedząc w zaparkowanym lotowozie z opuszczoną szybą, by móc zapalić ziołowego fajka, Conch wywołał na vidfonie Indigo. Tak jak podejrzewał, przyjaciel nie zdołał podsłuchać rozmowy w gabinecie Abbasa, toteż zrelacjonował mu ją szybko.

- I co? - spytał potem. - Znalazłeś coś w sieci o tych wampirach?

- Niewiele. Wygląda na to, że zdecydowanie nie chcą niczego o sobie ujawniać. Z całą pewnością pochodzą z planety Anul, ale Anulowie nie są zbyt pomocni. Jak mogą unikają Vlessich, mają o nich własne mity. Nazywają ich demonami, wampirami i podobnym ściernem. Jeden popularny mit głosi, że Vlessi tak naprawdę nie pochodzą z Anulu. Ponoć przybyli tam przez dziurę w przestrzeni.

- A zatem zapewne są pozawymiarowcami. I ich portal przypadkiem otworzył się na Anulu.

- Możliwe. Jeśli mity są prawdziwe. Ale krążą też dziwniejsze legendy.

- To znaczy?

- Anulowie mają dla nich jeszcze jedno przezwisko, które oznacza coś jak bliźniak albo duch. Ziemiem odpowiednikiem jest chyba sobowtór.

- To znaczy?

- Najwyraźniej niektórzy Anulowie uważają, że Vlessi są ich własnymi sobowtórami. Wierzą, że na każdego Anula przypada jeden Vlessi. To chyba znaczy, że Vlessi są w istocie Anulami... z równoległego wymiaru.

Conch parsknął - nie z pogardy dla niestworzonych historii, lecz z braku czegokolwiek do powiedzenia.

- A ty co myślisz?

- Jestem otwarty na ideę istot pozawymiarowych. Ale sobowtóry...

- To tylko łajno. Vlessi najpewniej rozpuszczają te pogłoski, by wystraszyć Anulów i wszystkich, którzy mogą im zagrozić. Dobra reklama i tyle. Okrzyki wojenne, malowane twarze, dudy i fujarki. Chyba się tego nie boimy, Indigo?

- No, może tylko dud - odparł Indigo.

Kiedy Jasper Conch był małym chłopcem, który nie nazywał się wtedy Jasper Conch - bo w owym czasie nie musiał się martwić o to, że żądni zemsty ludzie wytepią jego rodzinę - każdego wieczoru przed snem odprawiał dziwaczny myślowy rytuał. Był to rytuał samoudręczenia, szczypta perwersji.

Jasper wyobrażał sobie, że musi szybko położyć się do łóżka, uważając, by dłonie ani stopy nie wystawały poza wąski materac... bo inaczej obetnie je włączone pole siłowe. Następnie sięgał za siebie, dotykał wymyślnego guzika na zagłówku i niewidzialna osłona otaczała łóżko ze wszystkich stron i z góry, niczym moskitiera utkana z czystej energii.

Zaledwie chwilę po tym, gdy przycupnął w bezpiecznym schronieniu niewidzialnego sarkofagu, próg sypialni przekraczał pierwszy potykający się zombie, a za nim mnóstwo innych. Nieumarli tłoczyli się w pokoju, tak ściśnięci, że ledwie się ruszali - żywe trupy o wychudzonych twarzach, niemal jaśniejących odcieniem zgniłej zieleni i oczach błyskających zielonkawo, jak u hien filmowanych w podczerwieni - napierali na łóżko, przyciskając twarze i dłonie do pola siłowego. Wpatrywali się w niego wygłodniałym wzrokiem, zgrzytając zębami tak jak brat Jaspera, śpiący niewinnie w sąsiednim pokoju. Nie mogli się do niego przedostać. Z ciemności wyłaniały się jego lęki, ucieleśniona groza, znalazł jednak sposób, by ich do siebie nie dopuścić. I choć wiedział, że pozostaną tam do rana, próbując go pochwycić, teraz mógł przekreślić się na bok, wtulić w poduszkę, osłaniając ręką twarz, i spokojnie zasnąć.

Jako dorosły, jako Jasper Conch, z pomocą pieniędzy, wyobraźni i techniki urzeczywistnił dziecięce marzenia.

Łóżko w jego mieszkaniu - wyposażone w materac znacznie szerszy niż w czasach dzieciństwa, bo zdarzało się, że miewał w nim towarzystwo, choć zwykle niezbyt długo -

wieńczyły cztery wysokie słupki. W każdym z nich, a także każdej nodze osadzono niewielkie kule z zielonego kryształu. Wydawały się czysto dekoracyjne, kiedy jednak już się położył, mógł przesunąć panel ukryty w misternych rzeźbieniach zagłówka, dotknąć przycisku i uruchomić niewidzialny ekran, promieniujący z kryształów i całkowicie otaczający łóżko. Ze wszystkich czterech stron, a także z góry i z dołu - drobne ulepszenie wizji z dzieciństwa, na wypadek gdyby wygłodniały upiór wśliznął się pod łóżko, próbując stamtąd zaatakować.

Conch nie obawiał się zombie, ani nawet duchów. Nie był przesądny. Ale czasami jednak, bo nie brakowało mu wyobraźni, zastanawiał się z rozbawieniem, czy owe zombie z dzieciństwa nie stanowiły widmowej zapowiedzi, wizji mężczyzn i kobiet, których jako dorosły zabije za pieniądze.

Nie wierzył, że martwi mogą go skrzywdzić. Ale wiedział, że mogą to zrobić żywi - i zrobią, jeśli kiedyś straci czujność. Fizycznie. Psychologicznie. Emocjonalnie. Po wyjeździe na Ziemię rodziców i dwojga rodzeństwa jedynymi ludźmi na planecie Oaza, których kochał, byli Indigo, Hans i Brass. Mimo to jednak wiedział, że zabiłby każdego z nich, nawet Indigo, gdyby w jakikolwiek sposób zdradził go bądź mu zagroził. Zrobiłby to bez wahania. A oni tak samo postąpiliby z nim. I ta wzajemna świadomość na swój sposób umacniała jeszcze ich lojalność, a tym samym bliskość.

W pewnym sensie jedyną osobą, której zabójstwa żałował Jasper Conch - choć czasami oglądał w VT szlochających krewnych bądź współmałżonków swych ofiar - był ów niegdysiejszy przerażony chłopczyk, który pragnął jedynie zasłonić głowę we śnie.

Obok niego na łóżku - teraz osłoniętym kojąco mruczącym ekranem - pod kołdrą spoczywał dwuręczny automat zaczepny, strzelający wszelkimi możliwymi typami

niszczyielskich promieni, żelowymi kulami, pełnymi żrącej plazmy i najróżniejszymi pociskami, łącznie z minirakietami. Można było nawet odłączyć od niego pistolet. Była to jedyna towarzyszka, jakiej ufał. Miał też ze sobą palma i zadzwonił po kolei do każdego ze swych ludzi na zakodowanym kanale. Obudził Brassę, śpiącego jak niemowlę z wyszorowaną twarzą, pozbawioną barw wojennych. Przeprósł, przypomniał, że jutro oficjalnie zaczyna się pojedynek, choć przypomnienie nie było konieczne, i polecił spać dalej. Hans jeszcze nie spał, siedział bez koszuli, ozdobiony barwnymi tatuażami yakuzy, i polerował złowrogi ramoński sztylet. Identyczny podarował Conchowi na poprzednie urodziny; Conch często nosił go w cholewce buta. Hans zaszalutował mu sztyletem. Jako ostatniego wywołał Indigo.

- Zamierzam dziś poczytać - oznajmił smukły, cichy przyjaciel. W jego pokoju panowała ciemność, rozjaśniana jedynie blaskiem samotnej zielonkawej lampy luminescencyjnej, odbijającym się w skórze czaszki pośród gąszczu krótko przystrzyżonych włosów. - Dla nas jutro zaczyna się o świcie, ale niektórzy liczą od północy.

- Wszyscy się pilnujemy - zapewnił go Conch.

Niechęć Indigo do snu nie niepokoiła go. Dzięki połączeniu prochów i siły woli Indigo w ogóle rzadko sypiał.

- Może na czas pojedynku powinniśmy przenieść się do piwnicy - zaproponował.

Tak zwana piwnica była ich biurem, mocnym jak bunkier. Conch wątpił, by nawet w najgorszej dzielnicy Punktown dało się znaleźć komisariat dysponujący bogatszą zbrojownią.

- Rozproszone cele trudniej wyeliminować.

- Mimo wszystko jednak coś w tych Diabłach mi się nie podoba. Razem moglibyśmy sypiać na zmianę. Pilnować się nawzajem.

- Nic nam nie będzie. Ty i tak nie sypiasz. Ja mam mój baldachim. Hans jest z dziewczyną, która umie walczyć prawie tak dobrze jak on. A Brass mieszka w środku wielkiego martwego robota przy parku Kuźni. Nawet gdyby ktoś się domyślił, nie przebiłby się przez pancerz. Poczytaj sobie książkę, babciu.

Indigo błysnął uśmiechem, pokiwał głową i się rozłączył. Conch położył palma obok siebie. Potem przekręcił się na bok, wtulił głowę w poduszkę i zakrył twarz ręką. W dzieciństwie na próżno błagał rodziców, by pozwolili mu spać przy zapalonym świetle. Teraz, gdy był dorosły, nikt nie mógł mu zabronić. Nie zgasił światła.

W jego śnie powietrze sypialni zasnęła mglista, błękitnozielona poświata. Przenikała przez opuszczone powieki, sprawiając, że żyłki odcinały się czernią na tle jaśniejszego ciała. Wokół rozszedł się pomruk, cichy, lecz głośniejszy niż matczyna kołysanka pola siłowego. Ktoś musiał otworzyć drzwi do pokoju. Do środka dostały się zombie...

Conch błyskawicznie otworzył oczy, jego ręka pomknęła do automatu zaczepnego, który spoczywał obok pod kołdrą niczym kochanka. Przekręcił się na wznak i ujrzał Vlessiego, który właśnie zamachnął się paskudnym metalowym tomahawkiem, z jednej strony zakończonym ostrzem, z drugiej okrutnym szpikulcem. Rękojeść zwięzała się, tworząc kolejny, cieńszy szpic.

Ekran siłowy odbił cios Vlessiego, ostrze ześliznęło się na bok jak po gładkim metalu. Przez moment powierzchnię pola rozświetliły błękitne rozbłyski. Wysoka, smukła postać pozaświatowca zadrżała od wstrząsu - tak fizycznego, jak i zaskoczenia. Nim napastnik zdołał dojść do siebie i wymierzyć drugi cios albo uciec w przygasający z tyłu

błękitnozielony blask, Conch sięgnął lewą ręką do zagłówka, otworzył ukryty panel, nacisnął kciukiem włącznik i otworzył ogień z automatu trzymanego w prawej ręce i opartego o kolano. Gdyby wystrzelił sekundę wcześniej, przed otwarciem osłony, odbijające się rykoszetem szmaragdowe błyskawice z jednego z promienników zabiłyby go na miejscu. Zamiast tego zobaczył, jak dwie krótkie lance energii znikają w ciele Vlessiego niczym bełty kuszy. Jeden z nich pozostał, drugi wyleciał przez plecy obcego. Vlessi runął na ziemię, nadal ściskając wojenny topór. I kiedy Conch zeskoczył na podłogę, musiał umknąć, bo wróg się zamachnął, celując mu w nogi. Zdołał kopniakiem wytrącić broń wojownikowi, a potem padł całym ciężarem na dwukrotnie przebitą pierś stwora, by go unieruchomić.

- Jak się tu dostałeś? - spytał ostro, celując z automatu w miednicowatą twarz pełną otworów.

Orientował się, że sprawiła to owa mglista błękitnozielona poświata, która zdążyła już zgasnąć, ale nie wiedział, czym była. Pozostałością nieznaną mu metody teleportacji?

Vlessi patrzył na niego. Sześcioro maleńkich pozbawionych powiek oczu nie zdradzało bólu. Conch zastanawiał się, czy Vlessi w ogóle czują ból. Ostatecznie ból to uboczny produkt ewolucji, system alarmowy, ostrzegający przed niebezpieczeństwem, choćby dotknięciem płomienia, który jednak sam mógł je powiększyć, rozpraszając uwagę bądź unieruchamiając ciało. Conch miał nadzieję, że pod tym względem nie stoją wyżej na drabinie ewolucji.

To był obcy w zielonym szalu. Ich przywódca.

- Miałeś szczęście - przemówił tłumaczonym głosem zawieszonym pod wodą nieboszczyka.

- A ty masz szczęście, że jeszcze cię nie zabiłem.

- Zamierzałeś mnie zabić, kiedy strzeliłeś. I zabijesz.

Musisz, jeśli chcesz wypełnić kontrakt z Zigguratem.

- Masz rację. Zabiję cię. Ale mogę to zrobić szybko albo przeciągać cały tydzień. Wybór należy do ciebie.

Nie przestając celować w kościstą głowę, Conch cofnął się parę kroków, by móc zabrać z łóżka lewą ręką palma i otworzyć go. Przełączając na polecenia głosowe, kazał urządzeniu zadzwonić do Indigo. Spróbowało. Obaj wrogowie czekali. Nikt nie odpowiedział. Conch oparł komputer o skraj komódki.

- Próbuje dalej - rozkazał, po czym warknął do Vlessiego:
- Jak wy to, skurwiele, robicie? - Wycelował automat w jego lewą nogę. - Wierz mi, rozwalę cię kawałek po kawałku.

- Nie jestem tchórzem.

Szmaragdowy rozbłysk. Dolną część nogi Vlessiego tworzyły dwie cienkie kości. Gdy promień zgasł, pozostała z nich tylko jedna. Z czarnych, przypalonych ran nie płynęła krew. Czy domniemani krwiopijcy w ogóle ją mieli?

- Jak się tu dostałeś? - powtórzył Conch.

Patrzył, jak obcym wstrząsa krótki spazm, jak jego ciało dygocze i powoli nieruchomieje, gdy odzyskiwał panowanie nad sobą, choć nadal można było odnieść wrażenie, że wibruje. Wątpił, by to była oznaka strachu. Czyli jednak czuli ból, po prostu świetnie nad nim panowali. Kiedy Vlessi odpowiedział, wciąż przemawiał spokojnie:

- Gdziekolwiek jesteś, mogę się przenieść. W pewnej określonej odległości. Nie większej niż średnica tego pokoju.

- Co to niby znaczy?

Palm zapiszczał i odezwał się Indigo. Żył. Mimo ogromnej ulgi, Conch nie oderwał oczu od więźnia, żeby zerknąć na ekran.

- Jeden z Vlessich zjawił się w moim pokoju - oświadczył spokojnie Indigo. - Nie żyje.

- Jak się tam dostał? Widziałeś?

- Podniosłem wzrok znad książki, zobaczyłem światło. A potem wyszedł z niego, zamachując się siekierką.

- Przypuszczam, że nie pożył dość długo, byś mógł go przesłuchać?

- Nie - odrzekł z prostotą Indigo. - Nie pożył.

- Sprawdź, co u Hansa i Brassa, i oddzwoń. Mój Vlessi jest żywy, ale ranny.

- Dobra. - Vidfon ucichł.

Conch wskazał gestem swą masywną broń.

- Powiedz mi więcej. Teleportujecie się do naszych mieszkań?

- Nie.

- A zatem co?

Vlessi wahał się trochę za długo. Conch lekko przesunął broń i sekundę później z otworu tuż pod kościstym kolaniem drugiej nogi Diabła wleciały czarne smużki dymu. Ponownie stwór krótką chwilę walczył z potwornym bólem. I znów jego głos nie zdradził nawet śladu owej walki.

- Mieszkamy na innym poziomie.

- Czyli pochodzicie z innego wymiaru. Naprawdę jesteście alternatywnymi wersjami Anulów, tak jak mówią?

- Nie tylko Anulów.

- Co to ma znaczyć?

Kolejne wahanie. Conch wycelował w rękę i znacząco uniósł brwi.

- Z mojego wymiaru najłatwiej przybyć mi do tego na Anulu - odparł Vlessi nieistniejącymi ustami - ponieważ tam właśnie mieści się najszersza i najstabilniejsza szczelina. Poza nią nie mogę przemieszczać się poza poziomami, chyba że w najbliższym sąsiedztwie jednego z moich dubletów.

- Wyjaśnij, co to dublet.

- Jedna z nieskończonych, alternatywnych wersji mnie, żyjąca w jednej z nieskończonych rzeczywistości. Moim

dubletem na tym poziomie mógł być Anul, czy równie dobrze Choomka albo niemowlę Tikkihotto. Jestem... jesteście... częstkami jednej wielkiej duszy, która mimo wielu oczu nie potrafi ogarnąć własnej całości. My, Vlessi, odkryliśmy, że należymy do nielicznych ras świadomych istnienia innych cząstek naszych dusz.

- Próbujesz zatem mi powiedzieć... że jesteś mną. A ja tobą.

- Tak. Jesteśmy sobą nawzajem. Dlatego właśnie mogłem samą myślą znaleźć się blisko ciebie. I w ten sposób członkowie mojego zespołu znaleźli się blisko twoich ludzi. Kiedy Rescue usłyszało, że Ziggurat zatrudnił waszą czwórkę do rozstrzygnięcia konfliktu, skontaktowali się z nami. Łączy nas więcej niż pan przypuszcza, panie Conch. W naszym wymiarze jesteście przyjaciółmi - i zabójcami - podobnie jak wasza czwórka. Nie wszystkie aspekty naszego życia przebiegają identycznie. Ale przekona się pan, że nader często podobne postaci podążają podobnymi drogami. Miałem nadzieję... wiedziałem, że pewnego dnia nasza czwórka będzie mogła stawić czoło waszej czwórce. Dostrzegam bowiem coś jeszcze, czego wy nie widzicie. Niezgłębioną sieć, coś, co nazwałbyś losem, przeznaczeniem.

Conch nieświadomie odrobinę opuścił broń.

- Boże - wyszeptał do siebie, do swego ludzkiego siebie.

- Nie wierzysz mi?

Teraz świadom prawdy, wyczuwał ją. Wyraźnie czuł łączącą ich więź. Zupełnie jakby z jego oczu zdjęto zaćmę. Jakby w końcu rozpoznał własne oczy, odbite w szóstce niesymetrycznych oczu Diabła.

- Tak - mruknął. - Ale jak... jak mogłeś przyjść tu, by mnie zabić, wiedząc, że jesteście częścią tego samego... tego samego...

- Ducha? Duszy? Esencji? Jak mówiłem, łącząca nas

jedność jest nieskończona. Jej odbicia w każdym ułamku sekundy żyją i umierają na wszystkich planetach i wymiarach, w otchłani przeszłości i przyszłości. - Głos Vlessiego, choć monotonny, był lekko rozbawiony, gdy Vlessi nauczał mniej oświeconą, gorszą wersję samego siebie. - Nie jesteś wyjątkową, niezwykłą duszą, jedynie jedną komórką istoty, której twój prymitywny umysł nie umie ogarnąć.

- W takim razie ty też nie jesteś niczym wyjątkowym. - Conch ponownie wycelował broń. - Za tobą także nikt nie zatęskni.

- Potrafi pan to zrobić, panie Conch? Umie pan zabić samego siebie? Conch już miał coś powiedzieć, choć nie był pewien co, kiedy na małym ekranie palma pojawił się Indigo.

- Brass nie żyje - oznajmił beznamiętnym głosem. - Podobnie Hans i jego dziewczyna. Nikt niczego nie widział, lecz parę osób w budynku Hansa słyszało krzyki.

- Skurwiele - syknął Conch i kopnął Vlessiego w żebra, wychudzone i sterczące jak u ożywionego zombie. - Przyjedź tu, Indigo. Musimy zdecydować, co zrobić z moim jeńcem.

- Lepiej uważaj, stary, na wypadek gdyby pozostali dwaj też się tam zmaterializowali.

- To niemożliwe. Przyjedź, a wszystko ci wyjaśnię. - Conch znów zwrócił się do Vlessiego: - Dlaczego właściwie nie uciekłeś z powrotem do swego wymiaru?

- Zrobiłbym to, gdybym mógł. Podczas naszej rozmowy cały czas próbowałem. Jestem zbyt ciężko ranny. Możliwe, że umieram.

Conch przeładował jedną z luf swojej broni, wyszczerzając zęby w groźnym grymasie.

- W takim razie może powinienem cię dobić.

- Czemu pan tego nie robi, panie Conch? Ma pan z tym problem, teraz, gdy już pan wie, że w gruncie rzeczy jesteśmy tą samą istotą?

- Nie powiedziałem, że mnie przekonałeś.
- W takim razie proszę mnie zabić. No już. Najpewniej i tak umieram.

- Czemu miałbym ci to ułatwiać? Może wolę patrzeć, jak się męczysz.

- Proszę nie okłamywać samego siebie, panie Conch. - Vlessi wydał z siebie nieprzyjemny odgłos, mający zapewne oznaczać śmiech z własnego żartu. - Naprawdę jest pan prymitywny. Postrzega pan własną istotę wąsko i płytko, niczym odbicie w płaskim zwierciadle. Teraz boi się pan mnie zabić. Tak łatwo przychodzi panu kończyć życie innych. Nie potrafi pan odczuwać wobec nich empatii. Lecz w pana oczach zabicie mnie byłoby czymś w rodzaju samobójstwa. A przecież samobójstwo nie powinno być trudniejsze niż zabójstwo. Panie Conch, boi się pan zakończenia i unicestwienia samego siebie, pańskiej żalostnej, pseudowyjatkowej egzystencji. Boi się pan, w odróżnieniu ode mnie, bo ja postrzegam to co nieskończone i wieczne. Boi się pan śmierci.

- I ty gadasz o empatii? Nie czujesz empatii wobec mnie. Wobec tej wersji mnie.

- Łatwiej przychodzi nam zabijać inne aspekty nas samych niż osoby o innych duszach. Pod tym względem uważamy się za bardziej rozwiniętych od was.

- Skończ z tym żalostnym, moralizatorskim tonem, Jasper.
- Czemu nie miałby nadać Vlessiemu tego *nom de guerre*? W końcu on sam także nie od zawsze je nosił. - Nie okłamuj samego siebie. - Zachichotał, odpłacając Vlessiemu jego własnym żarciem. - Obaj taplamy się po uszy we krwi. W ostatecznym rozrachunku nieważne do kogo należy.

Zjawił się Indigo. Kiedy Conch go wpuścił, przyjaciel ścisnął już w dłoni czarny pistolet. Conch także trzymał swego

decimatora.220, ale ręka zwisała swobodnie. Zaprowadził Indigo do sypialni, tam przyjaciel, nie okazując zdumienia, spojrzął na Vlessiego.

- To przywódca - zauważył. - Kiedy go zabiłeś?

- Umarł tuż przed twoim przyjściem. Z ran, które mu zadałem, kiedy otworzyłem pole.

- Dobrze, że je miałeś.

- Dobrze, że nie sypiasz.

- Dwóch nie żyje. Teraz musimy dopaść tych, którzy zabili Hansa i Brassa. Chcę obedrzeć ich żywcem ze skóry.

- Nie będą dla nas tak niebezpieczni jak dla Hansa i Brassa - mruknął ponuro Conch. - Nie zdołają nas zaskoczyć tak jak nasze dublety.

- Dublety? - Chwila ciszy, po czym Indigo dodał: - Sobowtóry?

Conch zamierzał wyjaśnić mu wszystko. I nie wątpił, że teraz, gdy Vlessi stracili swą najlepszą broń: zaskoczenie, wraz z Indigo z łatwością pokonają dwóch pozostałych, preferujących prymitywną broń...

Ale wątpił, czy zdołałby obedrzeć żywcem ze skóry przeciwników, nawet gdy ich złapią. Pomyślał, że woli zabić ich możliwie szybko i litościwie... bo wiedział, że w pewnym sensie jeden z nich będzie Hansem, a drugi Brassem. Może dubletem Brassa okaże się samica Vlessi, której niby pożądał tamtego wieczoru w klubie, gdy siedli razem całą ósemką, patrząc na siebie jak na odbicia w krzywym zwierciadle. Nawet bez barw wojennych jeden z owych stworów w tajemniczy sposób będzie Brassem, drugi Hansem, choć pozbawionym tatuaży. I choć Conch wierzył kiedyś, że umiałby zabić przyjaciół, gdyby uznał, że zagrażają jego bezpieczeństwu, teraz przerażała go myśl o tym, że mają zginąć po raz drugi... w innym wcieleniu.

Kto by pomyślał, że to zlecenie nauczy go empatii.

Kto mógłby zgadnąć, że w pewnym sensie nauczy się jej od samego siebie?

- Powinniśmy stopić ciało - oznajmił Indigo i wskazał ręką leżący na łóżku automat. - Czy masz w tym pociski z błękitną plazmą?

Błękitna plazma rozpuszczała jedynie materię organiczną. Nie zniszczyłaby podłogi ani dywanu.

Conch podniósł broń z łóżka i wcisnął w ręce przyjaciela.

- Ty to zrób - rzekł cicho i wyszedł z pokoju, by nie patrzeć jak tamten go unicestwia.

Bał się, że jeśli to ujrzy, nocą powrócą koszmary z dzieciństwa. I tym razem pole siłowe otaczające łóżko nie zadziała. I tym razem żywe trupy w końcu go pożrą.